

SUSAN
HOWATCH

ZA LŚNIĄCĄ
ZASŁONĄ



DC
2017

Howatch Susan

Za lśniącą zasłoną 01

Za lśniącą zasłoną

Postronnemu obserwatorowi mogłoby się wydawać, że życie w pałacu biskupim toczy się gładko, a sam biskup jest wzorem wszelkich cnót. A jednak Charles Asworth, wysłany, by zbadać, na ile wizerunek ten jest prawdziwy, za lśniącą zasłoną gry pozorów odkrywa niezbyt chlubną prawdę. Jednocześnie sam zostaje uwikłany w dziwaczny związek z doktorem Jardine, jego żoną i jej damą do towarzystwa - związek, który grozi zdarciem jego własnej lśniącej zasłony.

"Za lśniącą zasłoną" to powieść o ludziach na wysokich stanowiskach, o pogoni za niemożliwym i mamieniu siebie, o kłamstwach i unikach, słowem - o niezbyt pięknej rzeczywistości skrywanej za lśniącymi zasłonami.

Część pierwsza

TAJEMNICA

„Im głębiej zanurzamy się w rzeczywistość,
tym więcej znajdujemy pytań,
na które nie umiemy odpowiedzieć”.

Spiritual Counsels and Letters of Baron Friedrich von Hügel, zebr. Douglas V. Steere

Rozdział pierwszy

„Biskup, co sam sobie nieustannie uświadamiam, nie jest zwykłym człowiekiem”.

Herbert Hensley Henson, Biskup Durham 1920-1939, *The Bishoprick Papers*

I

Mój czas próby rozpoczął się pewnego letniego popołudnia, kiedy zadzwonił do mnie arcybiskup Canterbury. Było gorąco, za oknem widziałem nagrzaną, drżącą powietrze unoszącą się nad dziedzińcem. Właśnie skończył się semestr. W Laud's zapanował spokój, tworząc atmosferę sprzyjającą pracy, dlatego, kiedy rozległ się dźwięk telefonu, niechętnie sięgnąłem po słuchawkę. Rozmówca przedstawił się jako przedstawiciel Lambeth Palace i oświadczył, że jego ekscelencja chce rozmawiać z doktorem Ashworthem w kwestii niecierpiącej zwłoki. Najwyraźniej arcybiskup zaraził sekretarzy swoim upodobaniem do melodramatów.

- Drogi Charlesie!

Doktor Lang zawsze charakteryzował się donośnym głosem, ale teraz jego ton nabrał odrobiny teatralności. Prymas należał do pokolenia, które uważało telefon bądź za diabelski instrument i zawadę, bądź - w najlepszym razie - wyzwanie dla talentów

aktorskich. Kiedy więc dyplomatycznie spytałem doktora Langa o stan jego zdrowia, zostałem uraczony dramatycznym opisem jednego z bardziej nudnych aspektów uwiadu starczego. Owego letniego popołudnia, pierwszego dnia lipca 1937 roku, arcybiskup liczył sobie siedemdziesiąt trzy lata i był w formie, jakiej należało się spodziewać po wysokim dostojniku kościelnym, jednak jak każdy mężczyzna w jego wieku nie znosił oznak starości.

- ...Dość już jednak nudzenia o tych uciążliwych drobnostkach
- podsumował, gdy właśnie kończyłem szkicować na kartce mitrę.
- Charles, w przyszłą niedzielę przyjeżdżam z nauką do Ely, a ponieważ ogromnie mi zależy, by się z tobą spotkać, uzgodniłem z moim starym druhem, dyrektorem Laud's, że u niego przenocuję. Przyjść do ciebie po nieszpórach. Pozwolę sobie jednak podkreślić, że wizyta ma ściśle poufny charakter. Jest pewna misja, którą chciałbym ci powierzyć, a sprawa ta - arcybiskup, żeby całkowicie wykorzystał efekt dramatyczny, zniżył głos do szeptu - jest bardzo delikatnej natury.

Zastanawiałem się, czy arcybiskup wyobraża sobie, że mógłby nie poznany zakraść się do mojego mieszkania. Prymasowi rzadko kiedy udaje się zachować incognito, a już szczególnie trudno określić mianem anonimowego duchownego prymasa, który ostatnio odegrał kluczową rolę w abdykacji jednego króla i koronacji następnego.

- Oczywiście, chętnie pomogę eminencji, na ile będę mógł
- odparłem uprzejmie.
- W takim razie do zobaczenia w niedzielę wieczorem. Dziękuję, Charles - powiedział doktor Lang, i udzieliwszy mi krótkiego błogosławieństwa, zakończył rozmowę.

Siedziałem wpatrując się w naszkicowaną w czasie rozmowy mitrę, ale w pewnej chwili uświadomiłem sobie, że mój wzrok spoczął na słowach, które napisałem, zanim przerwano mi pracę. „Modalizm odpowiadał dążeniu Kościoła do monoteizmu, jednak w drugiej połowie czwartego stulecia okazało się, że modalny Bóg przemienił się w...”

Wpływ modalizmu na doktrynę o Trójcy Świętej wydawał się tak odległy od machinacji doktora Langa. Nagle moja ostatnia książka przestała mnie interesować. Rozpoczął się czas próby.

II

Moja misja - przemówił arcybiskup tonem pełnym namaszczenia, co miało podkreślić wagę sprawy - dotyczy biskupa Starbridge. Znasz go?

- Słabo. W ubiegłym roku prowadził w Cambridge rekolekcje adwentowe.

Udało nam się spotkać sam na sam w moim mieszkaniu. Poczestowałem biskupa filiżanką jego ulubionej herbaty. Jeden z moich londyńskich przyjaciół, który zajrzał dzień wcześniej do Cambridge, przywiózł mi ją prosto z Fortnum's, jednego z droższych sklepów Londynu. Doktor Lang, odziany w szaty biskupie, popijał herbatę, siedząc w moim najwygodniejszym fotelu, podczas gdy ja, ubrany w sutannę pod doktorską togą, cały wysiłek skupiłem na powstrzymaniu chęci na szklaneczkę whisky. Papierosy wcześniej schowałem. Cały dzień wietrzyłem pokój, żeby nie został nawet ślad zapachu dymu tytoniowego.

Lang wychylił kolejny łyk herbaty. Miał twarz, która bez trudu przybierała autokratyczny wyraz i patrząc na niego, przypomniałem sobie anegdotkę, która krążyła w Kościele anglikańskim wkrótce po tym, jak pokazał swój portret grupie biskupów.

- Czuję, że nie mogę przyznać racji krytykom, którzy zarzucają portretowi Orpena, że wyglądam na nim jak pompatyczny, zadufany dostojnik kościelny - oświadczył ponoć.

- A mogę spytać, który z tych epitetów waszej eminencji nie dotyczy? - spytał doktor Henson, biskup Durham znany z ciętego języka.

Arcybiskup miał w Kościele swoich wrogów, a na wspomnienie

Hensona z Durham moje myśli wróciły do Jardine'a ze Starbridge, który, jak poinformował mnie Lang, był przedmiotem owej tajemniczej misji.

- Nim przystąpię do dalszych wyjaśnień, Charles, chciałbym, żebyś odpowiedział mi na jedno pytanie.

Co wy, teolodzy z Cambridge, sądzicie o ostatnim wystąpieniu Jardine'a w Izbie Lordów?

Na to pytanie łatwo było odpowiedzieć. W czasie debaty nad kodeksem małżeńskim Alana Patricka Herberta, który opowiedział się za rozszerzeniem podstaw do rozwodu, doktor Jardine w swoim wystąpieniu zaatakował arcybiskupa, co równało się rzuceniu bomby do puszeki z prochem, jaką był Kościół anglikański.

- Byliśmy przerażeni, eminencjo.

- Oczywiście, to wspaniały mówca - ciągnął Lang, nie zapominając o chrześcijańskim miłosierdziu, które polega na uznaniu zasług, jeśli się należały. - Z punktu widzenia sztuki oratorskiej jego wystąpienie stanowiło prawdziwy majstersztyk.

- Ale również i pożałowania godny majstersztyk.

Lang był zadowolony. Z pewnością wierzył w moje poparcie, ale minęło ponad dziesięć lat, od kiedy przestałem pracować jako jego sekretarz, a on, jak każdy ostrożny mąż stanu, bez wątpienia uważał za nieroztropne przyjmowanie czyjejś lojalności za pewnik.

- Atak Jardine'a był wręcz niewybaczalny - podjął, wystarczająco uspokojony, by dać się ponieść świętemu oburzeniu. - Ostatecznie znalazłem się w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Nie mogłem przystać na jakiegokolwiek złagodzenia prawa rozwodowego, którego moje sumienie by nie odrzucało.

Z drugiej zaś strony gdybym otwarcie sprzeciwił się zmianom, Kościół spotkałby się z bardzo dlań szkodliwą krytyką. Uwięziony między Scyllą mojego sumienia a Charybdą obowiązków politycznych

- oświadczył arcybiskup, nie mogąc się powstrzymać od kwiecistej retoryki - nie miałem innego wyjścia, jak zająć neutralne stanowisko.

- Rozumiem trudne położenie, w jakim eminenca się znalazł.
- Oczywiście, że rozumiesz! Tak samo jak wszyscy rozsądni duchowni! A jednak biskup Starbridge miał czelność nie tylko oskarżyć mnie, że się wymiguję - co za pospolite wyrażenie! - ale także twierdzić, że liczne podstawy wszczęcia kroków rozwodowych są zgodne z chrześcijańską nauką! Oczywiście, nie należy się wiele spodziewać po kimś, komu daleko do prawdziwego dżentelmena, ale zachowanie Jardine'a świadczyło nie tylko o jego ogromnej nielojalności wobec mnie, ale także o zupełnym braku troski o dobro Kościoła.

Ten snobizm był nie na miejscu. Lang może i dawno temu nabrał manier angielskiego arystokraty, ale urodził się w szkockiej średniozamożnej rodzinie mieszczańskiej i bez wątpienia jego też kiedyś uważano za „obcego”. Sądził może, że to daje mu prawo do zjadliwej krytyki klasowej, ale moim zdaniem ta złośliwość podkreślała nie tyle Jardine'a, co jego własne pochodzenie.

Na razie zaniechał kwiecistej retoryki, aby postawić sprawę jasno, bez osłonek.

- Moim zdaniem - mówił - Jardine przestał być dla nas jedynie czymś żenującym, stał się niebezpieczny. Postanowiłem więc, że nadszedł czas, bym podjął kroki, mające na celu zapobieżenie katastrofie.

Zastanawiałem się, czy złośliwość w połączeniu ze starością nie stała się źródłem utraty zdrowego rozsądku.

- Zgadzam się, że to kontrowersyjna postać, eminencko, ale...

- Kontrowersyjna! Drogi Charlesie, to co ty i opinia publiczna dostrzeżliście, stanowi zaledwie wierzchołek góry lodowej. Żałuj, że nie słyszałeś, co się dzieje na konferencjach biskupów! Poglądy Jardine'a na małżeństwo, rozwód oraz, niech nas ręka boska broni!, antykoncepcję od jakiegoś czasu są znane wśród biskupów i najbardziej obawiam się, czy - jeśli nadal będzie publicznie głosić swoje opinie na temat życia rodzinnego - jakiś pozbawiony skrupułów, spragniony sensacji dziennikarz z Fleet Street nie weźmie pod lupę jego sytuacji domowej.

- Przecież nie sugeruje eminencja...

- Nie, nie. - Lang gwałtownie zmienił ton. - Nie, oczywiście, że nie sugeruję istnienia jakiejś straszliwej omyłki, ale sytuacja domowa Jardine'a jest dość nietypowa i mogłaby zostać wykorzystana przez jakiegoś dziennikarza jako broń przeciwko mnie.

Umilkł i po chwili dodał:

- Mam wrogów na Fleet Street, Charles. Są ludzie, którzy od chwili abdykacji króla nie mogą się doczekać, by mnie upokorzyć i zhańbić Kościół.

Styl był przesadny, ale po raz pierwszy poczułem, że przez prymasa nie przemawia wyłącznie złośliwość. W jego słowach kryła się niezaprzeczalna polityczna rzeczywistość.

- I na czym ma polegać moje zadanie, eminencjo? - usłyszałem swój głos.

- Chcę, żebyś pojechał do Starbridge - odparł bez wahania arcybiskup - i upewnił się, czy Jardine nie popełnił jakiejś nieostrożności, która mogłaby okazać się fatalna w skutkach. A jeśli tak, chcę, aby zniszczono wszelkie dowody jej istnienia.

III

Lang operował ostrożnie dobranymi eufemizmami. Nie chciał zbyt mocno oczernić biskupa w obecności niższego członka hierarchii kościelnej, równocześnie jednak pragnął dać mi do zrozumienia, że, jeśli chodzi o Jardine'a, można się spodziewać najgorszego. Jardine'a nie podejrzewano o „straszliwą omyłkę”, co oznaczało zdradę małżeńską, upadek moralny, który sprawiłby, że biskupa - czy jakiegokolwiek innego duchownego - można by uznać za niezdolnego do dalszego pełnienia swego urzędu. Z drugiej jednak strony Lang dopuszczał możliwość popełnienia przez Jardine'a „fatalnej w skutkach nieostrożności”, co mogło znaczyć wszystko: od nieroztropnych komentarzy na temat niepokalanego poczęcia po trzymanie za rękę dwudziestoletniej blondynki.

- Co o nim wiesz? - spytał Lang, nie dając mi czasu na dalsze spekulacje.
- Znam z grubsza przebieg jego kariery. Nie wiem nic o jego życiu prywatnym.
- Ożenił się z kobietą o wyjątkowo ptasim mózdzku, która liczy sobie pewnie teraz niewiele ponad pięćdziesiąt lat. Sam Jardine ma pięćdziesiąt osiem. Oboje wyglądają młodo jak na swój wiek. W ustach arcybiskupa zabrzmiało to nie jak łut szczęścia, ale jak rzecz w złym smaku. Wyczuwałem, że do niechęci, jaką żywił wobec Jardine'a, dochodzi jeszcze zazdrość o młodość przeciwnika.
- A dzieci? - spytałem, dolewając Langowi herbaty.
- Żadnych żyjących. - Wychylił łyk świeżo dolanej herbaty i dodał. - Dziesięć lat temu, wkrótce po tym jak Jardine'a mianowano dziekanem Radbury, zatrudnił on młodą kobietę, niejaką pannę Lyle Christie jako towarzyszkę dla pani Jardine. Biedula zupełnie sobie nie radziła z obowiązkami żony dziekana, wstyd mówić o bałaganie, jaki tam panował.
- A czy pannie Lyle Christie udało się zapanować nad tym chaosem?
- Panna Christie. To nie jest nazwisko dwuczłonowe. Jej błędzący rodzice nazwali ją Lyle, zamiast nadać jej przyzwoite chrześcijańskie imię, takie jak Jane czy Mary. Tak - ciągnął Lang, odstawiając filiżankę. - Od chwili przybycia panna Christie utrzymywała mieszkanie swoich pracodawców w podziwu godnym porządku. Mimo to jednak, choć ten niewinny trójkąt w normalnych warunkach pozostałby nie zauważony, istnieją trzy aspekty, które sprawiają, że ta sytuacja po dziesięciu latach może wywołać niepożądane komentarze. Po pierwsze panna Christie jest przystojną kobietą, po drugie wyraźnie nie zamierza wychodzić za mąż, po trzecie Jardine przejawia coś, co można by określić zdrowym zainteresowaniem płcią przeciwną. Lang, który sam był przystojnym mężczyzną, co zapewniało mu

przez cały jego kawalerski żywot stały podziw licznych wielbicielek, dyplomatycznie wyrzwał przez okno, starając się sprawić wrażenie, jakby go to nie dotyczyło. Jako chrześcijanin musiał pochwałać zdrowy pociąg seksualny, który prowadził do małżeństwa, wiedziałem jednak, że inne grzeszne zainteresowanie kobietami budziło w nim wstręt.

- Innymi słowy - odezwałem się, uwalniając go od konieczności ciągnięcia niezręcznej rozmowy na temat stosunku Jardine'a do kobiet - obawia się eminencja, że jeśli dziennikarze zaczną grzebać w prywatnym życiu Jardine'a, mogą wysnuć jakieś nieodpowiednie wnioski na temat panny Christie. Jednak, z całym należnym szacunkiem, czemu miałyby to waszą eminencję niepokoić? Nawet prasa brukowa boi się oskarżenia o zniesławienie i nigdy nie odważono by się wydrukować żadnych lubieżnych domysłów, nie posiadając na to pisemnych dowodów.

- I właśnie dlatego tak się niepokoję. - Lang dał sobie spokój z kwiecistą retoryką dobrze wychowanego Anglika i wreszcie wyszedł z niego rozsądny, ostrożny Szkot. - Jardine prowadzi pamiętnik. Co będzie, jeśli któryś z tych wiecznie żądnych sensacji pismaków przekupi służbę i położy na nim łapska?

- Ale przecież to z pewnością dziennik duchowy, a nie zwierzenia historycznej nastolatki.

- Elementem rozwoju duchowego bywa spowiedź.

- Tak, ale...

- Pozwól, że postawię sprawę jasno. Wątpię, aby istniało jakiegokolwiek pisemne, oczywiste świadectwo zgorzenia. Równocześnie jednak boję się, co mogłoby się stać, gdyby opublikowano odpowiednio spreparowane bądź wyjęte z kontekstu fragmenty zupełnie niewinnego dokumentu. Wiesz, jak jest pozbawiona wszelkich skrupułów prasa brukowa.

W ciszy, która zapadła po tym oświadczeniu, ponownie czułem, że dzielam jego sąd na temat tej nie dającej się uchwycić, choć bez wątplenia istniejącej rzeczywistości. Albowiem życie prywatne

Jardine'a, choćby i zupełnie niewinne, mogło się okazać piętą achillesową Kościoła w napiętych ostatnio kontaktach między hierarchią a prasą. Nowy król może i został koronowany, ale wspomnienie byłego władcy nadal budziło wiele współczucia, a wystąpienie Langa, w którym krytykował Edwarda VIII za to, że zaniechał swoich obowiązków, żeby ożenić się z rozwódką, spotkało się z powszechną krytyką i zostało uznane za przejaw kołtuństwa. W tej sytuacji - kiedy Lang usiłował odzyskać stracone terytorium - ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, był skandal, z aktywnym seksualnie biskupem grającym główną rolę w dziwnym trójkącie.

- A więc, Charles? Pomożesz mi?

Treser strzelił batem, ale właściwie nie musiał tego robić. Byłem lojalny Kościołowi, a także mojemu prymasowi - mimo bardzo mieszanych uczuć, jakie ten ostatni we mnie budził.

- Oczywiście, że eminencji pomogę - zapewniłem bez wahania i tak kości zostały rzucone.

IV

Jak mam się do tego zabrać? - spytałem, przypatrując się sobie w nowej roli prymasowskiego szpiega i natychmiast uświadamiając swój całkowity brak doświadczenia.

- Jestem przekonany, że kiedy tylko zadomowisz się w pałacu biskupim, szybko zorientujesz się, czy rzeczywiście mam powody do obaw - pospieszył z zapewnieniem Lang.

- Ale w jaki sposób mam się tam zadomowić?

- To proste. Zadzwoń do Jardine'a i poproszę, by udzielił ci na kilka dni gościny. Nie odmówi mi, zwłaszcza kiedy powiem, że chcesz skorzystać z biblioteki katedralnej, gdyż są tam materiały potrzebne ci do twojej ostatniej pracy. Byłeś kiedyś w bibliotece katedralnej w Starbridge? Ich chlubą jest manuskrypt „Modlitw i rozważań świętego Anzelma”.

- Ale przecież moja ostatnia książka dotyczy wpływu modelizmu na chrystologię w czwartym stuleciu. Toż to nie ma żadnego związku ze świętym Anzelmem!

Langowi to nie przeszkadzało.

- W takim razie lepiej, żebyś pisał artykuł do jakiegoś uznanego periodyku... Na przykład ponowną ocenę wywodu ontologicznego świętego Anzelma...

- I rozumiem, że w trakcie dyskusji nad ontologią mam od niechcienia spytać Jardine'a, czy nie zechciałby mi udostępnić swoich dzienników, gdzie pod postacią zdrożnych rozważań na temat damy do towarzystwa jego żony kryje się istna skarbnica mądrości.

Lang posłał mi słabutki uśmiech. Dostrzegłszy, że mój brak powagi wzbudził dezaprobatę, natychmiast się poprawił:

- Przepraszam, eminencjo, ale naprawdę nie rozumiem, co mam zrobić. Gdyby eminencja zechciał udzielić mi kilku wskazówek...

Apel do jego autorytetu ugładził nastroszone pióra.

- Zapytaj Jardine'a o jego dziennik. Nie ukrywa, że go prowadzi, a jako że rzadko się zdarza, by kapłan w średnim wieku prowadził takie ćwiczenia duchowe, sądzę, że twoja ciekawość wyda się usprawiedliwiona. Chciałbym się dowiedzieć, czy traktuje swój pamiętnik jak konfesjonał. Poza tym sugerowałbym, żebyś porozmawiał z panną Christie i spróbował się przekonać, czy Jardine pisuje do niej z podróży. Szczerze mówiąc, Charles, o wiele bardziej boję się jakichś kompromitujących listów, bo pamiętnik z pewnością jest trzymany w bezpiecznym miejscu. Jeśli chodzi o młode kobiety, mężczyźni w wieku Jardine'a są zdolni do popełnienia niewyobrażalnych szaleństw i mimo że wątpię w istnienie jakiegokolwiek zgorszenia, zawsze trzeba się liczyć z możliwością, że się mylę.

- Ale przecież panna Christie z pewnością spaliłaby kompromitujący list?

- Niekoniecznie. Nie, jeśli byłaby zakochana. I właśnie dlatego

chcę, żebyś bacznie się przyjrzał temu związkowi i zbadał, na ile grozi on katastrofą.

Lang, który w młodości pisywał romantyczne powieści, dawał się ponieść bujnej wyobraźni.

- Na przykład - ciągnął - nie da się wykluczyć, że Jardine jest zupełnie niewinny, a ta kobieta jest w szponach namiętności. Jardine może by i chciał; się jej pozbyć, ale nie robi tego w obawie przed jej ewentualną zemstą.

Intryga prawdziwie powieściowa, ale, niestety, trzeba było wziąć i to pod uwagę. Zaloty namiętnych starych panien stanowiły ryzyko zawodowe wszystkich duchownych, dlatego po krótkiej przerwie, która miała świadczyć, że podszedłem do tej teorii z należytą powagą, zaatakowałem:

- A gdyby się okazało, że rzeczywiście trafię na coś kompromitującego? Co mam wtedy zrobić?

- Przekazać to mnie, a ja spotkam się z Jardinem i nakażę mu, by osobiście podjął odpowiednie działania. Ocenzuruję swoje dzienniki znacznie lepiej niż ty sam byś to zrobił.

Z ulgą przyjąłem stwierdzenie, że do moich obowiązków nie będzie należał sabotaż. Mimo to czułem, że wymaga się ode mnie nieco podejrzanych machinacji i chciałem się upewnić, na ile mogę sobie pozwolić.

- Mam nadzieję - powiedziałem lekko - że jeśli pamiętnik będzie schowany, eminencja nie każe mi się doń włamywać? Czy też mam się zachowywać jak jezuita, któremu dla dobra Kościoła wolno zrobić wszystko?

- To Kościół anglikański, nie rzymskokatolicki. Dobrze nieba, oczywiście, że nie sugeruję, byś zachowywał się w sposób niegodny dżentelmena! - wykrzyknął Lang z oburzeniem, któremu tylko odrobinę zabrakło szczerości i wiedziałem, że do tej pory miał nadzieję, iż nie będę zbyt natarczywie domagać się określenia granic, do których mogę się posunąć. Oczywiście, musiał odrzucić jakiegokolwiek sugestie, że usprawiedliwia nieczne postęпки.

- Pragnę jedynie - powiedział, całkiem przekonująco odgrywając niewiniątko - abyś „sprawdził wodę”, nim zanurkuje. Problem w tym momencie leży w tym, że moje podejrzania są praktycznie bezpodstawne i nie mógłbym na ich podstawie doprowadzić do konfrontacji z Jardine'em. Ale jeśli ty, przekonawszy się, jak wygląda życie w pałacu biskupim, będziesz je podzielał, to mi doda pewności, że mogę rozmawiać z Jardine'em ze świadomością, iż nie popełniam jakiegoś straszliwego błędu., To oświadczenie brzmiało dość wiarygodnie, uznałem jednak, że pora sprawdzić, na ile Lang mi ufa. Im usilniej podkreślał swoje przekonanie, że Jardine nie stał się przyczyną zgorszenia, tym bardziej kusilo mnie, by podejrzewać, że biskup stał się dla prymasa źródłem najgorszego z możliwych koszmarów duchownego.

- Eminencjo, czy w ogóle istnieje możliwość, by Jardine znalazł się w bardzo głębokiej wodzie? Lang przybrał cierpliwy wyraz twarzy, jakby miał do czynienia z upartym dzieckiem, które zadaje niemądre pytania.

- Drogi Charlesie, wszyscy jesteśmy grzesznikami i zawsze trzeba się liczyć z możliwością popełnienia błędu, nawet przez biskupa. W tym jednak wypadku prawdopodobieństwo istnienia „głębokiej wody” jest nikłe. Mimo dzielących nas różnic, jestem przekonany o oddaniu Jardine'a. Gdyby popełnił poważny grzech, ustąpiłby.

To stwierdzenie także brzmiało wiarygodnie. W przeszłości może i trafiali się nierządni biskupi, ostatnio jednak najpoważniejszym oskarżeniem, z jakim spotkał się biskup, była starość. Ale przecież Jardine nie zawsze był biskupem.

- Czy w przeszłości nie miał na swoim koncie żadnego skandalu, który skutecznie uciszono?

- Nie. Przecież w takiej sytuacji nie zostałby biskupem, nie uważasz, Charles?

- A przecież wspomniał eminencja o jego „zdrowym zainteresowaniu” płcią przeciwną...

- Zdarza się od czasu do czasu, że na przyjęciach zbyt wyraźnie okazuje, że podobają mu się kobiety, ale, szczerze mówiąc, to akurat mnie uspokaja. Gdyby coś naprawdę było nie w porządku, z pewnością starałby się to ukrywać.

Uderzyła mnie przenikliwość tego stwierdzenia i ze świadomością, że znowu mam do czynienia ze sprytnym Szkotem, który mieszka gdzieś w głębi Langa, postanowiłem zaryzykować i prowadziłem dalej swoje przesłuchanie.

- A co z żoną o ptasim mózdzku? - zapytałem. - Czy wiemy z całą pewnością, że jest z niej niezadowolony?

- Nie. Co prawda ciągle powtarzają się głosy, że małżeństwo przechodzi trudny okres, ale Jardine zawsze wyraża się o żonie lojalnie, a plotki mogą się brać stąd, że to nie najlepiej dobrana para. Nie wyciągaj zbyt pochopnie wniosków, Charles. Wybitnie inteligentni mężczyźni często żenią się z wyjątkowo głupimi kobietami, a to że Jardine'owie nie odpowiadają sobie pod względem intelektualnym wcale nie oznacza, że są nieszczęśliwi i nie powinieneś tego automatycznie zakładać. Po tym mądrym ostrzeżeniu, że nie powinienem w swojej misji kierować się przesądami i utartymi poglądami, uznałem, że pozostało mi tylko jedno pytanie.

- Kiedy mam wyjechać do Starbridge?

- Kiedy tylko Jardine będzie gotów przyjąć cię w gościnę - odparł Lang, zadowolony z mego oddania sprawie i pozwolił wreszcie, by odrobina ciepła zagościła w jego chłodnym uśmiechu polityka.

v

Sądziłem, że od razu pójdzie, ale został. Przez jakiś czas gawędziliśmy o sprawach college'u; chciał się dowiedzieć, czy studenci nadal byli podatni na chrześcijaństwo ewangeliczne głoszone przez zwolenników Franka Buchmana, na co odparłem, że ruch ten nie ma na nich wpływu.

- Tragedia owych ruchów polega na tym - stwierdził arcybiskup, który w 1933 roku usankcjonował działalność buchmanistów i prawdopodobnie do tej pory nie mógł tego odżalować - że ich dobre chęci tak łatwo zrujnować. Zagubieni młodzi ludzie powinni szukać oczyszczenia dusz w osobistej spowiedzi kapłanowi, a nie w tak zwanym dzieleniu się bolesnymi doświadczeniami z grupą, która może być duchowo mądrzejsza niż oni.

Tak sprytnie kierował rozmową, że dopiero po następnym pytaniu zrozumiałem, do czego zmierza.

- Czy wysłuchujesz wielu spowiedzi, Charles?

- Nigdy na nie nie nalegam. Podkreślam, że Kościół anglikański głosi, że można się spowiadać, ale nie jest to obowiązkiem wiernego. Choć oczywiście, jeśli jakiś student przyjdzie do mnie, słucham jego spowiedzi.

- A ty? Zastanawiałem się - ciągnął biskup, wreszcie ujawniając, o co mu chodziło - czy nie chciałbyś skorzystać z naszego tak rzadkiego spotkania sam na sam i poruszyć jakiejś sprawy, w której rozwiązaniu, twoim zdaniem, pomogłaby taka poufna rozmowa.

Odparłem niemal natychmiast, ale wiedziałem, że moje wahanie zostało dostrzeżone i stanie się później przedmiotem spekulacji.

- Bardzo to łaskawe ze strony eminencji - odparłem - ale z radością muszę stwierdzić, że jedynym moim problemem w tej chwili jest, co umieścić w najnowszej książce.

- Jestem przekonany, że twój umysł z pewnością doskonale sobie z tym problemem poradzi! A czy mógłbym spytać, kto jest ostatnio twoim kierownikiem duchowym?

- Nadal chodzę do opata fordytów z Grantchester.

- Aha, ojciec Reid. Żałuję, że sam nie mogę do niego zajrzeć, kiedy jestem w Cambridge, lecz cóż!, tyle mamy ważkich zajęć...

Lang z teatralną przesadą rozłożył ręce, po czym zerknął na zegarek i wstał. Audiencja dobiegała końca. Poprosiłem o błogosławieństwo, a gdy mi go udzielił, uświadomi-

łem sobie siłę jego daru kapłaństwa. Miałem w pamięci, jak dzięki jego trosce i opiece udało mi się przetrwać trudne lata przed i po święceniach; przypominałem sobie jego wspaniale okazywaną wielkość ducha, której zawdzięczam świadomość, że chrześcijaństwo nie musi oznaczać kołtuństwa i klerykalizmu, ale olśniewającą realizację najwspanialszych możliwości. Nieskończenie odmiennymi drogami ludzie dochodzą do chrześcijaństwa i nie dawało się zaprzeczyć, że kariera Langa doprowadziła mnie do wiary, w której kariera się nie liczy. Za lśniąca, migotliwą zasłoną kryła się naga, absolutna prawda. Właśnie to przeciwstawienie fascynowało mnie od chwili, gdy postanowiłem zostać duchownym, ale nawet teraz, kiedy bez trudu za maską gładkiego światowca dostrzegałem wady Langa, zdumiewał mnie wpływ, jaki wywarł on na moje życie. Jak to się stało, że ten próżny, nadęty, pusty stary kawaler doprowadził mnie do wejścia na drogę naśladowania chrystusowego pokoju i prostoty? Uznałem, że to musiał być cud, ale wtedy ogarnęło mnie poczucie winy, ponieważ mimo że tak wiele zawdzięczałem Langowi, nie mogłem już dłużej patrzeć na niego przez różowe okulary, które z taką łatwością nosiłem w przeszłości.

Odszedł. Samotność przyjąłem z ulgą. Natychmiast schroniłem się do sypialni, gdzie, zdjęwszy togę i sutannę, zapaliłem papierosa. Od razu lepiej się poczułem, a kiedy już miałem na sobie zwykłe ubranie, wróciłem do salonu, nalałem sobie porządną porcję whisky z sodą i zacząłem się zastanawiać nad swoją misją w Starbridge.

VI

Im dłużej myślałem nad swoją sytuacją, tym mniej mi się ona podobała. Zostanę wmieszany w oszustwo; choć każdy student filozofii moralnej potrafiłby udowodnić, że dobro Kościoła usprawiedliwia niewielkie szpiegostwo z ramienia arcybiskupa, ale nie znosiłem,

kiedy mieszano mnie do spraw, w których cel uświęcał środki. Kiedy wcześniej powołałem się na jezuicką kazuistykę, Lang odparł cytatem z Szekspira, że to „angielski dwór, nie turecki”, mimo to, przypominając sobie naszą rozmowę, nadal się zastanawiałem, o co Langowi naprawdę chodzi.

Dziesięć dni temu Jardine upokorzył go w czasie debaty w Izbie Lordów.

- Co mają myśleć zwyczajni Anglicy - atakował gwałtownie biskup - kiedy ich prymas z bijącym w oczy brakiem odwagi oświadcza, że nie może się opowiedzieć ani za, ani przeciwko nowemu prawu dotyczącemu przecież jednego z ważniejszych zagadnień moralnych? Czy to ma być przywództwo? Czy tak ma wyglądać skarbnica mądrości Kościoła, której wielu tak niecierpliwie oczekiwało? Czy taki musi być zawsze los Kościoła anglikańskiego, że jakiś siedemdziesięcioletni Szkot, który najwyraźniej stracił kontakt z rzeczywistością, będzie go prowadził do zupełnego moralnego zagubienia i niepewności?

Przypuszczałem, że po tym wystąpieniu Lang będzie chciał pozbyć się Jardine'a, a jedynym sposobem na pozbycie się kłopotliwego biskupa - bez wywoływania skandalu - było znalezienie dowodu, że tamten dopuścił się zgorzenia, co pozwoliłoby wyegzekwować jego rezygnację bez robienia wokół sprawy szumu. Innymi słowy, podejrzewałem, że wykorzystano mnie nie tyle jako narzędzie w walce o dobro Kościoła, co jako oręż w wojnie dwóch jego największych indywidualności.

To była wyjątkowo mało krzepiąca myśl. Krążąc po małej spiżarni przylegającej do mieszkania i szykując sobie tradycyjną, niedzielną kanapkę z serem, zastanawiałem się, czy udałoby mi się jakoś wycofać z misji powierzanej przez Langa, ale nie znalazłem żadnego sposobu. Sam się zgodziłem. Trudno by się teraz przyznać, że nekają mnie wyrzuty sumienia i wątpliwości. Lang byłby ogromnie niezadowolony, a wołałem nie rozważać głębiej, jakie skutki pociągnęłyby za sobą niezadowolenie mego arcybiskupa. Uznałem, że pozostaje mi jedynie mieć nadzieję, że prywatne

życie Jardine'a okaże się czyste niczym nieskalany śnieg, dzięki czemu makiaweliczne plany arcybiskupa spalą na panewce. Natychmiast jednak nasunęło mi się pytanie, jakie istnieje prawdopodobieństwo, że Jardine okaże się świętym biskupem. Nawet jeśli się wykluczy możliwość popełnienia przez niego pożałowania godnej omyłki, pozostaje szansa, że na śniegu są inne smugi; wspomnienie jego skłonności do flirtowania na przyjęciach nie dodawało mi otuchy.

Dopiłem drugą szklaneczkę whisky, zjadłem kanapkę i zaparzyłem sobie kawy. Następnie postanowiłem przeprowadzić wstępny wywiad i porozmawiać z dwoma osobami, które z pewnością wiedziały o Jardinie o wiele więcej niż ja.

Najpierw zadzwoniłem do mojego przyjaciela w Londynie, który pracował w „The Church Gazette”. Razem studiowaliśmy w Cambridge, potem - kiedy ja zostałem kapelanem Langa, a Jack rozpoczął karierę dziennikarza kościelnego - obaj uznaliśmy za przydatne podtrzymywanie naszej przyjaźni.

- Przyznam, że dzwonię z czystej, prymitywnej ciekawości

- przeszedłem do rzeczy po wymianie zwykłych grzeczności. - Mam gościć przez jakiś czas w biskupim pałacu w Starbridge. Co mógłbyś mi powiedzieć o jego aktualnym gospodarzu?

- Ach, o tym wampirze, który karmi się krwią nadętych arcybiskupów! Powtórz sobie, co wiesz o niepokalanym poczęciu, Charles, weź pistolet i strzelaj z biodra. Po kolacji, kiedy piękne damy wycofają się na kawę, możesz być pewny, że zostaniesz dokładnie przepytany z teologii.

- Czyżbyś z zimną krwią próbował mnie odstraszyć?

- Och, nie trać nadziei na przeżycie! Jardine lubi teologów

- dzięki nim odświeża sobie umysł. Ale dlaczego postanowiłeś zrobić z siebie tarczę strzelniczą Jardine'a?

- Sam się zaczynam zastanawiać. Powiedz mi coś więcej o owych pięknych damach, które spotkam przy kolacji.

- Plotka głosi, że mężczyzna, który nie ma ładnej żony, nie otrzyma zaproszenia na kolację, ale śmiem twierdzić, że to przesada.

- A jak wygląda sama żona Jardine'a?
- Och, to rozkoszna, puszysta pchełka o złotym sercu i zdumiewającym wyborze sukien na popołudniowe herbatki. Wszyscy za nią przepadają. Jej ulubionym tematem rozmów jest pogoda.
- To musi stanowić miłą odmianę po niepokalanym poczęciu. A czy nie kręci się gdzieś tam w tle przystojna towarzyszka pani domu? O czym mógłbym z nią porozmawiać?
- Nie podniecaj się, Charles, zapanuj nad swoją wrodzoną skłonnością do nieczystych myśli! Panna Christie to istna królowa lodu. W Starbridge co i rusz można się potknąć o kości wielbicieli, którzy umarli z nie odwzajemnionej miłości do owej damy.
- Cóż, szczerze mówiąc, nie spodziewałem się znaleźć w biskupim pałacu jakiejś nimfomanki...
- Nie, Jardine zna granice i potrafi ich nie przekraczać. Znacznie bardziej odpowiadają mu śliczne panie, nachętniej utytułowane i zawsze z przyzwoitką w postaci starych, nudnych mężów, a nie nimfomanki i królowe lodu. Oczywiście, żadnego skandalu. On po prostu lubi sobie popatrzeć i pogawędzić.
- Bez wątpienia lubi jakąś odmianę po rozmowach o pogodzie.
- Ach, a więc dotarły do ciebie plotki o tym, że małżeństwo Jardine'ów umarło z nudy. Nie wierz im, staruszk. Pani Jardine jest śliczna jak z obrazka, a moim zdaniem, kiedy w biskupiej sypialni gasną światła, Jardine'a guzik obchodzi intelekt jego małżonki.
- Jack, czy ty, aby na pewno nadal pracujesz w czasopiśmie kościelnym? Mówisz jak jakiś pismak z byle brukowca.
- Bzdury! Nie ma nic skandalicznego w tym, że biskup sypia z własną żoną. Brukowiec typu „The News of The World” zaledwie uchyliłby powieki, gdyby Jardine zaczął spać z kimś innym, ale, o ile wiem...
- Właśnie, ile z tej twojej lubieżnej gadaniny to plotki, a ile informacje z pierwszej ręki?
- Cóż, oczywiście jestem w dobrych układach z jego sekretarzem, ale ponieważ zawsze przedstawia swego bohatera jako skrzyżowanie

świętego Pawła z Sir Galahadem, trudno go uznać za źródło naprawdę pieprzonych ploteczek. Ale tak naprawdę to bazuję też na własnych obserwacjach. W marcu zaproszono mnie do Starbridge, żebym napisał coś o konferencji, na której dyskutowano o koronacji. Jardine jako przewodniczący pełnił funkcję gospodarza. Oczywiście, mówi się, że zjada dziennikarzy na śniadanie, ale wobec mnie zachowywał się bardzo uprzejmie, a jego żona to istna słodycz. Poczęstowała mnie pierniczkami i stwierdziła, że przypominam jej bratanka.

- A ponętna panna Christie?

- Zmierzyła mnie chłodnym wzrokiem i powiedziała, gdzie jest łazienka. Myślę jednak, że polubisz Jardine'ów, Charles, i przypuszczam, że dość łatwo przeżyjesz tę wizytę. Tylko czuj duch, kiedy zacnie krążyć grzeszny, stary portwajn z biskupiej piwniczki i zaczerpnij głęboko tchu, jeśli biskup odda się rozważaniom na temat niepokalanego poczęcia...

VII

Następnie zadzwoniłem do przyjaciela, którego poznałem w seminarium, a który teraz był beneficjentem wiejskiej parafii w diecezji Starbridge. Choć po święceniach nasze drogi się rozeszły, podtrzymaliśmy znajomość przez kontakt listowny i czułem, że nie zabrzmi fałszywie, jeśli wyrażę nadzieję spotkania w czasie "mojego pobytu w Starbridge. Okazało się jednak, że będzie to niemożliwe; Philip wraz z rodziną po raz pierwszy od pięciu lat wybierał się na wczasy. Nie wspominając ani słowem o mojej wiosennej podróży do Paryża, wyraziłem przekonanie, że pobyt w Bournemouth będzie zachwycający. Ciągle jeszcze usiłowałem zapanować nad dreszczem obrzydzenia na myśl o tanim pensjonacie, w którym miał zamieszkać mój przyjaciel, kiedy spytał, co mnie sprowadza do Starbridge.

W tej sytuacji powiedzenie wprost, że na prośbę doktora Langa

biskup udzieli mi gościny, wydawało mi się obrzydliwym zadzieraniem nosa, więc wspomniałem tylko, że chcę odwiedzić bibliotekę katedralną, a przy okazji wypadałoby złożyć wizytę w pałacu biskupim.

- Co sądzisz o Jardinie, Philipie? - spytałem. - Uważasz go za dobrego biskupa?

- Mówiąc szczerze, wolę o nim nie myśleć. To wystąpienie w Izbie Lordów! Szkoda mi było Langa. Biskup nie powinien publicznie atakować swojego prymasa.

- Ale jaki jest, kiedy wypełnia swoje obowiązki duszpasterskie, zamiast dostarczać dziennikarzom z Fleet Street nagłówków do gazet?

- Skąd ja mam wiedzieć? Widuję go raz do roku, w czasie konfirmacji.

- Ale czy właśnie nie przy takich okazjach można się przekonać o zaangażowaniu biskupa? Istnieje ogromna różnica między biskupem, który prawie nie stara się ukryć faktu, że to dla niego rutyna, a takim, który sprawia, że przystępujący do konfirmacji czują, że dla niego, tak samo jak dla nich, to wyjątkowe przeżycie.

- Zgoda - przyznał niechętnie Philip. - Cóż, muszę przyznać, że Jardine'owi niczego nie można tu zarzucić, choć pięć lat temu, kiedy został biskupem, sprawiał wrażenie nieco roztargnionego.

Przypisałem to raczej brakowi doświadczenia. Następnego roku był zupełnie inny: w obecności przystępujących do konfirmacji bardzo opanowany, za kulisami zaś bardzo rozluźniony, a jednak... Słyszałem, że potrafi być straszny.

- W jakich sytuacjach?

- Hmm, ponoć najgorszy jest, kiedy jakiś duchowny chce założyć rodzinę. Ma hyzja na punkcie duchownych, którzy rujną sobie życie żeniąc się z nieodpowiednimi kandydatkami, a jeśli uważa, że narzeczona nie nadaje się na żonę pastora, nie waha się tego głośno powiedzieć. Chcąc nie chcąc, myśli się o jego własnym małżeństwie. Fama głosi, że pani Jardine to urocza kobieta, ale zupełnie się nie

nadaje do swojej funkcji, a właściwa władza spoczywa w rękach jej damy do towarzystwa.

- Tak, słyszałem o pannie Christie. Jack Ryder zrobił z niej istną

femme fatale.

- Bzdury! Nie utrzymałaby się dziesięć lat w rodzinie biskupa, gdyby nie była chodzącą przyzwoitością!

- Ale przecież jest atrakcyjną kobietą, prawda? Czy nie byłoby bezpieczniej, gdyby Jardine wybrał na damę do towarzystwa dla swojej żony jakiegoś babiszona?

- Jardine należy do mężczyzn, którzy nie potrafiliby znieść, żeby co rano przy ich stole do śniadania zasiadał jakiś babiszon.

- Philipie - powiedziałem rozbawiony - czuję wyraźnie, że go nie znosisz. Czy jest tak wyłącznie dlatego, że publicznie atakuje prymasa bądź zrównuje z ziemią narzeczone pastorów? Przecież ani jedno, ani drugie osobiście cię nie dotyczy?

- Nie, dzięki Bogu Mary i ja pobraliśmy się, kiedy Jardine był jeszcze dziekanem Radbury.

Nieprawda, że go nie znoszę, Charles: zawsze był czarujący tak wobec mnie, jak i wobec Mary, ale rzeczywiście, nie pochwalam tego, co robi. Uważam, że jest za bardzo światowy i ma takie nuworyszowskie odruchy, które powinno się było wytepić, zanim dano mu stanowisko, gdzie zarabia się dobrych kilka tysięcy rocznie. Nigdy nie zapomnę przyjęcia, które wydał dwa lata temu dla duchownych diecezji. Cóż za ekstrawangancja! Byłem zszokowany. Ciągle myślałem, ile to wszystko kosztowało i obliczałem, ilu ubogim z mojej parafii można pomóc za te pieniądze.

- Drogi Philipie! Czy nie traktujesz nieco zbyt surowo hojnego biskupa?

- Możliwe. Ale możliwe też, że żyjesz w wieży z kości słoniowej, Charles, i nie wiesz, jak wygląda prawdziwe życie. Kiedy ostatni raz odwiedziłeś rodzinę, w której mąż od czasów wielkiego kryzysu jest bezrobotny, żona umiera na gruźlicę, a dzieci mają krzywicę i wszy?

Zapadło milczenie.

Wreszcie Philip zaczął mówić pośpiesznie:

- Przepraszam... Przerwałem mu.

- Wierz mi, doskonale zdaję sobie sprawę, że brak mi doświadczenia, jeśli chodzi o życie parafialne.

- To jednak nie upoważnia mnie...

- Nieważne. - Znowu zapadła cisza, zanim wreszcie zakończyłem: - Cóż, szkoda, że się nie spotkamy, Philipie. Może następnym razem...

- O, tak - odparł. - Następnym razem.

Ale obaj wiedzieliśmy, że ów „następny raz” szybko nie nastąpi.

VIII

Następnego ranka arcybiskup zadzwonił, żeby mnie poinformować, że mam się stawić w pałacu biskupim w środę wczesnym wieczorem. Jardine wyraził radość, że może mnie u siebie gościć, która to radość, jak cynicznie podejrzewał Lang, wynika z poczucia winy i chęci rekompensaty za wojownicze wystąpienie w Izbie Lordów.

- ...i jestem pewien, że zgotuje ci miłe przyjęcie, Charles - brzmiała sucha konkluzja arcybiskupa.

- Czy zapamiętał mnie z ubiegłego roku?

- Oczywiście! Kiedy wspomniałem o tobie, powiedział: „A, tak, to ten młody kanonik z Cambridge, który uważa, że świat nie zaczął się od Adama i Ewy, ale od soboru nicejskiego!”

A więc Jardine przynajmniej przejrzał moją książkę, dzięki której stałem się znany w kręgach teologicznych. On sam nigdy nie napisał żadnej pracy historycznej, co nie przeszkadzało mu pisać miażdżących krytyk wysiłków innych ludzi. Ze zdziwieniem, ale i ulgą przyjąłem fakt, że moja książka nie została przez niego poddana literackiej masakrze. Nie wiedziałem, czemu to zawdzięczam, ale doszedłem do wniosku, że zapewne uznał dyskusje nad arianami za nudne i dał wytchnienie pióru.

Te rozważania przypomniały mi, że jeszcze nie zdecydowałem, dlaczego muszę odwiedzić bibliotekę przy katedrze w Starbridge, i uświadomiły, jak ważne dla mojej wiarygodności jest, żebym poświęcił trochę czasu i porządnie zapoznał się z tematem, zanim wymyślę podstęp, który umożliwiłby mi mówienie prawdy. Już od dłuższego czasu nosiłem się z myślą przejrzania notatek dotyczących myśli średniowiecznej. Teraz postanowiłem, że moi studenci dowiedzą się więcej o świętym Anzelmie, a jako odpowiedzialny wykładowca poczułem się oczywiście zobligowany do rzucenia okiem na wczesny manuskrypt „Modlitw i rozważań”, który znajduje się w bibliotece w Starbridge. Znowu poczułem się nieco niezręcznie, myśląc o fałszu nierozzerwalnie związanym z tą decyzją, ale wziąłem się w garść, uspokajając się, że nic mi się nie stanie, nawet jeśli Jardine zmierzałby ku odstępstwu. Wręcz przeciwnie, Lang z pewnością będzie wdzięczny za pomoc, co oznacza, że po zakończeniu całej tej sprawy moje szanse w Kościele wzrosną. Odsuwając od siebie ostatnią wątpliwość, zacząłem szykować się do podróży.

IX

I tak dotarłem wreszcie do Starbridge, promiennego, radosnego Starbridge, utrwalonego na płótnach przez słynnych malarzy, fotografowanego przez niezliczonych turystów, określanego w przewodnikach mianem najpiękniejszego miasta na zachód od Avonu. Z wcześniejszego pobytu w mieście, jeszcze kiedy studiowałem w college'u, zapamiętałem średniowieczne uliczki, parki tonące w kwiatach i leniwy nurt rzeki, opływającej wzniesienie, na którym stała katedra. Świątynia dominowała nie tylko nad miastem, ale i nad całą doliną. Szersza niż katedra w Winchester, dłuższa niż ta w Canterbury, położona na większym niż świątynia w Salisbury, otoczonym murem terenie katedra w Starbridge słyęła z oddanych

w jasnym kamieniu i ognistych witrażach najwspanialszych średniowiecznych wyobrażeń i wizji. Samo miasteczko nie było duże, a ponieważ z trzech stron opływała je rzeka, nadal sprawiało wrażenie zamkniętej całości, mimo że ostatnio wschodnia część uległa znacznej rozbudowie. Spoczywało na środku zielonej doliny niczym klejnot na aksamicie, a łagodne zbocza otaczających je wzgórz pogłębiały jeszcze wrażenie, że cała okolica została ukształtowana tak, aby podkreślić jego piękno.

Diecezja miała zasadniczo charakter wiejski, ale należał do niej także port Starmouth, którego slumsy malowały się ciemną plamą na jej nieskazitelnym, sielskim obrazie, jaki przybysz natychmiast sobie tworzył. Mimo to przypuszczałem, że Jardine powinien być całkiem zadwolony ze swego najnowszego stanowiska. Diecezja była zamożna, pod względem zarobków Jardine na pewno lokował się w czołówce episkopatu. Istniało dogodne połączenie kolejowe z Londynem, co oznaczało, że biskup może pozostawać w bliskim kontakcie z ośrodkami władzy tak świeckiej, jak i kościelnej, a biskupstwo upoważniało automatycznie do zasiadania w Izbie Lordów, co było przywilejem niedostępnym dla większości biskupów, którzy musieli czekać aż się zwolni miejsce zarezerwowane dla przedstawicieli Kościoła. Starbridge nie mogło się równać z siedzibami prymasów w Canterbury ani w Yorku, ale stanowiło miękkie, uprzywilejowane, miłe dla oka gniazdko, którego bez wątpienia zazdrościli Jardine'owi inni bracia w biskupstwie.

Postanowiłem udać się do Starbridge samochodem - nie sportowym wozem, za którego kierownicą zawsze siadałem w swoich marzeniach, ale szacownym, niewielkim Baby Austinem: tanim w eksploatacji, łatwym do prowadzenia po krętych uliczkach Cambridge. Ilekroć wzdychałem za jakimś MG I, szybko przypominałem sobie, że i tak mam szczęście, że mogę posiadać chociaż tego Austina. Większości księży nie było stać na samochód, a poza tym starsi biskupi nadal uważali go za diabelski wynalazek, który kusi duchownych do urządzania sobie wycieczek poza parafie.

W miarę jak zbliżałem się do Starbridge, droga poczęła się wíć wśród wzgórz i wkrótce w oddali dostrzegłem zarys katedry. Kolejny zakręt i wieża znikła, ale po następnym zakręcie zobaczyłem ją jeszcze wyraźniej: smukła, eteryczna, symbol niedoskonałego dążenia człowieka, by sięgnąć jeszcze wyżej, w nieskończoność. Jadąc dalej krętą szosą pomyślałem, że stanowi ona odbicie ludzkiego życia: pozwala zerknąć przez chwilę na coś niezwykłego i ucieka, nim zdąży się owej niezwykłości zakosztować. Ale oto wreszcie ostatni zakręt i zobaczyłem przed sobą całe miasto, które lśniło w dolinie.

Widać było, że osada jest bardzo stara. Rzymianie postawili swoje miasto Starvinium na zrujnowanym obozie plemienia Brytów, zwanego przez nich Starobrigantes i stara nazwa zachowała się w rejestrach i oficjalnych dokumentach. Biskup, który teoretycznie zaślubiał swą diecezję, miał prawo używać w korespondencji nazwiska Staro i w kieszeni mojej marynarki spoczywał dowód na istnienie tej tradycji. Jardine osobiście przysłał mi list, w którym zapraszał mnie do Starbridge.

„Drogi doktorze Ashworth, - czytałem skreślone pewną ręką słowa - Arcybiskup Canterbury poinformował mnie, że pragnąłby Ksiądz pogłębić swe studia w bibliotece katedralnej. Chciałbym więc potwierdzić, że będzie Ksiądz ogromnie mile widzianym gościem w pałacu biskupim od wieczora siódmego lipca do ranka dziesiątego tegoż miesiąca. Jego Eminencja przypuszczał, że najprawdopodobniej przyjedzie Ksiądz samochodem, gdyby jednak wolał Ksiądz podróż koleją, proszę powiadomić o tym telegraficznie mego sekretarza, Geralda Harveya, który wyśle po Księdza na stację szofera. Eminencja sądził także, że nie zostanie Ksiądz dłużej, gdyby jednak postanowił Ksiądz przedłużyć swoją wizytę, mam nadzieję, że zechce Ksiądz mi towarzyszyć w porannym niedzielnym nabożeństwie w katedrze. Oczekuję niecierpliwie odnowienia naszej znajomości i przesyłam życzenia bezpiecznej podróży.

Łączę serdeczne pozdrowienia, ADAM ALEXANDER STARO".

Trudno o przychylniejsze rokowania. Ze wzgórza wjechałem w dolinę i po krótkiej podróży znalazłem się wreszcie w mieście.

x

Łatwo by się zgubić w krętych, średniowiecznych uliczkach miasta, gdyby nie dobre oznakowanie, dzięki któremu szybko znalazłem się przed terenem należącym do katedry. Przyhamowałem i spytałem jakiegoś policjanta o drogę do pałacu biskupiego; moje wspomnienia z pierwszej podróży były już nieco zamazane.

Jechałem dalej i po chwili miałem przed sobą katedrę. Górowała nad wszystkim, prawdziwy okaz architektonicznej wirtuozerii. Żadnych późniejszych dobudówek, żadnych niefortunnych zmian. Postawiona zaledwie w czterdzieści lat, katedra stanowiła jednolity, nietknięty, cudownie zachowany pomnik wiary, geniuszu i chwały angielskiego późnego gotyku.

Ruszyłem North Walk, po prawej stronie mając trawnik przed katedrą. Po lewej widziałem stare zabudowania, utrzymane w innym stylu, a jednak - dzięki urodzie każdego z nich - tworzące harmonijną całość i doskonałe tło dla świetności świątyni. Kiedy skręciłem w East Walk, miałem świadomość ciągłości czasu, świadomość, którą najwyraźniej się odczuwa w miejscach, gdzie patrzy się na świadectwa odległej przeszłości.

East Walk doprowadził mnie wprost do otwartej bramy pałacu, a po chwili stałem już przed samym budynkiem, wiktoriańską „poprawką” oryginalnej budowli elżbietańskiej, która spłonęła w ubiegłym stuleciu. Pseudogotycka siedziba doktora Jardine'a była zbudowana z tego samego kamienia co katedra, ale trzeba przyznać, że miło się na nią patrzyło. Równe trawniki, stare buki przy domu, a nad gankiem wyrzeźbiony herb Starbridge: śmiała próba połączenia średniowiecznego obyczaju z nieobliczalnymi pomysłami epoki wiktoriańskiej.

Zaparkowawszy samochód w zacisznym rogu dziedzińca, wyją-

lem walizkę i przystanąłem wsłuchując się w otaczające mnie odgłosy. Ptaki śpiewały, ciemna zieleń buków kontrastowała z błękitem bezchmurnego nieba; odnosiło się wrażenie, że miasto, które żyło za murami katedry, jest o setki mil stąd. Znowu poczułem ciągłość czasu. Oto stoję w dwudziestowiecznej Anglii, a równocześnie czuję się, jakby zaledwie krok dzielił mnie od przeszłości, w której posiano ziarna nęcącej przyszłości i nagle zapomniałem o gorzkiej rzeczywistości: zagrożeniu ze strony Hitlera, koszmarze hiszpańskiej wojny domowej, rozpaczliwych, których życie zostało zrujnowane przez wielki kryzys. Zdawałem sobie sprawę z mojego uprzywilejowania i szczęścia, kiedy pozwalałem się uwieść subtelnemu urokowi Starbridge i gdy po schodach wspiałem się ku drzwiom frontowym, nacisnąłem dzwonek z niecierpliwością aktora, który nie może się doczekać na znak, że pora wkroczyć na scenę.

Drzwi otworzył mi lokaj, który wyglądał jak żywcem wzięty z powieści Trollope'a - coś w rodzaju świeckiej wersji Hardinga

- i wkroczyłem do obszernego, ciemnego hallu. Za pseudogotyckimi sprzętami o różnym stopniu brzydoty kryły się ładne schody wiodące do galerii. Ściany były obwieszane wyblakłymi, dziewiętnastowiecznymi portretami mężczyzn w szatach duchownych.

- Zeche pan pójść tędy...

Lokaj zdążył mi już wyjąć walizkę z rąk, kiedy w głębi hallu pojawiła się kobieta. Lokaj natychmiast przystanął, ja też, a kobieta miękko, płynnie i cicho ruszyła ku nam.

- Doktor Ashworth? - Wyciągnęła do mnie szczupłą dłoń.

- Witamy w Starbridge. Jestem panna Christie, dama do towarzystwa pani Jardine.

Ująłem jej dłoń i bez chwili wahania wiedziałem, że jej pragnę.

Rozdział drugi

„Życzliwie zapewniłem go, że moim zdaniem, które opieram na wieloletnim doświadczeniu w posłudze Kościoła, można stwierdzić, iż w połowie wypadków małżeństwa duchownych Kościoła anglikańskiego rozpadły się z winy żony, a w połowie przez żony zostały ocalone”.

Letters of Herbert Hensley Henson, zebr. E.F. Braley

I

Nikt mi nie opisał panny Christie, a wzmianka Jacka o królowej śniegu sprawiła, że wyobraziłem ją sobie jako wysoką blondynkę. Tymczasem panna Christie była niska, mierzyła sobie nie więcej niż metr pięćdziesiąt pięć, miała drobną budowę, szczupłą talię, rudawe włosy i czarne rzęsy, które ocieniały ciemne oczy. Oprócz tego natura obdarzyła ją wysokimi kośćmi policzkowymi, miękko zarysowaną, ale bardzo zdecydowaną bródką i ładnie wykrojonymi ustami, które mimo wrażenia delikatności potwierdzały silny charakter ich właścicielki. Makijaż był prawie niewidoczny, szara spódnica i biała bluzka skromne, dokładnie takie jakie powinna nosić dama do towarzystwa żony duchownego. Wydała mi się wprost niewiarygodnie pociągająca, a pierwsza w miarę rozsądna myśl, którą udało mi się sfor-

mułować, brzmiała: jak on potrafi się jej oprzeć? Równocześnie zdawałem sobie sprawę, że to absurdalne pytanie, które w niczym nie oddaje rzeczywistej sytuacji. Jardine nie miał wyboru, jak tylko się oprzeć; chyba że byłby odstępca od wiary. Niewyobrażalny powab panny Christie sprawił jednak, że po raz pierwszy poważnie wziąłem pod uwagę możliwość apostazji.

Zaprowadziła mnie do pokoju. Kiedy wchodziliśmy po schodach, udało mi się podtrzymać uprzejmą konwersację, cały czas jednak myślałem o Jardinie w świetle tego, czego właśnie się dowiedziałem o pannie Christie. Uspokoiwszy się, odrzuciłem melodramatyczną koncepcję apostazji, ale zacząłem się zastanawiać, czy skłonność Jardine'a do zawierania niewinnych przyjaźni z ładnymi kobietami nie stanowi sposobu uciekania od skłonności, która wcale nie była niewinna.

Otrząsnąłem się z tych spekulacji, kiedy panna Christie wprowadziła mnie do dużego, jasnego pokoju, oszpeconego ponurymi, ciężkimi wiktoriańskimi meblami. Z okna rozciągał się widok na mieniącą się rzekę i polanę pełną jaskrów, gdzie pasły się krowy. W załomie rzeki wzdłuż jej wschodniego brzegu leżało Starbridge, na zachód - przez dolinę aż po linię wzgórz - ciągnęły się pola uprawne.

- Jaki piękny widok! - zawołałem, kiedy lokaj postawił walizkę i wyszedł z pokoju.

Panna Christie podeszła do wazonu, który stał na komódce i przywracała kompozycji symetrię, poprawiając zabłąkaną różę.

- Łazienka jest na końcu korytarza - powiedziała, wyraźnie uznając mój komentarz na temat krajobrazu za zbyt świecki, by zasługiwał na jakąkolwiek reakcję. - Kolacja jest o ósmej, ale już od piętnaście po siódmej gromadzimy się w salonie na koktajle. Woda w kranie jest ciepła codziennie od szóstej wieczorem. Sądzę, że ma ksiądz wszystko, czego mógłby sobie zażyczyć, doktorze Ashworth, gdybyśmy jednak coś przeoczyli, proszę zadzwonić. Dzwonek jest obok łóżka.

Podziękowałem. Uśmiechnęła się oficjalnie i zniknęła.

Na szafce nocnej leżała Biblia, która miała przypominać gościom, że mimo otaczającego ich przepychu, znajdują się w domu kapłana. Chcąc odciągnąć umysł od pokusy błędzenia po grzesznych ścieżkach, na chybił trafił otworzyłem księgę w poszukiwaniu jakiegoś budującego cytatu. Mój wzrok spoczął na mowie oskarżycielskiej Ezechiela przeciwko nierządowi. Nadal myśląc o pannie Christie, przeciągnąłem kciukiem tak, by znaleźć się w Nowym Testamencie i po chwili czytałem następujące słowa: „Nie ma bowiem nic ukrytego, co by nie miało być ujawnione, ani nic tajemnego, co by nie było poznane i na jaw nie wyszło” *.

Fragment doskonale pasował do działalności szpiegowskiej. Zamknąłem Biblię. Później, po wizycie w królewskiej toalecie, relikwie wiktoriańskiej instalacji kanalizacyjnej, rozpakowałem walizkę i zasiadłem z brewiarzem, by odmówić nieszpory.

II

Kiedy zamknąłem brewiarz, było wpół do siódmej. Rozebrałem się, obmyłem po podróży i uznałem, że warto by się ogolić. Zazwyczaj nie goliłem się dwa razy dziennie, ale chciałem jak najlepiej się zaprezentować, nie tylko, by zrobić wrażenie na pannie Christie, ale by zrobić wrażenie na biskupie. Domyślałem się, że Jardine może mieć wyrobione zdanie na temat schludnego wyglądu duchownych; on sam, kiedy osiem miesięcy temu poznałem go w Cambridge, był bardzo zadbany, bardzo elegancki.

Wieczór był ciepły i nieszczególnie radowała mnie myśl o mordowaniu się w oficjalnym stroju kapłańskim, ale oczywiście nie miałem innego wyjścia: musiałem się poświęcić dla konwenansów.

*** Wszystkie cytaty biblijne według: Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu, Biblia Tysiąclecia, Pallotinum, wyd. III (przyp. tłum.).**

Dłuższą chwilę spędziłem przed lustrem, próbując zmusić włosy, aby gładko się ułożyły. Mam kręcone włosy, które krótko strzygę i woda nie na długo pomaga mi nad nimi zapanować. Mimo to nigdy nie używam brylantyny. Wyglądam wtedy jak jakiś przemądrzalec, a zawsze ogromnie się denerwowałem, kiedy moje odbicie w lustrze przedstawiało kogoś nieodpowiedniego. Jednak tamtego wieczoru moje odbicie mnie zadowalało. Nie widziałem tam samochwały ani podejrzanego typka ze współczesnych sensacyjnych powieści, tylko trzydziestosiedmioletniego duchownego, który wygląda na mniej. Dzięki grze w tenisa i sausa nie przytyłem, choć od kiedy skończyłem dwadzieścia lat, zacząłem mieć do tego skłonności, a mimo że trochę za bardzo lubiłem dobre jedzenie i zdecydowanie za bardzo dobre wino, mój wygląd świadczył, że w pełni panuję nad tymi słabościami. Nie miałem zaokrąglonych policzków, worków pod oczami ani charakterystycznych bruzd wokół ust. Wyglądałem dokładnie na takiego człowieka, na jakiego chciałem wyglądać i kiedy w złotym blasku zachodzącego słońca bacznie przypatrywałem się swemu odbiciu w długim lustrze, uznałem je za doskonałe. Zerknąwszy za zegarek, stwierdziłem, że już pora, bym pojawił się na dole. Za chwilę uniesie się kurtyna na scenie w Starbridge. Opuściłem pokój i zmierzałem ku kulisom, aby czekać na swoje wejście.

III

Bez trudu znalazłem salon. Kiedy schodziłem po schodach, usłyszałem szmer głosów, dobiegający zza otwartych drzwi pokoju w głębi hallu. Dotarł do mnie miły, kobiecy śmiech.
- Nie, nie żartuję - protestował jakiś mężczyzna. - Zawsze uważałem „Piotrusia Pana” za wyjątkowo ponurą opowieść.
Wydedukowałem więc, że rozmowa dotyczyła zmarłego niedawno Sir Jamesa Barriego.

- Ale Henry, nie możesz niewinnej bajki określać mianem ponurej opowieści!
 - Czemu nie? Kapitan Hak przypomina mi Mussoliniego.
 - Tobie każdy przypomina Mussoliniego. Och, kochany, naprawdę mógłbyś przestać myśleć ciągle o Abisynii i dla odmiany poszukał jaśniejszej strony życia. Sam spójrz, przecież w ostatecznym rozrachunku nieźle sobie radzimy! Przeżyliśmy wielki kryzys, abdykację, a teraz nasz drogi premier, pan Chamberlain zastanawia się, jak zmienić nasz kraj w wielkie Birmingham. A biorąc pod uwagę jego niesamowitą skuteczność działania, jestem przekonana, że czeka nas różana przyszłość.
 - To brzmi niczym kolejna bajka Barriego. Nic dziwnego, moja droga, że ci się podobał „Piotruś Pan”. Wszedłem do pokoju. Pierwszą osobą, którą dostrzegłem, była panna Christie. Stała przy drzwiach na taras, wspaniale niezależna, wyraźnie odcinając się od towarzystwa. W przeciwieństwie do niej pozostała trójka zachowywała się z naturalną swobodą, charakteryzującą ludzi, których od dłuższego już czasu łączy serdeczna, niczym nie zmałona przyjaźń. Obok kominka stał starszy mężczyzna o szczerzej, łagodnej twarzy. Zachowywał się z pewnością siebie typową dla ludzi, którzy całe życie spędzili w warstwie uprzywilejowanej. Pił koktajl, wyglądało to na wytrawne martini. Na poręczy sofy siedziała atrakcyjna kobieta, która także obracała w ręku szklanekę z martini, dalej nad srebrną tacą pochylała się pulchna, siwowłosa, drobna kobieta ubrana w strojną lawendową suknię i wybierała ciastko.
- Wszyscy obejrzeni się w moją stronę. Panna Christie natychmiast ruszyła ku mnie, by mnie przedstawić zebranym, ale była dość daleko i ubiegła ją ta pulchna, ładna starsza pani.
- Doktor Ahsworth! - zawołała, rozpromieniając się na mój widok. - Jak miło księdza widzieć! Mam nadzieję, że podróż automobilem nie była zbyt uciążliwa, ładna pogoda z pewnością ją ułatwiła. Czyż nie jest pięknie? Słońce tak bardzo służy tym wszystkim roślinom.

Nie musiano mi jej przedstawiać, wiedziałem, że rozmawiam z panią domu.

- Miło mi panią poznać, pani Jardine - powiedziałem z uśmiechem, ujmując jej rękę. - Jestem bardzo wdzięczny, że zechciała mi pani udzielić gościny.

- Drobiazg, to wspaniale, że Alex będzie miał godnego siebie rozmówcę, kogoś równie mądrego jak on. Pozwoli ksiądz, że przedstawię go pozostałym gościom. Pannę Christie oczywiście już ksiądz zdążył poznać, a to... - obróciła się w stronę pary, która rozprawiała o „Piotrusiu Panu” - hrabiostwo Starmouth, którzy zawsze byli dla nas tacy dobrzy, jeszcze w czasach, kiedy Alex był pastorem parafii St Mary's w Mayfair. Mają po prostu zachwycający dom przy Curzon Street i Alex zawsze się u nich zatrzymuje, kiedy przyjeżdża na obrady Izby Lordów... Och, a może nie powinnam wspominać o obradach Izby, biorąc pod uwagę, że jest ksiądz przyjacielem arcybiskupa... Lyle, czy popełniam jakąś straszliwą gafę?

- Doktor Ashworth - odparła panna Christie - myśli zapewne tylko, że ekscelencji musi być miło, że może zatrzymać się u przyjaciół w czasie swoich wizyt w stolicy.

Podczas gdy ja tak naprawdę myślałem w tej chwili, że przystojna hrabina Starmouth może być jedną ze „ślicznotek Jardine'a", której cnoty strzeże jeden z owych mężczyzn, określonych przez Jacka mianem „starych, nudnych mężów". Ta niepochlebna charakterystyka nie oddawała sprawiedliwości hrabiemu Starmouth, który

- choć mógł się lokować po niewłaściwiej stronie siedemdziesiątki

- wyglądał na dość rześkiego osobnika, z którym można przyjemnie porozmawiać. Może swoją dobrą kondycję zawdzięczał żonie. Na oko szacowałem, że jest od niego dobre dwadzieścia lat młodsza.

- Moja żona kolekcjonuje duchownych - zwrócił się do mnie lord Starmouth, kiedy wymienialiśmy uścisk dłoni. - Jeśli nie będzie ksiądz uważał, wciągnie i jego do swoich zbiorów.

- Uwielbiam duchownych - przyznała jego żona, z typową dla

arystokracji szczerością, która nieodmiennie sprawia, że co skromniejsi przedstawiciele klasy średniej kulą się ze wstydu. - To wszystko przez tę koloratkę. Mężczyzna staje się wtedy tak rozkosznie zakazany.

- Co mogę księdzu podać?

W osobie panny Christie zabrało głos poczucie przyzwoitości klasy średniej.

- Poproszę wytrawne sherry.

Żaden ambitny kapłan nie pozwoli sobie na koktajl w pałacu biskupim.

Do pokoju wpadł młody człowiek w szatach duchownych.

- Co za los! Nie ma biskupa - mruknął i wypadł z salonu.

- Biedny Gerald - powiedziała pani Jardine. - Czasem się zastanawiam, czy rzeczywiście dobrze zrobiliśmy, instalując telefon. Sekretarz często znajduje się doprawdy w trudnej sytuacji, kiedy ludzie dzwonią w najniezręczniejszych momentach... O, a oto i Willy! Doktorze Ashworth, pozwoli ksiądz, że mu przedstawię mojego brata.

Zostałem przedstawiony pułkownikowi Cobden-Smithowi, zwawemu sześćdziesięciolatkowi o różowej, puciołowatej twarzy i siwych włosach. Towarzyszyła mu żona, chuda, energiczna kobieta, która przywodziła mi na myśl charta, oraz bardzo duży bernardyn, który majestatycznie przeczłapał przez salon, a potem taras, żeby użyźnić kwiatki.

- Nie mam pojęcia o teologii - oświadczyła pani Cobden-Smith, kiedy zostaliśmy sobie przedstawieni.

- Zawsze powtarzam Alexowi, że nic nie wiem o teologii i nie zamierzam się niczego dowiadywać.

Jeśli chodzi o mnie, Bóg to Bóg, Kościół to Kościół, a Biblia to Biblia i nie pojmuję, o co teolodzy tak się kłóca.

- Śmieszna sprawa z tą religią - zastanawiał się głośno jej mąż, wypowiadając tę ryzykowną uwagę z tak szczerym podziwem, że żaden duchowny nie mógł się poczuć nią urażony, pó czym zaczął opowiadać o buddyjskim mnichu, którego poznał w Indiach.

Do pokoju znowu wpadł młody sekretarz.

- Ogromnie przepraszam, pani Jardine, ale wie pani, jak to jest, kiedy archidiakon wydzwania w panice...

Zostałem przedstawiony Geraldowi Harveyowi. Był to niski mężczyzna w okularach, mógł liczyć sobie dwadzieścia kilka lat. Sprawiał wrażenie, jakby ciągle brakowało mu tchu i zastanawiałem się, czy biskup Starbridge stale doprowadzał swojego sekretarza do takiego stanu śmiertelnego przerażenia.

- ...i oczywiście słyszałem o księdza książce - mówił Harvey - choć przyznam, że jej nie czytałem. Te przestarzałe rozważania

O Trójcy Świętej sprawiają, że mam ochotę zerwać koloratkę i zapisać się do Legii Cudzoziemskiej. Och, ktoś dzwoni, następni goście, a biskupa ciągle nie ma! Lepiej pójdę sprawdzić, czy coś się nie stało.

Ponownie zniknął. Zdziwiłem się, czemu Jardine wybrał na swego sekretarza kogoś tak prostego, przeciętnego i najwyraźniej pozbawionego intelektualnych ambicji, ale zanim zdążyłem przejść do rozważań nad istnieniem jakichś niezgłębionych cnót, które kwalifikowały Harveya na to stanowisko, lokaj oznajmił nadejście państwa Jenningsów. Frank Jennings, jak się po chwili okazało, od niedawna wykładał teologię dogmatyczną w tutejszym seminarium. On sam nie rzucał się w oczy, ale jego żona była młodą, ładną blondynką i przypominając sobie stwierdzenie Jacka, zastanawiałem się, na ile jej uroda przyczyniła się do otrzymania zaproszenia na biskupią kolację.

- Uważam księdza książkę za bardzo interesującą - odezwał się do mnie Jennings, ale nim zdążył coś więcej powiedzieć, jego żona przerwała okrzykiem: - Wielkie nieba, Frank, spójrz na tego olbrzyma!

- Alex miał kiedyś psa - powiedziała drobna pani Jardine, kiedy bernardyn wkroczył dostojnie do salonu. - Nazwał go Retoryka. Niestety mieszkaliśmy wtedy w Londynie i biedną Retorykę rozjechał jakiś paskudny Rolls-Royce... Przyznam, że od tamtej pory nie mogę się jakoś przekonać do aut... Czy ma książkę psa, doktorze Ashworth?

- Nie, pani Jardine.

- A czy jest ksiądz żonaty, doktorze Ashworth? - zawołała lady Starmouth, posyłając mi przyjacielskie spojrzenie dużych, ciemnych oczu.

Nie uszło mej uwagi, że dłoń panny Christie, która właśnie nalewała nowo przybyłym gościom sherry, na chwilę zawisła nieruchomo w powietrzu.

- Jestem wdowcem, lady Starmouth - odparłem.

- Wszyscy kapłani powinni być żonaci - oświadczyła autorytatywnie pani Cobden-Smith, dając psu garść sucharów wodnych. - Podobno katolicy mają straszliwe kłopoty ze swoimi duchownymi pozostającymi w celibacie.

- Podobno anglikanie mają straszliwe kłopoty ze swoimi duchownymi pozostającymi w małżeństwie - rozległ się ostry, charakterystyczny głos i kiedy wszyscy się obejrzeliśmy w stronę drzwi, biskup Starbridge dokonał efektownego wejścia do salonu.

IV

Doktor Jardine był proporcjonalnie zbudowanym, szczupłym mężczyzną średniego wzrostu, miał ciemne, siwiejące włosy i jasno-brązowe oczy o barwie bursztynu. Kiedy stał na ambonie, owe głęboko osadzone, szeroko rozstawione oczy, które natychmiast przykuwały uwagę obserwatora, potrafiły lśnić hipnotycznym blaskiem - umiejętność, którą Jardine rzadko, lecz skutecznie wykorzystywał, by podkreślić swój talent kaznodziejski. Szybki, pewny krok zdradzał energiczną naturę i pozwalał się domyślać wspaniałego, nieustannie pracującego umysłu. W przeciwieństwie do innych biskupów swoje szaty nosił zamasyście, jakby zdawał sobie sprawę, że dzięki swej figurze zatrze wrażenie absurdalności, które wywołuje tradycyjny strój biskupi, a kiedy wchodził do pokoju, roztałcał wokół siebie atmosferę pewności, którą jego wrogowie określali mianem buty, zwolennicy zaś mianem jowialności.

- Nie bójcie się! - z uśmiechem uspokoił zgromadzonych po swoim efektownym otwarciu. - Nie zamierzam wrócić na łono Rzymu, ale nigdy nie potrafię się oprzeć pokusie przeciwstawienia się skandalicznym wymysłom dogmatycznym mojej szwagierki... Dobry wieczór, doktorze Ashworth, bardzo się cieszę, że księdza widzę. Dobry wieczór, Jennings, pani Jennings, ależ proszę pani, skąd to drżenie? Może i mam opinię groźnego, zionącego ogniem biskupa, ale zapewniam, że w towarzystwie pięknych dam jestem ogromnie łagodny, prawda, lady Starmouth?

- Równie łagodny jak tygrys! - odparła z rozbawieniem hrabina.

- Byłem w Indiach na paru niezłych polowaniach na tygrysy - wspomniał pułkownik Cobden-Smith. - Pamiętam...

- Kiedyś w zoo widziałam po prostu rozkosznego tygrysa - włączyła się pani Jardine. - Ale jestem pewna, że byłby znacznie szczęśliwszy, gdyby wrócił do dżungli.

- Bzdury - uciał biskup, przyjmując kieliszek sherry z rąk panny Christie. - Gdyby nieszczęsny zwierz znalazł się w swoim naturalnym otoczeniu, czym prędzej zdybałby go twój brat i zastrzelił. Czy zdążył ksiądz na nieszpory, doktorze Ashworth?

- Obawiam się, że dotarłem tu zbyt późno. Wokół Londynu był taki ruch...

- Proszę się nie niepokoić. Nie zapisuję w czarnej księdze za nieobecność na nabożeństwie. Pani Jennings, niech pani siądzie i opowie mi o sobie... Czy znaleźliście już mieszkanie? Widząc, że jego żona została zaanektowana przez biskupa, Jennings zaczął opowiadać mi o bezskutecznych staraniach o znalezienie mieszkania na obrzeżach miasta. Od czasu do czasu rzucałem współczujące słówko, poza tym w milczeniu sączyłem sherry, przysłuchując się innym rozmowom i spod oka przyglądając pannie Christie.

Nagle zobaczyłem przed sobą lady Starmouth.

- Jest ksiądz chyba najmłodszym kanonikiem, jakiego znam, doktorze Ashworth. Czy to znaczy, że Kościół wreszcie uznał, że bycie poniżej czterdziestki to nie grzech?

- Kanonik trafił mi się niejako przy okazji, lady Starmouth. Kiedy w siedemnastym wieku arcybiskup Laud założył swoje kolegium i katedrę w Cambridge, zastrzegł sobie, że w Laud's College ma być wykładana teologia i jej wykładowca ma równocześnie pełnić funkcję kanonika-rezydenta przy katedrze.

Nagle zdałem sobie sprawę, że panna Christie patrzy prosto na mnie, ale kiedy nasze spojrzenia się spotkały, odwróciła wzrok. Przyglądałem się jej dalej, jak sięga po karafkę z sherry, jednak nim zdążyła ponownie zająć się nalewaniem do kieliszków, została schwytana przez pułkownika Cobdena-Smitha.

- ...Słyszałam też, że był ksiądz kiedyś sekretarzem doktora Langa - mówiła lady Starmouth. - Jak go ksiądz poznał?

Niechętnie odwróciłem wzrok od panny Christie.

- Rozdawał nagrody, kiedy kończyłem szkołę.

- A ksiądz oczywiście był kapitanem - odezwał się Jardine z głębi sofy, stojącej opodal.

- Rzeczywiście, szczerze mówiąc tak właśnie było - odparłem zdziwiony. - Tak, byłem kapitanem.

- Jakiś ty mądry, Alex! - zawołała pani Jardine. - Jak zgadłeś, że doktor Ashworth był kapitanem drużyny? - Żaden chłopiec nie przykuje uwagi eminencji, o ile nie będzie żywą reklamą Krzepkiego Chrześcijaństwa. - Uwielbiam Krzepkich Chrześcijan - oznajmiła lady Starmouth.

- Gdyby chrześcijaństwo było trochę bardziej krzepkie, świat byłby znacznie lepszy - przyznała otwarcie pani Cobden-Smith.

- Gdyby chrześcijaństwo było trochę bardziej krzepkie, przestałoby być chrześcijaństwem - odparował biskup, dając się sprowokować szwagierce. - Kazanie na górze nie było lekcją podnoszenia ciężarów.

- A czym właściwie jest Krzepkie Chrześcijaństwo? - dopytywała się pani Jardine. - Nigdy właściwie nie wiedziałam, na czym to polega. Czy to po prostu grupa przystojnych, młodych księży takich jak doktor Ashworth?

- „Aniołowie Pana zastępów, miejcie mię w swojej opiece!”* - zawołał biskup cytatem z „Hamleta”, wznosząc oczy ku niebu.
- Komuś jeszcze sherry? - spytała panna Christie, wyrwawszy się wreszcie pułkownikowi Cobden-Smithowi.
- Podano do stołu, ekscelencjo - obwieścił ponurym głosem lokaj, stając w drzwiach.

v

Jadalnia była równie obszerna jak salon, jej okna także wychodziły na ogród i rzekę. Zastanawiałem się, czy panowie winni poprowadzić panie do stołu, ale pani Jardine nie wykonała żadnego ruchu, który by na to wskazywał. Kiedy więc przechodziliśmy swobodnie do jadalni, miałem nadzieję, że uda mi się zająć miejsce obok panny Christie. Na stole jednak znajdowały się" karteczki z nazwiskami i wystarczył jeden rzut oka, by się przekonać, że moje nadzieje były płonne. Mimo że wraz z biskupem dzieliłem przyjemność siedzenia obok lady Starmouth, moją sąsiadką z drugiej strony okazała się wspaniała pani Cobden-Smith, podczas gdy z drugiej strony stołu panna Christie ponownie została wydana na pastwę pułkownika. Ku memu rozdrażnieniu, ten wyraźnie okazywał zachwyt z owego niezasłużonego łutu szczęścia.

Biskup wygłosił modlitwę, po czym wszyscy przystąpiliśmy do konsumpcji niejadalnej, wodnistej zupy z selera. Na szczęście kolejne dania były bardziej udane: nadziewany pstrąg i pieczone jagnię. Do mięsa podano wspaniałe czerwone wino. Niewiele brakowało, a spytałbym biskupa, co to za gatunek, ale obawiałem się, że może należeć do zwolenników teorii, że w kręgach kościelnych zainteresowanie winem mają prawo wykazywać dopiero biskupi, archidiakoni i kanonicy powyżej sześćdziesiątego roku życia. Nadludzkim wysił-

* **W. Szekspir, *Hamlet*, akt I, s. IV, przeł. J. Paszkowski (przyp. tłum.)**

kiem woli ograniczyłem się do dwóch kieliszków i dostrzegłem, że Jardine zauważył, kiedy odmawiałem trzeciego.

- Zostawiamy miejsce na poobiedni portwajn, kanoniku?

- Och, a więc czeka nas jeszcze portwajn, ekscelencjo? Co za miła niespodzianka! - przybrałem wyraz niewinnego zaskoczenia.

Posiłek dobrze się rozwijał, w miarę jak wino rozwiązywało języki, wszyscy rozprawiali z coraz większym ożywieniem. Pani Cobden-Smith spytała o moje pochodzenie i ustaliwszy dokładnie, z jakiej warstwy społecznej się wywodzę, poczuła się na tyle bezpiecznie, że uraczyła mnie swoimi poglądami: od mrzonek

O ofiarowaniu robotnikom domów z łazienkami, po bezsensowny pomysł wysłuchania Hindusów z kolonii, żądających niepodległości. Ledwo udało mi się odwrócić uwagę pani Cobden-Smith od mojej osoby, stałem się przedmiotem znacznie subtelniejszego przesłuchania. Lady Starmouth chciała się dowiedzieć czegoś o mojej żonie, a kiedy w odpowiedzi na jej określone pytania nie zdradziłem wiele, postanowiła zbadać moje poglądy na gorący ostatnio temat małżeństwa. Zostałem spytany, co sądzę o sławetnym kodeksie małżeńskim Alana Patryka Herberta, który stał się przyczyną ataku Jardine'a na Langa w Izbie Lordów. Ani na chwilę nie opuszczała mnie świadomość, jak wiele zawdzięczam prymasowi. - Obawiam się, że nie pochwalam złagodzenia prawa, tak by uzyskanie rozwodu stało się łatwiejsze, lady Starmouth - odparłem uprzejmie.

- Ależ drogi doktorze Ashworth, zdumiewa mnie ksiądz! Sądziłam, że będzie ksiądz miał bardzo liberalne, nowoczesne poglądy!

- Nie, jeśli jest człowiekiem arcybiskupa - wtrącił Jardine, przerywając rozmowę z panią Jennings.

- Nie jestem niczyją własnością, należę wyłącznie do siebie, doktorze Jardine - odparowałem natychmiast. Zdenerwowało mnie i rozdrażniło, że przejrzał moją obowiązkową, konserwatywną deklarację.

- Dobrze powiedziane - odezwała się lady Starmouth.

- A czy w ogóle uznaje ksiądz rozwody? - spytał z ciekawością lord Starmouth.

Znowu znalazłem się w kłopotliwej sytuacji. Gdybym chciał być całkowicie lojalny wobec Langa, który w kwestii rozwodów zajmował stanowisko zgodne z nauczaniem ewangelii Św. Marka, musiałbym powiedzieć, że uważam małżeństwo za nierozzerwalne, za bardzo jednak chciałem okazać Jardine'owi, że nie jestem jedynie tubą arcybiskupa. Z drugiej jednak strony musiałem zachować choć odrobinę lojalności, nikt się nie spodziewał, że podzielę ekstremalne i kontrowersyjne poglądy Jardine. Uznałem, że poszukam dyplomatycznego rozwiązania, odchodząc od świętego Marka na rzecz świętego Mateusza.

- Uważam - powiedziałem - że zdrada winna stanowić podstawę uzyskania rozwodu dla kobiety, jak i mężczyzny, tak jak nauczał Jezus Chrystus.

- Czyli nie zgadza się ksiądz z pozostałymi punktami kodeksu Alana Patricka Herberta? - włączył się do rozmowy Jennings, po belfersku usiłując ująć jasno zagmatwaną kwestię. - Nie zgadza się ksiądz, że rozwód winno się uzyskać także w przypadku znęcania się, choroby umysłowej i porzucenia?

- Dokładnie.

- Czyli - odezwał się Jardine, który nie potrafił już dłużej milczeć, a jego bursztynowe oczy załśniły na myśl o szykującej się dyskusji - znaczy to, że udzieliłby ksiądz rozwodu mężczyźnie, który spędził dziesięć minut w hotelowym pokoju z jakąś nieznajomą, a odmówiłby prawa do rozwodu kobiecie, której mąż od lat znęcał się nad nią w wyjątkowo ohydny sposób?

- Nie odmawiam rozwiązania, jakim w takiej sytuacji jest separacja.

- Innym słowem, skazuje ksiądz tę kobietę na pędzenie bezsensownego życia, bez możliwości ponownego wyjścia za mąż! I to tylko dlatego, że ksiądz i inni duchowni, którzy prowadzą Wysoki Kościół, upierają się przy całkowicie błędnej interpretacji chrystusowego nauczania z Ewangelii.

- Chciałem...
- Nie sądzi ksiądz chyba, że Jezus mówił o rozwodzie jakby był prawnikiem.
- Sądzę, że Jezus mówił o tym, co uważał za słuszne! Zdawałem sobie sprawę, że wszystkie rozmowy umilkły, nawet służący stali bez ruchu przy bufecie.
- Ale przecież nie mówił z prawnego punktu widzenia - podjął wojowniczo Jardine. - Nie twierdził, uprzedzając historię chrześcijaństwa, że jest drugim Mojżeszem, dawcą praw. Był ożywym duchem, a nie chodzącym kodeksem!
- Rzeczywiście, był ożywym duchem - odparłem - i zobrazował prawdziwe życie człowieka, wyraźnie określił zasady prawidłowego ludzkiego postępowania i na własne ryzyko lekceważymy Jego nauczanie, księżo biskupie.
- Ale jak właściwie brzmiało Jego nauczanie w kwestii rozwodu?
- zapytał Jardine, bezlitośnie obnażając luki w mojej argumentacji.
- Przecież ewangeliści nie są w tym zgodni! Moim zdaniem klauzula dopuszczająca rozwód w wypadku zdrady została dodana do Mateu-szowej Ewangelii i stanowiła próbę poprawienia prawnego punktu widzenia, w jaki pierwotny Kościół - zupełnie zresztą błędnie - interpretował nauczanie Jezusa...
- Oczywiście, to teoria Brunnera, który słynie z tego, że nagina chrześcijaństwo do współczesności.
- Brunner na nowo interpretuje chrześcijaństwo w świetle dwudziestego wieku i co w tym złego? Każde pokolenie musi na nowo interpretować chrześcijaństwo...
- Księżo biskupie, czyżby twierdził ksiądz, że Alan Patrick Herbert ma prawo pisać na nowo Ewangelię świętego Mateusza? - ...zaś jedną z charakterystycznych cech chrześcijaństwa jest Jezusowe nauczanie o przebaczeniu i współczuciu, a nie o niezmiennej twardości serca. Jak długo był ksiądz żonaty, doktorze Ashworth? - Trzy lata. Ale...
- I przez te trzy lata - ciągnął Jardine - ani razu nie zdarzyło się,

że nawet przez chwilę nie odczuł ksiądz, czym może być stan małżeński dla innych, mniej szczęśliwych niż ksiądz?

- To nie ma absolutnie nic wspólnego z teologiczną stroną naszej dyskusji.

- Zakładam, że małżeństwo księdza było szczęśliwe?

- Tak, i właśnie dlatego sprzeciwiam się osłabianiu instytucji małżeństwa przez wprowadzenie modnego prawa rozwodowego, który wychodzi daleko poza nauczanie Chrystusa!

- To ludzie osłabiają małżeństwo, nie prawo, ludzie, którzy będą na siłę podtrzymywać małżeństwo w sytuacji, w której nawet Chrystus by nad nim zapłakał. Proszę mi powiedzieć, od jak dawna jest ksiądz wdowcem? Musiało być księdzu trudno żyć samotnie, skoro uważa małżeństwo za tak wspaniały, idealny stan!

Zawahałem się. Byłem głęboko poruszony. Czułem, że tracę nie tylko panowanie nad dyskusją, ale i równowagę wewnętrzną, równowagę, którą musiałem utrzymać, jeśli chciałem stać się tym człowiekiem, do jakiego dążyłem, i choć zdawałem sobie sprawę, że pora zakończyć tę dyskusję, nie wiedziałem, jak to zrobić, by zupełnie nie stracić twarzy.

- A więc? - naciskał Jardine. - Skąd to długie milczenie? Pozwoli ksiądz, że jeszcze raz spytam: od jak dawna jest ksiądz wdowcem?

Widziałem pułapkę, jaką na mnie zastawiał, by obnażyć moją hipokryzję, ale nie miałem wyboru. Tak duma, jak i ostrożność nie pozwalały mi skłamać.

- Siedem lat - odezwałem się wreszcie.

- Siedem lat!

Bursztynowe oczy rozszerzyły się, kiedy udzieliłem oczekiwanej odpowiedzi. Miałem wrażenie, jakby prześwietlał moją duszę. Poczułem wzbierające mdłości.

- Zdumiewa mnie ksiądz, doktorze Ashworth! Mówi ksiądz z takim namaszczeniem o instytucji małżeństwa, a jednak najwyraźniej nie spieszy się księdzu do powtórnego ożenku. Czyżby odezwało

się spóźnione powołanie do życia w celibacie? A może nieszczęśliwe małżeństwo nie jest księdzu tak bardzo obce, jak to próbował nam ksiądz przedstawić?

Tak mnie zasupłał, że nie miałem wyboru: musiałem sięgnąć po najostrzejszy nóż, by się uwolnić.

- Z pewnością nieobca mi jest tragedia małżeńska - odparłem.

- Moja żona zginęła w wypadku samochodowym, kiedy spodziewała się naszego pierwszego dziecka i często myślę, że nigdy nie ostrząsnę się z tej straty.

Zapadła cisza. Światło zniknęło z bursztynowych oczu Jardina i przez chwilę na jego twarzy dostrzegłem grymas bólu na jakieś wspomnienie. Wszyscy siedzieli znieruchomiali.

- Nie wiem, jak księdza przeproszać - przemówił wreszcie Jardine.

- Nie doświadczyłem co prawda, czym jest strata żony, ale wiem, co znaczy stracić dziecko. Proszę o wybaczenie, że w taki, nie do przyjęcia sposób dotknąłem czegoś, co jest zapewne źródłem głębokiego, osobistego cierpienia.

Ogarnął mnie taki wstyd, że nie potrafiłem wydusić z siebie słowa. Jardine być może nie obnażył wobec swoich gości mojego zakłamania, ale obnażył je wobec mnie i zdawałem sobie sprawę, że - przygwożdżony - wybrałem najprymitywniejszy sposób zachowania mojej oszukańczej maski.

Chwilę potem, kiedy ciągle jeszcze próbowałem odzyskać równowagę, panie nas opuściły, a pułkownik Cobden-Smith natychmiast oświadczył, że wycofuje się do pokoju dla palących. Lord Starmouth zaproponował, że dotrzyma mu towarzystwa i nalawszy sobie do kieliszków portwajnu, obaj mężczyźni udali się na poszukiwanie odprężenia po burzliwej rozmowie przy stole. ' - Żywię tak głęboką niechęć do papierosów - wyjaśnił Jardine Jenningsowi, kiedy zamknęły się drzwi za ostatnim służącym

- że nalegam, by palenie ograniczyć wyłącznie do jednego pomieszczenia w domu. A może chciałby ksiądz dołączyć do pułkownika i lorda Starmoutha, kanoniku? - zagadnął uprzejmie.

- Pali ksiądz?

- Tak, ale nie wtedy, kiedy mam na sobie strój duchowny. Mój głos brzmiał zdumiewająco spokojnie i naturalnie.

- Podziwu godne. A pan, Jennings?

- Jestem niepalący, ekscelencjo.

- Jeszcze bardziej godne podziwu. Jennings, może się pan do mnie zwracać „księżę biskupie” bądź „doktorze Jardine”, ekscelencję proszę zostawić służbie. Moim zdaniem biskupi i tak cierpią na manię wielkości, nie trzeba się do nich zwracać, jakby się urodzili do noszenia fioletów... Cóż, zobaczyliście mnie panowie z najgorszej strony, teraz muszę więc zrobić wszystko, żeby się pokazać od najlepszej. Doktorze Ashworth... - podał mi karafkę - bardzo proszę, niech ksiądz naleje sobie jak największą porcję i opowie mi o swojej najnowszej książce. Jego eminencja mamrotał coś o świętym Anzelmie i chrystianizmie z czwartego stulecia, ponieważ jednak nie potrafię dostrzec związku między jednym a drugim, wyznam, że jestem zaintrygowany... A może będzie ksiądz próbował udowodnić, że nasiona argumentacji ontologicznej zostały posiane w czasie Soboru Nicejskiego? - I obdarzył mnie swym najbardziej czarującym uśmiechem.

Uśmiechnąłem się, żeby okazać, że ze wszystkich sił będę wspierał jego wysiłki, zmierzające do przywrócenia pogodnej atmosfery i zacząłem opowiadać o swoich planach zebrania moich wykładów, ale to przede wszystkim Jennings i Jardine opowiadali o świętym Anzelmie. Sekretarz wtrącił uwagę o przykatedralnej bibliotece, ale zapadł w milczenie, kiedy dyskusja o teologii świętego Anzelma przerodziła się w śmiertelnie nudną akademicką dysputę.

- Przepraszam, musimy księdza biskupa nudzić - zwróciłem się nagle do Jardine'a.

- Ani trochę. - Sącył porto. - Zastanawiałem się jedynie, czemu odwraca się ksiądz od teraźniejszości, zagrzebując w odległej przeszłości. Ale może współczesna historia Kościoła wciągnęłaby księdza do współczesnej polityki kościelnej, którego to tematu lepiej

unikac, jeśli osobiste poglądy mogłyby nie przypaść do gustu osobom u władzy?

Uznałem, że to stwierdzenie, w którym pobrzmiwała nutka groźby, nie stanowiło ataku a wywiad; dawał mi szansę powiedzenia, że moja kariera nie została zniekształcona przez wyjątkowo niepożądaną formę ambicji.

- Tak się składa, że arianie i modalizm znacznie bardziej mnie pociągają niż ruch oksfordzki.

Jardine dostrzegł aluzję do anglokatolicyzmu.

- Czyżby to wskazywało na mieszane uczucia względem Wysokiego Kościoła?

Zachęcał mnie do zdystansowania się wobec Langa i nagle uświadomiłem sobie, że ponownie przejrzy moją nie do końca prawdziwą pozę lojalności.

- Darzyłem anglokatolicyzm pewną sympatią, kiedy mnie wyświęcano - brzmiał mój niezręczny unik.

- Ja też, musiało to księdza zaskoczyć, prawda? Teraz jednak wiem, że próbowałem jedynie odrzucić moje nonkonformistyczne pochodzenie.

Nagle odwrócił się do kapelana.

- Gerald, obiecałem panu Jenningsowi, że mu pożyczę „Mediatora” Brunnera. Zechciałbyś pójść z nim do biblioteki i pomóc mu znaleźć tę pozycję?

W ten sposób pozbył się Jenningsa i Harveya. Wreszcie zostałem sam na sam z biskupem. Nim jeszcze drzwi zdążyły się zamknąć za wychodzącymi, usłyszałem swój głos:

- Zaczynam podejrzewać, że potrafi ksiądz biskup wszystko przejrzeć.

- Niewątpliwie próbuję. Czasem się domyślam, jak musi wyglądać życie muzyka obdarzonego słuchem absolutnym. Mam doskonale wykształcone, niezawodne ucho na wszelkie fałszywe nuty w rozmowie.

- W czasie naszej dyskusji...

- W czasie naszej dyskusji próbował ksiądz ukryć, że jego

osobiste poglądy na rozwód różnią się znacznie od tego, co publicznie głosi. Tak. Wiem. I właśnie dlatego nie mogłem się oprzeć pokusie pogrążenia księdza, choć naprawdę i szczerze przepraszam, że polemika przybrała taki obrót.

- Nic się nie stało. Moja hipokryzja dostała to, na co zasłużyła. Przepraszam, że skorzystałem z tak melodramatycznego środka, by zakończyć dyskusję.

- No, proszę, cóż za zdumiewające przeprosiny. Zaczyna mnie ksiądz ogromnie ciekawić, doktorze Ashworth.

Mimo że stałem do niego plecami, słyszałem, jak nalewa sobie do kieliszka portwajnu.

- Początkowo kusiło mnie, żeby sklasyfikować księdza jako kolejnego bystrego młodzieńca Langa - podjął - ale prawda jest bardziej złożona, zgadza się? Coraz trudniej księdzu nosić wymaganą maskę pochlebstwa.

Dokończyłem porto i dopiero wtedy odpowiedziałem.

- Bardzo wiele doktorowi Langowi zawdzięczam. Jestem jego dłużnikiem.

- Oczywiście, że tak. Ludzie u władzy lubią udzielać wysokich kredytów, ale jeśli człowiek ma władzę - stwierdził Jardine, podchodząc do mnie z karafką - musi ogromnie uważać, żeby nie doprowadzić swoich dłużników do bankructwa, żądając niewłaściwych form spłaty wierzytelności. Jeszcze portwajnu?

- Tak, proszę.

Pewną ręką wyciągnąłem kieliszek.

- Czy mogę księdzu udzielić pewnej rady? Niezależnie od tego, ile ksiądz zawdzięcza arcybiskupowi Canterbury, nie jemu musi ksiądz przede wszystkim służyć. Służyć ma ksiądz przede wszystkim Bogu, który go stworzył na Swój obraz i podobieństwo, stworzył go jako odrębną istotę ludzką, a nie cudowną kopię doktora Langa. Niech ksiądz będzie sobą, doktorze Ashworth. Niech ksiądz będzie takim człowiekiem, jakim pragnie go mieć Bóg, a nie pochlebcą, jakiego domaga się próżność jego eminencji. A teraz - zakończył Jardine, nalawszy mi do kieliszka - przestanę wygłaszać kazanie

i zanim wrócimy do pań, rozerwiemy się króciutko, rozmawiając na temat, który interesuje mnie znacznie bardziej niż rozważania starego, poczciwego świętego Anzelma. Mam na myśli poszukiwanie historycznego Jezusa - czy sądzi ksiądz, że kiedykolwiek zza lśniącej zasłony ewangelii dostrzeżemy rzeczywistego człowieka, którym naprawdę był?

- Sądzę, że sięganie za lśniącą zasłonę może się okazać bezproduktywne - odparłem - i, z całym szacunkiem, wydaje mi się, że księża pokolenie nadmiernie się zajmowało ludzką naturą Chrystusa, na niekorzyść Jego boskości.

Jardine się uśmiechnął.

- Czyli, zdaniem księdza, w pogoni za koncepcją obecności Boga w każdym człowieku straciliśmy z oczu Jego samego i ludzkość, reprezentowaną przez Chrystusa, lądując w ślepej uliczce historii?

- Dokładnie tak. Jeśli chodzi o mnie, znacznie bardziej interesują mnie współczesne doktryny domagające się uznania boskiej transcendencji i wagi objawienia. Moim zdaniem powinniśmy się skupić na przesłaniu, które przyniósł Chrystus, a nie na niewyraźnej sylwetce skrytej za lśniącą zasłoną - oświadczyłem pewnie i, z najwyższą ulgą uciekając w świat naukowych rozważań, zacząłem rozprawiać o pismach Karla Bartha i wyzwaniach, które niosła teologia kryzysu.

VI

Po powrocie do salonu, Jardine oświadczył:

- Z przyjemnością mogę stwierdzić, że wraz z doktorem Ashworthem doszliśmy do porozumienia w dzielących nas kwestiach, tak więc nikt już nie musi się czuć zmieszany z powodu naszej dyskusji...

Lady Starmouth, zechce pani wyjść na dwór i pomęczyc się ze mną na tarasie.

- Kawy, doktorze Ashworth? - zawołała panna Christie.

- Tak, poproszę.

Właśnie ruszałem w jej stronę, kiedy przechwyciła mnie roz-strzęsiona pani Jardine.

- Doktorze Ashworth, ogromnie przepraszam... Mojemu mężowi było potem bardzo przykro, wiem, że tak było... Po tym, jak powiedział ksiądz o dziecku...

Urwała, a ja z przerażeniem dostrzegłem, że ma w oczach łzy.

- Ależ droga pani Jardine... Proszę, proszę, niech pani tak nie bierze tego do serca...

Ale panna Christie przyszła z odsieczą.

- Już dobrze, kochana - zwróciła się do pani Jardine. Zdumiała mnie ta pieścotliwa forma. - Doktor Ashworth rozumie. Chodź, usiądź tam, właśnie rozmawialiśmy z panią Jennings o chórze chłopięcym.

I podając mi filiżankę kawy, odprowadziła panią Jardine w drugi kąt pokoju, gdzie stały krzesła i czekała pani Jennings. Tak zostałem pozostawiony w towarzystwie Cobden-Smithów, ale lord Starmouth, który stał jakieś sześć kroków dalej, obok kominka, powiedział, kiedy wymieniliśmy się spojrzeniami:

- Biskup czasem daje się ponieść gwałtownym uczuciom, ale to dobry człowiek.

- Nikt nie oczekuje od biskupa gwałtownych uczuć - odezwał się z niespodziewaną kąśliwością pułkownik. - To w złym smaku.

- Bardzo złym - zgodziła się jego żona. - Ale cóż, jeśli ktoś wyrasta w domu, w którym nie ma różnicy między dobrym a złym smakiem, w późniejszym życiu z pewnością narobi sobie kłopotów.

- Amy, uważaj, co mówisz!

- Ależ mój drogi, biskup sam przyznaje, że jego wychowanie pozostawia wiele do życzenia! Ten dziwny, stary ojciec, koszmarny dom w Putney...

- Wspaniałą rzeczą u biskupa - stwierdził lord Starmouth - jest to, że głośno się do tego domu w Putney przyznaje. Człowiek mniejszego kalibru po prostu trzymałby język za zębami.

- Kiedy poznał Carrie, jakoś się tym nie chwalił - oświadczyła pani Cobden-Smith.

- Amy, przestań!

Pułkownik był teraz wyraźnie zdenerwowany. Spojrzał niespokojnie w moim kierunku, ale mnie o wiele bardziej interesowała panna Christie. Opuściła panią Jardine, która z ożywieniem rozprawiała z panią Jennings o chórze chłopięcym i z dzbankiem z kawą zmierzała w naszą stronę.

- Jak Carrie, dobrze? - spytał cicho pułkownik, gdy nalewała mu kawy.

- Tak, wszystko jest w porządku, pułkowniku, proszę się nie martwić.

- Doktor Ashworth nadal wygląda dość blado - powiedziała pani Cobden-Smith.

- Co wcale nie świadczy dobrze o mocy biskupiego portwajnu

- odparła sucho panna Christie, ponownie odchodząc wraz ze swoim dzbankiem.

- Dziwna dziewczyna - zastanawiała się głośno pani Cobden-Smith - ale doskonale sobie radzi z Carrie.

- Musi być ogromną wyryką - wtrąciłem niezobowiązująco.

- To za mało powiedziane. Kiedy wspomnę, jak wyglądało Radbury, zanim tam nastąpiła...

- Moja droga - przerwał pułkownik z zaskakującą stanowczością

- sądzę, że nie powinniśmy o tym więcej mówić, dobrze?

Byłem rozczarowany i niechętnie musiałem przyjąć do wiadomości, że może mi się opłacić podtrzymanie dobrych stosunków z panią Cobden-Smith.

Czyli wróciłem do swojej roli szpiega. Czy to oznacza, że odzyskałem równowagę po dziwacznej rozmowie z Jardinem? Wydawało mi się, że tak, jednak nie miałem ochoty myśleć o szpiegowaniu, ani głębiej zastanawiać się nad dziwaczными rozmowami. Uwolniwszy się od Cobden-Smithów, zdybałem pannę Christie przy bocznym stoliku, gdzie ustawiała na tacy filiżanki po kawie.

- O której jest jutro poranne nabożeństwo? - zahaczyłem, wybierając najmniej niebezpieczne pytanie, jakie mogłem znaleźć.

- O ósmej. Śniadanie o dziewiątej. - Spojrzała w stronę drzwi od jadalni. - Idzie pan Jennings i Gerald, może mnie pan przepuścić? Muszę poprosić o świeżą kawę dla nich.

Wymknęła mi się, i przeszło mi przez myśl, że spokojne, łagodne próby nawiązania kontaktu nie zrobią na panie Christie najmniejszego wrażenia. Jeśli jednak myślała, że uda jej się mnie pozbyć za pomocą zonglerki filiżankami do kawy, grubo się myliła.

Doszedłem do wniosku, że w przyszłości będę musiał zaatakować znacznie poważniej.

VII

Minęła już jedenasta, kiedy wreszcie udało mi się schronić w swojej sypialni. Rozebrawszy się i wypaliwszy papierosa, usiłowałem uporządkować wydarzenia wieczoru. Między mną a moim gospodarzem zdawała się rodzić dziwna więź, ale uznałem za swój obowiązek nie zwracać na nią uwagi. Nie moją sprawą było lubić albo nienawidzić Jardine'a, moje zadanie polegało na sprawdzeniu, w jakim stopniu może być on narażony na skandal.

Przekonałem się jednak, że w tej chwili jeszcze mniej niż przedtem pragnąłem uczestniczyć w jakiegokolwiek intrydze Langa, która zmierzałaby do usunięcia Jardine'a z grona biskupów zasiadających w Izbie Lordów. Jardine najwyraźniej był niewinny. Człowiek o takiej sile wewnętrznej nie potrafiłby prowadzić podwójnego życia, wkroczyć na śliską ścieżkę zdrady małżeńskiej.

Uważałem go także za zbyt inteligentnego, aby on - dojrzały mężczyzna - wdał się w jakąś bliską romansowi przygodę z młodą kobietą. Wydawało się oczywiste, że wrodzoną skłonność do kobiet rozładowywał flirtując niewinnie ze swoimi „slicznotkami”, a pannę Christie traktował jak element wyposażenia pałacu biskupiego.

Ta konkluzja znacznie mnie uspokoiła, musiałem jednak odpowiedzieć jeszcze na pytanie, co się dzieje w umyśle panny Christie, skoro Jardine zachowywał się jak przyzwoity człowiek, którym z pewnością był. Jardine'owi bowiem mógł grozić skandal także wtedy, gdyby panna Christie postanowiła odegrać rolę neurotycznej starej panny, którą spala niezaspokojona namiętność - choć dama do towarzystwa pani Jardine wcale nie wyglądała na neuro-tyczkę. Mimo to czułem, że coś dziwnego kryje się pod jej całkowitym panowaniem nad sobą.

Uznałem, że moim moralnym obowiązkiem jest dokładniej przyjrzeć się panie Christie i nie wolno mi spocząć, póki się nie przekonam, na ile może ona zapłonąć namiętnością.

Nawet jezuicie nie udałoby się wymyślić lepszej kazuistyki. Z uśmiechem zgasilem papierosa, położyłem się do łóżka i przystąpiłem do planowania działalności szpiegowskiej na następny dzień.

Rozdział trzeci

„Spotkałem tak wielu duchownych, których kariery zostały zahamowane bądź (przynajmniej z punktu widzenia postronnych obserwatorów) zrujnowane przez małżeństwo, że nigdy nie zetknąłem się z kapłanem, który «angażowałby» się bez dreszczu lęku”.

Letlers of Herbert Hensley Henson, zebr. E.F. Braley

I

Przebudziłem się gwałtownie o siódmej. Oczywiście śniła mi się panna Christie. Miałem ochotę na papierosa, ale uznałem, że nic nie usprawiedliwia złamania żadnej z drobnych reguł, dzięki którym zmierzałem do samoopanowania, a jedna z nich zakładała, że nigdy nie palę przed śniadaniem. Z trudem odmówiłem jutrznię. Potem otworzywszy na chybił trafił Biblię, natrafiłem na bardzo pasujące do sytuacji słowa: „Szukajcie, a znajdziecie”.

Kiedy się ubierałem, uświadomiłem sobie, że nadal jeszcze brakuje mi informacji, by móc przekonać Langa, że osobiste życie Jardine'a jest równie nieskalane jak świeżo spadły śnieg; moje przekonanie o jego niewinności na niewiele się zda, jeśli nie poprę go gruntowną znajomością psychiki Jardine'a, a trudno stworzyć przekonujący portret psychologiczny, o ile nie zdobędzie się więcej informacji

o przeszłości danej osoby. Moje zadanie - oprócz sprawdzenia, na ile panna Christie może zapłonąć namiętnością - polegało więc na rozmawianiu z kim się da o biskupie, bez wzbudzenia w interlokutorach podejrzeń, że są przesłuchiwanii. Nie wydawało mi się to szczególnie trudne. Ludzie przepadają za plotkami

O znanych ludziach, a kiedy zetknęli się z kimś takim osobiście, pokusa ujawnienia, jak wiele o nim wiedzą, staje się jeszcze silniejsza. †

Wyszedłszy z pokoju, zawędrowałem na dół, jednak nikogo tam nie spotkałem, choć z daleka dobiegały mnie odgłosy porannej krzątaniny służby. Otworzyłem drzwi frontowe i stanąłem na ganku. Oślepiło mnie mocno świecące słońce, tak że przez chwilę przed oczami widziałem tylko pulsującą zieleń liści buków

i trawy. Za podjazdem na tle błękitnego nieba rysowała się jasna katedra, a kiedy otworzyłem białą furtkę w murze, który otaczał tereny katedry, skierowałem się wzdłuż północnej ściany budynku.

Przechodzący мимо, kościelny skierował mnie do kaplicy św. Anzelma, w której odprawiano poranne nabożeństwa w dni powszednie. Nie miałem czasu podziwiać piękna nawy; chciałem oczyścić umysł, aby przygotować się do modlitwy, więc gdy tylko wybrałem sobie miejsce, ukląknąłem, by lepiej się skoncentrować. Mimo to jednak natychmiast dostrzegłem nieobecność panny Christie.

Nie zdziwiło mnie to. Na poranną komunię w dni powszednie rzadko kiedy uczęszczają tłumy świeckich. Co więcej, w kaplicy nie zastałem nikogo, kogo wcześniej poznałem w pałacu biskupa.

Wtedy na miejsce w rzędzie przede mną pospiesznie wślizgnął się Gerald Harvey i po chwili, z wybiciem ósmej, pojawili się dziekan i biskup, poprzedzeni przez kościelnego.

W czasie nabożeństwa myślałem, jak niedorzecznie byłoby przypuszczać, że biskup udzielałby komunii, gdyby sam nie znajdował się w stanie łaski uświęcającej i po raz kolejny przypomniałem sobie wewnętrzną siłę, która promieniowała z Jardine'a w czasie naszej rozmowy nad portwajnem.

Nadeszła moja kolej przyjęcia sakramentu. Usuwając wszelkie myśli związane z moją misją, skupiłem się na duchowej rzeczywistości, przed którą stanąłem, i wróciwszy na miejsce pozwoliłem sobie znowu myśleć o Jardinie. Postanowiłem pamiętać, że służba arcybiskupowi Canterbury nie jest moim najważniejszym zadaniem. Modliłem się o siły do przewyciężenia słabości. A gdy nabożeństwo dobiegało końca, pozwoliłem, by w umyśle dźwięczały mi słowa Chrystusa: „Ale nie moja wola, lecz Twoja niech się stanie”.

Wola Langa natychmiast stała się równie nieważna jak moja. Poczujęm się umocniony i kiedy wstając z klęczek wreszcie opuściłem kaplicę, zobaczyłem Geralda Harveya, który sterczał w bocznej nawie.

- Czeka ksiądz na biskupa? - zagadnąłem z uśmiechem.

- Nie, na księdza.

Jego uprzejmość zrobiła na mnie wrażenie i natychmiast ogarnęło mnie poczucie winy, że uznałem go za nieudacznika.

- Jak miło z księdza strony - odparłem. - Przepraszam, że księdza tak długo przetrzymałem.

- Och, niech się ksiądz nie usprawiedliwia za czas spędzony na modlitwie - powiedział zszokowany.

Taki był młody i szczery, że poczułem się przy nim stary i zbyt doświadczony. - Jak się księdzu podobało nabożeństwo?

Odparłem kilkoma pochlebnymi zdaniami, ciesząc się, że nie musiałem kłamać przez wzgląd na dobre manieri. Wyszliśmy na trawnik. Za murem otaczającym katedrę wygrzewały się w słońcu budynki Close, koń wolno ciągnął wóz z mlekiem po North Walk. Słyszałem śpiew ptaków, ukrytych w gałęziach rosnącego opodal cedru.

- Muszę wyznać, że biskup mnie intryguje - zagaiłem lekko. - Jak by ksiądz go zaklasyfikował? Na co kładzie główny akcent: na Chrystusa, Boga Ojca, czy też jego wiara jest zakorzeniona w Trójcy Świętej?

- Myślę, że wszystko po trochu - odparł Harvey - ale zasadniczo biskup jest zwolennikiem chrystocentryzmu. Wierzy głęboko nie

tylko w chrystusowe współczucie i wybaczenie, ale także w Jego uczciwość oraz prawdę. Dlatego biskup nie znosi hipokryzji, uważa ją za faryzeizm i sądzi, że został powołany do walki z nią, tak samo jak Jezus walczył z zakłamaniem żydowskich kapłanów. Zerknął na mnie nieśmiało.

- Niech mu ksiądz wybaczy jego wczorajsze zachowanie - dodał pospiesznie. - Nie chciał księdza zranić. Źle osądził księdza postawę... Prawdopodobnie podejrzewał, że przyjął ją ksiądz z poczucia lojalności wobec doktora Langa. Oczywiście, mylił się, ale każdy ma prawo do błędu, prawda, a on naprawdę jest wspaniałym człowiekiem, przedobrym, proszę mi wierzyć.

Dopiero teraz zrozumiałem, że szukał mojego towarzystwa, aby bronić swego bohatera i wiedziałem, że powinienem jakoś zasygnalizować, że chętnie dam się przekonać o wspaniałości Jardine'a.

- Był dla księdza dobry? - spytałem z ciekawością.

- To za mało powiedziane! - Dał się ponieść entuzjazmowi i zapomniał o ostrożności. - Kiedy chodziłem do przykatedralnej szkoły w Radbury, moi rodzice umarli, a doktor Jardine, wtedy jeszcze dziekan Radbury, zajął się mną, opłacił za mnie chesne, zabierał do siebie na wakacje, choć wcale nie byłem jednym z tych okropnych dzieciaków, co to wyglądają jak aniołki i zbierają wszystkie nagrody w szkole. Potem, kiedy chciałem zostać księdzem, ale nie byłem pewny, czy zdam egzaminy, doktor Jardine powiedział: „Bzdury, oczywiście że zdasz!” i zaoferował się, że pomoże mi w wolnym czasie. Wtedy zrozumiałem, że naprawdę wierzy, że mi się to uda. Gdyby nie on, nigdy bym nie zdał, a kiedy potem zaproponował mi stanowisko swojego sekretarza... Domyśla się ksiądz pewnie, jak się czułem! Oczywiście, byłem przerażony, bałem się, że się nie nadaję. Nie wątpię, że bez trudu znalazłby kogoś lepszego, ale staram się jak mogę i jakoś sobie radzę.

- Jestem przekonany, że radzi sobie ksiądz doskonale.

Jego szczerość była wzruszająca i nagle zrozumiałem, czemu spodobał się Jardine'owi.

Przeszliśmy już przez bramę pałacu biskupiego i gwałtownie usiłowałem wymyślić pytania, które sprowokowałyby Harveya do dalszych zwierzeń.

- Niech mi ksiądz opowie o życiu w pałacu - poprosiłem. - Panna Christie wyraźnie pełni w nim ważną rolę. Wygląda na to, że są sobie ogromnie bliskie z panią Jardine.

- Och, pani Jardine traktuje ją jak córkę, tak, jak rodzoną córkę.

- A jak układają się jej stosunki z biskupem?

- Ludzie zawsze o to pytają - odparł Harvey, przystając, żeby wyciągnąć klucz od drzwi wejściowych

- i zawsze są zdziwieni, kiedy odpowiadam: „Lepiej niż kiedyś” zamiast spodziewanego „Wspaniale”.

- Jakież tarcia?

- Może nie aż tak mocno... ale zdarzały im się gorsze okresy. Pierwszy nastąpił po jej przyjeździe do Radbury, właśnie w tamtym okresie zacząłem u nich spędzać wakacje, drugi miał miejsce pięć lat temu, kiedy zamieszkali w Starbridge. Pamiętam, że powiedziałem wtedy lady Starmouth, że obawiam się, czy Lyle nie odejdzie, jeśli biskup będzie się zachowywał z jeszcze większym chłodem, ale hrabina uspokoiła mnie, że nie ma powodów do obaw. Wyjaśniła, że nie zawsze małżeństwu łatwo przychodzi żyć w ciągłej obecności osoby postronnej, a oczywiście Lyle jest z nimi znacznie bliżej związana niż ja. Jeśli chodzi o ich prywatne życie, wiem stosunkowo niewiele, mimo że tak często stykam się z biskupem w jego oficjalnej roli.

Wreszcie znalazł swój klucz, otworzył drzwi z zamka, ale z trudem je uchylił, tyle poczty leżało za progiem.

- Dobrze nieba, niech ksiądz spojrzy na tę stertę listów!

- Czy jest ich wyjątkowo dużo?

- Tak, ciągle jeszcze napływają listy w związku z kodeksem Alana Patryka Herberta. W ubiegłym tygodniu musieliśmy zatrudnić dodatkowych sekretarzy.

Rozgorączkowany ruszył czym prędzej do biblioteki, jakby się obawiał, że listy zaczną mu się mnożyć w rękach.

Zapamiętałem, że mam spytać lady Starmouth, jakie trudności może napotkać małżeństwo, które musi żyć w ciągłej obecności młodej, przystojnej osoby postronnej. Potem wycofałem się do jadalni w poszukiwaniu śniadania.

II

Byłem pierwszy. W jadalni nie zastałem nikogo, ale na bocznym stoliku leżała poranna prasa i zacząłem przeglądać wyniki krykieta w „Daily Telegraph”. Właśnie przetrawiałem ponurą wiadomość, że oksfordzka drużyna pobiła reprezentację Cambridge o siedem punktów, kiedy do pokoju wszedł Jardine.

- Miło mi było widzieć księdza na porannym nabożeństwie - stwierdził, kiedy wymieniliśmy powitania. - Cieszyłem się, że sam mogłem w nim uczestniczyć. Czasem odczuwa się ogromną potrzebę oczyszczenia duchowego, aby móc z czystym sumieniem rozpocząć nowy dzień.

Zapadła cisza, w której obaj myśleliśmy o kolacji i niemiłym wspomnieniu, które usunęliśmy z świadomości. Nim jednak któryś z nas zdążył się odezwać, do jadalni weszli państwo Starmouth. Za nimi pojawiła się panna Christie, ubrana bez zarzutu w granatową spódnicę i białą bluzkę.

Natychmiast dostrzegłem jej delikatne, doskonale zaokrąglone kształty nad talią i nim zdążyłem się zorientować, przed oczami zamajaczyła mi erotyczna wizja dwóch pustych kieliszków od szampana.

- Dzień dobry, doktorze Ashworth - odezwała się panna Christie oficjalnym tonem, podczas gdy ja walczyłem z tymi zgoła niekapłańskimi myślami. Od razu jednak zwróciła się do Jardine'a. - Carrie zdecydowała, że poleży jeszcze trochę w łóżku, i poprosiła, żebym zjadła z nią śniadanie.

Biskup nie okazał zdziwienia, ale lady Starmouth niespokojnie

zaczęła się dopytywać, czy pani Jardine nie zachorowała. Panna Christie jednak zdążyła już wyjść i obowiązek udzielenia odpowiedzi spoczął na Jardinie, który wyjaśnił, przerzucając strony „Timesa”:

- To po prostu skutki bezsennej nocy. O drugiej nad ranem uległem głosowi instynktu samozachowawczego i przeniosłem się do garderoby, by móc wreszcie zapaść w niebyt. Bezsenność Carrie ma tę wadę, że moja żona nie potrafi się powstrzymać, by jej ze mną nie dzielić.

Pierwszą reakcją było spostrzeżenie, że Jack miał rację przypuszczając, że Jardine'owie dzielą sypialnię. Drugą - złość, że staję się prawie tak lubieżny jak dziennikarz z byle brukowca typu „The News of the World”. Aby odpędzić wszelkie myśli niegodne kapłana, zacząłem się zastanawiać, jak powinienem spędzić ranek. Będę musiał pójść do biblioteki: co najmniej dziwnie by wyglądało, gdybym odkładał moje spotkanie z manuskrypcją świętego Anzelm, pomyślałem jednak, że mogę wykorzystać piękną pogodę jako pretekst, żeby nie spędzać tam zbyt wiele czasu.

W czasie śniadania hrabia oznajmił, że zamierza udać się nad rzekę łowić ryby, jego żona zaś wyznała, że pragnie oddać na płótnie piękno łąki porośniętej trawą, uznałem więc za prawdopodobne, że oboje będą w nastroju do miłej, lekkiej pogawędki na temat naszego gospodarza.

- Czy ma pani jakieś określone plany na dzisiejsze przedpołudnie, pani Cobden-Smith? - spytałem, zjadłszy swoją porcję jajek na bekonie.

- Och, napiszę kilka listów, zajrzę do sklepów, „wypełnię bezpowrotną minutę”, jakby powiedział Kipling... - Pani Cobden-Smith mówiła z taką energią, że natychmiast poczułem się wyczerpany. -

Willy wyprowadzi George'a na spacer - bernardyn na dźwięk swego imienia uniósł z nadzieją łeb - a potem... Co robisz potem, Willy?

- Nic, a przynajmniej taką mam nadzieję - odparł pułkownik.

- Poczciwy człowiek! - zawołał lord Starmouth.
- Cóż, przynajmniej nasi księża szykują się do poranka niestrudzenie wypełnionego pracą - stwierdziła lady Starmouth, posyłając mi promienny, wyszukany uśmiech.

II

Badaczy, którzy studiują dokument znany pod nazwą „Modlitwy i rozważania świętego Anzelma”, najbardziej interesuje, jaka część tego tekstu wyszła rzeczywiście spod ręki Anzelma. W 1932 roku Dom Wilmart przypisał świętemu, który za panowania Wilhelma II pełnił funkcję arcybiskupa Canterbury, dziewiętnaście modlitw i trzy rozważania, jednak kwestia ta nadal zajmuje naukowców, a w centrum ich uwagi znajduje się manuskrypt przechowywany w Starbridge, tekst ten bowiem jest wolny od późniejszych wstawek.

Wymieniwszy niezbędne uprzejmości z bibliotekarzem, zagłębiłem się w lekturze. Manuskrypt został sporządzony wyraźnym pismem, które bez trudu odczytywałem, jednak w łacińskim tekście zdarzały się błędy, co pozwalało się domyślać, że skrybą był jakiś młody mnich, którego umysł łatwo zbaczał z wyznaczonych ścieżek. Na poparcie tej tezy znalazłem dodatkowe ozdobniki na marginesie, na przykład szkic przeciągającego się kota z myszą w pyszczku. Uderzyło mnie, że ten tekst, traktowany przez skrybę jako kolejna żmudna robota, stał się dokumentem o ogromnym, głębokim znaczeniu.

Młody mnich nie żył już od setek lat, ale jego praca ku chwale bożej przetrwała. Leniwie zastanawiałem się, jakby wpleść to do jakiegoś kazania i natychmiast przyszedł mi na myśl słynny fragment z proroka Izajasza: „Trawa usycha, więdnie kwiat, lecz słowo Boga naszego trwa na wieki”. Pracowałem ponad godzinę, robiąc notatki i porównując tekst z moją książką Wilmarta, po czym opuściłem bibliotekę, wróciłem do pałacu, zostawiłem notatki w hallu i ruszyłem do ogrodu.

Lady Starmouth dostrzegłem natychmiast. Siedziała na składanym

krzeselku ze szkicownikiem na kolanach i w zadumie spoglądała na linię drzew, które mieniać się wszystkimi odcieniami zieleni schodziły ku rzece. Na mój widok lady Starmouth uśmiechnęła się i przywołała mnie, bym do niej przyłączył. Idąc ku niej przez trawnik, zauważyłem jej męża, który nieco dalej, wśród wierzb, łowił ryby.

- Wydawało mi się, że zamierzała pani malować? - odezwałem się, widząc w jej rękach ołówki.

- Zawsze najpierw robię szkic, a w ogóle dopiero co zaczęłam: do tej pory gawędziłam z biedną Carrie.

- Jak się czuje? Lepiej?

- Tak, ale nadal przeżywa tę okropną scenę przy wczorajszej kolacji. Obawiam się, że Carrie ma skłonność do nadwrażliwości, a już zawsze bardzo silnie reaguje, kiedy jest mowa o zmarłych dzieciach... Wiedział ksiądz o dziecku Jardine'ów?

- Doktor Lang wspomniał jedynie, że nie mają żyjącego potomstwa. Co się stało?

- Czyżby dawał mi ksiądz szansę poplotkowania na temat biskupa? Tak, chyba tak. Jak cudownie! Proszę, doktorze Ashworth, niech ksiądz usiądzie i tak pomoże mi odwlec tę straszną chwilę, kiedy będę musiała wyciągnąć farby i udawać wielką malarzkę!

- Jeśli pani jest w nastroju do ploteczek, dobrze pani trafiła, bo ja jestem w nastroju do ich słuchania - powiedziałem, żeby ją zachęcić. - Wyznam, że po naszym wczorajszym ścięciu z biskupem płonę chęcią dowiedzenia się o nim czegoś więcej.

- Określiłabym to mianem bardzo miłosiernej reakcji - oświadczyła sucho. - Biorąc pod uwagę jego zachowanie... Zaraz, niech pomyślę, czy powinnam przystąpić od razu do streszczenia sagi o dziecku, czy też powinnam zacząć od pojawienia się Jardine'a w Mayfair? Ostrzegam, doktorze Ashworth, robię się niebezpieczna, kiedy zaczynam rozmawiać o biskupie, tak mnie on bowiem intryguje, że mogłabym o nim paplać godzinami.

- Jestem pewien, że pani nigdy nie papie, lady Starmouth. Moim zdaniem może być pani wyłącznie błyskotliwą, porywającą inter-lokutorką.

Roześmiała się.

- Cóż za rozkosz mieć tak pochlebiającego słuchacza! A więc dobrze, zobaczymy, jak się sprawdzę jako błyskotliwa, porywająca interlokutorka!

Wyciągając się na trawie w promieniach upalnego słońca, przygotowałem się, by wysłuchać jej z należytą uwagą.

IV

Życiorys Jardine'a jest wyjątkowo niezwykły - zaczęła lady Starmouth. - Nie orientuję się, co ksiądz wie o jego karierze, więc powiem, że przed dwudziestu jeden laty został przeniesiony z jakiejś nikomu nie znanej parafii w północnym Londynie do St Mary's w Mayfair, która jest jedną z bardziej eleganckich parafii West Endu. Wraz z Henrym zrobiliśmy, co w naszej mocy, żeby nowy proboszcz dobrze się poczuł w naszej parafii, a ponieważ był kawalerem, starałam się przedstawiać go odpowiednim pannom. Wiedział ksiądz, że Jardine późno się ożenił? Kiedy poznał Carrie, miał trzydzieści siedem lat, ale póki nie został przeniesiony na Mayfair, nie stać go było na żonę. Niestety jego ojciec - specyficzny osobnik - ogromnie się zadłużył i Jardine ze swojej niewielkiej pensji musiał utrzymywać rodzinę. - Zdaje się, że słyszałem coś o specyficznym ojcu...

- Cała rodzina - stwierdziła konfidencjonalnie lady Starmouth - była co najmniej specyficzna. Oprócz wspomnianego ojca kręciła się tam dziwna macocha, Szwedka, i dwie siostry, z czego jedna niespełna rozumu...

- Brzmi to jak żywcem wzięte z siedemnastowiecznej tragedii.

- Nie, nie pozabijali się nawzajem - niestety, ale ma ksiądz rację porównując to do literatury.

Przypominali bohaterów powieści Gissinga o koszmarze szlachetnego ubóstwa.

- Czyżby Jardine'owie wywodzili się ze szlachty? I z czego żył ten specyficzny ojciec?

- Tego nikt nie wie. Co więcej, nigdy nie zgłębiałam zbyttnio tajników pochodzenia Jardine'a, ponieważ on woli o tym nie wspominać. Za to jego siostra - ta która nie oszalała - była rozpaczliwie szlachetna, biedactwo: doskonale wyćwiczona, poprawna wymowa, ale zupełnie nie wiedziała, jak trzymać filiżankę herbaty. Podejrzewam, że wywodzili się z wyższych sfer robotniczych, a usiłowali zaliczać się do niższych warstw klasy średniej. Boże, jak ten angielski system klasowy potrafi straszliwie zniszczyć ludziom życie! - zawołała hrabina Starmouth bezmyślnie, choć z prawdziwym współczuciem.
- Czy cała rodzina przeniosła się z Jardine'em do Mayfair?
- Nie, specyficzny ojciec i niespełna rozumu siostra już nie żyli, ale Jardine przeniósł się do nowej parafii wraz z żyjącą siostrą i koszmarną macochą i natychmiast rozpoczął poszukiwania żony...
- ...Którą pani czym prędzej mu znalazła!
- Wcale nie! Choć rzeczywiście byłam obecna na przyjęciu, gdzie on i Carrie się poznali. Spotkanie było szalenie romantyczne, miłość od pierwszego wejrzenia, a po czterech dniach Jardine się oświadczył.
- Po *czterech dniach!*
- Po czterech dniach - powtórzyła lady Starmouth, rozbawiona moim zdumieniem. - Oczywiście, rodzina Carrie była cała w dygo-tkach, przede wszystkim z powodu niejasnego pochodzenia Jardine'a, ale z drugiej strony jego pozycja proboszcza parafii St Mary's sprawiała, że trudno było odmówić mu starania się o rękę Carrie.
- Czy rodzina stawiała przeszkody?
- Jakoś udało im się powstrzymać. Podejrzewam, że miał w tym swój udział fakt, że Carrie nie była już taka młoda i zaczęli się obawiać, czy nie osiadzie na koszu.
- Trudno sobie wyobrazić, by komuś tak ładnemu jak pani Jardine groziło sianie rutki.
- Racja, ale jedną z najokrutniejszych prawd o życiu jest, doktorze Ashworth, że mężczyźni wolą kobiety poniżej trzydziestki. Później muszą one polegać na czymś więcej niż własnym wdzięku.

Zrozumiałem aluzję, że pani Jardine nie posiadała niczego poza swoim wdziękiem, ale powiedziałem jedynie:

- To znaczy, że nic nie stanęło doktorowi Jardine'owi na przeszkodzie w jego pędzie do ślubnego kobierca?

- Ależ skąd! Macocha-Szwedka zrobiła scenę i oświadczyła, że nie zamieszka w domu, którego panią będzie Carrie. Wyprowadziła się więc z biedną, nijaką siostrą do mieszkania w Putney, za które oczywiście musiał płacić Jardine.

- A czy to nie było najlepsze rozwiązanie? Przecież każdej mężatce łatwiej rozpocząć małżeńskie życie bez teściowej, która by jej sapała za plecami.

- Oczywiście. Carrie była uszczęśliwiona, ale Jardine'a strasznie to zabolowało. Uwielbiał macochę, Bóg jeden wie czemu: była od niego dwadzieścia lat starsza, ważyła ponad sto kilo, miała bardzo jasne oczy, zaciśnięte usta, mówiła z silnym akcentem - och, naprawdę była koszmarna. Po tej awanturze myślałam, że nie przyjdzie na ślub, ale się pokazała i wcale nie kryła wściekłości: straszny zgrzyt w uroczystości zaślubin. Biedna siostra zachowywała się niewiele lepiej: przepłakała całą ceremonię, ale ona przynajmniej płakała ze wzruszenia. Lubiłam ją. Biedactwo, takie okropne miała życie.

Oczywiście, później umarła na raka. Mówię „oczywiście”, bo należała do gatunku ludzi, którzy niechybnie umierają na jakąś okropną chorobę... Dość już tych dygresji. Ma ksiądz świętą cierpliwość, doktorze Ashworth, ale teraz, obiecuję, przejdę od razu do dziecka.

- Niech pani nie przeprasza, lady Starmouth, opis koszarnej macochy mnie zachwyca.

- Cóż, po ślubie zniknęła w mrokach Putney - dzięki Bogu, a Jardine'owie wyruszyli w podróż poślubną. Natychmiast po powrocie Carrie zaczęła szykować pokój dziecienny, więc naturalnie wszyscy sądziliśmy, że... Ale nic się nie działo. W końcu jednak zaszła w ciążę. Kamień spadł nam z serca, a najbardziej Jardine'owi, oczywiście po Carrie. Zaczął rozprawiać z Henrym, do jakich szkół dziecko powinno pójść, a Carrie ostatecznie wykańczała i tak

cudowny pokój dziecienny. Och, jak to jednak nigdy nie można dzielić skóry na niedźwiedziu. Stało się najgorsze i dziecko - chłopiec - przyszło na świat martwe. Lady Starmouth na chwilę umilkła, szukając odpowiednich słów.

- Nie potrafię księdzu opisać, jak strasznym ciosem to się stało dla Jardine'ów. Oczywiście, śmierć dziecka to zawsze tragedia, ale w tym wypadku... Proszę zrozumieć, Carrie głęboko wierzyła, że jej jedynym, prawdziwym talentem jest macierzyństwo. Niełatwo być żoną człowieka obdarzonego błyskotliwą inteligencją i Carrie sądziła, że dzięki macierzyństwu zyska szansę osiągnięcia doskonałości w dziedzinie, którą Jardine darzył szczególnym uznaniem. Sam Jardine zaś gorąco pragnął mieć rodzinę. Chciał odtworzyć życie rodzinne, które zapamiętał z okresu, kiedy jeszcze żyła jego matka, życie, które z pewnością idealizował, ale które stanowiło dla niego spełnienie marzenia o szczęściu domowym. Tak więc jego i Carrie łączyły te silne, głębokie pragnienia i dlatego tak strasznie przeżyli, kiedy przez narodziny martwego dziecka owe pragnienia obróciły się wniwecz. Znowu umilkła. Nie odzywałem się przez chwilę, by w ten sposób zasygnalizować swoje współczucie, po czym spytałem:

- Nie mieli już więcej dzieci?

- Nie, i w pewnym sensie to było w tym wszystkim najgorsze, bo żaden lekarz nie potrafił wytłumaczyć, czemu nic się nie dzieje. Tak więc Carrie ciągle miała nadzieję i Alex też. Kiedyś nawet przyznał, że nie tracił nadziei aż do czasu... jak to powiedzieć... Aż do czasu, kiedy już nie można było się dłużej łudzić. No, proszę! Mówię o nim Alex, to bardzo niewłaściwe mówić po imieniu o kimś, kto nie jest członkiem rodziny, ale znam go od tak dawna, tak blisko się przyjaźnimy i Henry nie gniewa się, jeśli od czasu do czasu wymknie mi się „Alex”, kiedy rozmawiamy o Jardinie... Przypuszczam, że ciekawi księdza moja przyjaźń z biskupem, prawda? - dodała, uśmiechając się pobłażliwie. - Możliwe, że jest ksiądz nawet zszokowany?

- Ależ skąd, czuję jedynie głęboką zazdrość! Słyszałem o tak

zwanych „ślicznotkach doktora Jardine'a", a pani z pewnością dzierży pośród nich palmę pierwszeństwa. Roześmiała się.

- Nie, po prostu muszę księdza włączyć do mojej kolekcji duchownych! Jest ksiądz wyjątkowo czarującym słuchaczem.

- Mógłbym słuchać pani bez końca, lady Starmouth. Proszę mi opowiedzieć coś jeszcze. Westchnęła.

- Doprawdy straszne, jak mało zachęty mi trzeba... Ale o czym jeszcze mogę księdzu opowiedzieć? Mówiłam już o okropnym pochodzeniu, romantycznym małżeństwie, martwym dziecku...

- Niech pani uderzy w lżejszy ton - odparłem - i opowie mi o „ślicznotkach doktora Jardine'a".

v

Oczywiście Alex utrzymywał znajomość z licznymi przedstawicielkami płci przeciwnej - Lady Starmouth maznęła kolejną kreskę na niewyraźnym szkicu - ale tylko my trzy zasługiwałyśmy na miano przyjaciółek. Poznałyśmy go w 1916 roku, pierwszym roku jego pracy w parafii St Mary's. To mnie zaintrygowało.

- Czemu właśnie owego roku był taki skłonny do zawierania przyjaźni?

- Przeprowadzka do Mayfair stanowiła ogromną zmianę w jego życiu i początkowo czuł się bardzo samotny, niepewny.

- Kim są pozostałe dwie panie?

- Sybil Welbeck i Enid Markhampton. Alex przywiązał się do nas, bo niczym mu nie groziłyśmy: wszystkie byłyśmy szczęśliwymi mężatkami, blisko związanymi z Kościołem, nigdy nie zrobiłybyśmy niczego niewłaściwego... Dobrze nieba, jak nudnie to brzmi! Zapewniam jednak, że wszystkie jesteśmy w miarę dowcipne...

- Nie musi mnie pani o tym zapewniać, lady Starmouth, zdumiewa mnie jednak szczęście doktora Jardine'a, który od razu trafił na swoje trzy Ślicznotki. Czy nigdy nie poszerzył kolekcji?
- Nie - odparła, przyglądając się czubkowi ołówka. - Nigdy.
- Czy stało się tak dlatego, że uznał panie za tak wyjątkowe, że żadna kobieta nie mogła się z wami równać?

Roześmieliśmy się, zanim lady Starmouth podjęła lekko:

- Wkrótce po tym, jak nas poznał, biskup się ożenił i mógł się obawiać, że Carrie nie przyjmie spokojnie kolejnych bliskich przyjaciółek.
- Jako kapłan muszę stwierdzić, że na samą myśl, czym grożą takie bliskie przyjaźnie z mężatkami, włosy mi stają dęba.
- Może, ale ksiądz zalicza się przecież do innego pokolenia, prawda? Teraz takie przyjaźnie mogą się wydawać dziwne, ale w czasach mojej młodości nie były niczym nadzwyczajnym. Wojna zmieniła tak wiele rzeczy, a jednym z pierwszych skutków nowej wolności stało się pojawienie *amitié amoureuse*.
- A jednak nie mogę się powstrzymać od myśli, że na miejscu doktora Jardine'a trudno by mi przyszło się powstrzymać od zakochania w którejś z pań.

Lady Starmouth posłała mi kolejny pobłażliwy uśmiech, ale gdy odpowiedziała, w jej głosie brzmiała powaga.

- Mogę księdza zapewnić, że Alex nigdy nie był zakochany ani w Enid, ani w Sybil, ani we mnie. Choć może to zabrzmieć okropnie snobistycznie, ze względu na nasze pochodzenie doktor Jardine nawet by nie pomyślał o jakimkolwiek intymnym związku z którąś z nas. Byłyśmy dla niego nieosiągalne.

Kolejna rzecz, która ogromnie mnie zaintrygowała.

- Nie wiem, czy dobrze panią zrozumiałem - powiedziałem, zastanawiając się, jak ją sprowokować do rozmowy na tak drażliwe tematy, ale lady Starmouth nie potrzebowała zachęty. Zapomniałem, że - w przeciwieństwie do klasy średniej - arystokracja nie uważa seksu za tabu.

- Alex dorastał w otoczeniu kobiet wywodzących się głównie z niższych sfer klasy średniej. Lata spędzone w Oksfordzie dały mu dość pewności, by ożenił się dziewczyną z wyższych sfer klasy średniej, taką jak Carrie Cobden-Smith. Sądzę jednak, że gdyby trafiła mu się szansa intymnego związku z arystokratką, wycofałby się. Za bardzo by go to onieśmiało.

Natychmiast uświadomiłem sobie, że to znaczący szczegół w konstruowanym przeze mnie portrecie Jardine'a. Biskup był bezpieczny w towarzystwie swoich Ślicznotek nie tyle dzięki niewzruszonej cnocie, co barierze psychologicznej, która pozwalała mu trzymać się w ryzach. Jardine zapewne zdaje sobie z tego sprawę: kapłanów uczy się znajomości siebie, aby umieli znaleźć najlepszy sposób panowania nad swoimi słabościami, a on, który tak lubił towarzystwo kobiet, mógł ufać sobie jedynie wtedy, kiedy miał do czynienia z przedstawicielkami płci przeciwnej całkowicie dla niego nieosiągalnymi.

- Skoro już mowa o ślicznotkach - odezwała się lady Starmouth, rysując kafejną kreskę na szkicu - czy zakochał się ksiądz w pannie Christie?

- Pannie Christie!

Tak mnie zaskoczyła, że gwałtownie się wyprostowałem.

- Widziałam płomienne spojrzenia, które jej ksiądz przesyłał wczoraj wieczorem. Drogi doktorze Ashworth, pozwól ksiądz, że skorzystam z przywileju, jaki mi daje mój poważny wiek, i udzielę księdzu przyjacielskiej rady? Proszę dać sobie spokój z panną Christie. Ostatnie dziesięć lat spędziła udowadniając, że mężczyźni jej nie interesują.

- Nie żywi chyba ukrytej namiętności do biskupa, prawda? - odparłem lekko.

- Podejrzewam, że o wiele bardziej prawdopodobne jest, że żywi ukrytą namiętność do Carrie.

- Ależ to niemożliwe! - zawołałem przerażony.

- Biedny doktorze Ashworth, naprawdę się ksiądz zadurzył... Oczywiście, nie sugeruję, że owo uczucie jest odwzajemnione, Carrie uwielbia Alexa. Ale niech mi ksiądz powie: czemu taka atrakcyjna,

inteligentna dziewczyna jak panna Christie zadowala się byciem damą do towarzystwa, skoro miała liczne propozycje małżeństwa, z czego wiele od bardzo dobrze urodzonych mężczyzn?

- A jak Jardine'owie tłumaczą niechęć panny Christie do zmiany stanu? - spytałem nagle.

- Cóż, wersja oficjalna brzmi, że zanim ich poznała, rzucił ją narzeczony, co na zawsze zniechęciło ją do płci przeciwnej. Ale mnie trudno w to uwierzyć. Jak dla mnie, panna Christie wygląda na osobę, która za punkt honoru wzięłaby sobie jak najszybsze wyleczenie się po złamaniu przez narzeczonego słowa.

- Czy doktor Jardine w ogóle o niej z panią rozmawia?

- Jej imię pada od czasu do czasu w naszych rozmowach, ale nie tak często, jak niegdyś. Oczywiście na samym początku ta sytuacja bywała dla niego nie do zniesienia.

Czułem, że zbliżamy się do kwestii trudności, jakie napotyka małżeństwo, które musi ciągle żyć w bliskiej obecności osoby postronnej.

- Nie do zniesienia? - powtórzyłem, żeby zachęcić ją do dalszych zwierzeń. - A czemu to?

- Och, obawiam się, że znowu wychodzi kwestia klasy. Alex nie wychował się w rodzinie, gdzie niektórych członków służby traktowano jak domowników i często obecność osoby postronnej działała mu na nerwy. Na szczęście jednak przeprowadzka do Starbridge najwyraźniej rozwiązała ten problem. Jest tu więcej miejsca dla osób z zewnątrz niż w Radbury, no i wreszcie, cokolwiek by mówić, małżeństwo Jardine'ów jest na tyle udane, żeby wytrzymać próbę stałej obecności kogoś postronnego... Doktorze Ashworth, widzę, że mój mąż do księdza macha. Przypuszczam, że znudziło mu się towarzystwo ryb i szuka jakiejś rozrywki. Ale proszę wrócić do mnie, kiedy już ksiądz go zabawi!

Wymieniliśmy uśmiechy.

- Czy znalazłem się już w pani kolekcji? - spytałem, a kiedy się roześmiała, wstałem, strzepnąłem ze spodni żdźbła trawy i ruszyłem pod wierzby przesłuchać kolejnego świadka.

VI

Miałem nadzieję, że rozmowa przebudzi ryby - odezwał się hrabia, gdy się zbliżyłem. - Albo śpią, albo pozdychały.

Na łące za rzeką pasło się stado krów: typowo angielska scenka rodzajowa, a efektu dopełniał jeszcze lord w sportowym ubraniu. Opierając się o najbliższą wierzbę, po raz kolejny zdałem sobie sprawę z delikatnego czaru, jaki roztaczało wokół siebie Starbridge, szczególnie o tej porze dnia, kiedy ranek przechodził w upalne południe. Dzień zdawał się prowokować do złudnych mirażów. Miałem świadomość, że tak jak ja jestem księdzem udającym szpiega

- a może szpiegiem udającym księdza? - tak samo hrabia jest wielkim posiadaczem ziemskim, który udaje skromnego rybaka. Patrząc na jego otwartą twarz, myślało się, że nie byłby zdolny do gry, ale ta niezwykle atmosfera południa w Starbridge uprzytomniła mi, jak trudno odróżnić prawdę od kłamstwa, nawet u najmniej skomplikowanych istot.

- Podejrzewam, że moja żona rozmawiała z księdzem o biskupie, żeby się upewnić, czy nie zniechęcił się ksiądz do niego po wczorajszym przebłysku nieoszlifowanego diamentu - mówił hrabia.

- Bo kiedy go poznaliśmy, przypominał bez wątpienia nieoszlifowany diament, choć teraz, jeśli tylko zechce, potrafi czarować towarzyskim wyrobieniem.

- Niewątpliwie wczoraj nad portwajnem się starał... Bardzo pana zaniepokoił ów nieoszlifowany diament, kiedy objawił się w parafii St Mary's w 1916?

Lord się uśmiechnął.

- Raczej mnie zaintrygował.

- Nie znał go pan wcześniej?

- Nie, ale słyszałem o nim. Poza tym pisał listy do „Timesa”. Mimo to właściwie nie miałem pojęcia, co to za człowiek, dopóki pewnego wieczoru, kiedy wróciłem z klubu, żona nie powiedziała, że odwiedził nas nowy proboszcz. „Ma piękne, żółte oczy”, oświadczyła, „chrapliwy, ostry głos, nie jest pewien, jak się zachowywać

i po prostu straciłam dla niego głowę!" Cóż, moja żona zawsze miała słabość do duchownych, więc nie brałam jej stwierdzenia serio, ale kiedy następnego niedzieli wysłuchałem jego pierwszego kazania, nagle pojąłem, o co tyle zamieszania. Zwykle w czasie nauki przydrzemywałem, tym razem jednak wysłuchałem całej, co więcej, pod koniec siedziałem na samym brzeżku ławki. Niech mnie kule, pamiętam nawet tekst wyjściowy: „Nie przyszedłem zbawiać sprawiedliwych, ale grzeszników”, a kiedy wbijał nam do głów przesłanie, miało się wrażenie, że od jego głosu kościół drży, a jego oczy lśniły jak u kota. Coś wyjątkowego. Oczywiście, natychmiast zdałem sobie sprawę, że ten człowiek daleko zajdzie.

- A co pan pomyślał, kiedy po raz pierwszy mogliście ze sobą porozmawiać?

- Zaskoczyła mnie jego nieśmiałość. Nieśmiałość i niepewność. Wyrażał się poprawnie, Oksford wyczyścił jego język z wszelkich naleciałości gwarowych, ale albo mówił za dużo i zbyt agresywnie, albo zapadał w milczenie. Okazało się, że to wina zdenerwowania. Kiedy moja żona wzięła go pod swoje skrzydła, oddechowała i zaczęła mu szukać żony, błyskawicznie się rozwinął. Potrzebował jedynie większej pewności siebie w towarzystwie.

- Może nabawił się kompleksów w Oskfordzie.

- Myślę, że tak. Uniwerek potrafi dać niezłą szkołę tym, którzy nie mają odpowiedniego pochodzenia. Zresztą ja sam muszę się przyznać, że na początku znajomości żywiłem do niego pewne uprzedzenia, ale któregoś dnia ostro mi się przeciwstawił. Skrytykował mnie i, dodajmy, słusznie. Pomyślałem wtedy: „Na to trzeba było odwagi”. I szanowałem go za to. Nie był pochlebcą. Chętnie przyjmował tę odrobinę patronatu w postaci, w jakiej roztaczała go nad nim moja żona, ale to nie powstrzymało go od mówienia prawdy w oczy. Bardzo rzadka cecha. To człowiek o wysokim morale. W pełni zasłużył na swój sukces.

- Pańska żona musi się czuć wspaniale widząc, jak jej protegowany wspinał się niemal na szczyt naszej hierarchii kościelnej.

- Tak, zawsze powtarzam, że w niby to drobny, a jednak znaczący sposób przyczyniła się do jego kariery. Potrzebował kogoś, kto by go zapraszał na odpowiednie przyjęcia i dopilnował, by rozwinał cechy niezbędne dla człowieka na jego stanowisku. Pani Welbeck i lady Markhampton też mu w tym pomogły, ale Evelyn należy się największe uznanie.

- Lady Starmouth mówiła mi właśnie o oddanej Jardine'owi grupce Ślicznotek i muszę przyznać, że zżera mnie zazdrość!

- Mnie samemu też się to zdarza! - roześmiał się lord. - Czy zna ksiądz panią Welbeck albo lady Markhampton.

- Z przykrością muszę wyznać, że nie.

- Obie są czarujące. Ale szczerze mówiąc Ślicznotką, która za tamtych dawnych lat naprawdę mi się podobała, była Loretta Staviski. Moja żona na pewno o niej wspomniała. Loretta w przyszłym tygodniu przyjeżdża z Ameryki i ma się u nas zatrzymać. Nie mogę się doczekać, kiedy znowu ją zobaczę.

Zapadła cisza. Rzeka dalej płynęła spokojnym nurtem, krowy nadal pasły się na łące. Spojrzałem na hrabiego, który wpatrywał się w wodę, szukając śladu ryby; zerknąłem na hrabinę, która ciągle pracowała nad szkicem i usłyszałem, jak najbardziej swobodnym tonem, na jaki mnie było stać, mówię:

- Nie, pańska żona nic o niej nie wspominała. Kto to jest?

Rozdział czwarty

„Któż z nas nie wie, że żaden kapłan - nawet jeśli się najusiłniej starał - nie może podtrzymać swego duchowego wpływu, jeśli jego życie domowe jest nieuporządkowane i nieszczęśliwe?”

Herbert Hensley Henson, biskup Durham w latach 1920-39, *The Bishoprick Papers*

I

Kiedy wróciłem do lady Starmouth, właśnie przyglądała się krytycznie swojemu szkicowi.

- Obawiam się, że nie jest najlepszy - mruknęła. - Zdaje się, że wyszłam z wprawy. I jak tam ryby?

- Wedle tego, co mówił pani mąż, albo śpią, albo pozdychały. Przez chwilę stałem nieruchomo, obserwując ją. Potem spytałem

od niechcienia:

- Lady Starmouth, mam nadzieję, że nie uzna mnie pani za impertynenta, ale czy mogę spytać, dlaczego opowiadając o „ślicznotkach doktora Jardine'a" nie wspomniała pani o profesor Staviskiej? Zareagowała błyskawicznie.

- Loretcie?

- Pani mąż właśnie mi o niej powiedział. A więc było was cztery? Nie trzy?

- Bardzo krótko, w czasie wojny.

Lady Starmouth wyrwała kartkę ze szkicownika, zmiała rysunek w kulę i odłożyła ołówek do pudełka. Nic nie mówiła i jej milczenie tak kontrastowało z uprzednią elokwencją, że poczułem się zobowiązany do przeprosin.

- Przepraszam... Najwyraźniej panią uraziłem.

- Drogi doktorze Ashworth... - lady Starmouth mówiła tonem osoby, która znalazła się w nieznośnej sytuacji - oczywiście, że mnie ksiądz nie Uraził! Jestem tylko zła na siebie, że nie wspomniałam o Lorecie. To zupełnie naturalne, że zaciekawiło księdza, czemu ją pominęłam, skoro tak ochoczo rozprawiałam o przeszłości biskupa. Prawda jest bardzo prosta. Nie mówiłam o niej, ponieważ Alex nie widział jej od czasu, kiedy w 1918 roku wróciła do Ameryki. Dlatego też trudno ją w tej chwili zaliczyć do Ślicznotek.

- Od tamtej pory nie odwiedziła Anglii? Kolejna cisza.

- Proszę o wybaczenie, moje wścibstwo jest niedopuszczalne.

- Chciał ksiądz powiedzieć: zrozumiałe. To jasne, że intryguje księdza, czemu tak się płaczę. - Nagle zupełnie niespodziewanie się roześmiała. - Dobrze nieba, można by pomyśleć, że staram się ukryć jakiś mroczny sekret, podczas gdy ja usiłuję jedynie ukryć swoje własne zawstydzenie!

- Lady Starmouth, proszę, niech pani nic więcej nie mówi! Żałuję, że w ogóle...

- Drogi młodzieńcze, teraz pan się zachowuje, jakby za tym wszystkim kryła się jakaś mroczna tajemnica! Zdaje się, że najrozsądniejsze, co w tej sytuacji mogę zrobić, to wyjaśnić wszystko, nim zacznie ksiądz kusić, by puścić wodze swej bujnej wyobraźni. Muszę jednak prosić o dyskrecję. Historia nie jest skandaliczna, tylko smutna i nie chcę, by się rozniosła.

- Daję pani słowo, że wszystko, co usłyszę, zachowam w najgłębszej tajemnicy.

- Bardzo dobrze, w takim razie pozwoli ksiądz, że mu wyjaśnię: Loretta rzeczywiście odwiedzała po wojnie Anglię, ale nie utrzymują

z Alexem żadnych kontaktów. Z przykrością muszę wyznać, że choć Alex zawsze odnosił się do niej we właściwy sposób, Loretta zakochała się w nim i ich platoniczna przyjaźń zaczęła zmierzać w fatalnym kierunku.

II

Proszę mi wybaczyć, lady Starmouth - powiedziałem - ale prawdę mówiąc, nie potrafiłem powstrzymać myśli, że owe platoniczne przyjaźnie doktora Jardine'a są trochę zbyt piękne, by mogły być prawdziwe. Nadal twierdzę, że każdy duchowny, który wdaje się w bliskie związki z płcią przeciwną, igra z ogniem.

- Cóż, w takim razie, muszę przyznać, że się sparzył... Doktorze Ashworth, niechże ksiądz usiądzie, nie mogę się skupić, kiedy ksiądz tak nade mną stoi. Mam wrażenie, jakbym była przesłuchiwana. Natychmiast usiadłem na trawie, ale przerwała moje próby przeprosin. .

- Nie oczywiście wiem, że mnie ksiądz nie przesłuchuje, to moja wina że wcześniej zachęcałam księdza do dalszych pytań, ale mm zamknę się niczym ostryga, pozwoli ksiądz, że opowiem mu więcej o Lorecie. Wtedy zrozumie ksiądz, czemu dla jej dobra chcę uważać całą sprawę za zamkniętą. Poznałyśmy się w 1917 roku, ale słyszałam o niej od lat: moja matka, która była Amerykanką, przyjaźniła się w dzieciństwie z jej matką i nadal utrzymywały kontakt. Kiedy Loretta przyjechała wreszcie do Anglii, była w okropnej sytuacji. Wyszła wcześniej za męża za tego Staviskiego, który służył w dyplomacji. Kiedy Ameryka przystąpiła do wojny, przeniesiono go z Waszyngtonu do Londynu i niemal natychmiast po ich przyjeździe do Anglii małżeństwo się rozpadło.

- Rzucił ją?

- To ona jego rzuciła. Ale wina była po jego stronie - skutecznie zatruwał jej życie, więc nie wahałam się przyjść jej z pomocą. Mieszkała u nas, dopóki nie przyszła do siebie i oczywiście wkrótce

poznała Alexa. Cóż, mówiąc krótko, tak świetnie udawało jej się ukrywać swoje uczucia, że przez dłuższy czas ani ja, ani Alex nie mieliśmy pojęcia, że była w nim zakochana. W pewnym momencie prawda wyszła na jaw i Alex został zmuszony do zakończenia tej przyjaźni. Loretta ciężko to przeżyła. Ogromnie mi jej było szkoda. Była to ogromnie niezręczna, budząca współczucie sytuacja - zresztą jak każda nieodwzajemniona miłość - i później umówiliśmy się, że nigdy więcej o tym nie wspomnimy.

- Co się stało później z Loretą?

- Po powrocie do Ameryki poświęciła się karierze naukowej i teraz wykląda historię w college'u gdzieś na wschodnim wybrzeżu. Nigdy powtórnie nie wyszła za mąż i do tej pory nie wiem, czy to jeszcze kiedyś zrobi. Jest o wiele młodsza ode mnie, może jakieś kilka lat starsza od księdza i choć ma dość przeciętną urodę, niewątpliwie można ją uznać za atrakcyjną... Co prawda mężczyźni zwykle nie przepadają za zbyt inteligentnymi kobietami.

Ale ja pomyślałem o doktorze Jardinie, który mógł z Loretą prowadzić inteligentne dyskusje na wszelkie tematy, co w domu mu nie groziło, i nie mogłem się powstrzymać od pytania:

- Dla doktora Jardine'a utrata tej przyjaźni musiała być bolesna; czy nigdy nie kusilo go, by spotkać się z Loretą w czasie jej wizyt w Anglii?

- Jak? Jak mógł dążyć do odnowienia przyjaźni, która była dla niej tak bolesna, a dla niego kryła tak wielkie potencjalne niebezpieczeństwo?

- A czy sama Loretta nie czuła pokusy, by...

- To jednak prawdziwe przesłuchanie! Drogi doktorze Ashworth, czy aby nie za bardzo stara się ksiądz wypróbować na mnie siłę swego niewątpliwego uroku?

W duchu zwymyślałem się za wścibstwo i próbowałem się gładko wycofać.

- Ogromnie przepraszam, lady Starmouth, ale wielu duchownym zdarza się znaleźć w podobnej co doktor Jardine sytuacji i obawiam

się, że zainteresowanie tematem wzięło górę nad dobrym wychowaniem. Naprawdę bardzo przepraszam. Przyjrzała mi się bacznie, ale postanowiła okazać pobłażanie.

- Nie mam nic przeciwko współczującemu zainteresowaniu

- stwierdziła - ale może to i dobrze dla księdza, że mam słabość do kapłanów... Niebiosa, idzie pani Cobden-Smith!

Wstała, złożyła stołek i zabrała swój sprzęt malarski.

- Za karę, doktorze Ashworth, będzie ksiądz musiał słuchać z wielkim zainteresowaniem na twarzy opowieści, jak ona wraz z pułkownikiem cywilizowali Indie.

- Wyglądacie, jakbyście ucieli sobie bardzo przyjemne *tete d tete** - zawołała pani Cobden-Smith zbliżając się do nas.

- Właśnie namawiałam Carrie, żeby się ubrała. Po bezsennej nocy leżenie w łóżku niewiele pomoże. Poradziłam jej, żeby wstała i poszukała sobie jakichś zajęć, żeby wieczorem nie miała sił na nic, tylko spanie. Pamiętam, kiedy mieszkałam w Indiach.

- Mówiłam tylko doktorowi Ashworthowi, jak ciekawe pani snuje opowieści o Indiach... Wybaczcie, ale muszę pojsc do Carrie - przerwała lady Starmouth i uciekła czym prędzej przez trawnik.

Mój kolejny świadek pojawił się na scenie z doskonałym wyczuciem czasu. Pokonując niechęć, uśmiechnąłem się do pani Cobden-Smith i zaproponowałem, abyśmy usiedli w ogrodzie na ławce i powygrzewali się na słońcu.

III

Miło na chwilę przysiąść - powiedziała pani Cobden-Smith. - Biegałam po mieście, szukając koniny dla psa i odpowiedniego syropu od kaszlu dla Willy'ego. Jeśli Willy nie wypije na noc porcji syropu, kaszle jakby miał sobie płuca wypluć, a George robi się leniwy jeśli nie dostanie trzy razy w tygodniu koniny. A skoro

już o lenistwie mowa, zdaje się, że nie spieszo panu do pracy, młody człowieku. Sądziłam, że będzie ksiądz spędzał czas nad książkami w katedralnej bibliotece, a nie nadskakując lady Starmouth! Jest ksiądz równie niepoprawny jak Alex, on też lubi nadskakiwać, choć oczywiście w jego wypadku wynika to z chęci rozkoszowania się faktem, że on, Adam Jardine z Putney, stał się ulubieńcem wyższych sfer. Wiedział ksiądz, że Alex przez trzydzieści siedem lat swego życia nosił imię Adam? To jego pierwsze imię. Ale kiedy Carrie się w nim zakochała, powiedzieliśmy jej tak: „Kochanie, po prostu nie możesz wyjść za kogoś, kto się nazywa Adam Jardine - to brzmi jak imię jakiegoś ogrodnika!" Dowiedziała się więc, że na drugie miał Alexander, i przechrzciliśmy go na Alexa. Jego macocha była wściekła, nie pojmuję dlaczego.

Wreszcie trafiła mi się okazja zabrania głosu i pomyślałem, że podsunęła mi świetny punkt zahaczenia.

- Co za zbieg okoliczności! - zawołałem. - Lady Starmouth właśnie opowiadała mi o macosze doktora Jardine'a.

- Wszyscy, którzy ją znali, zgadzali się, że była okropna - oświadczyła pani Cobden-Smith, wyraźnie nie czując się zobligowana do zachowania dyskrecji na temat nieżyjącej członkini rodziny szwagra jej męża. - Bardzo dziwna kobieta, Szwedka, a przecież wiemy, że Skandynawowie to specyficzna rasa. Wystarczy spojrzeć na ich sztuki.

Nie zwracając uwagi na sposób, w jaki rozprawiła się z geniuszami współczesnego teatru, ciągnąłem temat macochy.

- Mówiono mi jednak, że biskup był do niej ogromnie przywiązany.

- Oddany. Bardzo dziwne. Carrie jej nienawidziła, ale po śmierci siostry Alexa trzeba było coś ze staruszką zrobić, zwłaszcza że reumatyzm przykuł ją do wózka inwalidzkiego. Alex oczywiście oświadczył, że macocha z nimi zamieszka. Koszmarne. Biedna Carrie. Brak słów na opisanie bałaganu, jaki ta decyzja wywołała.

- I jak pani Jardine sobie poradziła?

- Dobrze pytanie - odparła pani Cobden-Smith, używając swego ulubionego, jak wkrótce się miałem przekonać, stwierdzenia. - To było pięć lat temu, zaraz po tym, jak przenieśli się z Radbury do Starbridge i Carrie przechodziła istne... nieważne, to był dla niej dość trudny okres i wszystko stało na głowie. Powiedziałam Willy'emu: „Carrie nie wytrzyma tego nerwowo, sam zobaczysz”, ale oczywiście nie wzięłam pod uwagę panny Christie. Staruszka ogromnie się do niej przywiązała, wręcz niewiarygodnie, nie sprawiała Carrie najmniejszych kłopotów, aż wreszcie po pół roku zmarła. Powiedziałam Willy'emu: „Ta Christie to istna cudotwórczym”.

- Czy jest jakiś problem, z którym panna Christie by sobie nie poradziła?

- Dobrze pytanie - powtórzyła jeszcze raz pani Cobden-Smith.

- Muszę przyznać, że aż dziw brał patrzeć, jak sobie radziła ze staruszką. Pamiętam, że przyszło mi raz na myśl, iż są do siebie ogromnie podobne; nie z urody, oczywiście: starsza pani ważyła chyba z tonę, podczas gdy panna Christie jest taka drobniutka, ale istniało między nim dziwne podobieństwo charakterów. Podejrzewam, że staruszkę w młodości cechowała ta sama chłodna fachowość, którą tak pięknie wykazuje się teraz panna Christie. Prawdziwa matka Alexa zmarła, kiedy miał sześć lat, ojciec został z ósemką dzieci, z czego żadne nie skończyło dwunastu lat. Macocha przywróciła w domu ład - podobnie jak panna Christie przyniosła ze sobą porządek, gdy nastąpiła w Radbury.

Miałem do wyboru dwa tematy, na które naprowadzić rozmowę. Kusiło mnie, by spytać o Radbury, ale równocześnie chciałem dowiedzieć się czegoś więcej o niejasnym pochodzeniu Jardine'a.

- Co się stało z resztą rodzeństwa Jardine'a? - zapytałem w końcu.

- Jedna siostra postradała zmysły i umarła w szpitalu dla obłąka-

nych, trzej bracia wyjechali na tereny kolonii i umarli z przepicia albo i czegoś gorszego, jeden został w Londynie, zbankrutował i się powiesił, a ostatni po prostu zniknął. Tak więc została młodsza z sióstr, która później opiekowała się staruszką, i Alex.

- A więc należy uznać za cud, że doktor Jardine to przeżył!

- To zasługa bożej opatrności - oświadczyła pani Cobden-Smith z typową pewnością siebie osoby świeckiej, który zawsze doskonale przenika zamysły boże. - Oczywiście nikt z nas nie wiedział właściwie, co się tam działo, ale mnie przez te wszystkie lata udało się zebrać sporo tragicznych szczegółów i nie mam najmniejszych wątpliwości, że warunki, w jakich dorastał, były koszmarnie. Sporo rozmawiałam z siostrą Alexa, Edith - miła kobieta, przeraźliwie pospolita, ale miła - i od czasu do czasu wymknęło jej się jakieś słówko, od którego włosy mi stawały dęba.

- Lady Starmouth też ją lubiła, wspominała, że tamta miała straszne życie.

-i Niewypowiedzianie. Ojciec był niespełna rozumu, niestety nigdy tego nie udowodniono, ale wyraźnie miał w głowie nie po kolei. Cierpiał na manię religijną i wszędzie widział grzech, tak więc nie pozwalał dzieciom uczęszczać do szkoły, żeby ich nie zepsuto.

- Więc jakim cudem doktor Jardine znalazł się w Oksfordzie?

- Dobre pytanie - po raz kolejny powtórzyła pani Cobden-Smith zadowolona z wdzięcznej widowni. - To zasługa macochy. Kiedy miał czternaście lat, posłała go do szkoły i goniła do nauki, póki nie zdobył stypendium.

- W takim razie - powiedziałem - skoro doktor Jardine tak wiele zawdzięczał macosze, czyż nie należało jej się, żeby ostatnie kilka lat życia spędzić w pałacu biskupim?

- Sądzę, że tak - przyznała niechętnie pani Cobden-Smith - choć Carrie nieco inaczej to widziała.

Dzięki Bogu, że panna Christie zapanowała nad staruszką, zanim biedna Carrie nie przeszła kolejnego załamania nerwowego!

- Kolejnego załamania nerwowego? To znaczy?

- Ojej, nie powinnam była tego mówić, Willy byłby na mnie zły. Ale z drugiej strony jest publiczną tajemnicą, że Carrie ma wątle nerwy. Ileż razy kiedyś jej powtarzałam: „Carrie, musisz się zdobyć na większy wysiłek, po prostu nie możesz się kłaść do łóżka i poddawać!” Obawiam się jednak, że ona po prostu nie umie walczyć. Z przyjemnością muszę stwierdzić, że ja jestem zupełnie inna: zawsze walczę i nigdy nie ustaję w wysiłkach! Kiedy byłam w Indiach....

Pozwoliłem jej rozprawiać o Indiach i czekałem na zdanie, które pozwoli mi wrócić do tematu załamania nerwowego pani Jardine. W myślach tłoczyły się postacie z przeszłości doktora Jardine'a: ojciec dziwak, przegrane rodzeństwo, ocalała siostra, która „nie wiedziała jak trzymać filiżankę z herbatą”, tajemnicza macocha-Szwedka, która wywarła tak znaczący wpływ na jego życie - a później, po latach ciemności, czas światłości i nowy świat, w którym pojawiają się nowi ludzie: Carrie i Cobden-Smithowie, obdarzona subtelnym czarem lady Starmouth i mądra Amerykanka, która usiłuje wrócić do siebie po zupełnie nieudanym małżeństwie.

- ...zupełnie nieudane małżeństwo - stwierdziła pani Cobden--Smith, opowiadając, ile szczęścia miała Carrie, uniknąwszy związku z oficerem armii kolonialnej. - Nie przeżyłaby w Indiach, nie wytrzymałaby klimatu.

- Zapewne nie, też tak sędzę. Pani Cobden-Smith, skoro mówimy

O wytrzymywaniu...

- Oczywiście, często Carrie trudno było wytrzymać w roli żony proboszcza - podjęła pani Cobden-Smith, sama wracając do tematu

i oszczędzając mi ryzyka bezpośredniego pytania o trudności, jakie napotkała pani Jardine w Radbury.

- Choć, o ironio!, pod wieloma względami idealnie się nadaje na żonę duchownego: wszyscy za nią przepadają, jest bardzo dobrą, oddaną, przyjacielską osobką, ale powinna była wyjść za przeciętnego księdza, a nie za zionącego ogniem buntownika, który co jakiś czas wstrząsa posadami Kościoła

anglikańskiego. To doprawdy straszliwe nieszczęście, że nie mają dzieci. Oczywiście, dzieci potrafią doprowadzić człowieka do obłędu, nie szaleję za nimi, ale cementują małżeństwo, a choć Alex i Carrie są do siebie ogromnie przywiązani, nawet zupełnie postronny obserwator zauważy, że niewiele ich łączy. Jakież to było okropne, kiedy w 1918 urodziło im się martwe dziecko! Nic dziwnego, że Carrie kompletnie się załamała, biedactwo.

- Czy właśnie wtedy miała owo załamanie...

- Właściwie to nie można tego nazwać załamaniem nerwowym - chciała naprawić swój błąd pani Cobden-Smith. - Przesadziłam Załamanie nerwowe jest wtedy, kiedy człowiek chodzi po ścianach i trzeba go zabrać do kliniki, prawda? A u Carrie to wyglądało zupełnie inaczej. Całymi dniami leżała na szezlongu płacząc a kiedy wreszcie nabrała sił, żeby wstać, zaczęła chodzić do spirytystów próbując nawiązać kontakt ze zmarłym dzieckiem. Postawiła w ten sposób Alexa w bardzo niezręcznej sytuacji: żona duchownego, która uczęszcza na seanse spirytystyczne, dlatego postanowiono, że Carrie powinna wyjechać z rodzicami na jakiś czas na wieś. Świetnie jej to zrobiło, dzięki Bogu, i wszystko było dobrze, póki nie przeprowadzili się do Radbury.

- Rzeczywiście, obito mi się o uszy, że ta przeprowadzka stała się dla nich nieco kłopotliwa...

- Biedna Carrie! Och, że też Alex nie został proboszczem jakiejś niewielkiej parafii na głębokiej prowincji! Ale nie, wysłali go do Radbury, do tej wielkiej, niezgrabnej katedry, a Carrie, jako żona dziekana, nagle znalazła się na świeczniku: setki nowych ludzi wszyscy mieszkańcy okolic katedry przyglądali się jej krytycznie czekając aż popełni błąd, nowe obowiązki, niemal co wieczór trzeba było wydać przyjęcie, żona biskupa zadzierała nosa z wysokości swego biskupiego pałacu, a żony kanoników wtrącały się jak mogły...

- Kiedy pani Jardine uznała, że musi zatrudnić kogoś do pomocy w wywiązywaniu się z tych obowiązków?

- To Alex podjął tę decyzję, nie Carrie. Carrie bardzo szybko

doszła do stanu, kiedy nie potrafiła podjąć najmniejszej decyzji, choć oczywiście, nie miała załamania nerwowego. Nie. Tylko co dzień wychodziła do sklepów i kupowała rzeczy, których zupełnie nie potrzebowali - dzięki temu na chwilę zapominała o kłopotach - a kiedy nie kupowała, była ciągle tak zmęczona, że musiała leżeć w łóżku. Wreszcie kupiła naprawdę obrzydliwą tapetę - ponoć krzyk mody - i Alex uznał, że potrzebny jej ktoś, kto miałby na nią oko w czasie jej wycieczek do miasta. Tak pojawiła się panna Christie i natychmiast się okazało, że to istny skarb. Alex często mawiał O niej, że to prawdziwy dar boży.

- Biskup musiał się niepokoić o żonę - wtrąciłem, specjalnie bagatelizując sprawę w nadziei, że w ten sposób sprowokuję rozmówczynię do dalszych zwierzeń.

Ale pani Cobden-Smith tylko niezręcznie potaknęła i zaczęła się kręcić, jakby wreszcie zdała sobie sprawę, że być może jej słuchacz wyczytał z jej szczerych wypowiedzi więcej niż zamierzała wyjawić. Podejrzewam, że jak każdy, komu brak wyobraźni, nie potrafiła zgadnąć, co się dzieje w umyśle drugiej osoby.

- Skąd pochodzi panna Christie? - spytałem, zmieniając temat, żeby wyzwolić ją z niezręcznej sytuacji.

- Z okolic Norfolk, jednej z tych wsi, gdzie roi się od prosiaków i słyhać tylko chrząkanie świń. Oczywiście, jest z rodziny, w której byli duchowni.

- To dobrze się złożyło. Ale, pani Cobden-Smith, jednego nie potrafię zrozumieć, jeśli chodzi o pannę Christie: czemu nigdy nie wyszła za męża?

- Ha! - zawołała pani Cobden-Smith. - Sami chcielibyśmy wiedzieć! Krążą pogłoski, że kiedyś rzucił ją narzeczony, ale moim zdaniem puściła tę historię w obieg, żeby ukryć prawdziwy, znacznie mniej chwalebny powód, dla którego pozostaje niezamężna.

- Naprawdę? - spytałem. - A jakież to?

- Podejrzewam - zniżyła konfidencjonalnie głos - że pannę Christie zżera żądza władzy.

IV

Ogarnęło mnie tak absurdalne poczucie rozczarowania, że omal nie roześmiałem się w głos, na szczęście jednak pani Cobden-Smith za bardzo była zajęta przekonywaniem mnie do swojej teorii, żeby zwracać uwagę na wyraz mojej twarzy.

- Oczywiście, bardzo rozpowszechnione jest mniemanie, jakoby panna Christie kochała się w Alexie, ale to nonsens; nie potrafię sobie wyobrazić, żeby ktoś taki jak ona marnował dziesięć najlepszych lat życia na z góry skazane na niepowodzenie uczucie do żonatego mężczyzny. Nie, i niech ksiądz zapamięta moje słowa, doktorze Ashworth, jej zależy wyłącznie na władzy. To się zdarza, nie wszystkie kobiety marzą o zamążpójściu i wydaje mi się, że panna Christie po prostu przepada za tym, co tutaj robi: rządzić w pałacu, zajmować się Carrie, pomagać biskupowi, spotykać wysokich urzędników Kościoła i członków arystokracji, takich na przykład jak Starmouthowie. Moim zdaniem - podsumowała pani Cobden-Smith - panna Christie to jeden z przykładów współczesnej kobiety, która poślubia swą pracę.

Zapanowawszy nad wewnętrznym śmiechem, zorientowałem się, że teoria pani Cobden-Smith nie była taka znowu pozbawiona sensu, a z pewnością pociągała mnie znacznie bardziej niż podejrzenia lady Starmouth, jakoby panna Christie była lesbijką. Mimo to jednak, zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, pani pułkownikowa zawołała:

- Ach, jest i Carrie! Zeszła w samą porę na lunch, dzięki Bogu! O, i przyszedł Willy z George'em! Wybacz ksiądz, doktorze Ashworth? Muszę dopilnować, żeby George zjadł swoją porcję koniny. Szybkim krokiem oddaliła się przez trawnik i gdy tylko zostałem sam, zdałem sobie sprawę, jak bardzo mi gorąco. Postanowiłem udać się do pokoju i przebrać przed posiłkiem, w drodze porządkowałem informacje, których dostarczyli mi moi rozmówcy.

Nim dotarłem na taras, pani Cobden-Smith zniknęła wraz z puł-

kownikiem i George'em, ale pani Jardine oczekiwała mnie z ciepłym, serdecznym uśmiechem. Teraz, kiedy wiedziałem już o niej więcej, dostrzegałem w nim gorycz i ponownie zdałem sobie sprawę z rzeczywistości, która wyłaniała się zza zasłony złudzeń upalnego południa w Starbridge.

- Jak się pani czuje, pani Jardine? - spytałem, wchodząc po stopniach na taras. - Zmartwiła mnie wiadomość o pani złym samopoczuciu.

- Och, czuję się już znacznie lepiej, dziękuję. Tyle zamieszania z tą moją bezsennością! Widać wypiliśmy wczoraj za dużo kawy i kiedy się położyłam, zaczęłam myśleć o księdza biednej żonie i dziecku, i... Cóż, sam ksiądz chyba wie, jak to jest, kiedy myśli człowiekowi tak się kręca, wirują, szczególnie nad ranem... Nagle ogarnęło mnie dziwne przerażenie, nie wiem, czemu, czasami zdarzają mi się momenty paniki, szczególnie w takie upalne dni. Jak ksiądz sądzi, doktorze Ashworth, czy nie nadchodzi burza? Jest tak parno, w powietrzu wisi coś groźnego i czuję się, jakby miało się wydarzyć coś okropnego.

Na niebie nie widziałem ani chmurki i choć panował upał, można było wyczuć nieco wilgoci.

- Zgadza się, że jest bardzo ciepło - powiedziałem miękko. - Może wejdziemy do środka? - i ruchem ręki wskazałem, żeby ruszyła przede mną, ale pani Jardine wahała się, rozglądając się niepewnie po tarasie.

- Zastanawiałam się, czy nie powinniśmy tutaj wypić koktajli przed obiadem, ale nie mogę się zdecydować. Alex nigdy nie pije w południe, ale mój brat i bratowa mają to w zwyczaju, tak samo Starmouthowie. A ksiądz? Czy pija ksiądz coś w południe?

- Nie, zwykle nie.

Za otwartymi drzwiami balkonowymi dostrzegliśmy pannę Christie, która wraz z lokajem weszła do salonu.

- Nie, na dworze jest za gorąco - usłyszałem jej głos i służący zostawił tacę z kieliszkami na stoliku.

- Lyle mówi, że na dworze jest za gorąco - stwierdziła pani

Jardine, zadowolona, że ktoś za nią podjął decyzję. - Doktor Ashworth też nie pije w południe koktajli, kochanie - zawołała do dziewczyny - więc trzeba przygotować jeszcze jedną lemoniadę.

- Tak, też tak myślałam - powiedziała panna Christie, wychodząc na taras i dołączając do nas. - Witam po raz kolejny, doktorze Ashworth. Mam nadzieję, że dobrze się księdzu opalało w sutannie.

- Rzeczywiście, bardzo dobrze - odparłem. - Co więcej, ranek był tak przyjemny, że popołudnie postanowiłem spędzić równie miło. Wybierze się pani ze mną na przejażdżkę po obiedzie?

Panna Christie ustąpiła o krok, a ja zająłem całe pole. Przynajmniej nikt nie będzie mógł mi zarzucić, że nie korzystałem z okazji, ale panna Christie zdaje się żałowała swego ustępstwa.

- Nie jestem panią siebie, doktorze Ashworth - oświadczyła bez wahania. - Mam tu swoje obowiązki.

- Och, ale ja przecież całe popołudnie będę odpoczywać! - protestowała pani Jardine. - Proszę, pojedź z doktorem Ashworthem, najmiłsza, czemu nie?

- Rzeczywiście, czemu nie? - rozległ się znajomy, ostry głos i kiedy się obróciłem, zobaczyłem, że doktor Jardine przygląda mi się, stojąc w progu salonu.

V

Zapadło milczenie. Zerknąłem na pannę Christie, ale ona już zdążyła dojść do rozsądnej konkluzji, że mniej niezręcznie będzie teraz przyjąć zaproszenie niż odmówić.

- Dziękuję - powiedziała uprzejmie. - Chętnie wybiorę się na przejażdżkę - i minawszy biskupa schroniła się do salonu, gdzie służący właśnie postawił duży dzbanek lemoniady.

- Nieznośne gorąco, prawda? - odezwał się Jardine, kiedy przyglądałem się, jak służący i panna Christie znikają w hallu.

- Carrie, wyglądasz, jakbyś miała lada chwila dostać udaru słonecznego. Chodź natychmiast do środka.

- Tak dziwnie się czuję, Alex.

- Proponuję, byśmy nie zwlekali ani chwili i czym prędzej zabrali się do naszych lemoniad.

W zacienionym salonie panował cudowny chłód, ale kiedy pani Jardine przysiadła na sofie, dostrzegłem nerwowe ruchy jej dłoni i silniej niż kiedykolwiek do tej pory wyczułem jej napięcie.

- A więc, doktorze Ashworth? - zwrócił się do mnie Jardine, podając szklanekę lemoniady najpierw żonie, a potem, drugą, mnie.

- Czy nie myślę się, uważając, że perły biblioteki katedralnej nie zrobiły na księdzu wrażenia? O ile zdążyłem się zorientować, ranek spędził ksiądz na pogawędce z jedną piękną kobietą, a teraz zamierza spędzić popołudnie na rozmowie z drugą.

- Spędziwszy dobrą godzinę na podziwianiu pereł biblioteki katedralnej - odparłem z uśmiechem - stwierdziłem, że zasłużyłem na kilka chwil.

- ...podziwiania wdzięków lady Starmouth. Całkowicie się zgadzam.

Biskup starał się nadać głosowi rozbawiony ton, czułem jednak, że owo rozbawienie jest wymuszone, i zacząłem się czuć niezręcznie.

- A mnie się wydawało, że rozmawiał ksiądz z Amy, me lady Starmouth! - W głosie pani Jardine brzmiało ogromne zdumienie.

- Och, zdaje się, że doktor Ashworth rozmawiał z każdym, kogo spotkał na drodze - stwierdził biskup i tym razem wyraźnie dosłyszałem kąśliwą nutę. - Cierpi chyba na nieopanowaną żądzę okazania towarzyskiej strony swego charakteru.

- Ze mną nie rozmawiał - oświadczył pułkownik Cobden-Smith, wchodząc do pokoju, podczas gdy ja zacząłem się zastanawiać, czy lady Starmouth nie poskarżyła się na moje wścibstwo.

- To dlatego, że w taki upał ćwicyłeś tego nieszczęsnego psa, sam się napraszając o atak serca. A teraz pewnie jeszcze zażądasz różowego ginu!

- Upał jest taki szkodliwy - przemówiła z ogromnym niepokojem pani Jardine, nim pułkownik zdołał odpowiedzieć. - Jestem pewna, że zanosi się na burzę, choć zgodnie z prognozą pogody...

- Na miłość boską, Carrie! - zawołał biskup, nie potrafiąc zapanować nad irytacją. - Przestań mówić o pogodzie!

Pani Jardine zaczęła płakać.

- Niebiosa, ratunku - mruknął Jardine, podczas gdy ja i pułkownik staliśmy znieruchomiali, i krzyknął na cały głos: - Lyle!

Na scenę wkroczyła panna Christie. Miało się wrażenie, jakby stała za kulisami, czekając, aż zostanie wezwana.

- Lyle, Carrie nie wytrzyma upału. Zrobiłabyś z tym coś, dobrze? - poprosił biskup i pochyliwszy się niezręcznie nad żoną, ucałował ją w czoło i wymamrotał: - Przepraszam.

- Kochanie - zwróciła się do pani Jardine panna Christie - musisz wypić całą lemoniadę, od razu lepiej się poczujesz. To bardzo ważne, żeby w czasie upałów przyjmować dużo płynów.

- Może i ja powinienem regularnie zażywać lemoniady, żeby uniknąć skłonności do wybuchów po jałowym poranku w gabinecie - zauważył Jardine. - Właśnie czytałem listy, które przyszły w związku z nowym kodeksem małżeńskim. Ludzie myślą mnie z Jardine'em odpowiedzialnym za ślub Edwarda VIII i teraz, jeszcze goręcej niż przedtem, żałuję, że ów nieszczęsny kapłan nie nosił innego nazwiska. To była zręczna próba skierowania rozmowy na bezpieczniejsze tory, ale zanim udało się przywrócić pogodną atmosferę, zjawiała się pani Cobden-Smith.

- Willy, George nie chce jeść swojej koniny. Jak sądzisz... Ojejku, co tu się dzieje? Carrie, kochanie, po prostu bardziej się postaraj. Rozumiem, że upał jest męczący, ale...

- Amy - przerwał biskup - czy byłabyś tak dobra i zechciała przestać traktować moją żonę, jakby była hinduską chłopką, którą musi oświecić angielska *rani*!

- Ależ Alexie, doprawdy...

- Pani Cobden-Smith - odezwała się panna Christie z nieoczekiwanym czarem - czy mogłabym skorzystać z pani ogromnej uprzejmości i prosić o pomoc w zaprowadzeniu Carrie na górę? Po pobycie w Indiach musi mieć pani ogromne doświadczenie w pielęgnacji osób porażonych przez słońce. Pani pomoc będzie nieoceniona. Jak pani sądzi, czy należy wezwać lekarza?

- Nie ma takiej potrzeby - oznajmiła pani pułkownikowa udobruchana - ale może rzeczywiście powinna się położyć. Chodźmy, Carrie.

I ten niefortunny moment wybrał sekretarz, żeby wpaść do salonu ze złymi nowinami.

- Księżę biskupie, znowu dzwoni archidiakon i jest w stanie ostatecznej paniki!

- Och, niech lichy porwie archidiakona! - wybuchnął biskup. - I niech lichy porwie ten przebrzydły wynalazek, jakim jest telefon!

Ale skorzystał ze sposobności, żeby zręcznie się wymknąć z niezręcznej sytuacji, którą spowodował przez swój brak opanowania.

VI

Byłem zdumiony, jak szybko przywrócono porządek. Pani Jardine pod kierunkiem panny Christie wychyliła całą lemoniadę i oświadczyła, że czuje się lepiej. Przyszli Starmouthowie i zastanawiali się, czego się napiją. Równocześnie słyszałem, jak Cobden-Smithowie dyskutują nad stanem zdrowia George'a, który w tej samej chwili przyczłapał do salonu. Panna Christie przywołała służącego, polecając mu dolać lemoniady, ale nim zdążyłem spytać, gdzie by chciała się ze mną wybrać, pojawili się czterej goście z różnych zakątków diecezji i straciłem wszelką szansę rozmowy na osobności.

Lunch upłynął gładko, choć nudnie. Czas spędziłem, świadcząc

uprzejmości pewnej matronie, której ulubionym tematem rozmowy była działalność charytatywna Mothers' Union, i choć panna Christie ani razu nie zerknęła w moim kierunku, co jakiś czas udało mi się schwytać współczujące spojrzenie lady Starmouth, która siedziała naprzeciwko.

Wreszcie o wpół do trzeciej towarzystwo się rozproszyło i kiedy wróciłem do sypialni, by przygotować się do wycieczki poza miasto, daleko mi było od myśli o kapłańskich obowiązkach. Zrzuciłem strój służbowy. Włożyłem jak najprzewiewniejszy garnitur, rozpiąłem koszulę pod szyją, poprawiłem kapelusz i odwróciłem się do długiego lustra, żeby sprawdzić, jak się prezentuję. Natychmiast zaczęły mnie nękać wątpliwości, czy nie przesadziłem z tym swobodnym stylem; miałem wrażenie, że wyglądam jak komiwojażer, który zrobił sobie urlop od wciskania ludziom jakichś podejrzanych produktów, ale kiedy założyłem krawat, było mi zbyt gorąco. Wepchnąłem krawat z powrotem do szuflady, ponownie rozpiąłem guzik i uznałem, że wyglądam dokładnie tak jak powinienem: na księdza, który zamierza wziąć ładną kobietę na przejażdżkę autem po okolicy. Ale wtedy spojrzałem w lustro i za księdzem dostrzegłem szpiega, obraz ukryty za obrazem, a za szpiegiem jeszcze innego człowieka, obraz ukryty za obrazem schowanym za pierwszym obrazem. Rzeczywistość się rozmyła. Wyobrażenia i prawda nierozzerwalnie zlały się w jedno. Powtarzałem sobie, że wymyśliłem sobie tego obcego człowieka w głębi, ale czując jak moja osobowość zaczyna się dzielić, ukryłem twarz w dłoniach. Padając na kolana obok łóżka, wyszeptałem:
- Panie, wybacz mi moje grzechy. Zachowaj mnie od szatana. Pomóż mi służyć Ci najlepiej, jak potrafię.

Po tej modlitwie poczułem się spokojniejszy i kiedy znowu zerknąłem do lustra, przekonałem się, że widać w nim tylko księdza wybierającego się na wycieczkę. Miał surową minę, jakby chciał podkreślić, że nie mogę dopuścić, żeby upał osłabił mój umysł. Natychmiast usunąłem wszelkie grzeszne myśli i ruszyłem na spotkanie panny Christie.

Rozdział piąty

„Doświadczenie uczy, że żona duchownego musi albo całkowicie i bezgranicznie poświęcić siebie i swoje życie trudnej i szczególnej karierze męża, a w nagrodę osiąść głęboki, osobisty wpływ, którego nie da się porównać z sytuacją przeciętnych mężatek, bądź też musi oddzielić się zupełnie od pracy i życia męża, czego skutki są zgoła opłakane: tak dla jego kariery jak dla jej własnej, a także, musimy dodać, dla szczęścia ich obojga”.

Herbert Hensley Henson, biskup Durham w latach 1920-39, *The Bishoprick Papers*

I

Panna Christie miała na sobie jasnozieloną sukienkę z krótkimi rękawami, które odsłaniały jej szczupłe ramiona, i białe sandały na płaskim obcasie, które podkreślały zgrabne kostki. Pozostałe, pełniejsze kształty kusząco skrywał wspaniały krój sukni. Twarz ocieniał słomkowy kapelusz o szerokim rondzie.

- Próbuje pani zachować incognito? - spytałem, kiedy spotkaliśmy się w hallu.
- Mogłabym księdza zapytać o to samo!
- Cóż, przynajmniej nie powiedziała pani...

- „Och, w cywilnym ubraniu wygląda ksiądz zupełnie inaczej!” Roześmialiśmy się i kiedy szliśmy do samochodu, pomyślałem, że

jeśli panna Christie potrafi radzić sobie z każdą kryzysową sytuacją w biskupim domostwie, mogłaby sobie również poradzić z doktorem świętej teologii, który na tyle postradał zmysły, że boi się własnego odbicia w lustrze. Zdając sobie sprawę z ulgi, szczęścia, nerwowego oczekiwania i pożądania seksualnego zmieszanych w mile pobudzających proporcjach, uznałem, że popołudnie będzie niewątpliwie udane.

Panna Christie zaproponowała, byśmy wybrali się do Kręgu Starbury, megalitycznego koła zbudowanego z potężnych bloków kamiennych. Pilotowała mnie, gdy jechaliśmy przez miasto, potem skierowaliśmy się na północ. Łagodne kontury pobliskich wzgórz rysowały się niemal zmysłową linią w przejrzystym popołudniowym powietrzu. Porzuciliśmy główną trasę, w drodze minęliśmy kilka gospodarstw, w pewnej chwili utknęliśmy za wolno jadącym wozem, poza tym jednak nic nie odrywało naszej uwagi od widoków, które stopniowo się przed nami otwierały.

- Powinnam zabrać panią Jardine na taką wycieczkę - odezwała się niespodziewanie panna Christie. - Dobrze by jej to zrobiło. Mogłybyśmy nawet wziąć ze sobą jedzenie i zniknąć na całe popołudnie.

- A co z biskupem?

- Och, jego bym zostawiła. Nie znosi pikników. Dla niego odprężeniem są chwile spędzone na pisaniu listów do „Timesa”.

- Słyszałem, że właśnie w ten sposób zwrócił na siebie uwagę, zanim został proboszczem w Mayfair.

- Tak, niewiele mu pozostawało do roboty, kiedy pracował w północnej części Londynu.

Dostrzegłem możliwość wznowienia śledztwa.

- Nikt jeszcze mi nie wytłumaczył, czemu tak mało wiadomo o życiu doktora Jardine'a przed objęciem przez niego parafii St Mary's. Co się z nim działo po święceniach?

- Dano mu parafię w tej diecezji: w slumsach Starmouth. Pracował tam siedem lat z bardzo dobrymi wynikami, ale to była prawdziwa harówka i w końcu zdrowie nie wytrzymało.
 - To często się zdarza duchownym w skrajnie ubogich parafiach - powiedziałem i natychmiast przypomniałem sobie oskarżenie mojego przyjaciela, Philipa, że żyję w wieży z kości słoniowej. Nagłe poczucie winy sprawiło, że dodałem: - Niech pani jednak nie sądzi, że mówię o tym z własnego doświadczenia. Obawiam się, że moja posługa ograniczała się zawsze do zamożnych parafii.
 - Chrystus nauczał także bogaczy, nie tylko biednych - odparła spokojnie panna Christie. - A doktor Jardine twierdzi, że pod względem duchowym bogaci mogą być równie biedni jak przeciętna rodzina, utrzymująca się z zasiłku dla bezrobotnych. Zerknąłem na nią z wdzięcznością, ale ona wyglądała przez szybę na łagodne pagórki.
 - Niech mi pani opowie coś jeszcze o doktorze Jardine - poprosiłem po chwili. - Co się z nim działo po tym, jak stracił zdrowie?
 - Poszedł za radą lekarzy i zrezygnował z beneficjum, pożyczył pieniądze i wziął długi urlop. Odpoczynek dobrze mu zrobił, nie sądził jednak, by jego stan zdrowia pozwalał na objęcie kolejnej parafii, postanowił więc poświęcić się pracy naukowej w Oksfordzie. Z pewnością ksiądz wie, że biskup jest *fellowem* * college'u Wszystkich Świętych. Tymczasem jego sytuacja finansowa była tak napięta, że musiał otrzymywać coś w rodzaju stypendium i wreszcie przełożony Wszystkich Świętych znalazł mu pracę kapelana w nędznym szpitaliku w północnym Londynie: prebendę otrzymywał w darze od college'u.
 - O ile wiem, doktor Jardine miał poważne zobowiązania finansowe względem rodziny mieszkającej w Putney.
 - Utrzymywał ojca, macochę i dwie siostry - odparła sucho panna
- * Fellow (ang.) - Na angielskich uczelniach honorowy tytuł, wiążący się z określonymi przywilejami (przyp. tłum.).**

Christie. - Choć nie głodował, był znacznie niedożywiony. Mimo to odpowiadało mu tamto miejsce: szpitalik wielkością przypominał właściwie duży pensjonat, pracy nie było wiele, tak że środek tygodnia doktor Jardine zwykle spędzał w Oksfordzie. Pisał artykuły, gościnnie wygłaszał nauki - zdążył już sobie wyrobić reputację doskonałego kaznodziei - i regularnie wysyłał listy do „Timesa”. Wreszcie, bez wiedzy doktora Jardine'a, przełożony college'u skontaktował się z ówczesnym premierem, panem Asqui-them, pytając, czy nie można by w jakiś sposób polepszyć sytuacji materialnej doktora Jardine'a, ponieważ było jasne, że stan jego zdrowia uległ znacznej poprawie. Panu Asquithowi podobały się listy doktora Jardine'a publikowane w „Timesie” i natychmiast przypomniał sobie, że obsada parafii St Mary's leżała w gestii Korony.

- Oto co my, duchowni, nazywamy powiastką z morałem - wtrąciłem - po wielu przeciwnościach, cnota zostaje nagrodzona.

- Nie wiem, skąd ta złośliwość - stwierdziła panna Christie, jakby uznała, że stała się zbyt przyjacielska i pora przywrócić równowagę. - Niewątpliwie jest ksiądz pewnym kandydatem na biskupa.

- Naprawdę tak pani uważa? - spytałem. - Czuję się pochlebiony. Ale czy rzeczywiście sądzi pani, że nadaję się na biskupa, ponieważ napisałem książkę o pierwszym Kościele i potrafię wytrzymać w katedrze w Cambridge nie kłócąc się z dziekanem?

- Och, nie śmiałabym oceniać księdza kwalifikacji na to stanowisko, doktorze Ashworth. Pozostawiam to Bogu i doktorowi Langowi.

Wiedziałem, że muszę okazać, że nie zamierzam tolerować złośliwości, wynikającej z poczucia winy, że tak dobrze się dogadujemy. Gwałtownie zahamowałem, wyłączyłem silnik i obróciłem się twarzą do dziewczyny.

- Skąd ta wrogość? - zapytałem.

Pobladła. Najpierw sądziłem, że z gniewu, dopiero po chwili zrozumiałem, że z niepokoju.

- Nie zachowuję się wrogo - zaprotestowała.

- A więc czemu udawać? - odparowałem natychmiast i nachylając się nad nią, pocałowałem w usta. Dość szybkie tempo jak na dobrze wychowanego mężczyznę, który wybrał się na obyczajną, popołudniową wycieczkę z kobietą poznaną zaledwie dwadzieścia cztery godziny temu, na duchownego zaś tempo to było tak szybkie, że czułem się, jakbym się poruszał z prędkością światła. Co więcej, szybkość mego działania tak zaskoczyła pannę Christie, że przez pierwsze pięć sekund zachowywała się jak sparaliżowana. Pięć sekund to długo, kiedy usta dwojga ludzi łączą się w pocałunku. Jednak w szóstej sekundzie nadeszła odpowiedź i wbrew moim oczekiwaniom, daleko jej było do wrogości. Dziewczyna rozchyliła wargi. Natychmiast przyciągnąłem ją do siebie, ale odepchnęła mnie, i niechętnie wypuściłem ją z objęć. Nie była już blada, lekko się zaróżowiła. Nie miałem pojęcia, jakiego koloru może być moja twarz, ale czułem się, jakbym przebiegł pędem sto metrów, a przed oczami widziałem nie tylko kieliszki do szampana, ale lśniące miecze, ciemne tunele i inne wieloznaczne przedmioty na wieki naznaczone piętmem przez Freuda.

Panna Christie wygładziła spódnicę, której nawet nie tknąłem, i wtedy na serdecznym palcu jej lewej ręki dostrzegłem sygnet.

- Poznaliśmy się zaledwie dzień wcześniej - odezwała się wreszcie. - Nawet nie mówimy sobie po imieniu. Czy nie zachowuje się ksiądz dość dziwnie, jak na duchownego?

- Ja przynajmniej znam cię na tyle dobrze, żeby mówić do ciebie Lyle.

- Doktorze Ashworth...

- Na imię mi Charles. Tak, oczywiście, że zachowuję się dość dziwnie jak na duchownego, ale ilekroć ktoś daje do zrozumienia, że kapłan winien się zachowywać jak jakiś święty,

przychodzi mi na myśl fragment z „Kupca weneckiego”, wiesz,

O który mi chodzi, tam gdzie jest mowa, że księża krwawią

i cierpią tak samo jak inni.

- Nie dawałam do zrozumienia...

- Czyżby?
 - Doktorze Ashworth...
 - Charlesie.
 - ...Obawiam się, że po prostu nie nadaję się na kandydatkę do płomiennego romansu...
 - Nie, nie udawaj, że cię nie interesuję. Widziałem, jak wczoraj wieczorem przysłuchiwałaś się z zapartym tchem mojej odpowiedzi na pytanie lady Starmouth, czy jestem żonaty.
 - Wcale...
 - Posłuchaj. - Przybrałem najspokojniejszy, najrozsądniejszy ton. - Mógłbym się zachowywać dokładnie tak jak nakazuje dobre wychowanie. Mógłbym prawić ci drobne, bezpieczne komplementy, pisać niewinne liściki, przysyłać kwiaty i przyjeżdżać raz na dwa tygodnie do Starbridge, żeby zabrać cię na herbatę. Mógłbym to robić. Oczywiście, że potrafię się zachowywać jak prawdziwy dżentelmen, tylko co by mi to dało? Nic, zupełnie nic. Przekonałem się o tym wczoraj wieczorem, kiedy spróbowałem łagodnego podejścia, a ty uciekłaś z filiżankami do kawy. Cóż, może uciekanie z filiżankami to dla ciebie doskonała zabawa, ale ja nie życzę sobie być traktowany jak zawada. Chciałbym jak najszybciej i jak najlepiej cię poznać, właśnie dlatego zaproponowałem przejażdżkę...
 - Więc czemu nie jedziemy? Nie mam zamiaru spędzić całego popołudnia pod jakimś płotem na wysłuchiwanie bzdur.
- Włączyłem silnik i ruszyliśmy dalej.

II

Po kilku minutach wyjechaliśmy na rozległy płaskowyż, przed sobą widziałem szlak wiodący od drogi ku krawędzi, znaczącej najwyższy punkt dolin.

- Zatrzymaj samochód na krawędzi, przy tej ścieżce - odezwała się Lyle. - Stąd wyruszymy do Kręgu.

- Nie musisz mówić takim tonem, jakbyś żałowała, że nie ma tu przyzwoitki - powiedziałem lekko, po raz drugi zatrzymując samochód. - Skoro już wyraźnie określiłem swoje stanowisko, obiecuję, że przez kilka godzin będę się zachowywał nieskazitelnie jak święty.

- A co się stanie za kilka godzin?

- Wrócimy do pałacu i będziesz mogła się schować za biskupa.

- Coś cię ten biskup mocno interesuje, prawda? - spytała, kiedy otwierałem drzwiczki od jej strony.

- Czy znasz jakiegokolwiek anglikanina, który by się nim nie interesował?

Ruszyliśmy ścieżką. Miałem ochotę wziąć Lyle za rękę, ale postanowiłem ćwiczyć niezachwianą siłę woli i wepchnąłem rękę głęboko do kieszeni. Mimo to nie byłem niezadowolony z poczynionych postępów: w końcu ani nie dała mi w twarz, ani nie zażądała, bym natychmiast odwiózł ją do Starbridge.

- Jeśli chcesz mnie lepiej poznać - zaczęła wreszcie - czemu nie dasz mi przykładu, mówiąc więcej o sobie? Mężczyźni na ogół nie mogą się doczekać, żeby wyrecytować swoje życiorysy, a ty wydajesz się wyjątkowo małomówny.

- Nie miałem na myśli lekcji historii, wolałbym raczej porozmawiać o teraźniejszości.

- Co złego w twojej przeszłości?

- Straszliwa nuda. Urodziłem się we właściwym hrabstwie, we właściwej dzielnicy jednego z właściwych miast. Ojciec wykonuje właściwy zawód, a matka spędza czas na właściwych rozrywkach. Uczęszczałem do właściwych szkół, skończyłem właściwy uniwersytet, święcenia przyjąłem we właściwym wieku i zacząłem właściwą karierę we właściwym momencie z właściwym człowiekiem. Potem wykładałem we właściwych uczelniach, napisałem właściwą książkę, a wreszcie zostałem kanonikiem właściwej katedry. To takie nudne, prawda? Przeszłość doktora Jardine'a jest o wiele bardziej interesująca niż moja.

- Zapomniałeś o właściwym małżeństwie z właściwą żoną - brzmiał cały komentarz Lyle.

- Racja. Co za roztargnienie. Przypuszczam, że to dlatego że żona postąpiła niewłaściwie i umarła. Szliśmy dalej. Słońce świeciło oślepiającym blaskiem nad porośniętymi trawą zboczami, z rozsianymi tu i ówdzie białymi kropkami pasących się owiec. W miarę jak zbliżaliśmy się do szczytu, widok zaczął się rozszerzać. Panował niczym nie zmacony spokój.

- Niewiele mówiła na swój temat - powiedziała wreszcie Lyle.

- Jak każdy, nawet ci, którzy nie mogą się doczekać, żeby recytować do znudzenia starannie wybrane fakty ze swego życia.

Próbowałem nadać rozmowie taki kierunek, żeby sprowokować Lyle, by w obronie wyjawiała coś więcej na swój temat, ale ona tylko odparła z roztargnieniem:

- Zgadza się, że rzadko kiedy można poznać całą prawdę o człowieku, ale sądzę, że w większości przypadków daje się to z dużą dozą prawdopodobieństwa zgadnąć.

Umilkła i obejrzała się na dolinę, którą zostawiliśmy za sobą.

- Weźmy na przykład Starmouthów - podjęła. - Lord to przyzwoity Anglik starej daty, który sumiennie okazuje zainteresowanie swoimi posiadłościami, spełnia swoje obowiązki wobec państwa, uczęszczając regularnie na obrady Izby Lordów, jest oddany swej żonie i dzieciom. Hrabinę Starmouth zapewne małżonek nieco nudzi, ale jako osoba zasadniczo dobra i przyzwoita nie rozmienia się na drobne, jak to robią inne, lecz obraca się w towarzystwie najbezpieczniejszych dla niej mężczyzn: duchownych, którzy szczególną wagę przywiązują do postępowania zgodnego z zasadami moralnymi. Oczywiście nie twierdzę, że taka jest cała prawda na temat Starmouthów, sądzę jednak, że przedstawiłam ci dość bliską rzeczywistości, choć bardzo ogólną charakterystykę. No bo chyba należy uznać za mało prawdopodobne, by lady Starmouth naprawdę była narkomanką, jej mąż zaś utrzymywał kochankę w St John's Wood.

- Lady Starmouth rzeczywiście nie wygląda na narkomankę. Ale... - przypomniał mi się nie skrywany podziw, z jakim hrabia

mówił o Loretcie - jeśli chodzi o tę kochankę w St John's Wood, nie byłbym chyba taki pewny siebie. Po wielu latach obserwacji doszedłem do wniosku, że w sprawach intymnych innych osób nigdy nie da się niczego twierdzić z całą pewnością.

Mimo że nie patrzyłem na Lyle, uważnie oczekiwałem jej odpowiedzi, gotów ją starannie przeanalizować. Ale panna Christie odparła jedynie:

- Czy hrabia nie jest aby nieco za stary na igraszki w St John's Wood?

- Mógł dojść do wniosku, że kochanka go odmłodzi. Ale nie

- przyznałem z uśmiechem, kiedy znowu ruszyliśmy na szczyt.

- Tak naprawdę nie wierzę, by hrabia prowadził podwójne życie, tak samo jak nie wierzę, by hrabina płonęła żądzą uwiedzenia biskupa.

Roześmiała się.

- Sekret powodzenia lady Starmouth w kontaktach z biskupem kryje się w tym, że przynajmniej ona nigdy nie będzie w jego towarzystwie odgrywała roli roznamiętnionej wielbicielki.

- Czyżby aż tyle roznamiętnionych wielbicielek czyhało na doktora Jardine'a?

Lyle nagle postanowiła odpowiedzieć bardzo serio.

- Teraz już nie. Biskup w znacznie większym stopniu niż przeciętny duchowny znajduje się na piedestale, jednak w czasach kiedy był jeszcze dziekanem Radbury, jedna czy dwie kobiety przysparzały mu kłopotów, zaś w Mayfair nieustannie odpierał ataki kobiet z towarzystwa, nie obdarzonych tak wysokim morale jak lady Starmouth.

- Ale przecież chyba takie kłopotliwe znajome rezerwują najog-nistsze pragnienia dla kawalerów? - spytałem z powagą, żeby udowodnić, że znane mi są problemy, na jakie natykają się niektórzy duchowni.

- Och, bez wątplenia sytuacja nieco się uspokoiła, kiedy się ożenił, lecz niestety nawet teraz trafiają się kobiety, które chętnie traktują panią Jardine jak nieznaczącą przeszkodę i wyobrażają

sobie, że biskup marnuje się w nieudanym związku. Oczywiście to kompletna bzdura. Komuś z zewnątrz może się wydawać, że Jardine'owie do siebie nie pasują, ale każdy, kto zna ich lepiej, będzie wiedział, że są sobie ogromnie oddani. Typowy przykład, że przeciwieństwa się przyciągają. Tak rozmawiając dotarliśmy na szczyt grzbietu. Zatrzymaliśmy się, by podziwiać widok, ale kontury krajobrazu rozmazywały się w upalnym, nagrzanym powietrzu. Odwróciłem więc uwagę od niewyraźnej panoramy, skupiając się na Kręgu Starbury, który rozciągał się niecałe pięćdziesiąt metrów od nas. Krąg składał się z dwudziestu czterech wysokich bloków skalnych, ustawionych tysiąc lat temu w celu, którego dziś nie potrafimy odgadnąć, choć natychmiast wywołały one we mnie wizję ofiar z ludzi i innych okropieństw pogańskich obrządków. Pomyślałem, jak wspaniale by było móc wierzyć, że owo krwawe bałwochwalstwo stanowi w Europie zamkniętą kartę i przez chwilę żałowałem, że nie żyłem w epoce wiktoriańskiej, kiedy ludzie ciągle wierzyli w ideę postępu. Jakież to musiało być cudowne uczucie: spokojnie wyglądać czasów, kiedy ludzkość osiągnie pełnię doskonałości. Jakież kojące wyobrazić sobie obecnego w świecie, tak mile dostępnego Boga, którego można poznać za pomocą rozsądku i wykształcenia! Teraz jednak wojna zniszczyła iluzję postępu, krwawe bałwochwalstwo znowu groziło Europie, a wspaniały umysł Karla Bartha uświadomił nam, że Bóg jest odległy, całkowicie nieosiągalny i daje się poznać jedynie dzięki objawieniu.

- Przepraszam - odezwałem się nagle do Lyle. - Widok tych pogańskich kamieni nastroił mnie do rozważań teologicznych. Mówiłaś, że Jardine'owie są sobie ogromnie oddani...

- Tak, pani Jardine uwielbia biskupa, on zaś, jak każdy mężczyzna, uwielbia być uwielbiany. Oczywiście, czasami żona działa mu na nerwy, zresztą, sam mogłeś się przekonać dziś w południe, ale w ostatecznym rozrachunku uważa, że drobna irytacja to niewielka cena za prawdziwie dobrą, bardzo lubianą i całkowicie wobec niego lojalną żonę.

- Biskup, zdaje się, ma wyjątkowy talent do otaczania się podziwianymi go kobietami. .
 - Ten talent to zapewne rekompensata za pozbawione miłości dzieciństwo. Niewiele tam było podziwu.
 - A oddana macocha?
 - Nie okazywała swoich uczuć. Do chwili, gdy skończył osiemnaście lat, nie miał pojęcia, co do niego czuła.
 - Co takiego się wydarzyło, gdy skończył osiemnaście lat?
 - Wyjeżdżał do Oksfordu i kiedy się z nią żegnał, płakała. Musisz wiedzieć, że to była chwila jej prawdziwego triumfu. Wybrała Jardine'a z całej ósemki i pchnęła go na drogę wiodącą do Oksfordu, on jednak zawsze sądził, że stanowił dla niej sposób zabicia czasu, ponieważ sama nie miała dzieci. Lyle umilkła i dopiero po chwili podjęła.
 - Sądzę, że początkowo rzeczywiście był dla niej czymś w rodzaju hobby, ale po jakimś czasie przekonała się, że nadzieje, jakie w nim pokładała, dały jej siły do przetrwania w trudnym małżeństwie. Warto było przez to wszystko przejść ze względu na Adama, wyznała mi u kresu życia. Nazywała go Adam. Nie znosiła imienia Alex, uważała, że to pusty, brzydki, pretensjonalny gest ze strony Cobden-Smithów. „Adam nie jest naprawdę Alexem”, powiedziała kiedyś „Alex to tylko maska, a za tą maską kryje się Adam, którego znam tylko ja.” Prawda, jak to groźnie brzmi? Czasem spoglądam na biskupa i myślę: gdzieś tam czai się jakiś Adam. Jakąż tajemniczą rzeczą jest osobowość, ulotną, me dającą się schwycić.
- Znaleźliśmy się właśnie w środku kamiennego koła. Same kamienie ciemne i potężne pod warstwą zielonkawego mchu, podkreślały tajemniczość Kręgu, stojącego na tej pustej równinie i zdawały się osadzać minioną przeszłość głęboko w teraźniejszości. Miałem wrażenie, jakby druidowie mijali się z Karlem Barthem, kiedy jedno zbrukane krwią stulecie złało się z drugim, kpiąc sobie z pojęcia czasu.
- To miejsce sprzyja rozmowom o tajemnicach - powiedziałem - a szczególnie o tajnikach osobowości. Usiądźmy na chwilę.

Kiedy usiedliśmy, jak nakazuje przyzwoitość, pół metra od siebie w cieniu jednego z głązów, podałem Lyle papierosa.

- Palisz?

- Tylko w sypialni. Ale jeśli zamierzasz sobie zafundować przyjemność, nie widzę powodów, dla których miałabym sobie odmówić.

- Wyglądasz na kobietę, która pali Craven A.

- Och, a więc uważasz mnie za awanturnicę!

- Powiedzmy, że trudno mi przychodzi zrozumienie, co robisz jako dama do towarzystwa w rodzinie duchownego.

Zapalając jej papierosa, dostrzegłem, jak drobne są jej dłonie i że duży sygnet podkreśla delikatność palca. Skórę w zagłębieniu nadgarstka miała bardzo jasną.

- Jesteś pewien, że nie zamierzasz znowu się na mnie rzucić¹? - spytała zaciągawszy się papierosem.

- Masz minę, jakbyś chciał to zaraz zrobić.

- To dlatego, że patrząc na ciebie trudno się od tego powstrzymać. A teraz przestań mnie prowokować i miast podsuwać mi grzeszne myśli, powiedz mi coś jeszcze o tej szwedzkiej macosze. Ciekawi mnie wpływ, jaki musiała wyrzeć na doktora Jardine'a.

III

Poznałam ją w Radbury - zaczęła Lyle. - Kilkakrotnie odwiedziła tam Jardme'ow, potem jednak z powodu reumatyzmu podróż stała się dla niej zbyt uciążliwa. Biskup, kiedy tylko mógł, odwiedzał ją w Putney, ale ja zobaczyłam ją ponownie dopiero, kiedy zamieszkała z nami w Starbridge u kresu życia.

- To miło myśleć, że zakończyła swe dni u boku swojego Adama w pałacu biskupim.

- Kolejna budująca przypowieść? Tak, sądzę, że tak, choć sytuacja me była usłana różami, bo Carrie śmiertelnie się bała teściowej.

Mimo to - ciągnęła Lyle gładko prześlizgując się nad kryzysem, który wstrząsnął pałacem w posiadach - w końcu wszyscy doskonale się ze sobą porozumieliśmy. Starsza pani J. uznała, że Bóg daje jej szansę naprawienia wcześniejszego chłodu wobec Carrie.

- Była religijna?

- Tak jak większość Szwedów wywodziła się z rodziny luteran-skiej, ale wyszła za człowieka, który uważał praktykowanie religii za bzdurę, więc rzadko uczęszczała do kościoła.

- Ale przecież ojciec doktora Jardine'a był fanatykiem religijnym, nie tak?

- Fanatyzm przybrał u niego formę antyklerykalizmu. Uważał duchownych za narzędzie szatana.

- Cóż za wyjątkowo trudna sytuacja dla doktora Jardine'a!

- Bycie żoną maniaka religijnego też nie jest szczególnie łatwe!

- Czy pani Jardine dużo ci się zwierzała? Wygląda na to, że tak.

- Tak, chętnie opowiadała chętniej słuchaczce spoza rodziny o koszmarze, jaki przeżywała wiele lat temu, żeby „jej Adam”, jak go nazywała, mógł przeżyć w tym strasznym domu. Swoją pierwszą wielką batalię stoczyła, aby poszedł do szkoły. Starszy pan J. uważał szkołę za siedlisko grzechu.

- Z tego co mówisz, musiał być rzeczywiście wyjątkowo nieprzyjemnym małżonkiem. Czy macocha Jardine'a nigdy nie myślała, by porzucić Putney i wrócić do Szwecji? Czy też jej przekonania religijne, jakiegokolwiek by były, wykluczały ucieczkę?

- Bez wątpienia wiara odegrała znaczną rolę w jej decyzji o pozostaniu, w pewnym momencie uznała, że Bóg przysłał ją do tej rodziny, by ocalić to jedno dziecko. „Czułam, że to boże wezwanie”, mówiła, „czułam, że nie ma innego rozwiązania”.

- Ale przecież kiedy doktor Jardine dorósł, kiedy dostał się do Oksfordu...

- Wtedy dopiero zaczęły się potworne kłopoty. Stypendium pokrywało jedynie koszty nauki, a koszmarne, stary ojciec nie dawał mu ani grosza na utrzymanie. Starsza pani J. głodziła się, żeby

wysłać pasierbowi pieniądze zaoszczędzone z wydatków na dom: staruch ustąpił, dopiero kiedy omal się nie zagłodziła na śmierć.

- To ojciec nie był zadowolony, że syn znalazł się w Oksfordzie?

- spytałem zdumiony.

- Uważał uniwersytety za jaskinię zła. Mimo to biskup przeżył i nie tylko był pierwszy, ale został też mianowany *fellowem* college'u Wszystkich Świętych...

- Szczęśliwy koniec!

- Dobrze nieba, gdzież tam! Wręcz przeciwnie! Stary pan J. oświadczył wtedy: „Przez te wszystkie lata cię utrzymywałem - teraz pora na ciebie” i okazało się, że od lat żył ponad stan, prowadząc gnuśne życie dżentelmena, a jego kapitał właśnie się wyczerpał.

- Co za kawał drania! Tak więc doktor Jardine musiał utrzymywać rodzinę ze swego dochodu jako *fellowa* Wszystkich Świętych.

- Tak, przez pewien czas obawiał się, że nie będzie go stać na to, by zostać duchownym, ale wreszcie podjął decyzję o przyjęciu święceń... - ...Na co oczywiście ojciec się nie zgodził.

- Z tego co wiem, omal się nie pozabijali.

- Czy tamten nie widział, że jego syn chciał rozpocząć przyzwoite, uczciwe życie? - zawołałem przerażony. - Och, on nigdy nie wierzył, że jego synowi uda się żyć przyzwoicie, niezależnie od tego, jaki zawód by wybrał. Uważał, że tamten tak czy owak zostanie skorumpowany.

- Ależ to musiało być straszne dla doktora Jardine'a.

Z trudem znajdowałem słowa, by opisać swoją odrazę wobec starca, a Lyle przyglądała mi się ze zdziwieniem. - Straszne... Koszmarne... Niedopuszczalne...

- To jeszcze nie koniec. Biskup objął parafię biedoty w Starmouth i, jako że nie stać go było na ożenek, a rozpaczliwie potrzebował gospodyni, zwrócił się o pomoc do ojca, który siedział w Putney obsługiwany niczym pan i władca przez żonę i dwie niezamężne córki. A jednak stary pan J. nie zgodził się, by któraś z dziewcząt

pojechała prowadzić gospodarstwo bratu. Miał obsesję na punkcie cnoty i był przekonany, że ledwo wyjdą za próg jego domu, zostaną zgwałcone.

- No, ale doktor Jardine miał chyba ostatnie słowo, skoro ich utrzymywał?

- Staruch i tak nie ustąpił o krok. Powiedział, że pierwaj umrze z głodu niż dopuści, by któraś z jego córek stała się kobietą upadłą.

- A czy one nie miały nic do powiedzenia w tej sprawie?

- Nie bądź głupi, to było na długo przed wojną, a on od lat rządził bezwzględnie całą rodziną!

- Nic dziwnego, że jedna z nich oszalała!

- Pani J. bała się, że sama oszaleje, ale oczywiście przyszła pasierbowi z odsieczą. Powiedziała staremu okrutnikowi: „Jeśli nie pozwolisz odejść dziewczętom, *ja* tam pojedę”, a gdy nadal się upierał, że nie puści córek, spełniła groźbę.

Popiół z papierosa spadł mi na spodnie, strzepnąłem go szybko, nim zdążył wypalić w nich dziurę.

- Jak doktor Jardine jako kapłan mógł usprawiedliwić odejście żony od męża?

- Och, ona wcale od niego nie odeszła: odwiedzała go co dwa tygodnie. Zresztą, kiedy przyjechała do Starmouth, i ona, i doktor Jardine wierzyli, że to rozwiązanie jest wyłącznie czasowe. Sądzieli, że stary po pewnym czasie wypuści jedną z córek, ale on, jako że nie potrafił w tej kwestii rozumować racjonalnie, nie ustąpił.

- I macocha została z doktorem Jardinem?

- Tak, i po mrocznym, i ponurym Putney przepadała za tamtym miejscem. Zaangażowała się w pracę w parafii, poznała nowych ludzi...

- Ale jak to się...

- ...skończyło? Wróciła. Starsza siostra wpadła w chorobę psychiczną i pani J. czuła, że jej moralnym obowiązkiem jest wrócić do domu, skoro mąż bardziej jej teraz potrzebował. Jednak kiedy wyjechała, doktor Jardine przestał sobie radzić. I tak był już

wyczerpany prowadzeniem parafii i bez pomocy macochy nie mógł podolać swoim obowiązkom.

- Więc kiedy odeszła, pękł?

- Co za dwuznaczne stwierdzenie! Chciałam tylko powiedzieć...

- Co się wtedy działo w Putney?

- Nie mam pojęcia. Pani J. prześlizgiwała się nad tym okresem. Rok później siostra zmarła w szpitalu dla obłąkanych, a ojciec zapadł na uwiąd starczy. Starsza pani J. oświadczyła spokojnie, że to był sąd boży.

- I jak biskup poradził sobie z kolejnym kryzysem?

- Wtedy pracował już w północnym Londynie. Dom przylegający do kaplicy przyszpitalnej był niewielki, ale doktor Jardine ocalił ojca, macochę i żyjącą siostrę i jakoś ich tam zmieścił. Po pół roku ojciec zmarł. Pani J. i siostra mieszkały z biskupem aż do jego małżeństwa.

Uznałem, że będzie w dobrym tonie okazać, że nie zawsze wyciągam pochopne wnioski.

- Nie rozumiem, czemu starsza pani J. robiła tyle hałasu wokół małżeństwa pasierba - stwierdziłem niewinnie. - Zapewne życzyła sobie, by dobrze się ożenił, gdy tylko będzie go na to stać?

- Nie uważała tego małżeństwa za dobre. Dochód Carrie wynosił zaledwie sto funtów rocznie. Poza tym liczyła sobie już trzydzieści dwa lata. Pani J. wietrzyła w tym coś podejrzanego i chciała się dowiedzieć, czemu Carrie tak długo nie wychodziła za mąż... Ale oczywiście prawda wyglądała tak, że choć pani J. chciała, by pasierb się ożenił, nie było kandydatki godnej, by zostać jego żoną.

- Z pewnością małżeństwu Jardine'ów wyszło na dobre, że postanowiła się wyprowadzić po ślubie. Czy jednak nie kusiło jej, by przenieść się bliżej pasierba, kiedy już opuścił Mayfair? Radbury jest dość daleko od Putney.

- Bała się, czy się nie będzie kłócić z Carrie. Właśnie dlatego trzymała się z boku, póki choroba nie sprawiła, że musiała z nimi zamieszkać.

- Teraz widzę - powiedziałem, nie potrafiąc się oprzeć pokusie

wyciągnięcia dodatkowych szczegółów o życiu osobistym Jardine'a, i użyłem na przynętę kolejnego prowokującego stwierdzenia - że finał w Starbridge to nie tylko budujące rozwiązanie problemu starszej pani J. Kwalifikuje się on wręcz do romantycznego zakończenia.

Lyle natychmiast się rozgniewała.

- Niewątpliwie było to szczęśliwe zakończenie - odparła tonem osoby, która wszelki romantyzm uważa za rzecz w złym guście. - Ale romantyczne? To ogromnie spłyca złożoną i wyjątkową więź.

- Czy masz coś przeciwko romantyzmowi?

- Oczywiście, bo czyż nie prowadzi on do złudzeń? - odparła lekko. - Każdy realista doskonale zdaje sobie z tego sprawę. Zgasła papierosa.

- Myślę, że pora, byśmy wrócili do samochodu. Masz znowu taką minę, jakbyś chciał się na mnie rzucić. - Przypuszczam, że zdajesz sobie sprawę - powiedziałem, także gasząc papierosa - że jedną ręką mnie odpychasz, a drugą wabisz?

I nim zdążyła zaprotestować, wziąłem ją w ramiona.

IV

Tym razem nie miałem przewagi, jaką daje zaskoczenie, i Lyle była przygotowana do obrony. Kiedy ją przygarnąłem, tonem wykluczającym wszelkie dyskusje powiedziała: „Nie”, odepchnęła mnie i zaczęła się podnosić.

Dogoniłem ją jeszcze w Kręgu, ale nim zdążyłem otworzyć usta, odwróciła się twarzą do mnie i zaatakowała:

- O co właściwie ci chodzi? Bierzesz mnie na przejażdżkę, żeby mnie lepiej poznać, tymczasem wypytyujesz wyłącznie o biskupa.

- A właśnie, że cię poznałem! Wiem, że palisz w sypialni, że uważasz romantyzm za wymysł szatana i darzysz głębokim podziwem tę wspianiałą, nieżyjącą panią Jardine.

- Żałuję, że ci cokolwiek o niej powiedziałam! - zawołała z wściekłością. - Widać wyraźnie, że jesteś przekonany, że żywiła do pasierba jakąś niezdrową namiętność...
- Czy „romantyczne uczucia” nie pasowałyby lepiej?
- To nie był żaden romans!
- Nie w krzykliwym, powszechnie przyjętym znaczeniu. Ale poświęciła dla niego życie, a czyż to nie jest niezwykły, romantyczny gest? Dickens zapewne właśnie to miał na myśli, pisząc „Opowieść o dwóch miastach”, a jednak nikt jeszcze nie oskarżył Sydney Carton o żywienie niezdrowej namiętności do Charlesa Darnaya.
- Wydawało mi się, że Carton poświęcił się dla Lucy, a nie tylko dla Darnaya. Może powinieneś jeszcze raz przeczytać Dickensa!
- Może powinnaś jeszcze raz sobie zdefiniować pojęcie romantyzmu. Papierosa?
- Chętnie. Dobrze mi zrobi po tej wymianie zdań. Zapaliliśmy papierosy i ruszyliśmy w drogę powrotną. W miarę, jak szliśmy ścieżką, Krąg za nami niknął, a przed nami zamajaczył w oddali mój samochód, przycupnięty niczym czarny żuczek przy zakurzonej wstędze drogi.
- To prawda, że podziwiałam starszą panią J. - odezwała się Lyle - bo wiedziałam, jakie piekło przeszła dla biskupa, ale muszę przyznać, że potrafiła się zachowywać jak prawdziwa megiera. W czasie swoich dwóch wizyt w Radbury rozgniotła Carrie na miazgę i, co gorsza, sprawiało jej to przyjemność. Biedna Carrie!
- Lubisz panią Jardine, prawda?
- Jest niczym matka, o jakiej zawsze marzyłam. Moja matka poważnie chorowała - miała słabe serce - przez co stała się kłótniwa i koncentrowała się na sobie.
- A twój ojciec?
- Był wojskowym, należał do tych inteligentnych: bardzo bystry, szybki i twardy. Oczywiście zginął w czasie wojny - jak wszyscy dobrzy żołnierze, a kiedy matka umarła ze smutku, przeprowadziłam się do Norfolk i zamieszkałam u ciotecznego dziadka. Był to stary

proboszcz, który przygarnął mnie z chrześcijańskiego miłosierdzia, bo nikt inny mnie nie chciał.

- Ile lat wtedy miałaś?

- Dwanaście. To było w 1914. Zastanawiałeś się pewnie, ile mogę teraz mieć lat, prawda?

- Skoro już wiem, że masz trzydzieści pięć, pozwól, że ci wyjawię, że ja mam trzydzieści siedem. I jak ci się podobało w Norfolk?

- Nudziłam się jak mops. Skończyło się na tym, że pisałam dziadkowi kazania, żeby nie umrzeć z nudów.

- Ale chyba nie pisujesz kazań doktorowi Jardine'owi, co? Roześmiała się.

- Jeszcze nie!

Wędrowaliśmy dalej szlakiem.

- Tak czy owak, opisano mi ciebie jako prawdziwy filar pałacu biskupiego. Cóżby Jardine'owie poczęli, gdybyś odeszła?

- Och, ale ja nie odchodzę. Nie wiedziałeś?

- Szczęściarze z tych Jardine'ów! A więc w takim razie, jaka jest twoja pozycja?

- Dokładnie taka, jaką pragnę zajmować: opiekuję się moją przybraną matką i prowadzę dom biskupowi. To mi doskonale wystarcza.

- Jasne, najwyraźniej nie masz czasu na inne sprawy - stwierdziłem. - Powstrzymywanie ich małżeństwa przed rozpadem musi być bardzo czasochłonnym zajęciem.

Stała jak wryta. Ja również się zatrzymałem i kiedy na nią spojrzałem, wiedziałem, że się odsłoniła.

- Nie zrozum mnie źle - załagodziłem szybko. - Nie zarzucam ci kłamstwa. Wcześniej dałaś jasno do zrozumienia, że małżeństwo, mimo zewnętrznych zadrażnień, należy do szczęśliwych, stanowi przykład wzajemnego przyciągania przeciwieństw i nie mam powodów, by w to nie wierzyć. Również lady Starmouth powiedziała mi, że uważa małżeństwo biskupa za udane. Jednak powodzenie tego związku zależy od ciebie, prawda? Gdyby nie ty, która robisz

wszystko to, czego pani Jardine nie potrafi, małżeństwo by się rozpadło, a ona kompletnie załamała, tak samo jak to się stało w Radbury, póki nie zjawiłaś się ty, niczym klej, który spaja pęknięte naczynie. Cóż, poczucie, że jest się niezastąpionym, doskonale wpływa na miłość własną, ale pomyśl: jeśli któreś z nich umrze i zostaniesz sama, czy nie będziesz żałowała życia pełnego nie wykorzystanych okazji? Czy też stwierdzisz po prostu to samo, co u kresu życia powiedziała starsza pani Jardine: „Warto było przez to wszystko przejść ze względu na Adama.”

Pobladła tak bardzo, że po raz pierwszy dostrzegłem słabe piegi na kościach policzkowych. Nie sposób było powstrzymać się od myśli, że strzelałem w ciemno, a trafiłem w sam środek tarczy, ale za całą odpowiedź usłyszałem lodowate:

- Nie nazywam go Adam.
- Mam nadzieję, że Alexem też go nie nazywałeś - odparłem, - inaczej moja wyobraźnia mogłaby się posunąć za daleko. Słyszałem, jak zwracał się do ciebie po imieniu, o ile nie wyrażał się o tobie per „panna Christie”, i uważam za dość naturalne, że po dziesięciu latach pracy poszedł za przykładem żony i mówi o tobie Lyle, choć, gdybyś ty zaczęła się do niego zwracać po imieniu, z pewnością byłbym mocno zaskoczony.
- Och, zniknij się. Jak na jedno popołudnie dość już narobiłeś dwuznacznych uwag.
- Wydawało mi się, że dokonuję inteligentnych spostrzeżeń, które mają mi pomóc rozwiązać zagadkę.
- Jaką zagadkę?
- Zagadkę, jaką stanowisz dla każdego mężczyzny tobą oczarowanego, zagadkę, czemu zadowolasz się byciem zwykłą damą do towarzystwa...
- Powoli dochodzę do wniosku, że to ty jesteś tu prawdziwą zagadką, Charlesie Ashworth, z tym twoim wypytywaniem o biskupa, manierami Don Juana i żoną, o której nie chcesz rozmawiać, czy przeszłością, nad którą tak gładko się prześlizgujesz. Czemu zadajesz

sobie trud odgrywania skomplikowanej szarady i rzucasz się na mnie przy byle okazji?

- To nie szarada. Pociągałaś mnie od pierwszej chwili, od kiedy cię poznałem.

- Nie mogłeś wybrać mniej przekonującego stwierdzenia! Nic o mnie nie wiesz! Tkwisz po uszy w jakimś romantycznym marzeniu!

- Może mi opowiesz o tym zerwanym narzeczeństwie, które sprawiło, że wszystko, co romantyczne, napawa cię takim przerażeniem?

- Nie powiem ci już ani słowa! - Była sztywna ze złości. - Proszę mnie natychmiast zabrać do domu! Uważam całą tę rozmowę za wysoce dla mnie obraźliwą!

Wracaliśmy w milczeniu, ona szła najszybciej jak to możliwe bez wpadania w bieg, ja wyciągałem nogi, żeby dotrzymać jej kroku.

- Ogromnie przepraszam, jeśli cię uraziłem, ale proszę, uwierz, kiedy powiem, że naprawdę jestem tobą oczarowany - przemówiłem, gdy dotarliśmy do samochodu.

- Nie chcę twego oczarowania.

Szarpnęła drzwiczki i opadła na fotel obok kierowcy. Najwyraźniej poruszyłem ją do głębi.

v

W czasie drogi powrotnej do Starbridge nie zamieniliśmy ani słowa, odezwałem się dopiero, gdy zatrzymałem samochód przed pałacem:

- Proszę, przeproś w moim imieniu panią Jardine i przekaz, że nie zejść na herbatę. Muszę posiedzieć w pokoju i uporządkować nieco notatki o świętym Anzelmie.

- Doskonale. Odzyskała panowanie nad sobą i choć nadal była blada, jej głos brzmiał spokojnie.

Zastanawiałem się, jak długo potrwa, zanim sobie uświadomi, że - oczywiście wbrew nakazowi rozsądku - chce, bym znowu traktował ją jak łakomy kąsek.

VI

Na górze, w przestrzennej wiktoriańskiej łaźni napełniłem wannę do połowy zimną wodą i zanurzyłem się w niej, by ciało oczyścić ze śladów popołudniowej wyprawy, a umysł z bardzo grzesznych myśli na temat panny Lyle Christie. Potem wróciłem do swojego pokoju, włożyłem bieliznę i rzuciłem okiem na notatki dotyczące świętego Anzelma, jednak owo zerknięcie było czystą formalnością. Chciałem tylko, by w moim stwierdzeniu, że nie stawię się na herbatę, ponieważ będę pracować, znalazło się źdźbło prawdy. Uspokoiwszy w ten sposób sumienie, zacząłem się zastanawiać, co mógłbym powiedzieć arcybiskupowi, gdyby w tej chwili pojawił się i zażądał sprawozdania.

Dysponowałem znacznie większą niż w chwili przyjazdu wiedzą o Jardinie i z pewnością znacznie się już posunąłem w konstruowaniu portretu psychicznego, który pomoże Langowi zdecydować, na ile jego wrogowi zagraża niebezpieczeństwo stania się łupem dziennikarzy. Mimo to jednak nadal nie udało mi się wyciągnąć informacji na najbardziej niepokojące Langa tematy: dziennika oraz domniemanego istnienia kompromitującej korespondencji. Jeśli chodzi o mnie, byłem już przekonany, że Jardine to zbyt inteligentny człowiek, by napisać w liście coś, co mogłoby go skompromitować, jednak dziennik pozostawał nadal kwestią nie znaną. Na razie nikt o nim nie wspominał słowem, ale to milczenie wcale nie dziwiło, jeśli dziennik od dawna stanowił hobby biskupa i wszyscy się z tym oswoili.

Przez jakiś czas myślałem nad tym problemem i doszedłem do wniosku, że Jardine najprawdopodobniej nie zamieszczałaby w dzien-

niku osobistych zwierzeń za życia swej macochy. Po co dzielić się myślami z nieczułą kartką papieru, skoro ma się bliską osobę o niewyczerpanych pokładach współczucia i zrozumienia? Wyobrażałem sobie, jak w pośpiechu skreśla kilka zdań, jeśli nie mógł się akurat skontaktować z macochą, ale byłem pewny, że gdy tylko znalazł współczującego słuchacza, poddawał notatki bezwzględnej cenzurze. Następnie zadałem sobie pytanie, czy mógł przelewać na papier najskrytsze myśli po śmierci macochy, ale wszyscy moi świadkowie potwierdzili, że po zamieszaniu, związanym z przybyciem do Starbridge starszej pani Jardine, w życiu biskupa nie pojawiły się kolejne kryzysy. Sekretarz wspomniał, że Jardine lepiej się porozumiewa z Lyle; lady Starmouth napomknęła, że dzięki przestronności pałacu małżeństwu łatwiej żyć w nieustannej obecności osoby postronnej; pani Cobden-Smith dawała do zrozumienia, że Lyle osiągnęła swój szczyt i stała się istną cudotwórczynią. Nagle przyszedł mi na myśl słowa Philipa, który mówił, że w pierwszym roku swego biskupstwa Jardine sprawiał wrażenie *roztargnionego* i ta uwaga obcego człowieka pasowała do faktów, którymi teraz dysponowałem: trudny start kariery, która w końcu doprowadziła Jardine'a do Starbridge, po którym nastąpiły lata, kiedy Jardine mógł iść za głosem powołania, znalazłszy wreszcie spokój. Uznałem, że dziennik jest pewnie nudny jak flaki z olejem i nie warto się do niego palić.

W tym momencie przerwałem rozważania, by sięgnąć po papierosa, kiedy jednak wyjąłem zapałkę, myślami po raz kolejny wróciłem do Ślicznotek Jardine'a. Już wcześniej doszedłem do wniosku, że biorąc pod uwagę barierę psychologiczną Jardine'a, mogę z całą odpowiedzialnością zapewnić Langa, że nie istnieje żadne ryzyko skandalu z angielską arystokratką i choć epizod z Amerykanką, Loretą Staviski, można by traktować podejrzliwie, wierzyłem w zapewnienia lady Starmouth, że Jardine zachował się odpowiednio. Kobiety lubiły Jardine'a; on i jemu podobni księża zawsze muszą się liczyć, że staną się obiektem namiętności jakiejś parafianki, ale

w znacznej większości przypadków wina nie leży po ich stronie, ja zaś byłem przekonany, że Jardine - który po pierwsze niedawno się ożenił, po drugie, wyróżniony umieszczeniem w Mayfair, za żadne skarby nie zaprzepaściłby tej szansy - miał wszelkie powody, by odnosić się do Loretty zgodnie z nakazami przyzwoitości.

Prawie udało mi się siebie przekonać, że Jardine jest czysty jak łza, ale na koniec zachowałem najbardziej złowieszcze rozwiązanie.

Zacząłem myśleć o Lyle.

Zauważyłem, że choć przyznała, że uważa panią Jardine za drugą matkę, me powiedziała, że biskup zastępuje jej ojca. A jednak swojego ojca opisała jako „mądrego”, „bystrego”, „szybkiego” i „twardego” - przymiotnikami, które równie dobrze można odnieść do Jardine'a. Niewątpliwie była związana z biskupem, niewątpliwie podziwiała go i szanowała, ale w jej zachowaniu nie było śladu zadurzenia nastolatki, czy też niezaspokojonej namiętności starej panny, co prowadziło mnie do podejrzeń, że uczucia, jakie do niego żywiła, to uczucia córki. Co więcej, odkryłem, że podzielałam zdanie pani Cobden-Smith, jakoby Lyle mieszkała z biskupem i jego żoną nie dlatego, że pożądała biskupa, lecz dlatego, że pożądała władzy; i to me tyle władzy, jaką dawało jej kierowanie pałacem, co władzy' jaką dawało jej podtrzymywanie małżeństwa biskupa, władzy, która wynikała ze świadomości, że tylko dzięki temu biskup może nadal sprawować swoją funkcję. Co by się z nim stało, gdyby małżeństwo się rozpadło? Na samą myśl przebiegł mnie lodowaty dreszcz i podejrzewałem, że plecy Jardine'a doskonale znają ten chłodny powiew.

Nie zapomniałem rozważyć, czy zerwane zaręczyny mogły mieć negatywny wpływ na Lyle, ale w tym momencie nie udało mi się sformułować niczego poza wstępnym założeniem, że nie da się wykluczyć istnienia jakiegoś nieszczęśliwego, romantycznego przeżycia. Jej reakcja na mój pocałunek wskazywała, że pod względem seksualnym Lyle jest normalna; odrzucenie go wskazywałoby na

nienormalny lęk przed jakimkolwiek związkiem uczuciowym. Brak danych uniemożliwił dalsze rozwijanie teorii, mimo to czułem jednak, że mogę powiedzieć Langowi, że niechęć Lyle do małżeństwa najprawdopodobniej wynika z zerwanego na-rzeczństwa, a nie z jakichś niestosownych uczuć względem biskupa.

Podsumowawszy prawdopodobny stosunek Lyle do Jardine'a, odwróciłem sytuację i począłem się zastanawiać nad uczuciami, jakie Jardine mógł żywić względem Lyle. To przyszło mi łatwiej, ponieważ jako kapłan, nie nadwerężając wyobraźni, mogłem się z nim identyfikować: ożeniłem się w pośpiechu, prawie na pewno wielokroć tego żałowałem i teraz z powodu swej gwałtowności zostałem obdarzony żoną, która nieraz stanowi kulę u nogi. Jestem duchownym na wysokim stanowisku bez szans rozwodu i w takiej wykańczającej sytuacji niewątpliwie najbardziej nęka pytanie: jak wytrzymałem w tym związku? Lyle stała się odpowiedzią zesłaną przez Boga i ponieważ była tak ważna nie tylko dla mego małżeństwa, lecz także i dla świetnej kariery, nie pozwolę sobie na najmniejsze ryzyko i żelazną ręką zapanuję nad szalonym, choć całkowicie wybaczalnym pragnieniem flirtu. Oczywiście, Lyle będzie mnie ogromnie pociągać i dlatego tak trudno przyjdzie mi się przyzwyczaić do jej obecności w domu - wyznam nawet lady Starmouth, że obecność osoby postronnej uważam za utrudnienie w moim małżeństwie - jednak zapanuję nad sobą dzięki modlitwie i sile woli oraz licznym, rozkosznie *risque* pogawędkom z moimi Ślicznotkami, co przynajmniej w pewnym stopniu skieruje uczucia na bezpieczne tory albo pomoże stłumić uczucia, o których nie uda mi się zapomnieć. Stałem się Adamem Alexandrem Jardinem, dojrzałym graczem, który przeszedł najtrwarszą ze szkół i nie jest ani słaby, ani szalony.

I tak, nim ostatecznie się „odidentyfikowałem” z Jardinem, została mi do rozwiązania tylko jedna kwestia. Byłem mężczyzną

O bujnym temperamentie, obdarzonym ogromną energią fizyczną i silnym pociąganiem do kobiet. Żyłem, czy też nie żyłem jak mnich?

Nie. Spałem z żoną, która zachowała urodę, ciągle mnie uwielbia nadal jest dość miła na swój doprowadzający do pasji sposób i - co najważniejsze - pozostaje w zasięgu ręki. Z pewnością nikim innym nie dysponowałem, a żonaty duchownych nie stać na wybredność. Uznałem swoją analizę związku Jardine'a nie tylko za do przyjęcia ale wręcz za jedyną rozsądną. Czułem, że teraz będę mógł z całą odpowiedzialnością powiedzieć Langowi:

- Dziewczyna, w której psychice istnieje najprawdopodobniej jakaś silna bariera przed zawarciem małżeństwa, uważa żonę Jardine'a za matkę, zaś jego samego traktuje jak narzędzie, dzięki któremu może zaspokoić żądze władzy. Żona traktuje ją jak córkę, a męża uwielbia. Dla niego żona jest ciężarem, ale równocześnie źródłem przyjemności seksualnej, dziewczyna zaś to dar boży, ale z punktu widzenia seksu - tabu. Dopóki ów trójkąt się utrzyma, małżeństwu nic nie grozi i nie widzę oznak nadchodzącej katastrofy

Ale oczywiście ostatecznie zdanie będzie fałszywe. Wiedziałem już że to ja stanę się ową nadchodzącą katastrofą, która ma zniszczyć ten trójkąt, a kiedy się rozpadnie, nad Jardine'ami zawiśnie groźba obnażenia klęski ich małżeństwa.

Przerażony, a równocześnie zafascynowany ciągle jeszcze rozważałem tę perspektywę, kiedy nagle ktoś głośno zapukał do drzwi. Podskoczyłem, zerwałem się na nogi i włożyłem szlafrok.

- Proszę! - zawołałem, przekonany, że za drzwiami stoi służący przysłany, by przekazać mi jakąś wiadomość, a może list, który przyszedł w popołudniowej poczcie, i odwróciłem się, by zgasić papierosa w popielniczkę.

Drzwi gwałtownie się otworzyły i do sypialni niczym burza wpadł biskup.

- A teraz, doktorze Ashworth - odezwał się ostro, kiedy określiłem się zdumiony - myślę, że nadszedł czas, by powiedział mi ksiądz prawdę całą prawdę i tylko prawdę. Co ksiądz naprawdę sprowadza do btarbndge i w co, u licha, ksiądz się bawi?

Rozdział szósty

„Pożądanie seksualne (które stanowi najsilniejsze i najważniejsze z pragnień naszego ciała) domaga się zaspokojenia...

Od początku więc zdajemy sobie sprawę,

że powszechnie będziemy się stykać z ustępowaniem temu pragnieniu i że chrześcijaństwo właśnie w tej dziedzinie będzie najtrudniejsze”.

More Letters of Herbert Hensley Henson, zebr. E. F. Braley

I

Przez następną sekundę widziałem biskupa z fotograficzną dokładnością i zauważyłem, że jego brązowe oczy straciły blask i pociemniały. Usta zacisnął w wąską kreskę, ręce schował za plecami, jakby chciał ukryć zaciśnięte pięści, z całej sylwetki aż promieniowało chęcią walki.

- No więc, doktorze Ashworth? - odezwał się i nie miałem już najmniejszych wątpliwości co do jego wojowniczego nastroju. - Niech ksiądz odpowie! Co ma ksiądz na swoją obronę?

Natychmiast zdałem sobie sprawę, że nie mogę dopuścić, by nadal uważał, że może mnie onieśmielić. Niestety, daleko mi było do spokoju i pewności siebie. Koniecznie musiałem podjąć jakieś działania obronne.

- Daruje ksiądz biskup - odparłem - ale nie zgadzam się

rozmawiać odziany jedynie w bieliznę i szlafrok. Musi mi ekscelencja dać chwilę na przebranie. Zapadło krótkie, pełne napięcia milczenie. Wreszcie Jardine się roześmiał.

- Podziwiam księdza tupet! - zawołał i usiadł przy stole obok okna. Pospiesznie wkładając strój duchowny, pomyślałem, że aż nazbyt

łatwo mogę wydedukować, co się stało. Lady Starmouth poskarżyła się na przesłuchanie, któremu ją poddałem, sekretarz wyjawiał moje zainteresowanie układami w pałacu, pani Cobden-Smith nie omieszkała pochwalić, jaki to ze mnie wspaniały słuchacz, Lyle zaś opowiedziała o mojej biskupiej obsesji. Miałem zostać obnażony jako pożałowania godny szpieg, z drugiej jednak strony wszystko, czego się dowiedziałem, przemawiało na korzyść Jardine'a. Jeśli pozwolę mu się wyzłocić, może uda mi się go uspokoić, kiedy gniew przejdzie w zwykłe oburzenie. Tylko na to mogłem liczyć.

Tymczasem jednak muszę sobie poradzić z jego wściekłością.

- Dziękuję - odezwałem się, kiedy już ubrany siadłem wreszcie naprzeciwko niego - teraz czuję się znacznie bardziej cywilizowanie. Przede wszystkim, księżo biskupie, proszę przyjąć moje szczerze przeprosiny...

- Niech ksiądz je sobie daruje. Proszę mi powiedzieć prawdę. Czemu ksiądz się tu znalazł?

- Doktor Lang mnie przysłał.

Jardine nie okazał najmniejszego zdziwienia.

- Arcybiskup powinien uważać - brzmiał jego kąśliwy komentarz. - Wykazuje talent do kościelnych matactw, jakiego nie było od czasów papieży z rodu Borgiów. I jakim cel mu przyświecał? A raczej co podał za przyświecający mu cel?

- Chce ekscelencję ochronić. Boi się, że jego wrogowie z Fleet Street mogą wykorzystać księdza biskupa próbując zbrukać Kościół. Wysłał mnie więc, bym ocenił, na ile może ksiądz biskup być narażony na skandal.

- Rzeczywiście, mógł księdzu coś takiego powiedzieć, jednak prawda jest taka, że przysłał tu księdza na przeszpiewki w nadziei, że

znajdzie ksiądz jakieś dowody, które on mógłby wykorzystać, by zmusić mnie do rezygnacji!

- Księżę biskupie...

- Potworne! Arcybiskupie głowy spadały za mniejsze przewinienia!

Poczułem, że nie mam wyboru, muszę wystąpić w obronie mego opiekuna.

- Księżę biskupie, jego emimencja nie podejrzewa księdza o upadek ani o żadną poważną niedyskrecję i czuję się w obowiązku podkreślić, że nie próbuje się księdza pozbyć...

- Czyżby? Podejrzewam, że ostatnio musiał się wybrać incognito do Old Vic na spektakl „Mord w katedrze” i dlatego teraz powtarza za Henrykiem II: „Kto mnie wyzwoli od tego nieokiełznanego kapłana?”

- Doktor Lang - podkreśliłem z naciskiem, me zwracając uwagi na przycinek - obawia się przede wszystkim, czy nie popełnił ksiądz jakichś niewielkich niedyskrecji, które mogłyby zostać wykorzystane przez jakiegoś pozbawionego skrupułów dziennikarza. Niepokoi się także, czy nietypowa sytuacja rodzinna nie mogłaby zostać źle zinterpretowana. Biorąc pod uwagę, że ostatnio znalazł się ksiądz biskup w ośrodku zainteresowania dziennikarzy, czy naprawdę uważa ekscelencja za tak niewybaczalne, że doktor Lang wysłał kogoś zaufanego, kto by zbadał sytuację i upewnił się, czy nie grozi księdzu bycie wykorzystanym przez prasę w najgorszy z możliwych sposobów?

Jardine na tyle panował nad sobą, że mógł odpowiedzieć spokojnym głosem:

- Podejmuje ksiądz heroiczne wysiłki wytłumaczenia arcybiskupa za niewybaczalne pogwałcenie mojej prywatności i szanuję księdza za tę lojalność. Czy jednak jego eminencji nie przyszło na myśli, że sam doskonale potrafię się zabezpieczyć przed wścibskimi dziennikarzami? - Arcybiskup pragnął wyłącznie upewnić się, czy przez przypadek nie zostawił ekscelencja jakiejś szczeliny w swej zbroi.

- A czy wolno wiedzieć, co jego eminencja miał na myśli mówiąc o owej szczelinie?
- Niepokoiło go zwłaszcza domniemane istnienie jakichś nieroztropnych stwierdzeń w dzienniku bądź niedyskretnej korespondencji.

Jardine wybuchnął śmiechem.

- Czy on mnie ma za kompletnego idiotę? - huknął z pogardą.
- Zdaję sobie sprawę, że to zabrzmiało niedorzecznie, ale, doktorze Jardine, to prawda, że mężczyznom w wieku ekscelencji - nawet wybitnie inteligentnym - zdarza się wypaść z toru i jego eminencja czuł się w obowiązku upewnić się, nie tylko przez wzgląd na dobro Kościoła, ale także dobro ekscelencji...
- Dosyć. Doskonale, rozumiem księdza punkt widzenia. Przypuszczam, że jeśli jest się prymasem, trzeba zawsze brać pod uwagę możliwość, że któremuś z biskupów padnie na mózg i skretynieje, a jego eminencja z pewnością uznał moją napaść na niego w Izbie Lordów za objaw choroby psychicznej. Jednakże pozwoli ksiądz, że spróbuję jak najrychlej uspokoić melodramatyczne obawy jego emimencji.

Jardine nachylił się ku mnie, opierając łokcie na stole, i splótł palce.

- Po pierwsze: mój dziennik. To nie jest pamiętnik dorastającego młodzieńca, pełny grzesznych odniesień. Piszę o książkach, które czytałem, zapisuję wrażenia z podróży, notuję pomysły kazań, wspominam o spotkanych osobach i, ujmując rzecz ogólnie, staram się wyrażać, co znaczy służyć Bogu w kapłaństwie. Nie powiem, że nigdy nie przelewałem na papier wewnętrznych rozterek, bo to nieprawda. Zdarzało mi się to, ale ponieważ później wyrzywałem odpowiednie stronicie i paliłem, może ksiądz uspokoić arcybiskupa, że w obecnym kształcie mój dziennik natychmiast uspiłby każdego dziennikarza z „The News of the World”... Czy też nie potrafi ksiądz w to uwierzyć?...
- Potrafię - przyznałem szczerze. - Już wcześniej doszedłem do wniosku, że zamierza ekscelencja swoje pamiętniki opublikować Zastanawiałem się tylko...

Urwałem.

- Słucham.

- Nie, moje pytanie byłoby bezczelne.

- Może je ksiądz postawić. Skoro, jak widać, udało mi się przeżyć niewybaczalne pogwałcenie mojej prywatności przez arcybiskupa i obeszło się bez ataku serca, jedno małe uchybienie nie powinno rozpaść mej cudownie zimnej krwi. Cóż to za pytanie?

- Zastanawiałem się, kiedy ostatnio był ksiądz biskup zmuszony wyrwać kartki ze swego dziennika? Uniósł brwi i bacznie mi się przyjrzał. Uznał jednak, że interesuje mnie wyłącznie, czy w ostatnim okresie w jego życiu osobistym nie pojawiły się jakieś trudności.

- Nie musi się ksiądz niepokoić - zapewnił sucho. - Już od jakiegoś czasu w moim życiu wyjątkowo mało się dzieje. Minęło pięć lat od chwili, kiedy po raz ostatni strony mojego dziennika padły łupem ognia w bibliotecznym kominku.

- Mieszkał ksiądz biskup wtedy jeszcze w Radbury? - spytałem, pewny, że usłyszę odpowiedź przeczącą, ale chciałem w ten sposób sprowokować go do dalszych wyznań.

- Nie, właśnie przeniósłem się do Starbridge i mam nadzieję, doktorze Ashworth, że nie posunie się ksiądz do poważnej impertynencji, pytając, co wtedy przeżywałem.

- Oczywiście, że nie, księżę biskupie.

Pomyślałem o pani Jardine, która ponownie zmierzała ku załamaniu nerwowemu, zmęczona walką z obecnością teściowej i stanem, który pani Cobden-Smith określiła mianem „trudnego okresu”, co uznałem za eufemistyczne określenie menopauzy. Wyobraziłem sobie, jak biskup przelewa swe uczucia na papier, oczekując na przybycie swojej zaufanej powierniczki.

- Miałem przed sobą trudną decyzję - odezwał się biskup niespodziewanie - i musiałem przedstawić to sobie na papierze, żeby jaśniej sprawę zobaczyć.

Tym naprawdę mnie zaskoczył. Nie od razu pojąłem, o jaką decyzję mu chodziło. Może zastanawiał się, czy, biorąc pod uwagę

psychiczny stan żony, nie powinien raczej umieścić macochy w najlepszym domu starców w Starbridge, zamiast w pałacu.

- Doskonale, to tyle jeśli chodzi o dziennik - podjął z wawo Jardine. - Teraz zajmijmy się moją korespondencją. Są cztery kobiety, do których pisuję regularnie. Po pierwsze i najważniejsze moja żona. Ilekroć się rozstajemy, staram się do niej skreślić codziennie choć parę słów. Zdaje się, że to chyba dość normalne zachowanie jak na człowieka mego pokolenia, który nie znosi telefonów, choć wy, młodszy możecie uważać korzystanie z papieru listowego za ekstrawagancję. Następna w kolejności jest niezrównana lady Starmouth, do której pisuję mniej więcej dwa razy na tydzień. Głównym tematem naszych listów są plotki z kół kościelnych, ale dyskutujemy też na temat literatury i polityki, czyli kwestie, które interesują szczególnie panią Welbeck i lady Markhampton, do których pisuję regularnie, choć nie tak często jak do lady Starmouth. Czy jasno się wyraziłem?

Korespondencja z tymi trzema wspaniałymi paniami, choć bardzo pobudzająca, z pewnością nie sprowokuje żadnego męża, by chciał się ze mną spotkać o świtaniu, z pistoletem w dłoni. Może ksiądz zapewnić jego eminencję, że nie ma powodów do niepokoju.

- Czy mogę zaryzykować kolejnie niewielkie uchybienie?

- Jest ksiądz odważnym człowiekiem, doktorze Ashworth? Ale proszę pytać.

- Czy pisuje ksiądz biskup do panny Christie?

- Tylko jeśli muszę jej przekazać ważną wiadomość. Ostatnio na przykład pisałem do niej w maju, kiedy byliśmy z żoną w Londynie na koronacji. Wysłałem do panny Christie notatkę, by ją powiadomić, że zostaniemy tam o dzień dłużej, żeby wybrać się na kolację ze starymi przyjaciółmi z Radbury. - Czemu panna Christie wam nie towarzyszyła?

- To nie jest bezczelne pytanie, doktorze Ashworth, raczej nieważne, bo z tego, co wiem, nic nie wniesie do sprawy. Musiałem wziąć udział w uroczystości koronowania nowego władcy i wraz z żoną otrzymaliśmy siedzenia w Opactwie. Panna Christie podjęła rozsądną decyzję, że miast zostać zmiażdżoną w tłumie widzów,

woli wysłuchać ceremonii w radiu. Czy ma ksiądz jeszcze jakieś nieważne pytanie, czy też wolno mi spytać, jaki raport zamierza ksiądz zdać doktorowi Langowi? Uśmiechnąłem się do niego i odparłem:

- Powiem jego eminencji, że moim zdaniem wszelkie szczeliny w księdza biskupa zbroi są starannie zatkane.

- Wspaniale! Czy zamierza też ksiądz poinformować jego eminencję, że oprócz tego, że wdarł się ksiądz podstępnie do mego domostwa, by mnie szpiegować, dodatkowo pogwałcił ksiądz prawa gościnności „zaszczycając” towarzyszkę mojej żony przedwczesnymi i niesmacznymi awansami? Poczulem się, jakbym został zwalony na murawę po nieoczekiwanym ataku przeciwnika. Z wielkim trudem zdobyłem się na to, by spojrzeć Jardine'owi w oczy i oświadczyć pewnym tonem:

- Być może były one przedwczesne, lecz z pewnością nie niesmaczne.

- Czyżby? Zdaniem panny Christie zachowywał się ksiądz niezrównoważenie i muszę wyznać, że całkowicie się z nią zgadzam. Nie uważa ksiądz za odrobinę przedwczesne przypuszczanie namiętnego ataku na przyzwoitą kobietę, poznaną zaledwie dobie temu?

- Nie mniej przedwczesne jak u księdza biskupa w tym samym wieku - odparowałem - kiedy oświadczył się ksiądz swej żonie po zaledwie czterodniowej znajomości.

Zapadła cisza. Mierzyliśmy się wzrokiem. Bursztynowe oczy Jardine'a zaśniły niebezpiecznym blaskiem.

- To już była impertynencja, doktorze Ashworth.

- Tak samo, jak, z całym szacunkiem, księdza ostatnia wypowiedź, doktorze Jardine. Nikt, nawet biskup, nie będzie mi mówił, jak mam kierować swoim osobistym życiem.

- Cóż za niewiarygodnie aroganckie stwierdzenie! Czyżby twierdził ksiądz, że nigdy nie potrzebował kierownictwa duchowego?

- Ja...

- Kto jest księdza przewodnikiem duchowym? A może ma ksiądz o sobie tak wysokie mniemanie, że uważał takowego za zbędnego?

Dłonie pod stołem miałem zaciśnięte w pięści. Jakoś udało mi się zapanować nad głosem i odparłem spokojnie:

- Moim kierownikiem duchowym jest ojciec James Reid z klasztoru ojców fordytów w Grantchester.
- Och, znam mnichów z Grantchester z czasów, kiedy pracowałem w Radbury i oczywiście pamiętam ojca Reida: idealny przykład łagodnego staruszka kapłana, bardzo miły, świątobliwy i dobry zakonnik. Czy jednak nie przydałby się księdzu na kierownika duchowego ktoś twardszy niż łagodny staruszek, doktorze Ashworth?

Milczałem, a kiedy Jardine pojął, że nie zamierzam odpowiedzieć, odezwał się z nieoczekiwanym współczuciem:

- Niech ksiądz nie myśli, że zapomniałem, co to znaczy mieć trzydzieści siedem lat i być nieżonatym. Jednak impulsywne, romantyczne postępowanie do niczego nie prowadzi i jest ksiądz na tyle inteligentny, doktorze Ashworth, by zdawać sobie sprawę, że bez regularnego i skutecznego kierownictwa osoby, która doskonale wie, jakie z tym wiążą się problemy, u tych z nas, którzy nie są powołani do zachowania celibatu, życie w czystości może doprowadzić do uczuciowego zachwiania. Znowu przerwał, a ja znowu nie odpowiedziałem. Wreszcie podjął:

- Niech ksiądz porozmawia ze swoim biskupem. Może poleci księdzu kogoś odpowiedniejszego niż stary, poczciwy ojciec Reid, który od tak dawna żyje w celibacie, że zapewne nie pamięta już do czego, poza oddawaniem moczu, służy męski organ. Cambridge to dobry człowiek, nawet jeśli zbyt wiele czasu spędza pisać prace na temat, kto był pierwszy: Ezdrasz czy Nehemiasz, i jestem przekonany, że zrobi wszystko, co w jego mocy, by księdzu pomóc.

Wreszcie, po chwili przedłużającego się milczenia, udało mi się powiedzieć:

- Dziękuję, doktorze Jardine. Teraz zaś oczywiście, ponieważ tak dogłębnie pogwałciłem ekscelencji gościnność, życzy sobie ksiądz biskup, bym co rychlej opuścił jego domostwo.

Jardine odchylił się w krzesło i przyjrzał mi się, jakbym stanowił jakiś trudny, lecz fascynujący problem.

- Drogi doktorze Ashworth - odparł wstając - jeśli skróci ksiądz wizytę i opuści pałac w niełasce, wywoła ksiądz dokładnie takie plotki, jakich doktor Lang tak gorąco pragnął uniknąć. Widzi ksiądz te nagłówki w prasie brukowej? „Posiadamy informacje z wiarygodnych źródeł” - co oznacza wścibską pokojówkę - „że w Cathedral Close w Starbridge rozpętała się burza, gdy kanonik Charles Ashworth został wypędzony z pałacu biskupiego po ataku na cnotę pociągającej, młodej towarzyszki biskupa, panny Lyle Christie”. (Naturalnie ani słowem nie wspomną

O mojej żonie.) „Nasz informator, zbliżony do kół, potwierdza, że zachwycająca panna Christie po powrocie z wycieczki automobilem, na którą wybrała się z przystojnym kanonikiem, ze szlochem popędziła do biskupa: «Dał upust swym żądzom w Kręgu Starbridge!», co Słyszając, biskup rzucił się na kanonika, krzycząc: «Precz spod mego dachu!»...”

I tak dalej, i tak dalej. O, nie, doktorze Ashworth! Nie dam się schwytać w pułapkę i nie poproszę, by nas ksiądz opuścił. W końcu mamy zobowiązania wobec arcybiskupa i musimy zachować pozory, nawet jeśli obraża nas, robiąc z księdza szpiega, a ze mnie głupca!

W czasie tej przemowy biskup przemierzył pokój. Teraz otworzył drzwi i obejrzał się na mnie.

- Nie skróci ksiądz wizyty, będzie się zachowywał, jak na dżentelmena przystało i weźmie sobie do serca moją radę o duchowym kierownictwie - oświadczył. - A na razie z niecierpliwością oczekuję dokończenia naszej teologicznej dysputy po kolacji nad portwajnem. Gorąco pragnąłbym poznać księdza poglądy na temat niepokalanego poczęcia.

II

Zostałem ostrzeżony, bym nie posuwał się dalej. Rozmyślałem, w jakim stopniu biskup ingerował w inne romanse Lyle. Większości konkurentów stanu duchownego wystarczyło, by

biskup warknął, a już czmychali, mnie jednak daleko było do wrażliwego, młodego księdza i niełatwo dawałem się onieśmielić. Nikt, kto pozostawał pod opieką Langa, nie musiał się obawiać, czy biskup Starbridge udzieli mu swego pozwolenia i nie sądziłem, by Jardine kiedykolwiek osiągnął pozycję, która zagroziłaby mojej dalszej karierze; zbyt wielu miał wrogów wśród polityków, by mógł zająć jedno z dwóch najwyższych wyróżnień w Kościele anglikańskim: arcybiskupa Canterbury bądź Yorku.

Zdjawszy koloratkę, zapaliłem papierosa, by uspokoić nerwy. Zastanawiałem się, czy powinienem uznać za zły omen fakt, że Lyle natychmiast pobiegła do biskupa, ale doszedłem do wniosku, że należało się spodziewać takiej reakcji. Najwyraźniej po tylu latach między Lyle a Jardine'em wytworzyła się bliska więź i gdy oskarżyłem dziewczynę, że stanowi klej, który ratuje małżeństwo biskupa przed rozpadem, naturalną reakcją było ostrzeżenie go, że zapewne będę próbował wyciągnąć na światło dzienne jego tajemnice. W takiej sytuacji nie dziwiło, że Jardine postanowił w odwecie wyciągnąć broń, zwłaszcza jeśli Lyle - lojalna współpracownica - uznała także za swój obowiązek ostrzec biskupa, że mam chyba chęć zniszczyć jego trójkąt. Jeżeli los małżeństwa i kariery biskupa leżał w rękach Lyle, Jardine musiał nie tylko obnażyć szablę, musiał ciąć prosto w tętnicę.

Mimo to - choć gotów byłem przyznać, że można usprawiedliwić wojownicze zapędy biskupa - z duchowego punktu widzenia uważałem jego zachowanie za niezdrowe. Miałem bardzo chrześcijańskie pragnienie powtórnego ożenku. Jardine zaś zdawał się robić wszystko, co w jego mocy, by mój zamiar spełził na niczym. Co więcej, mogłoby to źle wpłynąć na Lyle i moje dobro i nie mogłem powstrzymać się od konkluzji, że biskup nie ma racji.

Nagle uświadomiłem sobie, że po raz kolejny nie stawiałem się na nieszpórach i z okrzykiem rozdrażnienia zgasilem papierosa, założyłem koloratkę i usiadłem do brewiarza.

W połowie *Nunc Dimittis* przyszło mi na myśl, że Jardine nie raz musiał się liczyć z możliwością, że pewnego dnia Lyle odejdzie; nie zatrudnił kobiety na tyle nieatrakcyjnej, by jej przyszłość dawało się doskonale przewidzieć. Uznałem, że ja na miejscu Jardine'a już dawno temu przygotowałbym plan na wypadek, gdyby Lyle wręczyła mi swoją rezygnację i plan ów zakładałby, że cały czas będę się rozglądać za ewentualną następczynią. Wiele dam do towarzystwa wywodziło się z rodzin pastorów, gdzie było zbyt mało pieniędzy, by utrzymać dziewczęta, przygotowane jedynie do bycia damami, a ja, jako biskup, mógłbym bez trudu obserwować i wyłapywać wolne kandydatki. Oczywiście trudno by znaleźć drugi taki dar niebios jak Lyle, ale ponieważ najprawdopodobniej stosunkowo łatwo wyszukałby w miarę miłą, odpowiednią kobietę, można by dyskutować, czy Jardine walczy tylko po to, by oszczędzić sobie niewygody. Odejście Lyle stanowiłoby prawdziwe trzęsienie ziemi dla jego domu, ale i po trzęsieniach ziemi ludzie dochodzą do siebie; życie powoli wraca do normy. Jednak patrząc, jak Jardine gotów jest niemal się rzucić na mnie z pięściami, można by pomyśleć, że gdyby w Starbridge doszło do trzęsienia ziemi, wszelkie życie w pałacu by ustało. Tłumaczyłem sobie, że przemawia przeze mnie ból po ataku na mą aortę i wracając do brewiarza, ponownie spróbowałem się skupić na modliwie. Nie zaszedłem daleko, kiedy do mych myśli wkradło się nieuniknione podejrzenie. By sztuce dedukcji stało się zadość, nakazałem sobie założyć, że moje możliwe do przyjęcia wyjaśnienie natury biskupiego trójkąta jest z gruntu fałszywe. Kazałem sobie założyć - znowu sztuka dla sztuki - że odkładam wewnętrzne przekonanie i zaczynam myśleć o niemożliwym. Gdyby Lyle była kochanką Jardine'a, wyjaśniałoby to tak jej niechęć do małżeństwa, jak i jego wrogość względem niebezpiecznego konkurenta. Jedyne problemy z tą teorią - na pierwszy rzut oka niedorzeczną, na drugi zaś tak niemile prawdopodobną - leżał w tym, że rozpadała

się przy bliższym przebadaniu. Po pierwsze nie potrafiłem sobie wyobrazić, by pani Jardine nadal traktowała jak córkę kobietę, która spała z jej uwielbianym mężem. Pani Jardine nie grzeszyła szczególną inteligencją, sądziłem jednak, że jest na tyle wyrażliwa, by wyczuć, że dwójka najważniejszych w jej życiu ludzi ma ze sobą romans. Przede wszystkim zaś największa słabość tej koncepcji kryła się w tym, że nie potrafiłem sobie wyobrazić, by człowiek promieniujący taką wewnętrzną siłą jak Jardine mógł prowadzić duchowe podwójne życie. Nadal gotów byłem postawić grube pieniądze, że Jardine nie nadaje się na odstępce, a tylko apostata zdolny by był do zdrady małżeńskiej.

Jakoś udało mi się dobrać do końca niesporów i zacząłem się przygotowywać do kolacji. Wszystko się może zdarzyć, nawet - choć to się nie mieści w głowie - apostazja, jednak nie warto tracić czasu na myślenie o rzeczach niemożliwych, dopóki nie znajdę jakiejś wskazówki, choćby najmniejszej, która by świadczyła, że Jardine jest zdolny do takiego postępowania.

Przestałem przyglądać włosy i zapatrzyłem się w lustro.

Inni księża popadali w błąd. Czemu nie Jardine? Nagle, z jakichś mglistych powodów, których sam nie pojmowałem, gwałtownie zapragnąłem udowodnić, że Jardine'owi choć raz od święceń przytrafił się poważny upadek moralny - i właśnie wtedy po raz pierwszy zacząłem poważniej zastanawiać się nad Loretą Staviski.

III

Groźba Jardine'a o dyskutowaniu ze mną nad portwajnem o niepokalany poczęciu nie została zrealizowana. Okazało się bowiem, że jeden ze świeckich gości - najbardziej poważany architekt ze Starbridge - także nie pali i nie można go wysłać do palarni. Początkowo przez wzgląd na dobre wychowanie Jardine powstrzymał się przed rozdzieleniem na czworo teologicznego

włosa. Jednakże po dyskusji na temat aresztowań, które miały ostatnio miejsce w niemieckim Kościele ewangelickim, architekt odezwał się z szacunkiem:

- Skoro już mowa o sprawach kościelnych, mam nadzieję, że nie pogniewa się ksiądz biskup, gdy zapytam o kodeks małżeński Alana Patricka Herberta. Ciekawi mnie, co ekscelencja o tym sądzi, zwłaszcza że ja także uważam, że powinno się poszerzyć możliwości udzielania rozwodu, choć nadal nie do końca pojmuję, jak ksiądz biskup uzasadnia swe poglądy od strony teologicznej. Skąd pewność, że Chrystus nie ustanowił konkretnych rozwiązań tego problemu, a jedynie wytyczył kierunki? Architekta można było zaliczyć do grona inteligentnych, rozumiejących problem świeckich, zasługiwał więc na zachętę.

- Cóż, przede wszystkim musi pan pamiętać - odezwał się łagodnie Jardine - że nasz Zbawiciel nie był dwudziestowiecznym Anglikiem, wychowanym w kulturze, która sławi umiar w szafowaniu słowami. Pochodził ze Środkowego Wschodu, z odmiennego kręgu kulturowego, jego współcześni przedstawiali podstawowe prawdy za pomocą wyrazistych słów-obrazów, stwierdzeń, które my określilibyśmy mianem przesadnych. Klasycznym tego przykładem jest słynne zdanie Chrystusa, że „łatwiej wielbłądowi przejść przez ucho igielne, aniżeli bogaczowi wejść do Królestwa Bożego”. Współczesny Anglik powiedziałby jedynie: „To mu się nie uda”.

- Innymi słowy mówi ksiądz, że...

Architekt nie wiedział, jak połączyć ową przestrożę o nieangielskim podejściu Chrystusa do życia z Jego nauczaniem o rozwodach.

- Kolejną rzeczą, o której musi pan pamiętać - podjął Jardine, za bardzo pochłonięty wykładaniem swej tezy, by zwrócić uwagę na wtrącenie architekta - to że zawsze powinniśmy widzieć Chrystusa na tle Jego epoki. W czasach, gdy przebywał na ziemi, w judaizmie istniały dwa przeciwstawne zapatrywania na rozwód. Zdaniem jednych, zwanych Żydami z Południa, rozwodu można było udzielić

praktycznie z byle powodu, na przykład dlatego że żona przypaliła zupę. Druga grupa Żydów uważała, że rozwodu powinno się udzielać jedynie w wypadku zdrady i wyłącznie mężczyznom. Co więcej, jeśli mąż miał rozpustną żonę, wymagano od niego, by się rozwiódł; nie miał wyboru.

- Dobrze nieba! - zawołał architekt, poruszony na wieść o przymusowym rozwodzie. Czułem, że omal nie wykrzyknął: dobry Boże, ale w ostatniej chwili przypomniał sobie, że jest gościem u biskupa.

- Teraz - ciągnął Jardine, uspokojony, że gość nadal jest przytomny - przejdźmy do samego Chrystusa. Tak naprawdę chodziło mu o krytykę nadmiernie swobodnego podejścia do rozwodu Żydów z Południa, dlatego tak wyraźnie podkreślał nauczanie surowszej szkoły. Patrząc z punktu widzenia kultury środkowowschodniej ujęcie tego tematu można by określić mianem „fortissimo” dla przesadnego języka Żydów, nie „pianissimo” brytyjskiej powściągliwości. Chrystus powiedział: „Co więc Bóg złączył, niech człowiek nie rozdziela”. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że obie szkoły uznawały rozwód, ale nie mówił jak prawnik i nie mówił o prawie. Atakował moralność rozwodu przyznawanego z błahych przyczyn i dlatego podkreślał świętość małżeństwa.

- Aha - odezwał się architekt, słysząc znajome zdanie - świętość małżeństwa... Tak...

- Pozwoli pan, że przeniosę sytuację w nasze stulecie - pomógł mu Jardine. - Gdybym panu powiedział, że w Reno w stanie Nevada, kobieta rozwiodła się z mężem, bo zamiast z drugiego końca wyciskał pastę z tubki bliżej zakrętki, zapewne pana reakcja brzmiałaby: „Okropność! Małżeństwo powinno się zawierać na całe życie! Co za oburzające deprecjonowanie tej instytucji!” Naprawdę jednak nie uważa pan, że małżeństwo zawsze powinno trwać całe życie; jeśli rozpada się tak, że zniszczeniu ulega jego duchowa struktura, jeśli przestaje być małżeństwem w najgłębszym tego słowa znaczeniu, wtedy i pan, i ja, i wielotysięczna rzesza wierzymy, że

pod względem duchowym małżeństwo przestało istnieć i powinno zostać prawnie zakończone. I to właśnie, moim zdaniem, jest pełne zrozumienia nauczanie, które bez wątpienia kryje się za stwierdzeniami Zbawiciela, podkreślającymi świętość małżeństwa.

- A więc twierdzi eksceleńcja - podsumował gość, który niczym obiecujące dziecko „dobrze się zapowiadał” - że Chrystus sprzeciwiałby się prawu rozwodowemu w Nevadzie, natomiast akceptowałby nowe prawo rozwodowe proponowane przez pana Alana Patricka Herberta?

- Dokładnie tak! - zapewnił Jardine. - Herbertowi przyświecają dwa cele: jeden to ulżenie w cierpieniach - a czy sądzi pan, że współczujący Chrystus by się temu sprzeciwił? - drugi zaś to wzmocnienie świętości małżeństwa przez dopuszczenie rozwiązywania parodii małżeństwa, kiedy duchowa struktura związku uległa zniszczeniu nie tylko na skutek zdrady, lecz także w wyniku okrucieństwa, porzucenia i choroby umysłowej - czy przypuszcza pan, że nasz Zbawiciel, którego oburzało podważanie instytucji małżeństwa, sprzeciwiałby się eliminacji związków, które stały się kpina? Chyba nie.

- Jakież logiczne to się wydaje! - powiedział architekt, uszczęśliwiony, że jego osobiste poglądy, które sobie wypracował, mają teraz teologiczną podbudowę. - Jak budująca jest myśl, że Chrystus popierałby kodeks pana Herberta, choć pewnie można by to wydedukować z tego, że kodeks z pewnością zostanie zatwierdzony. Księżę biskupie, czy można uznać, że sukces kodeksu po drugim czytaniu w Izbie Lordów miesiąc temu to palec Boży?

- Cóż, z pewnością nie był to palec arcybiskupa Canterbury - odparł Jardine - ale z tego, co wiem, jego eminencja nie ogłosił się jeszcze Panem Bogiem. Doktorze Ashworth, zaczynam się obawiać, czy w przedłużającym się milczeniu księdza nie kryje się coś groźnego. Mam nadzieję, że nie uważa ksiądz, że należałoby mnie spalić na stosie.

- Nie, dziś uwolnimy ekscelencję od zarzutu herezji! - powiedziałem z uśmiechem i natychmiast dostrzegłem w jego oczach błysk rozbawienia.
Biorąc pod uwagę, że znajdowaliśmy się na przeciwnych biegunach, dziwiło, jak bardzo się polubiliśmy.

IV

Czy był apostata? Ciągle nie potrafiłem w to uwierzyć i choć osobę świecką jego poglądy mogły zdumiewać, ja wiedziałem, że biskup kroczy starym, teologicznym szlakiem; badanie słów Chrystusa w świetle warunków panujących w Palestynie na początku naszej ery uznawano ostatnio za jak najbardziej dopuszczalną próbę przeniknięcia za lśniąca zasłonę dzielącą Chrystusa przedstawianego w ewangelii od postaci historycznej, o której tak niewiele wiadomo. Z pewnością poglądy Jardine'a na rozwód mogły budzić kontrowersje, szczególnie w konserwatywnych kręgach Kościoła, ale daleko mu było do podejrzanego chrześcijaństwa, a jego żarliwe przekonanie, że należy okazywać współczucie ofiarom nieszczęśliwych związków wskazywało, że mamy do czynienia z człowiekiem, który całym sercem wierzy w rzeczywistość Chrystusa, a nie z przenviercą, który za pomocą kilku mądrych zdań stara się ukryć zagubioną wiarę.

Co więcej, jeśli chodzi o kwestię rozwodu, Jardine znalazł się w bardzo zaszczytnej kompanii. Marcin Luter posunął się jeszcze dalej niż Alan Patrick Herbert w dążeniu do poszerzenia podstaw do rozwodu, gdy duchowa struktura małżeństwa uległa zniszczeniu, jednak zawsze uważałem, że kłopot z takimi liberalnymi poglądami leży w tym, że jeśli już raz się zacznie, trudno się zatrzymać. Trzeba zachować ogromną ostrożność, inaczej łatwo dojść do wniosku, że współczucie Chrystusa usprawiedliwia także rozwód z powodu złego wyciskania pasty z tubki.

- Wygląda ksiądz na zadumanego, doktorze Ashworth! - zawołała lady Starmouth, kiedy wróciłem do salonu.

- Ciągłe dochodzę do siebie po pokolacyjnej dawce mądrości doktora Jardine'a.

Moje własne poglądy na temat rozwodu były złożone. Choć oficjalnie popierałem Langa, który nie zgadzał się z kodeksem Herberta, osobiście, z humanitarnego punktu widzenia, zgadzałem się z twórcą nowego prawa - co, ujmując rzecz inaczej, oznaczało, że powołuję się na miłosierdzie Chrystusa, by popierać rozciągnięcie prawa rozwodowego na małżeństwa, z których praktycznie nic nie zostało. Mimo to jednak nadal uważałem, że patrząc od strony teologicznej trudno udowodnić, że Chrystus zgodziłby się na rozszerzenie prawa do rozwodu poza sytuację zdrady małżeńskiej. Jardine nieźle sformułował swoją tezę w czasie dyskusji, ale entuzjastyczny poklask architekta świadczył nie tyle o sile argumentów biskupa, co o jego umiejętności manipulowania chętną publicznością. Moim zdaniem Jezus był dobrym Żydem, nie „liberałem” we współczesnym tego słowa znaczeniu, który w imię wolności rozciągałby podstawy wiary do granic możliwości, lecz „radykałem” w pierwotnym znaczeniu, który wróciłby do samych korzeni, by odkryć prawdziwego ducha wiary. Przykładem owego radykalizmu był jego sprzeciw wobec faryzeuszy i determinacja, z jaką odpowiadał nie tylko na literę, lecz i ducha judaizmu, ducha, który zakładał znacznie surowszy stosunek do rozwodu niż to proponował pan Alan Patrick Herbert.

Nagle zdałem sobie sprawę, że lady Starmouth coś do mnie mówi.

- ...i mam nadzieję, że nie zapomni nas ksiądz odwiedzić przy swojej najbliższej wizycie w stolicy!

- Jak to miło z pani strony, lady Starmouth! Dziękuję - odparłem i natychmiast przypomniałem sobie wcześniejszą wzmiankę hrabiego, że Loretta pod koniec tego tygodnia przyjeżdża do Londynu.

Lyle przyglądała się nam z drugiego końca pokoju. Unikała mnie przez cały wieczór, teraz jednak pod wpływem nagłego impulsu ruszyła w moją stronę i kiedy lady Starmouth odwróciła się, by

odpowiedzieć na jakieś pytanie architekta, obszedłem sofę i ulokowałem się w miejscu, gdzie nie dostrzeże mnie biskup, który właśnie wyszedł na taras i ucinał tam sobie pogawędkę z ładną żoną architekta.

Sekundę później Lyle stanęła obok mnie.

- Przykro mi, że to popołudnie tak źle się zakończyło - mówiła pospiesznie. - Krąg bardzo mi się podobał. Dzięki za wycieczkę.

A więc dojrzała już do kolejnego natarcia.

- Zjedz ze mną jutro lunch.

- Och, to niemożliwe. Starmouthowie wyjeżdżają, pojawią się kolejni goście. Będę potrzebna pani Jardine cały dzień - odparła bez wahania, ale gdy zebrała się w sobie na tyle, by spojrzeć mi w oczy, pomyślałem, że one mówią coś wręcz przeciwnego. W końcu dodała cicho: - Żałuję. Bardzo by mi było miło. Ale nie mogę.

- Nie martw się, zaproszę cię kiedy indziej. Co mi tam biskup. Przez chwilę stała bez ruchu. Odezwała się dopiero po chwili.

- Darujesz? - spytała swym najuprzejmiejszym tonem i zniknęła, nim biskup zdążył wrócić do salonu, by się upewnić, czy pod jego nieobecność nie miała miejsca jakaś działalność wywrotowa.

v

Nie mogłem zasnąć tamtej nocy. Przekręcałem się z boku na bok, czytałem najnudniejsze genealogie Starego Testamentu, zanurzyłem się w zimnej wodzie, modliłem się, liczyłem barany i poszedłem do łazienki. Wreszcie o drugiej zakradłem się na dół do biblioteki biskupa, żeby znaleźć sobie coś lekkiego do czytania. Jardine lubił różne rodzaje literatury i zdążyliśmy już odkryć, że obaj mamy słabość do powieści kryminalnych.

Doszedłszy do biblioteki, zapaliłem światło i zacząłem się rozglądać po półkach. Właśnie pomyślałem, że zbiór książek biskupa jest mniej zróżnicowany niż przypuszczałem, kiedy odkryłem półkę z dziewiętnastowiecznymi powieściami, wśród których poczesne miejsce zaj-

mowały dzieła Waltera Scotta. Byłem w siódmym niebie. Powieści Scotta nieodmiennie kołysały mnie do snu. Wyciągnąłem więc „Ivanhoe” i leniwie otworzyłem. Ze zdziwieniem wpatrywałem się w szczelnie zapisaną kartkę przed stroną tytułową. Na górze widniał podpis INGRID ASHLEY, 1885, pod nim innym charakterem pisma, wyraźnymi, prostymi literami ktoś dodał: „Moja macocha podarowała mi tę książkę, bym nie zawracał jej głowy, ale niniejszym uroczyście przysięgam, że nigdy tego nie przeczytam, ponieważ wiem, że powieści są wynalazkiem Szatana. ADAM ALEXANDER JARDINE, 1888 (lat 9)”. Nie była to jednak ostatnia notka na tej stronie. Niżej ta sama pewna ręka prawie nie zmienionym, choć bardziej dojrzałym, eleganckim charakterem pisma skreśliła: „Najdroższa, popatrz tylko na ten wpis, który zrobiłem, by się zabezpieczyć w razie, gdyby Ojciec znalazł książkę u mnie w pokoju! Jakiż wzruszający, a zarazem straszny był ze mnie dzieciak i jakąż cudowną zrobiłaś rzecz, zapoznając mnie z «Ivanhoe», angielską literaturą i cywilizacją. Pozwól, że zwrócę niniejszym tę książkę pierwotnej właścicielce i powiem: Witaj w Starbridge! Zawsze kochający ADAM (ADAM ALEXANDER STARO, 1932 - lat 53!)”. Usłyszałem za sobą ciche kroki i kiedy gwałtownie się obróciłem, Ivanhoe wyslizgnął mi się z rąk i upadł na podłogę.

- Czym mogę służyć, doktorze Ashworth? - spytał Jardine z gryzącą ironią. - Czyżby nadal poszukiwał ksiądz jakichś informacji?

VI

Zapewniam księdza biskupa, że moje szpiegowskie zapędy mają pewne granice - udało mi się po chwili wydusić. - Nie próbowałem podstępnie zdobyć księdza pamiętnika. - I by ukryć zmieszanie, podniosłem z podłogi „Ivanhoe”, dodając: - Szukałem jakiejś lekkiej lektury, by złagodzić nudę bezsenności.

- W takim razie przywiodła nas tutaj ta sama myśl, ale ja zamierzam zwalczyć bezsenność za pomocą kryminału.

Schylił się i z najniższej półki wyjął książkę.

- Czytał książkę „Morderstwo Rogera Ackroyda” autorstwa innej, słynnej panny Christie?

- Tak. To tam trzeba uważać na narratora.

- Nie inaczej. Nieustannie przekonuję się, że im lepiej poznaję tę historię, tym bardziej intrygują mnie omówienia i uniki narratora. - Zerknął na tom, który trzymałem w dłoni i dodał: - Choć może Walter Scott bardziej do księdza pasuje, Ten egzemplarz ma dla mnie szczególne znaczenie, wiążą się z nim wspomnienia.

- Właśnie czytałem wpisy. Księdza machocha musiała być wyjątkową kobietą, doktorze Jardine.

- Nie miała wyjścia. Przedwczesna śmierć matki jest dla każdej rodziny prawdziwą tragedią, a zanim w naszym życiu pojawiła się Ingrid, wszyscy nosiliśmy już głębokie rany... Czy przypadkiem księdza matka nie umarła młodo? Przypuszczam, że nie.

- Nie - odparłem gładko, choć zdziwiło mnie to pytanie. - I ona, i ojciec żyją w Surrey i świetnie się mają. Odkładając „Invanhoe”, sięgnąłem do najniższej półki i wybrałem „Dziewięciu krawców” Dorothy Sayers.

- Jakim człowiekiem jest księdza ojciec?

Tym razem nie byłem już lekko zdziwiony, lecz zdumiony.

- Czemu eksceleńcja pyta? - spytałem gwałtownie, ale Jardine tylko się roześmiał.

- Ponieważ snuł książkę rozważania na mój temat, dochodząc do rozmaitych konkluzji - odparł - postanowiłem także wysnuć jeden czy dwa wnioski dotyczące księdza. Lady Starmouth wspomniała, że starannie unikał książkę rozmów o swojej rodzinie. Panna Christie zwróciła uwagę, jak głęboko zdawał się książkę współczuć mi, gdy opowiadała o moich kłopotach z ojcem. To naturalne, że zacząłem się zastanawiać, czy książkę także nie miał rodzica, który stanowił dla niego prawdziwy krzyż.

- Rzeczywiście, ojciec nie zgadzał się, bym został kapłanem
- przyznałem - ale teraz bardzo dobrze się dogadujemy.
- Dokładnie to samo mówiłem kiedyś, gdy pytano mnie o mojego ojca - stwierdził Jardine. - To mniej bolało. Może jednak księdza ojciec nie był aż tak niepojęty jak mój.
- Niepojęty?
- Czyż brak zrozumienia nie stanowi głównej przyczyny nieszczęść w rodzinach? Latami próbowałem zrozumieć ojca, ale dopiero u kresu jego życia wreszcie pojąłem, w czym była rzecz.
- I czy to coś zmieniło? - spytałem, nim zdołałem się powstrzymać.
- Oczywiście. Wraz ze zrozumieniem przebaczenie staje się łatwiejsze... Ksiądz ma jakieś problemy z ojcem, prawda?
- Nie, swoje problemy rozwiązaliśmy wiele lat temu - uciąłem krótko. Milczeliśmy, ogarnięci niewytłumaczalną ciekawością, która przekraczała moje umiejętności analizowania, ale wreszcie Jardine odezwał się nieoczekiwanie:
- Niech ksiądz na chwilę spocznie, doktorze Ashworth. Zrobię coś, czego nie mam w zwyczaju. Opowiem księdzu o moim ojcu, ponieważ mimo księdza zapewnień uważam, że moja historia może się okazać ważna dla pojęcia mego prywatnego życia, które najwyraźniej ksiądz uparł się zgłębić.

VII

Ojciec był synem ubogiego chłopca z Cheshire - zaczął Jardine.

- W wieku szesnastu lat uciekł do Londynu, chcąc się kształcić na księdza, szybko się jednak przekonał, że ani Kościół anglikański, ani żaden uznany Kościół protestancki nie chciał mieć do czynienia z biednym chłopcem z klasy robotniczej, który nabił sobie głowę pomysłami ponad jego stan. Wreszcie, w przypiływie rozczarowania i wściekłości, ojciec powiedział sobie: do diabła z wszystkimi organizacjami kościelnymi, do diabła z kapłaństwem.

- Aby uśmierzyć ból po odrzuceniu, dołączył do nie znanej nikomu sekty, gdzie nie było kapłanów i wszyscy po kolei nauczali o ogniu piekielnym i potępieniu. Właśnie wtedy ojciec odkrył w sobie talent urodzonego kaznodziei. Nie minęło wiele czasu, a w pogodne, letnie wieczory nauczał pod gołym niebem i w pewnym momencie bogata wdowa zaofiarowała się, że wybuduje mu kaplicę. Później udało mu się z nią ożenić dla pieniędzy. Biedny ojciec! Od przyjazdu do Londynu zarabiał na życie, pracując jako tragarz w składzie w Putney, zdawał sobie jednak sprawę, że nie ma szans awansu. Czy w takich warunkach dziwi, że uznał swój talent za przepustkę do życia godnego dżentelmena, które, jak uważał, słusznie mu się należało jako człowiekowi obdarzonemu wybitną inteligencją.

- Nie wiem, czy czytał książkę „Elmera Gantry”. Jest to powieść o amerykańskim wędrownym kaznodziei, który... Cóż, książka ta stanowi studium odwrotnej strony medalu ewangelizacji, strony, której my, ortodoksyjni kapłani głęboko się wstydzimy. Opowiada o wędrownym kaznodziei, który wykorzystuje swą władzę nad kobietami, by zdobywać pieniądze nie dla Boga, lecz dla siebie...

- Bez wątpienia domyśla się ksiądz, co się stało. Ojciec był pozbawiony kierownictwa duchowego, co oczywiście skończyło się tym, że całkowicie pobłądził. Bóg obdarzył go prawdziwym talentem kaznodziejskim, ale równie dobrze jak ja zdaje sobie ksiądz sprawę, jak niebezpieczny może się stać ten charyzmat. Dlatego nigdy, przenigdy nie głoszę słowa bez przygotowania. Gdy odchodzi się od przygotowanego, pisanego tekstu, człowieka kusi, by przyciągnąć słuchaczy, grając na bardzo podejrzanych emocjach.

- Ojciec nigdy nie zapisał ani słowa i doskonale wiedział, co zrobić, by najbogatsze wyznawczynie mdlały w ławkach z podniecenia. A także, muszę z przykrością przyznać, wiedział doskonale, jak je potem cucić w zakrystii. Thomas Moore w swojej „Utopii” znalazł na to idealne słowo: samowola. Ojciec był niemożliwie

samowolny, jeśli chodzi o kobiety. Jego pierwsza żona była chorą kobietą i mogła zaspokoić wyłącznie jego potrzeby finansowe, więc ojciec, zdaje się, doszedł do wniosku, że wszystko będzie mu darowane, póki będzie żarliwie głosił słowo boże.

- Mimo to jednak po śmierci żony rzeczywiście ze wstydem odwrócił się od dawnego życia. Uznał, że dzięki pieniądзом, które mu pozostawiła, będzie mógł przestać pracować i postanowił się poświęcić studiom teologicznym. Miał też wtedy zresztą dodatkowy powód, by rozpocząć nowe życie: właśnie poznał moją matkę, młodą dziewczynę z bardzo szanowanej rodziny i zdawał sobie sprawę, że nigdy nie uzyska zgody na małżeństwo, jeśli nie będzie mógł zareczyć, że zapewni jej godne i przyzwoite życie.

- Jestem pewien, że ich związek był udany, nie tylko dlatego że pamiętam jak szczęśliwy dom stworzyła moja matka, ale też dlatego że tak doskonale pamiętam, jak ojciec się załamał po jej śmierci. Biedaczysko, uważał matkę za nagrodę od Boga za dobre zachowanie, więc jej śmierć uznał za sąd. Oczywiście doszedł do wniosku, że mimo wszystko jego dawne grzechy nie zostały wybaczone.

- Zadręczały go wyrzuty sumienia. Bo czyż może być coś gorszego niż świadomość, że wykorzystywało się dar boży w służbie szatana? Przez dłuższy czas siedział w domu, w ogóle się z niego nie ruszając. Nie rozmawiał. Cały czas spędzał na modlitwie. Dawne grzechy stały się jego obsesją, a od tego już jeden krok do obsesji na punkcie grzechów świata - świata, który odrzucając go, pchnął go na złą drogę.

- Może sobie ksiądz wyobrazić, jaki wpływ takie zachowanie miało na ósemkę dzieci. W końcu doprowadził nas do takiego stanu, że nawet on - mimo swojej choroby psychicznej - zdał sobie sprawę, że trzeba coś z tym zrobić. Od jakiegoś czasu nauczał, choć nie dla zarobku; uznał, że choć tyle może zrobić, by ułagodzić gniew Boży: służyć Mu najuczciwiej jak potrafił z ambony. Powrócił więc do kaplicy swojej sekty, gdzie zdobył sławę kaznodziei, i pewnej

niedzieli zauważył tam nieznaną, kobietę, która przyszła na nabożeństwo z czystej ciekawości i wydawała się absolutnie nie poruszona jego kazaniem i przez to tak bardzo się różniła od innych, które piły z jego ust i go emablowały.

- To była moja macocha. Pracowała jako dama do towarzystwa pewnej staruszki. Znalazła to zajęcie po tym, jak jej mąż, komiwojażer

O nazwisku Ashley, okazał się na tyle nierozważny, by umrzeć, zostawiając żonę bez grosza. Nie miała za co wrócić do Szwecji, ale oszczędzała na bilet.

- Ojciec namówił ją do pozostania w Anglii, ale Bóg jeden wie, skąd wzięła siły, by z nim zostać, kiedy minęło pierwsze zauroczenie. Ojciec był bardzo, bardzo trudnym człowiekiem, zbyt trudnym, by którykolwiek z moich braci mógł z nim dłużej wytrzymać. Opuszczali dom, kiedy tylko mogli zacząć zarabiać na życie i ja też zamierzałem uciec do Londynu: kiedy miałem szesnaście lat, mój ulubiony brat znalazł mi pracę gońca w swoim biurze. Jednak nic z tego nie wyszło i gdy się o tym dowiedzieliśmy, macocha powiedziała do ojca - mam tę scenę do dziś przed oczami: „Zawsze twierdziłeś, że musisz mieć znak od Boga, zanim pozwolisz temu chłopcu pójść do szkoły. A więc masz swój znak

i albo puścisz go do szkoły, albo ja wyjdę z tego domu i już więcej nie wrócę!"

- Poszedłem do szkoły. Nienawidziłem jej. Chciałem rzucić naukę, ale machocha mi nie pozwoliła. Była bardzo twarda, bezwzględna. Spytała: „Chcesz skończyć jak ojciec, czy też nie?", na co oczywiście była tylko jedna odpowiedź. Powiedziała: „Będziesz żył tak, jak twojemu ojcu nigdy się nie udało. Otworzysz wszystkie drzwi, które zatrzaśnięto mu przed nosem, i osiągniesz wszystko to, czego jemu nie dano zdobyć. I w ten sposób jego cierpienie zostanie uleczone", dodała - była głęboko wierząca - „i jego ból zniknie, wszystko nabierze sensu. Spójrzy na ciebie i wreszcie będzie taki dumny, taki szczęśliwy".

- To było wspaniałe marzenie, prawda? Ale nie wiedziałem, jakim cudem mogłoby się zrealizować. Ojciec wkrótce stał się

straszliwie o mnie zazdrosny: nie potrafił znieść myśli, że prowadzę życie, jakiego on nigdy nie mógł wieść. Traktował mnie z wrogością, wszędzie szukał zaczepki. Kiedy pomyślę o naszych wiecznych kłótniach! O tym, jak wzajemnie się unieszczęśliwialiśmy! Ilekroć jednak chciałem się poddać i emigrować do Australii, macocha powtarzała z mocą: „**Musisz wytrwać!**” i wiedziałem, że nigdy nie odejdę. Zresztą wtedy zdążyłem już zobaczyć prawdę: przekonałem się, że do tej pory siedziałem w ciemnym pokoju, a macocha próbowała mnie wyciągnąć ku światłu. Dlatego znosiłem wszystkie odrażające sceny, nieskończone kaśliwości i z uporem walczyłem o wolność, choć z pewnością nie robiłem tego po to, by znaleźć ulgę w cierpieniach. O, nie! Robiłem to dla siebie, robiłem to dla niej, a ojciec, jak dla mnie, mógł równie dobrze gnić w piekle. Wobec niego byłem surowy, niedobry, niecierpliwy, zły, gorzki, traktowałem go z pogardą, gniewem, nie kochałem, raz czy dwa zachowałem się z okrucieństwem. Czyż można mówić o większym braku chrześcijańskiego miłosierdzia wobec chorego umysłowo ojca? I nawet już po święceniach pod pobożną miną ukrywałem swoje niedopuszczalne uczucia i z zaciśniętymi zębami wywiązywałem się z synowskich obowiązków.

- Dlatego, gdy u kresu życia ojciec cierpiał na uwiąd starczy, moją pierwszą reakcją była nadzieja, że szybko umrze. Co więcej, nie pojmowałem, czemu Bóg każe mu dalej żyć. Jego egzystencja wydawała się taka bezsensowna. Ale wtedy nieco mu się poprawiło. Zaczął jaśniej myśleć, na tyle jasno, że zdawał sobie sprawę z nadchodzącego końca i wtedy zaczął ze mną rozmawiać. Początkowo mówił tylko o teologii, wreszcie wspominał własne życie i nagle poczułem jego ogromną potrzebę podzielenia się swoją przeszłością, każdym szczegółem: niedosięgniętymi marzeniami, próżnymi wysiłkami, upadkiem, aby dzięki temu moja terażniejszość nabrała nowego znaczenia. I gdy ojciec zwierzał się z tak bolesną szczerością, w końcu nastąpił cud zrozumienia i zdołałem pojąć rozmiary jego tragedii. A wtedy już łatwo przyszło przebaczenie,

a skoro mu przebaczyłem, przestałem uważać go za potwora. Stał się dla mnie ojcem, który zapewnił mi chrześcijańskie wychowanie - nieważne, że dziwaczne - i który pragnął uleczyć nasze wieloletnie, straszne oddzielenie, zanim będzie za późno.

- Miał swój ulubiony fragment z Biblii. Brzmiał on: „Nie przyszedłem nawracać sprawiedliwych, lecz grzeszników”. Po wielokroć nalegał, bym oparł na tym zdaniu naukę, ale mnie ono się nie podobało. Uważałem, że jest za bardzo w stylu ojca, który miał obsesję na punkcie grzechu, ale tak nalegał, że wreszcie dla świętego spokoju ustąpiłem. Obiecałem, że wygłoszę na ten temat kazanie. Ale nie wygłosiłem. Następnego soboty wybrałem inny tekst i kiedy wróciłem do domu, wiedziałem, że ojciec nie żyje, bo okiennice jego pokoju były zamknięte. Natychmiast ogarnęły mnie wyrzuty sumienia. Pomyślałem: czemu nie oparłem kazania na tamtym fragmencie? I nagle poczułem się winny za wszystkie okrutne słowa, które wypowiedziałem w przeszłości, za moje zachowanie niegodne syna, za przerażający brak zrozumienia i miłości. Poczucie winy tak mnie przygniotło, że nie wiedziałem, jak znieść ten ciężar, wiedziałem jednak bez cienia wątpliwości, że muszę wygłosić kazanie opierając je na ulubionym fragmencie ojca, bowiem miałem wrażenie, jakby był on skierowany prosto do mnie. Czułem, że to ja byłem grzesznikiem wzywającym do nawrócenia, że prawdziwe nawrócenia, prawdziwe odwrócenie się od błędów przeszłości polega na walce, by stać się o wiele lepszym duchownym niż pozwalała mi na to zakorzeniona we mnie nienawiść do ojca.

- I tak tamten tekst biblijny nabrał dla mnie szczególnego znaczenia i przez te wszystkie lata wielokroć stawał się mottem moich kazań, dopóki nie stanąłem jako biskup Starbridge i nie powiedziałem: „Nie przyszedłem nawracać sprawiedliwych, lecz grzeszników”. Wiedziałem, że przeszłość została uleczona i że choć mój ojciec zmarł, gdy jeszcze byłem nikomu nie znanym kapłanem, niejako ożywał, kiedy wypowiadałem te słowa jako proboszcz, dziekan i biskup - na stanowiskach, których jemu nigdy nie udało

się osiągnąć. Najbardziej wzruszające w ceremonii objęcia biskupstwa było to, że moja macocha jeszcze żyła i na własne oczy mogła oglądać, jak zasiadam na biskupim tronie. Jednak po uroczystości nie było uścisków, pocałunków, czułych westchnień, łez wzruszenia. Ona nie należała do tego typu kobiet. Stwierdziła tylko spokojnie: „Wiedziałam, że jeszcze się okaże, że cały ten trud i wyrzeczenia nie poszły na marne”, a ja równie spokojnie odparłem: „Bogu dzięki, że nie stać cię było na bilet do Szwecji”.

- Posłuchaj mnie, Charlesie Ashworth, to nie jest kazanie, wpół do trzeciej nad ranem to nie pora na wygłaszanie umoralniających nauk, więc podsumuję krótko: uzdrów swoją więź z ojcem, bo im dłużej pozostaje chora, tym większe będzie twoje poczucie winy, kiedy ojciec umrze...

VIII

Zapadła cisza. Siedzieliśmy twarzą w twarz po dwóch stronach biurka. Za Jardinem na półkach sięgających sufitu stały książki w równych rzędach. Na biurku znajdowało się wiele przedmiotów, lecz panował tam ład. Po obu stronach piętrzyły się starannie uporządkowane kartki przygniecione przyciskami do papieru, obok zaś kałamarza leżała tacka, na której z matematyczną precyzją zostały ułożone pióra i ołówki.

- Dziękuję, księżę biskupie - odezwałem się wreszcie. - Doceniam ekscelencji dobroć i zaufanie, jakim mnie obdarzył i pragnę dodać, że uważam to za największy komplement, jaki mogłem otrzymać. Nagle uświadomiłem sobie, że gdy przyglądałem się biurku, spodziewałem się zobaczyć pewien przedmiot, którego jednak tam nie było, i nie potrafiłem się powstrzymać od pytania:

- Czy ma ksiądz biskup zdjęcie ojca i macochy?

- Oczywiście. Każde szanujące się małżeństwo z Putney robiło sobie zdjęcie na pamiątkę zawarcia ich związku.

Otwierając dolną szufladę biurka, wyciągnął z niej zdjęcie i podał mi. Zrobiona w atelier fotografia przedstawiała brodatego mężczyznę w średnim wieku, który mimo zarostu wyglądał jak wiktoriańska wersja biskupa, oraz młodą, mniej więcej trzydziestoletnią kobietę, atrakcyjną, ponętą, blondynkę, o jasnych oczach i ustach, które świadczyły o mocnym charakterze.

- Jakaż ona była przystojna! - zawołałem zdumiony. - Nie wiem czemu, ale spodziewałem się kogoś o przeciętnej urodzie.

- Och, nie zachowała urody. Niedługo przed tym, jak przenieśliśmy się do Mayfair, przytyła - kłopoty z tarczycą - przestała się udzielać towarzysko, ale dla mnie jej wygląd nigdy nie miał znaczenia.

Pamiętam, że kiedyś jej powiedziałem: „Nieważne, czy będziesz ważyła pięćdziesiąt kilo, czy sto pięćdziesiąt, nadal będziesz Ingrid”, a ona odparła: „Nieważne, czy będziesz miał dziewięć lat czy dziewięćdziesiąt, nadal będziesz Adamem”. Nikt już mnie nie nazywa Adamem - ciągnął biskup chowając zdjęcie do koperty - co nie znaczy, że Adam już nie istnieje. Czasem mam wrażenie, że posiadanie dwóch imion to coś w rodzaju rozdwojenia jaźni. Alex to biskup, powszechnie znana osobistość życia publicznego...

- Lśniącą zasłona - wtrąciłem.

- ...ale za Alexem kryje się Adam, który ciągle potyka się pod ciężarem trudnej przeszłości, którego nieustannie prześladowają bolesne wspomnienia i który nadal zmagają się z poczuciem winy względem ojca i nigdy do końca się z niego nie wyleczy...

- Czasem ja też mam wrażenie, jakbym cierpiał na rozdwojenie jaźni - powiedziałem - tyle że moje drugie ja nie ma oddzielnego imienia.

W oczach Jardine błysnęło zrozumienie.

- Niech ksiądz się oderwie od Langa - oświadczył gwałtownie - niech ksiądz sobie znajdzie własną przestrzeń, bycie lokajczykiem eminencji zdecydowanie nie wychodzi księdzu na dobre.

Nie czekając na odpowiedź ruszył w stronę drzwi ze swoim kryminałem pod pachą.

- Proponuję, byśmy teraz spróbowali podjąć kolejną walkę z bezsennością - rzucił przez ramię. -
 - Przepraszam, że tyle czasu zająłem księdzu moją nieoczekiwaną bajką na dobranoc.
 - Ja nie narzekam, księżo biskupie. Wręcz przeciwnie. Jeszcze raz dziękuję.
- W milczeniu rozeszliśmy się do swoich sypialni.

IX

Myślałem o tamtej brodatej wiktoriańskiej wersji Jardine'a i ponętnej młodej kobiecie, która przywróciła ład w jego nieuporządkowanym domu i rodzinie. Później pomyślałem o tej samej kobiecie, już posuniętej w latach, ale zapewne nadal ponętnej, która porzuca męża, by prowadzić dom swemu młodszemu od siebie o dwadzieścia lat pasierbowi, pasierbowi, którego nie stać było na małżeństwo.

- Powiedziała: „Warto było przez to wszystko przejść dla Adama”
- brzmiały mi w uszach słowa Lyle.
- To naprawdę wspaniały człowiek, niech mi ksiądz wierzy
- dźwięczały mi w pamięci słowa młodego sekretarza, Geralda Harveya, gdy znalazłem się na krawędzi snu i mój mózg uwolnił się od wszelkich napięć.
- Niewiele o sobie mówisz - skarżyła się Lyle, gdy staliśmy w kruchcie olbrzymiego kościoła, na próżno czekając, aż biskup udzieli nam ślubu. - To ty stanowisz prawdziwą zagadkę.
- Karl Barth rozwiązał zagadkę historycznego Jezusa - powiedział Jardine, kiedy staliśmy w środku Kręgu Starbury. - Kazał uważać na narratora w „Morderstwie Rogera Ackroyda”.
- Tak się cieszę, że księdza znalazłam - odezwała się pani Jardine, uśmiechając się do mnie. Staliśmy w ogrodzie, u stóp rzeki.
- Chciałam księdzu powiedzieć, że odkryłam, kto zabił Rogera Ackroyda. To był pan Alan Patrick Herbert. Czyż nie cudowne, że nasz Zbawiciel zgadza się z kodeksem pana Herberta? Rozwód to takie interesujące zajęcie, prawda? Szczególnie w czasie upałów.

- Loretta się rozwiodła - zawołał do mnie hrabia przez ramię, wyciągając z wody olbrzymią rybę. - Oczywiście, od lat była kochanką Jardine'a.
- Nie, nie, nie, Henry! - krzyknęła lady Starmouth, która naga pływała w rzece. - Nigdy nie była kochanką Alexa. On zawsze zachowywał się bardzo przyzwoicie!
- To pani tak twierdzi, lady Starmouth - włączyła się pani Cobden-Smith, która pojawiła się z bernardynem u boku. - A czemuż mielibyśmy pani wierzyć?
- Powiem pani, co sędzę - odezwała się lady Starmouth, wychodząc z rzeki i pokazując parę intrygująco krągłych piersi. - Sędzę, że doktor Ashworth chce pójść ze mną do łóżka.
- Ogromnie żałuję, lady Starmouth - odparłem - ale obawiam się, że to niemożliwe. Czekam, by pójść do łóżka z Loretą.
- Ja jestem twoją przepustką do Loretty - oświadczyła lady Starmouth, ubrana w białą suknię balową i wyprowadziła mnie z cmentarza, na którym spoczywała moja żona. - I nie przedstawię ci jej, jeśli przedtem się ze mną nie będziesz kochał.
- Naprawdę chcę z tobą pójść do łóżka, ale boję się biskupa - rozległ się za mną głos Lyle.
- Spałaś z nim? - spytałem ponętą, młodą Szwedkę, która czekała na mnie w głębi ciemnego korytarza, ona jednak odparła:
- Muszę cię zabrać do kościoła, bo jestem tak głęboko wierząca.
- Charles jest ogromnie wierzący - stwierdziła moja matka, która grała w brydża w bocznej nawie, podczas gdy ja wraz z Ingrid wkroczyłem do katedry z Starbridge - ale mimo to odniósł ogromny sukces. Jego ojciec jest z niego taki dumny.
- Zazwyczaj nie opowiadam o ojcu - rzekł Jardine, stając za amboną. - Moja rodzina była głęboko zaburzona.
- Stanowimy taką cudowną, szczęśliwą rodzinę! - mówiła moja matka ze śmiechem i rozdała karty. - Nigdy nie powiemy sobie złego słowa.
- Przeklęty głupcze! - zawołał ojciec, otwierając gwałtownie drzwi i wpadając do nawy.

- „Nie przyszedłem nawracać sprawiedliwych” - odezwał się Jardine zza pulpitu - „lecz grzeszników”.
- Ty zakłamany łajdaku! - odkrzyknąłem ojcu.
- Nie, Charles, nie! - piszczała matka.
- „Nie przyszedłem *nawracać sprawiedliwych* - głosił Jardine z naciskiem - *lecz grzeszników*”.
- Nie nadajesz się na księdza - wydarł się na mnie ojciec. - Kogo, u diabła, chcesz oszukać?
- NIE PRZYSZEDŁEM NAWRACAĆ SPRAWIEDLIWYCH, LECZ GRZESZNIKÓW... GRZESZNIKÓW... GRZESZNIKÓW...

- Ojczy! - krzyknąłem, siadając na łóżku. Pot spływał mi po twarzy. - *Ojczy!* OJCZE!

Zapadła cisza.

W sypialni panował głęboki mrok. Drżącą ręką zapaliłem światło. Potem zsunąłem się z łóżka, upadłem na kolana i zacząłem się modlić.

x

Starmouthowie wyjechali następnego ranka po śniadaniu. Pożegnawszy się z nimi, spytałem biskupa, czy mógłby mi poświęcić później chwilę, ponieważ chciałem zamienić z nim parę słów na osobności.

- Oczywiście - odparł - ale wolałbym zrobić to już teraz, zanim wezmę się do pracy nad kazaniem.
- Wygłasza ksiądz biskup naukę w niedzielę?
- Tak, w czasie jutrzni. Zastępuję dziekana, który musiał wyjechać na północ odprawić pogrzeb swego kuzyna. Czy zamierza ksiądz przedłużyć wizytę, by towarzyszyć mi w czasie porannego nabożeństwa?

Byłem mocno zdziwiony.

- Sądziłem, że ksiądz biskup wolałby raczej wycofać zaproszenie, które złożył w liście.
- A czemuż by to? Jestem chrześcijaninem, doktorze Ashworth,

a nie zakazanym politykiem, który chciałby za wszelką cenę wypędzić księdza z jakiegoś ekskluzywnego klubu! Proszę się jeszcze raz zastanowić nad moim zaproszeniem i później dać mi znać, jaka jest księdza ostateczna decyzja - zakończył, a gdy wchodziliśmy do biblioteki, zmienił temat, dodając z uśmiechem: - Mam nadzieję, że udało mi się zwalczyć księdza bezsenność.

- Z radością muszę stwierdzić, że zasnąłem po dziesięciu minutach. - Umilkłem i po chwili podjąłem ostrożnie: - Dziś w nocy był eksceleńcja wobec mnie bardzo szczery, a teraz ja pragnę być z księdzem biskupem szczery. Podejrzewam, że prymas może szukać osobistej zemsty, ale nawet słowem nie wspomniał, bym szukał dowodów, które by księdza biskupa pogrążyły, a nawet gdybym coś takiego znalazł, nigdy bym mu tego nie przekazał. Nie uważam pogrążania innych za element moich kapłańskich obowiązków. Nie wierzę też, by biskup takiego kalibru jak eksceleńcja, zasłużył, by prasa wycierała sobie nim usta, tylko dlatego że Lang w kwestii abdykacji, na własną prośbę, wyszedł na wyjątkowo nadętego hierarchę. Czy uwierzy mi eksceleńcja, gdy powiem, że jestem w zupełności po jego stronie? A jeśli tak, czy pozwoli eksceleńcja, bym postawił wyjątkowo bezczelne pytanie w celu upewnienia się, że żaden skandal absolutnie mu nie zagraża?

- Cóż, wygląda na to, że szykuje się ksiądz do wyjątkowo obrzydliwego uchybienia, doktorze Ashworth, ale na księdza szczęście, zaczynam dochodzić do wniosku, że te uchybienia mnie bawią. Jak brzmi księdza pytanie?

- Czy utrzymuje obecnie eksceleńcja jakikolwiek kontakt z panią profesor Loretą Stayiski?

Rozdział siódmy

„Wasz stosunek do kobiet jest kwestią o ogromnym znaczeniu”.

More letters of Herbert Hensley Henson, zebr. E. F. Braley

I

Dzięki moim usilnym staraniom, Jardine zniósł całkiem spokojnie ten kolejny zamach na swoją prywatność; zresztą możliwe że, skoro lady Starmouth najwyraźniej odraportowała mu moje przesłuchanie w najdrobniejszych szczegółach, nawet oczekiwał pytania o Lorette. Nie okazał ani zaskoczenia, ani zdenerwowania, tylko ciężko westchnął z rezygnacją.

- Drogi kanoniku, wzrusza mnie okazywana przez księdza gorliwość - oświadczył sucho - i nie chciałbym, by ksiądz uważał mnie za niewdzięcznika, skoro tak ochoczo zapewnił mnie o swoim niewzruszonym poparciu, ale czy aby w zapale nie posuwa się jednak ksiądz trochę za daleko?

- Nie, jeśli się weźmie pod uwagę, że pani profesor wkrótce przybywa do Anglii i byle dziennik w poszukiwaniu sensacji zdolny będzie do śledzenia każdego ruchu ekscelencji. A gdyby zamierzał się ksiądz biskup spotkać z profesorem Stayiski w Londynie...

- Nie spotkam się. Nie utrzymuję z nią kontaktów od dziewiętnastu

lat, a zresztą nawet w 1918 roku nie doszło do skandalu. Po prostu jedna z parafianek się we mnie zakochała, a ja byłem na tyle głupi, by przez jakiś czas nie zdawać sobie z tego sprawy, ot i cała historia.

- Księżę biskupie, czy mógłbym spytać, kto jeszcze wiedział o tym epizodzie?

- Tylko lady Starmouth.

- Czyżby twierdził eksceleńcja - spytałem zdumiony - że nikt oprócz niej nie wiedział? Absolutnie nikt? A co z żoną księdza biskupa?

- Nie było jej w Londynie, gdy moja niefortunna przyjaźń z panią Staviski dobiegła kresu. Nasze dziecko przyszło na świat martwe, lekarz zalecił Carrie wiejskie powietrze i spędzała miesiąc na wsi.

- I nikt nie podejrzewał, co się działo? W końcu nie żył ksiądz w próżni.

- Najwyraźniej umknął księdzu istotny element całej historii. Pani Staviski wspaniale ukrywała prawdziwe uczucia i uważałem ją wyłącznie za kolejną dobrą przyjaciółkę, taką jak lady Starmouth. Żadne z nas swoim zachowaniem nie prowokowało plotek.

- Czy jednak żona księdza biskupa nie była zaskoczona, kiedy pani Staviski nagle zniknęła z Mayfair?

- Tak, ale trwała jeszcze wojna i wielu ludzi przewijało się przez Mayfair. Poza tym moja żona nie wróciła wtedy jeszcze do zdrowia i zbyt ją nękały własne problemy, by zwracać uwagę na cudze. I dlatego oczywiście nigdy jej o tym nie opowiedziałem. Byłoby to zbyt egoistyczne: dorzucać jej dodatkowy ciężar.

- Jak lady Starmouth dowiedziała się prawdy? Jardine milczał, zastanawiając się nad moim pytaniem.

- Opowiem księdzu dokładnie, co się wydarzyło - odezwał się wreszcie. - Biorąc pod uwagę wszelkie okoliczności, nie widzę powodów, by trzymać księdza w ciemnościach, a jako duchownemu może to księdzu posłużyć za swego rodzaju instruktaż. Nie będzie to historia moralnego upadku, doktorze Ashworth, ale opowieść o tym,

jakich błędów kapłan powinien za wszelką ceną unikać. Innymi słowy tutaj właśnie uchylamy owej „lśniącej zasłony”, jak to ksiądz określił dziś w nocy i za Alexem, biskupem, dostrzeże ksiądz poczciwego, biednego Adama, który stara się za wszelką cenę zostać dobrym proboszczem i przy okazji nieźle nabroi...

II

Dziwne, jak wiele osób zwracało się do niej po imieniu - zaczął Jardine swą opowieść. - Nigdy nie potrafiłem się zdecydować, czy robią tak, ponieważ była cudzoziemką i w związku z tym nie klasyfikowała się do żadnej z angielskich grup społecznych wraz z ich stereotypami, czy też dlatego że brytyjska ksenofobia uniemożliwiała zapamiętanie obco brzmiącego nazwiska. Ja jednak, jako duchowny, który trzymał się ściśle nakazów dobrego wychowania, zawsze zwracałem się do niej per pani Staviski aż do dnia zerwania naszej przyjaźni. Jeśli teraz mówię o niej Loretta, to nie dlatego, że byłem przyzwyczajony do tej formy, ale dlatego że „profesor Staviski” brzmi jak nazwisko jakiegoś szalonego wyznawcy rosyjskiej rewolucji.

- Lorette poznałem w 1917 roku, kiedy opuściła męża, i lady Starmouth poprosiła mnie o pomoc. Szybko się przekonałem, że małżeństwo rozpadło się tak, że nie ma nadziei jego uratowania - mąż był homoseksualistą - uznałem więc, że moim obowiązkiem jako duchownego nie jest leczyć związek, lecz Lorette, która na skutek ohydnych traktowania przez męża zupełnie straciła wiarę w siebie. Mąż odnosił się do niej z odrazą, wzbudzając w niej przekonanie, że nie spodoba się żadnemu mężczyźnie i uznałem, że jeśli Loretta ma wrócić do normalnego życia, inny mężczyzna musi naprawić szkody wyrządzone przez tamtego. To, jak sądzę, była bardzo rozsądna konkluzja, problem jednak leżał w tym, że właśnie siebie wybrałem na kandydata do naprawiania szkód.

- Tak, może ksiądz na mnie patrzeć zdumiony, ale nie byłem aż taki głupi, jak by wynikało z mojego stwierdzenia. Z Loretą widywałem się jedynie u lady Starmouth albo u mnie w obecności żony, a nawet kiedy Loretta kupiła mieszkanie, nigdy nie poszedłem tam bez wikarego. W Mayfair miałem trzech wikariuszy i któryś zawsze mi towarzyszył, kiedy wybierałem się z wizytą pasterską do samotnych parafianek.

- Oczywiście popełniłem błąd. Powinienem był zdawać sobie sprawę, że Loretta nie ma dość sił, by radzić sobie z platoniczną przyjaźnią. Ostatecznie Bóg nie stworzył mężczyzn ani kobiet jako istot pozbawionych płci, przecież nawet w moich trzech wieloletnich, platonicznych związkach istnieje element seksualności, ale tak lady Starmouth, lady Markhampton, jak i pani Welbeck są mężatkami, a ich stadła szczęśliwe i niezagrożone. Dla nich ta przyjaźń to raczej wisienka na i tak pięknie ozdobionym cieście. Dla Loretty jednak stałem się czymś więcej niż taką wisienką. Stałem się lukrem, marcepanem, rodzynkami - wszystkim. Była obca w Londynie, separacja z mężem sprawiła, że urwały się liczne znajomości i Loretta czuła się ogromnie samotna. Czy brałem pod uwagę, że jest całkowicie odsłonięta i ogromnie łatwo ją zranić? Nie, nie pomyślałem o tym. Zaglądałem do niej częściej niż powinienem; chcąc oderwać jej myśli od kłopotów, pożyczałem książki - ale tylko powieści, nic o szczególnej wartości duchowej; a próbując jej przywrócić wiarę w siebie obsypywałem komplementami. Naturalnie taki brak rozwagi mógł mieć tylko jeden finał.

- Wszystko skończyło się we wrześniowe, sobotnie popołudnie 1918 roku. Właśnie siadałem do pracy nad niedzielnym kazaniem, kiedy przyszedł telegram z wiadomością, że ukochany brat lady Starmouth poległ w walce, i prośbą, bym natychmiast przyjechał do Leatherhead. Zapewne już zdążył się ksiądz dowiedzieć, że tam właśnie jest siedziba ich rodu. Nie mają żadnych związków ze Starmouth, miejscowością w tutejszej diecezji, poza tym że pochodziła stamtąd matka pierwszego

hrabiego, który, gdy nadano mu tytuł, uznał za mniej krępujący tytuł lorda Starmouth aniżeli lorda Leatherheada. Loretta przepadała za tą historią - Amerykanów nieodmiennie intrygują szlacheckie tytuły... Kiedy tamtego popołudnia dotarłem do Starmouth Court, ona już oczywiście tam była.

Złapała wcześniejszy pociąg z Londynu.

- Trochę porozmawiałem na osobności z lady Starmouth, potem wszyscy usiedliśmy do lunchu. Hrabiego nie było: wyjechał do Szkocji i spodziewaliśmy się go później. Po posiłku lady Starmouth postanowiła nieco odpocząć i właśnie zacząłem się zastanawiać nad powrotem do Londynu, kiedy Loretta oświadczyła, że ma mi coś do powiedzenia i zgodziłem się na jej propozycję, byśmy się spacerowali. Dom Starmouthów jest wybudowany na zboczu wzgórza, z którego widać rzekę Mole - ale może ksiądz sam to wie? Właśnie sobie przypominałem, że pochodzi ksiądz z Surrey, prawda?, możliwe więc, że nieraz ksiądz mijał ten budynek: widać go z drogi łączącej Leatherhead i Dorking.

Jardine umilkł. Jego oczy pociemniały. Mocno zacisnął ręce, kiedy pochylił się ku mnie nad biurkiem.

- Poszliśmy nad rzekę. Zawróciliśmy. Po raz pierwszy w życiu byliśmy sami, bez świadków. Drogą jechały wozy zaprzężone w konie, rowerzyści, nawet automobil, ale byliśmy sami. Wtedy powiedziała mi o wszystkim i tak się skończyła nasza przyjaźń. - Znowu umilkł, wreszcie dodał gwałtownie: - Bardzo płakała. Kiedy wróciliśmy, lady Starmouth była na dole. Wystarczyło jedno spojrzenie na Loretę i wszystkiego się domyśliła, co miało swoją dobrą stronę, ponieważ mogła pomóc nam obojgu: Lorecie wystarczyła się o transport do Ameryki - rzecz niemal nieosiągalna w czasie wojny - mnie zaś nie powiedziała ani jednego złego słowa. Choć wtedy oczywiście już zdawałem sobie sprawę, jak bardzo zawiodłem Loretę jako kapłan i o wiele lepiej niż lady Starmouth uświadamiałem sobie ogrom mojej winy...

III

Odczekałem chwilę w milczeniu, by okazać zrozumienie i współczucie, potem zaryzykowałem komentarz:

- Doskonale rozumiem, czemu już nigdy nie odważył się ksiądz na dalsze eksperymenty z platoniczną przyjaźnią.

; - Zdaję sobie sprawę, że uważa ksiądz pomysł z platoniczną przyjaźnią za całkowicie nierealny, ale trzeba pamiętać, że należy ksiądz do opętanej seksem powojennej generacji. Za czasów mej młodości istniała większa różnorodność związków między kobietami a mężczyznami... Nie chcę się jednak usprawiedliwiać. Prawdą jest, że w sprawie Loretty popełniłem okropny błąd.

- Ale nie skandaliczny. Domyślam się, że nie było żadnych listów?

- Nie, po tym jak wyznała swoje uczucia, nie pisaliśmy do siebie. Wcześniej prowadziliśmy niewinną korespondencję, ale ją spaliłem.

- Żadnych wzmianek w dzienniku?

- Na szczęście nie odczuwałem silnej potrzeby wylewania na papier moich wyrzutów sumienia, bo mogłem się zwierzać lady Starmouth. Nagle zaświtała mi myśl.

- Czy zwierzył się ksiądz swojej macosze?

- Ba! - Jardine uśmiechnął się gorzko. - Rzeczywiście opowiedziałem jej o tym, ale znacznie później, u kresu jej życia. Wcześniej narobiła tyle szumu wokół mego małżeństwa, że unikałem rozmów o moich przyjaciółkach... „Ależ była zaborcza”, myśli ksiądz sobie pewnie. Pozwoli ksiądz, że od razu wyprowadzę go z błędu: zawsze bardzo chciała, żebym się ożenił, ale niestety jej ideał kandydatki na moją żonę znacznie się różnił od moich wyobrażeń. I zdaje się, że niejedyn syn i niejedna matka znajdują się w takim kłopotliwym położeniu.

Odchylił się w krześle i posłał mi kolejny uśmiech.

- No i co, doktorze Ashworth? Czy uspokoił się ksiądz co do istnienia domniemanych szpar w mojej zbroi?

- Moim zdaniem dla prasy jest ksiądz biskup twierdzą, do której nie sposób się wedrzeć.
 - A nie dla prasy?
 - Och, oczywiście, ma ekscelencja swoją piętę achillesową - odparłem, wstając - ale na szczęście w tym przypadku rozwiązanie jest bardzo łatwe. Czy wolno mi podsunąć, by niezwłocznie zaczął ekscelencja się rozglądać za następczynią panny Christie?
- Z tymi słowami opuściłem bibliotekę. Uśmiech zniknął z twarzy Jardine'a.

IV

Tak więc poznałem historię Loretty. A raczej, mówiąc ściślej, historię Loretty w wersji Jardine'a, wersji, która, jak zresztą należało się spodziewać, zgadzała się co do joty z opowiadaniem lady Starmouth. Oczywiście, Jardine nie wyznał wszystkiego. Gotów byłem iść o zakład, że między jednym a drugim wozem konnym, o których ekscelencja czuł się w obowiązku nadmienić, miały miejsce jeden czy dwa pocałunki, założyłem jednak, że poza tym zasadniczo Jardine powiedział prawdę. Pocałunek między żonatym księdzem a namiętą, młodą kobietą z pewnością można by zaliczyć do owych „niedyskrecji”, których tak się obawiał Lang, ale moim zdaniem teraz, po dziewiętnastu latach, nie stanowił on poważnego zagrożenia, szczególnie, jeśli wiedziały o tym wyłącznie lady Starmouth i starsza pani Jardine.

Szczerze mnie ucieszyło, że dziennikarze rzeczywiście nie potrafiliby znaleźć w Jardinie najmniejszej skazy, a mimo to równocześnie odczuwałem brzydkie rozczarowanie, że nie mam podstaw, by myśleć o niemożliwym; drobnemu uchybieniu, choć oczywiście był to czyn naganny, daleko do prawdziwego odstępstwa od wiary. Nie wiedziałem, co począć z moim rozczarowaniem. Zdawałem sobie sprawę, że to absurdalne chcieć obnażyć jako przemieszczenie człowie-

ka, którego tak podziwiałem, i zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem moje dwie osobowości nie znalazły się w stanie wojny. Zresztą moje przypuszczenie było tak nieprawdopodobne, że przyjąłem je za ledwie na ułamek sekundy, po czym odrzuciłem i udałem się do pokoju, by zaplanować kolejny ruch.

Był piątek. Zakładałem, że będę musiał wyjechać w sobotę rano, ale ponieważ Jardine wykazał się dżentelmenerią, podtrzymując zaproszenie, uznałem, że zachowałbym się tchórzliwie, opuszczając Starbridge przed niedzielą. Zresztą nigdy nie należałem do osób, które przepuszczają okazję, a przedłużenie wizyty da mi szansę spotkania się z Lyle.

Wyjmując z szuflady kartkę papieru, usiadłem i napisałem:

„Drogi Księżę Biskupie,

oczywiście że byłby to dla mnie prawdziwy zaszczyt móc towarzyszyć Ekscelencji w niedzielnym nabożeństwie, a możliwość pozostania w pałacu sprawiłaby mi ogromną przyjemność. Dziękuję Księdzu Biskupowi za Jego nieustanną gościnność, którą, biorąc pod uwagę zaistniałe okoliczności, uważam za przejaw wyjątkowo wielkiego serca.

Łączę wyrazy szczerego szacunku,

Charles Ashworth".

Zastanawiałem się, czy już nie żałuje swego zaproszenia.

v

Dzień uznałem za stracony, ponieważ ani razu nie widziałem się z Lyle sam na sam. Zostawiłem list dla biskupa na stole w hallu i dla zachowania pozorów udałem się do biblioteki katedralnej, by popracować, gdy jednak wróciłem do pałacu, poinformowano mnie, że Lyle udała się wraz z panią Jardine na stację przywitać nowych gości, którzy przyjeżdżają na miejsce Starmouthów.

Na lunchu kłębił się tłum gości. Doliczyłem się osiemnastu nakryć

przy rozłożonym stole w jadalnym i, ku swemu niezadowoleniu, szybko się przekonałem, że siedzę o sześć krzesel od Lyle. Co więcej, ledwie ostatni gość opuścił pałac, wyruszyła z panią Jardine na otwarcie parafialnej wenty dobroczynnej, a ja zostałem sam, dumając czy nie padłem ofiarą spisku. Nachmurzony, dla zabicia czasu krążyłem po mieście, zaglądałem do antykwariatów z książkami i wreszcie udało mi się wziąć udział w nieszpórach.

Biesiadnicy obecni na kolacji rekrutowali się spośród gości biskupa. Nowo przybyli, czterej krewniacy pani Jardine, najwyraźniej potrafili rozmawiać wyłącznie o polowaniach na lisy. Widziałem, że Jar-dine'owi brak lady Starmouth, z jej bardziej wyszukanymi tematami do konwersacji. Szczęśliwie jednak po zakończeniu posiłku udało mu się wyprawić świeckich gości do palarni i poprawił sobie nastrój dyskutując ze mną o niepokalanym poczęciu. Tak jak podejrzewałem, wyznawał wiarę *ex animo* i na swój modernistyczny sposób był ogromnie ortodoksyjny. Powróciliśmy do salonu. Lyle zajęła już stanowisko przy dzbanku z kawą, ale biskup razem ze mną podszedł po swoją filiżankę i uporczywie odmawiał wyjścia na taras z którąś z pań. Możliwe że uznał zaproszone panie za zbyt mało interesujące, by zasłużyły na taką uwagę, ale możliwe też, że postanowił za wszelką cenę nie dopuścić, bym wymienił z Lyle kilka słów na osobności.

- Proszę, niech ksiądz się do nas przyłączy, doktorze Ashworth!

- zawołała pani Jardine, poklepując wolne miejsce obok siebie na sofie, gdzie rezydowała wśród swoich posuniętych w latach kuzynek.

- Chcemy dowiedzieć się czegoś więcej o doktorze Langu! W tej chwili nabrałem pewności, że padłem ofiarą spisku.

- Już idę! - zawołałem i zwróciłem się do Lyle: - Co robisz jutro?

- Wyjeżdżam na cały dzień z panią Jardine. Chce się wybrać z rodziną nad morze.

- Pójdź ze mną na kolację po powrocie.

Zawahała się, ale biskup, który się temu przyglądał, włączył się do rozmowy.

- Zrób sobie wolny wieczór, Lyle, i przyjmij zaproszenie. Chyba że

uważasz, że tak się splamił swym postępowaniem w czasie wycieczki do Kręgu Starbridge, że nie zyczysz sobie żadnych więcej wypraw. Jeśli tak, najlepiej powiedz mu to szczerze i bez ogródek.
- Dziękuję, księżu biskupie - powiedziałem i odwróciłem się w stronę Lyle. - Zastanów się i daj mi znać.

Po czym zostawiłem ją na jej stanowisku za dzbankiem z kawą i dołączyłem do pani Jardine, by wydobyć z pamięci co bardziej pochlebne wspomnienia o doktorze Langu.

VI

Następnego ranka, przebudziwszy się po kolejnej niespokojnej nocy, pod drzwiami znalazłem kartkę. „Będę wolna dziś wieczorem od wpół do ósmej” - napisała Lyle drobnymi, wyraźnymi literami. - „Gdybyś nie był pewien, którą restaurację wybrać, polecam «Staro Arms» przy Eternity Street. L.C.”
Uznałem, że spisek był tworem mojej wyobraźni.

Czy też może nie?

Ciekawiło mnie, co myśli biskup.

VII

Spędziłem dzień, zmuszając się do pracy nad manuskrypcem świętego Anzelma, póki nie przeczytałem wszystkiego, czym dysponowała tutejsza biblioteka. Resztę materiałów znajdę w bibliotece uniwersyteckiej w Cambridge. Po zakończeniu pracy ogarnęła mnie taka ulga, że wpadłem we frywolny nastrój i bazgrałem w notesie, wyprodukowawszy w ten sposób trzy limeryki, które po powrocie do pałacu przepisałem na czysto.

Żyła w pałacu Lyle Christie,

Co chciała, by w żądzach swych ostygł

Młody kanonik, co rzekł:

*„ Czy dotrą kiedyś na brzeg,
Gdzie milej mnie przyjmiesz, Miss Christie? ”*

Mądry biskup imieniem Jardine (Z którym zrymujesz każdą z sardyn) Powiedział: „Stąd wiej Zły doktorze A

I pozwól Lyle służyć pani Jardine.”

Kanonik zwany Ashworth z Laud's

Co przyjemności chciał mieć moc

Obmyślił podstęp

By zmniejszyć odstęp

*Pomiędzy Lyle a kanonią w Laud's. **

Pod ostatnim wersem dodałem:

„Przepraszam, że to nie sonet, ale niestety żaden duchowny nie śmiałyby się równać z Johnem Donnem. A może byś wzięła kilka dni urlopu i odwiedziła Cambridge? Pływałaś kiedyś łódką po Cam? Widziałaś kaplicę King's College? Oglądałaś zachód słońca nad Backs? Świat nie kończy się w Starbridge i sądzę, że nadeszła pora, by ktoś Ci o tym przypomniął”. Podpisałem się samym imieniem, podając też numer telefonu, wreszcie zakończyłem *post scriptum*: „Weź ze sobą panią Jardine, jeśli uważasz, że nie możesz jej zostawić. Czemu nie? Zmiana wyjdzie jej na dobre”.

Uporawszy się w ten sposób z wymówką, którą z pewnością natychmiast by mnie uraczyła, zrobiłem wypad do ogrodu po różę i ponownie schroniłem się w domu. Było wczesne popołudnie. Jardine gdzieś zniknął, a pani Jardine ze swoim towarzystwem nie wróciła znad morza. Lokaja zapewne zdziwiło, że ktoś zadzwonił na

*** Przeł. Piotr Śmietanka.**

niego z salonu, ale gdy pojawił się w drzwiach, niczym tego nie okazał. Minę miał jak zwykle grobową i nawet mu powieka nie drgnęła na widok róży.

- Chciałbym to zostawić w pokoju panny Christie, Shipton - zwróciłem się do niego, przyglądając mu się bacznie w poszukiwaniu znaku, który by pozwalał się domyślać, że zdaniem służby żaden konkurent nie ma u panny Christie najmniejszych szans. - Jak tam się mogę dostać?

Mimo to Shipton zdawał się uradowany perspektywą konkurów, a jeszcze bardziej cieszyła go chyba perspektywa konkurów, które z pewnością spełzną na niczym. Grobowa mina nieco zmiękła, głos nabrał konfidencyjnego tonu:

- Może być księdzu nieco trudno znaleźć pokój panny Christie. Pozwoli ksiądz, że wskażę drogę. Dostojnym krokiem ruszyliśmy po schodach. Ja z różą, Shipton z godną miną. Poprowadził mnie przez labirynt gotyckich korytarzy, wreszcie dotarliśmy do odległego pokoju na szczycie południowej wieży.

- Nowe służące pewnie dostają mapę, żeby tu trafić - stwierdziłem, gdy otwierał drzwi.

- Panna Christie, jak przystało na osobę w jej sytuacji, nie chce zakłócać prywatności księdzu biskupowi i jego małżonce. Czy to wszystko, czy też mam poczekać, by pokazać księdzu drogę powrotną?

- Nie, dziękuję, Shipton, sam trafię. Gdybym jednak nie wrócił po dwunastu godzinach, możecie rozpocząć poszukiwania.

- Tak jest, proszę księdza.

Oddalił się z tą samą, niewzruszoną śmiertelną powagą, podczas gdy ja wszedłem do pokoju.

Było to wysokie, jasne pomieszczenie w kształcie ośmiokątu, ozdobione skromnie kilkoma nie znaczącymi meblami. Znajdowało się tam pojedyncze łóżko przykryte błękitną narzutą, na nocnej szafce leżało „Pożegnanie z bronią” Hemingwaya w wydaniu Penguina, obok książki stała wyblakła fotografia żołnierza. Było coś

niewymowie bolesnego w jego pełnym entuzjazmu i nadziei wyrazie twarzy. Na toaletce zobaczyłem kilka srebrnych szczotek do włosów, niewielką kasetkę do makijażu oraz słoiczek z gałązką kaprifolium. Na ścianach wisiały trzy obrazy: akwarela z widokiem na jezioro, możliwe że z okolic Norfolk, oprawiony szkic dużej kamienicy, jak podejrzewałem, dziekanii w Radbury i wspaniały sztych z widokiem niezrównanej katedry w Starbridge. Stałem, wchłaniając atmosferę pokoju, by potem, gdy już wrócę do Cambridge, móc sobie wyobrazić Lyle w jej zacisznym schronieniu. Wreszcie zostawiłem różę na -poduszce, wyjąłem z kieszeni kartkę i, złożoną, wsunąłem pod długą łodygę kwiatu.

Wychodząc z pokoju, przystanąłem przy półce z książkami i obok dobrych, współczesnych powieści odkryłem kontrowersyjne dzieło Alberta Schweitzera „Szukając historycznego Jezusa”: próbę zrekonstruowania kariery Chrystusa w ramach struktury eschatologicznej. Była to jedyna książka teologiczna, z wyjątkiem obowiązkowej kolekcji prac Jardine'a, ale zacząłem się zastanawiać, czy Lyle nie pożycza innych opracowań teologicznych z biblioteki na dole. Rzuciłem okiem na tomy Jardine'a: zbiór kazań, polemiczne artykuły w kwestii zmian, jakie w latach dwudziestych zamierzano wprowadzić do modlitewnika i inne teksty, ale nie było tam niczego, czego bym nie czytał. Z zainteresowaniem dostrzegłem egzemplarz powieści A. P. Herberta „Holy Deadlock”, w której autor słynnego kodeksu wykpiwa obowiązujące prawo rozwodowe.

Uznałem dobór książek za odrobinę niepokojący. Sugerował on umiarkowane zainteresowanie religią, ale nie widziałem żadnego dowodu na osobistą pobożność. Nigdzie w pokoju nie zauważyłem też Biblii.

Przeszło mi przez myśl, czy Lyle aby nie sprzeniewierza się wierze.

Wiedziałem jednak, że w czasie kolacji będę mógł się przekonać, jakie naprawdę są jej przekonania religijne. Rzucając ostatnie spojrzenie na to tak bardzo osobiste pomieszczenie, znowu otworzyłem drzwi i rozpocząłem żmudną wędrówkę do głównej części pałacu.

VIII

Kiedy wieczorem spotkaliśmy się w hallu, jej pierwsze słowa brzmiały:

- Jak znalazłeś mój pokój?
 - Wziąłem mapę, kompas, tygodniową rację żywności i Shiptona.
 - Nie lubię, kiedy ktoś grzebie w moim pokoju - oświadczyła. - Co więcej, robię się wściekła na samą myśl o tym.
 - Doprawdy? To musi stawiać pokojówki w bardzo niezręcznej sytuacji - odparłem z uśmiechem.
 - Pewnie wyszłam na idiotkę? A do tego nic nie usprawiedliwia mojego karygodnego braku dobrego wychowania - zaczęła się pospiesznie tłumaczyć. - Dziękuję za różę. Była piękna. I dzięki za limeryki. Cieszę się, że nie napisałeś sonetu, bo tak się składa, że sonety mnie nudzą.
- Ruszyliśmy na pobliską Eternity Street, do „Staro Arms”, czternastowiecznego zajazdu, okalającego brukowany dziedziniec. Za budynkiem rozciągał się ogród, schodzący ku rzece. Na trawniku stały stoliki z kutego żelaza, ocienione czerwonymi parasolami, a wzdłuż niskiego muru, który oddzielał ogród od rzeki, rząd pelargonii kołysał się w delikatnych podmuchach wieczornego wiatru.
- Wybraliśmy stolik, z którego mogliśmy podziwiać odbijającą się w wodzie średniowieczną zabudowę miasta po drugiej stronie rzeki. Wkrótce kelner przyniósł nasze drinki; Lyle zamówiła lemoniadę z dodatkiem dżinu i lodu, podczas gdy ja zażyczyłem sobie mały kufel jasnego, angielskiego piwa.
- Nie pijasz mocniejszych trunków? - spytała Lyle. Nie odparłem bezpośrednio.
 - Sądzę, że duchowni winni unikać mocniejszych trunków, tak samo jak nie powinni nigdy palić, gdy są w stroju kapłańskim - stwierdziłem. - Takie zwyczaje przyczyniają się do powstawania nieodpowiedniego wizerunku duchowieństwa.
 - Cóż, cieszę się, że dziś wieczorem zamierzasz dbać o zachowanie właściwego wizerunku duchowieństwa. Obawiałam się, czy znowu nie ogarnie cię chęć, by się na mnie rzucić.

- Co za interesujący pomysł! - zawołałem natychmiast. - Nie, to będzie cywilizowana kolacja - pospieszyłem z zapewnieniem, gdy parsknęła z rozdrażnieniem. - Nawet słowem nie wspomnimy o Jardine'ach, chyba że sama będziesz chciała. Będziemy rozmawiać o powieściach i teologii, i wszelkich wspólnych zainteresowaniach, jakie odkryjemy, a potem - o ile cię to interesuje - opowiem ci więcej o moim życiu w Cambridge, ty zaś - jeśli będziesz chciała - o życiu w Norfolk, gdzie, jak zapewniała mnie pani Cobden-Smith, wszyscy rozprawiają o świniach. Innymi słowy, będziemy się rozkoszować swoim towarzystwem i odprężymy się, nie myśląc o jutrze.

- To wszystko brzmi zbyt pięknie, by mogło być prawdziwe - oświadczyła sucho Lyle, ale już zaczynała się odpręzać i gdy ponownie wymieniliśmy uśmiechy, uznałem, że wreszcie jestem bliski osiągnięcia znaczącego postępu.

IX

Ja sam uspokoilem się dopiero w połowie posiłku, gdy dowiedziałem się, że Lyle nie jest odstępczynią od wiary. Cechowała ją prawdziwa wiara i inteligentne dążenie osoby świeckiej do jej intelektualnego pogłębienia. Tak jak przypuszczałem, często pożyczła książki z biblioteki biskupa. Co prawda w pewnym momencie przyznałem, że nie dostrzegłem w jej sypialni Biblii, na co Lyle odparła zgryźliwie:

- Cóż, przynajmniej teraz mam pewność, że nie otwierałeś szuflady w szafce nocnej! Przyniosło mi to prawdziwą ulgę. Niezależnie od tego, jak mocno byłbym przekonany, że w osobie Lyle znalazłem dla siebie idealną partnerkę, musiałbym uznać to za nieprawdę, gdyby się okazało, że Lyle wiara nie obchodzi. Jak można żyć w intymnym związku z kobietą, jeśli nie potrafiłaby ona zrozumieć, co rządzi moim życiem. Przyciąganie duchowych przeciwieństw to dla duchownego klęska.

Wzmianka o moim niepokoju co do jej życia duchowego wzbudziła

w Lyle ciekawość i pod koniec posiłku uległa pokusie spytania, jak to się stało, że podjąłem decyzję o przyjęciu święceń.

- I tylko nie mów, że zostałeś powołany - stwierdziła. - To jasne, że Bóg cię powołał, ale jak to odkryłeś?

- Przez ostatni rok nauki w college'u, po tym jak spotkałem się z doktorem Langiem i wysłuchałem jego nauki, która bardzo do mnie przemówiła, regularnie uczęszczałem do kościoła i choć czasem przemknęła mi myśl o zostaniu kapłanem, wiedziałem, że ojciec oczekuje, że pójdę w jego ślady i zostanę prawnikiem w naszej rodzinnej firmie. Jednak po roku studiów w Cambridge przekonałem się, że prawo w ogóle mnie nie interesuje i wkrótce poczułem się taki nieszczęśliwy i zagubiony, że napisałem do doktora Langa z prośbą o radę. Postanowiłem, że jeśli odpowie zachęcająco, uznam to za znak, że winienem się zastanowić nad przyjęciem święceń, a gdyby odparł grzecznie przez sekretarza, będzie to oznaczało, że muszę sprawę jeszcze raz przemyśleć.

- I odpowiedział zachęcająco?

- Napisał odręcznie list, że chce się ze mną spotkać. Wtedy jeszcze nie był prymasem, ale arcybiskupem Yorku i zaprosił mnie na weekend do Bishopthorpe. Oczywiście, zrobiło to na mnie ogromne wrażenie. Był taki dobry, tak pełen zrozumienia.

Umilkłem. Kontrast między przeszłymi a teraźniejszymi uczuciami względem Langa nieoczekiwanie sprawił mi ból. - Tak więc poczułeś, że zostałeś powołany.

- Byłem tego pewien. Mój ojciec był wściekły, ale potem zmiękł, a teraz jest bardzo dumny z moich sukcesów. - Ruchem ręki przywołałem kelnera, by przyniósł nam rachunek i dodałem lekko: - I tak to wyglądało z moim powołaniem. Obawiam się, że niezbyt dramatycznie się to wszystko odbyło.

Żadnej oślepiającej światłości na drodze do Damaszku, żadnego głosu z nieba. \

- Mnie jednak się wydaje, że było to bardzo dramatyczne, choć na poziomie ludzkim, nie boskim - odparła Lyle. - Przypuszczam jednak, że rozczarowanie twojego ojca, gdy nie chciałeś pójść w jego ślady, było zupełnie naturalne.

- Och, to nie była wielka tragedia - oświadczyłem, gdy kelner przyniósł rachunek. - W końcu ojciec uzyskał to, czego pragnął. Mój brat, Peter, zajął moje miejsce w firmie i wszyscy żyli długo i szczęśliwie.

- Naprawdę? Czy też to tylko kolejne z twoich przesadnych, romantycznych stwierdzeń?

- Jakich znowu przesadnych, romantycznych stwierdzeń?

- Nieważne. Ogromnie miła kolacja, Charles, jedzenie było pyszne. Bardzo ci dziękuję.

Pięć minut później wracaliśmy zalaną blaskiem księżycą Eternity Street. Jeszcze przed kolacją proponowałem Lyle, żebyśmy pojechali do „Staro Arms” samochodem, ale wyraźnie uznała, że najlepiej unikać wycieczki autem sam na sam. A może Jardine'owie spuścili ją z oka tylko pod warunkiem, że powstrzyma się od jazdy tym rydwanem grzechu. Nie dowiedziałem się niczego więcej o więzach łączących Lyle z Jardine'ami, ale nie zapomniałem o wrażeniu, które odniosłem: że zmówili się, by jej pilnować. I choć ciągle sobie powtarzałem, że to idiotyczny pomysł, nie potrafiłem siebie przekonać, że nie mam podstaw, by tak sądzić.

Przy antykwariacie z książkami, który stał na końcu Eternity Street, skręciliśmy w prawo i zobaczyliśmy sprzed sobą bramę Cathedral Close oświetloną słabym blaskiem ulicznych latarni.

Sama katedra, która wynurzyła się przed nami, gdy wstąpiliśmy na trawnik wokół kościoła, wydawała się ogromna na tle gwiazdzistego nieba i kryła w sobie tajemnicze, mroczne piękno.

Milczeliśmy. Dochodziła jedenasta, światła w domach wokół nas zaczynały gasnąć. Doszliśmy do końca wschodniego skrzydła katedry, zbliżyliśmy się do białej bramki w murze kościelnym i już miałem nacisnąć kłamkę, kiedy się zawahałem. Równocześnie obróciliśmy się do siebie, równocześnie wyciągnęli ramiona. Skończyło się to pocałunkiem: pełnym, wzajemnym, doskonałym. Ogarnęła mnie znajoma, rozkoszna błogość, że kobiece ciało może być odmienne, a zarazem tak doskonale dopełniać ciało, w którym żyję, poruszam

się, w którym mieszka moje ja. Po raz kolejny uderzyło mnie, jak drobna, jak delikatnie ukształtowana jest Lyle, a ponad tą świadomością, zdawałem sobie sprawę, jak silnie ogarnia mnie pragnienie, odsuwając wszelkie wątpliwości, trudności, rozpacz. Chciałem całować Lyle bez końca. Chciałem dalej podsycać ogień, który sprawiłby, że wybuchłaby ta rozkoszna, nieopisana siła, ale Lyle wyrwała się, otwierając na oścież furtkę i pobiegła East Walk. Dogoniłem ją w połowie podjazdu przed pałacem. - Boże, jakąż ja jestem głupia! - wydusiła, zatrzymując się i gwałtownie szukając w torebce klucza. - Skończona idiotka!

- Głupia, bo nazywasz siebie głupią! Kiedy przyjedziesz mnie odwiedzić w Cambridge?

- Nigdy. Wreszcie znalazła klucz.

- Przepraszam, nie powinnam była cię tak całować. Gardzę sobą. Przysięgałam na wszystko, że cię nie sprowokuję... - Co, u licha, się dzieje w tym domu?

- Nic!

A kiedy udało jej się otworzyć drzwi, zobaczyłem, że w jej oczach lśnią łzy. Chwyciłem ją gwałtownie, żeby jeszcze raz pocałować i choć próbowała mnie odepchnąć, nie puszczałem.

- Kochasz go?

- Och, na miłość boską! Nie, oczywiście, że nie!

- To może ją kochasz?

- CO?!

Była tak przerażona i oburzona, że zapomniała się wyrywać.

- W takim razie nie widzę najmniejszej przeszkody, żebyś nie mogła się we mnie zakochać. Posłuchaj, najmiłsza... Z oddali dobiegły głosy i kiedy moje ręce automatycznie zwolniły uścisk, Lyle wyrwała się, wbiegła przez próg, szukając schronienia w domu. Zostałem w tyle, żeby wytrzeć z ust jej szminkę i kiedy wszedłem do hallu, Lyle zniknęła już na górze.

Zamknąłem drzwi w chwili, kiedy biskup i zaproszeni na kolację goście zaczęli wynurzać się z salonu.

A ponieważ pani Jardine

w pośpiechu próbowała mnie przedstawiać, musiałem na chwilę zostać w hallu. Wreszcie ostatni gość wyszedł, ale pani Jardine z promiennym uśmiechem uniemożliwiła mi ucieczkę na górę.

- Mile ksiądz spędził wieczór, doktorze Ashworth? Lyle z pewnością dobrze zrobiło, że mogła wyjść na kolację z kimś w swoim wieku. Jestem przekonana, że ogromnie ją to podniosło na duchu. Tak żałowała koronacji.

- Carrie! - rozległ się natychmiast ostry głos biskupa. Pani Jardine podskoczyła.

- Och, Aleksie, przepraszam, nie...

- Lyle już dawno to przeboleła.

- Tak, oczywiście, że tak. Kochana Lyle, ona zawsze jest taka zadowolona. My zresztą też, prawda? I, doktorze Ashworth, prawdziwa opatrność losu, że wieczorem też się utrzymała taka piękna pogoda! W ogrodzie przy „Staro Arms” musiało być po prostu rozkosznie!

Powiedziałem sobie, że rozwiążę tajemnicę Lyle Christie, nawet gdyby się okazało, że to moje ostatnie dokonanie w życiu.

x

Kiedy następnego ranka szedłem z biskupem do katedry na poranne nabożeństwo, nie przypuszczałem, że zostanę zagadnięty. Milczenie jest pożądane przed głębokim aktem modlitwy, tymczasem gdy wyszliśmy z domu, Jardine odezwał się lekko:

- Cieszę się, że mile spędził ksiądz czas w „Staro Arms”. Zawsze uważałem ten średniowieczny zajazd za dość ciekawe i interesujące miejsce.

- Tak, rzeczywiście.

- Jak to moja żona wczoraj powiedziała, dobrze Lyle zrobiło, że mogła wyjść z kimś w swoim wieku. Przechodziliśmy przez bramę pałacu. Jardine przez moment bawił się swoim krzyżem biskupim, wreszcie dodał:

- Nie wiem, czemu moja żona przypomniała akurat o koronacji. Rzeczywiście, Lyle było wtedy trochę przykro, że nie będzie mogła w niej uczestniczyć, tak jak ja i Carrie, ale decyzję o pozostaniu w domu podjęła sama. Proponowałem, że zdobędę dla niej bilet na miejsca stojące przy Parliament Square, ale zdecydowanie odmówiła... Czy oglądał ksiądz koronację?

- Miałem miejsce przy Haymarket.

- To była wspaniała uroczystość, ale myślałem, że się ugotuję w moim stroju, a wielu starszym biskupom trudno było wystać tyle godzin. - Przerwał, ale kiedy doszliśmy do drzwi dziekana, wejścia tylko dla kapłanów, odezwał się dwornie: - Cóż, kanoniku, ogromnie się cieszę, że jest tu dziś ksiądz razem ze mną. Ponownie witamy w katedrze!

Wymamrotałem podziękowania, ale idąc do zakrystii zastanawiałem się, co - jeśli w ogóle coś - miały ukryć te luźne uwagi o koronacji.

XI

Lyle nie było na nabożeństwie i kiedy wraz z biskupem udzielałem komunii, poczułem się zupełnie zdezorientowany. Pocałunek z nieżonatym mężczyzną trudno zakwalifikować jako grzech, na skutek którego przestaje się być w stanie łaski uświęcającej. Uznałem, że zapewne Lyle zasnęła, ale mimo to nadal się niepokoiłem, zwłaszcza że, z tego co wiedziałem, regularnie przystępowała w niedziele do komunii. Po pewnym czasie zauważyłem, że Jardine też się niepokoił. Słyszałem, jak pytał żonę, która czekała na nas po nabożeństwie:

- Co się stało Lyle?

- Powiedziała, że czuje się nieco słaba, biedactwo. Poradziłam jej, żeby wróciła do łóżka.

- Ale przecież Lyle nigdy nie czuje się słabo! Biskup wydawał się oburzony.

- Rzeczywiście, kochany, zazwyczaj nie, ale każdej kobiecie raz na jakiś czas może się to przydarzyć.
- Ach, rozumiem - powiedział biskup z roztargnieniem. Zbliżyłem się do nich.
- Księżę biskupie, czy powinniśmy jej zanieść sakrament?
- Nie, słabość trudno uznać za stan ciężkiej choroby - stwierdził biskup surowo i natychmiast wyczułem, że nie pochwała noszenia sakramentu do chorych, chyba że w wyjątkowych wypadkach.
- Domyślam się, że raczej nie jest ksiądz zwolennikiem przechowywania w tabernaculum hostii dla chorych? - odezwałem się, kiedy wyszliśmy na zewnątrz.
- Tabernaculum? Hostie dla chorych? Oczywiście, że nie! Nie dopuszczę u siebie żadnych papieskich praktyk! - oświadczył biskup.

Uświadomiłem sobie, że najprawdopodobniej zareagowałem jak jego ojciec nonkomformista i nie mogłem się powstrzymać od myśli, jak przedziwną siłą jest dziedziczenie, jak rozlewa się niczym plama na tkaninie osobowości.

W milczeniu wróciliśmy do pałacu.

XII

Lyle nie było też na śniadaniu, pojawiła się jednak później, kiedy zebraliśmy się w hallu przed wyjściem na jutrznię.

- Czuję się już dobrze - odparła na gwałtowne wypytywania biskupa. - To była przejściowa niedyspozycja.

I kiedy się do mnie uśmiechnęła, wiedziałem, że chce ukryć nowy wymiar, jaki pojawił się w naszej znajomości.

- Jeszcze raz dziękuję za ostatni wieczór, Charles.
- Niepokoilem się o ciebie. Bałem się, czy przypadkiem nie zaszkodziła ci wczorajsza kolacja.
- Przyznam, że po tych cudownych pieczarkach miałam bardzo interesujące sny!

- Ja też miałem bardzo ciekawe - odparłem, patrząc na biskupa, który zdawał się wyjątkowo niespokojny. - Przypomnij mi, bym ci je kiedyś opowiedział.

- Wszyscy gotowi? - odezwał się z rozdrażnieniem biskup. - Czy też zamiast kazania mam huknąć kilka razy z progu pałacu?

Po raz kolejny ruszyliśmy do katedry.

XIII

Miałem nadzieję, że usłyszę świetne kazanie i Jardine mnie nie zawiódł. Tekstem przewodnim były słowa z Ewangelii świętego Marka: „Cóż bowiem za korzyść stanowi dla człowieka zyskać świat cały, a swoją duszę utracić?” i przyglądając się, jak biskup mówi - choć wiedziałem, że całe kazanie ma napisane, mimo że często wyglądał, jakby mówił z głowy - podziwiałem go, że tak wspaniale potrafi panować nad darowanym mu przez Boga talentem.

Doskonale skonstruowane, bez zarzutu podane kazanie rozwijało się niczym pełny kwiat, który powoli rozchyła płatki w promieniach słońca. Zawsze lubiłem obserwować fachowca w akcji, a Jardine był specjalistą w homiletyce, oszczędnie wybierając wątki, plotąc je z niewiarygodną wprawą, by w jasny, wyrazisty sposób przedstawić chrystusowe nauczanie. Wreszcie, kończąc, w jednym, zdumiewającym zdaniu splótł wszystkie intelektualne wątki, wzmógł siłę swej wypowiedzi i niczym młotem uderzył nas ostatecznym przesłaniem.

Postanowiłem, że porzucę swoją wieżę z kości słoniowej. Pojadę do Afryki jako misjonarz. Albo zacznę pracować w dzielnicach biedoty.

Wtedy uświadomiłem sobie, że Jardine hipnotyzował mnie tymi swoimi bursztynowymi oczami. Kiedy uklęknałem na błogosławieństwo, zacząłem myśleć bardziej racjonalnie, choć nadal rewolucyjnie. Mówiłem sobie, że zamiast spędzać w Laud's college resztę wakacji, powinienem zaproponować

jakiemuś zaharowanemu koledze z prowincji, że go zastąpię, aby on mógł odpocząć. Wtedy przemknęła mi przez głowę grzeszna myśl: doświadczenie w pracy w parafii będzie dobrze wyglądało w moim życiorysie. Brzydziłem się siebie.

W chwili ciszy po błogosławieństwie modliłem się żarliwie: uwolnij mnie od pokusy, pokaż mi drogę; niech Twoja wola, nie moja, się stanie.

Wtedy organy zadudniły ostatnią toccatę. Wstałem z klęczek i moje myśli natychmiast wróciły do Lyle.

XIV

Kiedy w południe zebraliśmy się w salonie oczekując na niedzielny obiad, pogratulowałem biskupowi kazania i pod wpływem impulsu dodałem:

- Miałem nadzieję, że przed wyjazdem odwiedzę pewnego proboszcza w księdza diecezji, okazuje się jednak, że wyjechał na wakacje. Nazywa się Philip Wetherall i jest moim starym przyjacielem.

- Wetherall - odparł biskup. - A, tak. Parafia Starrigton Magna. Idealna żona, dwójka dobrze wychowanych dzieci i jedno głośnie niemowlę.

- Nie znam jego potomstwa, ale żona, rzeczywiście, jest wspaniała. A Philip tak ciężko i solidnie pracował, że ogromnie się ucieszyłem, słysząc, że wreszcie ma wakacje.

Nie zamierzałem rozwijać tego tematu, ale moje drugie ja najwyraźniej uznało, że musi coś jeszcze dodać.

- Czasem czuję się winny, że pełnię tak uprzywilejowaną służbę - wymamrotałem pośpiesznie.

Jardine przyglądał mi się z nieodgadnionym wyrazem twarzy. Kiedy nie zareagował od razu, pomyślałem, że mógł uznać moje wstawiennictwo za impertynencję, a poczucie winy za afektację, ale on nagle się odezwał.

- Zapewniam księdza, że starania Wetheralla nie umknęły bacznemu oku archidiakona ani mojemu. Ale cieszę się, że wstawił się ksiądz za przyjacielem. Miło mi wiedzieć, że nie jest ksiądz pochłonięty wyłącznie polityczną działalnością Kościoła i widzi coś poza nią.

- To było wspaniałe kazanie - udało mi się powiedzieć. - Skłoniło mnie do namysłu. Chciałbym zmienić kierunek, ale... nie tak łatwo... jakby w pułapce... Nie wiem, czy do końca rozumiem...

- Niech ksiądz porozmawia ze swoim biskupem. Poprosi, żeby pomógł mu znaleźć nowego kierownika duchowego w okolicach Cambridge. I to jak najszybciej.

Lokaj oznamił, że podano do obiadu.

W drugiej części salonu pułkownik dopijał różowy dzin, pani Cobden-Smith głosiła wyższość lodówek na prąd nad lodówkami na gaz, pani Jardine opowiadała kuzynkom, jaką ma wspaniałą służbę w pałacu, a Lyle zerkiała na zegarek, podczas gdy wszyscy wstawali z miejsc.

- Ale ja nie chcę rozmawiać z biskupem - usłyszałem swój głos. - Nie chcę, żeby myślał, że się zagubiłem. Zresztą, wszystko jest dobrze, doskonale i nie ma potrzeby niepokoić mojego biskupa, nie ma najmniejszej potrzeby.

- Chodź, Alex! - zawołała pani Cobden-Smith. - Jedzenie ostygnie, jeśli będziemy dalej czekali na ciebie aż odmówisz modlitwę!

Jardine nie zwrócił na nią uwagi.

- Fordyci mają klasztor w mojej diecezji - odezwał się do mnie tak, by inni nie słyszeli. - Zresztą jestem pewien, że ksiądz o tym wie. Zamienię słowo z opatem i poproszę, żeby polecił najlepszego zakonika w Grantchester.

- To bardzo miło z księdza biskupa strony, ale...

- Żadnych ale. Musi, po prostu musi ksiądz mieć odpowiedniego kierownika duchowego. A teraz ruszajmy co tchu do stołu, nim Amy zacznie narzekać na zimną zupę.

W milczeniu poszedłem za nim do jadalni.

XV

Godzinę później opuściłem pałac. Gładko pożegnawszy się ze wszystkimi, podziękowawszy serdecznie gospodarzom za ich gościnność, zwróciłem się do Lyle, która stała w progu.

- Wrócę - powiedziałem jedynie.

Zerkając w lusterko, by ostatni raz spojrzeć na pałac, dostrzegłem, że stała tam, gdzie ją zostawiłem: drobna, prosta figurka, nieodgadniona i niepokojąco samotna.

XVI

Kiedy po jakimś czasie dotarłem do Londynu, dusznymi ulicami dojechałem do swojego klubu w St James, gdzie zarezerwowałem pokój na noc. Po czym, zaparkowawszy samochód w pobliżu, przeszedłem się na piechotę do Starmouthów, na pobliską Curzon Street.

Bardziej niż przedtem byłem zdecydowany zobaczyć Lorette Staviski, by w ten sposób znaleźć dowody, które pozwoliłyby mi zacząć myśleć o niemożliwym. Racjonalnie patrząc, nie potrafiłem uwierzyć, by Jardine dopuścił się ciężkiego grzechu z nią czy z kimkolwiek, ale nie umiałem myśleć racjonalnie. Wczorajszy niepokój Lyle wydawał mi się dziwny, jej nieobecność na rannym nabożeństwie z komunią niewytłumaczalna, próba prześlizgnięcia się przez biskupa nad jej żalem, że nie będzie mogła pojechać na koronację podejrzana, a jego rozdrażnienie, gdy wymienialiśmy lekkie uwagi przed jutrznią, prawdziwe. Zyskałem pewność, że w pałacu w Starbridge wytworzyła się bardzo dziwna sytuacja i choć w miarę, jak coraz lepiej poznawałem jego mieszkańców, tajemnica zdawała się coraz trudniejsza do wykrycia, z tym większą determinacją pragnąłem ją rozwiązać.

Wciągając powietrze, wspiałem się po schodach do czarnych, frontowych drzwi pomalowanego jasną farbą, wysokiego domu Starmouthów i nacisnąłem dzwonek.

Spotkało mnie jednak rozczarowanie. Jak mnie poinformowano, hrabiostwo Starmouth wraz z gośćmi wyjechali do swojej wiejskiej siedziby i wrócą dopiero we czwartek. Wróciwszy do klubu przyszykowałem plan najazdu na Leatherhead, odmówiłem nieszpory i spożyłem smakowitą kolację złożoną z jagnięcia na zimno i bordo.

XVII

Z otoczonego lasem, drzemiącego na stoku Starmouth Court rozciągał się widok na fragment sielankowej doliny Mole. Do łąk rozciągających się wzdłuż rzeki przylegały pola, za nimi wznosiły się strome zbocza, dodając krajobrazowi równowagi i uroku. Nie chciało się wierzyć, że jestem zaledwie dwadzieścia mil od mojego klubu, ulokowanego w centrum West Endu.

Pokazałem wizytówkę stróżowi przy bramie, a kiedy mnie wpuścił, ruszyłem pod górę krętym, stromym podjazdem. Po tylu latach oglądania jej z daleka, ciekawiło mnie, jak siedziba Starmouthów będzie się prezentować z bliska. Prosta, osiemnastowieczna rezydencja była ładna, wdzięczna i dobrze utrzymana, niczym majętna wdowa, wiodąca spokojne, nieurozmaicone życie. Zaparkowawszy, spojrzałem w dół, ku dolinie, ale drzewa zasłaniały widok, pogłębiając wrażenie oddalenia.

Drzwi otworzył skromny, młody lokaj. Przedstawiłem się i spytałem o lady Starmouth.

- Przykro mi, proszę księdza - usłyszałem w odpowiedzi - ale lady Starmouth pojechała rano do Leatherhead i wróci dopiero w porze lunchu.

Szczyście mi sprzyjało.

- W takim razie - spytałem - czy mógłbym się spotkać z panią Staviski, o ile jest w domu?

- Zapytam, proszę księdza. Proszę wejść.

Wziął ode mnie wizytówkę i wprowadził do niewielkiego saloniku

z widokiem na podjazd. Czekałem. Przez dłuższą chwilę nic się nie działo i właśnie zacząłem się zastanawiać, czy pani profesor nie schowała się gdzieś, by ukryć swój grzeszny sekret, kiedy w hallu zastukotały obcasy, drzwi gwałtownie się otworzyły i wreszcie zobaczyłem kobietę, z którą znajomość okazała się dla Jardine'a takim duszpasterskim niepowodzeniem.

Rozdział ósmy

„Bardzo mnie zainteresowały, choć wcale nie zdziwiły, jej pewność siebie, otwartość i całkowita obojętność na powszechnie przyjętą moralność seksualną”.

More Letters of Herbert Hensley Henson, zebr. E.F. Braley

I

Zapomniałem o stwierdzeniu lady Starmouth, że Loretta była niewiele starsza ode mnie. Spodziewałem się zobaczyć co najmniej pięćdziesięcioletnią kobietę, rówieśniczkę lady Starmouth i pani Jardine, stanowiło więc dla mnie prawdziwe zaskoczenie, gdy stanęła przede mną kobieta, która musiała sobie liczyć niewiele ponad czterdzieści lat, a wyglądała na mniej. Najwidoczniej owego okropnego męża wyszukała sobie jeszcze jako nastolatka. Oczekiwałem też kogoś obdarzonego przeciętną urodą, po części dlatego, że lady Starmouth wspomniała, że Loretta nie prezentowała modnego typu urody, a po części dlatego, że Jardine przedstawił ją jako osobę pozbawioną wiary w siebie. Jednak ta kobieta była elegancka, bardzo zadbana, uderzająco piękna, smagła. Ciemne włosy ściągnęła w gładki kok na czubku głowy i jej figura - którą natychmiast dostrzegłem i zacząłem pożądać - kształtem przypominała klepsydrę. Ukryte za modnymi okularami oczy miały intensywnie niebieski kolor.

Zmierzyła mnie wzrokiem od stóp do głów z bezpośredniością, z którą już wcześniej zetknąłem się u Amerykanek, nie znających angielskiej powściągliwości i poczułem, że jej także przypadło do gustu to, co zobaczyła. Uśmiechnąłem się. Odpowiedziała tym samym i natychmiast wiedziałem, że zrobiliśmy ogromny krok naprzód, nie zamieniając przy tym ze sobą ani słowa.

- Doktor Ashworth? - spytała lekko matowym głowem, wyciągając rękę. - Cóż za zbieg okoliczności! Evelyn wszystko mi o księdzu opowiedziała.

To mnie wcale nie zdziwiło. Można się było spodziewać, że lady Starmouth nie omieszka poinformować przyjaciółki, jeśli ktoś nadmiernie interesował się jej starą znajomością z Jardine'em, ale z tego, co widziałem, Loretta bynajmniej nie wydawała się poruszona moim wątpliwym zamachem na jej życie osobiste.

- Miło mi panią poznać, pani profesor - zacząłem oficjalnie, ale natychmiast przerwała mi te formalności.

- Proszę mnie nazywać Loretta - powiedziała. - Wszyscy tutaj tak się do mnie zwracają. Mogę do ciebie mówić Charles, czy też uznasz mnie za wampa, który chce cię uwieść?

Po pruderyjnej atmosferze Starbridge, to mocno waliło po głowie.

- Proszę, mów mi po imieniu - a jeśli chcesz zostać wampem i mnie uwieść, z pewnością poświęcę ci stosowną porcję duszpasterskiego czasu i uwagi.

Roześmiała się.

- Nieźle jak na Anglika - powiedziała. - A więc, Charles, chyba jeszcze za wcześnie na drinka? Tak, myślę, że tak. W takim razie co byś powiedział na kawę?

Uznaliśmy, że nie ma nic złego w wypiciu kawy o jedenastej w południe. Wezwawszy służącego poprosiliśmy o kawę, a potem, w odpowiedzi na moje uprzejme pytanie o podróż, Loretta zaczęła opowiadać o rejsie przez Atlantyk. Po chwili tak byłem zasłuchany w historyjkę o katolickim księdzu, którego uczyła modnego tańca, że omal nie zapomniałem spytać o lady Starmouth.

- Poszła odwiedzić tutejszego proboszcza - odparła Loretta, zapalając papierosa. - Nie chciało mi się podziwiać kolejnego zakurzonego eksponatu w jej kolekcji duchownych i tak oto zostałam, dzięki czemu mam teraz okazję zabawiać tajnego agenta arcybiskupa Canterbury!

- I oczywiście uważasz moją wizytę za wyjątkowy okaz bezczelności i impertynencji...

- Ależ skąd! Jestem oczarowana... Przepraszam, powinnam była ci zaproponować papierosa. Palisz?

- Nie, kiedy jestem w koloratce.

- Może powinnam zacząć nosić koloratkę, zdecydowanie za dużo palę... A oto i nasza kawa.

Konwersacja na chwilę umilkła, ale gdy tylko służący wyszedł, Loretta podjęła z rozbawieniem:

- Czyżby stary Lang naprawdę uważał, że moje zadurzenie w jakimś księdzu dwadzieścia lat temu mogło wstrząsnąć posadami Kościoła anglikańskiego?

- Obiecuję, że jeśli nawet doktor Lang kiedykolwiek dowie się o twoim istnieniu, to nie ode mnie.

Wysłał mnie do Starbridge, żebym się upewnił, czy doktorowi Jardine'owi nie grozi żaden skandal, ale doszedłem do wniosku, że choć biskupowi zdarzało się błędzić, nie można mówić o poważnym grzechu przeciw obyczajności.

- W takim razie po co tu przyjechałeś? Nie zrozum mnie źle, bardzo miło mi cię poznać, ale nie wiem, dlaczego...

- Tu muszę ci się do czegoś przyznać - powiedziałem, uśmiechając się do niej. - Przyjechałem tu z czystej ciekawości, ponieważ stałem się wielbicielem biskupa i chciałbym się dowiedzieć czegoś więcej o jego latach w Mayfair, kiedy był mniej więcej w moim wieku. Masz już jakieś plany na lunch? W Box Hill jest świetny hotel, który słynie z dobrego jedzenia.

Zaintrygowałem ją.

- Czy pojawi się tam jakiś wikary, aby przyzwoitości stało się zadość?

Roześmiałem się.

- Nie mam wikarego!

- W takim razie tak, chętnie zjem z tobą lunch. Bardzo dziękuję! - Też się roześmiała. - Ilekroć Alex odwiedzał mnie w mieszkaniu, przychodził z wikarym - ciągnęła, lekkim ruchem ręki strącając popiół z papierosa. - Zwracałam się do niego zawsze „panie Jardine” Nie wiem, jak to się stało, że nie umarliśmy od tej szacowności, ale nie mówiłam do niego po imieniu aż do ostatniego naszego spotkania, kiedy wyłożyłam karty na stół i przekonałam się, że przeceniłam swoją rękę.

- Może jednak wolałabyś o nim nie mówić – powiedziałem niezręcznie.

- Charles minęło dwadzieścia lat od chwili, kiedy poznałam Alexa Jardine'a, i dziewiętnaście, od kiedy ostatni raz go widziałam. Od tamtej pory mnóstwo wody upłynęło w rzekach.

- Mimo to...

- Stanowię budujący przykład, że wbrew temu, co twierdzą w dziewiętnastowiecznych romansach, nieodwzajemniona miłość nie musi się okazać straszliwym nieszczęściem. Co więcej, jeśli chcesz rozmawiać o Jardinie, bardzo chętnie powspominam. Cóż to był za wspaniały mężczyzna!

Oczywiście rozumiem, czemu się w nim zakochałam. Wcale nie dlatego, że czułam się samotna po rozpadzie małżeństwa, ale dlatego że me uważał za niedopuszczalne przestępstwo, jeśli kobieta była obdarzona rozumem. Och, nasze rozmowy! Potrafiliśmy śmiać się do łez, nawet jeśli pilnował nas wikary... Ale o Alexie możemy porozmawiać jeszcze przy lunchu. Opowiedz mi o sobie. Evelyn wspomniała, że napisałaś książkę, która rzuciła teologów na kolana.

Czas płynął gładko, kiedy rozmowa przeszła od mojej książki do życia akademickiego po obu stronach Atlantyku. Zapomniałem o Jardinie. Zapomniałem nawet o lunchu, póki zegar me wybił dwunastej i Loretta powiedziała:

- Lepiej wrzucę na siebie coś, co się bardziej nadaje na lunch w miasteczku. - I wstając, dodała: - Może ja też pójdę w ślady

Evelyn i zaczę kolekcjonować księży! Są zdecydowanie zabawniejsi niż znaczki i antyki. Roześmiałem się, właściwie reagując na jej stwierdzenie, ale cały czas zastanawiałem się, czy ów zalew amerykańskiego wdzięku nie służył zdławieniu moich wątpliwości, które tak uparcie nie chciały zniknąć.

II

Trzy kwadransy później złamałem zasadę niepicia w południe i wychyliłem łyk bardzo wytrawnego chablis. Siedzieliśmy dwie mile od rezydencji Starmouthów w hotelowej jadalni i z naszego zakątka mogliśmy oglądać ogród, który schodził do rzeki, wijącej się wśród porośniętych gęstym lasem stoków Box Hill. Kusiło mnie, by zamówić szampana, ale żadnemu duchownemu nie wyszłoby na dobre proponowanie szampana damie, którą znazaledwie od dwóch godzin. Już samo zaproszenie jej na lunch oznaczało, że po raz kolejny poruszam się z prędkością światła i doskonale zdawałem sobie sprawę, że teraz muszę być ostrożny. Nie dałem się zwieść tak nieangielskiej bezpośredniości Loretty. Wiedziałem, że jej przyjaźń z lady Starmouth nie utrzymałaby się, gdyby Loretta nie cieszyła się niepodważalną reputacją, jednak jej charakter - tak otwarty na wszelkie przyjaźnie - sprawiał, że można by ją uznać za łatwą kobietę. Nagle przypomniałem sobie słowa Lyle o tajemnicy osobowości, które wypowiedziała w czasie wycieczki do Kręgu Starbridge i pomyślałem, że choć Loretta rozsiewa wokół siebie atmosferę pogody i beztroski, rzeczywistość, która ukrywa się za tą maską, jest znacznie bardziej złożona, niż mógłbym teraz zgłębić.

- Czy właśnie nadeszła chwila, kiedy mogę rozpocząć mą nostalgiczną podróż w przeszłość? - spytała, kiedy w rozmowie, tak jak należało się spodziewać, pojawiło się nazwisko Jardine'a. - Cóż to za wspinała możliwość: oddawać się użalaniu nad sobą!

- Cóż, jeśli jesteś absolutnie pewna, że chcesz...
- Wystarczy jeszcze parę kieliszków tego cudownego wina, a będziesz się zastanawiać, jak powstrzymać wezbraną falę moich wspomnień! Pozwól jednak, że zapytam: co już wiesz? Trudne pytanie. Ponieważ chciałem sprawdzić, na ile jej relacja będzie zbieżna, z wersją oficjalną, im mniej powiem, tym lepiej.
- Doktor Jardine wspomniał o bolesnych okolicznościach, w jakich się poznaliście i że próbował ci pomóc - odparłem ostrożnie.
- Mam nadzieję, że podkreślił, jak bezwzględnie przestrzegał względów przyzwoitości. Nie chciałabym, żebyś uważał, że wcielił się w rolę Edwarda VIII, a ja byłam drugą panią Simpson.
- Przecież ci powiedziałem, że nie podejrzewam go o żadne poważne uchybienie!
- Zgoda. Ale mimo to mam nieprzyjemne wrażenie - powiedziała lekko, patrząc mi prosto w oczy - że twoim zdaniem ucieliśmy sobie mały romansik w pluszowych salonach Mayfair...
- Doktor Jardine niedawno się ożenił i właśnie awansował na świetną parafię - odparłem wytrzymując jej spojrzenie. - Nietrudno mi uwierzyć, że bezwzględnie przestrzegał wymogów przyzwoitości. Kelner przyniósł zupę, a gdy tylko odszedł, podjęła.
- Alex miał związane ręce nie tylko przez małżeństwo i awans. Musiał szczególnie uważać ze względu na mnie, ponieważ w tamtych czasach żona, która porzuciła męża, była spalona towarzysko. To prawda że wojna zniszczyła większość przesądów, ale oczywiście Alex jako kapłan musiał trzymać się starych, dobrych przedwojennych kanonów, więc nie zdziwiłam się, gdy jego żona początkowo nie chciała mnie przyjąć... Choć później udało mu się ją namówić, by z chrześcijańskiego miłosierdzia zaprosiła mnie na herbatę.
- I jak brzmiał twój werdykt?
- W sprawie Carrie? Uznałam ją za żalosną. Oto ma męża, prawdziwy dynamit, a ta potrafi tylko kręcić się pod nogami w sukni

wizytowej i rozprawiać o pogodzie. Moja pierwsza myśl była: jak on to wytrzymuje? Po pięciu minutach prawie konałam z nudów. Powinnam była jednak zdawać sobie sprawę, że żaden obserwator z zewnątrz nigdy naprawdę nie wie, co się dzieje w małżeństwie. Dobry Boże, przecież nikt nie miał pojęcia, jak wyglądało moje małżeństwo! A prawda była taka, że Carrie idealnie pasowała do Alexa. On nie chciał mieć za żonę intelektualistki. Chciał mieć ozdóbkę, która w łóżku zawsze wyglądała zachwycająco w swoim najnowszym paryskim peniuarze. Mnie jednak nie przeszło przez myśl, że Carrie może mieć drugie, seksowne oblicze. Byłam bardzo młoda, w 1917 miałam dwadzieścia jeden lat i choć od mojego okropnego męża - wy, Brytyjczycy, określilibyście go mianem drania - nauczyłam się tego i owego, jeśli chodzi o rozwiązywanie zagadek więzi łączących ludzi, byłam beznadziejna. Po prostu doszłam natychmiast do wniosku, że małżeństwo jest nieudane i Alex marzy o jakiejś pozamałżeńskiej rozrywce.

- Ale przecież żaden prawdziwy kapłan nie mógłby nawet pomyśleć o zdradzie, a co dopiero ją popełnić!

- Jasne, ale byłam prawdziwą ignorantką i uważałam, że duchowni to świeccy, tylko że dziwnie ubrani. Nie zdawałam sobie sprawy, że duchowny naprawdę patrzy na życie trochę inaczej niż przeciętny, nudny, stary świecki, zainteresowany wyłącznie pogonią za seksem i pieniędzmi.

- Byłaś niewierząca?

- W każdym calu, szczególnie po koszmarnym małżeństwie. Dodatkowym powodem, dla którego niewłaściwie odebrałam sytuację, była wojna. Przyzwyczytałam się, że każdy śpi z każdym, kiedy tylko uda mu się zdobyć przepustkę i na kilka dni wyrwać z okropieństw frontu, choć ja sama nie byłam rozpustna; mój mąż sprawił, że miałam wrażenie, że każdemu mężczyźnie robi się niedobrze na sam mój widok, ale kiedy Alex nie wykazywał w mojej obecności odruchów wymiotnych, naturalnie zaczęłam żywić nadzieję.

- Ale ukrywałaś swoje uczucia.

- Oczywiście. Evelyn byłaby zszokowana, gdyby się dowiedziała, co czuję, a stanowiła moje koło ratunkowe - bez niej zupełnie bym się załamała. Ale prawdę mówiąc, ukrywanie uczuć nie przychodziło mi zbyt trudno: człowiek może ukryć niemal wszystko, jeśli żyje w nadziei, że jego marzenia pewnego dnia staną się prawdą, a ja marzyłam, że Alex będzie miał ze mną romans, nawet gdyby nie miał szans na rozwód i ponowne małżeństwo. Boże, jakaż ja byłam naiwna! Brak religijnego wychowania to prawdziwe kalectwo! Uważałam siebie za taką mądrą, ale nagle odkryłam, że w moim mózgu istnieje część zupełnie nie rozwinięta i pod względem duchowym jestem na poziomie imbecyla.

- A teraz?

- Teraz jestem na tyle stara, żeby zdobyć się na mniejszą arogancję i większą pokorę... Może wiara przychodzi z wiekiem. Nie wierzę w Słowo Wcielone - przykro mi, Charles! - więc chyba nie można mnie uznać za chrześcijankę, ale wierzę w Boga i podziwiam Chrystusa jako wielkiego człowieka, tak że nie poczuję się jak ostatnia hipokrytka, kiedy w przyszłą niedzielę pójdę z Evelyn do kościoła.

- Czy Jardine próbował rozmawiać z tobą o chrześcijaństwie?

- Och, jasne, a kiedy *on* o tym mówił, wierzyłam we wszystko: wcielenie, narodziny z dziewicy i całą resztę. Choć, oczywiście, Alex potrafił sprawić, że się wierzyło w każde jego słowo. I to nie tylko dlatego, że hipnotyzował tymi swoimi niesamowitymi, złocistymi oczami. Jego logika i rozumowanie były niezbite. Zawsze uważałam, że świetnie by się nadawał na prawnika, takiego, który potrafi przekonać, że czarne jest białe, a jeśli nadal widzisz czarne, to znaczy, że cierpisz na poważne schorzenie wzroku.

Roześmiałam się.

- Ale jeśli uczyłaś się chrześcijaństwa od najbardziej przekonywającego z nauczycieli, czemu nie pojęłaś, że tracisz czas, Kochając się w duchownym? - spytałam.

- Jakim cudem? Miłość jest ślepa, i moja była ślepa aż do pewnego dnia w 1918 roku, kiedy... Czy Alex ci o tym opowiadał?
- O tym jak brat lady Starmouth poległ w boju? Tak. Doktor Jardine mówił, że przyjechał do niej do Starmouth Court i po lunchu, kiedy odpoczywała, zaproponowałeś spacer, w czasie którego wyznałeś swoje uczucia.
- Zgadza się - przytaknęła. - Tak to się odbyło. - Wysączyła kolejny łyk wina. - Przeszliśmy mostem nad rzeką... Jak tam było pięknie! Cóż za śliczna okolica! Przez dolinę, wzdłuż rzeki biegnie linia kolejowa, ale tak sprytnie wkomponowana w brzegi, że nie obciąża krajobrazu. Pamiętam, że właśnie podziwiałam widoki, kiedy pod nami pojawił się maleńki pociąg. Wyglądał jak zabawka. Sapiąc i dysząc wjechał w las. Roześmialiśmy się i zachwycaliśmy, jakie to sprytne - i właśnie w tym momencie Alex zdał sobie sprawę, co do niego czuję... Co się stało, Charles? Wyglądasz na zmieszanego. W czym rzecz?
- Próbowałem zrozumieć, jak z mostu nad rzeką mogliście patrzeć w dół na linię kolejową.
- Cóż, byliśmy... - Urwała. - Znasz te okolice?
- Tak, wychowałem się niedaleko stąd, w Epsom.
- Aha. - Spokojnie popijała wino. - W takim razie, łatwiej ci będzie zrozumieć, jak to wyglądało. Kiedy wyszliśmy ze Starmouth Court, przespacerowaliśmy drogą do mostu, potem zeszliśmy na ścieżkę biegnącą wzdłuż rzeki. Jednak po paru minutach zeszliśmy i z tej ścieżki i ruszyliśmy dróżką, która doprowadziła nas pod drugi most - kolejowy - i na strome zbocze, z kępą drzew na środku. Będziesz wiedział, o którym mówię, widać je wyraźnie z głównej drogi.
- Tak, dobrze je pamiętam - Odparłem, myśląc o poważnym niedomówieniu, które właśnie znalazłem w wersji Jardine'a: „Poszliśmy nad rzekę. Zawróciliśmy”.
- Pamiętam, jak w dzieciństwie urządzaliśmy tam sobie pikniki i machałem przejeżdżającym pociągom - usłyszałem swój głos.

- Ja i Alex też pomachaliśmy pociągowi. I jak się zaśmiewaliśmy! Ale po chwili pociąg zniknął i do mnie w końcu zaczęło docierać, na czym polega kapłaństwo.

Umilkła i po chwili podjęła gwałtownie;

- Alex powiedział, że nie może odrzucić ślubów, które złożył w czasie święceń. Cytował Biblię, coś o tym, że skoro raz przyłoży się rękę do pługa, nie można się oglądać wstecz i wreszcie dodał: „Nie skończę jak mój ojciec”.

- Aha!

- Czysty Freud, prawda? Ale tak naprawdę w końcu Bóg odsądził Freuda o całą długość. „Spróbuj zrozumieć”, mówił Alex, „Bóg to nie bajka. To rzeczywistość. On tutaj jest i muszę Mu służyć jako kapłan, a nie mógłbym Mu służyć, gdybym złamał Jego prawo”. Potem ujął to w inny sposób. „Gdybym złamał prawo, działałbym na własną szkodę, osuwając się w podwójne życie, które jest rakiem duszy; dla mnie oznaczałoby to kres prawdziwego życia i początek nowego, gdzie skończyłbym w piekle poczucia winy, chory na umyśle i oddzielony od Boga”. W jego ujęciu to się wydawało tak oślepiająco oczywiste, a ja - to jasne - nie potrafiłam tego przyjąć. Człowiek, który nie tylko ma zasady, ale jeszcze żyje zgodnie z nimi! Miałam wrażenie, jakby mój cynizm został rozerwany na strzępy. Czułam się nie tylko odrzucona, ale i bezbronna, unicestwiona... Biedny Alex! Płakałam i płakałam, a cała ta sytuacja była

- och, nieopisanie krępująca! Ale on, z punktu widzenia władz kościelnych, zachował się wzorowo. Nic dziwnego, że jest teraz biskupem. Zasługuje na to.

Skończyliśmy zupę i znowu rozmowa się urwała, dopóki kelner nie sprzątnął naszych talerzy.

- Ja też uważam, że doktor Jardine zasłużył, by być biskupem

- odezwałem się wreszcie. - Ale i tak ani przez chwilę nie sądziłem, by to, co mi opowiesz, mogło wpłynąć na zmianę mego zdania.

Bardziej wyczułem niż dostrzegłem jej ulgę. Przystąpiliśmy do spożywania w miłej atmosferze reszty naszego posiłku.

III

Nie potrafiłem przestać myśleć, jak bardzo musiała go kochać, skoro nie tylko broniła go po dziewiętnastu latach od owej katastrofy, ale broniła go też kosztem godności własnej. Co więcej, najbardziej podejrzana w obecnej sytuacji wydawała mi się szczerłość Loretty. Nawet jeśli wziąć poprawkę na jej amerykańską bezpośredniość, uważałem za mało prawdopodobne, by rozprawiała z obcym sobie człowiekiem o bolesnym epizodzie ze swego życia, który w dodatku stawiał ją w tak pożałowania godnym świetle.

Popuściłem wodze wyobraźni. Przed oczami miałem lady Star-mouth, która oświadcza Lorecie:

- Moja droga, zdarzyła się straszna rzecz: pewien młody duchowny dowiedział się o tobie i Alexie, a na domiar złego nie jest to zwykły ksiądz, ale szpieg prymasa!

I poczułem, że aż nadto jasno potrafię zrozumieć, czemu tak długo trwało, nim Loretta zeszła do mnie na dół. Kiedy zobaczyła na wizytówce moje nazwisko, obawiała się najgorszego i zastanawiała się, jak najlepiej zażegnać niebezpieczeństwo. Niemal słyszałem, jak mówi w duchu:

- Oczaruj go i rozbrój. Niech myśli, że nie masz nic do ukrycia. Pohamowałem moją rozpędzoną wyobraźnię, przypominając sobie,

że przecież niczego nie dowiodłem. W opowieści Jardine'a bez wątpienia pojawiła się znaczna luka, ale biorąc pod uwagę okoliczności, należało to uznać na naturalne. Nie dopuściłby, żebym się dowiedział, że zapuścili się z Loretą głębiej w las, z dala od owych konnych wozów. Nadal może być winny jedynie drobnego uchybienia, ale mimo to jednak moje podejrzenia stawały się coraz silniejsze.

Przypomniałem sobie, że w 1918 roku, po przyjściu na świat martwego dziecka i załamaniu nerwowym żony jego sytuacja rodzinna zrobiła się bardzo napięta. Nie zapomniałem też, że Loretta była ogromnie atrakcyjną kobietą, do tego głęboko w nim zakochaną. Czy to możliwe, by Jardine, mimo swojej wiary w koncepcję platonicznej

przyjaźni, nie zdawał sobie sprawę z napięcia erotycznego, które bez wątpienia musiało towarzyszyć ich spotkaniom?

Moim zdaniem nie. Teraz byłem pewien, że zdawał sobie sprawę z uczuć Loretty na długo przed owym wrześnieowym dniem w 1918 i że musiał odczuwać silną pokusę ich odwzajemnienia. Nie wiedziałem jednak, jak mógłbym udowodnić, że moje podejrzenia są prawdziwe. Loretta najwyraźniej zakończyła swoją opowieść i nie zamierzała nic więcej dodawać, a była na tyle sprytna, żeby ominąć wszelkie moje próby wzięcia jej w krzyżowy ogień pytań.

Pomyślałem o Jardinie i nagle przypomniałem sobie, jak schylił się i z najniższej półki wyciągnął „Morderstwo Rogera Ackroyda”. Olśniło mnie. Przyszły mi na myśl wszystkie czytane w przeszłości kryminały. Kiedy detektyw chciał przekonać o prawdziwości teorii, której nie mógł udowodnić, wracał na miejsce zbrodni i odtwarzał bieg wydarzeń.

IV

..I wtedy biskup Londynu zawołał: „Powiadam wam, ścieżki do piekła są wybrukowane szampanem, szybkimi samochodami i łatwymi kobietami!”, na co z kościoła rozległ się niewinny głos: „Gdzież, o śmierci, twój oścień?”

Loretta zatrzęsała się ze śmiechu.

- To prawdziwa anegdota?

- Jeśli nawet nie, to powinna być. Słuchaj, właśnie wpadłem na pomysł: lunch był obfity, mam ochotę na trochę ruchu. Może byśmy się przespacerowali nad rzeką?

- Interesująca propozycja, ale jeśli nie chcesz, żebym utonęła w błocie, musimy wrócić do Starmouth Courth, gdzie się pozbędę tych obcasów.

Przewidziałem to.

- Zajrzymy do domu, potem pojedziemy nad rzekę i zostawimy samochód przy moście.

- Tym samym moście, gdzie...
- Przepraszam, czyżbym się zachował jak słoń w składzie z porcelaną? Jeśli nie chcesz tam iść...
- Och, na miłość boską! - zawołała. - Po cóż robić tyle szumu wokół romansu, którego nie było? Chodźmy, może znajdziemy kolejny malutki, zgrabny pociąg, żeby mu pomachać. Wyszliśmy na zewnątrz, do samochodu.

v

Nie wyglądałem z utęsknieniem spotkania z lady Starmouth i ku mojej uldze lokaj poinformował nas, że pani odpoczywa. Przypuszczałem, że uznałaby moje zachowanie za niegodne duchownego i byłem pewien, że zainteresowanie, jakie okazywałem jej gościowi, wzbudziłoby w niej poważne podejrzenia, a może wręcz i gniew.

Loretta kazała mi na siebie czekać dziesięć minut. Właśnie zacząłem się zastanawiać, czemu tak wiele czasu jej potrzeba na zmianę butów, kiedy pojawiła się nie tylko w innych pantoflach, ale i letniej sukience wraz z pasującym do niej dużym kapeluszem. Wyglądała obco, egzotycznie. Sukienka miała dekolt, który mieścił się w granicach przyzwoitości, ale nikt nie mógłby go określić mianem niewielkiego.

- To najłżejsza rzecz, jaką mam - powiedziała, gdy wyszliśmy na zewnątrz i rzucając mi współczujące spojrzenie, dodała: - Jaka szkoda, że nie możesz zrzucić tego swojego stroju.
- Cóż za rozkosznie nieprzyzwoita propozycja! Roześmiała się.
- Spokojnie! Nie zapomniałam, że jesteś księdzem!
- Cieszę się, że choć jedno z nas o tym pamięta.

Tym razem oboje się śmialiśmy, ale wiedziałem, że muszę nieco przyhamować.

- Przepraszam - odezwałem się gwałtownie, otwierając jej drzwiczki samochodu. - Nie panuję nad językiem.

- Czy to grzech?
- Nie, tylko błąd. Tak samo jak palenie w stroju duchownym.
- Załamanie samokontroli.
- Tak. - Zaskoczyło mnie jej zrozumienie. - Dokładnie to.

Nic więcej już nie mówiłem i po kilku sekundach zjeżdżaliśmy podjazdem. Kiedy znaleźliśmy się na głównej drodze, Loretta przemówiła nieoczekiwanie:

- Bóg stanowi ośrodek twojego życia, prawda? Nie odchodzi w cień, gdy wszystko dobrze się układa, jak to jest u większości ludzi. Jest z tobą cały czas i, tak samo jak Alex, ty o tym wiesz.

- Słońce to nie tylko zwykły talerz na niebie, który oglądasz, jeśli chce ci się zadrzeć głowę - wytłumaczyłem okrężnie. - Jego ciepło przenika świat nawet w pochmurne dni i to nie jest kwestia pobożnych życzeń czy złudzeń optycznych. Widzisz, jak rośliny reagują na jego ciepło. Ono naprawdę istnieje.

- Z tym bym nie polemizowała. Nadal jednak uważam, że zdolność do wiary - do nieustannego widzenia Boga - to dar. To tak samo jak z umiejętnością grania na fortepianie. Wielu marzy, by stać się wybitnymi pianistami, ale jeśli brak im talentu, przegrają, choćby nie wiem jak ćwiczyli i nie wiem ile lekcji wzięli.

- Zgadza się, że nie wszyscy rodzą się z wyjątkowymi predyspozycjami do mistycyzmu, z drugiej jednak strony osiągnięcie pewnego poziomu rozwoju duchowego jest dostępne dla każdego. To tylko kwestia... Ale nie - podjąłem z uśmiechem. - Naprawdę nie mogę cię pouczać, jakbyś była jednym z moich studentów.

Uśmiechnęła się do mnie.

- Nie próbujesz mnie nawrócić na chrześcijaństwo?

- Najlepszym sposobem, by nawrócić kogoś takiego jak ty, jest unikanie podejścia intelektualnego. Argumenty doktrynalne przemawiałyby do twojego umysłu, pobudzając do dyskusji, jednak twoja dusza pozostałaby niewzruszona.

- W takim razie, jak byś się zabrał do nawracania mnie?

- Moim zdaniem największe wrażenie zrobiłyby na tobie czyny, nie słowa. Na przykład w 1918 roku co najbardziej przekonało cię do chrześcijaństwa? Czy doktor Jardine, który potrafił zahipnotyzować, mówiąc o wcieleniu Syna Bożego, czy też doktor Jardine, który wystawiony na ogromną pokusę, cię odrzuca?

Dojeżdżaliśmy do rzeki. Przed nami widać już było most, ale kiedy przelotnie zerknąłem na Lorette, czułem, że myśłami błądzi gdzieś indziej.

- Chrześcijaństwo rzeczywiście mną wstrząsnęło, kiedy Jardine zerwał naszą przyjaźń - odezwała się w końcu. - Sądziłam, że mężczyźni - prawdziwi mężczyźni - myśleli wyłącznie o zdobywaniu kobiet i pieniędzy. Zetknięcie się z mężczyzną - prawdziwym mężczyzną - który uważał, że w życiu jest jeszcze coś więcej... Tak, to sprawiło, że poczułam, że muszę spróbować to zrozumieć.

- Jednak zrozumienie okazało się niemożliwe?

- Niezupełnie. Uważam chrześcijaństwo za wspaniałe marzenie. Ale przecież na tym właśnie polega człowieczeństwo, prawda? To nas odróżnia od małp. Mamy wspaniałe marzenia i najdoskonalsze życie to takie, które polega na próbie ich zrealizowania.

- Uważanie chrześcijaństwa za mrzonki to ignorowanie jego rzeczywistości, choć może mówiąc o doskonałym życiu, naprawdę masz na myśli ludzkie dążenie do wartości pozazmysłowych. To jest wystarczająco rzeczywiste... No i widzisz! Trzeba teologa, żeby z najszlachetniejszych dążeń ludzkich zrobić suchy, kościsty wywód!

Roześmialiśmy się. Przejechałem przez most i zatrzymałem się nad brzegiem rzeki.

- Zgadza się, że wielu mężczyzn sprawia wrażenie zainteresowanych wyłącznie pieniędzmi i seksem - powiedziałem pod wpływem nagłego impulsu - ale sądzę też, że znaczna ich część w głębi ducha

chciałaby wierzyć, że życie to coś więcej niż materia. Jednak społeczeństwo zmusza ich do pogoni za sukcesem, który zapewni im szacunek, następnie zaś uganiają się za kobietami: albo żeby zapomnieć, jak nieszczęśliwi są w gonitwie za sukcesem, bądź dlatego że uważają kobiety za element, który podkreśli rozmiar ich sukcesu.

- Tak więc wszelkie męskie kłopoty rodzą się z pogoni za sukcesem? Ciekawa teoria, Charles!

Ciekawe, czyżbym wreszcie zaczynała się czegoś o tobie dowiadywać?

- Taką jestem zagadką? - spytałem lekko.

- Wszyscy stanowimy zagadkę - odparła Loretta. - Dlatego życie jest takie fascynujące.

Nie mogłem zaprzeczyć.

Wysiedliśmy z samochodu i ruszyliśmy na przechadzkę.

VI

Droga leżała nad rzeką, która wiała się leniwie pod mostem i kiedy doszliśmy na ścieżkę przy brzegu, zatrzymałem się i ocieniłem ręką oczy. Po drugiej stronie doliny zalesione wzgórza drżały w nagrzanym powietrzu, a po lewej stronie woda połyskiwała gorąco w oślepiającym słońcu.

Loretta także przystanąła i widząc nieruchomość jej twarzy, spytałem nagle:

- Jesteś pewna, że chcesz przez to przejść?

- Mówisz takim tonem, jakbyśmy jechali do ślubu. Tak, jestem pewna! Wypędźmy wszystkie demony przeszłości... Czy w Kościele anglikańskim nadal odprawia się egzorcyzmy?

- Ostatnio przyjęło się uważać je za raczej niezdrowe przesady.

- Doprawdy dziwne! Czy Kościół postępuje roztropnie oddając egzorcyzmy w ręce świeckich?

- Jakich świeckich?

- Nazywają ich psychoanalitykami - odparła sucho. - Może

o nich słyszałeś. Mają swojego sprytnego bożka zwanego Freudem, bardzo dobrze płatne duchowieństwo, wierni zaś raz w tygodniu uczęszczają na nabożeństwo na kozetkach w ich gabinetach.

- Próbowałaś tego kiedyś?

- Jasne. Mój psychoanalityk wyjaśnił mi, że powodem, dla którego nieustannie wpadałam na nieodpowiednich mężczyzn było to, że w głębi ducha w ogóle nie chciałam wychodzić za mąż. I po dwóch latach leżenia na jego kozetce i wracania do przeszłości, choć niechętnie, ale musiałam mu przyznać rację.

- Jakież zdumiewające rzeczy dzieją się w Ameryce!

- Możliwe. Pozostaje jednak faktem, że psychoanalityk wypędził ze mnie ducha desperacji, kiedy byłam duchowo chora.

- Cóż, oczywiście Kościół zapewnia poradnictwo dla cierpiących na duchu, ale *egzorcyzmy!* To zupełnie inna sprawa!

- Czy aby na pewno? Czy to wszystko nie to samo? Jeśli nikt ci nie pomoże, gdy jesteś chory na duchu, czy nie wtedy demony opętują cię do tego stopnia, że kończysz chodząc po ścianach i wyjąc o pomoc?

- Czy jednak wypada w tym tak oświeconym dwudziestym stuleciu określać załamanie nerwowe mianem opętania? - Nie widzę powodów, żeby nie. Osobiście znacznie łatwiej przychodzi mi wierzyć w demony i szatana - zwłaszcza w tym tak oświeconym dwudziestym stuleciu - niż w Boga i anioły. Jeśli u podstaw świata leży zło, różnica między załamaniem nerwowym a opętaniem to tylko kwestia semantyki. - Zaprzeczałbym, jakoby u podstaw świata leżało zło, niezależnie od tego, jak wszechobecne może nam się wydawać. Dostrzegam u ciebie niebezpieczne tendencje - dodałem z uśmiechem - do gnozy! - Moją najniebezpieczniejszą tendencją jest tendencja do nadmiernego gadania. Po co, u licha, mówiłam ci o moim psychoanalityku? Teraz będziesz uważał mnie za wariatkę. - Moja droga Loretto...

- Może nadeszła pora, bym się na chwilę zamknęła.

Doszliśmy do rozwidlenia. Zostawiwszy rzekę, ruszyliśmy w górę, ku mostowi, przez który biegła linia kolejowa. Kilkakrotnie próbowałem wszcząć rozmowę, ale Loretta odpowiadała monosylabami i kiedy dotarliśmy do wiaduktu, ponownie zapadliśmy w milczenie. Za mostem widać było strome pole, które opisała, pole, na którym niegdyś wraz z rodzicami i bratem, Peterem, spożyliśmy piknik.

- Dziwne, jak bliska czasem wydaje się przeszłość - odezwałem się, gdy przystanęliśmy, by wyrównać oddech. Z szacunku wobec powagi wzniesienia, unikaliśmy bezpośredniej wspinaczki w górę i szliśmy zakosami, ale mimo to droga była stroma. Zarośla, ciemna masa drzew porastających zbocze ponownie przywołały wspomnienia. To tam ukryłem się obrażony po sprzeczce z Peterem, kiedy wzbudziłem gniew ojca.

- Mam wrażenie - ciągnąłem - jakby wystarczyło obejrzeć się przez ramię, a zobaczę siebie jako dziecko, wiele lat temu, na rodzinnej wycieczce.

Loretta nie odpowiedziała. Stała bez ruchu, wsłuchana i kiedy ja też zacząłem nasłuchiwać, dobiegło mnie odległe dudnienie, które zwróciło jej uwagę.

To był pociąg.

- Ostatnim razem byliśmy wyżej, bliżej drzew... Och, muszę tam dotrzeć, muszę, chcę, żeby było tak samo...

Popędziła w górę, a ja szybko za nią. Cały czas dudnienie narastało, w miarę jak pociąg pędził przez dolinę w naszą stronę.

Zatrzymała się przed zagajnikiem. Teraz już widzieliśmy pociąg. Nadjeżdżał z lewej strony i za linią kolejową, za rzeką, za sitowiem widziałem główną drogę i miniaturowe auta, i dom Starmouthów na wzgórzu. Pociąg, który wyglądał niczym zabawka, nieproporcjonalnie duża w stosunku do namalowanego tła, coraz bardziej się do nas zbliżał.

- Musimy pomachać! - zawołała Loretta. - Machajmy, Charles, machajmy!

Pomachaliśmy. Maszynista pozdrowił nas buczeniem, dzieci ma-

chały do nas z okien wagonów. I w jednej chwili wszystko się skończyło. Pociąg zniknął za polem, dudnienie ucichło, powrócił nie zmacony spokój. Odwróciłem się do Loretty, ale dowcipny komentarz zamarł mi na ustach, bo zobaczyłem, że jej policzki są mokre od łez. W chwilę później potykając się wspięła się kilka metrów wyżej, gdzie zaczynał się las i zniknęła wśród zarośli.

Dałem jej czas na zapanowanie nad sobą, ale kiedy się nie pokazywała, ruszyłem jej śladem. Wśród drzew rosły gęste zarośla. Dłużej niż przypuszczałem trwało wyszukanie luki w zwartej ścianie krzaków, ale gdy tylko wszedłem w cień, natychmiast ją zobaczyłem: Loretta schroniła się w ustronnym zakątku w drugiej części lasu i siedziała wśród paproci. Kątem oka dostrzegłem napięte szwy czerwonej sukienki owiniętej wokół podkulonych kolan, a kiedy podszedłem bliżej zobaczyłem, że ramiona Loretty drżą od szlochu. Zdjęła okulary, ale kiedy usłyszała, że się zbliżam, próbowała je włożyć.

Uklęknąłem, przykrywając jej dłonie swoimi i okulary zostały na ziemi.

- Przebacz mi - powiedziałem. - Nie powinienem był cię tu przyprowadzać.

- Myślałam, że sobie z tym poradzę, ale... Znowu zaczęła płakać.

Objąłem ją ramieniem. Był to instynktowny gest, narodził się z poczucia winy i niemal natychmiast cofnąłem rękę, gdy ostrożność wzięła górę nad współczuciem, jednak przesłanie pozostało. Loretta uniosła wzrok.

- Boże, jakież to niesamowite - odezwała się drżącym głosem. - Ty jesteś tak jak on i to tak, jakby to samo jeszcze raz się przytrafiało.

Patrzyliśmy sobie w oczy. I wtedy, gdy wolnym ruchem ramienia objąłem ją po raz drugi, wiedziałem ponad wszelką wątpliwość, że to nie ona zaproponowała spacer nad rzekę i nie ona zrobiła pierwszy ruch, który zaprowadził ją poza granice przyzwoitości.

VII

Chyba zrobię coś bardzo głupiego - odezwałem się i pocałowałem ją w usta. - Oczywiście - dodałem - jestem szalony, ale o tym pomyślę później. - I znowu ją pocałowałem.

Jej jedyne słowa, które wypowiedziała, gdy zsuwałem ramiączka jej sukni, brzmiały:

- Nie chcę, żebyś cierpiał tak samo jak Alex. O Boże, Charles, gdybyś wiedział, przez co myśmy przeszli...

- Tym razem to co innego. Nie jestem żonaty.

- Tak, ale...

Przerwałem jej pocałunkiem. Minął jakiś czas i gdy wreszcie oderwałem się od niej, żeby zsunąć marynarkę, nie wspominała więcej o cierpieniu, ale sięgnęła do mojej koloratki.

- Pamiętam, że się zapina z tyłu - wyszeptała.

I wtedy wiedziałem, że mogę zacząć myśleć o niemożliwym.

Rozdział dziewiąty

„Boli mnie, że Ty także musisz doświadczać szoku i upokorzenia w związku ze skandalami duchownych... Ileż takich upadków i skandali ja sam oglądałem. Jestem pewien, że nasza droga jest znacznie trudniejsza, niż większość mężczyzn sądzi; wszyscy zaś mężczyźni powinni pamiętać te słowa: «Niech przeto ten, komu się zdaje, że stoi, baczy, aby nie upadł»".

More Letters of Herbert Hensley Henson, zeb. E. F. Braley

I

Paproć chłodziła moją rozgrzaną skórę. Czułem ten chłód, kiedy walczyłem - i zwyciężyłem - o zapanowanie nad swym podnieceniem, tak głębokim i potężnym. Tylko jeden moment był niezręczny.

Domyślałem się, że Loretta już na mnie czeka i przesunąłem się tak, by znaleźć się między jej udami.

- Wchodzisz - odezwała się wtedy niespodzianie. Zatrzymałem się.

- Jeszcze za wcześnie?

- Nie, nie...

Przyciągnęła mnie blisko i pocałowała z taką namiętnością, że omal nie doszło do nieszczęścia.

Musiałem odwrócić głowę, by odzyskać panowanie nad sytuacją.

- Czy to będzie bezpiecznie? - spytałem, kiedy odzyskałem mowę. - Czy też będę musiał się wycofać?
- Nie, nie...

I znowu przyciągnęła mnie aż wreszcie zacząłem się w nią zagłębiać. Pierwsze półtorej minuty zepsuł mój strach, by za wcześnie nie skończyć, ale kiedy wreszcie się w niej znalazłem, Loretta zdawała się jeszcze bardziej świadoma tego niebezpieczeństwa i czułem jej starania, gdy odpowiadała ruchem na mój ruch. Stopniowo trudności wynikające z długiej abstynencji ustąpiły, nagroda zaś warta była wysiłku. Kiedy już zwyciężyłem w walce o panowanie nad sytuacją, wiedziałem, że potrafię długo wytrzymać.

- Wszystko dobrze?
 - Głupie pytanie!
 - Paprociom daleko do porządnego, sprężystego materaca.
 - Nie obchodziłoby mnie nawet, gdybym leżała na betonie. Uniosła głowę do moich ust i po chwili usłyszałem jej szept:
 - Długi był ten post.
 - Jak długi?
 - Trzy lata. Tak mnie zmęczył ten ból, kiedy wiecznie nic nie wychodziło... A ciebie?
- Ale ja tylko ułożyłem ją inaczej i wszedłem jeszcze głębiej w jej rozpalone ciało.

II

Kiedy skończyliśmy, byliśmy tacy zmęczeni, że mogliśmy tylko leżeć w milczeniu i przyglądać się błękitnemu niebu przeświecającemu między gałęziami drzewa. Nie myślałem o niczym. Wiedziałem, że później przyjdzie ból, ale na razie byłem jak pod wpływem narkozy, każdą cząsteczką ciała rozkoszowałem się błogostanem, zniknęło wszelkie napięcie. Zatęskniłem, jak to już nieraz się zdarzało, do intymności pożycia małżeńskiego, ale to przypomniało

mi o Lyle i natychmiast mój mózg zaczął się dzielić. Zacisnąłem oczy, jakbym zamykając je mógł wymazać teraźniejszość, ale moje dwa ja walczyły, by się rozdzielić, zmagając się w walce, która przekraczała moje możliwości pojmowania.

- Papierosa? - odezwała się Loretta, wyjmując pudełko z torebki.

- Dziękuję.

Odwróciła moją uwagę. Myśli znowu zniknęły i walka została przerwana. Paliliśmy leniwie, wreszcie Loretta spytała: - Jak, u licha, sobie radzisz, skoro nie jesteś żonaty?

- W przeciwieństwie do szeroko rozpowszechnionego przekonania, od celibatu się nie umiera.

Palcem wiodłem po linii jej piersi.

- Zgoda, ale powiedzmy sobie szczerze: celibat może być cholernie uciążliwy. Czemu po raz drugi się nie ożeniłeś?

- A ty?

- Och, jeśli chodzi o mnie, to łatwo wytłumaczyć. - Ona też zaczęła wodzić palcem po moim torsie.

Czułem kręgi, jakie zataczała. - Razem z moim psychoanalitykiem uznaliśmy, że: a) większość mężczyzn nie potrafi sobie poradzić z moją inteligencją, b) większość mężczyzn nie potrafi sobie poradzić z moim sukcesem, c) nie lubię grać drugich skrzypiec, d) nie jestem kurą domową, e) doświadczenia mojego małżeństwa wystarczyły, by skutecznie mnie zniechęcić do małżeństwa jako takiego i f) nigdy właściwie nie odkochałam się w Alexie. Czekałam na kogoś, kto mógłby się z nim równać, a kiedy wreszcie pojęłam, że to się nie stanie, wyrosłam z wieku, kiedy człowiek jest zdolny do kompromisów. - Musiałaś go bardzo kochać.

- Cóż, oczywiście pobralibyśmy się, gdyby nie ta jego tępa żona. Mój mąż nie stanowiłby przeszkody, bo pod koniec 1918 roku zapił się na śmierć, ale wiesz, Charles, często się zastanawiam, jak by się ułożyło moje życie z Alexem. Zasadniczo nie jestem religijna i wysoko cenię niezależność, co utrudnia pozycje małżeńskie. Co więcej, wydaje mi się* że zupełnie nie nadawałabym się na żonę biskupa.

- Gdybyś jednak wyszła za Jardine'a w okresie, kiedy twoja osobowość nie została do końca ukształtowana...

- Tak, możliwe, że bym się dostosowała, ale tego już nie sprawdzimy, prawda? To świat „co by było, gdyby...”, podobnie jak twoje drugie małżeństwo, którego nigdy nie zawarłeś. Czemu nie chcesz się powtórnie ożenić?

- Chcę.

Zgniotłem nasze papierosy i znowu zacząłem pieścić Loretę.

- W takim razie dlaczego nie zrobiłeś tego wiele lat temu? Może jesteś taki jak ja? Może w głębi ducha w ogóle nie chcesz się żenić?

- Ależ tak! Muszę! Muszę! Och, nie rozmawiajmy już o tym, źle mi się robi na samą myśl o moich niemożliwych do rozwiązania i nie dających się nawet uchwycić problemach...

- A może powinieneś o nich pomyśleć. Niektóre problemy nie znikają ot, tak, same z siebie. Są jak demony i muszą zostać wyrzucone.

- Cóż, nie znam żadnego egzorcysty i panuję nad swoimi demonami. - Ale gdy tylko wypowiedziałem te słowa, ogarnęła mnie panika. - O Boże, co ja robię, co się ze mną dzieje...

- Charles, kochany...

- Nic mi nie jest - odezwałem się, wchodząc w nią jednym pchnięciem tak głęboko, że gwałtownie wciągnęła powietrze. - Nic mi nie jest. Nic mi nie jest. Nic mi...

Znowu sam siebie ogłuszyłem. Panika ustąpiła.

Cały zanurzyłem się w rozkoszy, jaką niósł seks.

III

Tym razem doświadczenie zaczęło się inaczej. Było ciemniejsze, mniej opanowane, ale wiedziałem, że odzwierciedlało mój wewnętrzny chaos. Loretta też musiała zdawać sobie z tego sprawę, bo szukała

różnych, delikatnych sposobów, by mnie uspokoić. Powoli się odprężyłem aż wreszcie to ja leżałem w paprociach, a jej miękkie ciało, które się nade mną unosiło, stanowiło rozkoszny kontrast w porównaniu z twardą ziemią, którą czułem pod plecami. Jedyny nieudany moment przytrafił się, kiedy zmieniłem pozycję, chcąc, byśmy wspólnie szczytowali. Wysunąłem się i orgazm przyszedł, gdy byłem na zewnątrz.

- Niech to!

- Nic się nie stało.

Trzymała mnie mocno, gdy wracaliśmy do siebie, i wypuściła dopiero, kiedy sięgnąłem po papierosy. Po jakimś czasie, myśląc o osiągniętej przed chwilą przez Lorette rozkoszy i o minionej jej abstynencji, odezwałem się:

- Przypuszczam, że kobietom łatwiej przychodzi życie w czystości.

- Dzięki. Przypomnę sobie to zdanie następnym razem, kiedy będzie mnie rozsadzało. Jestem pewna, że znacznie mnie wtedy podniesie na duchu.

- Przepraszam, wykazałem się straszliwym brakiem delikatności...

- A żeby było śmieszniej, Alex powiedział coś podobnego. Mówił tak, jakby żadna kobieta nie potrafiła sobie wyobrazić, jakim piekłem może być życie w celibacie.

- Jak *on* sobie z tym radził, skoro ożenił się dopiero w wieku trzydziestu siedmiu lat?

- Nie wiem i zawsze żałowałam, że nie spytałam. Kiedyś często snułyśmy z Evelyn domysły co do jego młodości, ale nigdy nie doszłyśmy do żadnych konkretnych wniosków.

- Powiedz, co właściwie lady Starmouth wiedziała o tobie i Jardinie?

- Cóż, w końcu przekonała się, że Alex był we mnie równie zakochany jak ja w nim: w końcu widziała nas, nie mogliśmy tego przed nią ukryć, byliśmy wstrząśnięci. Choć ani przez chwilę nie mieliśmy wątpliwości, że stanie w naszej obronie i zrobi wszystko, co w jej mocy, żeby całą sprawę zatuszować. Uparła się, że Alex dojdzie na sam szczyt Kościoła anglikańskiego.

- Nie była zła, że zagroziłaś jego przyszłości?
- Wściekła. Ale wybaczyła mi. Może to ci się wyda dziwne, ale Evelyn należy do nielicznego grona tych, którzy naprawdę starają się żyć zgodnie z nakazami ich religii.
- Jakżeż musiało ją przerazić, kiedy się o tobie dowiedziała!
- Mówiła, że omal nie umarła. Przeprosiła mnie, że w jej wersji wydarzeń wystąpiłam jako nużąca neurotyczka, Alex zaś był chodzącą cnotą, ale nie miała wyboru. W czasie lunchu przyjąłam tę samą linię, choć oczywiście... prawda wyglądała zupełnie inaczej.
- Twoja miłość była od początku odwzajemniona?
- Tak. Zakochaliśmy się w sobie od razu, już w 1917, ale, mój Boże, jak on z tym walczył! Ten koszmarne wikary, którego zawsze brał ze sobą jako przyzwoitkę! I te koszmarne chwile spędzone sam na sam u Starmouthów, kiedy Evelyn odeszła do telefonu... Ale nigdy mnie nie pocałował, nawet wtedy. To byłoby zbyt niebezpieczne. W każdej chwili ktoś mógł wejść... Jednak najgorsze ze wszystkiego były wizyty w jego mieszkaniu, w obecności jego żony. Nie chciałam tam iść, ale on uważał, że fakt, że jego żona mnie przyjęła, ukreśli głowę wszelkim możliwym domysłem.
- Jakie uczucia względem żony żywił w tamtym okresie?
- Kiedy tu siedzieliśmy, powiedział, że w czasie miodowego miesiąca zdał sobie sprawę, jaki straszny błąd popełnił, ale był pewien, że sytuacja zostanie uleczona, gdy przyjdą na świat dzieci. Dzieci jednak nie było, choć w 1918 roku Carrie urodziła jedno i nikt nie wiedział, że już więcej nie zajdzie w ciążę. Alex opowiadał, że to był straszny rok: przyjście na świat martwego dziecka, załamanie nerwowe Carrie i ponadpółroczny celibat... Choć oczywiście słowo seks i Carrie nie padało w jednym zdaniu, bez trudu się domyśliłam, że seks jest dla Alexa bardzo ważny. Zresztą sam pod koniec stwierdził: „Mogło być gorzej. Kiedy Carrie się dobrze czuje, dopełnia wszystkich swych obowiązków”. Obowiązków! Faj! Co za obrzydliwy, wiktoriański eufemizm! Właśnie w takich sytuacjach

uświadamiałam sobie, że Alex jest ode mnie o siedemnaście lat starszy. Zresztą piekielnie zadrościłam Carrie, że może mieć Alexa kilka razy w tygodniu, a jeszcze większa wściekłość mnie ogarnęła, kiedy przyznał, że najchętniej kochałby się co noc. Dodał jednak, że jego zdaniem to byłoby z jego strony samolubne - pewnie się bał, żeby Carrie tego nie znieubiła. Tak wiele to dla niego znaczyło, że gotów był starać się nad sobą zapanować!

- Nie pojmuję, zwyczajnie nie pojmuję, jak udało mu się żyć w czystości od święceń do ślubu.

Przecież musiały mu się zdarzać chwile słabości!

- Może tak, a może nie. Pamiętaj o Freudzie. To, co się dzieje w umyśle człowieka, miewa często ogromny wpływ na jego życie seksualne.

- Uważasz, że istniały nie tylko religijne, ale i psychologiczne przesłanki, które tłumaczyłyby wstrzemięźliwość Jardine'a przez te lata?

- W sprawach seksu - odparła Loretta - wszystko jest możliwe. Weźmy jego ojca. Straszyl ogniem piekielnym i wiecznym potępieniem, a taki typek może sprawić, że jego dzieci będą miały kompleksy na punkcie seksu, szczególnie jeśli on sam je posiadał. Alex mógł potrzebować czasu, żeby sobie z nimi poradzić. Zresztą skoro w chwili święceń był tak bardzo anglikatolicki (kontreakcja na fundamentalizm ojca), że ślubował w duchu celibatu, najwyraźniej potrzebował trochę czasu, żeby sobie z tym poradzić. Potem dano mu jakąś straszliwą parafię, gdzie doprowadził się do fizycznego, jeśli i nie nerwowego załamania, a to z pewnością ładnie musiało się przyczynić do sublimacji energii seksualnej. Jednak najważniejszym czynnikiem był fakt, że nigdy nie brakowało mu kobiecego towarzystwa. Osobiście uważam, że nie tyle brak seksu, co samotność sprawia, że celibat staje się nie do zniesienia. Miał macochę...

- No i znowu. Ciągle słyszę o jego macosze. Zastanawiałem się nawet, czy nie mieli romansu.

- Wątpię.
- Czemu.
- Bo nie sądzę, żeby Alex kiedykolwiek wdał się w długotrwały, nieprawy związek - stwierdziła Loretta, wyrażając głośno moje nie dające się przewyciężyć obiekcje. - Dowiódł tego, kiedy mnie odrzucił. Bez trudu moglibyśmy mieć romans, w końcu mieszkałam sama, bez męża, ale on tego nie zrobił, choć szalał na moim punkcie.
- To niewątpliwie bardzo znaczące.
- Każdemu duchownemu może się przytrafić potknięcie, za które później odpokutuje - powiedziała Loretta. - Księża są ludźmi, nie aniołami. Jak jednak może oddany kapłan pozostawać wierny powołaniu, jeśli żyje w ciągłym grzechu?
- Albo zrywa z grzechem, albo zostaje odstępcą.
- Cóż, w czasach kiedy go znałam, Alex z pewnością nie był apostatą. Wierzył głęboko i całym sercem w to, czego nauczał.

Trójka mieszkająca w pałacu znowu zaczęła wyglądać niewinnie, ale nadal trudno mi było znieść myśl o Lyle. Zgasilem papierosa i jeszcze raz odwróciłem się do Loretty.

- Kochaj mnie - wyszeptałem, niczym pacjent błagający pielęgniarkę o zastrzyk przeciwbólowy.

IV

Sila powróciła, gdy tylko dotknąłem Loretty, zmusiła mnie jednak do czekania, całując moje ciało, wodząc dłońmi po udach. Kiedy wreszcie napięcie stało się zbyt silne, by zwlekać, ustąpiła i zmieniliśmy pozycję. Znowu nas połączyłem i poczułem, jak jej ciało zaciska się wokół mnie, gdy jęknęła z rozkoszy. Przywarłem do niej. Gładziła mnie po włosach i przez chwilę się nie poruszałem, trwaliśmy tak w zjednoczeniu.

- Chcę ci coś wyznać - powiedziałem wreszcie.

Uświadomiłem sobie, że mógłbym zlać moje dwa ja w jedno

przenosząc przeszłość w teraźniejszość, jednocząc w czasie i przestrzeni Charlesa ze Starbridge i Charlesa, który leżał nagi na zboczu w Surrey.

- W takim razie mów - odparła, nie przestając mnie gładzić. - Obiecuję, że możesz mi ufać.

Podniecenie seksualne ustąpiło, jakby cała energia została skierowana gdzie indziej. Wysunąłem się z Loretty i nim przystąpiłem do relacjonowania mojego pobytu w Starbridge, na moment schroniłem twarz w jej piersiach. Trochę potrwało, zanim jej wszystko opowiedziałem i wreszcie usłyszałem swoje słowa:

- Musisz być oburzona, że kocham się z tobą, równocześnie kochając inną. Ja sam jestem oburzony. Nie rozumiem, co się tu dzieje, ale zaczynam podejrzewać, że istnieją dwie tajemnice: tajemnica tego, co się rozgrywa w pałacu, i tego, co wrze w mojej głowie, a najdziwniejsze w tym wszystkim jest to, że owe dwie tajemnice są w jakiś sposób połączone... A może uznałaś teraz, że oprócz tego, że niemoralny, jestem też kompletnie szurnięty?

Loretta nie pospieszyła z natychmiastowym zapewnieniem, jakby to uczyniła kobieta mniejszego formatu. Nie zrobiła też złośliwej uwagi na temat Lyle. Odpowiedziała dopiero po chwili namysłu.

- Nie, nie sądzę, żebyś był szurnięty. Ani z gruntu niemoralny. Ale myślę, że możesz być bardzo zagubiony.

- To zbyt łagodny osąd...

- Nie zależy mi na łagodności, ale na ścisłości mojego osądu. Charles, jesteś pewien, że kochasz tę dziewczynę? Jeśli ktoś jest zagubiony, często trudno mu oddzielić prawdę od kłamstwa, a, moim zdaniem, to natychmiastowe oczarowanie Lyle świadczy, że musi w tym się kryć pewna doza złudzeń.

- Jestem przekonany o prawdziwości swoich uczuć.

- Tak, ale... Dobrze, zostawmy Lyle i zajmijmy się Alexem, bo z tym wyraźnie masz problemy. Twoje zainteresowanie jego przeszłością graniczy z obsesją, jakbyś uważał go za symbol pełen ukrytych znaczeń...

- Co, u licha, masz na myśli?
 - Chciałabym wiedzieć. Czuję, że poruszam się po omacku, ale, Charles, jestem pewna, że powinieneś o tym porozmawiać z kimś znacznie bardziej kompetentnym niż ja, kto by ci pomógł to rozwiązać. Masz doradcę, do którego mógłbyś się udać? Księża zwykle mają kogoś takiego, prawda? Jak to się określa: spowiedników, doradców, kierowników...
 - Chodzę do opata fordytów w Grantchester, niedaleko Cambridge. To anglikańscy benedyktyni, zakonnicy, ale nie katolicy, należą do Kościoła anglikańskiego.
 - Świetnie. Pojedź do swojego opata i opowiedz mu o wszystkim.
 - Może powinienem sobie zrobić krótkie rekolekcje.
- Przyszło mi to do głowy, ale na myśl o ćwiczeniach duchowych, do których należała też spowiedź, przebiegł mnie dreszcz i nie pozostało mi nic innego, jak ponownie ukryć twarz na piersi Loretty. Kiedy jednak uświadomiłem sobie, że od koszmaru myślenia o spowiedzi mogę się uwolnić jedynie próbując rozwikłać zagadkę Starbridge, uniosłem głowę i podparłem się na łokciu.
- A twoim zdaniem - spytałem - co się dzieje w tym trójkącie?
 - Moim zdaniem absolutnie nic, sądzę, że twoje pierwsze wrażenie było słuszne. Lyle powstrzymuje małżeństwo przed rozpadem, a przez swoją obecność zaspokaja różne potrzeby każdego z nich trojga: ona ma władzę, Carrie namiastkę córki, Alex sprawnie prowadzi dom.
 - Zgadza się, że to jedyna rozsądna odpowiedź, ale atmosfera, która tam panuje, zupełnie ją wyklucza, takie są fakty. Jestem pewien, że coś się dzieje między Lyle a Jardinem, choć teraz, gdy potwierdziłaś moje przekonanie, że biskup nigdy na dłuższą metę nie żyłby w nieprawym związku, zupełnie nie pojmuję, jakim cudem mogliby mieć romans.
 - Dobra - oświadczyła dziarsko Loretta, wstając. - Spróbujmy raz na zawsze rozwiązać część twoich podejrzeń, dopuszczając na chwilę różne ewentualności. Ewentualność pierwsza: Lyle kocha się w Carrie.

- Nie ma mowy.
- Na pewno? Bardzo kobiece, słabe niewiasty takie jak Carrie często kończą w związkach lesbijskich i powinieneś pamiętać, że zawsze istnieje prawdopodobieństwo, że twoje uczucia względem Lyle są złudzeniem.
- Tak, ale...
- Największym argumentem przeciwko istnieniu związku lesbijskiego - podjęła Loretta, stając po mojej stronie zanim zdołałem szerzej rozwinąć ten wątek - jest to, że nie potrafię sobie wyobrazić, by Alex coś takiego tolerował. Myślę, że możemy założyć, że, cokolwiek by się działo w pałacu w Starbridge, musi to jakoś satysfakcjonować całą trójkę. Dobrze, przejdźmy do ewentualności numer dwa: Lyle kocha do szaleństwa Alexa, ale on jej wcale; całkowicie panuje nad sytuacją i między nimi nigdy do niczego nie doszło.
- Nie potrafię sobie wyobrazić żadnego duchownego przy zdrowych zmysłach, który mieszkałby pod jednym dachem z zakochaną w sobie kobietą - odparłem. - Taka sytuacja niesie z sobą zbyt wielkie niebezpieczeństwo. Natychmiast by jej się pozbył.
- Zakładając jednak, że nie był przy zdrowych zmysłach? To ewentualność numer trzy. Załóżmy, że Alex kocha się w Lyle, ale wymogi religii sprawiają, że się trzyma od niej z daleka.
- Z punktu widzenia duchownego, to byłoby jeszcze gorsze niż poprzednia sytuacja: nieustanne ocieranie się o taką pokusę zniszczyłoby jego zdrowie duchowe.
- Tak więc pozostaje ostatnia ewentualność: Alex oszalał, zapomniał o wszelkich skrupułach i wdał się w jak najbardziej skonsumowany związek z Lyle.
- A to - dokończyłem - jest niemożliwe z dwóch powodów. Po pierwsze jestem pewien, że pani Jardine za nic nie pogodziłaby się z taką sytuacją, po drugie zaś w takiej sytuacji Alex nie mógłby dalej być biskupem, chyba że stał się apostatą - a oboje uważamy, że nie.
- Przyznaję, że nieustannie potykamy się o tę ostatnią trudność - odparła Loretta - ale sądzę, że mogę sobie wyobrazić sytuację,

kiedy Carrie by się na coś takiego zgodziła. Wedle tego, co mówiła Evelyn, Alex i Carrie nigdy nie stracili nadziei na dziecko - nadziei, która każdemu z nich dostarczała bardzo silnego bodźca do prowadzenia życia seksualnego. Załóżmy jednak, że przeszedłszy klimakterium Carrie straciła ochotę na seks, ponieważ stał się on bezużyteczny. To się zdarza dość często i wtedy zwykle małżeństwo przechodzi kryzys. Właśnie w takich momentach mąż - jeśli nie jest duchownym - bierze kochankę, a żona patrzy na to przez palce. Wpatrywałem się w nią szeroko otwartymi oczami.

- Zdaje się, że trafiłaś w sedno. Myślę, że to właśnie się stało. Z jakiegoś stwierdzenia pani Cobden-Smith wydedukowałem, że pani Jardine przechodziła klimakterium pięć lat temu i właśnie wtedy po raz kolejny znalazła się na skraju załamania nerwowego.

- Przecież jego przyczyną było pojawienie się niedołożnej macochy!

- Tak, ale jeśli założyć, że kryzys spowodowało coś więcej... Jardine powiedział, że wtedy po raz ostami zanotował w dzienniku swoje rozterki. I przyznał, że musiał podjąć ważną decyzję. Załóżmy, że próbował podjąć decyzję na tak bądź nie...

- Zgadzam się, że to dość przekonujące. Jeśli do czegoś doszło, to właśnie wtedy, ale prawdziwe pytanie brzmi: czy w ogóle doszło? A jeśli tak, to w jaki sposób Alex uporał się w wyrzutami sumienia?

- To właśnie zamierzam odkryć. Muszę odkryć, po prostu muszę...

- Wiem i to mnie niepokoi. Charles, to stało się dla ciebie istną obsesją...

- Jak może być inaczej, skoro chcę się ożenić z Lyle?

- Tak, ale... Dobra, spróbujmy jeszcze raz ustawić całą tę sytuację w jakiejś rozsądnej perspektywie. Prawda wygląda tak, że nie wiesz, czy kochasz się w Lyle, czy też nie. Ty jednak uważasz, że tak i to sprawia, że stałeś się nadmiernie przewrażliwiony na punkcie owego tajemniczego trójkąta. Najprawdopodobniejszym wyjaśnieniem jest, że nic tam się nie dzieje, ty jednak, ponieważ nie odbierasz rzeczywistości właściwie, coraz bardziej pograżasz się w złudzeniach, podtrzymując teorię, która wyjaśni oziębłość Lyle bez uszczerbku

dla twojego ego. Innymi słowy, podświadomie mówisz sobie: ona i Jardine mają romans i dlatego Lyle nie odpowiada na moje zaloty. Moim zdaniem powinieneś jednak wziąć pod uwagę, że dopisujesz ukryte znaczenia do niewinnych zachowań i w ten sposób sam siebie doprowadziłeś do przekonania, że w pałacu dzieje się coś groźnego. Co więcej, uważam, że w całej tej sprawie chodzi nie tyle o to, co się dzieje w owym trójkącie, ale co się kłębi w twojej podświadomości. Powiedz mi na przykład, skąd taka pewność, że Lyle jest stworzona dla ciebie?

- Ona potrafiłaby sobie poradzić ze wszystkim.

- Ależ to zabrzmiało jak słowa szaleńca, który potrzebuje strażnika!

- Naprawdę? - Znowu wziąłem ją w ramiona. - Jeszcze raz - poprosiłem. - Ten jeden, ostami raz. Rozchyliła nogi i delikatnie poprowadziła mnie w siebie.

v

Świadomość, że to być może ostatnia na nie wiadomo jak długo okazja zaspokojenia seksualnego, sprawiła, że stałem się natarczywy i dałem fizyczny wyraz mej desperacji. Moją rozpacz pogłębiło wyczerpanie i szybko poczułem, że tracę siły. Loretta ruszyła mi z pomocą, lecz moje ciało już pulsowało i po paru sekundach opadłem na paprocie, zamykając oczy przed światłem.

Zasnąłem. Nagle przebudziłem się gwałtownie, jak to się często zdarza po krótkim, głębokim śnie, usiadłem i powiedziałem:

- Jane.

Loretta ucałowała mnie w policzek. Ze zmieszaniem dostrzegłem, że jest ubrana.

- Spałem - powiedziałem oszołomiony.

- Tylko dziesięć minut. Pomyślałam, że ci się przyda... Kto to jest Jane?

- Moja żona.

Niespodziewanie, bez powodu do oczu napłynęły mi łzy i, przerażony kolejnym dowodem, że znalazłem się na skraju rozpadu, złapałem podanego mi przez Lorette, zapalonego papierosa i odwróciłem się do niej plecami.

- Udowodniłem, że Jardine'owi mógł się przydarzyć pojedynczy upadek - odezwałem się, kiedy skończyłem się ubierać. - Teraz muszę dowieść, że był zdolny do stałego życia w nieprawym związku.

Gdybym tylko wiedział, czy przed ślubem spał z tą swoją macochą...

- Jestem pewna, że nie. Słuchaj, Charles, musisz, po prostu musisz zacząć patrzeć na tę sprawę w odpowiedniej perspektywie, nie ulegać swej obsesji...

- Przypuszczam, że wstrzymywał się przed odebraniem ojcu żony. W końcu, choć nie było między nimi więzi krwi, zalegalizowany związek rodzi pokrewieństwo uniemożliwiające zawarcie małżeństwa...

- Tak, ale ich to przecież nie dotyczyło, prawda? - powiedziała Loretta, wyjmując z torebki okulary. Wpatrywałem się w nią zdumiony.

- Co masz na myśli? Popatrzyła na mnie.

- Dobry Boże! - zawołała. - Nie mów, że tego nie odkryłeś!

- Czego?

- Ojciec Alexa nigdy się z nią nie ożenił, Charles. Przez dwadzieścia pięć lat żyła jako jego kochanka. Między Alexem a Ingrid Jardine nie istniały ani więzy krwi, ani żaden stosunek prawny.

VI

Alex powiedział kiedyś o tym mnie i Evelyn - wyjaśniła Loretta. - Bez większego powodzenia próbował wprowadzić lepsze stosunki między Carrie i jego machochą, nie wiedział już, co zrobić, dlatego

nam się zwierzył. Carrie argumentowała, że nie ma obowiązku przyjmować u siebie kogoś, kto dwadzieścia pięć lat żył w grzechu.

- Ale przecież ojciec Alexa był religijnym fanatykiem? Czemu więc się z nią nie ożenił?

- Nienawidził zewnętrznych rytuałów religijnych i nienawidził księży, więc oszukiwał sam siebie wmawiając sobie, że aby wziąć ślub przed Bogiem, nie potrzebuje duchownego, który odczyta nad nim formułkę. Matkę Alexa musiał poślubić w kościele - pochodziła z bardzo szanowanej rodziny, ale Ingrid była panią siebie i najwyraźniej godziła się z jego dziwactwami, podejrzewam, że istniał między nimi bardzo silny pociąg seksualny. Tak czy owak, stary Jardine którejś nocy wezwał machochę Alexa do swojej sypialni i po tym, jak odmówili kilka modlitw i wymienili jakieś ślubowanie, włożył jej na palec sygnet, wziął do łóżka i skonsumowali to, co on określał mianem swego kolejnego małżeństwa.

- Czekał - przerwałem jej. - Czekał. - Serce dudniło mi jak młotem. - Chwileczkę.

- Boże, co ci, Charles? Jesteś biały jak kreda!

- Powiedziałaś: sygnet?

- Tak, może uważał, że tradycyjna obrączka jest równie niepotrzebna jak kapłan recytujący słowa przysięgi. A może małżeństwo było nie zaplanowane i wykorzystał pierwszy lepszy pierścień, który mu się nawinął pod rękę... Charles, u licha, co ci jest? Co się stało?

- Lyle nosi duży sygnet na serdecznym palcu lewej ręki - odpowiedziałem.

VII

Nie - odezwała się po chwili Loretta. - Wiem, o czym myślisz, ale to niemożliwe.

- To jedyne wytłumaczenie, które tu pasuje. Jardine ożenił się z Lyle nieformalnie, przed Bogiem i teraz uważają się wzajemnie za

męża i żonę. Wierzą, że nie żyją w grzechu, co oznacza, że mogą nadal regularnie przyjmować komunię.

- Nie. - Loretta potrząsnęła głową. - To musi być wymysł. Stary Jardine był niewykształcony, nie zdawał sobie sprawy z tego co robi, ale Alex wiedziałyby, że takie małżeństwo jest nieważne. A zresztą, niech to diabli!, przecież nadal ma żonę!

- Najwyraźniej zanim sobie wmówił, że może pobrać się nieformalnie, uprzednio nieformalnie udzielił sobie rozwodu. Słyszałaś o kodeksie Alana Patricka Herberta? Parlament zamierza zmienić prawo rozwodowe na liberalniejsze, sądzę jednak, że poglądy Jardine'a są jeszcze bardziej radykalne. Jego zdaniem *prima jacie* powód do rozwodu istnieje, jeśli zostanie uszkodzona wewnętrzna struktura małżeństwa. Co więcej, powiedziałbym nawet, że idzie ramię w ramię z Marcinem Lutrem, który uważał odmówienie spełniania obowiązków małżeńskich za podstawę do rozwodu. Gdyby pani Jardine nie zgadzała się na współżycie...

- Charles, krążysz po jakichś orbitach! Na miłość boską, obudź się i wracaj na ziemię!

- Ale ja wiem, że mam rację!

- A ja wiem, że się mylisz! Alex nie mógłby się wpakować w takie bagno...

- Czy to nie ty sama powiedziałaś, że w sprawach seksu wszystko jest możliwe?

- Postradałaś zmysły! - krzyknęła Loretta, ale natychmiast dodała spokojniejszym tonem: - Dobrze, rozumiem, że twoja teoria ma pozory prawdopodobieństwa, ale postaraj się nie tracić z oczu jednego faktu: nie ma na nią dowodów.

- Wkrótce będą: muszę tylko wrócić do Starbridge i porozmawiać z Lyle!

- Ale nawet jeśli twoja teoria jest prawdziwa, Lyle nigdy się do tego nie przyzna!

- O, tak, przyzna się. Ja ją ocale.

- Charles, bujasz w obłokach. Jeśli twoja teoria jest prawdziwa - a nawet przez chwilę nie przypuszczam, żeby była - dziewczyna

musi być po uszy zakochana w Alexie. Twierdzą tak, bo tylko ktoś do szaleństwa zakochany zgodzi się na upokorzenie potajemnego związku.

- Według mnie jego małżeństwo się rozpada.

- Och, Boże... Słuchaj, Charles, zanim popędzisz do Starbridge i zrobisz z siebie jakieś koszmarne widowisko, proszę, błagam, pojedź do tego swojego opata...

- Och, zgadzam się, że najpierw muszę do niego pojechać. Nie mogę służyć Bogu, dopóki się nie wypowiadam. Dziś wieczorem wrócę do Cambridge, a jutro rano udam się do ojców fordytów.

- Obiecujesz?

Obiecałem. Ulżyło jej, i biorąc ją w ramiona, tuliłem przez dłuższą chwilę.

- Charles - odezwała się w końcu - wiem, że nie możemy się więcej spotkać; wiem, że musisz ułożyć swoje sprawy z Bogiem, obiecując, że dzisiejsze popołudnie już się nie powtórzy, ale czy mógłbyś do mnie napisać? Choć raz. Inaczej oszaleję, zamartwiając się, jak ostatecznie się to wszystko skończyło.

- Napiszę.

Opuściliśmy lasek. Droga powrotna do mostu wydawała się bardzo długa. Szliśmy w milczeniu. Ja planowałem kolejny zamach na Starbridge, Loretta niewątpliwie zastanawiała się, jak mnie przekonać o daremności moich zamierzeń. Kiedy widać już było samochód, przemówiła:

- Tutaj Alex się załamał, to było straszne. Powtarzał, że chciał porzucić żonę, ale wiedział, że nie przeżyłby oddzielenia od Boga, które by ten grzech spowodował. I właśnie wtedy powiedział: „Nie chcę skończyć jak ojciec”. Charles, po prostu jestem pewna, że nigdy nie ruszyłby w ślady swojego ojca...

- Zgodzę się, że nigdy by nie skończył jako duchowy wrak i chory na umyśle, ale do jakiego stopnia można zapanować nad swoim dziedzictwem? Oczywiście, z bożą pomocą wszystko jest możliwe, ale jeśli odwróci się od Boga...

- Nie sędę, żeby Alex mógł odwrócić się od Freuda. Tak w psychice, jak i w duszy ma zakorzeniony lęk przed niemoralnością.
- Ależ właśnie dlatego czuł się upoważniony do zrobienia ze zdrady małżeństwa!
- Poddaję się. Pozostańmy zgodni w jednym: że się nie zgadzamy - stwierdziła Loretta, całując mnie, gdy doszliśmy do samochodu. Kiedy jednak otworzyliśmy drzwiczki, okazało się, że wewnątrz panuje taki upał, że nie kusiło nas do dalszych pieszczot i niechętnie ruszyliśmy w drogę powrotną do Starmouth Court.

VIII

Przed domem nasze dłonie się spotkały i uścisnęły.

- Nigdy nie sędź, że nie rozumiem, jak trudne jest twoje powołanie - odezwała się nagle Loretta. - Nigdy nie sędź, że uważam cię za złego księdza, bo raz nie udało ci się żyć zgodnie ze swymi ideałami. - Zawiodłem cię.
- Nie - upierała się. - Ty marzysz. Tylko to się liczy. Choć niestety w niedoskonałym świecie nie każde marzenie musi się spełnić.
- Jakież przyjemne musi być życie takiego łagodnego, wyrozumiałego deisty! Jednak chrześcijaństwo jest znacznie twardsze i bezwzględne. Zaniedbałem troski o twoją duszę i wykorzystałem cię do zaspokojenia swoich egoistycznych potrzeb. To grzech. Upadek. Ale ona nadal starała się mnie pocieszyć.
- To ty zostałeś zraniony. Ja wykorzystałam cię dokładnie tak samo, jak ty mnie.
- To nie było wykorzystanie. To, co robiłaś, było wołaniem o pomoc, szukaniem kresu samotności, samotności, której ja w żaden sposób nie ulżyłem. Zobaczyłem, jak zmienił się jej wyraz twarzy, gdy pojęła, że dostrzegłem o wiele więcej niż zamierzała okazać, ale nie potrafiłem się powstrzymać od ostatniego zdania:

- Psychoanalityk ci pomógł. Chrześcijański duchowny cię odrzucił Co za parodia, co za niewybaczalne upokorzenie! Nie tak powinno to wyglądać!

Przez moment sądziłem, że nie znajdzie odpowiedzi, ale wreszcie wykrztusiła:

- To taki piękny sen!

Wydostała się jakoś z samochodu i wbiegła do domu, nie oglądając się wstecz. ^J

Ruszyłem ciemną, krętą drogą w dół.

IX

Do Cambridge dotarłem późno w nocy i bardzo zmęczony Po kąpieli wypłem trochę whisky i wślizgnąłem się do łóżka

Nie odmówiłem nieszporów. Nawet nie próbowałem się modlić Przez dłuższy czas leżałem nieruchomo, jak bym mógł utrzymać równowagę mojej duchowej próżni, udając nieprzytomnego Kiedy jednak poczułem, że próżnia się pogłębia, wstałem z łóżka i nalałem sobie kolejną porcję whisky. Przerażony skupiłem się na zagadce Starbridge, która tak doskonale odwracała myśli od moich własnych problemów i później - dochodziła pierwsza w nocy - zaczęło do mnie docierać, że zanim się wypowiadam ojcu Reid, muszę wyjaśnić tajemnicę Starbridge.

Obiecałem jednak Loretcie, że przed powrotem do Starbridge udam się do klasztoru, i muszę obietnicy dotrzymać. Wypłem jeszcze trochę whisky.

W końcu postanowiłem, że odwiedzę ojca Reida, ale tylko po to żeby umówić się na rekolekcje pod koniec tygodnia. Wtedy będę mógł wrócić do Starbridge, a kiedy już zagadka zostanie rozwiązana skupię się na przywróceniu ładu w mojej duszy na poranne niedzielne nabożeństwo w katedrze.

Szcześliwe zakończenie.

Wychyliłem kolejną whisky, jakbym potrzebował pomocy, nim

uwierzę, że takie szczęście jest w zasięgu ręki i stopniowo, w miarę jak myślałem o Starbridge, słonecznym, radosnym Starbridge, tym świetlistym mieście, które dzierżyło klucze wszystkich moich sekretów, wiedziałem, jak bardzo muszę rozedrzeć lśniące zasłony, by stanąć twarzą w twarz z mrocznymi prawdami, za nimi ukrytymi. Wtedy oczami wyobraźni zobaczyłem Jardine'a, nie Adama, który ukrywał się za Alexem, ale biskupa, obdarzonego charyzmatami, skrzącego się sługę Kościoła, dokładnie takiego, jakim ja pragnąłem zostać, ale oczywiście, to ja byłem Jardinem, teraz to rozumiałem i właśnie dlatego musiałem się z nim jak najszybciej spotkać.

- Muszę porozmawiać z Jardine'em - odezwałem się na głos do butelki po whisky i odwróciłem ją do góry dnem, żeby strząsnąć ostatnie krople do szklanki. - On mnie rozumie. Nikt inny, tylko on. I ledwo wypowiedziałem te słowa, zdałem sobie sprawę, że nigdy nie potrafiłbym wyznać tego wszystkiego ojcu Reidowi. Widzenie z ojcem Reidem to czysta strata czasu, ale obiecałem Loretcie, a jak przystało na dobrego kapłana, nigdy nie łamię danego słowa. Przed wyjazdem do Starbridge złożyłem ojcu Reidowi krótką, kurtuazyjną wizytę, bo jestem takim świetnym księdzem, tak ze wszech miar udanym i mój ojciec jest ze mnie taki dumny i tak, oczywiście, że odwiedzę ojca Reida, koniec, kropka.

W imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego. Amen.

x

Następnego ranka wziąłem kilka aspiryn, zaparzyłem mocną kawę i zmusiłem się do odmówienia jutrzni. Postanowiłem, że jednak się nie załamie. Atak paniki pogłębiło nieroztropne nadużycie whisky, ale teraz odzyskałem równowagę i wszystko będzie dobrze.

Pojechałem do Grantchester, miasteczka niedaleko Cambridge, gdzie ojcowie fordyci mieli swój dom. Ostatecznie przesądziłem, że spędzę czas z ojcem Reidem, opowiadając mu o manuskrypcie

świętego Anzelma; nadal zamierzałem się umówić na rekolekcje, ale teraz, na trzeźwo, byłem jeszcze bardziej zdecydowany, że wyspowiadać mogę się jedynie Jardine'owi.

Tak trudno mi przychodziło stawić czoło bolesnej rzeczywistości, w jaką się uwikłałem, że dopiero w połowie drogi do Grantchester uświadomiłem sobie oczywistą przeszkodę, uniemożliwiającą wykonanie mojego planu. Jardine uzna z pewnością, że nasze drogi tak się splątały, że całkowicie dyskwalifikuje go to jako mojego spowiednika. Rzeczywiście, jeśli uważa się za męża Lyle, nie za bardzo mógłby udzielić mi duchowych wskazań.

Doszedłszy do tego punktu moich rozważań, tak się zagubiłem, że musiałem przystanąć. Uważałem, że o Lorecie mogę porozmawiać wyłącznie z Jardinem, ponieważ wydawało mi się, że tylko ktoś, kto popełnił dokładnie ten sam błąd, może się zdobyć na dość zrozumienia i współczucia, by udzielić mi rozgrzeszenia. Na wspomnienie Loretty przeszył mnie dreszcz i ten niewielki odruch, nad którym mój umysł nie zapanował, natychmiast podkreślił prawdziwą naturę moich problemów. Pozbawiony skutecznego przewodnictwa duchowego, postawiony wobec rzeczywistości złamania celibatu, mając świadomość czasowego oddzielenia od Boga, zostałem przyparty do duchowego muru. Znowu ogarnęła mnie panika, ale przewyciężyłem ją, bombardując umysł obrazami ze Starbridge. Lyle, Jardine, Carrie - Jardine, Carrie, Lyle - Carrie, Lyle, Jardine...

Ruszyłem do Grantchester, dotarłem do domu zakonnego i przejechałem przez bramę.

XI

Zakon fordytów świętych Benedykta i Bernarda został założony w ubiegłym wieku, kiedy stary oszust, nazwiskiem Ford, który zrobił fortunę na handlu niewolnikami, pod wpływem nauk Johna Henry'ego Newmana przeżył nawrócenie na anglokatolicyzm. Na krótko przed tym, jak Newman przeszedł na łono Kościoła katolickiego, Ford

umarł, zostawiając wszystko Kościołowi anglikańskiemu, aby ten utworzył zakon. Rozjuszona wdowa odzyskała po pewnym czasie część posiadłości, ale fordyci zaczęli swoją działalność jako bogaty zakon, a dzięki ostrożnemu zarządzaniu majątkiem, wspólnota stała się jeszcze bogatsza. To sprawiło, że zakon ten wyróżniał się w Kościele anglikańskim, gdzie nieraz już podejmowano próby powrotu do życia monastycznego, próby, które rozbijały się o brak środków finansowych. Zakon miał cztery domy, wszystkim kolejni przychylni prymasowie przyznawali status opactwa, choć w regule - z wyjątkiem szkoły dla chłopców, gdzie „opactwo” zachowano, by wyrzucić na rodzicach większe wrażenie - nie używano tego określenia, ponieważ fordyci chętnie podkreślali swoją niezależność od zakonów katolickich i uważali, że słowo to przywołuje niefortunne skojarzenia z religijnym klimatem Anglii sprzed reformacji. Rzeczywiście, choć fordyci żyli zgodnie z regułą świętego Benedykta, ich angielska idiosynkrazja oddzielała ich od tradycyjnych wspólnot benedyktyńskich. Nie używano też tytułu ojciec przełożony, osoby spoza zakonu zachęcane, by do wyświęconych mnichów zwracali się tak samo jak do świeckich duchownych anglikatolickich i, z wyjątkiem londyńskiego domu głównego, gdzie przełożony generalny żył niepokojąco wystawnie, we wspólnotach prowadzono życie skromne i bez zadęcia. Główna siedziba zakonu mieściła się w dawnym londyńskim mieszkaniu Forda, szkoła Opactwo Starwater znajdowała się w jego wiejskiej rezydencji, majątek Ruydale zaś w hrabstwie Yorku stanowił część jego licznych posiadłości kupionych jako inwestycje. Dom w Grantchester nabyto długo po śmierci fundatora, żeby prowadzić w nim rekolekcje dla studentów teologii, i przebywałem tam często tak przed, jak i po święceniach. Dom wraz z pięcioakrowym gospodarstwem, na którym mnisi uprawiali warzywa i hodowali pszczoły, był położony na skraju miasta, które stało się sławne dzięki wierszowi Ruperta Brooke'a. Miód fordytów, którym tak zachwycił się poeta, cieszył się dużym popytem wśród turystów w Cambridge. Tego ranka, gdy nacisnąłem dzwonek, drzwi otworzyły się tak

szybko, że podskoczyłem. Natychmiast odniosłem wrażenie, że w domu wiele zmieniło się na lepsze, a wrażenie to pogłębił fakt, że młody furtian był wyjątkowo czysto i schludnie odziany. Habit fordytów, który przypomina nieco habit trapistów, podkreślał charakter zakonu; wierzchnia tunika jest czarna, bez rękawów, spodnia biała z długimi rękawami, które nieustannie się brudziły. Jednak rękawy habitu furtiana lśniły nieskazitelną bielą, niczym reklama jakiegoś nowego proszku, zaś niewielki, mosiężny krucyfiks zawieszony na rzemieniu świecił pełnym blaskiem.

- Dzień dobry! - odezwał się pogodnie, niczym uosobienie zadowolonego z życia celibatariusza. -
Czym mogę służyć?

Nie sposób było nie odpowiedzieć uśmiechem.

- Jestem doktor Ashworth z college'u Lauda - przedstawiłem się.

- Chciałbym się spotkać z ojcem Reidem, o ile może mi poświęcić chwilkę.

Zakonnik natychmiast spoważniał.

- Obawiam się, że muszę księdzu przekazać smutną wiadomość: opat zmarł tydzień temu i został pochowany w piątek.

Poczułem się niezręcznie, nie tylko dlatego, że moje plany uległy zmianie, ale również dlatego, że na tyle lubiłem ojca Reida, by ogarnął mnie chwilowy smutek, że już się nie spotkamy.

- Tak mi przykro - wydusiłem wreszcie. - Będzie mi go brakować. Był moim kierownikiem duchowym.

Próbowałem zebrać myśli. Oczywiście, jako kanonik przy katedrze miałem obowiązek spotkać się z nowym opatem, złożyć wyrazy współczucia i życzenia powodzenia na przyszłość.

- W takim razie może mógłbym się spotkać z ojcem Andrews?

- zahaczyłem, pytając o zakonnika, który, jak przypuszczałem, zajął miejsce ojca Reida.

- Przykro mi, proszę księdza, ale ojciec został przeniesiony do Londynu.

Tym razem z twarzy młodego furtiana nie dawało się niczego odczytać i nagle wyczułem, że za tymi zamkniętymi drzwiami wspólnoty zakonnej doszło do poważnych zmian. Przypominając

sobie pierwsze wrażenie zmian na lepsze, pomyślałem, że nowa miotła zrobiła tutaj naprawdę solidne porządki.

- W takim razie, skoro ojciec Reid nie żyje, a ojciec Andrews został przeniesiony, to kto teraz sprawuje władzę?

- Generał wyznaczył kogoś spoza naszej wspólnoty: ojca Jonathana Darrow z naszego domu w Yorku. Szeroko otworzył drzwi.

- Proszę, niech ksiądz wejdzie, doktorze Ashworth. Nasz nowy opat pragnie spotkać się z każdym, kto pozostawał pod kierownictwem ojca Reida, i jestem pewien, że od razu księdza przyjmie.

To załatwiało sprawę.

Przekroczyłem próg i choć wtedy jeszcze tego nie wiedziałem, przeszedłem swój osobisty Rubikon.

Lada chwila miałem poznać swojego egzorcystę.

Rozdział dziesiąty

„Do moich najbardziej kłopotliwych i przygnębiających obowiązków jako biskupa należy kontakt z duchownym, który popadł w prawdziwą nieczystość”.

Letters of Herbert Hensley Henson, zebr. E. F. Braley

I

Siedziałem w rozmównicy: dużym, nieciekawym pokoju, w którym znajdował się stół i sporo krzeseł. Nad kominkiem wisiał krzyż, ale poza tym ściany były puste. W drzwi wstawiono szybę, tak aby można było obserwować zakonnika, gdyby odwiedziła go kobieta.

Było już po mszy, która kończyła poranne nabożeństwa, i wiedziałem, że aż do południowej modlitwy mnisi zajmują się swoimi sprawami. W domu panowała cisza. Reguła nie nakazuje fordytom milczenia, ale, z wyjątkiem sobotniej, kilkugodzinnej rekreacji, rozmowy nie są mile widziane.

Minęły trzy minuty. W myślach układałem kondolencje i nadal szukałem najzgrabniejszej formułki, kiedy w hallu rozległo się echo pospiesznych kroków i nowy opat wszedł pewnie do rozmównicy.

Okazał się bardzo wysoki, wyższy nawet ode mnie, o zgrabnej, choć potężnej sylwetce. Szpakowate włosy miał bardzo krótko przystrzyżone, stalowoszare oczy - byłem pewien - dostrzegały

wszystko, co należało zobaczyć, wyraziście zaś, przykuwające wzrok rysy twarzy robiły wrażenie, choć równocześnie onieśmielały surowością. Jak na ironię bogato zdobiony krzyż na piersi i masywny pierścień, które symbolizowały jego władzę, raczej podkreślały niż łagodziły ową surowość. W Kościele anglikańskim opata uważano zwykle za równego rangą biskupowi i choć biskup zobowiązany był do objęcia opieką duszpasterską każdego zakonnika w swej diecezji, obowiązek spadający na niego wraz z nominacją na „wizytatora” klasztoru, sam opat fordytów odpowiadał wyłącznie przed swoim przełożonym generalnym w Londynie i arcybiskupem.

- Doktor Ashworth? - spytał nieznajomy, stając w progu i dodał tonem, jakiego mógłby użyć przewodniczący zarządu do młodego dyrektora, który go zainteresował: - Dzień dobry. Jestem Jon Darrow, nowy opat.

Jakoś udało mu się połączyć oficjalny ton z bezpośredniością. Zdumiało mnie użycie zdrobnienia, uznałem, że wstępując do zakonu, nie zmienił imienia. Od zakonników oczekiwano, że będą przyjmować nowe imiona na znak rozpoczęcia nowego życia w służbie Bogu, ale fordyci zostawiali w tej kwestii dowolność.

Opat zamknął drzwi i podaliśmy sobie ręce. Jego uścisk był mocny, krótki i zdecydowany, mój ostrożny, niepewny, może nawet niespokojny.

- Ogromnie mi przykro, że nie poinformowano księdza o śmierci ojca Reida - przemówił - ale, niestety, nie miał listy osób, które pozostawały pod jego kierownictwem, nie mogłem więc do księdza napisać.

W jego ustach brak takiej listy brzmiał jak dowód niewybaczalnie kulejącej administracji i zacząłem się zastanawiać, czy przypadkiem ojciec Darrow nie służył kiedyś w armii. Unosząca się wokół niego atmosfera nasuwała na myśl wymagającego oficera; rozpoczynając moje wcześniej przygotowane *exposé*, mimowolnie przypomniałem sobie błyszczący krzyż młodego furtiana.

- Byłem bardzo zaskoczony i ogromnie zasmucony na wieść

O śmierci ojca Reida... To musiał być prawdziwy szok dla wszystkich braci...

- Tak, rzeczywiście - odparł ojciec Darrow, szybko ucinając moje nieprzekonywające kondolencje. - Wspólnota darzyła go szczerym uczuciem i będzie nam go bardzo brakować.

Tak uporaliśmy się z ojcem Reidem.

- Rozumiem, że został ojciec sprowadzony z zewnątrz. Czy to nie dziwne? - odezwałem się niepewnie, próbując zbadać grunt. - Wydawało mi się, że wspólnota zwykle wybiera opata ze swojego grona.

- Tak, to rzeczywiście wyjątkowa sytuacja i interesujące wyzwanie tak dla mnie, jak i moich braci z Grantchester.

W ten oto sposób - równie oschle jak poprzednio - uporaliśmy się z niezwykłą nominacją.

- Proszę, niech ksiądz spocznie, doktorze Ashworth. Domyślam się, że przyjechał ksiądz do ojca Reida w jakichś sprawach duchowych?

Ciągle nie opuszczała mnie niepewność. Zawahałem się.

- Pozwoli ksiądz, że mu się bliżej przedstawię - podjął Darrow, siadając za stołem, naprzeciwko mnie.

- Myślę, że często trudno jest się spowiadać komuś nowemu i nie znanemu. W końcu kierownicy duchowi to nie worek ziemniaków, który można kupić w sklepie za rogiem. Mam pięćdziesiąt siedem lat i wstąpiłem do zakonu w wieku czterdziestu trzech. Przedtem pracowałem jako kapelan w więzieniu, a jeszcze wcześniej jako kapelan w marynarce wojennej, w której zresztą, tak się złożyło, służyłem w czasie wojny. Stopień naukowy z teologii otrzymałem w college[^] Laud. W małżeństwie przeżyłem dziewięć lat, mam syna

1 córkę, teraz już dorosłych. - Umilkł. - To, obawiam się, bardzo szkicowy życiorys, ale mam nadzieję, że co nieco księdzu wyjaśnił.

Rzeczywiście, wyjaśnił. Były kapelan w marynarce wojennej, który wiedział, że wszystko sprowadza się do seksu, a co więcej,

sam spłodził dwójkę dzieci, mógł zająć miejsce Jardine'a. Do tego jeszcze świadomość, że jestem przyparty do duchowego muru. Wszystko to sprawiło, że powiedziałem ostrożnie:

- Dziękuję ojcu. To rzeczywiście znacznie pomogło. Przepraszam, że tak się wahałem. Przyjechałem tu dziś w nadziei, że uda mi się umówić na rekolekcje - mówiłem, próbując, z jako takim skutkiem, wrócić do swego zwykłego, pewnego siebie zachowania. - Pomyślałem, że mógłbym wrócić w piątek, porozmawiać z ojcem - oczywiście, kiedy ojciec znalazłby dla mnie czas - i się wyspowiadać.

Następnie chciałbym spędzić jakiś czas na modlitwie i medytacji pod ojca kierownictwem, wreszcie wyjechać w niedzielę rano, żeby zdążyć na nabożeństwo w katedrze.

Ojciec Darrow przeszywał mnie spojrzeniem swoich bardzo jasnych, szarych oczu. Nerwy mnie zawiodły.

- Cóż, nie będę już ojcu zabierał cennego czasu - powiedziałem szybko, podnosząc się z krzesła. - Jeśli moje plany ojcu odpowiadają...

- Niech ksiądz usiądzie, doktorze Ashworth. Opadłem na miejsce.

- Kiedy ostatni raz ksiądz się spowiadał?

Oczywiście było to normalne pytanie w takiej sytuacji, ale wcale nie oznaczało, że łatwiej mi przyszło na nie odpowiedzieć. Pomyślałem jednak, że przy odrobinie szczęścia Darrow przyjmie moją odpowiedź bez dalszych dyskusji.

- W kwietniu.

- I spowiadał się ksiądz u ojca Reida? Niech to lichu.

- Nie - odparłem lekko, próbując udawać, że nie ma nic nadzwyczajnego w takim wyrwaniu się spod opieki swego kierownika duchowego.

- U kogo się ksiądz spowiadał?

Niech to lichu po raz drugi. To dopiero niezręczne. Odchrząknąłem i pocierałem nos, żeby dać sobie czas do namysłu.

- Byłem we Francji - wyjaśniłem w końcu. - Wyspowiadałem się u księdza w paryskim kościele.

- Rzymskokatolickim?

- Tak.

Zapadło milczenie.

- Oczywiście po powrocie przedyskutował ksiądz sprawę z ojcem Reidem - odezwał się Darrow.

- Cóż, prawdę mówiąc, nie.

- A kiedy ostatni raz spowiadał się ksiądz u ojca Reida?

- W marcu, przed Wielkanocą.

- Jak często się ksiądz spowiada?

W tym zamieszaniu tak się przejmowałem tym, że moje zwykłe przystępowanie do spowiedzi może zostać uznane za nieodpowiednie, że nie zdałem sobie sprawy, że Darrow na pewno położy nacisk na dziwnie krótki odstęp dzielący obie spowiedzi.

- Cóż, prawdę mówiąc, ojcze, właściwie nie jestem anglika-tolikiem, nie ostatnio, a ponieważ w Kościele anglikańskim spowiedź nie jest wymagana...

- Raz w roku? Dwa? Trzy?

- Raz w roku. W czasie Wielkiego Postu.

- Rozumiem:

Zapadła cisza i dopiero teraz uświadomiłem sobie, że przyznałem się do tego, co wolałbym ukryć.

Darrow czekał, ale kiedy milczałem, odezwał się z wyszukaną uprzejmością:

- Dziś jest wtorek. Mogę spytać, czemu chce ksiądz odłożyć spowiedź do piątku?

Niech to лихо po raz trzeci. Nie chciałem z nim rozmawiać o konieczności powrotu do Starbridge.

- Czeka na mnie bardzo ważna sprawa - oświadczyłem pewnie - którą muszę załatwić.

- Sprawy tego świata?

Wpadłem. Jeśli powiem, że tak, oskarży mnie, że przedkładam sprawy doczesne nad dobro duchowe. Jeśli powiem, że nie, będzie chciał wiedzieć, czemu tak wyraźnie chcę uniknąć dyskusji nad kwestią, która stanowi element mego życia duchowego. Wpatrywałem

się w niego, a on wytrzymał mój wzrok, mierząc mnie twardym, nieustępliwym spojrzeniem. Ku swemu głębokiemu przerażeniu, uświadomiłem sobie, że był świetny.

- Kiedy ostatni raz przyjmował ksiądz komunię? - spytał, gdy ja myślami byłem jeszcze przy ostatnim pytaniu.

To było łatwiejsze.

- W niedzielę - odparłem z ulgą i chcąc zatrzeć negatywne wrażenie, jakie mógł odnieść, dodałem: - Byłem w Starbridge, w pałacu biskupim i biskup poprosił, żebym wraz z nim udzielał komunii.

To brzmiało wystarczająco imponująco i właśnie zaczynałem się odprężyć, kiedy spytał:

- A gdyby dziś zadzwonił do księdza jego biskup i poprosił księdza o to samo, jak brzmiałaby księdza odpowiedź?

W ciszy, która zapadła po tym pytaniu, czułem, jak twarz zaczyna mi płonąć, kręciłem się na krześle i wpatrywałem się w swoje zaciśnięte dłonie. Nic nie mogłem odpowiedzieć. Byłem upokorzony, zły, ogarnęło mnie gorące pragnienie, by wyjść. A jednak zostałem - i to nie tylko dlatego, że zdawałem sobie sprawę, że zostałem przyparty do duchowego muru. Zostałem dlatego, że tamtem mnie przyszpilał, a ja nie mogłem się wyrwać.

- Jak ma ksiądz na imię? - odezwał się Darrow.

- Charles.

- W takim razie, skoro poddałeś się pod moje kierownictwo, będę się zwracał do ciebie po imieniu. Bo chyba się poddałeś, prawda, Charles? - stwierdził tonem, nie dopuszczającym dyskusji, a ja potaknąłem.

W tamtej chwili nawet bym nie potrafił potrząsnąć głową.

- Doskonale. A więc, Charles, pozwól, że podsumuję sytuację, ponieważ ty wydajesz się zbyt zagubiony, by przejrzeć rozumować. Przyjechałeś tu, twierdząc, że musisz się wypowiedzieć.

Ponieważ zwykle spowiadasz się raz do roku, w okresie Wielkiego Postu, należałoby się spodziewać, że od niedzieli, kiedy to ostatni raz przyjąłeś komunię, napotkałeś jakąś wyjątkową trudność. Co więcej, od twej ostatniej wielkopostnej spowiedzi, najwyraźniej napotkałeś

jeszcze jedną wyjątkową trudność - w kwietniu - która wymusiła spowiedź u katolickiego księdza, przedziwny ruch jak na duchownego anglikańskiego, ruch, którego najwyraźniej nie czułeś się na siłach omówić z twoim spowiednikiem, ojcem Reidem. Owe wyjątkowe trudności pozwalają się domyślać, że potrzebujesz pomocy i zdajesz sobie z tego sprawę. A mimo to przyjeżdżasz tu dziś rano i proponujesz, że na kilka dni pozostawiasz swoje życie duchowe w stanie zawieszenia, żeby zająć się jakąś sprawą, sprawą, jak twierdzisz, ogromnej wagi. Pragnę ci przybliżyć fakt, że nic nie jest ważniejsze niż spowiedź i powrót do stanu łaski przy pierwszej okazji i usilnie błagam, byś zechciał tak sobie ułożyć plany, by móc wrócić tu jeszcze dziś wieczorem albo najpóźniej jutro rano. Umilkł. Wpatrywałem się w swoje splecione dłonie. Widziałem, jak palce jeszcze mocniej się zaciskają aż kostki mi pobielają.

- Zdaję sobie sprawę, jak dziwne musi się ojcu wydawać moje zachowanie - przemówiłem w końcu - ale jest pewna tajemnica, którą muszę wyjaśnić, a póki tego nie zrobię, nie zrozumie tajemnicy ukrytej za tą tajemnicą, to jest zagadki mojego umysłu, a póki nie rozwiążę tajemnicy za tajemnicą, nie mogę mieć nadziei, że w ogóle pojmem, co się dzieje.

Mamrotałem coraz nie wyraźniej. Urwałem zdesperowany, ale Darrow powiedział:

- Twierdzisz więc, że nie możesz się wyspowiadać, ponieważ twoje błędy kryją się w tajemnicy; twierdzisz, że dopóki nie rozwikłasz tej zagadki, nie osiągniesz zrozumienia, które musi poprzedzać każdą prawdziwą pokutę.

- Właśnie.

Zrobiło na mnie wrażenie i głęboko poruszyło jego natychmiastowe przeniknięcie sytuacji.

- Kiedy rozwiążę zagadkę, która dominuje na pierwszym planie - oświadczyłem pewnie - wtedy tajemnica kryjąca się w tle, czyli tajemnica mojego umysłu, który sprowadza mnie na błędną drogę, stanie się jasna i będę mógł odbyć owocną spowiedź.

- Ale skąd twoja pewność, że ta pierwsza tajemnica, tajemnica na pierwszym planie, da się rozwiązać?
 - Cóż, po prostu musi. - Wpatrywałem się w niego. - Oczywiście, że się da rozwiązać.
 - Doprawdy? Z mego doświadczenia wynika, że rzadko kiedy skomplikowane ludzkie sprawy dają się łatwo i prosto wyjaśnić. A jeśli nie uda ci się wyjaśnić tej tajemnicy? Co wtedy?
 - Ależ to niemożliwe, by mi się nie udało! Pozostało mi jedynie pojechać do Starbridge i porozmawiać z pewną osobą!
 - A skąd pewność, że owa tajemnica w tle wtedy zostanie triumfalnie oświetlona? Założmy, że stanie się wręcz przeciwnie: rozwiązanie pierwszej tajemnicy przyniesie ze sobą nie światłość, ale mrok? Nadal się w niego wpatrywałem.
 - Jak to możliwe?
 - Tak naprawdę chcesz powiedzieć coś innego: twierdzisz, że potrzebujesz światła, by rozjaśnić mroczne zakamarki swej duszy. Jednak trzeba być bardzo ostrożnym z takimi mrocznymi zakamarkami. Zbyt dużo światła, zbyt nagle może się okazać niebezpieczne. Mroczne zakamarki mogą pochłonać światło.
- Zapadła długa cisza. Wreszcie Darrow wstał z krzesła.
- Zaprowadzę cię do skrzydła dla gości i wyznaczę ci pokój. Nie powinieneś teraz stąd wyjeżdżać. To zbyt niebezpieczne.
 - Niebezpieczne?!
 - Jesteś niczym sternik z gorączką, który się upiera, żeby kierować okręt wprost na skały. Rzuć kotwicę, odpocznij i nabierz sił, by obrać lepszy kurs.
 - Nie mogę. Chcę, ale nie mogę.
- Pochyliłem się ku niemu, podejmując ostatnią, rozpaczliwą próbę wyjaśnienia.
- Muszę wrócić do Starbridge. Nie potrafię myśleć o niczym innym. To tak jakby Starbridge stało się potężnym magnesem, który przyciąga mnie z taką siłą, że nie mogę uciec, i choć nie chcę pozostawiać mojego duchowego życia w zawieszeniu, muszę, nic na

to nie poradzę. Nie zrobię niczego, dopóki nie wyjaśnię tajemnicy Starbridge. A gdy tylko to zrobię i wrócę do Cambridge...

- Przyjedź tu natychmiast, niezależnie od pory dnia czy nocy. Nie mogłem odpowiedzieć, ale patrząc ponownie w te poważne,

szare oczy, odniosłem niesamowite wrażenie, że był jasnowidzem.

- Nic mi nie będzie - uciałem ostro, starając się, by nie zabrzmiało to jak pytanie.

Nigdy nie zapomnę jego odpowiedzi. Wygłosił tę biblijną parafrazę, jakby to był słynny cytat.

- Szerokie są wrota, które wiodą do okłamywania siebie i złudzeń, ale dla tych, którzy szukają prawdy, jakże ciasna jest brama i wąska droga. Dzielny jest człowiek, który przez nią przejedzie! Jak głęboka jest twa odwaga, Charles? Jak głębokie są twoje zapasy sił duchowych?

Nie mogłem odpowiedzieć. Zdawałem sobie sprawę, jak wątle były moje siły. Nie mogąc spojrzeć mu w oczy, wycofałem się do hallu, jeszcze bardziej zagubiony niż przedtem.

- Będę się za ciebie modlił - powiedział jedynie, kiedy otwierał drzwi wejściowe.

Chciałem zostać. Czułem jak mocą swego umysłu przyciąga mnie z powrotem, ale wtedy kierował mną instynkt, nad którym nie mogłem zapanować, i pospieszywszy do samochodu, ruszyłem prosto ku katastrofie.

II

Kiedy wróciłem, by się spakować, znalazłem list od Jardine'a, który przyszedł w popołudniowej poczucie. Natychmiast rozpoznałem charakter pisma i rozerwałem kopertę.

„Drogi doktorze Ashworth”, przeczytałem, „rozmawiałem dziś przez telefon z opatem ze Starwater. Powiedział, że zakonnikiem z domu w Grantchester, do którego powinien się ksiądz udać, jest bez wątpienia ojciec Jonathan Darrow. Ze smutkiem muszę księdza

powiadomić, że ojciec Reid odszedł spośród nas i do wspólnoty w Grantchester właśnie przybył ten nowy opat, który cieszy się opinią znakomitego kierownika duchowego. Pochodzi z domu fordytów z Yorku, gdzie prowadził nowicjat, ale najwidoczniej jego praca nie ograniczała się wyłącznie do kształtowania zakonników. Rozmawiałem też dziś telefonicznie z jednym z biskupów z północy kraju, który powiedział, że wielokrotnie wysyłał do ojca Darrow swoich zagubionych duchownych, zawsze z jak najlepszym skutkiem. Bardzo nalegam, aby nie odkładał ksiądz wizyty w Grantchester. Mam nadzieję, że ten list pomoże księdzu w jego trudnościach. Łączę szczerze wyrazy szacunku, ADAM ALEXANDER STARO".

Przypomniałem sobie stwierdzenie Jardine'a, jak bardzo nienawidzi telefonów. Zrobiła na mnie wrażenie jego nie udawana troska o moje dobro, ale równocześnie zaintrygowała. Ciekawiło mnie, do jakiego stopnia się ze mną identyfikował.

III

I tak po raz kolejny znalazłem się w Starbridge, jasnym, słonecznym Starbridge. Ponownie jechałem krętą drogą między wzgórzami i ponownie wieża katedry to pojawiała się, to znikwała, w miarę jak zbliżałem się do miasta, tak samo jak co jakiś czas przebłyskiwało przeczucie prawdy, stale zacierane przez lustra wyobraźni i złudzeń.

Spóźniłem się na nieszpory, ale kiedy w „Staro Arms” rozgościłem się już w pokoju z widokiem na ogród schodzący do rzeki, zmusiłem się do ich odmówienia. Potem z torby wyjąłem butelkę whisky, nalałem sobie solidną porcję i zapaliłem papierosa. Miałem na sobie szare spodnie, sportową marynarkę i rozpiętą pod szyją koszulę i, patrząc w lustro, pomyślałem, że nie wyglądam już jak domokrażca usiłujący wcisnąć klientowi wątpliwy produkt, ale jak aktor, który nie może zapamiętać roli.

Wypiłem drogą dużą szklankę whisky. Potem zszedłem na dół do budki telefonicznej w hallu. Telefon odebrał sekretarz i wymieniwszy obowiązkowe grzeczności, poprosił Lyle. Upłynęła dłuższa chwila i właśnie zacząłem się zastanawiać, czy nie wymyśliła jakiegoś pretekstu, żeby uniknąć ze mną rozmowy, kiedy w słuchawce usłyszałem jej ostry głos:

- Charles?

- Kochanie... - Ogarnęła mnie taka ulga, że nie próbowała uniknąć ze mną rozmowy, że pozwoliłem sobie na luksus czułego słówka. - Wróciłem do Starbridge i muszę się z tobą spotkać. Moglibyśmy się wybrać razem na kolację?

- Jesteś w *Starbridge*!

W jej głosie brzmiało niedowierzanie.

- Mógłbym cię zabrać za jakieś pół godziny...

- Chwileczkę.

Odłożyła słuchawkę i usłyszałem, jak pyta Geralda Harveya:

- Gdzie jest biskup?

- Lyle! - krzyknąłem, ale już jej nie było.

Niewiele brakowało, żebym ze złości odwiesił słuchawkę, ale. zwykły upór sprawił, że postanowiłem nie ustępować i po chwili dobiegł mnie głos Jardine'a.

- Drogi kanoniku! - wołał. - Czemuż nie dał ksiądz znać, że wraca? Mógłby ksiądz zamieszkać w pałacu! To mnie zbiło z tropu. Spodziewałem się wrogości, nie gościnności.

- Sądziłem, że nie mam prawa się narzucać... Po niezręcznej sytuacji, jaka się wytworzyła przez moją obecność...

- Bzdury! Niech ksiądz przyjdzie na kolację!

- Dzisiaj?

- Czemu nie? Oczekujemy księdza o wpół do ósmej. Nie mogę się doczekać, by usłyszeć o długim lunchu księdza z Loretą - oznajmił Jardine i odwiesił słuchawkę, nie czekając na odpowiedź.

IV

Wlawszy w siebie trzecią whisky, przebrałem się w sutannę i ruszyłem Eternity Street w stronę katedry. Po długiej jeździe samochodem, spacer przyniósł mi prawdziwą przyjemność, ale gdy doszedłem do bramy pałacu, zaczęło padać i puściłem się sprintem do drzwi wejściowych.

Lokaj zdawał się ucieszony moim widokiem. Nieoczekiwane odnowienie, zdawałoby się stłumionego, romansu z ubiegłego tygodnia bez wątpienia sprowokuje do kolejnych miłych spekulacji nad filiżanką herbaty w pomieszczeniach dla służby.

- Wielu gości spodziewacie się dziś na kolacji, Shipton?

- Nikogo, proszę księdza. Biskup wraz z małżonką i panną Lyle wybierali się dziś do Londynu, ale niestety gospodarz się rozchorował i wizyta została odwołana.

- Tak więc nie będzie nikogo z wyjątkiem...

- Z wyjątkiem ich trojga i księdza. Pan Harvey wybrał się na kolację do miasta. - I otwierając drzwi do salonu zapowiedział grobowym tonem: - Doktor Ashworth, ekscelecjo.

Jardine stał przy oknie, ręce trzymał w kieszeniach, z jego szczupłej sylwetki jak zwykle promieniowała niewyczerpana energia. Przyglądał się strugom deszczu, spływającym po szybie.

Kiedy podszedłem, obrócił się twarzą do mnie, ale nie dostrzegłem na niej śladu niesmaku czy oburzenia.

- A, przyszedł już ksiądz! - odezwał się, podchodząc do mnie z wyciągniętą ręką. - Witamy w Starbridge po raz drugi. Dostał ksiądz mój list?

- Tak, dziękuję, księżu biskupie. To bardzo miło, że zadał ksiądz sobie tyle trudu. - Uścisnęliśmy sobie ręce. - Co więcej, dziś rano poznałem ojca Darrow i umówiliśmy się, że w piątek rozpocznę rekolekcje pod jego kierunkiem.

- Cieszy mnie to ogromnie, choć jestem zdziwiony, że odłożył ksiądz rekolekcje, żeby tu wrócić. Nic nie odpowiedziałem, tylko wziąłem egzemplarz „Country

Life", który leżał na krześle obok, i oddałem się dokładnej analizie okładki.

- Oczywiście, bardzo mnie zaniepokoiło, kiedy wczoraj zadzwoniła do mnie lady Starmouth i powiedziała, że porwał ksiądz Loretę na wyjątkowo długi lunch - podjął Jardine - sądzę jednak, że najlepiej będzie, jeśli spróbujemy unikać rozmów o nieustannej obsesji księdza na punkcie mojej przeszłości, póki nie znajdziemy się sami nad portwajnem.

- Jaka szkoda - odparłem, przerzucając strony gazety. - Miałem nadzieję, że kiedy panie nas zostawią, utniemy sobie kolejną teologiczną dyskusję. Sądziłem, że moglibyśmy zastanowić się nad poglądem Lutra, że odmowa spełniania obowiązków małżeńskich powinna stanowić podstawę uzyskania rozwodu.

Odrzuciłem gazetę na bok. Drzwi się otworzyły i do bawialni weszła pani Jardine.

- Doktor Ashworth! - zawołała, podczas gdy my z Jardinem nadal mierzyliśmy się wzrokiem. - Jak miło znowu księdza widzieć! Choć zdaje się, że przywiózł ksiądz z Cambridge ten niedobry deszcz!

- Tak, obawiam się, że wreszcie nadeszła burza, której tak się pani obawiała - odparłem, ujmując jej rękę, a kiedy za nią zerknąłem, dostrzegłem Lyle, która z progu obserwowała z napięciem całą scenę.

v

Z całej trójki jedynie pani Jardine zachowywała się, jakby mój szybki powrót do Starbrige nie miał najmniejszego znaczenia i przejęła na siebie ciężar prowadzenia konwersacji, rozprawiając o wręcz nieznośnie banalnych sprawach. Lyle była uprzejma, ale milcząca; wymieniliśmy zaledwie kilka krótkich zdań, a gdy rozdzielił nas stół jadalny, nie miałem okazji przyjrzeć się z bliska sygnetowi, który nosiła na palcu, gdzie powinna znajdować się

obrączka. Tymczasem, zupełnie nie dostrzegając napięcia, jakie panowało w jadalni, pani Jardine opowiadała mi dłuższą historię, jak to zapomniała pójść na zebranie komitetu dobroczynnego,, ponieważ trzecie dziecko kanonika złapało świnkę. Następnie chciała się dowiedzieć, jakimi akcjami dobroczynnymi zajmuje się moja matka - niezręczne pytanie, ponieważ matka wiodła próżniacze życie pijąc za dużo koktajli i działając ojcu na nerwy. Wystarczyło jednak, że wspomniałem o namiętności mojej matki do magazynów mody, a już pani Jardine zaczęła się rozwodzić nad pokazem mody, który zorganizowała, by zebrać pieniądze dla dzieci bezrobotnych dokerów w Starmouth.

- Lyle go zorganizowała - poprawił biskup, który zdawał się konać z nudów przy drugim końcu stołu. Nagle przypomniałem sobie słowa Loretty, że może doszukuję się ukrytych znaczeń w niewinnych reakcjach ludzi i zastanawiałem się, czy napięcie przy stole nie jest tworem mojej wyobraźni; myślałem, czy ta rzadka możliwość przyjrzenia się owemu trójkątowi od wewnątrz zamiast mrocznych tajemnic, których się spodziewałem, nie pozwoliła mi dostrzec zwykłej, niewinnej nudy starego, zużytego układu.

- Nie, organizacją zajęła się Carrie! - upierała się Lyle. - Ja tylko wynajęłam lokal, udzieliłam instrukcji pracownikom i rozesłałam zaproszenia.

Zastanawiałem się, co w takim razie zostało dla pani Jardine, kiedy ona sama zawołała ciepło:

- Byłaś wspaniała, Lyle! Doktorze Ashworth - zwróciła się do mnie z entuzjazmem - czy księdza matka ma kogoś do towarzystwa?

- Tylko mojego ojca.

- Może o ojcu księdza porozmawiamy nad portwajnem - odezwał się biskup, który widać nie mógł się dłużej oprzeć pokusie ożywienia rozmowy przez posłanie słownej, zatrutej strzały. - To mogłaby być bardzo interesująca dyskusja.

- Ciekawsza niż poglądy Lutra na rozwód?

Lyle podniosła wzrok znad jedzenia. Popatrzyłem jej prosto w oczy, natychmiast odwróciła spojrzenie i zaczęła kroić ziemniaka.

- Skoro o ojcach mowa, czy opowiadałam księdzu o moim ojcu, doktorze Ashworth? - spytała pani Jardine, zgrabnie przerywając milczenie.

Aż do końca posiłku nie dopuściła do kolejnej przerwy w rozmowie, póki nie musiała odświeżyć gardła łykiem wody.

- O której możemy się spotkać jutro? - zwróciłem się natychmiast do Lyle.

Jej oczy pociemniały. Instynktownie zerknąłem na biskupa, ale ku memu zaskoczeniu odezwała się pani Jardine.

- Strasznie mi przykro, doktorze Ashworth - powiedziała - ale obawiam się, że jutro będę potrzebowała Lyle cały dzień, a w czwartek jedziemy do Bath i Wells, właściwie tylko do Wells, ale będziemy mieszkać u samego biskupa Bath i Wells, ponieważ Alexa poproszono o wygłoszenie okolicznościowego kazania. A właściwie co to za okazja, Alex?

- Nie pamiętam - odparł Alex i natychmiast roześmiał się z absurdalności sytuacji.

Lyle i pani Jardine też się roześmiały i nagle zapragnąłem zniszczyć tę fasadę niewinnej pogawędki.

- W takim razie - zwróciłem się do Lyle - chciałbym się z tobą spotkać sam na sam wieczorem w dniu mojego wyjazdu. Chciałbym z tobą porozmawiać o tym sygnecie.

Wydawało mi się, że Lyle nieco pobladła, ale nie mogłem tego twierdzić z całą pewnością.

- Och, czyż to nie śliczny sygnet! - zawołała pani Jardine, prawdziwe uosobienie niewinności, ale kiedy po raz kolejny udało jej się zdławić napięcie za pomocą banalnych uwag, zainteresowało mnie, czy aby z premedytacją nie zmienia tematu, ilekroć rozmowa zbacza na niebezpieczne tory. - Wszyscy na niego zwracają uwagę. Pamiętam, miałam kiedyś pierścionek...

- Powiesz mi później, jak weszłaś w jego posiadanie? - spytałem.

- Oczywiście, że księdzu powie! - zawołał niecierpliwie biskup. - Ale czemu z tym czekać? Ta historia bynajmniej nie musi być opowiedana w cztery oczy. Powiedz księdzu Ashworthowi już teraz, Lyle.
- Ten sygnet dała mi macocha księdza biskupa - odparła spokojnie Lyle. - Miał on dla niej ogromną wartość uczuciową, ale nie mogła go nosić, ponieważ od reumatyzmu zgrubiały jej stawy palców. Wzruszył mnie ten gest, ponieważ bardzo ją podziwiałam i noszę sygnet na jej pamiątkę.
- Jakież to ciekawe - stwierdziłem, nalewając sobie z karafki czwarty kieliszek bordo. - To zapewne ten sam sygnet, który ofiarował jej ojciec biskupa w czasie nadzwyczaj oryginalnej ceremonii zaślubin.
- Nie będziesz nam już potrzebny, Shipton - odezwał się natychmiast Jardine i obaj służący zniknęli.
- Zastanawiałem się, czy sygnet nie oznacza, że ty także masz za sobą nadzwyczaj oryginalną ceremonię zaślubin - zwróciłem się do Lyle, ledwo drzwi zamknęły się za służącymi.
- Jeśli to żart - odparła cicho Lyle - to mnie on nie bawi.
- To nie był żart i nie przyszedłem tutaj bawić towarzystwa dowcipami. Osuszyłem kieliszek i sięgnąłem po karafkę.
- Doktorze Ashworth - oznajmiła pani Jardine z zaskakującą mocą - przykro mi to powiedzieć, ale nie zachowuje się ksiądz jak dżentelmen. Obawiam się, że się ksiądz zapomina.
- Pani Jardine - oświadczyłem równie pewnie, nalewając sobie piąty kieliszek wina - przyjechałem do Starbridge, żeby się spotkać z Lyle, jednak pani wraz z mężem najwyraźniej uparli się, żeby nie pozwolić mi porozmawiać z nią sam na sam. Czy w takiej sytuacji dziwi, że moje rozdrażnienie przechodzi w gniew, a dobre maniery puszczają w szwach?
- Nie życzę sobie rozmawiać z tobą sam na sam - odezwała się Lyle, natychmiast podejmując wyzwanie.
- A dlaczegoż to? Bo się boisz, że znowu mnie pocałujesz tak jak

w sobotę, który to pocałunek nie pozwolił ci przystąpić do komunii, bo uważałaś, że w ten sposób zdradziłaś męża? Lyle odebrało mowę, ale biskup natychmiast pochylił się ku żonie.

- To nic, Carrie. Nie niepokój się. Obawiam się, że doktor Ashworth jest ogromnie wzburzony i nie odpowiada za słowa.

- Do cholery, racja, że jestem wzburzony! - zawołałem, rzucając to „do cholery”, by ostatecznie zdruzgotać szansę przywrócenia normalnej towarzyskiej konwersacji. - Każdego by wzburzyło to, co się tutaj dzieje!

- Jesteś pijany! - stwierdziła z oburzeniem Lyle.

- Oczywiście, że jest pijany - odparł Jardine, nim zdążyłem się odezwać. - Kiedy przyszedł, załatywało od niego whisky, a w czasie kolacji pił wino, jakby to była lemoniada. Carrie...

- Tak, oczywiście, ukochany. - Z niewzruszoną godnością wstała od stołu. - Lyle, zechcesz mi towarzyszyć?

Wszyscy się unieśliśmy. Ja lekko oparłem dłonie o stół, żeby utrzymać równowagę, Jardine otworzył paniom drzwi.

- Myli się! - zawołałem do wychodzącej Lyle. - Rozwód jest ułudą, a małżeństwo kłamstwem!

Lyle wysunęła się z jadalni, a za nią pani Jardine. Żadna się nie obejrzała. Drzwi się zamknęły.

- Niech ksiądz siada, doktorze Ashworth - odezwał się ostro Jardine. - Pora, żebyśmy porozmawiali naprawdę poważnie.

VI

Ani chwili się nie wahałem.

- „Ożeniłeś” się z Lyle pięć lat temu, dokładnie tak samo, jak twój ojciec „ożenił” się z twoją macochą - zaatakowałem z wściekłością. - Cóż, takie zachowanie było może wybaczone w wypadku twojego ojca, niewykształconego, owdowiałego dziwaka, który niewątpliwie wierzył, że żeni się przed Bogiem, ale TY! Jesteś wykształcony, wrażliwy - w każdym calu inny niż twój ojciec

- a poza tym masz żyjącą żonę! Jak możesz zasiadać na biskupim tronie i wierzyć, że Bóg błogosławi temu, co zrobiłeś? Nie pozwoliłeś młodej dziewczynie wieść normalnego, małżeńskiego życia, zaprzeczyłeś ślubom, które złożyłeś w chwili święceń... Nie, nie próbuj mi wmawiać, że Lyle jest twoją żoną! Jest kochanką. I nie próbuj mi wmawiać, że się rozwiodłeś! Nie jesteś wolny ani w świetle prawa, ani w oczach Boga. Zrujnowałeś życie Lyle, żeby zaspokoić swoje egoistyczne chętki! Umilkłem. Cały się trząsałem. Chwytnając kieliszek, wychyliłem wino i sięgnąłem po karafkę.

- Usiądź, Charles - odezwał się Jardine z ogromnym spokojem, a kiedy zwrócił się do mnie po imieniu, wiedziałem, że, tak samo jak ojciec Darrow, robi to, ponieważ jest doświadczonym duchownym, który próbuje dopomóc swojemu zagubionemu młodszemu bratu w kapłaństwie. Opadłem na krzesło. Wino zostawiło w gardle przyjemny smak. Podniecony, niechcący zamiast odstawić, przewróciłem kieliszek i gdy resztki rozlały się czerwoną plamą na obrusie, odniosłem dziwaczne wrażenie, że choć to ja zaatakowałem, ja też zostałem raniony.

- Czyżby ojciec Darrow nie próbował cię powstrzymać? - spytał Jardine z głęboką troską.

- Próbował, ale wiedziałem, że muszę tu wrócić i wyjaśnić zagadkę. I wyjaśniłem, prawda? Udało mi się wreszcie odkryć prawdę?

- Drogi Charlesie, obawiam się, że twoja prawda to ułuda i nie wyjaśniłeś kompletnie nic.

- To kłamstwo! - krzyknąłem.

- Postaraj się zachować spokój. Jak mam ci pomóc, jeśli będziesz się upierał przy zaczepkach? A, wierz mi, gorąco pragnę ci pomóc w wydostaniu się z tego przygnębiającego bagna. Zakładam, że to Loretta powiedziała ci o małżeństwie mego ojca?

- Jak śmiesz nazywać to małżeństwem! Twoja macocha po prostu, z nim mieszkała, a potem rzuciła go, żeby zamieszkać z tobą!

- Przykro mi, ale nie mogę pozwolić na podobne przeinaczanie faktów. Moja macocha - mówił Jardine - była żoną mojego ojca w każdym tego słowa znaczeniu; z pewnością oboje wierzyli, że wobec Boga są małżeństwem. Przyznaję, kiedy odkryłem, że związek nie został prawnie zalegalizowany, zachowałem się jak hipokryta - to było w szczytowym, skrajnie anglikatolickim okresie mojego życia - i rzeczywiście namawiałem macochę, żeby opuściła ojca. Sądziłem, że sankcjonując jej decyzję o przeprowadzce do Starmouth, gdzie prowadziła mi dom, pomagam jej skończyć z życiem w grzechu. Jednak kiedy parę lat później uznała, że musi wracać do ojca, uświadomiłem sobie, że była wobec niego tak dobra, tak świadoma swoich obowiązków, niczym oficjalnie zaślubiona w kościele żona. Ponieważ jednak większość ludzi nie potrafi traktować związków nieformalnych z miłosierdziem, zdecydowanie sprzeciwiam się rozpowszechnianiu tej historii. Bardzo mnie przygnębiła niedyskrecja Loretty i tym bardziej ciekawi mnie, co żeście wczoraj po południu robili.

- Poszedłem w twoje ślady. - Ciężko mi przychodziło opróżnianie karafki do kieliszka. - Wspięliśmy się na strome zbocze, żeby oglądać przejeżdżający pociąg.

- A więc dowiedziałeś się o tym. Rzeczywiście, zawędrowaliśmy nieco dalej, niż ci opowiedziałem...

- Także i w przenośnym tego słowa znaczeniu!

Jardine przyjrzał mi się ostrożnie. Potem z pomocnika wyjął karafkę z portwajnem.

- Nie zamierzam cię tym poczęstować, ponieważ i tak już za dużo wypiełeś, ale nie widzę powodów, żebym nie mógł wychylić kieliszka, żeby się wzmocnić przed tworam i twojej wyobraźni. Jeśli zaś chodzi o ten smutny, acz nieznaczący epizod...

- „Smutny, acz nieznaczący epizod”? Dobry Boże, co za sposób na określenie cudzołóstwa!

- Cudzołóstwa?!

- Nawet nie próbuj zaprzeczyć! - krzyknąłem. - Miałem ją w tym samym zakątku lasku, co i ty!

Jardine wpatrywał się we mnie. Potem podszedł do drzwi, zerknął do hallu, żeby się upewnić, czy nikt nie podsłuchuje, i ponownie zamknął drzwi.

- Charles - odezwał się z ogromną łagodnością, wróciwszy do stołu - chciałbym, żebyś z ogromną uwagą przywołał słowa Loretty, bo choć przez dwadzieścia lat ludzie potrafią się bardzo zmienić, nie wierzę, żeby mogła się do tego stopnia zmienić, by w tej sprawie skłamać. Czy Loretta powiedziała, że popełniłem cudzołóstwo?

Próbowałem się skupić. W głowie miałem chaos, ale pamiętałem aż nadto wyraźnie słowa Loretty: „Wchodzisz” i nagle sobie uświadomiłem, że w jej głosie nie brzmiał lęk ani niepewność, lecz zaskoczenie.

- Oczywiście - podjął Jardine tonem osoby, która stwierdza rzeczy oczywiste - absolutnie nie było immisji. Cudzołóstwo stanowi wyłącznie twór twojej wyobraźni, Charles.

VII

Przyznaję, że doszło do kilku pieszczot - mówił dalej Jardine. - Przyznaję, że zachowałem się w sposób dla duchownego niedopuszczalny. Ale nie miało tam miejsca właściwe współzycie. Jakim cudem? Jak mógłbym dalej żyć jako kapłan, gdybym dopuścił się cudzołóstwa?

- Nie wierzę - udało mi się wydusić. Ale wierzyłem.

- Zastanawiam się, jak mogę cię przekonać, że mówię prawdę. Może moja wstrzeźliwość wyda ci się bardziej prawdopodobna, jeśli przyznam, że wypływała nie tyle z cnoty, co ze strachu, strachu, który był odbiciem śmiertelnego lęku przed samowolą, śmiertelnego lęku, że skończę jak mój ojciec. Nie rozumiesz? Nie byłem zdolny do skonsumowania nieprawego związku, Charles, psychicznie niezdolny.

Ukryłem twarz w dłoniach. Wreszcie Jardine przerwał milczenie.

- A teraz pozwól, że porozmawiamy o Lyle - odezwał się, znowu przemawiając z ogromną łagodnością. - Przyznaję, kiedy dziesięć lat temu pojawiła się w moim domu w Radbury, bardzo mnie pociągała - w ten nudny, nieprzyzwoity sposób, który tak często się spotyka wśród mężczyzn w średnim wieku, których małżeństwa przechodzą trudny etap. Oczywiście, powiedziałem żonie, że Lyle będzie musiała odejść, ale w tamtym okresie nerwy Carrie były w tak fatalnym stanie, że gdy się sprzeciwiła, ustąpiłem. I to nie tylko dlatego, że obawiałem się każdego drobiazgu, który mógł ją popchnąć do całkowitego załamania nerwowego. Ustąpiłem, ponieważ czułem, że sprzeciw Carrie jeszcze bardziej potwierdził moje przekonanie, że niebo nam zesłało Lyle i że stała się ona rozwiązaniem naszych problemów. Sytuacja była rozpaczliwa. Próby dojścia do ładu z żoną zajmowały mi tyle czasu, że brakowało mi go na radzenie sobie z obowiązkami dziekana, ale kiedy pojawiła się Lyle, zostałem uwolniony i wreszcie mogłem właściwie służyć Bogu.

Przerwał. Odśloniłem oczy, ale nie mogłem unieść wzroku i wpatrywałem się w czerwoną plamę.

- Jestem pewien, że rozumiesz, jak nieunikniona była moja kolejna decyzja - ciągnął Jardine. - Zdałem sobie sprawę, że jeśli Lyle ma pozostać w moim domu, pod żadnym pozorem nie mogę dopuścić, by w moim stosunku do niej pojawił się choć cień niewłaściwego zachowania. Nieprzyzwoitość byłaby nie tylko głupotą; byłaby także przejawem niewdzięczności wobec Boga, który zesłał nam Lyle, by ulżyć nam w smutku i rozwiązać trudności. Możesz pomyśleć, że superpoprawne odnośnienie się do Lyle przychodziło mi z trudem i miałbyś rację. Tak było. Ale, co dziwne, kiedy już przyjąłem tę postawę, łatwo było ją utrzymać, ponieważ moje małżeństwo stało się o wiele łatwiejsze. Dzięki opiece Lyle, stan Carrie znacznie się poprawił i wreszcie po długiej przerwie mogliśmy odnowić nasze małżeńskie więzi. To sprawiło, że ostatecznie

pozbyłem się wszelkich wątpliwości. Wiedziałem już, że decyzja

O pozostawieniu Lyle była słuszna.

Znowu umilkł. Kiedy oderwałem wzrok od czerwonej plamy

1 spojrzałem na pustą karafkę po winie, myślałem jedynie o tym, że Jardine sączy swój portwajn.

- Nie sądź jednak - podjął - że dobro Lyle było mi obojętne. Wiele czasu spędziłem, z troską myśląc o jej losie. Nasz trójkąt byłby nie do przyjęcia z punktu widzenia moralnego, gdyby Lyle nie czuła się szczęśliwa i nie zaspokajała swoich potrzeb. Prawda zaś wygląda tak, Charles, że gdyby nie czuła się szczęśliwa, a jej potrzeby nie były zaspokojone, Lyle by odeszła. Nie mogę ci wyjaśnić, skąd się wziął jej wstręt do małżeństwa, ponieważ złamałbym dane jej słowo, mogę powiedzieć jedynie, że rzeczywiście istnieje psychiczna bariera, która ma swoje korzenie w przeszłości, ale mimo to Carrie i ja zawsze ogromnie się staraliśmy pomóc jej to przełamać; zawsze, na przykład, zachęcaliśmy ją, żeby spotykała się z młodymi mężczyznami. Jestem pewien, że pamiętasz, że to ja nalegałem, by zjadła z tobą kolację w „Staro Arms”. Oczywiście zdarza się, że od czasu do czasu Lyle ulega pokusie romantycznego flirtu, ale prawda wygląda tak, że podoba jej się życie, jakie teraz prowadzi, a jeśli chce pozostać niezamężna, to ma do tego całkowite prawo. Rozumiem, że to musi być dla ciebie ogromnie frustrujące, ale...

- Ożenię się z nią! - Próbowałem przewyciężyć ogarniające mnie, straszliwe przekonanie, że każde jego słowo jest prawdziwe. - Mówisz mi te wszystkie kłamstwa, bo jesteś zazdrosny, zaborczy i głęboko w niej zakochany!

- Drogi Charlesie...

- Gdyby twoja żona umarła, natychmiast byś się ożenił z Lyle!

- Postarajmy się utrzymać racjonalny ton rozmowy, dobrze? Przyznaję, kiedy poznałem Lyle, powiedziałem sobie: „Gdybym kiedykolwiek został wdowcem, ożeniłbym się z nią”, ale szybko zdałem sobiej/awę, że trudno spędzać życie, czekając na śmierć

własnej żony! Tak właśnie się rodzi szaleństwo. Prawda zaś wyglądała - i nadal wygląda - tak, że jestem żonaty, jestem księdzem i nic nie zmieni mojej sytuacji, ale przynajmniej mogę służyć Bogu najlepiej, jak potrafię, i mam kochającą, obowiązkową żonę, która mnie wspiera i do której jestem ogromnie przywiązany. Jak to co dzień sobie powtarzam, mam ogromne szczęście, że osiągnąłem w miarę zadowalający stan rzeczy i nie muszę chyba podkreślać, że zupełnie inaczej by się to przedstawiało, gdybym nie przezwyciężył początkowego oczarowania i nie darzył teraz Lyle zdrowymi uczuciami i szacunkiem? Fakty mówią za siebie. Bądź rozsądny, Charles! Wiem, że w obecnym stanie trudno ci się zdobyć na racjonalne myślenie, ale czyż nie bije w oczy, że pod tym dachem nie ma miejsca żadna nieprzy-zwoitość?

Miał rację. A jednak nie potrafiłem tego przyznać.

- Jednak... - próbowałem się upierać, ale mi przerwał.

- Tak, w ten sposób dochodzimy do ciebie i tego, co myślisz, i tak napotykaemy dwa problemy, z którymi nie możemy sobie poradzić. Po pierwsze dlatego, że w tej chwili jesteś zbyt pijany, żeby w ogóle stawić czoło swoim trudnościom, a co dopiero się z nimi zmagać, po drugie zaś dlatego, że choć bardzo ci potrzebny ktoś, kto by ci wskazał drogę, ja jestem najmniej do tego odpowiednią osobą. Stanowią składową twoich trudności, prawda?

Tak mnie oburzyło, że śmiał mnie nazwać pijakiem tylko dlatego, że wypilem nieco więcej wina, że krzyknąłem:

- Nie chcę twojej cholernej pomocy!

Próbowałem złapać karafkę z portwajnem, ale zabrał mi ją sprzed nosa.

- Nie - oświadczył surowo. - Wystarczy.

Odczekałem, aż odstawi ją na stół, i rzuciłem się, zwinąłem mu karafkę i nalałem portwajnu do swojego pustego kieliszka.

- Zachowujesz się bardzo nieroztropnie, ale chcesz zwrócić na siebie uwagę, prawda? Postępujesz jak dziecko, które złym za-

chowaniem chce zwrócić na siebie uwagę. Twierdzisz, że nie potrzebujesz mojej pomocy, ale podejrzewam, że tak naprawdę do tego zmierzasz. Tkwisz głęboko w jakichś urojeniach i...

- To ty się łudzisz, jeśli sądzisz, że mnie oszukasz! - Ogarnęła mnie taka wściekłość, że sam nie wiedziałem, co mówię. - Myślisz, że nie widzę, co się dzieje? Rękami i nogami walczysz, żeby nie dopuścić, by twoja lśniąca zasłona się rozerwała!

- Nie - odparł Jardine. - To ty o to walczysz, a twoja lśniąca zasłona opada przed moimi oczami. - Wstał. - Pozwól, że wezwę szofera i każę mu cię odwieźć do braci w Starwater.

- Nie wyjdę z tego cholernego pokoju, dopóki, cholera, nie przyznasz się, że śpisz z Lyle!

- Charles, potrzebujesz pomocy. Nie mogę ci jej udzielić, ale koniecznie musisz mi dać się zaprowadzić do kogoś, kto...

- Nie będziesz umywał ode mnie rąk! - krzyknąłem. - Nie dam się zepchnąć na bok, nie dam się wyrzucić, nie pozwolę by mnie traktowano jak...

- Dobrze! Dobrze, dobrze, dobrze... - Jardine rzucił pospieszne spojrzenie na drzwi, by się upewnić, że nadal są zamknięte. - Chcesz, żebym to ja ci pomógł. Doskonale. Zrobię to, czego sobie życzysz, wbrew temu, co radzi mi rozsądek, i ustąpię tylko dlatego, że nie pozostawiasz mi wyboru. A teraz... - Przynął krzesło, żeby usiąść przy mnie. - Pozwól, że spróbuję ci przybliżyć coś, co, jak się obawiam, będzie bardzo niemiłą rzeczywistością...

VIII

Z jakiegoś powodu - zaczął Jardine - wybrałeś mnie sobie na centralną postać twego obecnego życia. Nie nazwę tego urojeniami, ponieważ to słowo wyraźnie cię dotyka, powiedzmy więc, że doświadczałeś jakichś trudności osobistych i kiedy mnie poznałeś, w jakiś tajemniczy sposób stałem się dla ciebie ich rozwiązaniem.

Oczywiście spodobał ci się pomysł, który podrzucił ci ten stary głupiec, Lang, że jestem dostojnikiem kościelnym wiodącym podwójne życie. Nie, to za słabo powiedziane, tobie nie spodobał się ten pomysł, on cię wręcz zachwyił.

- Przyjechałeś więc do Starbridge i natychmiast poszerzyłeś *dossier*, które ci przedstawił Lang. Podejrzewam, że dość szybko musiałeś zdać sobie sprawę, że nie należę do ludzi, którzy kompromitowaliby się idiotycznymi wyznaniem w listach miłosnych bądź prowadzili niecenzurowany dziennik. Ciebie jednak już nie interesuje to, co ci powiedział Lang. Ciebie zafrapowała szansa, że za lśniąca zasłoną duchownego, który zrobił karierę kościelną, kryje się człowiek, który upadł do tego stopnia, że błędą przy tym nawet starcze wymysły Langa. Z takim zapalem przyjąłeś tę teorię, że po prostu musiałeś udowodnić jej prawdziwość, ale, co w tym wszystkim najciekawsze, im silniejsza była twoja obsesja dowiedzenia mej winy, tym goręcej zapewniałeś, że jesteś po mojej stronie. Ale wtedy oczywiście już dawno utraciłeś kontakt z rzeczywistością. Odgrywasz najbardziej wyszukane i fantastyczne urojenia...

Podniosłem się z krzesła.

- Nie będę tego słuchał - powiedziałem drżącym głosem.

- Ależ będziesz, Charles, będziesz. - Bursztynowe oczy zaślniły nagle takim blaskiem, że nie mogłem oderwać od nich wzroku. - Siadaj, Charles - rozkazał i natychmiast usiadłem. - Charles, posłuchaj, słuchaj mnie, Charles, bo powiadam ci: nie możesz dalej żyć z tymi urojeniami, musisz stawić czoło rzeczywistości, a ona wygląda tak, że jesteś chory, chory umysłowo...

- Nie... NIE...

- Tak, Charles, tak. Jaki normalny człowiek mógłby tak opacznie zinterpretować moją sytuację życiową? W tak dziwny sposób ją przeinaczyć? Prawda wygląda tak, że człowiek, którym jestem, nie ma nic wspólnego z człowiekiem, za którego mnie uważasz. Wymyśliłeś mnie. Istnieję tylko w twojej wyobraźni. Uważasz, że tak dobrze mnie poznałeś, że dostrzegasz między nami liczne podobieństwa, ale każde z nich to złudzenie, złudzenie, za pomocą którego

podtrzymujesz swoją wiarę w naszą identyczność. A czemu chcesz wierzyć, że jesteśmy identyczni? Dlatego że wtedy możesz usprawiedliwiać swoje własne, niefortunne postępowanie twierdząc, że idziesz jedynie w moje ślady. Sądzisz, że możesz uciec od swoich problemów przerzucając je na mnie. Dlatego stawiasz mnie przed sobą, jakbym był pustym ekranem, a twój umysł projektorem, naprawdę zaś na ekranie pojawia się twój, nie mój obraz. Prawdziwą tajemnicą jest tutaj nie to, co się dzieje w Starbridge, Charles, lecz jakiś dramat wymyślony przez ciebie w celu odwrócenia uwagi od swoich własnych problemów. Prawdziwą zagadką jest to, co się dzieje w twojej duszy. Czemu ogromnie zdolny, doskonale się zapowiadający młody duchowny o nieskazitelnej przeszłości, którego czeka wspaniała przyszłość, zaczyna bez konkretnych powodów się rozpadać i tracić rozum? Skoczyłem na równe nogi, przewracając krzesło, a kiedy Jardine też się zerwał, zawołałem:

- Nie możesz tak do mnie mówić, nie możesz!

Tak mi się kręciło w głowie, że musiałem się przytrzymać stołu.

- Przepraszam... Zaryzykowałem i mówiłem bez ogródek, ale nie widziałem innego sposobu, żeby cię przekonać, że naprawdę potrzebujesz pomocy. Ja sam nic więcej już zrobić nie mogę, ale jestem pewien, że bracia w Starwater...

- Odrzucasz mnie! - krzyknąłem. - Ciągle mnie odrzucasz! Odrzucasz mnie raz za razem!

- O Boże - powiedział Jardine, nagle blednąc - a więc tak było z twoim ojcem, prawda? Mój biedaku, nie zdawałem sobie sprawy... Och, jakiegoż bigosu narobiłem, tak strasznie żałuję...

Odepchnąłem go i wypadłem z pokoju.

IX

Nie przypominam sobie jasno ,mojej drogi powrotnej do „Staro Arms". Pamiętam tylko pełne dezaprobaty spojrzenie recepcjonistki,

gdy dawała mi drobne na telefon. Potem zamknąłem się w kabinie i poprosiłem telefonistkę o połączenie ze Starmouth Court. Kiedy Loretta podeszła do telefonu, udało mi się wybełkotać:

- Czemu nie powiedziałaś mi całej prawdy?

- O co ci chodzi?

- Nie zrobił tego, prawda? Nie wszedł w ciebie?

- Czeka! - zawołała. - Czeka. Rozumiem, co masz na myśli i jestem gotowa o tym porozmawiać, ale nie przez telefon. Gdzie jesteś?

- W Starbridge.

- Dobra. Oczywiście dzisiaj już nie mogę się z tobą spotkać, ale jutro...

- Jadę do ciebie.

- Ależ Charles...

- Muszę się z tobą spotkać. Jeśli mnie okłamał, mówiąc o tobie, będę wiedział, że wszystko, co powiedział, było kłamstwem - odparłem i odwiesiłem słuchawkę, nim zdążyła odpowiedzieć.

X

W pokoju znowu przebrałem się w szare spodnie, sportową marynarkę i koszulę. Wypiłem też dwie szklanki wody, mając nadzieję, że dzięki temu nieco otrzeźwieję. Potem spakowałem torbę, zapłaciłem rachunek i opuściłem hotel.

Podróż trwała krócej, niż sądziłem, ponieważ na drodze był niewielki ruch. Za Surrey, w okolicach Hog's Back ogarnęło mnie zmęczenie, ale wyleczyłem je, zatrzymując się i pociągając haust whisky z butelki. Patrząc na północ, na światła leżącego w dolinie Londynu, pomyślałem o zalanym słońcem Starbridge, gdzie blask odwracał uwagę od niewysłowionych okropieństw, dziejących się w mroku, jednak to wspomnienie było zbyt bolesne i po kolejnym potężnym łyku ruszyłem w noc.

Do Starmouth Court dotarłem po północy, ale w saloniku, gdzie pierwszy raz zobaczyłem Lorette, paliło się światło. Dostrzegłem zarys jej sylwetki na tle okna, wygrzebałem się z samochodu i w chwilę potem byłem w ramionach Loretty.

- Wszyscy już się położyli - powiedziała. - Chodź, napijesz się czegoś. Wyglądasz okropnie.

W saloniku podała mi kieliszek koniaku. Wypiłem połowę jednym haustem.

- Co, do cholery, wydarzyło się w tym przeklętym zagajniku dziewiętnaście lat temu?

- Kochaliśmy się.

- W pełnym tego słowa znaczeniu?

- Nie.

- To dlaczego, u diabła, mi tego nie powiedziałaś?

- Och, na miłość boską, Charles, myślisz, że zupełnie jestem pozbawiona dobrych manier? Widać było, że płoniesz z pożądania. Co miałam powiedzieć: „Chwileczkę!” i uraczyć cię dokładnym opisem tego, co robiliśmy z Alexem?

- Ależ ja poszedłem na całość tylko dlatego, że sądziłem, że zrobił to samo!

- Boże, to dopiero dziwaczne stwierdzenie!

- Gdybym wiedział, że nie doszło do immisji...

- Sposób, w jaki się kochaliśmy, się nie liczył. Alex stwierdził co prawda, że w świetle przepisów prawa angielskiego, jeśli nie dojdzie do immisji, nie ma mowy o cudzołóstwie - pamiętasz, że ci mówiłam, że byłby dobrym prawnikiem? - ale kiedy człowiek przeżywa orgazm, nie ma głowy do prawniczych kruczków. Moim zdaniem on się kochał ze mną, a ja z nim i...

- Ale on mi powiedział prawdę. - Nie potrafiłem myśleć o niczym innym. - „Abosłutnie nie było immisji”, powiedział. Jeśli więc powiedział prawdę o tym, co się między wami wydarzyło, nie okłamał mnie też w sprawie Lyle...

- Co powiedział?

Znowu szybko wychyliłem koniak.

- Nazwał moją teorię tworem wyobraźni.
- Wcale mnie to nie dziwi.
- Zamknij się! - krzyknąłem. Podskoczyła.
- Charles... kochany, uspokój się...

Próbowałem przeprosić całując ją, ale nie odpowiedziała na pieszczotę i po chwili odstawiała butelkę koniaku w drugi koniec pokoju.

- Może to tu zaczynam marzyć - oświadczyła sucho. - Najwyraźniej ty nie jesteś w tej chwili zdolny do jakichkolwiek marzeń, więc będę musiała to zrobić za ciebie, żeby ci pomóc.

Zerknęła na zegarek.

- Ile zajęłaby teraz podróż do Cambridge?
- Niecałe trzy godziny. Może nawet krócej niż dwie i pół. Z benzyną nie będzie problemu, przy Great North Road jest całodobowa stacja. - Przełknąłem resztę koniaku. - Cóż, skoro i ty umywasz ode mnie ręce, mogę sobie chyba już iść.
- Nie bądź głupi, jadę z tobą.
- Co?!
- Cóż, ktoś się musi tobą zająć, a ponieważ nie widzę ochotników, sama muszę to zrobić.
- Ależ nie śmiałybym cię wlec do Cambridge!
- A ja nie odważyłabym się puścić cię samego, kiedy najwyraźniej nieźle sobie dałeś w szyję. Odwiozę cię do domu. - Przecież jesteś Amerykanką! Będziesz jechała po złej stronie drogi!
- Nie bądź śmieszny! Mam swoje wady, ale na pewno nie jestem nieudolna. Poczekaj chwilę, napiszę dwa zdania do Evelyn. I powinnam zadzwonić do hotelu, żeby ich powiadomić, że przyjadę w środku nocy. Jaki mi polecasz? - „Blue Boar”. Ale Loretto...
- Zadzwonię z hallu. To potrwa chwilkę, Charles.

Opadłem na sofę, ale ledwo znalazłem się sam, ból zaatakował ze zdwojoną siłą i po chwili wyciągałem butelkę koniaku.

XI

Znajdowaliśmy się gdzieś na północ od Hatfield.

- Gdzie mieszka ten twój opat? Ten, o którym mi opowiadałeś? - spytała Loretta.

- W niebie. Umarł i zmienił adres. Dowiedziałem się dziś rano.

- A jest już nowy opat?

- Jasna sprawa, jakbyście to wy, Amerykanie, powiedzieli. Były kapelan marynarki wojennej o nazwisku Darrow, który wie wszystko o seksie. Dziewięć lat małżeństwa. Potem śluby zakonne. Zdumiewające.

Wychyliłem kolejny łyk whisky. Oczywiście, przestałem już pić. Tylko czasem przytrafiały mi się chwile słabości.

- Z tego co mówisz, wynika, że to typ człowieka, który ze wszystkim sobie poradzi. Jak dojechać do opactwa? - Jedź w stronę Cambridge. Tuż przed miastem skreć. Niewielka wioska. Grantchester. Jak w wierszu Ruperta Brooke'a. Moja żona lubiła poezję... Opowiadałem ci kiedyś o mojej żonie?

- Raz powiedziałaś jej imię. Jane.

- Tak, Jane. Bardzo ją kochałem. Była taka ładna, taka słodka, dobra, a ja tak zupełnie do niej nie pasowałem, nie byłem jej wart, nie... Ale ojciec Darrow sobie z tym poradzi. Wspominałem ci, że ma nawet dzieci? Niesamowite. Jak taki człowiek mógł zostać zakonnikiem?, spytasz. Jak człowiek może w ogóle zostać zakonnikiem?, spytasz. Otóż powiem ci. To szczególny dar, charyzmat, jak na to mówimy w Kościele. Co więcej, ojciec Darrow jest, jak to określamy w Kościele, obdarzony charyzmą. Ma prawie metr dziewięćdziesiąt i wygląda, jakby w wolnym czasie trenował telepatię.

- Cóż, w takim razie, ojciec Darrow, czas by potrenował ksiądz swoją telepatię i przygotował komitet powitalny dla Charlesa.

Potrzebowałem kolejnego łyku whisky, żeby móc stawić czoło myśli o ojcu Darrow, który oczekuje mnie z otwartymi ramionami. A samochód mknął przez noc, coraz bardziej zbliżając się do Grantchester.

XII

Na ganku przed domem fordystów paliło się światło, ale budynek tonął w mroku. Loretta zahamowała, wyłączyła silnik i odwróciła się w moją stronę.

- Zostawię kluczyki od samochodu u ciecia w „Blue Boar” - powiedziała. - Zapamiętałeś, Charles?

- Kluczyki. „Blue Boar”. Portier. Jakich śmiesznych określeń wy, Amerykanie, używacie!

- Masz sakwojaż w kufrze?

- Nie, mam torbę podróżną w bagażniku.

Otworzywszy drzwi, dźwignąłem się z siedzenia i oparłem się o samochód, wpatrywałem się w gwiazdy.

- Piękne - powiedziałem. - Przywodzi na myśl Boga. Całkowicie transcendentnego. To Karl Barth.

Loretta szybko weszła po schodach na ganek i zadzwoniła. Zostawiła moją torbę pod drzwiami, potem zbiegła do mnie.

- Chodź, kochanie. Tędy.

- Kocham cię, Loretto. Wyjdź za mnie.

- Nie, ty się żenisz z Lyle. Nie pamiętasz? Podtrzymała mnie, gdy ostrożnie żeglowałem po schodach.

- Ale ty mogłabyś sobie poradzić. Ty umiesz sobie radzić. Kocham cię. Ten wspaniały seks... Gdybym mógł cię mieć co noc...

- ...bardzo szybko byś się znudził. Patrz, ktoś otwiera drzwi. Do góry, kochanie, jeszcze tylko dwa schodki. Jesteśmy prawie na miejscu.

W progu stanął drobny, siwowłosy zakonnik. Nigdy przedtem go nie widziałem, ale on zapytał:

- Doktor Ashworth, nieprawdaż? Ojciec Darrow spodziewał się księdza.

I wtedy zrozumiałem, że Darrow już uruchomił swój dar.

XIII

Loretta pocałowała mnie na pożegnanie.

- Powodzenia.

- Nigdy cię nie zapomnę, nigdy - powiedziałem, ale ona już szła do samochodu.

Uruchomiła silnik, pomachała mi, a po chwili widziałem już tylko dwa czerwone światła, znikające za bramą wjazdową.

- Tędy, proszę księdza - odezwał się drobny zakonnik, jedną ręką pewnie holując mnie przez próg, podczas gdy w drugiej trzymał moją torbę. Wreszcie zatrzymaliśmy się przed drzwiami, na których był wymalowany numer cztery i mnich, ani na chwilę nie zwalniając uścisku, odstawił torbę i nacisnął klamkę.

- Cztery to moja szczęśliwa cyfra - oznajmiłem. - Mam tyle szczęścia, tak mi się powiodło, doprawdy zdumiewające, jak szczęście zawsze mi dopisywało. Wie ojciec, że byłem jednym z sekretarzy prymasa, kiedy ten był jeszcze arcybiskupem Yorku? Moi rodzice byli tacy dumni. Pochodzę ze wspaniałej rodziny: mam wspaniałych rodziców, wspaniałego brata, wszystko zawsze układało się jak najwspanialej. Stworzono mi idealne warunki, ale na nie nie zasłużyłem, wcale nie zasłużyłem, bo jestem takim nic niewartym nieudacznikiem.

Niespodziewanie opadłem na łóżko. Znajdowałem się w niewielkim, czystym pokoju. Łóżko stało w rogu, stół i krzesło przy oknie, szafa przy ścianie, a w drugim kącie, obok nie zapalonego piecyka gazowego, dostrzegłem miskę. Nie było zasłon, jedynie okiennica. Na ścianach nie wisały obrazy. Na szafce nocnej zobaczyłem lampkę i Biblię.

- Teraz odpocznijmy sobie chwilę w łóżku - zwrócił się do mnie zakonnik jak do zmęczonego dziecka, które wyczerpał pełen wrażeń dzień - a ja powiem opatowi, że przyjechaliśmy.

- Już wie - odparłem, zrzucając buty i opadając na poduszki. Mnich uśmiechnął się i zniknął.

Pokój zaczął się rozmywać.

Zamknawszy oczy, wreszcie zapadłem w zapomnienie.

XIV

Po jakimś czasie ktoś wszedł do pokoju, aleja tego nie widziałem. Ktoś rozpakował torbę i położył ją na szafie, ktoś umieścił mój brewiarz obok Biblii, ktoś zostawił na szafce nocnej dwie aspiryny i szklankę wody. Ktoś, bez wątpienia, zatrzymał się, by się za nas obu pomodlić. Zgasił światło, zamknął drzwi i pozostawił mnie w ciemnym pokoju, pogrążonego we śnie bez marzeń.

XV

Obudził mnie potworny ból. Bolała mnie głowa, bolał mnie brzuch, bolały wnętrzności, a najbardziej bolał mnie mózg, każda komórka. Dusza zaś nieustannie, choć bezgłośnie, wyła o ulżenie w męce. Ale ulga nie nadchodziła i na razie musiałem sobie poradzić z fizycznym upokorzeniem. Zmusiłem się do uchylenia powiek. Bolały. Zmusiłem się do wstania, ale musiałem kucnąć, żeby nie stracić przytomności. Dowłokłem się do miednicy. Zwymiotowałem. A równocześnie moja dusza nieustannie, choć bezgłośnie wyła
O ulżenie w męce.

Doczołgałem się z powrotem do łóżka, zauważyłem aspiryny, jakoś udało mi się je połknąć, zbyt jednak byłem chory, żeby mi pomogły i w następnej chwili znowu wymiotowałem. Ledwo udało mi się zdążyć do miednicy. Wyprostowałem się, drżący, roztrzęsiony, ogłupiały z bólu, a kiedy spojrzałem w lustro nad miednicą, zobaczyłem siebie niczym w krzywym zwierciadle i rozpoznałem nieznajomego, którego zbyt się obawiałem, by chcieć mieć z nim do czynienia.

Cofnąłem się, omal nie straciłem przytomności, wpadłem na stolik

I osunąłem się na klęczki przy łóżku. - O Boże...

Ból był silniejszy ode mnie. Chciałem umrzeć. Wiedziałem, że to grzech modlić się o śmierć, ale cierpienie stało się nie do wytrzymania i nieustanny krzyk mojej duszy, która przypatrywała się ogromowi moich kolejnych upadków, wreszcie znalazł ujście w rozpaczliwym błaganu, słowach, które niczym krew popłynęły z moich ust.

- Boże, mój Boże... Wybacz mi, nie zostawiaj mnie, pomóż mi, pomóż mi, błagam, pomóż... Drzwi pokoju się otworzyły i na scenę wkroczył ojciec Darrow.

Część druga

TAJEMNICA UKRYTA ZA TAJEMNICĄ

„Staję wobec dwóch dość powszechnie znanych,
ale wystarczająco poruszających prawd:

że każdy z nas ma swoje «ja» (wroga naszego prawdziwego, dobre ja),
z którym musi walczyć, i że jedynie zmagając się z nim, dojrzewamy,
przynosimy owoce, znajdujemy szczęście”.

Spiritual Counsels and Letters of Baron Friedrich von Hügel, zebr. Douglas V. Steere

Rozdział pierwszy

„Zdasz sobie sprawę, że troska o zdrowie stanowi obowiązek religijny”.

More Letters of Herbert Hensley Henson, zebr. E. F. Braley

I

Jestem oddzielony od Boga - wydusiłem. Byłem przerażony. Drżałem od stóp do głów. Łzy spływały mi po policzkach.

- Odszedł. Odrzucił mnie. Nie ma Go tutaj...

- Jest tu, ale nie możesz go zobaczyć. Jesteś ślepy.

- Ślepy...

- Tylko na jakiś czas, ale na razie musisz robić dokładnie to, co ci każe. Spróbujmy cię podnieść z tej podłogi... na łóżko... Już.

- Zostałem opętany. - Znowu się trząsałem, z trudem chwytalem powietrze. - Bez Boga... Demony... Atakują... Mówią, że się nie nadaję...

- Weź to.

Wcisnął mi do ręki krzyż, który nosił na piersi.

- Krzyż stanowi dla nich przeszkodę. Żaden zły duch nie wytrzyma mocy Chrystusa.

- ALE JEGO TU NIE MA.

- Jest. Jest wszędzie tam, gdzie jego wyznawcy gromadzą się w Jego imię. On tu jest.

Spojrzałem na krzyż i wyżej. Tam zobaczyłem Ducha. Był w oczach zakonnika, rzeczywisty, doskonale rozpoznawalny. Złe moce ustąpiły.

- Nie zostawiaj mnie - powiedziałem do Ducha, nie ojca Darrow.

- Nikt cię nie opuści. Kiedy już się uspokoisz, zrozumiesz, że twoim podstawowym obowiązkiem wobec siebie samego - i wobec Boga - jest zachować spokój. Trzymaj krzyż w prawej dłoni i podaj mi lewą. O, tak... I próbuj oddychać, wciągaj głęboko powietrze... Dobrze. Teraz odmówię za ciebie modlitwę. W duchu. A ty wsłuchuj się swym umysłem i spróbuj zrozumieć, co mówię.

Zapadła cisza. Wsłuchiwałem się posłusznie, ale nic nie usłyszałem. Jednak po chwili zdałem sobie sprawę, że ogarnia mnie dziwne ciepło. Krzyż wysunął mi się ze spoconej dłoni, lewa ręka, wokół której zaciskał palce Darrow, zaczęła mnie szczypać. Sądząc, że to skurcz, próbowałem zmienić pozycję, ale Darrow natychmiast wzmocnił uścisk i szczypanie nie ustępowało. Byłem tak zafascynowany, że więcej się nie ruszałem, ale ulegle, z zamkniętymi oczami siedziałem na łóżku.

Przyciągnął krzesło i był o kilka centymetrów ode mnie, ale nieco wyżej.

Stopniowo rozluźniał uścisk, wreszcie wypuścił moją rękę. Otworzyłem oczy. Wpatrywał się we mnie. Spotkaliśmy się wzrokiem.

- Słyszałeś modlitwę?

- Nie. Ale przypomniałem sobie słowa Naszego Pana: „Oto jestem z wami po wszystkie dni aż do skończenia świata”.

- I teraz jesteś już spokojny.

Uśmiechnął się, jakby moja odpowiedź go nie zdziwiła i gdy wreszcie dotarło do mnie, że słowa pociechy bez wątpienia stanowiły treść jego modlitwy, dostrzegłem, że był zadowolony tak z postępów, które czyniłem, jak i swoich niezawodnych umiejętności.

- Jest ojciec uzdrowicielem - powiedziałem wolno. - Pomógł mi ojciec nie tylko swoją modlitwą, ale także przez to, że poprzez uścisk rąk przekazywał mi energię. To był dar uzdrowienia.

- Bardzo mi pochlebiasz - odparł - ale równie dobrze można

by stwierdzić, że sam siebie uzdrowiłeś, oddychając głęboko, koncentrując się na jednym, określonym zadaniu i odcinając dopływ adrenaliny, która cię zalewała.

Zastanowiłem się nad tym. Dał mi pomyśleć. Nie próbował mnie popędzać. Nadal siedzieliśmy spokojnie, ja brudny, niechlujny w szarych spodniach i pomiętej koszuli, on czysty, zadbane w czarnym habicie z białymi rękawami. Nie wypuszczając z rąk krzyża, uświadomiłem sobie, że życie, jak na razie, stało się do zniesienia. Moja dusza już nie wyła. Ból jakby ustępował.

- Zdaje się, że przechodzę załamanie nerwowe - odezwał się wreszcie.

- Och, zawsze uważałem to za nieużyteczne określenie. Zostawmy je może panom lekarzom - stwierdził beztrąsko z nutką pewności siebie, wybaczną u uzdrowiciela, który wie, że może zwyciężyć tam, gdzie lekarze zawodzą, i nagle wydał mi się taki bliski, tak łatwo można by mu zaufać.

- Nie chcę iść do szpitala dla obłąkanych - powiedziałem, nim zdołałem zapanować nad językiem.

- Nikt nie mówi, że masz tam iść.

- Nie sądzi ojciec, że jestem...

- Bez wątpliwości przechodzisz poważną duchową próbę, ale szkoda języka na definiowanie jej za pomocą wątpliwych medycznych terminów; to w niczym nie przyczynia się do rozwiązania problemu.

- A jak się go rozwiązuje? - udało mi się wydusić.

- Jeśli mogę skorzystać z określeń, których wczoraj użyłeś w tak intrygujący sposób, powiedziałbym, że musimy zbadać tajemnicę, a potem zajrzeć za drugą tajemnicę, ukrytą za tą pierwszą, aby zlokalizować źródło twego cierpienia i uleczyć ból. Najpierw jednak musimy zająć się praktycznymi zagadnieniami. Zostaniesz tu przez jakiś czas. Czy masz jakieś spotkania, które trzeba by odwołać, sprawy, które należało by załatwić?

Przypomniałem sobie o moim samochodzie w „Blue Boar” i dałem opatowi numer telefonu przyjaciela, który odprowadzi wóz do Laud's

College. Kiedy Darrow zapisywał, dodałem, że Lang będzie oczekiwał znaku życia ode mnie, jednak nim skończyłem mówić, ku swemu przerażeniu poczułem, że do oczu napływają mi łzy.

- Nie mogę z nim rozmawiać - wyszeptałem. - Nie mogę rozmawiać o... - Nie byłem w stanie dokończyć.

- Zostaw go mnie - powiedział Darrow, jakby prymas był niegrzecznym uczniakiem. - Czy spodziewa się telefonu od ciebie dziś rano?

- Nie, nie ma szczególnego pośpiechu, ale...

- Przygotujemy wiadomość dla niego później. A teraz, Charles, twoim pierwszym obowiązkiem wobec siebie - i wobec Boga - jest odzyskanie sprawności fizycznej, ponieważ, z tego co wiem, nikomu jeszcze nie udało się poradzić sobie z kryzysem duchowym, jeśli był wyczerpany i na kacu. Ile wczoraj wypiliśmy?

Próbowałem podliczyć duże drinki i niewielkie łyeczki, ale straciłem rachubę.

- Czy wczorajsza sytuacja to był pojedynczy wypadek, czy też już od dłuższego czasu za dużo pijesz?

- Pojedynczy wypadek. Ale... - zawahałem się, wreszcie zmusiłem się, by dokończyć. - Ostatnio piłem więcej niż zwykle.

- Jak się zachowujesz, gdy się upijesz? Stajesz się duszą towarzystwa? Albo po prostu zasypiasz? Czy też stajesz się kimś, kogo na trzeźwo zdecydowanie nie chciałbyś znać?

- To ostatnie. Jestem zły i agresywny.

- Rozgniewany nieznajomy... Tak, cóż, później przyjrzymy mu się uważniej, teraz musisz odpocząć. Zwalniam cię z obowiązku odmówienia jutrzni i tak jesteś zbyt chory, żeby to zrobić jak należy, ale przyniosę ci książkę do przejrzenia, w razie gdybyś nie mógł zasnąć. Czy strawiłeś aspirynę? Nie? Doskonale, przyniosę ci alka-seltzer. - Jeślibym mógł prosić o czarną kawę...

- Nie. Chcę, żebyś się odprężył, a nie pobudzał, a poza tym wszelkie napoje potęgują kaca.

Zabrał szklanę i napełnił ją wodą z dzbanka.

- Teraz zostawię cię na pięć minut - powiedział, stawiając

szklanek na nocnej szafce - a kiedy mnie nie będzie, masz się przebrać w piżamę i wskoczyć do łóżka. Zacisnąłem palce na krzyżu i usiłowałem przewyciężyć panikę, ale strach wygrał.

- Niech ojciec nie odchodzi. - Ogarnął mnie wstyd. - Przepraszam... Jestem taki głupi, taki słaby...
- Brat Michał, którego poznałeś ubiegłej nocy, przyjdzie na każde twoje wezwanie. Ale będę cię nosił w swoich myślach - odparł Darrow tajemniczym językiem ludzi, który uważają siły nadnaturalne za zupełnie normalne zjawisko - i nie rozluźnię uścisku. Nie będziesz musiał wzywać brata Michała. Wierzyłem mu. Umysł zapanował nad materią. Darrow po raz kolejny uruchomił swój charyzmat.

II

Po powrocie dał mi inny krzyż, który mogłem nosić w miejsce mojego starego, i kiedy przełknąłem lekarstwo, pokazał mi książkę, którą przyniósł z biblioteki - „Mistycy Kościoła” Evelyn Underhill.
- Dla kogoś o twoim wykształceniu to bardzo lekka lektura - stwierdził - a ponieważ była wydana już po tym, jak zakończyłeś żywot studenta, wątpię, byś kiedykolwiek zawracał nią sobie głowę. Często jednak spojrzenie na mistycyzm okazuje się zastrzykiem tlenu, który ożywia osłabionego teologa alpinistę, tak że jeśli nie będziesz mógł spać, przerzucić jeden czy dwa rozdziały, a kiedy wrócę po południowej modlitwie, powiesz mi, czy choć trochę cię ta książka rozerwała...

III

Spałem, kiedy wrócił. Nawet nie otworzyłem książki, gdyż sen zapanował nade mną, kiedy ciągle jeszcze czekałem, aż ustąpi ból głowy. O wpół do drugiej zostałem obudzony przez drobnego,

siwego zakonnika, który przyniósł mi zupę, dwie kromki chleba, porcję warzyw w sosie i miseczkę śliwek. Na tacy stała także szklanka mleka.

- Ksiądz opat powiedział, że ma ksiądz to wszystko zjeść - oświadczył zakonnik. - Pamiętaj o swoim obowiązku wobec Boga, masz być silny, stwierdził. Mówił też, że kiedy już ksiądz zje, ma ksiądz wziąć prysznic i się ubrać, a on wróci i spotka się z księdzem o trzeciej. Niestety, woda nie będzie gorąca, nie w środku dnia, ale ojciec powiedział, że zimny prysznic księdza nie zabije. Zaczynałem się czuć jak zawodnik w rękach bezwzględnego trenera. Zapewniając brata Michała, że bez problemów przeżyję zimny prysznic, usiadłem, rozkoszując się brakiem mdłości i rozpocząłem walkę o powrót do normalności.

IV

Kiedy Darrow wrócił o trzeciej, byłem ubrany w sutannę i siedziałem przy stole, czytając dzieło panny Underhill. Przekonałem się, że mogę funkcjonować normalnie tak długo, jak robię to, co mi nakazano. Zapewne właśnie dlatego Darrow przekazywał mi tak szczegółowe instrukcje.

- Od razu lepiej - stwierdził na mój widok. Przyniósł ze sobą krzesło, które ustawił naprzeciko mnie po drugiej stronie stołu.

- Zapomniałeś się ogolić? - spytał, siadając. - Czy też coś innego

- oprócz braku ciepłej wody - sprawiło, że uznałeś, że lepiej to sobie darować?

- Nie kazał mi ojciec się ogolić.

- To prawda, ale chyba musiało ci to przyjść na myśl, choćby ze zwykłego przyzwyczajenia... Czy kłopot leżał w ostrzu? Nie, wiedziałem, że tu nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo. A więc chodziło o lustro, tak? Bałeś się może, że zobaczysz tego rozgniewanego nieznajomego, który wstępuje w ciebie, gdy się upijesz.

Potaknąłem, ale musiałem zasłonić oczy, żeby ukryć wstyd.

- Kiedy już go lepiej zrozumiesz - uspokoił Darrow - nie będzie się wydawał taki przerażający. Zanim jednak skoncentrujemy się na twoich problemach, załatwmy sprawę prymasa. Byłeś bardzo wzburzony, kiedy jego nazwisko pojawiło się w rozmowie. Czy słusznie rozumiem, sądząc, że miał jakiś związek z tajemnicą, którą pojechałeś rozwiązywać w Starbridge?

- Tak, zlecił mi tę... tę misję.

- W tej chwili wystarczy mi tylko krótkie zdanie typu: Misja wykonana, szczegóły później. Wtedy będę mógł zadzwonić do jego eminencji, przekazać wiadomość i powiedzieć, że ponieważ ostatnio bardzo ciężko pracowałeś, nalegałem, byś urządził sobie dłuższe rekolekcje. Co więcej, mogę, wcale przy tym nie kłamiąc, dodać, że chciałem, byś rozpoczął je wcześniej, ty jednak je odłożyłeś, ponieważ koniecznie chciałeś dopełnić misji.

Zdobyłem się na ogromny wysiłek.

- Może ojciec mu powiedzieć: „Wszystko w porządku. Dziennik bezpieczny. Żadnych listów”.

Ojciec Darrow zapisał, zatrzaskał notes i oświadczył rzeško:

- Dobrze. Arcybiskupa mamy z głowy. Kolejną rzeczą, nad którą musimy się zastanowić, to czy jesteś w na tyle dobrym stanie, by już dzisiaj zacząć rozmawiać o swoich problemach.

- Czuję się już dobrze.

- Na tyle dobrze, by podjąć się nieformalnego wtajemniczenia mnie w sprawę, tak żebym mógł ci pomóc przygotować się do właściwej spowiedzi przed Bogiem? - upewnił się opat, stawiając jasno sprawę, w razie gdybym miał złudzenia, że nasza rozmowa będzie przypominała towarzyską pogawędkę. - Na tyle dobrze, by rozmawiać o swojej misji w Starbridge?

- Tak.

- Doskonale, w takim razie zaczynaj.

Zapadło długie milczenie. Wreszcie, kiedy łyzy przesłoniły mi oczy, powiedziałem zdesperowany:

- Muszę być chory umysłowo, bo nie mogę przestać płakać, a mężczyźni nigdy nie płaczą, chyba że stracili rozum.

- To bardzo rozpowszechniony w naszej kulturze mit, który przynosi bardzo niezdrowe skutki. Co jest lepsze: czy wyrażać żal i ból za pomocą łez, które właśnie w tym celu zostały stworzone, czy też wyrażać żal i ból, godząc się na ciche, niewidoczne krwawienie duszy?

- Opanowało mnie wspomnienie wszystkich moich niepowodzeń - powiedziałem. Łzy skapywały mi po policzkach.

- Doskonale, może do tej pory nie służyłeś Bogu tak dobrze, jak powinieś. Może nawet pragnąłeś wszystko uporządkować, jak należy.

- Tak, pragnąłem. Och, jak bardzo pragnąłem. Modliłem się i modliłem o pomoc, ale...

- W takim razie twoje modlitwy zostały wysłuchane, prawda? Spojrzałem na niego zdumiony.

- Wysłuchane?

Rozejrzałem się po pokoju. Z trudem dobywałem głosu.

- Upadłem tak nisko, że nawet nie mogę pełnić kapłańskich obowiązków, a ojciec mówi, że oto właśnie Bóg wysłuchał mych modlitw?

- Oczywiście. Sądzisz, że On nie zdaje sobie sprawy z twoich trudności i cierpień, które musiałeś znosić? Sądzisz, że nie potrafi cię postawić twarzą w twarz ze swoimi problemami, żebyś mógł je przezwyciężyć i dalej służyć Mu lepiej niż kiedykolwiek w przeszłości?

Rozumiałem, ale nie byłem w stanie mu tego powiedzieć. A kiedy zakryłem twarz dłońmi, usłyszałem jego głos.

- Bóg nie zesłał tej próby, żeby cię zniszczyć, Charles. Wreszcie przyszedł ci z pomocą i tu, w tej wiosce, w tym domu, tym pokoju, gdzie upadłeś najniżej, właśnie tu w końcu rozpoczyna się twoje nowe życie.

V

Na tym przerwał rozmowę, ale wrócił o piątej, kiedy siedziałem na drewnianej ławce przed grządką z ziołami. Powietrze było ciepłe i pachnące, słońce świeciło pełnym blaskiem, wiatr poruszał ostatnimi

stronicami książki panny Underhill, którą trzymałem w dłoniach.

- Dzwoniłem do biskupa - odezwał się opat, siadając przy mnie. - Podziękował za wiadomość, która, jak się wyraził, na razie wystarczy i stwierdził, że bardzo się cieszy, że zorganizowałeś sobie rekolekcje. Wyznał, że zawsze niepokoił się o młodych duchownych, którzy - ujmując to po świecku - robili karierę i wyraził przekonanie, że rekolekcje z pewnością ci pomogą. Na koniec przesłał pozdrowienia wraz z wyrazami aprobaty i zapewnił, że zachowa cię w szczególnej pamięci w czasie codziennej modlitwy.

Serdeczność i sympatia Langa wyzwoliły poczucie winy, że go odrzuciłem.

- W przeszłości doktor Lang był dla mnie bardzo dobry - powiedziałem z trudem.

- A teraz?

- On się nie zmienił. Ale ja tak. Odsunąłem się od niego. Nie z nim się teraz identyfikuję.

- A z kim się teraz identyfikujesz?

Nie miało sensu ukrywać rozterki. Siedziałem bez ruchu, istny obraz rozpacz, ale kiedy ojciec Darrow nie próbował mnie dociskać

O odpowiedź, coraz silniej uświadamiałem sobie potrzebę przebicia rozpacz przez kontakt z nim.

- W Starbridge... - zacząłem, ale nie dokończyłem.

Właśnie załamany myślałem o kompletnym niepowodzeniu, jakim zakończyła się próba nawiązania kontaktu, kiedy opat powiedział leniwie:

- Nigdy nie poznałem biskupa Starbridge, ale kiedyś słyszałem, jak nauczał, w czasach gdy był jeszcze proboszczem parafii St Mary's w Mayfair.

Przez cud intuicji zmieniał moje niepowodzenie w zwycięstwo

I nagle poczułem nic porozumienia - wątlą ale niewątpliwie istniejącą - która kołysała się między nami poruszana tchnieniem wiatru znad ogrodu.

- Tego rodzaju nauczanie stanowi szczególny dar - zastanawiał się głośno Darrow - i jak każdy charyzmat, niewłaściwie wykorzystany, może stać się niebezpieczny. Pamiętam, jak mój kierownik duchowy ostrzegał mnie, kiedy byłem jeszcze młody: „Strzeż się tych cudownych mocy, Jon, darów, które pochodzą od Boga, ale które tak łatwo mogą zostać skradzione przez szatana!” Doktor Jardine jest świetnym kaznodzieją i kiedy go słyszałem, z pewnością doskonale panował nad swoim darem, pamiętam jednak, że pomyślałem, że może on stać się niebezpieczny.

Zadrzałem, ale nasze porozumienie przestało być wątłą nicią. Stało się mocnym sznurem, który powoli wyciągał mnie z otchłani milczenia.

- Wybuchowy temperament - mówił dalej Darrow - atrakcyjna powierzchowność, w której kryło się coś hipnotycznego, błyskotliwy umysł i wybitne zdolności homiletyczne - prawdziwa mieszanka wybuchowa, prawda? Co więcej, w ostatnich tygodniach często się zastanawiałem, jakbym się czuł, gdybym był prymasem i musiał sobie radzić z biskupem, którego najnowszym hobby stało się robienie zamieszania w Izbie Lordów.

Zacisnąłem palce na krzyżu na piersi i czułem się, jakbym wreszcie, po długim podciąganiu się na linie, uchwycił rękę opata.

- Mam wrażenie, jakby mnie unicestwił - wyszeptałem i wolno, bardzo powoli zacząłem opowiadać o mojej misji w Starbridge.

VI

Opowieść zajęła wiele sesji i była przerywana okresami spoczynku. Uświadomiłem sobie później, że Darrow z niesmowitą precyzją potrafił określić, ile zniosę i jak długo potem będę musiał odpoczywać. W miarę jednak upływu czasu coraz bardziej nabierałem sił i gdy skończyłem drobiazgową relację mojego pierwszego pobytu w Starbridge, bardzo chciałem dokończyć historii bez

dalszych przerw. Jak na ironię, właśnie wtedy zupełnie nie mogłem przebrnąć przez opowieść o popołudniu z Loretą. Mówiłem chaotycznie. Co chwila popadałem w milczenie. Było już późno, pokój rozświetlała jedynie lampka nocna, która pozostawiała w cieniu twarz ojca Darrow.

Siedzieliśmy naprzeciwko siebie przy stole.

- Powiedz po prostu: „po pewnym czasie...” - odezwał się wreszcie, ale kiedy nadal nie byłem w stanie podjąć opowiadania, zauważył z nutą współczucia: - „Ciasna jest brama i wąska droga”, ale dla ciebie może jeszcze trochę za ciasna i trochę za wąska. Doskonale, tu na razie się zatrzymamy.

Zdałem sobie sprawę, że zachowywałem się tchórzliwie, niepotrzebnie trzymając język za zębami, skoro teraz już i tak musi być jasne jak słońce, czym zgrzeszyłem. Zdobyłem się więc na kolejny wysiłek.

- Używa ojciec tego fragmentu w znaczeniu dążenia do prawdy, tak samo jak przy naszym pierwszym spotkaniu. „Szerokie są wrota”, powiedział ojciec wtedy, „które wiodą do okłamywania siebie i złudzeń, ale dla tych, którzy szukają prawdy, jakże ciasna jest brama i wąska droga...”

- ...„i dzielny jest człowiek, który przez nią przejdzie”. Wypełzając z mroków tchórzostwa, opowiedziałem mu, co się wydarzyło w lasku.

VII

...tak jakbym wstrzykiwał sobie morfinę, zastrzyk za zastrzykiem. Ilekroć przestawała działać, musiałem robić sobie kolejny zastrzyk. Za bardzo się bałem, żeby stawić czoło temu, co się działo.

- A jakbyś określił to, co się działo?

Darrow, który w czasie mojej spowiedzi nie okazywał żadnych uczuć, pozwolił, by w jego głosie zabrzmiała nutka ciekawości, tak

jakbym wygłosił stwierdzenie warte osobnej rozmowy, a mnie ogarnęła taka ulga, że mnie nie oceniał, że bez trudu wyznałem:

- Gdy owdowiałem, życie w celibacie okazało się zupełnie niemożliwe i nie wiedziałem, jak dalej z tym żyć.
- Ile miałeś lat, kiedy się ożeniłeś?
- Dwadzieścia siedem. Ponieważ wstrzemięźliwość nigdy nie przychodziła mi łatwo, kusiło mnie, żeby się ożenić natychmiast po święceniach, ale ponieważ małżeństwo mogłoby oznaczać trudną sytuację finansową i ograniczyłoby moje możliwości... - Urwałem potwornie zażenowany. - Musi mnie ojciec uważać za straszliwie wyrachowanego, ambitnego karierowicza!
- Rozwaga to nie grzech. A ambicja w służbie bożej niekoniecznie musi być grzechem. - Uśmiechnął się do mnie. - Skoro jednak nie spieszyłeś się z małżeństwem jako dwudziestolatek, jak wtedy rozwiązałeś problem wstrzemięźliwości seksualnej?
- To była raczej kwestia szczęścia niżli cnoty. Wkrótce po święceniach, zostałem jednym z sekretarzy doktora Langa i szybko wylądowałem w Bishopthorpe, gdzie arcybiskup pilnował mnie niczym stuoka przyzwoitka...
- No, ale jeśli nie miałeś powołania do celibatu, rola mnicha--skryby musiała ci bardzo doskwierać?
- Tak, po pewnym czasie zostawiłem biskupa, wróciłem do Laud's college, którego *fellowem* byłem i zacząłem uczyć. Właśnie wtedy zdobyłem rozgłos wykładami na temat wczesnego chrześcijaństwa.
- Oczywiście rozglądałeś się za żoną.
- Tak, ale nie mogłem znaleźć odpowiedniej kandydatki. I wtedy dopisało mi szczęście: doktor Lang zaprotegował mnie na stanowisko dyrektora szkoły St Aidan w Eastbourne i po jakimś czasie - w wieku dwudziestu siedmiu lat - zostałem dyrektorem anglikańskiej szkoły prywatnej ze świetną pensją, a także młodym mężem. Moja żona była córką odchodzącego dyrektora i poznałem ją, kiedy pojechałem do St Aidan na rozmowę kwalifikacyjną.

Urwałem, ale Darrow nic nie powiedział, tak że wreszcie, wiedziony potrzebą przerwania ciszy, dodałem szybko:

- Byliśmy małżeństwem trzy lata i wtedy Jane zginęła w wypadku samochodowym. Spodziewała się dziecka. To byłoby nasze pierwsze. Przeżyłem to strasznie, znalazłem... w każdym razie długo trwało, nim wróciłem do siebie. Rzuciłem szkołę i wróciłem do Laud's, gdzie pograżyłem się w pracy naukowej. Napisałem książkę...

- Czytałem. Bardzo klarowna. Arianizm posiekany na drobne kawałki z mrozącą krew w żyłach chirurgiczną sprawnością.

- Chciałem coś posiekać, dzięki temu przestawałem myśleć o tym, co się stało. Pracowałem i pracowałem, aż moje życie do tego stopnia zaczęło się obracać wokół tej książki, że zastanawiałem się, co ze sobą pocznę, kiedy skończę pisać. W końcu jednak nie musiałam się martwić; nie było na to czasu. Książka odniosła sukces w kręgach akademickich, zostałem nagrodzony tytułem doktora i nagle okazało się, że stałem się sławny, otaczały mnie...

- ...tłumy pięknych pań, nie wątpię, a także zachwyconych studentów.

- Tak. Zachowanie celibatu stawało się coraz trudniejsze, ale mimo to jakoś... - Znowu głos mnie zawiódł. I znowu Darrow czekał, aż będę mógł podjąć. -...Jakoś nigdy nie udało mi się po raz drugi ożenić. A jednak naprawdę chcę się powtórnie ożenić, co więcej, rozpaczliwie tego pragnę, ale... nie robię.

- Brzmi to, jakbyś bał się, że wpadniesz z deszczu pod rynnę. Doskonale rozumiem, czemu życie w celibacie jest dla ciebie męką, skoro nie masz do tego powołania, ale czemu boisz się też małżeństwa?

- Ależ nie! Byłem bardzo szczęśliwy ze swoją żoną! Trudno sobie wyobrazić bardziej udane małżeństwo!

- W takim razie, skoro problem nie leży w małżeństwie jako takim, to gdzie?
Zapadła długa cisza.

- Cóż, nieważne - odezwał się wreszcie Darrow. - W tym momencie to nie ma takiego znaczenia. Proponuję, żebyśmy na razie przerwali, a...
- Problem leży we mnie - usłyszałem swój głos. - To ja stanowią problem. Jestem takim nic niewartym nieudacznikiem, że uważam, że żadna kobieta na dłuższą metę by ze mną nie wytrzymała.
- A czy kobiety, które znasz, zdają się podzielać twoje zdanie?
- O nie! Ale przecież one nigdy nie widziały tego człowieka, który jest we mnie. Widziały tylko moją wersję oficjalną, na pokaz. - Zawahałem się, ale dodałem: - Nazywam to lśniąca zasłona, bo tak miło spojrzeć na to w lustrze. Ale za nią...
- Za nią - podjął Darrow bez zmrużenia powieki - kryje się gniewny nieznajomy, który pojawia się w lustrze, gdy lśniąca zasłona robi sobie wolne.
- Tak. On wszystko niszczy. Żadna kobieta by sobie z nim nie poradziła. Z wyjątkiem Lyle. Sądzę... Tak, naprawdę sądzą, że Lyle mogłaby sobie z tym poradzić.
- Tyle wystarczy - przerwał Darrow.
- Ona sobie radzi ze wszystkim, rozumie ojciec, ze wszystkim...
- Porozmawiamy o niej później, ale teraz jesteś już wyczerpany. Zresztą, zanim się weźmiemy do omawiania *dramatis personae*, musisz dokończyć opowieści. Na razie ciągle jeszcze razem z Loretą leżysz w zagajniku w Leatherhead.
- Na wspomnienie Loretty oczy wypełniły mi się łzami. Na próżno je tarłem.
- Głupie łzy. Co za tchórz - wyszeptalem z rozpaczą.
- Bzdury! - uciął Darrow. - Zaczynasz się przeciskać przez ciasną bramę. Jesteś na tyle odważny, na ile cię stać.

I po raz kolejny dodał mi sił, by iść dalej.

VIII

...1 wtedy Jardine powiedział: „Pozwól, że spróbuję przybliżyć ci coś, co, jak się obawiam, okaże się bardzo niemiłą rzeczywistością”

i rozpoczął swoje wystąpienie... Nie mogę tego opisać... To był koszmar... Rozdarł moją lśniącą zasłonę i odrzucił moje drugie ja, które się za nią kryło... Przepraszam, to niczego nie wyjaśnia...

- O tak, wyjaśnia - odparł Darrow.

- ...ale nie mogę znaleźć słów, które by oddały potworność, absolutną potworność...

- Na razie nie musisz więcej o tym mówić. Powiedz tylko: „Kiedy Jardine skończył wystąpienie...”

Było popołudnie, pora, kiedy po obiedzie zakonnicy nie mieli już żadnych modlitw do odśpiewania i mogli zająć się innymi sprawami. Siedzieliśmy z opatem przy stole w moim pokoju. Mieliśmy nadzieję, że porozmawiamy w ogrodzie wśród ziół, ale załamanie pogody to uniemożliwiło.

Żałowałem, że zostałem skazany na siedzenie w domu. Zgodnie z sugestią ojca Darrowa, popołudniami pracowałem trochę w ogrodzie; zakonnicy zawsze wiedzą, ale energii potrzeba na podtrzymanie właściwego życia duchowego, a ile trzeba rozładować za pomocą pracy fizycznej. W moim skrzydle mieszkali także inni goście, ale Darrow uważał, że zbyt trudno by mi było się z nimi kontaktować, tak więc, ku mej uldze, poradzono mi, żebym unikał wspólnego pokoju na dole i spotykał się z nimi tylko w czasie posiłków, gdzie dzięki regule milczenia mogłem być pewien, że zjem w spokoju. Żebym jednak nie siedział cały czas odosobniony w pokoju, w drodze wyjątku pozwolono mi korzystać z biblioteki, która znajdowała się w wydzielonej części domu. Czytałem jednak tylko to, co mi zalecił Darrow. W moich studiach nad mistycyzmem przeszedłem już od Evelyn Underhill przez Inge'a do barona Friedricha von Hügela, a w miarę jak czytałem, zdumiewała mnie i zawstydziała płytkość mojej wiedzy na ten temat. Ponieważ już dawno temu uznałem, że wolę pracować nad mniej wymagającymi pod względem duchowym kwestiami i poświęciłem się historii, miałem tendencję do traktowania mistycyzmu, jak zjawiska, które, niczym religijna odmiana ospy

wietrznej, pojawia się zawsze, kiedy życie religijne pogrąża się w inercji. Zresztą, może uważałem, że chorobliwy i odbiegający od normy charakter mistycyzmu sprawiał, że nadawał się on dla kobiet, zaburzonych nastolatków i dziwaków. Przez to uprzedzenie nie dostrzegałem wartości prawdziwego mistycyzmu odartego ze wschodniego nihilizmu i rzymskiej podejrzliwości.

Mimo to jednak w tym momencie byłem zbyt osłabiony, by zbyt głęboko wnikać w moją ślepotę, która niewątpliwie wynikała z duchowej arogancji oraz intelektualnej dumy. Na razie mogłem jedynie posłusznie czytać, pracować w ogrodzie i regularnie uczęszczać na nabożeństwa w kaplicy. Tylko na tyle było mnie stać. Nie pozwolono mi uczestniczyć w nocnych modlitwach, ponieważ Darrow uważał za ważniejsze dla mego zdrowia, bym się dobrze wysypiał w nocy, ale chodziłem na prymę o szóstej rano, połączoną tercję i sekstę w południe, połączoną nonę i nieszpory oraz kompletę o ósmej. Mszę odprawiano po prymie i co ranka zostawałem, by się przypatrywać. Nade wszystko pragnąłem przyjąć komunię, pogodziłem się jednak z tym, że muszę się powstrzymać, dopóki nie pojmę wszystkich swoich błędów i będę mógł odbyć prawdziwą pokutę. Razem z opatem wyjaśniliśmy to sobie, kiedy już powiedziałem mu o Lorecie.

- To oczywiście, że spieszno ci do właściwej spowiedzi i jak najszybszego powrotu do stanu łaski - powiedział wtedy. To jak najbardziej naturalne. Ostrzegam cię jednak, że nim udzielię ci rozgrzeszenia, zadam ci kilka bardzo trudnych pytań i szczerze mówiąc, wątpię, byś w tym momencie w ogóle potrafił na nie odpowiedzieć. Chciałbym na przykład wiedzieć dokładnie, dlaczego kochałeś się z Lorettą. Czy kierowała tobą „nieokiełznana żądza”, jakby to nazwano w jakimś romansie, czy też było to coś znacznie głębszego niż zaspokojenie przelotnej chęci? I niezależnie od tego, czy ten incydent był skutkiem żądzy, czy nie, będę oczekiwał gwarancji, że już więcej się nie powtórzy, a to, oczywiście, doprowadzi nas do złożonej kwestii twojego życia w celibacie. Do

jakiego stopnia zdajesz sobie sprawę, na czym polega twój opór przed ponownym małżeństwem? Wygląda na to, że czeka nas żmudne poszukiwanie, nim osiągniesz taki stan zrozumienia, że będziesz zdolny do skutecznej spowiedzi.

Umilkł, jakby się spodziewał, że będę próbował się upierać przy swoim, ale milczałem.

- Chodzi mi o to, że nie możesz wypowiadać się jedynie z twojego postępuku względem Loretty, bo taka spowiedź byłaby nieważna. A czy mógłbyś przyjąć sakrament ze świadomością, że pozostał co najmniej jeden ciężki grzech, uniemożliwiający ci przystępowanie do komunii?

Na to pytanie była tylko jedna odpowiedź i zrozumiałem, jak bardzo się myliłem, sądząc, że brak oceny w sprawie Loretty oznaczał, że Darrow potraktuje mnie wyrozumiale. Przyzwyczyłem się do starszych kierowników duchowych, który kapali mnie z łagodnością i wyrozumiałością. Spotkanie kierownika, który był wyrozumiały, ale i surowy, odbierało mi odwagę. A równocześnie przynosiło ulgę. Zdawałem sobie sprawę, że, by odzyskać zdrowie, potrzebuję mocnej ręki i ponieważ umiałem przyjąć tę prawdę, nie próbowałem się buntować; wręcz przeciwnie, coraz bardziej mi zależało na zdobyciu jego aprobaty i wkrótce podwoiłem wysiłki, by jak najszybciej opowiedzieć o tym, co się działo w Starbridge.

- ...i wtedy Loretta powiedziała, że odwiezie mnie do Cambridge - usłyszałem w końcu swoje słowa. - Niewiele pamiętam z podróży, ale pamiętam, jak tu przyjechaliśmy, jak patrzyłem na gwiazdy mówiąc o transcendentnym Bogu. Zdaje się, że wspomniałem nawet coś o Karlu Barthu.

- Cóż za niezniszczalne umiłowanie teologii! - powiedział z rozbawieniem Darrow, ale kiedy się uśmiechnąłem, nieopisanie szczęśliwy, że wreszcie doznałem końca mej opowieści, nie potrafiłem się powstrzymać i dodałem:

- Musi ojciec uważać, że zachowuję się jak wariat.

- To nacechowane określenie i wyjątkowo nie przystające do tej

sytuacji. Moim zdaniem należałoby raczej powiedzieć, że jesteś normalnym człowiekiem i jak każdy normalny człowiek masz swoje osobiste problemy, które niestety dźwigasz ze sobą, gdziekolwiek się ruszysz. Ale jesteś też i silnym człowiekiem, na tyle silnym, by trzymać te problemy pod kluczem i żyć normalnie aż do chwili, kiedy pewnego dnia nie pojawisz się w Starbridge. Wtedy wszystko się zmienia. I zmienia się dlatego, że zagadka Starbridge sprawia, że twoje zamki puszczają i... Cóż, gdybym był jeszcze w marynarce, powiedziałbym, że zagadka Starbridge rąbnęła cię prosto w jaja. Ogarnęła mnie taka ulga, że podkreślał moją normalność, że od razu mogłem powiedzieć:

- Najgorsze w tym wszystkim jest to, że czuję się, jakbym ciągle dostawał po jajach. Nie rozwiązałem zagadki. Nadal nie do końca wiem, co tam się dzieje. Wierzę Jardine'owi, rozsądek mi każe wierzyć, bo zdaję sobie sprawę, że jeśli mu nie wierzę, muszę być... - Urwałem. - A równocześnie mu nie wierzę - podjąłem. - Nie mogę mu uwierzyć. I mu nie uwierzę.

- Dokładnie tak. Węszysz i węszysz, rozpaczliwie węszysz, a to nie dość, że cię wyczerpuje, to jeszcze niczemu nie służy. - Darrow nachylił się ku mnie, opierając łokcie na stole. - Charles, pierwszą i najważniejszą rzeczą, którą musisz pojąć, jest, że ani ty, ani ja, ani dowody, które w tym momencie posiadasz, nie pozwalają na skuteczne rozwikłanie tej tajemnicy.

- Ale muszę wiedzieć... Muszę się przekonać...

- I znowu zaczynasz, węszysz po Starbridge, tracisz siły na bezproduktywne poszukiwania. Musisz wyrwać się z tego zaklętego kręgu, Charles, spróbujmy więc podejść do sprawy od innej strony: dlaczego rozwiązanie tamtej zagadki jest dla ciebie takie ważne?

- Ze względu na Lyle, oczywiście. Chcę się z nią ożenić i dlatego muszę wiedzieć, co się tam dzieje.

- Doskonale, przyjrzyjmy się teraz bliżej twoim uczuciom względem kobiety, która znajduje się w sercu tajemnicy. Sądzę, Charles, że nadeszła pora, byśmy wreszcie zaczęli rozmawiać o Lyle.

Rozdział drugi

„Nie mogę z przekonaniem stwierdzić, że wierzę, iż przyjęcie celibatu zaradzi naszym trudnościom”.

More Letters of Herbert Hensley Henson, zebr. E.F. Braley

I

Łatwo sceptycznie traktować wiarę, że trwała miłość może wyrosnąć z uczucia od pierwszego wejrzenia - powiedział Darrow - ale zawsze trzeba pamiętać, że zdarzają się najdziwniejsze rzeczy i twoje uczucie do Lyle może do nich należeć. Innymi słowy, Charles, postanowiłem otworzyć się na twój punkt widzenia. Ale czy i ty mógłbyś podjąć analogiczne postanowienie? Idealnie byłoby, gdybyś na czas tej rozmowy otworzył się gdzieś tak na dwa centymetry.

Spojrzałem na niego czujnie.

- Chce ojciec, żebym przyznał, że się co do niej pomyliłem.

- Nie czuj się zagrożony. Nie zamierzam pomniejszać twoich uczuć, jedynie je wyjaśnić, ponieważ wierzę, że zrozumienie może przynieść ważne owoce.

- Doskonale - zgodziłem się niechętnie. - A więc otwieram się na dwa centymetry. Niech ojciec mówi.

- Załóżmy na chwilę - zaczął Darrow - że twoje uczucia tak naprawdę są, jedynie złudzeniem.

Przypuszczam, że zgodziłbyś się

- gdyby się okazało, że się omyliłeś - że nie ma mowy o małżeństwie, a zatem kwestia, czy Lyle była, czy też nie była kochanką Jardine'a, stałaby się zupełnie bez znaczenia.
- To prawda - przyznałem jeszcze niechętniej. - Ale i tak jestem pewien...
- Doskonale. Załóżmy teraz, że się nie omyliłeś i twoja Lyle jest ową wymarzoną wybranką. W takiej sytuacji oczywiście musiałbyś poznać prawdę, ale jakie jest prawdopodobieństwo, że mogłeś z taką niezachwianą pewnością stwierdzić to już od pierwszej chwili waszej znajomości? Albo, innymi słowy mówiąc, wiemy, że miłość od pierwszego wejrzenia jest możliwa, ale na ile jest to prawdopodobne w tej sytuacji?
- Po prostu czuję taką ogromną pewność, że nie mogę się mylić...
- W takim razie zastanówmy się nad trzecim rozwiązaniem. Załóżmy, że twoje uczucia wobec Lyle nie bazują na złudzeniach ani na rzeczywistości, ale gdzieś pośrodku. Innymi słowy, możesz mieć pewne złudzenia, ale niezależnie od tego dostrzegłeś w Lyle cechy, które, twoim zdaniem, gwarantują, że będzie ona dla ciebie odpowiednią żoną.
- Ależ to jest dokładnie to, co czuję! - zawołałem. - Spojrzałem na nią i wiedziałem, że będzie umiała sobie poradzić z moimi problemami!
- Najważniejszą rzeczą, którą mogę powiedzieć o tym stwierdzeniu jest to, że zapewne żadna kobieta nie poradzi sobie zadowalająco z twoimi problemami, dopóki ty sam nie nauczysz się, jak sobie z nimi radzić. Drugą ważną rzeczą jest to, że nie przekonasz się, na ile twoje stwierdzenie jest prawdziwe, dopóki nie oddzielisz wyraźnie ułudy od rzeczywistości. W przeciwieństwie do ciebie, sędzę, że największym problemem jest nie to, co łączy Lyle i Jardine'a, ale to, co łączy ciebie i Lyle. Ty zaś kręciłeś się w koło, goniąc za niewłaściwym zagadnieniem.
- Ale przecież to jest ogromnie ważne, żebym się przekonał...
- Przekonanie się, czy jest jego kochanką, będzie ważne dopiero

wtedy, kiedy odkryjesz, czy twoje uczucia względem niej mają związek z rzeczywistością.

- Przecież nie dałbym się zupełnie omamić! W końcu jestem dojrzałym mężczyzną, wdowcem...

- Przyznaję, że to poważny argument na twoją korzyść, ale, Charles, choć nie da się zaprzeczyć twojej dojrzałości i doświadczeniu, powinieneś wziąć pod uwagę fakt, że twoje problemy mogą utrudniać ci prawidłowy osąd.

- Prowadzi mnie ojciec powoli ścieżką do domu, ale nadal nie widzę drzwi. Czyżby twierdził ojciec...?

- Twierdę, że twój problem jest cały czas ten sam i nie możemy rozpatrywać twoich uczuć względem Lyle w oderwaniu od twoich pozostałych trudności, tak samo jak nie możemy w ten sposób rozpatrywać epizodu z Loretą. Twierdę, że najlepiej będzie, jeśli, przestaniemy tracić czas na rozważania, co się dzieje albo nie dzieje w Starbridge, a zamiast tego rozwiążemy twoje osobiste problemy, ponieważ wtedy i tylko wtedy zyskasz na tyle jasne spojrzenie, by móc przyjrzeć się tajemnicy Starbridge i oddzielić prawdę od wyobrażeń, rzeczywistość od ułudy.

II

Spotkaliśmy się jeszcze wieczorem. Darrow po raz pierwszy zaprosił mnie do rozmównicy, nie tej dla gości - ze zwykłym stołem i krzesłami, ale reprezentacyjnego pokoju opata, który mieścił się po drugiej stronie korytarza. Po chwili zakonnik przyniósł nam herbatę i herbatniki z mąki owsianej.

- Czy to nagroda za dobre sprawowanie? - spytałem z rozbawieniem po wyjściu brata.

- Zamierzałem zrobić ci wakacje, zanim rozpoczniemy podróż do twoich osobistych problemów.

Pokój był duży i zaskakująco luksusowo urządzony w stylu

schyłku ubiegłego stulecia: Prawdopodobnie został odziedziczony po właścicielach domu i zachowany w pierwotnym kształcie, by zrobić wrażenie na ważnych gościach, którzy mogliby przybyć w odwiedzinach do opata. Siedzieliśmy w wygodnych, obitych czerwonym aksamitem fotelach, które stały po dwóch stronach kominka. Nad kominkiem wisiał znośny obraz - zapewne inwestycja fordytów - przedstawiający Chrystusa w Ogrodzie Oliwnym. Na półce tykał dyskretnie wspinały zegar, podtrzymywany przez dwie skąpo odziane nimfy. Fryz pod półką przedstawiał pogańskie sceny polowania z jeszcze bardziej wątpliwie odzianymi kobietami. Byłem zaskoczony, że te dzieła przeżyły inwazję fordytów.

- Interesujący pokój - mruknąłem uprzejmie, kiedy Darrow podał mi filiżankę herbaty.

- Zależy, czym kto się interesuje.

Roześmialiśmy się i nagle przyszło mi do głowy, że może opat i sobie zaordynował wakacje.

Przypuszczałem, że się cieszy z mojego towarzystwa, dzięki któremu nie czuł się tak obco w nieznanym otoczeniu i właśnie miałem poprosić, żeby mi powiedział coś więcej na swój temat, kiedy zapytał:

- I co teraz sądzisz o tajemnicy Starbridge? Czy nadal zatruwa wszystkie twoje myśli, czy też udało ci się ją wreszcie wcisnąć w kaftan bezpieczeństwa?

- Mam już kaftan: zdaję sobie sprawę, że rzeczywiście w tej chwili nie ma sensu zajmować się spekulacjami. Ale nie mogę go na nią narzucić. A właściwie to chciałbym, żeby ojciec powiedział mi, co naprawdę sądzi o tej całej historii.

- Moja opinia jest bez znaczenia - odparł natychmiast Darrow. - Moim zadaniem jest naświetlenie problemu, tak żebyś sam mógł wyrobić sobie rozsądne zdanie.

- Doskonale to rozumiem. Ale...

- Zresztą moja opinia i tak by pozostała bez znaczenia. Nie było mnie w Starbridge. Dysponuję jedynie dostarczonymi przez ciebie dowodami, a na nie miały wpływ liczne czynniki, a niektóre z nich, choć starałeś się być uczciwy, mogły zniekształcić prawdę.

- Tak, to też rozumiem. Mimo wszystko jednak...
 - Mogę oczywiście kierować snop światła w ciemne zakątki. Ale czy to ci pomoże wcisnąć tajemnicę w kaftan bezpieczeństwa, czy też tylko zachęci cię do dalszego węszenia?
- Szukałem słów, by wyrazić potrzebę posiadania jakiegoś kryterium, wedle którego mierzyłbym, na ile jeszcze jestem normalny.
- Czuję, że potrzebna mi ojca reakcja - odezwałem się. - Inaczej cały czas będę się zastanawiał, co naprawdę ojciec w głębi ducha sądzi...
- Nie dokończyłem, ale to najwyraźniej Darrowowi wystarczyło; od razu podjął decyzję.
- Doskonale - oświadczył. - A więc będę rzucał snop światła. Rzeczywiście, w twoim opowiadaniu znalazły się sprawy, które, moim zdaniem, mogą mieć pewne znaczenie...

III

Zacznijmy od Lyle - powiedział Darrow. - Albo jest lesbijką, albo głęboko zakochana w innym mężczyźnie; trudno znaleźć inne wytłumaczenie jej herkulesowych wysiłków, by trzymać cię na dystans. W końcu, powiedzmy to sobie szczerze, jesteś pod każdym względem odpowiednim kandydatem. Nie zapomniałem, że może mieć głęboką, wewnętrzną niechęć do małżeństwa, ale wydaje mi się, że gdyby była zupełnie oziębła - że użyję tego słowa w jego psychoanalitycznym znaczeniu - domyśliłbyś się tego w tych bardziej intymnych momentach.

- Kiedy sobie pomyślę o tym gorącym pocałunku po kolacji w „Staro Arms” ...
- Tak, jeśli czujesz, że pod względem seksualnym jest normalna, będzie zupełnie naturalne, że próbujesz odnaleźć mężczyznę, któremu tę normalność ofiarowuje. Jednak, Charles, nawet jeśli tym mężczyzną jest Jardine, to jeszcze wcale nie oznacza, że z nim sypia. Może ją spalać niezaspokojona namiętność, a, jeśli byśmy się mylili i Lyle

rzeczywiście miała jakąś psychiczną barierę - strach przed stosunkiem seksualnym, który może współistnieć z zupełnie normalnym pragnieniem bycia obiektem romantycznych westchnień - wtedy mogłaby uznać, że woli niezaspokojoną namiętność od zaspokojonej.

Tak niemiłe prawdopodobna teoria nie była dla mnie niczym nowym, ale to wcale nie sprawiło, że przestała być mniej nieprzyjemna.

- Tak mniej więcej brzmiało wyjaśnienie Jardine'a staropanieństwa Lyle - przyznałem niechętnie.

- Tak, ale to o niczym nie świadczy - odparł natychmiast Darrow. - To mogłaby być prawda, ale gdyby musiał wymyślić historię, żeby wyjaśnić niechęć Lyle do małżeństwa, naturalnie wybrałby najprawdopodobniejszą. - I nim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, dodał: - Przerzućmy teraz nasz snop światła na Jardine'a, ponieważ kolejnym ważnym punktem na mojej liście jest jego stosunek do ciebie. Nie sądzę, żebyś zdawał sobie sprawę z jego niezwykłości. Oto mężczyzna, który słynie z tego, że często bywa dość brutalny w swej nieustannej walce z hipokryzją. A jednak, kiedy twoje makiaweliczne postęпки zostały zdemaskowane, czy Jardine cię zaatakował? Nie. Wyraziwszy swój gniew, skierowany zresztą na doktora Langa, nie na ciebie, najwyraźniej stara się za wszelką cenę zachować uprzejmość, co więcej zdaje się zmierzać do zrobienia z ciebie pupila. Oczywiście, to bardzo godne podziwu, ale czy w stylu Jr Une'a? Z tego, co o nim słyszałem, nie. Czemu nie wyrzucił cię pałacu? Nonsensem byłoby twierdzić, że twój szybki wyjazd wywołałby niepożądany rozgłos. Jardine wiecznie się z kimś kłóci. Dopiero co kłócił się z prymasem w Izbie Lordów. Czy jakikolwiek dziennik zwróciłby uwagę na zatarg z byle kanonikiem? Całe zachowanie Jardine jest ogromnie intrygujące.

Niewątpliwie była to rzecz, która umknęła mojej uwagi, kiedy zastanawiałem się nad tajemnicą Starbridge.

- I jak to można wytłumaczyć?

- Wysłuchajmy twojej opinii, nie mojej.
- Jardine mógł postanowić, że, aby uspić moje podejrzenia, lepiej mnie ułożyć po swojemu. A poza tym nie chciał pogarszać swoich stosunków z Langiem.
- Racja. Poza tym może obawiał się też, że gdyby cię wyrzucił, Lang podejrzewałby najgorsze. Mów dalej.
- Nie widzę innego wytłumaczenia.
- Jest jeszcze jedna ewentualność - powiedział Darrow, dolewając mi herbaty. - Mógł ulec chęci traktowania młodego, obiecującego mężczyzny jak syna. To częsty syndrom u bezdzietnych mężczyzn w średnim wieku i z pewnością tłumaczyłby jego wyjątkową łagodność względem ciebie. Poczulem nagle, że nie mogę dopić herbaty. Odstawiłem filiżankę na spodek.
- Jedyne, co możemy tu twierdzić z całą pewnością - podjął Darrow, przyglądając mi się uważnie - to że Jardine zachowywał się jak na siebie wyjątkowo, fakt, który może się okazać znaczący. Kolejną ważną kwestią...
- Tak, na co teraz skierujemy snop światła?
- Może na sygnet. Do tej pory każdy, nawet Loretta, traktował twoją teorię o nieoficjalnym małżeństwie jako szczyt szaleństwa i niemożliwości, pozostaje jednak faktem, że to jedyna teoria, która tłumaczy, jak Jardine mógł nawiązać romans z Lyle i wierzyć, że nie popadł w apostazję. Fakt, że przy okazji sam się oszukuje, jest tu bez znaczenia. Ogarnęła mnie taka ulga, że nie potrafiłem dobyć słów.
- Pytanie, które zadałbym Lyle, brzmiałoby następująco: - ciągnął Darrow, widząc, że nie mogę mówić - czemu starsza pani Jardine, macocha Jardine'a, podarowała jej właśnie ten sygnet? Większość kobiet z jej pokolenia miała dużo pierścionków: niekoniecznie drogie, ale zgrabne, ozdobione mniej szlachetnymi kamieniami ozdóbki. Jeśli palce pani Jardine tak bardzo popuchły od reumatyzmu, nie mogłaby nosić żadnego pierścionka. Czemu więc nie podarowała Lyle jakiegoś ładnego, kobiecego drobiazgu? Czemu

wybrała ten męski sygnet? To musiało mieć jakieś szczególne znaczenie.

- Racja.

Podniecenie przywróciło mi mowę.

- Nie podniecaj się, Charles. Wybór pierścienia o niczym nie świadczy, starsze panie mają najróżniejsze humory. Mimo to jednak ma znaczenie. - Dolał sobie herbaty. - Uważam też za znaczące, że kiedy przy kolacji wreszcie zacząłeś sugerować istnienie nieformalnego związku, nikt nie zawołał: „Dobre nieba, o czym on mówi?” czy „Przepraszam, doktorze Ashworth, mógłby ksiądz powtórzyć, bo wydaje mi się, że źle usłyszałem”. Twoje dziwaczne oświadczenie, co warto podkreślić, nie wzbudziło zaskoczenia, choć oczywiście mogło się tak stać dlatego, że wszystkich ogarnęło niewysłowione zażenowanie, kiedy się przekonali, do jakiego stopnia jesteś pijany.

- Tak więc nadal niczego nie można dowieść.

- Tak, ale kolejny znaczący fakt: sposób, w jaki Jardine ostatecznie wyjaśnił charakter ich trójkąta, niewątpliwie każe się zastanowić, co tam naprawdę się dzieje.

- Doprawdy? - spytałem zmieszany. - Ale przecież był taki przekonywujący! Zniszczył moją pewność, że odkryłem prawdę!

- To tylko świadczy o potędze jego siły przekonywania i może rzeczywiście nie być niczego winny, jednak w jego opowieści pojawił się pewien brak konsekwencji, który chyba ci umknął. Najpierw mówi, że pociągała go Lyle, ale uspokoił żonę, nie wymawiając dziewczynie. Wydaje się mało prawdopodobne, by jakikolwiek duchowny zdecydował się na przyjęcie tak ryzykownego kursu. Chyba że byłby bardzo zakochany i nie odpowiadał za swoje czyny. Zgódźmy się jednak, że drżał o zdrowie żony; załóżmy, że mówił prawdę, kiedy twierdził, że jego uczucia względem Lyle opierały się jedynie na pociągu seksualnym i miał bardzo poważny powód, by nadal ją zatrudniać. Następnie twierdzi, że zapanował nad swoimi uczuciami, tak że ów dziwny trójkąt może dalej funkcjonować bez przeszkód. To także wydaje się mało prawdopodobne, ale nie

zapominajmy, że mężczyźni w średnim wieku potrafią zapanować nad takimi niezbyt znaczącymi fascynacjami, szczególnie, jeśli - tak jak Jardine - mają bardzo ważne powody, by się z nich wyleczyć. Innymi słowy, jeszcze raz dajmy mu szansę i założmy, że to oświadczenie także było prawdziwe. Wtedy jednak Jardine dostarcza nam prawdziwie zdumiewającej informacji: przyznaje, że kiedy poznał Lyle, chciał się z nią ożenić. Otóż, Charles, moim zdaniem to oświadczenie nie pasuje do wcześniejszego stwierdzenia, że dziewczyna pociągała go jedynie seksualnie. Jeśli mężczyzna chce się żenić, musi istnieć głęboka namiętność, której nie można potraktować jak jednej z niedogodności średniego wieku.

- A więc zapewne kłamał, mówiąc, że zapanował nad swoimi uczuciami!

- Nie, nie wyciągaj pochopnych wniosków. Ten brak konsekwencji z pewnością sprawia, że jego wersja staje się mniej przekonująca, ale zdarzają się rzeczy nieprawdopodobne i nadal nie mamy dowodów, że w Radbury nie udało mu się zapanować nad swoimi uczuciami. Co więcej, w jego stwierdzeniu, że pod opieką Lyle zdrowie pani Jardine poprawiło się do tego stopnia, że mogli podjąć współżycie małżeńskie, brzmi prawda i można na jego podstawie sądzić, że ich małżeństwo nie tylko się nie rozpadło, ale wręcz nabrało życia.

- Ale co się stało, kiedy przenieśli się do Starbridge i pani Jardine znowu podupała na zdrowiu?

Czyżby Jardine przeżył nawrót uczuć do Lyle?

- Tego się nie dowiemy. I nie zapominaj, Charles, że nie mamy najmniejszego dowodu, by Jardine'owie nie cieszyli się udanym pożyciem małżeńskim.

- Ale z tego, co mówiła Loretta...

- Loretta w dość przekonujący sposób odgadywała, co mogło się przytrafić Jardine'om pięć lat temu, jednak jest to i pozostanie tylko teorią. - Darrow umilkł na chwilę, dając mi czas na przetrawienie tego, co powiedział, po czym dodał: - Charles, waga wyznania

Jardine'a, że kiedyś chciał się ożenić z Lyle, nie polega na tym, że stanowi ona dowód poważnego odstępstwa. Tak nie jest. Ważne jest to, że w ten sposób Jardine przyznał się do zaistnienia fatalnej dla jego zdrowia duchowego sytuacji. Nawet jeśli nie doszło do zdrady w sensie fizycznym, sposobność do ciągłych grzesznych myśli wystarczy, by przyprawić spowiednika o trwogę. Teraz to mi się wydawało takie oczywiste!

- Czemu, u licha, wtedy tego nie zauważyłem?

- Bo byłeś pijany i zupełnie zagubiony, jednak prawda jest taka, że każdy kierownik duchowy kazałby Jardine'owi pozbyć się dziewczyny, nawet jeśli to by oznaczało kolejne załamanie nerwowe pani Jardine. Należy tedy przypuszczać, że Jardine nie szukał rady i robił to, co chciał - bardzo niebezpieczny kierunek dla duchownego w tak groźnej sytuacji.

- Tak więc zaistniałyby warunki, w których mógłoby dojść do poważnego sprzeniewierzenia, jakim byłoby nieformalne małżeństwo.

- Możliwe, choć nadal nie ma dowodów, że coś takiego w ogóle miało miejsce. Jednak sytuacja jest znacząca, ta samo jak twoja ostatnia rozmowa z Jardinem, rozmowa, którą można uznać za przykład, jak nie należy spowiadać.

Wpatrywałem się w niego. Wreszcie gwałtownie się wzdrygnąłem i odwróciłem wzrok.

- Nie musimy o tym teraz rozmawiać - odparł natychmiast Darrow. - Sugeruję jedynie, że zupełnie niewłaściwe rozegranie tej rozmowy przez Jardine'a może pozwolić przypuszczać, że był zdruzgotany trafnością twoich stwierdzeń, ale, znowu, jak i na pozostałe nasze teorie, nie mamy na to dowodów. Można by to wytłumaczyć niewinnie: że był zdruzgotany widząc młodego człowieka, którego uważał za syna, w takim strasznym stanie i jego uczuciowe zaangażowanie względem ciebie nie pozwoliło mu skutecznie ci pomóc.

- Chciałbym, żeby ojciec, jeśli może, zechciał wytłumaczyć, skąd czerpie pewność, że Jardine niewłaściwie pokierował tamtą rozmową

- odezwałem się, starannie dobierając słowa. Ciągle na niego nie patrzyłem. - Przecież nie opowiedziałem ojcu szczegółowo, jak ona wyglądała. Jak więc może ojciec wiedzieć, czy zawiniło jego błędne postępowanie czy też ja, bo...

Ponownie wzruszyłem ramionami.

- To pewne, że byłeś w bardzo złym stanie i trzeba było coś przedsięwziąć - odparł bez wahania Darrow. - Ale nie należało wygłaszać długiej przemowy, która zraniła cię tak głęboko, że na koniec odpysknałeś i wyruszyłeś w drogę, choć zupełnie się do tego nie nadawałeś. Jardine powinien był cię uspokoić, pozwalając ci się wygadać; absolutnie nie miał prawa cię pouczać, kiedy powinien był słuchać. Jego kolejnym błędem było powiedzenie tego, co powiedział, ponieważ - niezależnie od tego, co to było

- okazało się to dla ciebie nie do zniesienia. Jedyne, co mi powiedziałaś o tamtej rozmowie, to że Jardine „rozdarł moją lśniąca zasłonę i odrzucił człowieka, który się za nią krył”. Nie będziemy teraz podejmować próby analizy tego zdania, ale wydaje mi się oczywiste, że Jardine zrobił coś, z punktu widzenia psychologii, niedopuszczalnego: rozbroił twój mechanizm obronny, który winien zostać nie tknięty, póki ty sam nie byłbyś na tyle silny, by go rozebrać.

- Mechanizm obronny...

- Nie myśl teraz o tym. Oczywiście będziemy musieli porozmawiać o znaczeniu twojej lśniącej zasłony, tak samo jak o całej twojej relacji z Jardinem, ale zrobimy to dopiero wtedy, gdy będziesz gotów, a kiedy już do tego dojdzie, obiecuję, że wnioski, które wyciągniesz, będą twoimi wnioskami, a nie wnioskami narzuconymi przeze mnie w czasie długiego wystąpienia.

- Widać z tego, że myślał... - powiedziałem z namysłem po chwili. - Sprawiał, że uwierzyłem...

- Tyle na dziś wystarczy - oświadczył Darrow, wstając z fotela.

- ...a w przeciwieństwie do niego, ojciec traktuje mnie, jakbym...

- Wstawaj,, zaprowadzę cię do pokoju.

- Ale jutro - zapewniłem - porozmawiamy o nim. Wiem już, że

mogę o nim mówić. Ojciec we mnie wierzy. Traktuje poważnie moje teorie. Nie uważa mnie za...

- Pozwól, że tym zajmiemy się jutro, kiedy nadejdzie pora. Teraz jesteś zbyt zmęczony, by mówić - powiedział Darrow, a ja posłusznie zapadając w zmęczone milczenie, pozwoliłem się zaprowadzić do pokoju.

IV

Chcę mówić o Jardinie - oświadczyłem następnego dnia, żeby udowodnić opatowi, że przez noc moja odwaga nie zmaląła.

- Oczywiście, jeśli chcesz, możemy o nim porozmawiać, sądziłem jednak, że moglibyśmy zacząć to badanie twoich osobistych problemów od zajęcia się po raz kolejny złożoną kwestią twojego życia w celibacie. I powiem ci czemu: ponieważ wydaje mi się, że ten problem wymaga u ciebie jak najszybszego rozwiązania. Ostatecznie, zapewne bez Jardine'a mógłbyś żyć, czy jednak możesz żyć bez żony? Zdaje się, że odpowiedź brzmi: nie.

Odprężyłem się; męka rozmowy o Jardinie została odłożona. Znowu siedzieliśmy przy stole w moim pokoju, a na zewnątrz ciągle padało.

- Bez wątpienia sytuacja jest bardzo złożona - ciągnął Darrow. - Z jednej strony zdajesz się nie mieć wątpliwości, że brak ci powołania do życia w celibacie. Jeśli jednak będziemy mówić o celibacie w dosłownym tego słowa znaczeniu - jako życiu bez żony - nie da się zaprzeczyć, że właśnie celibat udało ci się osiągnąć.

- Ale nie jako odpowiedź na wezwanie boże.

- Możesz mieć i rację, ale to bardzo ważny punkt i musimy sobie sprawę wyjaśnić. Sądzę, że się zgodzisz, że, jeśli chodzi o małżeństwo, istnieją dwa typy duchownych. Jedni uważają, że małżeństwo odrywa kapłana od służby Bogu, drudzy zaś sądzą, że żyjąc samotnie, nie

mogą należycie Mu służyć, ponieważ nieustannie nęka ich samotność i zastanawiają się, gdzie by tu - jakby powiedzieli marynarze

- znaleźć kolejną chętną dupę.

- To ja - przyznałem.

- Niewykluczone, ale nie spiesz się z wydawaniem sądów. Dalej

- myślę, że tu również się zgodzisz - napięcie seksualne może mieć wpływ także na tych powołanych do celibatu, ponieważ tak jeden, jak i drugi typ duchownych nie uważa pożądania seksualnego za podstawowy powód ich decyzji o celibacie bądź jego braku.

- Choćby święty Augustyn - mruknąłem.

- Rzeczywiście, choćby święty Augustyn, który żyjąc w celibacie, przyznawał się do silnego pociągu seksualnego. Chodzi mi o to, Charles, że twoje - obecnie bardzo silne - pożądanie seksualne niekoniecznie musi oznaczać braku powołania do celibatu i chciałbym cię teraz spytać, czemu, w tym konkretnym momencie życia, uprawiasz seks? Czy żeby się pozbyć znajomego łaskotania, czy też powody są bardziej złożone?

- Pamięta ojciec, że porównałem seks z Loretą do zastrzyków morfiny. Uważa ojciec, że seks mógł się dla mnie stać jedynie sposobem ucieczki od problemów.

- Jeśli rzeczywiście w ten sposób podchodzisz do seksu, istnieje niebezpieczeństwo, że małżeństwo nie rozwiąże twoich problemów, a jedynie je przytłumi. Właśnie dlatego musimy być tacy ostrożni, kiedy zastanawiamy się nad twoim niezrozumiałym, ambiwalentnym podejściem do powtórnego ożenku. Czy naprawdę nadajesz się do życia domowego? Czy mógłbyś lepiej służyć Bogu jako samotny mężczyzna? Oto pytania, które musimy głęboko rozważyć, jeśli mamy dojść do właściwych wniosków. - Rozumiem, do czego ojciec zmierza, ale fakt pozostaje faktem: byłem żonaty i wiem ponad wszelką wątpliwość, że małżeństwo może mi pomóc lepiej się modlić, ciężiej pracować i utrzymywać życie duchowe na znacznie bardziej wyrównanym poziomie. W tym momencie błąkam się i nie potrafię się skupić.

- Dobrze, niech będzie. Zgadzam się, że od powtórnego małżeństwa nie powstrzymuje cię powołanie do celibatu, którego nie pozwalają ci dostrzec twoje problemy wewnętrzne. Teraz, ustaliliśmy, że rzeczywiście potrzebujesz żony, aby jak najlepiej służyć Bogu,' zagłębmy się w tajemnicę, czemu nie możesz wstąpić na ślubny kobierzec.

Urwał i utkwiwszy we mnie spojrzenie tych bardzo jasnych, szarych oczu, spytał:

- Powiedz mi, Charles, który z was chce się ożenić?

Pytanie wydało mi się tak dziwaczne, że wpatrywałem się w niego w milczeniu.

- W końcu - wyjaśnił Darrow - nie zapominajmy, że jest was dwóch, prawda?

Przez dłuższy czas zmagalem się z tym, co przyniosło to stwierdzenie, ale opat mnie nie pospieszał, tak że wreszcie mogłem powiedzieć:

- To ten od lśniącej zasłony chce się żenić.

- Chciałby się ożenić z idealną kandydatką i żyć długo oraz szczęśliwie, jak na wzorowego księdza przystało?

- To ja chciałbym się ożenić z idealną kandydatką i żyć długo oraz szczęśliwie, jak na wzorowego księdza przystało.

- Jesteś tą lśniącą zasłoną, tak?

- Tak.

- Doskonale, w takim razie, co z twoim drugim ja? Posłuchajmy jeszcze raz, co sądzi o małżeństwie.

- Tak, któregoś dnia wspomniałem o jego stosunku do małżeństwa. Wątpi, by mógł się ożenić oraz żyć długo i szczęśliwie, ponieważ jest nic niewartym nieudacznikiem i żadna kobieta z nim sobie nie poradzi. Z wyjątkiem Lyle.

- A jednak Lyle z jakichś tajemniczych względów nie może wyjść za mąż. Sądzisz, że to zbieg okoliczności, że z dwóch kobiet, obecnych teraz w twoim życiu jedna jest niezależna i nie interesuje jej małżeństwo, druga zaś zdaje się walczyć, by nie zaangażować się głębiej w związek z tobą.

Znowu musiałem to przemyśleć, ale wreszcie przyznałem:

- To nie jest zbieg okoliczności. To swego rodzaju schemat. Już od jakiegoś czasu pociągały mnie wyłącznie kobiety, które nie nadają się na żony dla duchownego. - Nie potrafiłem się powstrzymać od pytania: - Czy to brzmi, jakbym był zupełnie szalony?

- Wcale - oświadczył poważnie Darrow. - To bardzo rozsądne ze strony twojego drugiego ja, że podejmie wszelkie możliwe środki, by zapobiec małżeństwu, skoro uważa, że ten krok skończyłby się katastrofą. - Umilkł i dodał: - Wygląda na to, że bardzo się boi owej potencjalnej katastrofy.

Po długiej chwili ciszy udało mi się skinąć głową.

- To musi być ogromny ciężar dla twego drugiego ja. Od dawna go dźwiga?

- Od siedmiu lat.

- Musi być wyczerpany. Nigdy go nie kusilo, żeby zrzucić ciężar i zwierzyć się komuś?

- Nie mogę - odparłem. - Ja, to znaczy który?

- Lśniący zasłona.

- A, tak, i oczywiście jest to jedyny Charles Ashworth, którego pokazywałeś światu, ale teraz już nie jesteś w świecie, a ja jestem inni niż wszyscy, bo wiem, że jest was dwóch. Coraz bardziej mnie ciekawi ten drugi ty, ten, którego nikt nie widzi. Chciałbym mu pomóc się wydostać z za lśniący zasłony i zrzucić ten przerażający ciężar, który przygniata go od tak dawna.

- On nie może wyjść. - Czemu to?

- Bo nie spodobałby się ojcu ani by go ojciec nie akceptował.

- Charles, jeśli podróżnik z trudem idzie drogą, uginając się pod ciężarem bagaży, nie potrzebuje, żeby go pogłaskano po głowie i zapewniono, jaki jest cudowny. Potrzebuje kogoś, kto zgodzi się nieść z nim ciężar.

Z uwagą zastanowiłem się nad tą metaforą.

- Pomyśl sobie że jestem tragarzem - podjął Darrow - i weź pod

uwagę możliwość, że życie stałoby się mniej wyczerpujące, gdybyś zrzucił część bagażu na mój pusty wózek.

Z jeszcze większą uwagą zastanowiłem się nad tą dalej poprowadzoną metaforą.

- Od czego mam zacząć? - spytałem wreszcie.

- Sądzę, że musimy się cofnąć o siedem lat, do momentu, gdy spadł na ciebie twój ciężar. Czy możesz mi powiedzieć, co się wydarzyło siedem lat temu, czy też jest to zbyt trudne? Jeśli tak, odłożymy to na jakiś czas i porozmawiamy o czymś innym.

Dopiero po długiej chwili udało mi się powiedzieć:

- Umarła moja żona. Siedem lat temu. Umarła.

- Ach, tak - mruknął Darrow i czekał, ale ten od lśniącej zasłony powiedział pewnie:

- Obawiam się, że nie ma sensu, żebym coś jeszcze mówił, bo ojciec i tak już wszystko wie.

- Wszystko? - Tak, powiedziałem już ojcu, jak strasznie przeżyłem jej śmierć i że zapewne mój ból do tej pory nie wygasł. To tak jakbym nie chciał ryzykować związania się z kimś, kto też mógłby umrzeć i sprawić tyle bólu.

- Rozumiem to doskonale, ale czyż choć w części bólu nie koją wspomnienia wspólnie przeżytych lat?

- Tak, oczywiście - zapewniłem pospiesznie. - Oboje bardzo się kochaliśmy i te trzy lata były po prostu doskonałe. - Żadnych chmur na horyzoncie? - Najmniejszej.

- Wspomniałeś, że twoja żona spodziewała się dziecka - powiedział tylko Darrow. - Czy ciąża była bardzo zaawansowana?

- Nie, Jane dopiero co się dowiedziała.

- Rozumiem. I byliście małżeństwem od trzech lat. Z pewnością musieliście się ogromnie niepokoić.

- Niepokoić?

- Miesiąc w miesiąc, czemu nie ma dziecka. Wstałem i wyszedłem z pokoju.

Rozdział trzeci

„Drogi pozbawionych dzieci małżonków łatwo się rozchodzą”.

Letters of Herbert Hensley Henson, zebr. E. F. Braley

I

Poszedłem do łazienki i przez chwilę siedziałem na krawędzi wanny. Kiedy już odzyskałem panowanie nad sobą, wróciłem do pokoju. Okazało się, że Darrow nadal siedzi przy stole, nie dałem mu jednak szansy zabrania głosu.

- Moje małżeństwo nie ma znaczenia w tej sytuacji - oświadczyłem - i szkoda ojca czasu na rozmowy o czymś bez znaczenia. Wiem, że to idiotyczne, że do tej pory się powtórnie nie ożeniłem, wystarczy jednak, że wezmę się w garść i zacznę rozsądnie zachowywać.

Cały czas krążyłem po pokoju. Wreszcie stanąłem przy szafce nocnej, wziąłem Biblię i przerzucałem strony. Pod palcami przesuwają mi się poszczególne księgi: Rodzaju, Wyjścia, Kapłańska, Liczb, Powtórnego Prawa, Jozuego...

- Widzę wyraźnie, że wolałbyś wrócić do tego tematu nieco później - stwierdził Darrow, wstając. - Zostawię cię, żebyś miał czas na rozplątanie kego wszystkiego.

- Ojciec opacznie mnie zrozumiał! - powiedziałem z rozdraż-

nieniem. - Sądzi ojciec, że nie mogę dalej mówić, ale ja mogę... Oczywiście, że mogę! I nie potrzebuję niczego rozplątywać, bo nic nie było zaplątane!

- To dlaczego miotasz się jak lew w klatce?

Ugryzłem się w język, żeby głośno nie zakląć i opadłem znowu na swoje krzesło. Darrow także wrócił na miejsce, ale choć czekałem na kolejne pytanie, on z uwagą przyglądał się swojemu pierścieniowi opata, póki sam nie wytrzymałem i zwróciłem się do niego:

- Czemu nic ojciec nie mówi?

- Czekam aż ty zaczniesz.

- Ależ ja nie mam nic do powiedzenia!

- Doskonale, posiedzimy w milczeniu.

Nachyliłem się i szarpnąłem go za rękaw, żeby oderwać jego uwagę od pierścienia.

- Chcę dalej mówić, ale nie mogę, jeśli nie zadaje mi ojciec pytań. Opat natychmiast wrócił do swej zwykłej postawy uważnego słuchacza.

- Zostawmy na chwilę żonę - zaczął - i zajmijmy się owymi nieodpowiednimi kandydatkami, które cię pociągały od jej śmierci. Czemu nie nadawały się na żony dla duchownego?

- Były rozwiedzione albo w separacji, albo były agnostyczkami. A jeśli nie agnostyczkami, to przynajmniej niezdecydowanymi deistkami jak Loretta.

- Spałeś z którąś z nich? - spytał niezobowiązująco Darrow.

- Dobrze nieba, ależ skąd! - zawołałem z oburzeniem. - Oczywiście, że nie! Sprawa mogłaby się roznieść... To by zrujnowało moją karierę, całą moją przyszłość... Nie mógłbym uprawiać seksu z którąkolwiek z nich!

- Który ja? Umilkłem.

- Wiemy z całą pewnością - podjął opat - że ktoś zwany Charlesem Ashworthem jak najbardziej uprawiał ostatnio seks z jedną z takich nieodpowiednich kobiet, niezdecydowaną deistką o nazwisku Staviski.

- To nie byłem ja.
- A więc to twoje drugie ja kochało się z Loretą. Ale jak zwykle radzi sobie, kiedy wstrzemięzliwość staje się dlań zbyt trudna?
- Jedzie za granicę - odparłem po chwili. - Wakacje. Zawsze za granicą. Loretta stanowiła wyjątek, bo kiedy jestem w kraju, zwykle udaje mi się trzymać go na uwięzi.
- I owe wakacje za granicą zawsze kończą się spowiedzią u obcego księdza?
- Oczywiście! Spowiedź, żal za grzechy, rozgrzeszenie... Cóż, nie mogłem chyba robić inaczej, prawda? A muszę tak robić, bo nic nie może stanąć między mną a moim powołaniem. Jeśli nie będę służył Bogu w Kościele, moje życie byłoby zupełnie pozbawione sensu, a źle by się stało, gdyby moje pragnienie służenia Mu pozostało nie zrealizowane tylko dlatego, że jakiś nic niewart nieudacznik, który wcale nie jest mną, ciągle błądzi.
- Powiedz, czy nigdy nie mogłeś porozmawiać z ojcem Reidem o problemach, których przysparzał ci ten drugi?
- Och, ależ nie mogłem! Drogi, poczciwy ojciec Reid lubił mnie i tak bardzo mu się podobałem, że nie mogłem znieść myśli o obdarciu go ze złudzeń. - Zawahałem się, ale dodałem pewnie: - To by było okrutne.
- A co z doktorem Langiem, który najwyraźniej cię lubi i popiera? Czy kiedykolwiek się mu wypowiadałeś, czy uznałeś, że i dla niego to by było zbyt okrutne? Przyjrzałem mu się bacznie, ale nie dostrzegłem śladu ironii, która pojawiłaby się, gdyby nie wierzył bądź mnie potępiał. - Kiedy pracowałem u Langa, zachowywałem czystość - odparłem ostrożnie.
- Zdaję sobie sprawę, ale jak było przed święceniami, kiedy już zostałeś pupilkiem Langa? Czy w studenckich czasach nie zdarzały ci się chwile słabości?
- Ale przecież nie mogłem o tym powiedzieć Langowi! To by oznaczało koniec jego opieki, przestałby mnie lubić i akceptować!
- Charles, czy uznasz, że szukam dziury w całym, jeśli powiem,

że z tego, co mówisz, wynika, że sympatia i akceptacja innych są dla ciebie ogromnie ważne?
Odpowiedź sama się narzucała.

- Cóż, oczywiście, że są dla mnie ważne! - zawołałem. - Chyba jak dla każdego. Czyż w końcu nie o to w życiu chodzi? Sukces to być lubianym i akceptowanym. Upadek jest wtedy, gdy zostaje się odrzuconym. Każdy to wie.

- Tyle na razie wystarczy - przerwał Darrow.

- Sukces jest równoznaczny z osiągnięciem szczęścia - ciągnąłem - i dlatego jestem takim szczęśliwym człowiekiem, mimo tych nieznaczących problemów, które mnie w tym momencie nękają. Zawsze wszystko mi się udawało: wspaniała kariera, wspaniałe małżeństwo...

- Porozmawiamy o tym po południu. Wygląda na to, że się przetrze. Może uda nam się spotkać w ogrodzie.

II

Muszę ojca przeprosić za przedstawienie, które z siebie zrobiłem dziś rano - powiedziałem. Zapach ziół unosił się w ciepłym powietrzu. - Oczywiście, kiedy tylko ojciec wyszedł, zdałem sobie sprawę, że zachowałem się jak szaleniec.

- Bez wątpienia byłeś nieco poirytowany, ale nie dopatrzyłem się oznak szaleństwa.

- A to ciągle przeskakowanie od jednej osobowości do drugiej?

- Mówiłeś o bardzo trudnych kwestiach, a ja cię do tego zachęcałem. - Darrow wyglądał na nie poruszonego. - Pamiętaj, że to ja, nie ty, wprowadziłem do rozmowy motyw dwóch osobowości, ponieważ miałem nadzieję, że w ten sposób zbliżymy się bardziej do prawdy.

Uspokoilem się.

- Tak czy owak - podjąłem - tylko szaleniec mógł próbować wmawiać, że moje małżeństwo było usłane różami, bo to z pewnością

wyłącznie wzbudziło ojca podejrzenia. W końcu ojciec też był żonaty i musi wiedzieć, że nawet w najszcześniejszym związku pojawiają się czasem kolce.

Zapadła cisza. Lewą ręką ścisnąłem oparcie ławki, prawą chwyciłem mocno krzyż.

- Kiedy w twoim małżeństwie pojawiły się pierwsze kolce? - spytał leniwie Darrow.

- Od razu, ponieważ miałem kłopoty finansowe. Z przykrością muszę wyznać, że za dużo wydawałem, próbując dotrzymać kroku ludziom, który się liczyli i kiedy poznałem Jane, byłem zadłużony. Nie stanowiło to jeszcze poważnego problemu, zwłaszcza że wkrótce miałem otrzymywać znakomitą pensję jako dyrektor szkoły. Jednak założenie rodziny to kosztowna inwestycja, a nie chciałem, żeby ojciec Jane uważał, że nie stać mnie na zapewnienie jego córce wszystkiego, co najlepsze.

- Jej ojciec cię akceptował?

- O, tak, bardzo, więc oczywiście nie chciałem go zasmucać, przyznając się do mojej trudnej sytuacji finansowej. Cóż, po ślubie powiedziałem Jane, że przez jakiś czas musimy być ostrożni... Nie oznaczało to obniżenia stopy życiowej, ale tylko unikania poważniejszych wydatków.

- Brzmi rozsądnie.

- Tak, ale... Niewątpliwie domyśla się ojciec, przed jak trudną to nas postawiło decyzją.

- Do dziś pamiętam - wtrącił Darrow - jak omal nie dostałem ataku serca, kiedy żona pokazała mi kupiony właśnie wózek i powiedziała, ile kosztował.

- Tak, wiedziałem, że ojciec zrozumie. Widzi więc ojciec, w jak niezręcznej sytuacji się znalazłem jako kapłan. W dwudziestym siódmym roku, kiedy się ożeniłem, Kościół anglikański oficjalnie miał jeszcze negatywny stosunek do antykoncepcji.

- Tak, rzeczywiście, w bardzo niezręcznej.

- Jane była bardzo wierząca i zszokowało ją, kiedy wspomniałem o antykoncepcji. XZgodziłaby się na nią później, gdybyśmy mieli

czwórkę czy piątkę dzieci i kolejna ciąża mogłaby zagrażać jej zdrowiu, nie sądziła jednak, by antykoncepcja nadawała się dla młodego małżeństwa. Cóż, ja też nie sądziłem, ale... To było trudne, ojcze. Naprawdę trudne.

- Czy to doprowadziło do kłótni?

- Jane nie należała do osób, które się kłóciły. Po prostu płakała i próbowała być dzielna. Bałem się jednak, żeby nie powiedziała o wszystkim ojcu. Staruszek prezentował wiktoriański model duchowego i uważał antykoncepcję za wymysł szatana.

- Jaki wpływ wywarła ta trudna sytuacja na wasze pożycie małżeńskie?

- Cóż, Jane starała się być dobrą żoną, więc pozornie wszystko wyglądało dobrze, nawet kiedy zacząłem używać prezerwatyw, ale.. Wiedziałem, że czuje się nieszczęśliwa, co wzbudzało we mnie poczucie winy, a poczucie winy sprawiało, że ogarniał mnie gniew, bo nie chciałem, by ktoś wzbudzał we mnie poczucie winy. W naszym pożyciu seksualnym pojawiło się napięcie. We wszystkich sprawach pojawiło się napięcie.

- Czy za każdym razem używałeś prezerwatywy?

- Tak, chyba że skończył mi się zapas. Nie mogłem kupować ich w pobliżu, żeby mnie nie rozpoznano, a nie zawsze miałem czas na dalsze wyprawy, toteż czasem musiałem się uciekać do stosunku przerywanego, ale, och, jak ja tego nienawidziłem! Tak się obawiałem, żeby przypadkiem...

- Głęboko się obawiałeś? Czemu? Czy nadal mieliście kłopoty finansowe?

- Nie, moja sytuacja finansowa znacznie się poprawiła. W dniu pierwszej rocznicy naszego ślubu miałem już nawet dodatni bilans w banku.

- Rozumiem więc, że w takiej sytuacji temat dziecka ponownie się pojawił na wokandzie.

- Tak, Jane chciała, żebyśmy zaprzestali stosowania środków zabezpieczających, a ja się zgodziłem.

Ale wtedy wydarzyło się coś strasznego, ojcze, istna klęska dla mężczyzny. Zacząłem cierpieć na

przedwczesny wytrysk. Ejakulowałem jeszcze nim zdążyłem w nią wejść.

- Rzeczywiście, bardzo przygnębiające. I co na to powiedział twój lekarz?

- Och, nie mogłem się do niego z tym zwrócić! Znałem go na gruncie towarzyskim, był przyjacielem mojego teścia i nie chciałem, żeby któryś z moich znajomych uważał mnie za nie-dojdę. Zresztą, wszystko było dobrze, dopóki używałem prezerwatywy.

- Mówisz, że wróciliście do tego?

- Cóż, chyba musiałem, prawda? Bez prezerwatywy nasze pożycie było klęską. Powiedziałem więc Jane: „Będę musiał nadal używać prezerwatyw, póki nie przezwyciężę tej trudności”, na co ona odparła: „Skoro tak uważasz”... Ale potem słyszałem, jak płakała w sypialni.

- Kiedy powiedziałeś o tym kierownikowi duchowemu?

- W ogóle nie powiedziałem. To nie był problem duchowy.

- Twierdzisz, że ten poważny kłopot małżeński w ogóle nie wpłynął na twoją modlitwę i służbę Bogu?

- Ale nie mogłem o tym powiedzieć drogiemu, pocziwemu ojcu Reidowi! Był taki święty, taki czysty, jak, u licha, miałem mu powiedzieć o prezerwatywach i przedwczesnej ejakulacji? Nie o takich sprawach rozmawia się z kierownikiem duchowym, zresztą... Nie chciałem, żeby któryś z duchownych dowiedział się o stosowaniu przeze mnie antykoncepcji.

- Skoro mowa o twoich obowiązkach duchownego, mogę spytać, jak w tej trudnej sytuacji radziłeś sobie na stanowisku dyrektora St Aidan's?

- Och, ojcie, to chyba było najgorsze ze wszystkiego! Tak mnie nudzili ci dorastający chłopcy! Zapomniałem już, jak nudne potrafi być życie w szkole z internatem...

- Kiedy zdałeś sobie sprawę, że popełniłeś błąd?

- Prawie natychmiast, ale uważałem, że nie mogę się nikomu przyznać, bo\wszyscy - a zwłaszcza Lang

- spodziewali się, że

świetnie sobie poradzę na tym stanowisku i nie mogłem znieść myśli o odarciu ich ze złudzeń. Wiedziałem więc, że będę musiał znosić to przez co najmniej trzy lata. Gdybym wcześniej zrezygnował, ludzie mogliby pomyśleć, że się nie sprawdziłem.

- A co Jane sądziła o twoim rozczarowaniu pracą? Musiało ją to ogromnie martwić.

- Och, nic jej o tym nie powiedziałem - odparłem. - Oczywiście, że jej nie powiedziałem. Jak wszyscy, spodziewała się, że doskonale sobie poradzę, a zresztą była już tak przygnębiona, że nie mogłem jeszcze bardziej jej martwić...

- A jak wyglądało wtedy wasze pożycie?

- Nędznie. Od czasu do czasu próbowałem bez prezerwatywy, ale bez skutku. Oboje jednak za wszelką cenę staraliśmy się udawać, że nic złego się nie dzieje, więc...

- Ale przecież taki stan nie mógł trwać bez pojawienia się jakiegoś kryzysu?

- Rzeczywiście, Jane stała się nieco przygnębiona. Nie, to nie było załamanie nerwowe - nikt nigdy tego tak nawet nie nazwał - ale bez przerwy płakała i oświadczyła, że na jakiś czas chce wrócić do ojca... Omal nie dostałem zawału, kiedy to powiedziała, ale wtedy wydarła się na mnie, że bardziej mnie obchodzi, co jej ojciec sobie pomyśli, niż co ona uważa. Powiedziałem: „Nie, bardzo mnie obchodzi co myślisz, kocham cię”, na co na się rozplakała i zawołała: „Jak możesz żyć bez dziecka, jak możesz być zadowolony z takiego życia?” „Nie jestem, nie jestem”, uspokajałem. „Chcę dziecka tak samo gorąco jak i ty”... I wtedy, ojcze, zrozumiałem, dotarło do mnie, że kłamałem. Nie chciałem mieć dziecka. Nie wiedziałem, czemu. Nadal nie wiem. Pomyślałem tylko: „Nie mogę być ojcem, nie poradzę sobie”. Wiedziałem jednak, że nie mogę o tym powiedzieć Jane ani nikomu innemu. Chrześcijański związek ma na celu prokreację, a ja byłem nie tylko chrześcijaninem, byłem duchownym. Jednak ten nieznajomy, ten który się kryje za lśniąca zasłoną, nie chciał dziecka i zapanował nad moim małżeństwem. Ja... Ja próbowałem go trzymać z dala, tak usilnie się starałem, ojcze, tak bardzo...

Pękałem, ale wziąłem się w garść.

- „Ciasna jest brama” - wyszeptałem - „i wąska droga”... Wytarłem oczy rękawem i jakoś znalazłem siły, by mówić dalej.

- Najdziwniejsze w tym wszystko było to - podjąłem - że kiedy tylko przyznałem się przed sobą, że nie chcę dziecka, skończyły się moje problemy z przedwczesną ejakulacją. To tak jakby chroniła mnie ona przed ojcostwem, póki sam nie stawiłem czoła prawdzie, kiedy jednak to zrobiłem, okazało się, że zdobyłem niemal nieograniczone panowanie nad sobą. Udawałem wobec Jane. Udawałem, że osiągnąłem orgazm i jakoś się powstrzymałem, póki nie schroniłem się w łazience.

- Przecież Jane musiała zdawać sobie sprawę, że nie doszło do wytrysku nasienia.

- Nie wiem. Nie wiem, co sobie myślała, ojcze. Nigdy o tym nie rozmawialiśmy.

- Zwłaszcza że byliście w tym czasie już sobie obcy.

- O, nie, ojcze, wszyscy zauważali, jacy byliśmy z Jane szczęśliwi, idealne młode małżeństwo...

- I jak zakończyła się ta tragedia?

Już otworzyłem usta, żeby zaprzeczyć: „To nie była tragedia!”, ale nic nie powiedziałem. Zbyt wielka mnie ogarnęła ulga, że wreszcie mój ból został prawidłowo określony. Czułem się, jakbym wreszcie zmienił parę twardych chodaków na miękkie, skórzane pantofle.

- Tragedia - powtórzyłem. - Tragedia. - Musiałem wypowiedzieć je głośno, by się upewnić, czy to prawda. - To słowo sukces jest tu nieprawdziwe, tak ojcze? Ale przecież ja zawsze muszę mówić o wszystkim jako o sukcesie, ponieważ tragedia i niepowodzenia są... - Szukałem właściwego słowa, ale udało mi się jedynie bąknąć: - nie do przyjęcia.

Darrow milczał.

- Mnie nie spotykają tragedie i niepowodzenia - ciągnąłem. - Nie wolno im mnie dotykać.

- Kim jestem ja?

- Lśniąca zasłona.
 - W takim razie kogo spotkała tragedia?
 - Mojego drugiego ja.
 - I on się teraz zgadza, że to była tragedia?
 - Sądzę, że zawsze wiedział. Cierpienie zdawało się takie niezasłużone.
 - I to go gniewało, prawda? Udało mi się skinać głową.
 - Dobrze! - oświadczył Darrow ku memu zdumieniu. - Miał prawo gniewać się, skoro go zamknięto i nie liczonego z jego cierpieniem! Cóż bardziej nieludzkiego może spotkać cierpiącego człowieka niż więzienie?
 - Ale przecież musiałem trzymać go w zamknięciu! - zawołałem zmieszany.
 - Tak, ale sądzą - zwrócił się do lśniącej zasłony Darrow, - że potrzebujesz odpoczynku. Bycie bezwzględny strażnikiem więziennym musi bardzo wyczerpywać. Myślę, że można warunkowo wypuścić więźnia - na chwilę, może dwie - aby dokończył opowieść o tragedii, która, jego zdaniem, należy do niego i tylko niego. A może zbyt jest rozgniewany, by o tym mówić?
 - Nie, on chce mówić - powiedziałem - bo wie, że ojciec go zrozumie.
- I wyszedłem z za swojej lśniącej zasłony. Czuję się nagi, przerażająco odsłonięty, ale nie sam. Wyszedłem, ponieważ czekał tu na mnie Darrow i wierzyłem mu, że nie zasłoni oczu z trwogą.
- Tragedia skończyła się, gdy Jane zaszła w ciążę - zacząłem i to ja zacząłem, moje drugie ja, a właściwie nie moje drugie ja, lecz moje prawdziwe ja, prawdziwy Charles Ashworth. To ja wypowiedziałem te słowa. - Nie wiem, jak to się stało, ale przypuszczam, że po raz pierwszy stosunek przerywany nie był aż tak przerywany, jak mi się wydawało. I tak pewnego wieczoru, gdy wróciłem do domu po absolutnie koszmarnej radzie - och, jak ja nienawidziłem szkoły!

- czekała na mnie rozradowana Jane, żeby powiedzieć mi dobrą nowinę. I wtedy moje drugie ja, MOJE PRAWDZIWE JA, ja rozerwałem lśniąca zasłonę. Powiedziałem: „O Boże, to ostatnia rzecz, o której chciałbym usłyszeć po kolejnym cholernym dniu w tej przeklętej, cholernej szkole” i nalałem sobie podwójną whisky. „Nie jesteś tym, za którego wychodziłam!”, zawołała Jane. Łzy spływały jej po policzkach i natychmiast ogarnęły mnie potworne wyrzuty sumienia. Podbiegłem do niej, błagałem o wybaczenie, ale krzyknęła: „Nigdy!”, uderzyła mnie i wybiegła. Byłem tak ogłuszony, że w pierwszej chwili nie pobiegłem za nią, a kiedy to zrobiłem, było już za późno. Nie dałem rady jej dogonić. Wyjechała samochodem i pięć minut później uderzyła w drzewo. Zginęła na miejscu. Nie było innego samochodu i koroner uznał rzecz za nieszczęśliwy wypadek, ale ja oczywiście zawsze się zastanawiałem... zawsze się zastanawiałem...

- ...czy to nie było samobójstwo - dokończył Darrow. - Pochyliłem głowę, chowając ją na ramieniu i zapłakałem tak, jak nie płakałem od chwili, gdy siedem lat temu dowiedziałem się o śmierci Jane.

III

Jeśli była głęboko wierząca - powiedział Darrow - należałoby wykluczyć samobójstwo. Przesunął krzesło, żeby usiąść obok mnie.

- Ale tego nigdy nie będę pewny, a cały czas czuję się całkowicie odpowiedzialny za jej śmierć.

- Doskonale rozumiem, że możesz się tak czuć, Charles, ale nie masz prawa do takiego sądu. Nigdy nie poznamy wszystkich okoliczności tragedii, a gdyby nawet, mogłoby zabraknąć nam mądrości, by odpowiednio je zinterpretować.

- Ale nie można podważyć...

- Jedyne czego nie można podważyć, to faktu, że twoja żona nie żyje. Bóg, z powodów, których my nie pojmiemy, powołał ją do krótkiego życia w tym świecie i musisz się z tym pogodzić. Poczucie winy każe ci mówić, że to nie powinno było się wydarzyć, że Bóg się pomylił, a to jest bezczelność. Powinieneś powiedzieć raczej: „Jane przestała już cierpieć i taka jest wola Boża; rzeczywiście, w czasie naszego małżeństwa popełniałem błędy, ale teraz zamiast pogrążyć się w poczuciu winy, lepiej żebym się dowiedział, czemu je popełniłem i upewnił się, że to już nigdy się nie powtórzy”. Wtedy śmierć Jane nabierze wartości.

- Kochałem ją - wyszeptalem. - Naprawdę ją kochałem.

- Oczywiście. To dlatego nie siedzisz teraz zadowolony i nie oświadczasz: „Moje małżeństwo było kompletną pomyłką, ale na szczęście się wyrwałem”. I właśnie dlatego, przez pamięć Jane, musisz odbudować swoje życie, abyś mógł się ożenić z właściwą kobietą i stworzyć z nią prawdziwe małżeństwo. Moim zdaniem teraz musisz przede wszystkim zrozumieć, czemu twój związek natknął się na tak bolesne doświadczenia.

- Ależ ja rozumiem! To dlatego, że moje prawdziwe ja było takim nic niewartym nieudacznikiem...

- Przestań! - uciął opat tak ostrym tonem, że podskoczyłem. - Zaprzeczasz każdemu słowu, które do tej pory wypowiedziałeś!

Wpatrywałem się w niego szeroko otwartymi oczami.

- Nie rozumiem.

- W swojej opowieści dałeś jasno do zrozumienia, że twoje prawdziwe ja odezwało się dopiero w tej ostatniej scenie. Kto właściwie kierował tym twoim małżeństwem?

Nie znalazłem odpowiedzi.

- Twoje problemy z małżeństwem nie zaczęły się w czasie ostatniej rozmowy z Jane, prawda? Zaczęły się jeszcze nim się ożeniłeś, kiedy popadłeś w kłopoty finansowe. A kto cię w nie wciągnął, namawiając do utrzymywania kosztownych pozorów? Kto nie pozwalał ci szukać pomocy, bo twierdził, że nikt się

nie może dowiedzieć, że twoje małżeństwo jest zagrożone? Kto cię omamił tak, że dałeś się namówić na tę nieszczęsną posadę dyrektora, a potem upierał się, żebyś został? Kto stanął między tobą a żoną, nie pozwalając ci być z nią szczerzy? Kto zapoczątkował tragedię, a potem zostawił twoje prawdziwe ja, żeby ugięło się pod ciężarem winy i wstydu?

Ale ja nadal nie mogłem odpowiedzieć. Nie potrafiłem wyrazić słowami kłębiących się we mnie uczuć.

- To nie ty jesteś czarnym charakterem w tej opowieści, Charles - mówił dalej Darrow. - Jesteś ofiarą. To lśniąca zasłona powinno się zamknąć w więzieniu.

IV

Zapadła długa cisza, w której usiłowałem się przystosować do tego nowego spojrzenia na moją osobowość, ale po jakimś czasie opat dodał:

- Zaczynam bardzo, bardzo współczuć temu twojemu prawdziwemu ja. Przytrafiły mu się okropne rzeczy, ale nikt o tym nie wie, bo nie wolno mu o tym opowiadać. Został odcięty, odizolowany przez bezwzględnego klawisza. Ucieka tylko, kiedy strażnik za dużo wypije i wtedy jest tak agresywny, że wydaje się nie do zaakceptowania, ale trudno się dziwić jego gniewowi! Wylądował w więzieniu na podstawie fałszywych oskarżeń, złożonych przez klawisza, który sam powinien się znaleźć za kratkami. Powiedz, czy naprawdę nie współczujesz mu w biedzie, w jakiej się znalazł?

- Tak, ale... Na cóż się zda moje współczucie?

- Na bardzo wiele, bo jeśli zamiast z ohydą spojrzysz na niego ze współczuciem, w lustrze pojawi się inny obraz. Miłość i współczucie rodzą zrozumienie i przebaczenie, a kiedy człowiek zrozumie sam siebie na tyle, by sobie wybaczyć swoje błędy, przestanie być nieudacznikiem^apoczucie, że jest niegodny zniknie. A właśnie tego

pragniemy, zgadzasz się, Charles? Chcemy odbudować twoją wiarę w swoją wartość, abyś znalazł odwagę, by odsunąć lśniąca zasłonę i zatriumfować nad tyranem, który tak długo cię gnębił. Po raz kolejny z moich oczu popłynęły niechciane łzy.

- Czemu czuję się taki niegodny? - usłyszałem swój szept. - Czemu to wszystko się wydarzyło?
- To właśnie ta druga tajemnica, która ukrywa się za pierwszą, tajemnica, którą teraz musimy zgłębić.

V

Ponownie spotkaliśmy się wieczorem. Lampka nocna jak zwykle stała za Darrowem, nadając jego szpakowatym włosom dystyngowanego srebrzystego blasku. Wystarczyło na niego spojrzeć, by wiedzieć, że ma się do czynienia z kimś obdarzonym autorytetem, ale dziś to wrażenie było znacznie słabsze niż zwykle. Dziś zdawałem sobie sprawę przede wszystkim z jego łagodności.

- Możesz znowu wyjść warunkowo? - spytał. - Bardzo chciałbym się dowiedzieć, co teraz sądzisz o swojej lśniącej zasłonie, kiedy miałeś czas, by się zastanowić nad tym, o czym rano rozmawialiśmy.
- Trzeba go zamknąć. To wiem. Ale zupełnie nie wiem, jak to zrobić.
- Możliwe - odparł Darrow - że jeśli rozwiążemy tajemnicę, która ukrywa się za pierwszą, on po prostu zniknie.

Byłem zaintrygowany, ale i sceptyczny.

- Nie wyobrażam sobie, żeby mógł po prostu zniknąć.
- Od dawna ci już towarzyszy, co?
- Od zawsze.
- Był przy tobie zawsze, definiując sukces jako zdobycie u wszystkich sympatii i aprobaty?
- Cóż, oczywiście, zdaję sobie sprawę, że w życiu chodzi

O coś więcej niż zdobycie sympatii i aprobaty innych. Sukces oznacza pójście za swym powołaniem i jak najlepsze realizowanie go na miarę swoich możliwości. Innymi słowy, człowiek oddaje się Bogu i...

- Którego siebie?

.- Prawdziwego - odparłem bez namysłu i usłyszałem, jak gwałtownie wciągam powietrze. Ciągle jeszcze się zmagając z olśnieniem, które na mnie spadło, dokończyłem: - Człowiek oddaje prawdziwego siebie na służbę Bogu i stara się za wszelką cenę pełnić Jego wolę.

- Czy też, operując pojęciami spoza teologii - powiedział Darrow, dając mi czas na dokończenie walki - na sukces składa się jak najpełniejsze wykorzystanie w służbie dobru potencjału swojego prawdziwego ja, tak aby życie stało się harmonijnym ukazywaniem danych mu przez Boga darów. A teraz, Charles, jak byś - twoje prawdziwe ja - zdefiniował klęskę?

- Jako zamknięcie swego prawdziwego ja, żeby żyć w kłamstwie - usłyszałem swój głos. - Życie w dysharmonii ze swoim prawdziwym ja, żeby osiągać niewłaściwe cele z niesłusznych pobudek. Liczenie się bardziej z opinią innych niż z Bożą wolą i jej pełnieniem. Teraz wiem, jak bardzo się myliłem - dodałem ze wstydem.

- Tak, trzeba jednak zwrócić uwagę, że twoje błędy nie są skutkiem jakiejś poważnej niezdolności twojego prawdziwego ja. Ono wie - ty wiesz - dokładnie, co powinienesz robić ze swoim życiem, ale ta lśniąca zasłona tak mocno zaplątała się wokół ciebie, że ogromnie dużo czasu i energii pochłania ci zaspokajanie jej chętek.

Przemyślałem uważnie to podsumowanie i w końcu oświadczyłem:

- To tak, jakbym był szantażowany.

- Dokładnie. Ten od lśniącej zasłony upiera się, że odpowiedni ludzie nie będą cię lubić ani akceptować, póki nie wybudujesz mu luksusowego mieszkania, które dokładnie przesłoni twoją osobowość, a ty z jakiegoś powodu tak jesteś uzależniony od sympatii i aprobaty innych, że chętnie spełnisz jego życzenie, byle zaspokoił twój nałóg.

Zastanowiłem się nad tym.

- Kiedy wiem, że ludzie mnie lubią i akceptują - spróbowałem - nie czuję już takim nic niewartym nieudacznikiem.

Darrow wyglądał na zadowolonego, jakby jakiś tępy uczeń nagle popisał się elokwencją.

- Świetnie - oświadczył. - A teraz może rozumiesz, że jeśli rozwiążemy zagadkę, która kryje się za pierwszą tajemnicą lśniącą zasłona może po prostu zniknąć.

- To musi być kwestia przewyciężenia nałogu. Jeśli nie będę się czuł nic niewartym nieudacznikiem, wtedy przestanę być tak uzależniony od sympatii i aprobaty innych i nie będę potrzebował lśniącej zasłony, która zapewnia mi ich sympatię i aprobatę.

Darrow znowu wyglądał na zadowolonego, jakby tępy uczeń w końcu znalazł się na pierwszym miejscu w klasie, ale nim zdążył cokolwiek powiedzieć, przyznałem ze zniechęceniem:

- Umysłem wszystko to przyjmuję, ale...

- ...w duchu nadal nie pojmujesz, jak mógłbyś sobie poradzić bez lśniącej zasłony, która przyciąga do ciebie ważne osobistości. Sądzę jednak, że jeśli dotrzemy do samych korzeni i dowiemy się, w jaki sposób zjawiała się w twoim życiu, zaczniemy też rozumieć, czemu czujesz się zbyt niegodny i aż takim nieudacznikiem, by iść bez niej przez życie.

- Ale ona nie ma korzeni - odparłem zbity z tropu. - Już mówiłem, była od zawsze.

- Zdumiewające - oświadczył Darrow spokojnie. - Nigdy nie słyszałem o dziecku, które przyszło na świat wyposażone w lśniącą zasłonę.

Uśmiechnąłem się niepewnie.

- A jeśli nie znajdziemy korzeni? - spytałem po chwili.

- A czemuż to nie mielibyśmy znaleźć? Musimy tylko wiedzieć, gdzie kopać. A kiedy już dotrzemy do korzeni, wyrwiemy je, tak że nic nie zostanie z chwastu, który wyschnie na słońcu, a przyduszona, głodna roślina na grządce wreszcie będzie mogła zakwitnąć.

W milczeniu rozważałem tę możliwość i długo trwała ta cisza.

- Jednak - odezwał się Darrow, przyglądając mi się uważnie - kopanie to ciężka praca i możesz jeszcze nie być wystarczająco silny.

- Czy to tu wrota stają się jeszcze ciaśniejsze, a droga jeszcze węższa? - spytałem nagle.

- Tak, ale jeszcze nie musimy się do nich zbliżać, Charles. Możemy po prostu na chwilę usiąść i popatrzeć.

Ale ja powiedziałem tylko:

- Chcę iść naprzód.

Rozdział czwarty

„Nie jest łatwym zadaniem ułożenie autobiografii w taki sposób, w jaki się właśnie do ciebie zwracam, sądzę jednak, że będzie trzeba go spróbować, ponieważ bez wątpienia moja osobista religijność znacznie ucierpiała przez ekscentryczne szaleństwa moich młodych lat”.

Herbert Hensley Henson, biskup Durham (1920-1939), Retrospect of an Unimportant Life

I

Był ranek i słabe światło pochmurnego dnia rozjaśniało mój pokój, kiedy znowu siedliśmy z opatem za stołem. Ponownie wyraziłem pragnienie rozpoczęcia kopania, które doprowadzi nas do korzeni lśniącej zasłony, jednak Darrow nie od razu odpowiedział. Podejrzewałem, że obliczał, na ile przemawiała przede mną buta.

- Cóż, poczekajmy chwilę z wkopywaniem się w głąb - odezwał się Darrow. - Najpierw odgarnijmy trochę ziemi i porozmawiajmy o Jardinie.

Mimowolnie sięgnąłem po krzyż.

- Nie będziemy zajmować się szczegółami - zapewnił szybko Darrow - chciałbym jednak dowiedzieć się jednego: czy Jardine od razu cię polubił? Niewątpliwie później bardzo cię lubił, inaczej nie opowiedziałby ci o swoim ojcu.

Bez trudu przychodziło mi myślenie o pierwszej części mojej wizyty w Starbridge.

- Nie sędę, żebym początkowo szczególnie mu się podobał - odparłem. - Uważał mnie po prostu za kolejnego inteligentnego młodzieńca Langa.
- Chciałeś, żeby cię polubił?
- Tak, oczywiście.
- Czemuż to „oczywiście”? Przecież mogło ci na tym w ogóle nie zależeć.
- Tak, ale w czasie naszej sprzeczki przy kolacji sprawiał wrażenie, jakby nie podobało mu się nic, co mówiłem...
- ...a tobie nie podobało się, że cię nie akceptował? Zawahałem się chwilę.
- Byłem wściekły - powiedziałem ostro.
- A jednak byłoby prawdą stwierdzenie, że pod koniec wizyty udało ci się zyskać jego aprobatę mimo antagonizmu spowodowanego misją Langa i twoim uczuciem do Lyle?
Potaknąłem.
- Doskonale - oświadczył Darrow. - Ustaliliśmy, że Jardine był starszym od ciebie o wiele lat mężczyzną, który cię lubił i akceptował. Zostawmy teraz Jardine'a i cofnijmy się znacznie w przeszłość. Porozmawiajmy o twoich kontaktach z doktorem Langiem. Zdaje się, że tam wystąpi podobny schemat... Ale może się mylę.
- Nie - przyznałem niechętnie. - Lang i Jardine zupełnie się od siebie różnią, ale z równym powodzeniem udało mi się zyskać sympatię i akceptację Langa.
- Jak możesz dokładniej opisać swoją relację z Langiem?
- Byłem jego protegowanym.
- Tak, ale czy jest jakiś rzeczownik, za którego pomocą sądzisz, że mógłbyś opisać uczucia tego szanowanego, znacznie od ciebie starszego mężczyzny, który cię lubił i akceptował?
- Życzliwość.
- A jakiś inny?

- Nie - odparłem bez wahania.
 - Doskonale, teraz cofnijmy się jeszcze nieco dalej, do ojca Jane, kolejnego szanowanego, znacznie od ciebie starszego mężczyzny, który traktował cię z życzliwością. Opowiadając o Jane, dałeś wyraźnie do zrozumienia, jak bardzo liczyły się dla ciebie jego sympatia i aprobata i najwyraźniej udało ci się nawiązać z nim dobrą relację. Czy Jane miała braci?
 - Nie. I chyba staruszka bardzo to martwiło.
 - W takim razie musiał się cieszyć zdobywszy tak świetnego zięcia.
Znalazłem plamę na stole i nic nie mówiąc przeciągnąłem po niej palcem.
 - Prawdziwy zbieg okoliczności, musisz przyznać? Trzech szanowanych starszych mężczyzn, z których każdy traktuje cię z wyjątkową sympatią! Czy powiedziałbyś, że mieli jakiś wspólny rys?
 - Kościół.
 - Czy to jedyne, co ich łączyło?
 - Tak - odparłem natychmiast.
 - A kiedy studiowałeś w Cambridge? Przypuszczam, że i tam był ktoś szczególny, kto się tobą zainteresował? - Cóż, prawdę mówiąc, tak. Stałem się ulubieńcem dyrektora Laud's College.
 - Miał rodzinę? - Jego dwaj synowie zginęli na wojnie.
 - A zanim wylądowałeś w Cambridge? Jestem pewien, że twój dyrektor szczególnie się tobą interesował, zgadza się?
 - Tak, byłem prymusem.
 - A w szkole z internatem?
 - Tak, tam też byłem prymusem.
 - A co się działo, zanim tam się znalazłeś? - spytał Darrow. - Kto był wtedy ważnym mężczyzną w twoim życiu?
- Wyjrzałem przez okno, popatrzyłem na ogród, popatrzyłem w swoją przeszłość i cisza zamknęła się wokół mnie, podczas gdy w głowie kłębiły się wspomnienia.

- Charles - odezwał się opat - już od jakiegoś czasu obserwuję postaci dramatu, które przewijają się przez scenę twojego życia, ale do tej pory nie pojawiła się bardzo ważna osoba. Czy nie nadszedł moment, aby nastąpiło tak długo wyczekiwane wejście, czy też zamierzasz je zachować na później? Roześmiałem się.
- Ależ tak, jak najbardziej! Sądzę jednak, że w tej konkretnej sytuacji mój ojciec jest bez znaczenia.
- Jeśli nie chcesz teraz o tym mówić...
- Och, nie ma najmniejszego problemu! Co chciałby ojciec wiedzieć?
- Cóż, gdybyś tak mógł wspomnieć od niechcienia, jak się układały wasze kontakty?
- Wyjątkowo dobrze - zapewniłem. - To wspaniały gość, mogę go jedynie podziwiać i szanować.
- Zawsze dobrze się z nim porozumiewałeś, prawda?
- Zawsze. Cóż... Muszę przyznać, że pojawiły się pewne za-drażenia, kiedy postanowiłem zostać księdzem... Nie, nazwijmy rzecz po imieniu: strasznie się pokłóciliśmy, ale już dawno załagodiliśmy sprawę i teraz jest dumny z mego sukcesu. Bardzo kocham moich rodziców, a z bratem jesteśmy prawdziwymi przyjaciółmi. Co więcej, powiedziałbym wręcz, że stanowimy wyjątkowo bliską, szczęśliwą rodzinę.
- Kiedy ostatni raz byłeś w domu? - spytał na to Darrow.

II

Nie sądzą, żebym mógł więcej mówić. Nic mi nie jest, wszystko jest w porządku, ale sądzą, że potrzebuję nieco czasu, by zastanowić się nad tą dziwnym zbiegiem okoliczności, który sprawia, że ciągle natykam się na życzliwych duchownych w starszym wieku. Uśmiechnąłem się, żeby udowodnić, jak mnie to rozbawiło, jaki

jestem swobodny, doskonale nad sobą panuję, a moim ja stała się lśniąca zasłona: niespokojna, zagrożona, gotowa walczyć do ostatniej kropli krwi.

- Jak sobie życzysz - zwrócił się doń Darrow uprzejmie. - Myślisz, że jest nadzieja, że po południu wyjdzie słońce i pogawędzimy w ogrodzie?

III

Przypuszczam, że oczekuje ojciec teraz - odezwałem się, kiedy po południu Darrow usiadł obok mnie na ławce w ogrodzie - że się przyznam do jakichś okropnych rodzinnych tajemnic, ukrywanych przed światem.

- Charles, ja jestem zwykłym tragarzem z wózkiem. Nie jestem tu po to, żeby krytykować zawartość twoich bagaży albo żeby mówić ci, co i jak masz układać. Ja tylko daję ci szansę pozbycia się balastu, którego już dalej nie możesz dźwigać, ale decyzja o pozostawieniu bądź zrzuceniu ciężaru należy wyłącznie do ciebie.

Zastanowiwszy się nad tym, poczułem się wystarczająco pewny, by przyznać:

- Nie jestem głupi. Chciał ojciec, żebym opisał owo życzliwe zainteresowanie, jakim darzyli mnie starsi mężczyźni jako ojcowskie. Chciał ojciec, żebym przyznał, że łączył ich jedynie brak własnych synów. Chciał ojciec, żebym przyznał, że nie istniał żaden zbieg okoliczności w tym, że zdawałem się szukać takich mężczyzn. Chciał ojciec, żebym się przyznał, że moja więź z ojcem nie jest taka dobra. Ale to nieprawda. To nieprawda. Jesteśmy sobie bardzo bliscy.

- Doskonale - powiedział łagodnie opat. - Nie będziemy sobie zawracać głowy twoim ojcem. Zamiast tego porozmawiajmy o tych figurach ojca obecnych w twoim życiu.

- Co za cholerne określenie „figura ojca"! - zawołałem i poczułem,

jak ze słowem „cholerny” znika moja lśniąca zasłona. Jako kapłan miałem obowiązek unikać przekleństw. Nagle uświadomiłem sobie, że moje prawdziwe ja próbuje uciekać i potrzebuję czasu, żeby je zamknąć. Zwróciłem się do Darrowa, żeby odwrócić jego uwagę: - Czy należy ojciec do wyznawców Freuda?

- Powiedzmy, że jestem zainteresowanym obserwatorem.

- Moim zdaniem to, co twierdzi Freud to stek bzdur. Nie zgadzam się i nie będę wierzyć, że wszyscy mężczyźni kochają się w swoich matkach i bezustannie szukają figur ojca.

- Czy Freud rzeczywiście tak twierdzi? Nieważne, zapomnijmy o Freudzie i określeniu „figura ojca”, które - zgadzam się z tobą w zupełności - jest bezsensowne i ponure. Jak opisałbyś tych wszystkich życzliwych mężczyzn w swoim życiu?

- Cóż, oczywiście stanowią substytut ojca, teraz to widzę, ale to nie może być wyjaśnieniem, ponieważ ojciec także traktuje mnie życzliwie.

- Sądzisz, że to możliwe, że po prostu lubisz być synem? Skoro twoja więź z ojcem jest taka wspaniała, może nie potrafisz się oprzeć chęci powtarzania jej przy każdej okazji?

Jego stwierdzenie wydało mi się dziwaczne. Przyglądając się opatowi podejrzliwie, odparłem surowo:

- Nie kolekcjonuję ojców dla przyjemności.

- Cóż, prawdę mówiąc, przeszło mi przez myśl, że bycie takim idealnym synem to dość czasochłonne i męczące zajęcie. Roześmiałem się.

- Za chwilę powie mi ojciec, że tak mnie wyczerpywało bycie synem, że zabrakło mi sił, by stawić czoło możliwości zostania ojcem! Darrow także się roześmiał.

- Brzmi absurdalnie, prawda?

- Idiotycznie!

Rysowałem wzór na drewnianym oparciu ławki.

- Może byłoby to bliższe prawdy, gdybyśmy stwierdzili, że przykład twojego ojca sprawił, że ojcostwo nie wydawało ci się pociągającą perspektywą.

- To też idiotyczny pomysł! Ojciec zawsze był wspaniały.
- Idealny ojciec?
- Cóż... Oczywiście miał swoje wady, jak każdy, ale zasadniczo...
- ...jest wspaniały. Rozumiem. Cóż, Charles, chciałbym cię teraz o coś spytać, ale możliwe, że nie będziesz chciał odpowiedzieć. Jeśli nie chcesz...
- Czy mógłby mnie ojciec wreszcie przestać traktować jak beznadziejnego neurotyka! - powiedziałem rozdrażniony. - Oczywiście, że odpowiem na każde ojca pytanie. A co robię od początku naszych spotkań? - Dawałeś lśniące przedstawienie.

Natychmiast sięgnąłem po Biblię, którą czytałem, zanim się do mnie przysiadł i zacząłem przerzucać strony. Przed oczami znowu migały mi tytuły: Księga Rodzaju, Księga Wyjścia, Sędziów, Powtórnego Prawa, Jozuego...

- I jak brzmi ojca następne pytanie? - spytałem od niechcienia.
- Czy któryś z tych życzliwych starszych panów przypomina twojego ojca, czy też jest on niepowtarzalny?
- On jest zupełnie inny.

Dotarłem już do Nowego Testamentu i nagle uderzył mnie w oczy jeden werset: „Jakże ciasna jest brama i wąska droga”, przeczytałem, „która prowadzi do życia, a mało jest takich, którzy ją znajdują!” Ostrożnie, bardzo ostrożnie, jakby mogła mi się rozpaść w dłoniach, zamknąłem Biblię i odłożyłem na ławkę. - Nie mówię prawdy. Przepraszam - odezwałem się wreszcie. - Tak, istnieje podobieństwo, wspólny czynnik. - Kościół?

- Nie, mój ojciec jest ateistą. Posyłał mnie do kościelnych szkół, bo miał obsesję, jak to określał, „porządnego, uczciwego życia” i wybierał szkoły, które kładły nacisk na moralność. Mojego ojca i owe „ojcowskie figury” łączy to, że są do głębi moralni.
- Twój ojciec zaczyna mnie ogromnie intrygować - stwierdził Darrow. - Sądzisz, że mógłbyś naszkicować jego portret psychologiczny?

Żądanie wydawało się rozsądne i pomyślałem, że bez trudu mogę to zrobić.

- Czemu nie? - odparłem, patrząc mu prosto w oczy, by udowodnić, że się nie boję, ale, choć sobie tego nie uświadamiałem, ruszałem właśnie w drogę do sedna mej lśniącej zasłony.

IV

Mój ojciec jest bardzo prawdomówny, bardzo szczery - zacząłem. Tak samo jak Jardine nienawidzi hipokryzji, ale brak mu jego intelektu, wyszukania. Ojciec nie znosi blichtru, uważa go za coś pretensjonalnego, w złym guście. Nie dowierza aurze nuwory-szostwa, spowijającej wszystkich, którzy zrobili błyskotliwą karierę - co właśnie sprawia, że Jardine w swoim pałacu staje się taki interesujący. Ojciec za nic nie chciałby robić kariery, ponieważ to co robi, doskonale mu odpowiada; uważa przynależność do angielskiej klasy średniej za przynależność do najlepszej w świecie kasty. — Równocześnie zaś w ramach tej kasty jest bardzo ambitny. Sam założył swoją firmę i trzydzieści lat później dorobił się szesnastu wspólników i nieskazitelnej reputacji. Dopiero co przeszedł na emeryturę. Oczywiście, ja i Peter uczęszczaliśmy do najlepszych szkół i, oczywiście, mieszkaliśmy w najlepszej części Epsom. Rodzice nadal tam mieszkają. Matka ma wyższe aspiracje społeczne niż ojciec, ale on, choć nie szczędzi zjadliwych uwag na temat każdego obdarzonego szlacheckim tytułem, nie chciałby zniesienia arystokracji, ponieważ uważa, że Anglia nie powinna się zmienić. Nienawidzi klasy robotniczej jako takiej, ale jest dobry dla pojedynczych jej przedstawicieli, dobrze traktuje służbę, swoich pracowników, ponieważ uważa to za swój obowiązek.

- Ojciec jest szalenie obowiązkowy. Uważa, że na tym właśnie polega bycie angielskim dżentelmenem: ma on obowiązek ciężko

pracować, wieść przyzwoite życie, być uczciwy w interesach stanowić przykład dla społeczności i trwać zawsze przy rodzinie. Nienawidzi nieporadności, lenistwa, ospałości, nielojalności, bezprawia, braku moralności oraz okrucieństwa wobec zwierząt. Ma czarnego labradora, który wabi się Nelson i prowadzi czarnego Rovera. Stać by go było na Daimlera, ale uważa to auto za pretensjonalne. Matka zawsze się z nim kłóci na ten temat, ale pociesza się, regularnie robiąc zakupy w Harrodsie. „Co za paskudne, pretensjonalne głupstwo!”, zawołał, gdy kupiła sobie nowe futro, ale naprawdę, w głębi ducha, lubi, gdy jest elegancko i zamożnie ubrana, bo to stanowi świadectwo jego powodzenia - którym oczywiście nigdy by się głośno nie chwalił; to by było bardzo niewłaściwe.

- Kiedy zostałem mianowany sekretarzem Langa, matka chwaliła się swoim przyjaciółkom i w każde zdanie musiała wpleść arcybiskupa, podczas gdy ojciec oświadczył tylko: „Mój syn zdobył interesujące stanowisko. Jest czymś w rodzaju osobistego sekretarza. Dobry początek kariery”. Ale był bardzo zadowolony. „Lepsze to” - powiedział mi - „niż tracenie czasu na jakiejś cholernej parafii gdzie diabeł mówi dobranoc”. Potem dodał: „Tylko, na miłość boską, nie upijaj się ani nie zabawiaj się z dziewczętami i nie wpadnij!” A kiedy dostałem posadę w St Aidan's zauważył tylko: „Młody jak na dyrektora, co?”, ale był w siódmym niebie. Poradził mi: „To ważne, żeby się pięć w górę. Ale nie pozwól, żeby ci to uderzyło do głowy: żadnego zadzierania nosa, żadnego picia, jeśli nie musisz, żadnych głupich flirtów. Nie zapominaj, że od dumy do upadku jeden krok”.

- Później, kiedy wydałem książkę, matka zaraz, jak to ona, robiła wokół tego mnóstwo szumu. Powiedziała nawet ciotce, jaką dostałem zaliczkę. Ojciec usłyszał to i był na nią wściekły. Uważa za wulgarne publiczne rozmawianie o pieniądzach, ale prywatnie lubi znać wszelkie szczegóły finansowe. „Przypuszczam, że książka rozejdzie się w bardzo niewielkim nakładzie”, stwierdził, ale kiedy mu

powiedziałem, że może zostać podręcznikiem, podskoczył, słysząc, ile wtedy przyniosłaby pieniędzy. Mimo to nie pozwolił matce trzymać jej na widoku w salonie. „To w złym guście”, oświadczył. „Zbyt ostentacyjne. Nie pozwolę na to”. I odłożył książkę na półkę. Matka była taka wściekła, że urządziła awanturę, pierwszą awanturę

O mnie od lat, ale w końcu musiał ustąpić.

- Kiedy byłem mały, często się o mnie kłócili. Ojciec twierdził, że za bardzo mnie rozpieszczała, ona zaś mówiła, że on mnie za mało pieści. Oczywiście, nie kłócili się w mojej obecności, to by było w złym guście, ale parę razy podsłuchiwałem pod drzwiami.

- Awantura o książkę odbyła się przy mnie - widać kłótnie o już dorosłe dziecko są dopuszczalne w jego obecności. Matka nazwała go brutalem i wybuchnęła płaczem. „Głupie babsko. Burza w szklance wody”, brzmiał jego komentarz, po czym ojciec wymaszerował do gabinetu czytać „Daily Telegraph”. Nie czytuje „Timesa”. Uważa to za pretensjonalne. Ceni „Daily Telegraph” za wiadomości sportowe i gospodarcze. Książek raczej nie czytuje, a jeśli już, to zwykle powieści biograficzne. „Nie przeczytam tego”, oświadczył, kiedy ofiarowałem mu egzemplarz autorski, „nie moja działka”. Ale kiedy później tego wieczoru wszedłem do gabinetu, zobaczyłem, że siedzi z moją książką w dłoni. „Nie pojmuję, jak można brać chrześcijaństwo na serio”, powiedział. „Zdumiewające, jak ci pierwsi chrześcijanie w ogóle przeżyli. Osobiście rzuciłbym to całe tałatajstwo lwom na pożarcie”. Przczytał całą książkę i stwierdził: „Całkiem interesujące, szkoda tylko że nie wydrukowali tego na lepszym papierze”. W jego ustach to była ogromna pochwała.

- Kiedy przyznano mi doktorat, powiedział: „Cóż, nie spodziewaj się, że będę cię tytułował doktorem. Dla mnie doktor to taki gość, który zdiera z pacjenta skórę za to, że próbuje go jak najszybciej umieścić w trumnie. Dzięki Bogu, że nigdy nie chciałeś się w tym grzebać”. Matka była uszczęśliwiona, że zostałem doktorem i błagała, żebym nie brał do serca słów ojca, mówiła, że jego niechęć do lekarzy narodziła się jeszcze przed moim przyjściem na świat i nie ma szans, żeby coś się zroⁿⁱło. Lżej było, kiedy zostałem kanonikiem. „Diablo

głupi tytuł!", zawołał ojciec. „Ile jeszcze muszę czekać, zanim będę mógł cię nazywać biskupem?" Wtedy właśnie się przekonałem, jak bardzo był ze mnie zadowolony. Dodał jeszcze: „Całkiem nieźle sobie radzisz, co? Zdumiewające! Cóż, skoro już musisz być tym klechą, niech chociaż mam satysfakcję, że takim, który coś osiągnie. *Dobra robota, Charles?*” dodał i uśmiechnął się do mnie.

- Nigdy tego nie zapomnę. Byłem tak wzruszony, że nie potrafiłem dobyć słowa. Ale on zaraz dorzucił: „A teraz tego nie popsuj. Haruj. Żyj oszczędnie, uważaj, ile pijesz i nie zrób z siebie głupca dla byle baby. Twoje słabości i wady nie znikną tylko dlatego, że dostałeś jakiś zgrabny tytuł i możesz się podpisywać doktor teologii". Matka dosłyszała to ostatnie zdanie i wpadła we wściekłość. „Jak śmiesz mówić o wadach i słabościach, kiedy stoi przed tobą w sutannie, czysty jak złoto?", krzyknęła. „Głupia babo, traktujesz go jak świętego", wybuchnął na to ojciec. „Nie widzisz, że te wszystkie świętości to tylko gra? Chodzi im tylko o sławę i grę!"

- Cóż, nie zamierzałem mu puścić tego płazem, ale byłem w takim stanie, że mogłem jedynie ryknąć: „Ty draniu! Ty łajdaku!" Matka zaczęła wrzeszczeć, próbowałem go zaatakować, ale stanęła między nami i szlochała: „Nie... Błagam... Więcej bólu już nie zniosę..." .Zamknij się, ty głupia babo!", ryknął ojciec i dał jej w twarz. Znowu próbowałem go uderzyć, ale ona otoczyła mnie ramionami i tak gwałtownie szlochała, że musiałem ją przytrzymywać. Powiedziałem więc tylko: „To najgorsze, co mogłeś mi powiedzieć, a względem niej już chyba gorzej nie mogłeś się zachować. Chciałbym móc ją w tej chwili zabrać z domu!" Na co on krzyknął: „A bierz sobie i szerokiej drogi! Przynajmniej będę miał jeszcze Petera". To się okazało kroplą, która przebrała miarę. Krzyknąłem: „Mam powyżej uszu cholernego Petera, twojego cholernego pieszczoszka! Niech diabli porwą cholernego Petera!" Matka znowu zaczęła pisać, ale ojciec powiedział tylko: „Nie powinno się używać takich słów w obecności kobiety. Kiedy wypadasz z roli, okazuje się, że nie najlepszy z ciebie księżunio, co? Cóż, mnie nie oszukasz! Ani przez chwilę!" i zatrzasnął mi przed nosem drzwi swego gabinetu.

- Waliłem, ale przekręcił klucz w zamku i choć go błagałem, nie wpuścił mnie do środka. Nawet nie odpowiadał i poczułem się całkowicie odrzucony, zupełnie odcięty. A przecież tylko protestowałem przeciwko niesprawiedliwym oskarżeniom! Nie mogłem tego znieść, ale musiałem przestać walić do drzwi ze względu na matkę. Płakała i płakała, więc żeby ją pocieszyć, obiecałem, że naprawdę ją wezmę, ale to ją przeraziło. „Przecież nie mogę odejść!”, zawołała. „Co by sobie wszyscy pomyśleli?” I dodała: „Musimy zachować pozory. Nikt nie może się dowiedzieć”. Potem znowu się rozplakała i wreszcie powiedziała: „Naprawdę, jesteśmy bardzo szczęśliwi. On bywa nieco trudny, ale to wszystko, nie myśl, że nas nie kocha, nie sądz, że nie jest ogromnie dumny z twego sukcesu”. „Okazuje to w bardzo szczególny sposób”, odparłem. „I jeśli myśli, że tu wrócę i pozwolę się znowu obrażać, to się grubo myli”.

- To było rok temu, we wrześniu. Nie wróciłem. Zapraszałem matkę do Cambridge, ale odmówiła, bo się bała, co ludzie sobie pomyślą, jeśli bez niego przyjedzie. Zachowywanie pozorów to u niej istna obsesja. Dlatego się nie rozwiedli. Matka za bardzo się obawiała skandalu, żeby w ogóle ryzykować jakiś romans, a ojciec... Cóż, nie należy do mężczyzn, którzy mają na boku romanse. Uważałby to za wulgarne i tanie. Zdrada jest dla chamów i łobuzów, nie dla takich mężczyzn jak on: porządnych, twardych, kierujących się w życiu zasadami. Mogę sobie wyobrazić, jak myśli: Poprzysiągłem wierność tej kobiecie i będę jej wierny, nawet gdyby to miało mnie zabić, nawet gdyby ją miało zabić.

- Co prawda napisał do mnie po tej awanturze. Pamiętam każde słowo: „Oczywiście, głupia baba wykręciła kota ogonem”, pisał. „Nie zdawała sobie sprawy, że pochwaliłem cię, zanim cię ostrzegłem przed wadami i słabościami. Pochwał jednak winno się szczerzyć, nie jestem po to, żeby ci pochlebiać i zagłaskiwać cię na śmierć. Nie po to są ojcowie. Moim ojcowskim obowiązkiem było wyprowadzić cię na porządnego, uczciwego człowieka i kiedy już to osiągnąłem, moim obowiązkiem jest upewnić się, że nim pozostaniesz. Właśnie

dlatego regularnie przypominam ci o twoich wadach i słabościach. Nie wierzę w rodzicielstwo, które polega na miłości i rozpuszczaniu dziecka. Mam spełnić swój obowiązek i zyskać Twój szacunek. Nie szanowałbyś mnie, gdybym ci pozwolił, zejść na psy i ja sam bym siebie nie szanował". Podpisał: „Twój kochający Ojciec" i dodał w postscriptum: „Odwiedź nas wkrótce, choćby po to, żeby sprawić matce radość".

- Nie było ani słowa przeprosin. Odpisałem, że nie wrócę, póki nie przeprosi za szarganie mego powołania i nazwanie mnie oszustem. Na to dostałem w list, w którym stwierdził, że czeka na przeprosiny za to, że przeklinałem w obecności kobiety i próbowałem go uderzyć. Nie odpowiedziałem. I tak zostało. Nadszedł jednak Wielki Post i kiedy odwiedziłem ojca Reida - drogi, poczciwy ojciec Reid! - ten powiedział: „Sądzę, że tu się nieco mylisz, Charlesie. Nazywanie pana Ashwortha łajdakiem i draniem klóci się z przykazaniem: «Czcij ojca swego», a poza tym, jeśli ktoś wykpiwa nasze powołanie, zawsze winniśmy nadstawić drugi policzek i przyjąć to cierpienie".

- Cóż, wtedy czułem już takie wyrzuty sumienia, że właściwie nie potrzebowałem nacisku, by znowu do niego napisać. Wysłałem przyjacielski list, w którym przeproszałem i zapraszałem, żeby wraz z matką przyjechali do Cambridge. Zaoferowałem się też, że zarezerwuję im pobyt w „Blue Boar". Odpisał, że przyjedzie, jeśli tylko nie każę mu uczestniczyć w tych moich „słupach" w katedrze. To załatwiło sprawę. Był taki cholernie chamski. Nie odpisałem. Próbowałem tylko o nim nie myśleć, a nie okazało się to trudne, ponieważ miałem wystarczająco dużo zajęć ze studentami. Nawet kiedy wyjechali na letnie wakacje, miałem kolejne zajęcia, bo przyjechał Lang ze swoją misją... A w chwili, kiedy poznałem Jardine'a, ojciec przestał być dla mnie ważny.

- Jardine zabił mój ból. Oni wszyscy, ci starsi, pozbawieni własnych synów mężczyźni, którzy uważali, że wart jestem szczególnej uwagi, zabijali mój ból, że ojciec mnie nie kocha. Dla niego przedstawiam wyłącznie obowiązek. Myślałem, że jeśli odniosę sukces, wreszcie mnie polubi. Pracowałem, pracowałem i pracowałem,

żeby osiągnąć sukces, bo wiem, że jedynym językiem, który ojciec naprawdę rozumie, to właśnie język sukcesu. Ale choć próbowałem przemawiać do niego w jego własnym języku, nie słyszy mnie. To tak jakby specjalnie nie chciał mnie usłyszeć. Och, jakież to niesprawiedliwe! Jakie nie w porządku! Przez to ogarnia mnie taki gniew, ojczy, taki straszny gniew! Czuję się taki dotknięty, obrażony i ten gniew ciągle we mnie krąży, aż nie mogę go już dłużej znieść, a kiedy ból staje się nie do wytrzymania, zaczynam go nienawidzić. Tak nienawidzę go, nienawidzę! Boże, wybaczone, wiem, że to źle, ale tak często byłem nieszczęśliwy, tyle razy, kiedy dojrzywałem, myślałem, że go nienawidzę, tyle razy, kiedy dojrzywałem ogarniała mnie straszliwa zazdrość o brata, który był ulubieńcem. I cała ta nienawiść i zazdrość sprawiała, że czułem się taki winny. Och, jakże ja sobą gardziłem, bo, oczywiście, kocham mojego ojca, naprawdę, kocham go i wtedy, kiedy go nienawidzę, ale cała ta więź jest takim straszliwym ciężarem i nie udźwignę go już ani chwili dłużej. Muszę go zrzucić. Chcę go zrzucić, ale nie wiem, jak to zrobić. Dlatego musisz mi pomóc, ojczy. Ojczy, musisz mi pomóc, *musisz mi pomóc...*

Rozdział piąty

„Sądzę, że większość ludzi dochodzi w swoim życiu do punktu, kiedy osobista spowiedź staje się czymś naturalnym i zbawiennym, przede wszystkim dlatego że uważa się ją za otwarcie i niemal nieunikniony początek nowego rozdziału w życiu duchowym człowieka”.

Herbert Hensley Henson, biskup Durham (1920-39), *Retrospect of cm Unimportant Life*

I

Szarpałem krzyż, nagle zamek się rozpiął i łańcuch prześlizgnął mi się między palcami. Gwałtownie zaczerpnąłem oddechu, ale Darrow schwycił krucyfiks i wsadził w moje drżące dłonie. Oczy zasnuwała mi mgła. Gardło mi puchło tak szybko, że powietrze nie miało się jak przecisnąć. Czulem się, jakbym stał nagi na lodowatym wietrze.

- Nie mogę oddychać.

- Właśnie że możesz - stwierdził opat i pchnął mnie mocno na oparcie ławki, żebym się wyprostował. Automatycznie krzyknąłem, tchawica się rozluźniła i powietrze znowu napłynęło mi do płuc.

- I jeszcze raz - powiedział Darrow.

Znowu mną potrząsnął, pomagając mi znowu odetchnąć. Czulem się, jakbym tonął i został uratowany.

- Czemu mi tak zimno? Zacząłem się trząść od stóp do głów.

- Szok. Odsunąłeś zasłonę i spojrzalesz tajemniczo prosto w oczy. A teraz, Charles... - znowu usiadł przy mnie - ...trzymaj dalej krzyż i daj mi drugą rękę. Pomodlę się w ciszy, tak jak to zrobiłem tamtego ranka po twoim przybyciu i tym razem chcę, żebyś nie tylko głęboko oddychał, ale i myślał o spiekocie tamtego lata w Palestynie, kiedy nasz Zbawiciel objawiał swój charyzmat nauczając, głosząc słowo Boże, lecząc... A wszystko to w upale, w spiekocie, w słońcu... Zapadła cisza i stopniowo zacząłem czuć na twarzy dotyk słońca. Siedziałem nieruchomo na ławce. Pod zamkniętymi powiekami przesuwają mi się obrazy rozpalonej Palestyny, ale wtedy zapach ziół z powrotem sprowadził mnie do Anglii i przez ułamek sekundy widziałem Jane, jak uśmiechała się do mnie. Przypomniałem sobie, że przez swoje powtórne narodziny mam nadać sens jej śmierci i w chwili, gdy zdałem sobie sprawę, że teraz potrzeba mi jedynie odwagi, ogarnęło mnie ciepło. Przepływało od rąk przez ramiona do serca, a z serca do umysłu, z umysłu zaś do duszy. Otworzyłem oczy dokładnie w tej samej chwili co i Darrow.

- Usłyszałeś, prawda? - spytał.

- Tak. Odwaga. Nowe życie. I była też tam Jane.

Darrow się uśmiechnął, ale milczał i nagle usłyszałem swoje słowa:

- Ojciec ją widział. Musiał ojciec. Wiem, że tak było. Czemu się ojciec nie przyzna...

- Nie kuś mnie, Charles. Pamiętasz, jak ci mówiłem o pewnym kierowniku duchowym, który ostrzegał przed widowiskowymi darami? Tak łatwo zmienić dar Boży w jakąś szarlatańską sztuczkę... Ale na razie zapomnij o sztuczkiach i rozejrzyj się wokoło. Wiesz, gdzie jesteś? - A kiedy powiodłem nie rozumiejącym spojrzeniem po ogrodzie, dodał: - Nie, patrz oczami duszy. Ciasna brama jest już za tobą. Wreszcie znalazłeś się w połowie wąskiej drogi.

Siedziałem na pozór spokojny, ale w głębi ducha jeszcze wstrząśnięty po szoku i minęła dłuższa chwila, nim udało mi się powiedzieć:

- Czy teraz zaczniesz znikać?

- Jeszcze nie. Widzimy już korzenie, ale siedzą bardzo głęboko i będziemy musieli jeszcze głębiej pokopać, żeby ostatecznie się ich pozbyć.

- Ale wszystko będzie dobrze, prawda? Ojciec wszystko rozwiąże?

- Nie, Charles, to ty wszystko rozwiążesz. Ale najpierw musisz odpocząć i nabrać sił.

Zdjął z szyi swój krzyż i dał mi.

- Załóż ten, a daj mi swój z pękniętym łańcuchem. Dam go do naprawy i wieczorem będziesz go miał z powrotem.

Zacząłem mu dziękować, więc poczekał, wreszcie rzucił od niechcienia, jakby dłużej już nie mógł opierać się pokusie wspomnienia procesu ozdrowieńczego poprzez przebłysk nieszablo-nowości:

- Całkiem ładny był ten naszyjnik Jane.

Wstał i z miną magika, który właśnie wyciągnął królika z kapelusza, pomaszerował przed siebie, by obejrzeć najbliższy zagon ziół.

II

To zdanie - jak zresztą niewątpliwie przewidział - miało wyrwać mnie z szoku i wzmocnić na drodze ku normalności. Zerwałem się na nogi i widocznie ten szybki ruch przypomniał opatowi, że mogę ulec jeszcze panice.

- Poproszę kogoś, żeby z tobą posiedział - zareagował natychmiast i uświadomiłem sobie, że mimo tej efektownej sztuczki pozostał ostrożnym kapłanem, zadowolonym ze swojej biegłości w leczeniu, ale na tyle pokornym, by zdawać sobie sprawę, że powinna ją uzupełniać bardziej konwencjonalna opieka. - Nie powinieneś na razie zostawać sam.

- Dobrze się czuję.

Nadal pozostawałem pod tak silnym wrażeniem tego, w czym przed chwilą uczestniczyłem, że właściwie go nie słyszałem.

- Ojczy, ona jest szczęśliwa, prawda? - spytałem i natychmiast

ogarnęło mnie zażenowanie. - Przepraszam, wiem, co się wydarzyło. Nie widziałem jej taką, jaką teraz jest... Przypomniałem ją sobie taką, jaką była, a ty, ojczy, przejrzałeś mnie i dostrzegłeś wspomnienie. Niech mi ojciec wybaczy, że uległem zabobonowi - dodałem ze wstydem - ale nagle poczułem przemożne pragnienie skomunikowania się z nią.

- To zdrowy objaw. - Nie okazał gniewu. - Podejrzewam, że od lat dławiłeś wszelkie myśli o niej, więc chęć komunikowania się z jej wspomnieniem może oznaczać, że ciężar winy zaczyna ustępować.

- To dlatego że wreszcie zaczynam robić coś, żeby ułożyć sprawy jak należy: zniszczyć człowieka, który ją unieszczęśliwił...

- Tak, niewątpliwie lśniącej zasłonie nieźle się dzisiaj dostało, ale teraz potrzebujesz czasu, żeby ponownie nabrać sił. Jeśli będziesz wystarczająco silny - ale musisz naprawdę być silny - dziś wieczorem ponowimy atak.

III

Tego wieczora wymieniliśmy krzyże po naprawie zerwanego łańcucha i kiedy opat zawiesił na szyi swój krucyfiks, pomyślałem, jak bardzo te bogate zdobienia kłócą się z jego surową, nadprzyrodzoną, mocno utrzymaną w korbach osobowością.

- No i..? - spytał, kiedy usiedliśmy za stołem. - Jak się czujesz po dzisiejszym krwotoku?

- Krwotoku?!

- Uważasz to za przesadę? Straciłeś mnóstwo duchowej krwi i często - mówił Darrow, znowu uważnie przyglądając się swemu pierścieniowi - po takiej próbie pojawia się reakcja. Człowiek może czuć się winny i rozgniewany, winny, bo zdradził swoje najgłębsze tajemnice, rozgniewany, bo dał się sprowokować do opowiadania o rzeczach, o których się nie mówi.

W milczeniu rozważaliśmy taką możliwość, ale wreszcie się odezwałem:

- Rzeczywiście, czuję się winny, ale nie dlatego że zdradziłem ojcu moje najgłębsze tajemnice. I czuję też gniew, ale nie na ciebie, ojcze, że sprowokowałeś mnie do samoobnażenia. Jestem zły na siebie, bo chciałem przedstawić ojcu wierny obraz mego ojca, a skończyło się to gniewną tyradą. I czuję się winny, bo nie udało mi się pokazać, jakim wspaniałym człowiekiem jest mój ojciec i jak bardzo go podziwiam i szanuję.
- Nie musisz się czuć winny - odparł Darrow. - Udało ci się.
- Naprawdę? Ale na końcu, kiedy powiedziałem, że go nienawidzę...
- Gdybyś czuł do niego tylko nienawiść, nie byłoby cię tu dzisiaj. Odszedłbyś od niego wiele lat temu, wzdychając z ulgą, że w końcu udało ci się wyrwać z jego szponów. Ale ty nie możesz z nim zerwać, prawda? Usiłujesz to zrobić od roku, a jedyne, co osiągnąłeś to poczucie nieszczęścia.
- To tak jakby... - Skupiłem się, szukając właściwego słowa, wreszcie zaryzykowałem: - To tak jakby miał nade mną potężną władzę.
- Oczywiście. Wszyscy jesteśmy ogromnie uzależnieni od tych, których kochamy, a nasze uzależnienie staje się jeszcze silniejsze, jeśli nasi ukochani nie odpowiadają takim uczuciem, jakiego byśmy oczekiwali.
- Ale on mnie wcale nie kocha.
- Którego ja?
- Moj6go prawdziwego ja. Nie kocha mnie i nie akceptuje takim, jakim jestem i dlatego... Darrow czekał, aż skończę.
- ...dlatego muszę się stać kimś innym. A on nawet nie polubił lśniącej zastawy!
- Ale przynajmniej ją szanuje, prawda? Póki niewolniczo starasz się upodobnić do tego, co on uważa za człowieka sukcesu, masz szansę, że od czasu do czasu usłyszysz: „Dobra robota, Charles!”
- Tak, ale on uważa, że ja tylko gram.

- I w tym twój ojciec jest podobny do Jardine'a. Wyczuwa i potrafi obnażyć nieprzekonującą grę. Dlatego muszą się zdarzać chwile, kiedy potrafi przejrzeć lśniąca zasłonę i przestaje w ogóle cię akceptować, tak jak to się stało w czasie waszej ostatniej kłótni.

Jedną ręką ocieniłem oczy, drugą rysowałem szlak na stole.

- Rozdarł lśniąca zasłonę - powiedziałem - i odrzucił moje drugie ja, które się za nią kryło.

Nagle przestałem cokolwiek widzieć. Już obie moje dłonie zakrywały oczy.

- To było okrutne, prawda? - spytał Darrow. Potaknąłem.

- Ale to nie była jego wina,

- Nie?

- Nie, wina leżała po mojej stronie. Gdybym nie był takim nieudacznikiem, gdybym nie był tak niegodny, nie musiałby mną tak gardzić. Niech ojciec zrozumie, on - taki uczciwy, taki szczery, taki przyzwoity... Jakże bym chciał ojca przekonać o jego bohaterstwie...

- Charles - przerwał Darrow - twój ojciec może być pod wieloma względami wyjątkowym człowiekiem, ale jeśli to on leży u źródeł twojej lśniącej zasłony, jeśli uparcie odrzucał twoje prawdziwe ja, tak że musiałeś stać się kimś innym, jeśli w jakimkolwiek stopniu ponosi odpowiedzialność za wepchnięcie cię na drogę, która skończyła się tym, że pewnej nocy wylądowałeś tutaj pijany i zdruzgotany - wtedy jego status bohatera staje się co najmniej dyskusyjny.

Nigdy przedtem nie przeszło mi nawet przez myśl, by powątpiewać w bohaterstwo ojca. Przez chwilę zmagalem się z tym rewolucyjnym odkryciem, wreszcie oświadczyłem pewnie:

- Wina nie może spoczywać wyłącznie na nim.

- To się wydaje uczciwe. Muszę przyznać, że zupełnie nie akceptuję freudowskiej tendencji do zwalania całej winy za problemy dziecka na nieszczęsnych rodziców... Doskonale, przyjmijmy więc,

że ponosisz przynajmniej część odpowiedzialności za to, że przybyłeś tu którejs nocy zupełnie rozbity. Ale jaką część?

- Całość - powiedziałem z rozpaczą. - Nie mogę za nic winić ojca. Gdybym nie był takim nic niewartym nieudacznikiem, tak niegodnym...

- Kto twierdzi, że jesteś nic niewartym nieudacznikiem?

- Ja. Jak inaczej można wytłumaczyć stosunek ojca do mnie?

- Oto - odparł Darrow - prawdziwe pytanie, Charles. Wpatrywałem się w niego.

- Ależ to oczywiste, że jestem nic niewartym nieudacznikiem!

- zawołałem. - I oczywiste, że ojciec ma prawo mnie za to nie znosić. Kiedy sobie pomyślę o moich ostatnich postępach: picie do nieprzytomności, Loretta...

- Zapomnijmy na chwilę o ostatnich postępach. Zajmijmy się raczej twoim zwykłym zachowaniem. Ciężko pracujesz, starając się robić to, co słuszne, byle tylko osiągnąć jeden cel: życie, które ojciec nazwałby przyzwoitym i uczciwym, czy tak? - Tak, ale...

- To jakie podstawy ma ojciec, by cię traktować jak skończonego pijaka, który i tak zejdzie na psy? I czy to jest uczciwe? W końcu nie jesteś taki znowu strasznie zły, prawda?

Próbowałem odpowiedzieć. Bezskutecznie.

- Cóż, nie mogę ci wkładać do głowy myśli - podjął opat. - Jeśli chcesz wierzyć, że jesteś zły, twoje prawo, chciałbym jednak, byś bardzo uważnie się zastanowił, na ile wiarę tę potwierdzają twoje dokonania. Chciałbym także, byś zastanowił się nad niezaprzeczalną prawdą, że twój ojciec nie jest papieżem, przemawiającym *ex cathedra*; nie jest nieomylny. Choćby nie wiem jak bohaterski, może popełniać błędy, tak jak każdy człowiek.

- Chciałbym wierzyć, że nie jestem taki znowu strasznie zły

- udało mi się powiedzieć. - Czasem nawet mi się to udaje.

- I co wtedy czujesz, myśląc o opinii twego ojca?

- Gniew. Ale to jest złe, prawda? Muszę nadstawić drugi policzek i wybaczyć.

- Tak, musisz - później. Jak jednak możesz mu to teraz wybaczyć, skoro jego zachowanie względem ciebie jest tak niepojęte?

- Nie jest niepojęte. Ojciec traktuje mnie w ten sposób, ponieważ jestem nic niewartym nieudacznikiem - upierałem się, ale już w chwili gdy je wypowiadałem, słowa zdawały się brzmieć dziwnie pusto.

- Rzeczywiście, tak zawsze sobie tłumaczyłeś stosunek ojca do ciebie - odparł Darrow. - Ale gdyby tak założyć, sztuka dla sztuki, że to wyjaśnienie jest całkowicie błędne?

Psychiczny łańcuch przykuwający mnie do nienawiści samego siebie nagle stał się cieniutki jak włos.

- Na pewno mój ojciec uważa mnie za nic niewartego nieudacznika. To nie ulega wątpliwości.

Jednak... - Jednak? - powtórzył opat, wychodząc mi naprzeciw, gdy zmagalem się w wędrówce z ciemności ku światłu. - Jest całkiem możliwe... Nie da się tego zupełnie wykluczyć... Co więcej, mieści się to w granicach prawdopodobieństwa... - Zaczerpnąłem głęboko tchu i dokończyłem: - ...że się pomylił. Łańcuch pękł, a prawda spadła na mnie niczym lawina, ale po niej nastąpiła cisza, a w ciszy rozległ się cichy szept - grzmiące pytanie, którego do tej pory nie mogłem usłyszeć. Wreszcie usłyszałem, jak wypowiadam je na głos.

- Czemu ma o mnie takie niskie mniemanie? - pytałem zagubiony. - Czym sobie na to zasłużyłem? I mówiąc te słowa, czułem, jakbym brał ogromny zakręt i nagle w mojej głowie pojawił się zupełnie nowy, nieznany krajobraz.

- To zaś - odparł Darrow - jest tajemnica, ukryta za tą pierwszą i drugą. Gratulacje, Charles. Teraz naprawdę zaczynamy robić postępy.

IV

W twojej opowieści, Charles, ojciec jawi się jako silny mężczyzna o bardzo wysokim morale - powiedział opat, kiedy spotkaliśmy się jakiś czas potem. - Wydaje się jednak być również niebezpiecznie

dumny. Duma zawsze jest groźna. A połączona z silnym, twardym charakterem staje się śmiertelna.

- Moim zdaniem część jego dumy objawia się w sposobie, w jaki cię wychował. Raz przyjąwszy na siebie obowiązek, będzie go spełniał, niezależnie od okoliczności, i można odnieść wrażenie jakby sobie powiedział (że skorzystam z frazeologii, której sam użyłeś): „Wychowam Charlesa na porządnego, uczciwego człowieka, nawet jeśli by mnie to miało zabić, nawet jeśli jego by to miało zabić”. Ten rodzaj nieugiętej determinacji, choć - jeśli złączony ściśle z głęboką moralnością - może budzić podziw, jest potencjalnie destrukcyjny, ponieważ nie potrafi się dostosowywać do zmieniających się warunków. Możliwe, że ojciec miał rację, traktując cię surowo w dzieciństwie - zdolne dzieci często wymagają mocnej ręki - ale najwyraźniej nie umiał zmienić swego nastawienia, kiedy dorosłeś.

- Tak docieramy do sedna sprawy. Oto stoisz przed nim: inteligentny, przystojny, u progu świetnej kariery. Większość ojców rozpływałaby się w zachwytach i pochlebstwach, czemu więc twój ojciec popada w niereformowalny pesymizm? Oczywiście, trzeba wziąć poprawkę na jego temperament, niechęć do głośnych zachwyty, typowo angielską rezerwę i godną podziwu obawę, by cię nie rozpuścić. Można by założyć, że nie potrafi demonstracyjnie okazywać synowi uczuć, ale ponieważ, jak sam powiedziałeś, okazywał aż nadto ludzką sympatię i przychylność twojemu bratu! nasuwa się pytanie, czemu nie potrafił okazywać takich ojcowskich uczuć tobie.

- Zobaczmy teraz, dokąd nas to doprowadziło. Domyśliliśmy się, że ojciec traktował cię w ten sposób już od wczesnego dzieciństwa' Dodatkowo potwierdza to jeszcze fakt, że odnosiłeś wrażenie, że twoja lśniąca zasłona towarzyszy ci od zawsze. Następnie doszliśmy do wniosku, że na skutek braku giętkości, nie umiał później zmienić swojego nastawienia, nawet kiedy wyrosłeś na przyzwoitego człowieka. Nadal jednak nie wiemy, czemu w ogóle poczuł się zobowiązany do przyjęcia takiej postawy. Wiemy, że sumiennie spełniał swoje rodzicielskie obowiązki i pragnął za wszelką cenę wychować cię na przyzwoitego człowieka, nie wiemy jednak, czemu najwyraźniej nie potrafi uwierzyć, by twój sukces był trwały. Sądzę, że możemy założyć, że kierowały nim szlachetne pobudki, ale nie wiem, czemu skończył tak

niesprawiedliwie cię traktując. Może całą tę tajemnicę dałoby się podsumować jednym pytaniem: na ile twoje osobiste piekło było wybrukowane dobrymi chęciami twego ojca?

Umilkł. Znowu siedzieliśmy w ogrodzie, ale tym razem, w ogóle nie zwracałem uwagi na otoczenie. Zbyt byłem zajęty kierowaniem energii umysłowej na rozwiązanie tej tajemnicy, jakby stanowiła ona część badań, które wymagają absolutnej koncentracji.

- Wszystko staje się o wiele jaśniejsze - powiedziałem - ale, paradoksalnie, zarazem o wiele bardziej tajemnicze. Czuję się, jakbym pierwszy raz dostrzegł zarys tajemnicy.

- W takim razie podejźmy bliżej, żeby uważniej jej się przyjrzeć. Powiedz mi o swoim bracie. Jest od ciebie starszy?

- Nie, jest o dwa lata młodszy i przypuszczam, że można by go określić mianem pogodnej kopii mego ojca. Żonaty, trójka dzieci, mieszka w Epsom.

- Czy jest inteligentny? Trudno nie pomyśleć, że przewyższałeś go w każdej dziedzinie.

- Na pewno nie jest głupi. Jest współnikiem w firmie ojca, ale ma ograniczone zainteresowania i niewiele nas łączy.

- Jak się ma jego kariera do twojej?

- Na pewno znacznie go przeskoczyłem. Często podejrzewałem, że ojciec czuł się zobowiązany do faworyzowania Petera, żeby mu to zrekompensować - tak samo jak matka czuła się zobowiązana do faworyzowania mnie, żeby mi zrekompensować surowość ojca. - Zawahałem się, nim podjąłem: - Jednak tłumaczenie więzi rodzinnych jedynie w kontekście faworyzowania, nie oddaje ich złożoności. Na przykład: choć jestem matki ulubieńcem, nie czujemy się dobrze w swoim towarzystwie. W towarzystwie Petera matka jest znacznie bardziej odprężona.

- Nie jesteście sobie bliscy?
 - Wstyd się przyznać, ale często wydaje mi się uciążliwa. To przez jej wylewność - nienaturalną wylewność. Sprawia, że mam ochotę się wyrwać i krzyknąć: „Na miłość boską, traktuj mnie normalnie, zamiast udawać!” Ale to nie jest udawanie. Jej uczucia są prawdziwe, a mimo to nie potrafi ich wyrażać w naturalny sposób.
 - Mówiłeś jednak, że z Peterem jest naturalniejsza.
 - Zdaje się, że on nie wywołuje w niej takich reakcji. Co więcej, on zdaje się rodzić u nich zupełnie inne zachowania, przypuszczam jednak, że to dość częste zjawisko w rodzinach, gdzie dzieci tak się od siebie różnią.
 - Zgadzasz się, że to dość częste zjawisko, ale nigdy nie przyszło ci na myśl, że w twoim wypadku zdaje się wyjątkowo nienormalne?
 - Cóż, utkwiła mi w pamięci jedna scena: wkrótce po święceniach przyjechałem z wizytą, Peter wtedy jeszcze się nie ożenił i nadal mieszkał z rodzicami. Przyglądałem się im z domu, jak we troje siedzieli w ogrodzie. Ojciec się śmiał, Peter rozpierał się wygodnie na krześle, nawet matka wyglądała na odprężoną. Wtedy wyszedłem z domu, żeby do nich przyłączyć i nagle miałem wrażenie, jakby nad sceną zapadła kurtyna. Peter się nie zmienił, nadal siedział rozparty na krześle, ale ojciec powiedział: „Oto nadchodzi nasz kapłan” tym swoim typowym, złośliwym tonem, a matka, z tą swoją okropną, udawaną radością, zawołała: „Wypijemy wszyscy koktajle!” i poczułem się...
 - Tak? - spytał opat. - Jak się poczułeś?
 - Jak nieproszony gość. Nie mogłem mówić dalej.
 - Piąte koło u wozu? Zastanawiałem się - zabrał głos Darrow, przychodząc mi z pomocą - jak bardzo musiałeś się różnić od pozostałych członków swojej rodziny i jak niezręczne to musiało być dte ciebie w okresie dojrzewania.
- Świadomość, że rozumie, pozwoliła mi podjąć:
- Kiedy miałem piętnaście lat, zastanawiałem się nawet... Niech

się ojciec nie śmieje, wiem, że to brzmi idiotycznie, jak żywcem wzięte z jakiegoś melodramatu, ale zastanawiałem się nawet, czy nie zostałem adoptowany.

- Dla mnie to brzmi jak całkiem rozsądne wyjaśnienie. Kto powiedział, że jest idiotyczne i żywcem wzięte z jakiegoś melodramatu?

- Mój ojciec.

- Aha! - zawołał opat. - Rozumiem. Ojciec sprawił, że poczułeś się idiotycznie, tak samo jak sprawił, że czułeś się nic niewartym nieudacznikiem. .

Zapadła cisza, w której zmagalem się z potężnymi implikacjami tego stwierdzenia, ale wreszcie odparłem zrezygnowany:

- Nie, tym razem mój ojciec na pewno się nie pomylił. Ja naprawdę zachowałem się idiotycznie. Bo to wyglądało tak...

v

Już od jakiegoś czasu zastanawiałem się, czy nie byłem adoptowany - zacząłem swoją opowieść - i wreszcie postanowiłem obejrzeć swoją metrykę urodzenia, żeby sprawdzić, czy tam nie znajdę jakichś informacji. Ojciec trzymał wszystkie dokumenty w teczce w gabinecie, wystarczyło więc wybrać się tam którejś nocy, kiedy wszyscy spali. Oczywiście, w mojej metryce urodzenia nie znalazłem niczego podejrzanego, ale wpadł mi przy okazji akt ślubu rodziców i wtedy dokonałem odkrycia, które mnie zdumiało: rodzice ożenili się rok później, niż sądziłem. Znałem dzień i miesiąc ich ślubu, bo zawsze obchodzili rocznicę, ale sądziłem, że pobrali się w 1898 roku. Nigdy nie zdawałem sobie sprawy, że to było w 1899 i że przyszedłem na świat - w 1900 - zaledwie siedem miesięcy po ślubie.

- Wcześniak?

- Tak też w pierwszej chwili pomyślałem, ale nikt nigdy nie wspominał, bym po urodzeniu musiał walczyć o życie. Później

doszedłem do wniosku, że zostałem poczęty przed ślubem i ojciec musiał się ożenić z matką, ale jakoś nie potrafiłem sobie wyobrazić, żeby mógł uwieść dziewczynę z dobrego domu. I wtedy sobie przypomniałem, jak siostra ojca wspomniała kiedyś złośliwie, że matka w młodości była uważana za łatwą i natychmiast przyszło mi do głowy, że ojciec wcale nie musi być moim ojcem.

- Czy udałeś się do ciotki po bliższe informacje?

- Nie, nie lubiłem jej. Może bym i zwrócił się do matki, ale przechodziłem właśnie okres dojrzewania, myślałem wyłącznie o seksie i stchórzyłem na myśl o pytaniu jej o tak intymne sprawy. W końcu, po dłuższych rozterkach i wahaniach, poszedłem do ojca. Uznałem, że z pewnością mu ulży, jeśli będzie mógł mi wreszcie powiedzieć całą prawdę.

- I jak zareagował?

- Był wściekły. Śmiertelnie urażony. „Nigdy nie słyszałem równie idiotycznego, wziętego żywcem z jakiegoś melodramatu pomysłu!”, zawołał. „Jak śmiesz wątpić w moje ojcostwo, po tym, jak przez tyle lat się poświęcałem, harowałem, żeby ci zapewnić przyzwoite wychowanie!” Cóż, jak się zapewne ojciec domyśla, byłem śmiertelnie przerażony.

- Oczywiście że tak, ale czy próbował ci w ogóle wytłumaczyć...

- Tak, miał bardzo przekonujące wyjaśnienie, czemu tak wcześnie pojawiłem się na tym świecie. Powiedział, że w 1899 nic mu się nie układało. Nie założył jeszcze swojej firmy, był niezadowolony z pracy i choć chciał się ożenić z matką, stracił nadzieję, że go kiedykolwiek przyjmie. I wtedy, pod wpływem impulsu, zgłosił się do armii - toczyła się wtedy wojna burska - i kiedy matka uświadomiła sobie, że mógłby zostać wysłany do Afryki, by walczyć, zdała sobie sprawę, ile dla niej znaczył i w końcu zgodziła się za niego wyjść. W końcu ojciec do armii się nie dostał - odrzucono go ze względu na zły wzrok, ale przez jakiś czas razem z matką wierzyli, że wkrótce zostaną rozdzieleni, więc spieszno im było na ślubny kobierzec, no i w tym wszystkim przytrafiło się

moje poczęcie; ojciec rzeczywiście wziął matkę po raz pierwszy jeszcze przed ślubem. „Bardzo karygodny postępek”, powiedział, „ale tak mnie rozsadzała radość, gdy matka zgodziła się za mnie wyjść i tak się bałem, że będę musiał ją opuścić przed ślubem, że przestałem nad sobą panować i splamiłem się tym uczynkiem”.

- I jakie wnioski wyciągnąłeś z tej rozmowy?

- Wierzyłem mu. Mówił z taką wyższością, pewnością, przekonaniem...

- Czy wyglądał na zranionego?

- Zranionego?

- Cóż, gdyby mój syn postawił w wątpliwość moje ojcostwo, na pewno nie przemawiałbym z wyższością, pewnością i przekonaniem. Nie byłbym też wściekły ani śmiertelnie urażony. Byłbym głęboko zatroskany i zaniepokojony, czemu uważa naszą więź za tak niezadowolającą, że doprowadziło go to do poszukiwania tak bolesnego wyjaśnienia. Powiedz, czy kiedykolwiek rozmawiałeś o tym z matką?

- Ojciec absolutnie mi tego zakazał. Powiedział: „Twoja matka jest bardzo wrażliwa, czuje się winna, że została poczęty przed ślubem, umierała ze wstydu, kiedy przedwcześnie się urodziłeś, tak że nigdy i pod żadnym pozorem nie poruszaj z nią tego tematu”.

- Tak więc jego świadectwo nie jest poparte.

- Nie, ale jestem pewien, że mówił prawdę.

- Skąd ta pewność?

Wreszcie wypowiedziałem na głos wniosek, który z wielkim bólem i trudem wysnułem lata wcześniej. - Jestem pewien - odparłem - bo wierzę, że gdyby nie był moim prawdziwym ojcem, prawda wypłynęłaby na wierzch, kiedy postanowiłem zostać księdzem. Brak mi słów na opisanie, jak straszliwe awantury się wtedy odbywały, ale jedyna rzecz, jakiej wtedy nie zrobił, to nie wyparł się mnie. Darrow milczał.

- Zdaję sobie sprawę, że nieprawda pochodzenie jest narzucającym

się wyjaśnieniem tajemnicy - ciągnąłem - ale nie może być prawdziwym. Darrow milczał jeszcze przez chwilę.

- Doskonale, w takim razie, gdzie jesteśmy? - odezwał się wreszcie. - Ustaliliśmy już, że stosunek ojca do ciebie nie wynika z faktu, że jesteś nic niewartym nieudacznikiem. Ustaliliśmy, że nie wynika z faktu, że nie jest twoim naturalnym ojcem. Jak, w takim razie, wyjaśnisz tę zagadkę?

- Cóż, sądzę, że można jedynie powiedzieć, że czasami, nawet w najlepszych rodzinach, zdarza się, że rodzic czuje antypatię do swojego dziecka i to doprowadza do napięć między nimi.

- Zgadza się, że zdarzają się takie wypadki - przyznał Darrow - ale, o ile rodzic nie jest chory umysłowo bądź nie żyje w skrajnej nędzy, zawsze istnieje jakiś powód tej niechęci. Czasem na przykład dziecko przypomina mu jakąś niesympatyczną postać z dzieciństwa: ciotecznego dziadka Cutherta, który go bił, albo cioteczną babkę Matyldę, która nie dawała mu czekolady. Nie przypominasz ojcu przypadkiem takiego nieprzyjemnego przodka?

- Nie wiem, jakim cudem. Nie przypominam nikogo z naszej rodziny. W tym cała rzecz, prawda? Jestem taki obcy.

- Przedziwne - powiedział opat. - Bo twój ojciec zdaje się patrzeć na ciebie, Charles, i widzieć kogoś, kogo zna. Byłem zdumiony.

- Naprawdę?

- To widać w twojej naracji. Zastanów się nad tym przez chwilę. Skrupulatnie przebadałem całą swoją opowieść i powiedziałem ostrożnie:

- To tak jakby nie widział mnie - mojego prawdziwego ja, ale lśniąca zasłonę. Jednak to nie jest moja lśniąca zasłona. To znacznie groźniejsza zasłona niż moja.

- Dokładnie tak. Ważnym celem w życiu twojego ojca - jak sam nieustannie podkreśla - jest wychowanie cię na porządnego, uczciwego człowieka, ale tak bardzo upierając się przy tym, zdaje się podkreślać swój lęk, czy to mu się uda. Patrzy na ciebie i nie chce

mu się wierzyć, że wyrosłeś na takiego przyzwoitego młodzieńca. Co więcej, nie śmie w to wierzyć, zachowuje się, jakby się śmiertelnie bał, że coś jeszcze może się zepsuć. Grzmi o picciu. Przestrzega, żebyś nie zadawał się z kobietami. Oto stoisz przed nim: przyzwoity, uczciwy człowiek w sutannie, co więcej, zostałeś powołany do służby, która niejako gwarantuje, że jesteś dobry, uczciwy i porządny, ale twój ojciec nie widzi ani sutanny, Charles, ani ciebie. Patrzy nad tobą, we wspomnienia i widzi łajdaka, kogoś, kto za dużo pije, kogoś, kto popada w tarapaty z kobietami, kogoś, kto doprowadza się do ruiny, kogoś, kim może kiedyś gardził i kogo się bał... I jak sądzisz, Charles, kto to może być? Jeśli opis nie pasuje do żadnego członka twojej rodziny, do kogo twoim zdaniem może pasować?

- Do mojego prawdziwego ojca - powiedziałem i zobaczyłem, jak z poczwarki starego słowa wyłania się nowe.

Rozdział szósty

„Zrobił na mnie ogromne wrażenie swoją mądrością, cierpliwością, doświadczeniem i bystrością. Jego szczerość była nie udawana, rady bezcenne i nigdy ich nie zapomniałem. Nie wątpiłem, że gdyby wszyscy duchowni posiadali takie cechy jak on, zaledwie garstka wiernych nie skorzystałaby na «wylaniu swych żalów w osobistej spowiedzi»”.

Herbert Hensley Henson, biskup Durham w latach 1920-1939, *Retrospea of an Unimportant Life*

I

Możemy całkowicie się mylić - powiedział Darrow. - Wnioski wydają się oczywiste, by wystarczyć za dowody, ale każdy dowód może zostać niewłaście zinterpretowany.

Tak mnie pochłaniała myśl o obcym, który wyłonił się z najciemniejszych zakątków mej opowieści, że mogłem tylko stwierdzić:

- Wiem, że mamy rację.

Opat natychmiast ściągnął mnie na ziemię.

- Niczego takiego nie wiesz. Wiesz tylko, że możesz udać się do swoich rodziców i zażądać powiedzenia prawdy i najprawdopodobniej jedno z nich ją wyjawi. W tym momencie jesteś zbyt dorosły by mogli się bronić, że kłamią dla twojego dobra.

- Sądzi ojciec, że właśnie dlatego mój ojciec okłamał mnie, kiedy miałem piętnaście lat? Ale dlaczego chciałby mnie osłaniać? Bardziej pasowałoby raczej, żeby skorzystał z okazji i powiedział prawdę, skoro przyznałem się do wątpliwości!

Opat nie odpowiadał.

- I dlaczego ożenił się z matką, kiedy znalazła się w takiej okropnej sytuacji? - pytałem z narastającym niedowierzaniem.

- Toż to niewiarygodne! A potem wychowywać dziecko jako swoje własne i nigdy nie zdradzić sekretu, mimo okazji? Nie, nie potrafię zrozumieć, jak i czemu ktokolwiek mógłby coś takiego zrobić!

- Dokładnie to samo ludzie mówią człowiekowi, który zostaje zakonnikiem - odezwał się Darrow. - Całkowicie zapominają, że jeśli Bóg do czegoś powołuje, podjęcie jakichkolwiek innych kroków staje się niemożliwe. Twój ojciec mógł się poczuć wezwany do podjęcia tego wyjątkowego i trudnego działania. Mógł uważać, że

- ze względów dla niego niepodważalnych - nie pozostaje mu nic innego, jak ożenić się z twoją matką i wziąć na siebie odpowiedzialność za jej dziecko.

- Ależ mój ojciec jest ateistą! Nawet by nie usłyszał Bożego wezwania, a co dopiero w nie uwierzył!

- Co za herezja! Czyżbyś twierdził, że ateista może ograniczyć moc Boga, który powołuje ludzi, by pełnili Jego wolę?

- Nie, oczywiście, że nie, ale...

- A w ogóle, jakim ateistą jest twój ojciec? Moim zdaniem to typ człowieka zbyt dumnego, żeby przyznać, że świat to coś więcej niż rzeczywistość, którą da się zbadać za pomocą zmysłów, a równocześnie zbyt uczciwego, żeby dobrze się czuć ze swoim zarozumiałstwem; jego ataki na chrześcijaństwo i Kościół pozwalają się domyślać, że próbuje on w ten sposób przekonać siebie, jak i innych, że religia nie ma nic do zaoferowania.

- Zgadzam się, ale mimo jego skrywanych mieszanych uczuć nie potrafię sobie wyobrazić, żeby odpowiadał na Boże wezwanie.

W końcu powołanie nie może się zakorzenić i przynieść owoców, jeśli nie znajdzie w duszy żyznej gleby, a bardzo trudno mi pojąć, jakie motywy mogły kierować ojcem.

- Odpowiedź sama się narzuca. Jeśli uda ci się odrzucić jakoś uprzedzenia, zrozumiesz, że fakty kazały przyjąć tylko jedno wyjaśnienie.

Wpatrywałem się w niego uważnie.

- Potrafię zrozumieć, że pierwszą decyzję podjął, dlatego że kochał moją matkę - choć cóż to by było za zdumiewające świadectwo miłości! - ale czemu nie powiedział mi prawdy, kiedy miałem piętnaście lat? Nie pojmuję, czemu chciałby, , żebym nadal wierzył, że jest moim ojcem, skoro go w ogóle nie obchodziłem.

- Dokładnie tak - oświadczył opat, wstając. - Dobrze. Cóż, tu się na razie zatrzymamy, a dziś wieczorem zajmiemy...

Chwyciłem go za rękaw. Usiadł.

- Ale ojciec mnie nie lubi - upierałem się. - W tym rzecz. Ja go nic nie obchodzę.

- Czy masz dowody na poparcie tej tezy?

- Cóż, mówiłem ojcu... Tłumaczyłem...

- Po tym, co mi powiedziałaś, mogę podejrzewać, że bywa uparty, zawzięty, nierozważny i nieuprzejmy, ale nie mogę sobie przypomnieć ani jednej rzeczy, która by świadczyła o tym, że go nie obchodzisz. Obojętni ojcowie nie szaleją z niepokoju, ilekroć sobie wyobrażą, że ich syn mógłby zejść na złą drogę. - Znowu wstał. - Zastanów się nad tym - rzucił przez ramię - i porozmawiamy jeszcze wieczorem.

II

Oczywiście - zacząłem, kiedy później spotkaliśmy się u mnie w pokoju - niezależnie od tego, jakie będzie wyjaśnienie tej tajemnicy, on pozostanie moim ojcem. Ojcostwo to znacznie więcej niż danie życia.

- To brzmi na bardzo obiecujące podejście do bardzo trudnego

problemu. Załóżmy jednak, że nasza teoria jest słuszna i gdzieś żyje człowiek, który może stwierdzić, że cię pocałował. Co byś do niego czuł?

- Wrogość. Omal nie zrujnował życia mojej matki i sprawił jej ogromny ból.

- Racja. Mów dalej.

- Porzucił mnie, gdy byłem jeszcze embrionem i nigdy nawet nie spróbował - a przynajmniej nic mi o ty nie wiadomo - okazać najmniejszego zainteresowania moją osobą.

- Znowu racja.

- A jednak... - Zawahałem się i dokończyłem ostrożnie: - Jeśli żyje, chciałbym go zobaczyć, jeden raz, przez chwilę. Potem mógłbym

O nim zapomnieć i żyć swoim życiem, ale jeśli nie dojdzie do spotkania, podejrzewam, że zawsze będę się zastanawiał, jaki był

I boję się, że to mogłoby się skończyć obsesją.

- Adoptowane dzieci zwykle odczuwają psychiczną potrzebę spotkania swoich biologicznych rodziców - powiedział opat neutralnie. - Doskonale, a więc jakie kroki chciałbyś teraz podjąć?

- Chciałbym jak najszybciej wyjechać do rodziców, żeby się przekonać, czy nasza teoria jest prawdziwa. Jak jednak ojciec uważa, kiedy będę gotowy do właściwej spowiedzi i powtórnego przyjęcia komunii?

- Jestem pod wrażeniem twojego realistycznego spojrzenia na tę sprawę. Ciekaw jestem, czy nadeszła już chwila, byś w równie realistyczny sposób przyjrzał się swoim związkom z Lyle, Loretą i Jardine'em? Jeśli zadowolająco wywiążesz się z tego zadania, wtedy obiecuję, że bezzwłocznie wysłucham twojej spowiedzi...

III

Zacznijmy od Lyle - powiedział opat, kiedy zapewniłem go, że już na tyle dobrze pojąłem swoje błędy, by móc odbyć porządną spowiedź. - A więc, jak sądzisz, o co właściwie chodziło w tym książkowym romansie?

- Kiedy przyjechałem do Starbridge - odparłem bez wahania - byłem pogrążony w rozpacz, ponieważ wyraźnie nie potrafiłem żyć w celibacie i gorąco pragnąłem znaleźć kobietę, z którą nie tylko mógłbym się ożenić, ale która umiałaby sobie też poradzić z nic niewartym człowiekiem, za jakiego się miałem. Uważałem się za nic nie tylko dlatego, że ojciec nisko mnie cenił, ale dlatego że unieszczęśliwiłem Jane; a mimo to nie mogłem myśleć o niej, bo to było zbyt bo esne, więc powiedziałem sobie, że wszystko ułoży się dobrze, jeśli tylko znajdę jakąś cudowną kobietę - lekarstwo na wszelkie problemy Oczywiście, łudziłem się - jakież to się teraz wydaje jasne! - ale tak rozpaczliwie pragnąłem się ożenić i położyć kres mej zgniliznie, że musiałem uwierzyć, że złudzenia staną się prawdą.

- To doskonały początek - stwierdził Darrow. - Mów dalej Tak zachęcony, podjąłem:

- Absolutnie nic nie wskazywało na to, by Lyle mogła być kochanką Jardme'a, ale przypuszczam, że podświadomie wyobraziłem ich sobie w łóżku i pomyślałem: jeśli ta dziewczyna potrafi mieć potajemny romans z biskupem, z pewnością jako jedyna będzie umiała sobie poradzić ze mną. Prawdopodobnie wymyśliłem to sobie jeszcze przed spotkaniem z Lyle, ale kiedy ją spotkałem, to szalone przypuszczenie jeszcze bardziej się umocniło, ponieważ uznałem ją za wyjątkowo atrakcyjną kobietę. A na dodatek - żeby już idealnie to umotywować psychologicznie - okazała się w tajemniczy sposób nieosiągalna, a przecież od lat pociągały mnie jedynie kobiety dla mnie nieosiągalne.

- Bez wątpienia musisz już zdawać sobie sprawę, czemu, choć szczerze pragnąłeś powtórnie się ożenić, pociągały cię jedynie nieodpowiednie kobiety?

- Bo równocześnie gorąco nie chciałem się żenić, ponieważ bałem się, że mogę doprowadzić inną kobietę do samobójstwa. W ogóle nie pogodziłem się ze śmiercią Jane i tragedia stanowiła ciągle przeszkodę.

- Dobrze. Doskonale, a więc zakochałeś się w Lyle.

- Zakochałem się w niej jak głupi. Czy to było jedno wielkie złudzenie czy nie, tego ciągle jeszcze nie wiem. Chciałbym wierzyć,

że moje uczucia choć w części mają związek z rzeczywistością, ale przyznaję, że będę musiał jeszcze raz się z nią spotkać, kiedy mój umysł będzie już w lepszej formie i dopiero wtedy ostatecznie zdecyduję, czy Lyle to rzeczywiście odpowiednia dla mnie kobieta.

- Jestem pod wrażeniem, Charles, cóż za postęp w porównaniu do twoich wcześniejszych przesadnych deklaracji! A teraz, czy równie trzeźwo możesz myśleć o Lorecie?

Wiedziałem, że to będzie trudniejsze.

- Jakąż wspaniałą przyjaciółką się w końcu okazała! - powiedziałem wreszcie po chwili. - Zawsze z wdzięcznością będę wspominał, jak mi przysłała z pomocą, ale poza tym... - Umilkłem, a kiedy Darrow nie próbował się włączyć, po chwili milczenia mogłem wyznać: - Moje popołudnie z Loretą okazało się katastrofalne, choć, jeśli mam mówić szczerze, a tego zapewne ojciec ode mnie oczekuje, przyznam, że seks z nią był wspaniały. Ale tylko od strony fizycznej. Pod względem uczuciowym okazał się katastrofalny, ponieważ dodatkowo pogłębił uczucia wobec Lyle i przez to wpakowałem się w jeszcze większy galimatias. Pod względem umysłowym także okazał się katastrofalny, ponieważ ów nowy galimatias doprowadził mnie na skraj załamania nerwowego i sprawił, że jeszcze bardziej obsesyjnie niż przedtem oddałem się rozwiązywaniu zagadki Starbridge, żeby odwrócić uwagę od swoich problemów. Duchowo także okazał się katastrofalny, gdyż oddzielił mnie od Boga i do tego stopnia powiększył wyrzuty sumienia, że nie jestem wiemy powołaniu, że nie mogłem odpowiedzieć na pierwsze, podejmowane przez ojca, próby udzielenia mi pomocy. A z duszpasterskiego punktu widzenia okazał się katastrofalny, ponieważ wykorzystałem samotną kobietę i nie zająłem się duszą, która wzywała ratunku. Jak więc mam nie żałować incydentu, który okazał się dla mnie katastrofalny pod względem uczuciowym, duchowym, umysłowym i duszpasterskim?

Wśród takich klęsk satysfakcja seksualna staje się gorzka i próżna.

- Jak sądzisz, czy mógłbyś ująć w słowa, czemu uległeś pokusie kochania się z Loretą? - spytał opat.

- Czy też dajesz do zrozumienia, że chodziło Włącznie o zaspokojenie żądzy?

- Oczywiście, to wyjaśnienie się narzucało, ale teraz zdaję sobie sprawę, że kierowało mną także coś innego. Po pierwsze znalazłem się w stanie skrajnego osłabienia ducha, wywołanym przez moje osobiste problemy i bardziej mi zależało nad utrzymaniu lśniącej zasłony aniżeli na służbie Bogu. Byłem także całkowicie zagubiony uczuciowo i Loretta stała się środkiem ogłuszającym, dzięki któremu zapomniałem o swoich problemach. No i wreszcie... Cóż, doszliśmy chyba do sedna sprawy, prawda? Sądziłem, że między nią a Jardine'em doszło do pełnego stosunku seksualnego i w tym momencie tak silnie się identyfikowałem z biskupem, że pomyślałem sobie: skoro on ją miał, ja też ją wezmę. Skoro on mógł, to czemu ja miałbym nie?

Darrow odchylił się w krześle.

- Doskonale. A czy teraz możesz związać ostatni luźny koniec i powiedzieć, jak w tym momencie, z perspektywy ciasnej bramy i wąskiej drogi, widzisz swoją relację z Jardine'em?

- Tak, oczywiście - odparłem i znowu na chwilę umilkłem, by zebrać myśli. Tym razem jednak nic to nie dało.

- To bez znaczenia - uspokoił mnie Darrow. - I tak nie zamierzałem dziś zajmować się szczegółową analizą Jardine'a.

- Wiem, co chcę powiedzieć, ale nie mogę...

- Do tej pory spisałeś się świetnie, ale teraz musisz odpocząć. Wyśpij się porządnie, Charles, a myślę, że jutro uda nam się ostatecznie ustawić biskupa we właściwym miejscu.

IV

Jak na razie - zacząłem następnego ranka po nieprzespanej nocy - udało mi się wyodrębnić dwa aspekty mojego stosunku do Jardine'a. Po pierwsze i najważniejsze zdawał się mnie pociągać nieodparcie jako postać ojca.

Opat skinął głową.

- Wiesz, skąd to się brało?

- Potrzebuję starszych mężczyzn, u których znajdę akceptację,

której nie okazywał mi ojciec, a Jardine pojawił się w moim życiu w chwili, gdy moje stosunki z ojcem uległy ochłodzeniu.

- Tak, ale co sprawiło, że Jardine pociągał cię bardziej niż, na przykład, doktor Lang?

- Cóż, teraz już widzę, że - przynajmniej, jeśli chodzi o mnie - Lang i Jardine tak znowu bardzo się nie różnią - przyznałem niechętnie. - Obaj zajmują wysokie stanowiska kościelne i obu otacza splendor.

- A, zaczynamy robić postępy.

- Lang wydaje się... cóż, to zabrzmiało jakbym był niewdzięcznikiem, ale przypomina mi zdartą płytę, ten napuszony, teatralny stary kawaler nie ma mi już nic do zaoferowania. Choć, oczywiście, kiedy go poznałem, uważałem, że otacza go wielki splendor. Jardine zaś miał świetność, ale oprócz tego daleko mu było do napuszonego starego kawalera. To błyskotliwy, żonaty mężczyzna, który miewał kłopoty z kobietami. Nie tylko go polubiłem, ale także zacząłem się z nim identyfikować. I tu dochodzę do drugiego aspektu: w pewnym momencie uznałem go za swojego sobowtóra.

- Zanim się z tym uporamy, powiedz, czemu na postaci ojca wybierałeś otoczonych splendorem duchownych.

- Przypuszczam, że w ten sposób buntuję się przeciwko ojcu, który nienawidzi duchownych i nie znosi przepychu. Uważa, że Lang jest beznadziejnie teatralny, a gdyby kiedyś spotkał Jardine'a, powiedziałby: „Daleko mu do prawdziwego dżentelmena. Trochę za ostentacyjny. Nie traktuje pań jak dam”. - Dobrze, jak na razie dobrze. A teraz przyjrzyjmy się uważniej tej ciekawej sytuacji z *doppelganger*. Jak twoim zdaniem da się wytłumaczyć, że zacząłeś go uważać za swoje drugie ja?

- Tu się zaczynają kłopoty. Z tego, co widzę... - urwałem. Opat czekał. Widziałem, jak moje zaciśnięte dłonie, które spoczywały na stole, zaczynają się poruszać. - Z tego, co widzę - zmusiłem się, by podjąć

- tu właśnie wychodzi ze mnie furia i szalenie.

- Doprawdy? - spytał lekko Darrow. - Czy robiłeś się agresywny fizycznie, nie chodzi mi o obrazę ustną?

-Nie.

- Czy zachowywałeś się dziwacznie, na przykład publicznie się rozbierałeś?
 - Dobrze nieba, ależ skąd!
 - Czy słyszałeś głosy, miałeś wizje i uważałeś, że te małe zielone ludziki chcą cię zabić?
 - Nie, oczywiście że nie!
 - Cóż, przypuszczam, że oczywiście mogłeś stracić rozum - podsumował Darrow - ale z pewnością nie byłeś ani furia, ani szaleńcem, a osobiście uważam, że padłeś jedynie ofiarą napięcia emocjonalnego. Proponuję, byśmy na chwilę zostawili teorię o twoim szaleństwie i przyjrzyli się temu, co się dzieje. Kiedy właściwie zacząłeś wątpić w swoją kondycję psychiczną?
 - To było w czasie ostatniego spotkania z Jardine'em, kiedy wygłosił swoją mowę...
 - Aha, ta mowa, którą wygłosił, zamiast cię wysłuchać! Jestem jednak pewien, że stanowiła ona majstersztyk sztuki oratorskiej. W końcu - dodał obojętnym tonem - jeśli chodzi o biskupa Starbridge jednego możemy być zupełnie pewni: że dysponuje językiem o wspaniałej, ogromnej sile przekonywania.
- Poczułem się, jakby został ze mnie zdjęty czar.
- Mógłby każdego przekonać, że czarne jest białe - powiedziałem i nagle uświadomiłem sobie, że mogę wrócić we wspomnieniach do tamtej chwili. Moje dłonie znowu spoczywały spokojnie na stole. Nachyliłem się i zacząłem opisywać Darrowowi, jak Jardine obrócił wniwecz moją równowagę psychiczną.

v

- ...I zdaję sobie sprawę, że nie opisuję tego, jak trzeba, ojczy. Tak trudno znaleźć właściwe słowa, ale Jardine sprawił, że poczułem się, jakby cała ta identyfikacja z nim była jednym złudzeniem.
- Niewątpliwie był ogromnie przekonujący. Jak jednak wykazał ci twoje złudzenia?

- Stwierdził, że uważam go za swoje lustro, tyle że w porównaniu użył nie lustra, ale projektora i czarnego ekranu. Mówił, że przypisuję mu - niczym projektor rzucający obrazy na ekran - uczucia i sytuacje, które istnieją jedynie w mojej wyobraźni.
 - Wygląda na to, że biskup czytywał Feuerbacha. Ale mów dalej.
 - Powiedział, że wybrałem go sobie na bohatera i swoje dziwaczne zachowania usprawiedliwiam, twierdząc, że jedynie idę w jego ślady. - Otrząsnąłem się na myśl o Lorecie. -1 była w tym jakaś okropna prawda...
 - Teorie o projekcji uczuć zawsze zdają się trudne do odrzucenia, póki człowiek nie uświadomi sobie, że całej prawdy nie da się przerzucić. Wiemy już, że twoje zachowanie - dziwaczne czy nie - nie wynikało jedynie z chęci utożsamienia się z Jardine'em. Wiemy, że kierowały tobą i inne **czynniki**, w tym zatarg z ojcem i śmierć twojej żony. Przyjmijmy jednak na razie teorię Jardine'a, że ty byłeś projektorem, a on czarnym ekranem. Czy choć raz zaprzeczył, by istniało między wami podobieństwo?
 - Twierdził, że go sobie wymyśliłem i prawdziwy on nie ma nic wspólnego z tym człowiekiem, za którego go brałem - a to już jest szaleństwo, kiedy człowiek nie potrafi oddzielić rzeczywistości od złudzeń, prawda? W końcu miałem wrażenie, że wymyśliłem sobie całą tę tajemnicę Starbridge, poczułem się...
 - Tak, spróbuj powiedzieć to na głos.
 - ...odrzucony. Tak jakby ktoś mi zatrzasnął drzwi przed nosem. Czułem się dokładnie tak samo, jak podczas ostatniej awantury z ojcem, kiedy zamknął drzwi od gabinetu i przekręcił klucz w zamku, ale to było jeszcze gorsze, bo oprócz tego, że odrzucony, poczułem się jak kompletny wariat...
 - Czy zauważyłeś jego oczy?
- Nagle zostałem wyrwany z koszmaru myślenia o mojej chorobie umysłowej.
- Jego OCZY?
 - Zastanow się uważnie. Czy patrzyłeś mu prosto w oczy?

- Tak. - Otrząsnąłem się na wspomnienie, ale udało mi się dodać:
- Ma jasnobrażowe oczy, ale potrafią nabrać takiego blasku, że wydają się bursztynowe. Wtedy były bursztynowe.
- A czy w czasie tej rozmowy zdarzyło się, że po wielokroć powtórzył: „słuchaj” albo coś podobnego? Czy w jednym zdaniu zwrócił się do ciebie kilka, na przykład trzy razy po imieniu, żeby przyciągnąć twoją uwagę?
- Tak, tak było - przyznałem. - W pewnym momencie powiedziałem: „Nie będę tego słuchać”, na co on odparł: „Ależ będziesz, Charles, będziesz. Siadaj, Charles, siadaj i słuchaj, wysłuchaj mnie, Charles...”
- Aha, tak właśnie myślałem - odparł lekko Darrow, jakbyśmy rozmawiali o jakimś zupełnie normalnym, często spotykanym zachowaniu. - Posługiwał się techniką hipnozy, żeby wzmocnić siłę swego daru, techniką, która bywa użyteczna, ale zawsze jest igraniem z ogniem. Sądzę, że już rozumiem, co się wydarzyło. Dar, który się objawia krasomówstwem może działać jak radio, a Jardine nie tylko włączył radio, ale włączył je na cały regulator. Miało to działanie wyjątkowo niszczycielskie, bo byłeś pijany i bardzo osłabiony, ale, Charles, teraz, kiedy jesteś zupełnie trzeźwy i znacznie silniejszy duchem, powinieneś chyba bez trudu kręcić gałką, póki nie wyłączysz radia. Zaintrygowało mnie to ogromnie, ale udało mi się powiedzieć jedynie:
- Nie widzę gałki.
- To jego twierdzenie, że wymyśliłeś sobie podobieństwo między wami. Teraz wystarczy je rozbić.
- Ale jak?
- Zrób listę tego, co was niewątpliwie łączy i przekonamy się, na ile jest prawdziwa.
- Zona, która była tak przygnębiona, że na jakiś czas musiała wrócić do rodziców - zacząłem wymieniać ostrożnie, ale bez trudu.
- Jane odgrażała się, że to zrobi, a Carrie Jardine zrobiła. Zona, która sumiennie spełniała obowiązki małżeńskie, ale mimo to małżeństwo

napotkało trudności. Brak potomka u Jardine'ów i narodziny martwego dziecka, co odpowiada latom stosowania zabezpieczeń u nas i śmierć dziecka w łonie matki. Niechęć Jardine'a do życia w celibacie, do której przyznał się Lorecie, co odpowiada mojemu stosunkowi do wstrzemięźliwości.

- Wspaniałe zestawienie. Oto liczne, znaczące podobieństwa między tobą a Jardine'em. Widzisz jeszcze jakieś?

- Jardine pochodzi z niższej warstwy społecznej niż ja - podjąłem z narastającą pewnością siebie - ale jego długa droga na szczyt hierarchii skończyła się rozdzieleniem na dwie osoby, co pozwala się domyślać, że, tak samo jak mnie, trudno mu utrzymać jedność ducha. Sam przyznał, że Alex to lśniąca zasłona, Adam zaś to człowiek ukryty za nią, człowiek, o którym woli nie mówić, bo Adam popełnił zbyt wiele błędów. Podobnie jak ja, Jardine zwykle nie opowiada o przeszłości, a zwłaszcza o...

- Tak? Mów dalej, Charles.

- O ojcu - dokończyłem. - Ojciec, jego ojciec.

- I oto największe podobieństwo, które was łączy.

- Z pozoru jego problemy z ojcem całkowicie różnią się od moich

- mówiłem. Teraz nabrałem już zupełnej pewności. - Ale tak naprawdę sprowadzają się do tego samego. Jardine czuł się niekochany i odrzucony przez ojca niemal aż do śmierci staruszka.

- Umilkłem, przypominając sobie nocną rozmowę z biskupem w bibliotece. - Dziwne, jak Jardine natychmiast wyczuł, że mam problemy z ojcem. Wystarczyło, że, jak zwykle, powściągliwie wypowiadałem się o ojcu. W przeciwieństwie do reszty, Jardine - po swoich osobistych doświadczeniach - wiedział, co taka powściągliwość oznacza.

- Innymi słowy widział w tobie siebie - proces identyfikacji odbywał się w drugą stronę.

- Tak, teraz już jestem pewien, że właśnie dlatego nie wyrzucił mnie z pałacu, kiedy odkrył, że jestem szpiegiem Langa; tak bardzo go intrygowałem, że nie potrafił się oprzeć pokusie zatrzymania mnie, by mnie lepiej poznać, a później, kiedy opowiedział mi o ojcu,

sądziłem, że był jedynym znanym mi człowiekiem, który zajrzawszy za moją lśniąca zasłonę, współczuł ukrytemu za nią mojemu prawdziwemu ja. Właśnie dlatego ostateczne odrzucenie przez Jardine'a było dla mnie tak okropne.

- Innymi słowy - podsumował opat - rozpoznanie podobieństwa psychicznego było dwustronne i istniało naprawdę. Łączy was wiele, zdumiewająco wiele. I tak oto uporaliśmy się z oskarżeniami Jardine'a, że przerzucasz na niego swoje wyobrażenia.

Ogarnęła mnie tak nieopisana ulga, że dopiero po jakimś czasie mogłem się znowu odezwać.

- Ale jak to się stało, że mu uwierzyłem?

- Zostałeś zahipnotyzowany i wmówił ci, że jesteś szalony, a potem zbyt się bałeś tego wspomnienia, by zdać sobie sprawę, że tezy Jardine'a są nieprawdziwe. - W głosie Darrowa zabrzmiała twarda nuta, ale zapanował nad nią. Dodał spokojnie: - Widać, charyzmat został pogwałcony.

Mogąc wreszcie stawić czoło wspomnieniu, mogłem wyrazić na głos moje nastraszniejsze przypuszczenia:

- Czy mógł specjalnie pchnąć mnie na skraj załamania nerwowego, żeby tylko siebie obronić?

- Mógł - odparł zakonnik. - Z drugiej jednak strony, jeśli widział w tobie siebie, raczej trzeba by wykluczyć działanie świadomie destrukcyjne. Najprawdopodobniejszym wyjaśnieniem zdaje się, że niepokój wywołany przed identyfikowaniem się z tobą, sprawił, że stracił kontrolę nad swoim darem.

- Ale przecież użycie przez niego hipnozy może przynieść wyłącznie opłakane skutki.

- Niekoniecznie. Mógł uciec się do hipnozy z jak najlepszych chęci: aby cię uspokoić. Jednak podstawowy błąd polegał na założeniu, że jeśli uświadomi ci pewne fakty, będziesz mógł się wziąć w garść. Z punktu widzenia kierownictwa duchowego, jak ci już zresztą wspominałem, takie podejście było z gruntu fałszywe, a sytuację dodatkowo pogorszyło niesamowite przedstawienie owych, jak mu się wydawało, faktów. Pozwól jednak, Charles, że podkreślę

jedno: choć w czasie tamtej rozmowy Jardine postawił wszystko na głowie, popełnił straszne błędy, nadal nie świadczy to, że chciał tylko ukryć swój romans z Lyle. Cała ta katastrofa potwierdza jedynie,

że nawet doświadczony biskup nie powinien udzielać duchowych wskazań, jeśli instykt go przed tym ostrzega. Zapadła cisza. Przetrawiałem usłyszaną przed chwilę prawdę.

- Przynajmniej udało mi się wreszcie zobaczyć tę scenę we właściwej perspektywie - powiedziałem w końcu. - Nie mam słów, by wyrazić, jak mi to pomogło.

- Bardzo się cieszę, ale nie odprężaj się za szybko, bo to jeszcze nie koniec. Ustaliliśmy, że pod żadnym pozorem nie wolno ci myśleć, że zwariowałeś, bo uosabiałeś się z Jardine'em. Co jednak się wydarzyło, gdy posunąłeś się zbyt daleko w tej identyfikacji? Możesz z innej strony spojrzeć na swój epizod z Loretą?

- Przypuszczam, że właśnie wtedy przekonałem się o swoich zaburzeniach emocjonalnych, nawet jeśli nie byłem zdecydowanie chory umysłowo. Chciałem, by Jardine był winny cudzołóstwa. Kiedy się dowiedziałem, że Jardine nie miał z nią właściwego stosunku, poczułem się oszukany. A w końcu chciałem, żeby spał z Lyle, chciałem, choć sama myśl o tym była nie do zniesienia.

- A czemu chciałeś, żeby był winien tych grzechów?

- Sądziłem, że gdyby je popełnił i mimo to kontynuował swoją świetną karierę duchownego, to i ja bym mógł. Sądziłem... Tak bardzo się bałem...

- Tak? Jesteś już prawie na miejscu, Charles. Jeszcze jeden wysiłek...

- Tak bardzo się bałem, że moje powołanie się załamuje i nie mogłem znieść samej myśli o tym.

Jedyne czego pragnąłem to służyć Bogu w Kościele, ale wszystko się rozpadało: mój celibat, kariera, całe moje życie... I w tej sytuacji Jardine stał się... Jardine symbolizował...

- Symbolizował...

- ...Stał się symbolem nadziei, a w końcu stał się jej uosobieniem,

moją jedyną nadzieją, moją ostatnią nadzieją.. Myślałem: gdyby tylko się okazał winny, to sobie poradzę, jeśli on może tak dalej żyć, to i ja mogę... I właśnie dlatego, właśnie dlatego...

- Kiedy odrzucił twoje uosobienie się z nim, nie odrzucał cię tylko jako ojciec, prawda?

- Nie, niszczył moją ostatnią nadzieję służenia Bogu w Kościele, skazywał na piekło złamanych ślubów i, och, Boże, nie mogłem tego znieść, ojciec, nie mogłem tego znieść, nie mogłem, nie mogłem znieść...

VI

To było dla ciebie coś przeokropnego - powiedział Darrow, przenosząc krzesło na drugą stronę stołu, żeby obok mnie usiąść. - Ale teraz już chyba dostrzegasz, jak wykorzystałeś tę uzasadnioną identyfikację z Jardine'em do wzniesienia murów, które nie wypuszczą twoich obaw o powołanie. Nie bałeś się, że utracisz wiarę, co, jak podejrzewam, jest najczęściej spotykaną wśród duchownych obawą, lecz że nie będziesz mógł dalej służyć Mu w Kościele.

- Teraz już wierzę, że później będę mógł żyć w wierności ślubom, które złożyłem w chwili święceń, ale te ostatnie kilka miesięcy stanowiło taki koszmar, mieszaninę obawy i zwątpienia...

- Oczywiście, że tak. I jest oczywiste, że teraz już rozumiesz, jak ten koszmar rozrastał się w twojej głowie do nieznośnych rozmiarów. Zaczęło się to nie tylko dlatego, że ojciec udowodnił ci, że jesteś nic niewartym nieudacznikiem, który jedynie odgrywa rolę duchownego, ale dlatego że poczułeś, że jego sceptycyzm w przerażającym stopniu jest uzasadniony. Rzeczywiście niepokoił cię narastający pociąg do alkoholu, rzeczywiście twoje kontakty z kobietami coraz bardziej groziły klęską, ale dlaczego tak się działo? Bynajmniej nie z powodu jakiegoś obciążenia genetycznego, jak przypuszczał twój ojciec. Działo się tak dlatego, że znalazłeś się pod narastającym ciężarem psychicznym. Lśniaca zasłona coraz bardziej ci ciążyła - nic dziwnego, że chciałeś się zapić, żeby o niej zapomnieć! - a oprócz

tego gnębił cię podstawowy problem, którego nie potrafiłeś rozwiązać, powtórnego ożenku. Napięcie spowodowane przez ten problem bezlitośnie prowadziło cię od błędu do błędu, a to sprawiało, że w coraz większym stopniu czułeś się nic niewartym nieudacznikiem, czego nieuniknionym skutkiem było uwięzienie w spirali rozpacz. W takich warunkach dziwi nie tyle, że znalazłeś się w trudnej sytuacji, ale że znalazłeś się w niej tak późno. Moim zdaniem musisz być ogromnie oddany służbie Bogu. Człowiek o słabszym powołaniu już dawno nie wytrzymałby.

- To prawie tak, jakbym wiedział, że nie mogę się załamać, póki nie znajdę kogoś, kto na pewno będzie umiał zebrać mnie do kupy

- odezwałem się, kiedy już się uspokoiłem.

- Jednym ze smutniejszych aspektów twojej historii jest bez wątpienia fakt, że, dopóki mnie nie poznałeś, nie mogłeś się nikomu zwierzyć. Zanim jednak popadniemy w nadmierne samozadowolenie z efektów naszych spotkań, pamiętajmy, że choć twoje problemy zostały wyjaśnione, nie zostały jednak rozwiązane. Czekają cię jeszcze wiele pracy na gruncie rodzinnym, ale o tym zdamy jeszcze porozmawiać. Teraz musimy się zastanowić nad bliższymi celami.

- Moją właściwą spowiedzią?

- Tak, może być krótka, ponieważ bardzo głęboko omówiliśmy twoje problemy, ale musisz podejść do sprawy ostrożnie. Mam zamiar podsunąć ci kilka rad w kwestii modlitwy i medytacji. A kiedy już odbędziesz spowiedź, przedyskutujemy, co zrobisz po powrocie do świata. Sądzę, że ogromnie ważne będzie dla ciebie

- tak pod względem uczuciowym, jak i duchowym - byśmy przygotowali bardzo drobiazgowy plan batalii.

VII

Tego samego wieczoru wyspowałem się przed Bogiem i ojciec Darrow, udzieliwszy mi rozgrzeszenia, wyznaczył mi krótką pokutę, którą odmówiłem w kaplicy przed pójściem spać. Spodziewałem się

surowej pokuty, może nawet przedłużonej, ale Darrow stwierdził, że długotrwała męka, która towarzyszyła mojej spowiedzi wobec niego stanowiła wystarczającą pokutę, tak że teraz wystarczy jedynie uzupełnienie modlitwą.

Następnego ranka po raz pierwszy od przyjazdu mogłem uczestniczyć we mszy.

Wszystkie nabożeństwa były odprawiane w języku ojczystym, a choć ich ryt wywodził się z Wysokiego Kościoła, odłamu Kościoła anglikańskiego, język podkreślał to wyraźne odcięcie się od Rzymu, które stanowiło znak firmowy fordytów. W zdobionej kaplicy brakowało akcentów maryjnych, co odróżniało ją od kościołów spod papieskiej jurysdykcji. Nie widziałem całego pomieszczenia, gdyż gości dopuszczano jedynie do transeptu, ale witraż, który widziałem, przedstawiał życie Chrystusa, a jedyną rzeźbę stanowił krucyfiks.

Przyjąłem komunię. Tak długo trzymało mnie przy życiu oczekiwanie, że było szokiem, kiedy po pierwszych chwilach niewy-słowionej ulgi, doświadczyłem nagłego zwątpienia. Zacząłem się bać, że ledwo opuszczę bezpieczne schronienie, wrócę do swoich błędów; zacząłem się bać, że nadal nie potrafię stawić czoła powtórnemu małżeństwu i ojcostwu; gnębiłem się myślą, że moje uczucia do Lyle to złudzenie, że wyzwalająca teoria dotycząca mego pochodzenia jest błędna i że rzeczywiście kompletnie się nie nadaję do służby Bogu w kapłaństwie.

Moja nową nadzieja została zdruzgotana. Wątpła wiara w siebie się załamała. Po nabożeństwie dowlokłem się do pokoju, zamknąłem okiennice, położyłem się twarzą do poduszki, czując na piersi ucisk krzyża i walczyłem, próbując odpędzić demony zwątpienia. Zmagaliśmy się przez jakiś czas. Zły duch ani razu całkowicie mnie nie pogłębił, ale przypuszczał atak za atakiem. Zostałem unieruchomiony. Wszystkie siły skierowałem na powstrzymanie go od wejścia do mej duszy.

W takim stanie zastał mnie Darrow, kiedy zajrzał po spotkaniu kapituły. Wszedł do pokoju, spojrzął na moją skuloną postać, otworzył okiennice i powiedział:

- Na nogi, Charles. Kopnij szatana w zadek i bierzemy się do roboty.

Przepelzłem do stołu.

- Sądziłem, że już wszystko będzie dobrze - wyznałem ze wstydem. - Myślałem, że będę silny jak wół, dzielny jak lew i gotów wyruszyć stąd ze śpiewem „Naprzód, chrystusowi rycerze”.

- Z pewnością część przerażonych mieszkańców Grantchester wylądowały w karetce! - roześmiał się opat. - Nie, Charles, byłbym głęboko zaniepokojony, gdybyś po tej ciężkiej próbie, jaką przeszedłeś, wyruszył stąd śpiewając wojskowy hymn.

Usiedliśmy obaj za stołem.

- Właściwie cieszę się, że miałeś ten nawrót, ponieważ teraz na pewno mi uwierzysz, jeśli powiem, że powinieneś zostać tu jeszcze kilka dni. Pod względem duchowym jesteś jeszcze ogromnie słaby, a ponieważ samo przyjmowanie sakramentu nie postawi cię cudownie na nogi, zamierzam dać ci kilka duchowych ćwiczeń.

Próbowałem nie okazać przerażenia. Nawet w moich najbardziej gorliwych czasach seminaryjnych nie przepadałem za zajęciami, które nie pozwalały mi się wykazać moimi talentami akademickimi.

- Zapewne nie pozostaniesz tu dłużej niż tydzień - ciągnął opat

- ale chcę, żebyś przez następne dwadzieścia osiem dni wstawał o szóstej rano, spędzał godzinę na czytaniu, modlitwie i medytacji w sposób, jaki ci wyznaczę. Możesz wypić filiżankę herbaty i kawy, żeby się dobudzić, ale proszę, w czasie tej godziny żadnego jedzenia ani papierosów.

Serce we mnie zamarło. Nigdy nie należałem do rannych ptaszków, a zanim przystąpiłem do ćwiczeń duchowych, potrzebowałem wzmocnienia w postaci trzydaniowego obiadu, wielu papierosów i mocnej whisky. Świeckim wydaje się, że duchowni posiadają niewyczerpaną zdolność do modlitwy i medytacji, prawda zaś wygląda tak, że

- z wyjątkiem zakonników przygotowanych do spędzania znacznej części dnia na modlitwie - tylko nieliczni księża mają dość czasu

albo energii, żeby poświęcić całą godzinę na samotną, ciężką pracę duchową. Co rano się modliłem i odmawiałem brewiarz, ale te czynności przypominały raczej duchowy sprint, teraz zaś wymagano ode mnie, żebym przebiegł duchowy długi dystans, podczas gdy ja doskonale zdawałem sobie sprawę, że zupełnie brak mi treningu.

Jednak moje postanowienie odbudowania życia, aby nadać znaczenia śmierci Jane, pomogło mi zapewnić:

- Niczego bardziej nie pragnę, jak nabrać sił. Zrobię, cokolwiek ojciec każe.
- Pozwól, że wyjaśnię, do czego zmierzam: chcę ci pomóc w odzyskaniu równowagi duchowej, którą twoje osobiste problemy znacznie naruszyły. W swoich dążeniach do sukcesu, który wywarłby wrażenie na ojcu, zapewne nabrałeś tendencji do nadmiernego kierowania energii na swoją pracę naukową. Nie twierdzę, że zaniedbywałeś nabożeństwa i modlitwę osobistą, ale czy nie było to jedynie skrupulatne wywiązywanie się z obowiązków? Mam wrażenie, że powinieneś teraz poświęcić więcej czasu na rozwijanie życia wewnętrznego, aby osiągnąć coś więcej niż zwykłe pozory zewnętrzne powołania.
- Zaczynam rozumieć, czemu ojciec kazał mi czytać te książki o mistykach.
- Miałem po temu dwa powody. Po pierwsze wydawało mi się, że zbyt zwracasz uwagę na transcendentny wymiar Boga - obawiam się, że to dość często spotykane uchybienie wielbicieli Karla Bartha - a poza tym pomyślałem, że warto, byś przypomniał sobie, że iskra Boża jest w każdej osobie ludzkiej...
- ...oraz że Bóg jest nie tylko transcendentny, ale i immanentny.
- Dokładnie tak. Mistycyzm stoi w pół drogi między liberalnym protestantyzmem, który podkreśla immanentny wymiar Boga, a teologią kryzysu Bartha, która pokreśla Jego wymiar transcendentny.
- A drugi powód, dla którego zainteresował mnie ojciec mistykami?

- Chciałem się przekonać, jak reagujesz na podkreślenie więzi człowieka z Bogiem, które może istnieć poza obrządkami formalnej modlitwy i po naszych późniejszych rozmowach zacząłem podejrzewać, że nie wykorzystujesz w pełni swoich duchowych darów, które otrzymałeś, na skutek czego jeszcze bardziej się umocniło twoje mylne przekonanie o swoim braku wartości. I to jest kolejny powód, dla którego winienesz teraz spędzać codziennie trochę czasu na ćwiczeniach i rehabilitacji. Musisz podbudować swoją wiarę w siebie, a to osiągniesz dzięki zrównoważonemu życiu duchowemu.
- Tak mnie gnębi ta moja słabość - nie mogłem powstrzymać skargi.
- W takim razie tym ważniejsze jest, byśmy zbudowali twoją siłę ducha. A teraz, Charles, najwyraźniej potrzeba ci trochę porządnej pracy fizycznej, żebyś nie spędzał ranków miotając się po łóżku. Chodź ze mną do ogrodu i sprawdzimy, czy nie znajdzie się jakieś użyteczne małe drzewko, które nie może się doczekać, żeby ktoś je wreszcie ściał...

VIII

Nie znalazło się żadne drzewo, które nie mogło się doczekać, żeby je ktoś ściał, ale za to był kawał ziemi, który trzeba było skopać. Kopałem, kopałem, kopałem... Po jakimś czasie poczułem się lepiej, a kiedy później brałem prysznic, przypomniałem sobie, jak lady Starmouth powiedziała z uśmiechem: „Uwielbiam Krzepkich Chrześcijan”. Jej uwaga nabierała teraz szczególnej ironii, kiedy uświadamiałem sobie, jakim wątłym chrześcijaninem się stałem, ale kiedy spojrzałem do lustra i zobaczyłem w nim nie lśniąca zasłonę, lecz moje prawdziwe ja, pomyślałem, że pewnego dnia, w dalekiej przyszłości, tak dalekiej, że omal niewyobrażalnej, uwaga o krzepkim chrześcijaństwie może nie wydawać się tak bardzo nie na miejscu.

To była bardzo zachęcająca myśl i zdałem sobie wtedy sprawę, że znowu zaczynam mieć nadzieję, zaczynam odbudowywać moją zdruzgotaną wiarę w siebie.

IX

Popołudniową sesję Darrow spędził dając mi listę książek do ćwiczeń duchowych i omawiając najskuteczniejsze techniki medytacyjnego czytania.

- Zaczniemy medytacje od Ewangelii synoptycznych - mówił -bo chcę, żebyś skupił się na Chrystusie, a potem przejdziemy do Ewangelii świętego Jana, byś mógł się skupić na Duchu Świętym. Za bardzo jesteś teocentryczny, możliwe, że twoje osobiste problemy sprawiły, że zanadto się zajmowałeś Bogiem jako Ojcem. Zauważyłem znaczny brak równowagi w twoim pojmowaniu Świętej Trójcy. Znowu ogarnęło mnie przerażenie. Może i jestem doktorem teologii, ale czułem się jak student, który zaraz obleje egzamin i nagle gorąco zapragnąłem go zdać. A jeśli zostanę obnażony jako zupełnie duchowe dno? Myśl o klęsce wystarczająco mnie przerażała, ale myśl o rozczarowaniu opata zdawała się wręcz nie do zniesienia. Rozpaczliwie szukałem jakiegoś rozwiązania, które by mnie osłoniło i kiedy Darrow przyszedł wieczorem do pokoju, moja lśniąca zasłona powitała go słowami:

- Chciałbym, żeby ojciec coś o sobie opowiedział. Tylu rzeczy chciałbym się dowiedzieć.

Ledwo je wypowiedziałem, poczułem, jak się odprężam. To była niezawodna technika zdobywania życzliwości starszych mężczyzn. Pytać o przeszłość, słuchać odpowiedzi z żarliwością wzorowego ucznia, a w nagrodę otrzymać dowód ojcowskiej życzliwości, która przymknie oko na wszelkie słabości i błędy, które tak rozpaczliwie próbowałem ukryć.

- Niech mi ojciec opowie o latach spędzonych w marynarce

wojennej! - ponagliłem go z największym ciepłem i wdziękiem, na jakie mnie było stać, ale choć ufnie oczekiwałem odpowiedzi, która zagłuszyłaby strach przed swoją nieudacnością, Darrow milczał. Początkowo sądziłem, że po prostu czeka, by odłożyć swoją maskę kierownika duchowego, a kiedy się uśmiechnął, byłem pewien, że lada chwila mi się zwierzy. Ale wtedy oświadczył z powagą:

- Nie, Charles. Jeśli mam ci pomóc, muszę pozostać dla ciebie w znacznym stopniu bezosobowy.

Mogę być jedynie twoim kierownikiem duchowym. Niczym mniej. I niczym więcej.

Ponownie zapadła cisza, kiedy z bólem zdawałem sobie sprawę z machinacji mojej lśniącej zasłony, ale wreszcie Darrow odezwał się z pewnością, która pozwalała na delikatność bez śladu ustępstwa:

- To nie jest odrzucenie, Charles. Wręcz przeciwnie. Odrzucałbym ciebie, gdybym pozwolił, by nasze kontakty nabrały charakteru, który jedynie umocniłby twoje wewnętrzne trudności, nękające cię od tak dawna. W tym momencie moim najpilniejszym zadaniem nie jest udowodnienie, że potrzebujesz figury ojca. Muszę cię przekonać, że nie jest ci ona potrzebna.

Skinąłem głową.

- Niech ojciec nie myśli, że nie zdaję sobie sprawy, jak absurdalne jest, by mężczyzna w moim wieku nieustannie potrzebował w tle jakiejś postaci ojca - odezwało się po chwili moje prawdziwe ja.

- Jestem pewien, że gdy tylko porozumiesz się z ojcem, znaczna część twoich problemów zostanie rozwiązana. Ale z równą pewnością muszę przyznać, że obawiam się, że owo porozumienie nie przyjdzie łatwo.

Aby zapanować nad zawstydzeniem, szybko zmieniłem temat.

- Czy od tego zaczniemy sporządzać nasz plan batalii mojego powrotu do świata? - spytałem.

- Może i tak - odparł Darrow, który oczywiście odgadł głębię

mego zagubienia i chciał wesprzeć moje wysiłki stawienia temu czoła. - Doskonale, wyobraźmy sobie twoją najbliższą wizytę u rodziców w Epsom...

X

Twoje zadanie - mówił Darrow - polega na zbudowaniu twoich kontaktów z rodzicami na zupełnie nowych fundamentach. Ustalenie prawdy w kwestii twojego pochodzenia ma nie tylko zaspokoić twoją - bardzo usprawiedliwioną - ciekawość; ma stworzyć atmosferę prawdy, w której można stworzyć nowe relacje z rodzicami.

- Tak, ojcze.

- Nie, Charles, nie masz tylko siedzieć i potakiwać, jak posłuszny nowicjusz! Wysiłaj się, myśl, bądź konstruktywny...

- Jak mam podejść do tego zadania tworzenia nowych relacji z rodzicami?

- Od razu lepiej. Twoim zadaniem jest podejście do nich po chrześcijańsku, co mi przypomina o pewnym twoim stwierdzeniu. Czy, opowiadając o pobycie w Starbridge, nie wspomniałeś coś o poczuciu winy z powodu braku doświadczenia w pracy parafialnej? Cóż, nadeszła pora, byś przejął obowiązki tamtejszego proboszcza i zatroszczył się o życie duchowe swoich rodziców.

- Ależ drogi ojcze...

Zmierzył mnie lodowatym wzrokiem.

- Uważasz, że twoi rodzice nie zasługują na troskę? Dlatego że nie chodzą do kościoła, sądzisz, że nie są warci twojej bezcennej duchowej opieki?

- Nie, oczywiście, że nie, ale...

- Czy bycie księdzem polega wyłącznie na zabłyśnięciu homiletycznymi fajerwerkami i pisaniu książek o pierwszym Kościele?

- Nie, ojcze. Ewangelię głosi się, realizując swoje powołanie.

- Dokładnie tak. A więc jedź do Epsom i żyj zgodnie z tym, co

ci nakazuje chrześcijaństwo. Nie musisz słowem wspominać o Bogu. Nie musisz nawet chodzić w sutannie. Po prostu stań na progu ich domu i poprzez swoje działania, pokaż im, w co wierzysz.

- Tak, ale, ojcze, ilekroć ich odwiedzam, tak bardzo się staram...

- Co robić? Być idealnym synem i wypełniać swoje obowiązki względem dwóch papierowych postaci zwanych „Ojcem” i „Matką”? Zostaw tę lśniąca zasłonę, Charles, odrzuć też i ich lśniące zasłony! Zajrzyj za papierowe postacie i odkryj dwoje nieznajomych, którzy kryją się przed tobą, tak samo, jak ty się przed nimi ukrywałeś. Jak naprawdę wygląda życie twoich rodziców? Jak twój ojciec radzi sobie z przejściem na emeryturę, które zawsze jest takim obciążeniem dla aktywnych mężczyzn? Jak on, jako ateista, stawia czoło zbliżającej się perspektywie odejścia? A twoja matka, jak sobie radzi ze starością i świadomością zaniku urody? Jak sobie radzi z emeryturą ojca, która stanowi niewygodną zmianę dla każdej żony? Na ile jest samotna? Na ile za tobą tęskni i na ile pragnie ci się zwierzyć? Charles, to duszpasterskie wyzwanie samo pcha ci się w ręce. Czy zamierzasz spędzić wakacje, beztrąsko izolując się od problemów dwudziestego wieku, ponownie szukając schronienia w odległej, historycznej przeszłości, czy też zamierzasz wyjść wreszcie ze swojej wieży z kości słoniowej i służyć Bogu tam, gdzie możesz się okazać bardziej potrzebny niż gdziekolwiek do tej pory? Poczuję się, jakby Bóg nie przemówił do mnie szeptem, lecz wezwał dźwiękiem trąb i zwiesił głowę ze wstydem, zastanawiając się, czemu tak długo byłem głuchy.

Rozdział siódmy

„Chrystus naznacza niewidzialnym znamieniem wszystkich swoich prawdziwych uczniów, tak kiedy żyją w normalnym środowisku, jak i w chwilach cierpień i męczeństwa”.

Herbert Hensley Henson, biskup Durham w latach 1920-39, *Retrospect of an Unimportant Life*

I

To nie będzie łatwe - ostrzegł Darrow. - Ojciec, zapewne jak zwykle przyjmie oporną postawę, a matka, też jak zwykle, będzie działała ci na nerwy, ale nie przestawaj ich odwiedzać, Charles. Poświęć na to całe swoje wakacje. A wtedy troska może wzbudzić zrozumienie, zrozumienie może dać początek wybaczeniu, wybaczywszy zaś, odnajdziesz wreszcie pokój ducha.

- Przypominają mi się słowa Jardine'a - przerwałem nagle. - Kiedy opowiadał o ojcu, w pewnym momencie wyraził się bardzo podobnie: „Wraz ze zrozumieniem staje się możliwe przebaczenie”.

- Po tej duchowej uwadze biskupa, zaczynam nabierać o nim odrobinę lepszego mniemania - zauważył opat, pozwalając sobie na odejście od postawy bezstronnego obserwatora, natychmiast jednak pożałował swojej szcerości i nim zdołałem cokolwiek wtrącić,

dodał szybko: - A teraz z pewnością chcesz przenieść pole bitwy z Epsom do Starbridge.

Szukałem słów, za pomocą których mógłbym udowodnić, że rozumiem swoją sytuację.

- Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że moi rodzice są ważniejsi; muszę rozwiązać sytuację w Epsom, aby osiągnąć równowagę ducha niezbędną do wyjaśnienia tajemnicy Starbridge. Mimo to jednak... -

Zawahałem się, ale musiałem się przyznać. - Nie mogę znieść myśli o pozostawieniu Lyle na boku.

- Zgadza się, że to wyjątkowo trudne - odparł natychmiast Darrow i, zachęcony jego zrozumieniem, podjąłem kolejny wysiłek w celu wyrażenia swoich uczuć.

- Sądzę, że łatwiej by mi było pozostawić Lyle, gdybym miał określony termin, do którego muszę się wstrzymać - powiedziałem. - Zakładając, że z rodzicami dobrze by mi poszło...

- I tak będziesz musiał im poświęcić większość twoich wakacji. A może ustalilibyśmy datę powtórnego zajęcia się Lyle na koniec września?

Sześć tygodni wydawało się bardzo długim okresem, ale odparłem bez wahania:

- Doskonale, w takim razie czy mógłbym do niej napisać, żeby utrzymać kontakt?

- To uczciwe pytanie, nie widzę jednak, czemu przyjmujesz, że ja lepiej na nie odpowiem niż ty.

Pozwól, że zadam ci kilka pytań, które pomogą ci się zdecydować. Na przykład, co da ci ten list oprócz odnowienia kontaktu? Jak byś się czuł, gdyby nie odpowiedziała? Czy byłbyś jeszcze bardziej przygnębiony? Czy ten niepokój nie odwracałby twojej uwagi od rodziców, którzy powinni znaleźć się teraz na pierwszym miejscu? Czy mogłoby cię kusić, żeby natychmiast wyruszyć do Starbridge na kolejną bolesną konfrontację z biskupem?

Musiałem przyznać, że wszystkie te pytania budziły niepokój.

- Może rzeczywiście na razie nie powinienem nic robić - przyznałem niechętnie.

- Pozostawimy tę kwestię nie zamkniętą i będziemy regularnie do niej wracać. Jestem pewien, że wtedy pojawi się jakieś zadowalające rozwiązanie... A skoro o tym mowa, myślę, że jesteś już na tyle silny, Charles, by przyjąć informację o rozwoju wypadków w Starbridge. Następnego ranka po twoim przyjeździe dzwonił tutaj Jardine.

Zdumiało mnie, jak nerwowo zareagowałem na tę wiadomość.

- Powiedział ojcu, że zwariowałem?

- O wiele bardziej niepokoiło go, czy dotarłeś bezpiecznie na miejsce. Oczywiście, bał się, czy nie miałeś wypadku. Gdyby coś ci się stało, część odpowiedzialności niewątpliwie spadałaby na niego.

- Dzwonił jeszcze?

- Tak, trzy dni później. Chciał się dowiedzieć, jak sobie radzisz. Odparłem: „Jak miło ze strony księdza biskupa, że tak się o niego troszczy. Charles czuje się lepiej i korzysta z chwili spokoju w naszym gronie”. Ciekawiło mnie, czy będzie próbował coś jeszcze ze mnie wyciągnąć.

- No i?

- Niewątpliwie próbował mnie wysondować. Powiedział: „Kiedy Charles nas opuszczał, był w bardzo złym stanie. Ogromnie się niepokoiłem, bo zdaje się, ubzdurał sobie jakieś niesamowite historie”.

Odpowiedziałem na to niewyraźnym chrząknięciem, które mogło znaczyć dokładnie wszystko, na co on stracił tupet, zmienił kurs i spytał, jak mi się podoba hrabstwo Cambridge.

- A więc próbował ojca przekonać, że zwariowałem!

- Nie sądzę - odparł Darrow ze spokojem, który nieodmiennie podnosił mnie na duchu. - Gdyby zamierzał to zrobić, sądzę, że próbowałby zaatakować wprost, upierając się, że dostałeś ataku, ale jemu najwyraźniej bardziej zależało na zdobyciu informacji, niż na wysuwaniu oszczerczych zarzutów.

- Ale, oczywiście, śmiertelnie się boi, że ojciec mi uwierzy!

- Oczywiście, ale to byłoby uzasadnione i w razie jego niewinności, i winy. Nawet najświętszy biskup drżałby na myśl o jakimś

kanoniku, który w świętych murach klasztoru fordytów roznosi plotki o jego cudzołóstwie!

Stopniowo się uspokajałem.

- Przepraszam - powiedziałem wreszcie. - Głupio się zachowuję.

- Wcale nie. Niepokój Jardine'a, czy nie przekonałeś mnie, że jest cudzołożnikiem, jest równie naturalny jak twój niepokój, czy Jardine mnie nie przekonał o twojej chorobie umysłowej.

Próbowałem ci jedynie zwrócić uwagę na ważny fakt, że czas się nie zatrzymał w chwili, gdy odbiegłeś od stołu jadalnego w pałacu biskupim. Sądzę, że myśląc o Lyle i Jardinie czy ich związku, jakkolwiek by on był, widzisz ich niejako unieruchomionych w czasie i przestrzeni, jednak sytuacja w pałacu nieustannie się zmienia, podobnie jak i twoja, i to kolejny wzgląd, dla którego, moim zdaniem, powinieneś jeszcze chwilę poczekać, zanim wrócisz, by ostatecznie wywęszyć, co dzieje się w Starbridge. Rzuciłeś wyjątkowo duży kamień w tę szczególną sadzawkę, Charles. Poczekaaj aż kłęgi dotrą do brzegu i wtedy zobaczysz, co woda wyrzuci na piasek. Sądzę, że może się okazać, że w ostatecznym rozrachunku cierpliwość bardzo popłaci.

II

Moja pierwsza próba ćwiczeń duchowych zakończyła się całkowitą klęską. Pierwsze pół godziny miałem poświęcić na czytanie w normalnym tempie fragmentów z „Wyznań” świętego Augustyna i „O naśladowaniu Chrystusa” Tomasza z Kempis, dwóch sławnych dzieł, z którymi oczywiście zapoznałem się wcześniej w czasie mojej kariery, ale które od jakiegoś czasu leżały nie ruszane na półce mojej biblioteki. Zadanie wydawało się dość proste, ale kiedy po piętnastu minutach je skończyłem, po czasie uświadomiłem sobie, że czytałem z wyjątkową szybkością,

nabytą po latach pracy akademickiej i, co gorsza, czytając po raz drugi, przekonałem się, że część akapitów okazała się dla mnie zupełnie nowa. Zaniepokoił mnie ten dowód słabej koncentracji, ale prawdziwe problemy zaczęły się dopiero, kiedy przeszedłem do czytania medytacyjnego. Miałem rozważyć fragment z Ewangelii świętego Marka, nie jakiś interesujący kawałek typu mała Apokalipsa, która sprowokowałaby mnie do interesujących rozważań naukowych o żydowskiej eschatologii, ale kilka wersów opisujących uzdrowienia córki Jaira. Historia rozpaczliwie znana i po pięciu minutach przekonałem się, że moje próby medytacji rozbijają się o głąz nudy.

Dla zabicia czasu przetłumaczyłem wersety na nowotestamentową grekę, potem średniowieczną łacinę, ale boleśnie zdawałem sobie sprawę, że to nie intelekt miałem ćwiczyć i z udręką w duszy dotarłem do ostatniego kwadransa przeznaczonego na modlitwę. Ten element wydawał się prostszy, ponieważ byłem przyzwyczajony do modlitw, jednak tak mnie załamało niepowodzenie medytacyjne, że myślami znowu błądziłem w obłokach i mojej modlitwie zabrakło głębi.

Przekonałem się, jak bardzo jestem zagubiony, jeśli nie pracuje mój intelekt i choć nie była mi obca głębsza świadomość religijna, zdałem sobie sprawę, że przez lata moje doświadczenia miały się rozszerzać, znacznie się zawężyły. Odpowiadało mi, gdy moja wiara przybierała chłodną, twardą, analityczną formę i mogłem czuć się bardzo, bardzo pobożny, póki intelekt nie tracił nad nią władzy. Wmówiłem sobie, że mój temperament nie predysponuje mnie do medytacji. Mój dar polegał na uczeniu się i nauczaniu, a nie na spędzaniu godzin na rozważaniach, jakie duchowe przesłanie niesie króciutki urywek z Ewangelii świętego Marka.

Zdawałem sobie jednak sprawę, że nigdy nie potrafię się głośno przyznać wobec mojego kierownika duchowego do takich niewłaściwych myśli i po dłuższym niepokoju doszedłem do wniosku, że pozostaje mi jedynie przyznać się do porażki, podkreślając równocześnie, że niewątpliwie wkrótce nastąpi znaczna poprawa.

Spotkaliśmy się po zebraniu kapituły.

- Komuś, cierpiącemu na niedożywienie, często początkowo może szkodzić normalne jedzenie - odparł spokojnie, kiedy przyznałem się do trudności - liczy się jednak twoje pragnienie i wola pozostania przy stole i stawienia czoła posiłkowi. Przyjrzyjmy się dokładnie, co się stało, abym mógł opracować cię odpowiednią dietę.

Dokonawszy sekcji całej nieudanej godziny, wydłużył czas przeznaczony na zwykłą lekturę, modlitewne czytanie skrócił do ośmiu minut, czas na modlitwę zostawił bez zmian, w sumie jednak moje ćwiczenia duchowe nadal miały trwać całe długie sześćdziesiąt minut.

- Gdybyś miał wprawę - dodał - medytacja nad tym fragmentem zajęłaby ci' dwadzieścia pięć minut, czyli tyle ile większość ludzi może spędzić na tego rodzaju lekturze. Nie trać jednak odwagi; na razie jeszcze nie wymagam od ciebie zbyt wiele.

Ja jednak nie mogłem znieść tego wyraźnego potwierdzenia mej porażki.

- Niech się ojciec nie niepokoi - odezwała się moja lśniąca zasłona, nim zdołałem ją powstrzymać - jestem pewien, że wkrótce przewycięzę te drobne niepowodzenia!

I natychmiast zdałem sobie sprawę, że popełniłem ten sam błąd, gdy próbowałem sprowadzić moją więź z opatem na bardziej osobisty poziom. Szukałem słów, by cofnąć to jakże fałszywe i absurdalne zapewnienie, ale w końcu to Darrow pierwszy przemówił:

- Charles, nie musisz odnosić niewiarygodnych sukcesów, żeby zdobyć moją sympatię i aprobatę. Póki będziesz się starał, jak możesz - nawet gdybyś uważał to za drobiazgi - możesz być pewien mojej sympatii i aprobaty.

Zapadła cisza. Lśniąca zasłona - pobita, ale ciągle żywa - ponownie schroniła się w mej podświadomości, ale ja nadal byłem zbyt wstrząśnięty, by odpowiedzieć.

- Postawmy sprawę jasno - odezwał się Darrow i znowu zdecydowanie jego głosu pozwoliło mu być delikatnym, bez sprawiania wrażenia ustępliwości. - Pod wieloma względami jesteś bardzo przeciętnym, młodym kapłanem. Posiadasz pewien skromny duchowy dar, który do tej pory zaniedbywałeś i teraz musisz zwrócić nań uwagę, rozwijając go, na ile potrafisz, ale nie oczekuję tu żadnych wspaniałości, Charles; nie oczekuję, że zmienisz mi się w świętego Ignacego Loyolę, a wtedy ja położę ci rękę na głowie i powiem: „Dobra robota”. Mam tylko nadzieję, że ty, prawdziwy Charles Ashworth, będziesz uparcie zmierzał się z tym zadaniem, wcale dla ciebie niełatwym, i w końcu osiągniesz zapewne niewielką, ale i tak poważną poprawę życia duchowego. I dopiero wtedy powiem: „Dobra robota, Charles”, ale nie będę w ten sposób przypieczętowywał żadnej wspaniale odegranej roli, lecz okażę swoją wiarę w twoje prawdziwe ja. Walcz z lśniąca zasłoną, Charles. To twój wróg, przebrany za sprzymierzeńca. Walcz z nią, póki wreszcie nie wyszarpniesz korzeni, naprawiając swoją relację z ojcem.

Głęboko zawstydzony swoją nieuczciwością, obiecałem, że chcę wyłącznie żyć w prawdzie.

III

Spędziłem z fordytami jeszcze pięć dni, nim poczułem dość wiary w siebie, by zaryzykować powrót do świata. Moje kolejne podejście do ćwiczeń duchowych okazało się równie upokarzające jak pierwsze, ale teraz, gdy zrzuciłem z siebie ciężar podejmowania wysiłków, by stać się drugim Ignacym Loyolą, przekonałem się, że łatwiej mi się skoncentrować i przestałem się zamartwiać, co Darrow pomyśli o mojej porażce.

Codziennie opat wprowadzał zmiany w mojej duchowej diecie i stopniowo przestałem się obawiać przeprowadzanych przez niego sekcji, a wręcz zacząłem ich wyglądać. Jego pytania pozwalały mi

rozwiązać wątpliwości, naprowadzały na słabe punkty, udzielały mi wskazówek, jak się skoncentrować w czasie rozważań. Wkrótce stało się jasne, że doskonale wie, kiedy staram się ze wszystkich sił, a kiedy nieświadomie popadam w inercję i gdy wreszcie uwierzyłem, że nigdy nie będzie lekceważył moich wysiłków ani stawiał wygórowanych żądań, chętnie poddałem się jego kierownictwu i ugiąłem swoją wolę, aby osiągnąć równowagę życia duchowego, którą moje dotychczasowe problemy tak skutecznie uniemożliwiały.

Tylko raz przed moim wyjazdem rozmawialiśmy jeszcze o Starbridge.

- Zastanawiałem się znowu, czy powinienem napisać do Lyle - powiedziałem ostatniego wieczoru - i doszedłem do wniosku, że jeśli chcę postąpić normalnie, winienem napisać nie do Lyle, ale do pani Jardine. W końcu to ona była gospodynią tamtego koszmarnego wieczoru i najmniejsze, co mogę zrobić teraz, gdy wróciłem do siebie, to przeprosić za moje zachowanie po pijanemu.

- Co chciałbyś osiągnąć za pomocą tego listu, oprócz przekonania ich o swoich dobrych manierach? - spytał tylko opat.

- Przekonałbym ich o mojej równowadze psychicznej. Wydaje mi się, że gdybym składał namiętne wyznania Lyle, uznałaby je wyłącznie za kolejny dowód, że mam poprzestawiane w głowie.

- Doskonale, jak najbardziej napisz do pani Jardine, ale powiedz mi, Charles, czy nadal gnębi cię konieczność odłożenia Lyle na później?

- Gnębi, ale godzę się z tym. Zdaję sobie sprawę, że rzeczywiście moi rodzice są najważniejsi.

- Jestem pewien, że zapewnią ci dość rozrywki... A jak się czujesz, szykując się do stawienia czoła światu?

- Niespokojny. Ale i pełny nadziei, bo wiem, że podejmuję właściwe działania, zmierzające do mojego ponownego narodzenia. Nie zawiodę cię, ojcze, obiecuję.

- To nie mnie nie wolno ci zawieść.
 - Wiem, ale czy nie mogę ojca uważać za symbol?
 - Niebezpiecznie jest uważać ludzi za symbole! - odparł lekko Darrow. - Moim zdaniem znajdziesz się na znacznie bezpieczniejszym gruncie, jeśli będziesz mnie traktował po prostu jak duchownego, który wykonuje dzieło, wyznaczone mu przez Boga. -1 dodał, wstając: - Po śniadaniu przyjdź do mojej rozmównicy po błogosławieństwo.
- Nim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, wysunął się z pokoju.

IV

Następnego dnia pożegnaliśmy się bardzo prosto w przeładowanym sprzętami pokoju. Uklęknąłem, by przyjąć błogosławieństwo, a kiedy wstałem, podaliśmy sobie ręce.

- W tym momencie zaczyna się druga część twojej próby, Charles. Będę się za ciebie gorąco modlił, dopóki znowu się nie spotkamy.

Nie wiedziałem, jak mu podziękować, próbowałem jednak wlać w konwencjonalne zdania wdzięczność, której nie sposób wyrazić słowami. Chciałem także oddać mu pożyczony krzyż, ale się nie zgodził.

- Nie - powiedział, odprowadzając mnie do drzwi wejściowych. - Sądzę, że jeszcze może ci się przydać.

V

Wróciwszy autobusem do miasta, wszedłem do swojego pokoju w Laud's College, kiedy zegar na katedrze wybijał jedenastą. Przez dłuższą chwilę wpatrywałem się w to znajome, a jednak dziwnie obce pomieszczenie, które moja lśniąca zasłona tak pieczołowicie umeblowała, by podtrzymać swoje wrażenie doskonałości, wreszcie zamknąłem drzwi, postawiłem torbę i podszedłem do biurka, żeby zadzwonić do rodziców.

Zanim podniosłem słuchawkę, zdjąłem koloratkę i otworzyłem dopiero co kupioną paczkę papierosów. Pierwsze zaciągnięcie przypominało przysłowiowy nektar bogów. Siadając na krześle, oparłem się łokciami o biurko i wdychałem głęboko dym, rozkoszując się smakiem papierosa. Równocześnie przerzucałem stertę listów. Jak zwykle było w niej za dużo rachunków, ale oprócz tego liczne pocztówki z całej Europy, przysłane przez studentów, jakiś przyjacielski list od nie znanego mi amerykańskiego profesora, który przeczytał moją książkę, Nie zwracając uwagi na stertę czasopism teologicznych i religijnych, zacząłem kręcić numer do Epsom zerkając na egzemplarz „Timesa”, który właśnie kupiłem. Chiny nadal walczyły z Japonią, Hiszpanie między sobą, szatan kroczył przez Niemcy. To tyle, jeśli chodzi o świat. Właśnie myślałem, że życie w klasztorze - mimo braku kobiet - ma swoje uroki, kiedy telefon przestał dzwonić w Epsom, jako że cierpiąca od dłuższego czasu na trzeci migdał służąca rodziców podniosła wreszcie słuchawkę.

- Halo, Ada - odezwałem się, kiedy oświadczyła, że właśnie połączyłem się z rezydencją państwa Ashworthów. - Sądząc po głosie, jesteś w niezłej formie.

- Panicz Charles... Cóż za miła niespodzianka! Jedną chwileczkę, pana matka wyszła do fryzjera, ale ojciec jest w domu, zaraz go zawołam ze szklarni.

Głęboko zaciągnąłem się papierosem. Mijały minuty i właśnie miałem przełożyć słuchawkę do drugiej ręki, by dać odpoczynek mięśniom dłoni ściskającej kurczowo słuchawkę, kiedy usłyszałem jakieś szmery, a wreszcie rozległ się ostry głos ojca:

- Charles?

- Dzień dobry, ojciec. Chciałem...

- O co chodzi? Masz jakieś kłopoty? Serce zaczęło mi dudnić.

- Nie wiem, czemu miałbyś tak sądzić... - odparłem i jakimś cudem udało mi się wypalić papierosem dziurę w pierwszej stronie gazety.

- A ja nie wiem, z jakiego innego powodu miałbyś dzwonić, skoro ostatnio nie byliśmy godni tego zaszczytu! Cóż, przypuszczam, że nie ze mną chciałbyś rozmawiać. Matka mówiła, że będzie koło dwunastej. To znaczy, że wróci o pierwszej. Przekażę jej, że dzwoniłeś.

- Poczekaj!

Na wpół świadomie odnotowałem, że zgniatam na wpół wypalonego papierosa.

- Ojcie, chciałbym przyjechać do was jutro na lunch. Zamierzałem pokazać się koło południa z butelką szampana...

- *Szampana!*

- Tak, chciałem zakopać topór wojenny... - Teraz rozgniatałem resztki papierosa w popielniczkę. - ...Sądziłem, że warto by to uczcić.

- Paskudny, pretensjonalny alkohol ten szampan. Nadaje się wyłącznie na wesela. Nie wyrzucaj pieniędzy w błoto. Po prostu przyjeźdź jutro w południe, pamiętaj, że masz się odzywać jak przystało na dobrze wychowanego człowieka, a możesz być pewny, że topór zostanie głęboko zakopany. Potem wypijemy po kieliszku mojego najlepszego sherry i tyle wystarczy.

- Tak, ojcie.

- Powinieneś się wystrzegać ekstrawagancji, Charles. Nie musisz się zachowywać, jakbyś należał do śmietanki miasta.

- Nie, ojcie.

- W takim razie jutro w południe. Matka będzie bardzo zadowolona. Pamiętaj, żebyś jechał ostrożnie i nie zarzynaj samochodu, udając rajdowca - nakazał surowo ojciec i odwiesił słuchawkę, zanim zdobyłem się na jakąkolwiek odpowiedź.

VI

Pomyślałem o opacie i zaczerpnąłem kilka głębokich oddechów, ściskając krzyż. Otrząsając się ze wszelkich myśli o rodzicach, zająłem się doczesnymi sprawami, które uzbierały się w czasie

mojej nieobecności. Później, w drodze powrotnej z banku, złożyłem wyrazy szacunku mojemu samochodowi, który stał bezpiecznie przed Laud's College. Odniosłem wrażenie, jakbym wrócił z zaświatów. Coraz bardziej narastało we mnie poczucie, że rozpoczynam nowe życie.

Tego samego wieczoru napisałem do Langa długi, przyjacielski list, w którym przepraszałem, że tak długo się z nim nie kontaktowałem. Strony zapełniłem opisem starannie wybranych fragmentów moich rekolekcji. To dało mi pretekst do wychwalania pod niebiosa nowego opata, a także do sporządzenia krótkiej, jednoakapitowej rozprawki na temat mistycyzmu. Między nieważne nowinki wcisnąłem następujące zdania: „Jeśli chodzi o misję, którą mi Eminencja zlecił, nie znalazłem żadnych dowodów, by coś nie wyglądało tak jak powinno i pragnę uspokoić Jego Eminencję, że zupełny brak jakichkolwiek dowodów zapewni naszemu człowiekowi całkowite bezpieczeństwo przed atakami wrogów”. Dodałem także, już w nieco mniej dramatycznym tonie: „Oczywiście, jeśli Eminencja życzyłby sobie się ze mną spotkać, by przedyskutować dokładniej te kwestie, natychmiast przyjadę do Lambeth, obawiam się jednak, że niewiele mogę dodać ponad to, że zostałem przyjęty z ogromną gościnnością, a moja wizyta, pod wieloma względami, upłynęła znacznie przyjemniej, niż się tego spodziewałem”.

W ten sposób wreszcie uciekłem od roli prymasowskiego szpiega. Zakleiliśmy kopertę i wyszedłem z pokoju. List wrzuciłem do skrzynki obok katedry i rozkoszując się wolnością po zrzuceniu ciężaru, który rozpoczął czas mej próby, z ulgą powróciłem do college'u na kolację.

VII

Późnym wieczorem nalałem sobie niewielką porcję whisky, żeby lepiej mi się spało, ale wydała mi się tak obrzydliwa, że ją wylałem. Skutek był taki, że przez wiele godzin nie mogłem

zasnąć, a kiedy budzik zadzwonił o szóstej, z trudem otworzyłem oczy. Zanim jednak ponownie zapadłem w sen, przypomniałem sobie o opacie i w kilka sekund później wygrzebywałem się z łóżka, żeby sobie zaparzyć kawę.

Ćwiczenia duchowe wydawały się znowu niewykonalne, teksty odległe, medytacja jałowa i kiedy tak zmagalem się, próbując się skupić, mogłem myśleć jedynie, jakie to dziwne, że tak niezdarnie wchodzę na drogę nowego życia w tym pokoju, gdzie moja lśniąca zasłona tak zgrabnie stosowała metody, dzięki którym osiągała swój płytki sukces. I nagle, w tej rozpaczce, że teraz poruszam się tak wolno i niezręcznie, jeszcze goręcej zapragnąłem tego nowego życia. Pragnienie nie wyraziło się w słowach, ale wiedziałem, że się modlę o siłę, która miała nadejść znikąd, a nie zostać wydobyta stamtąd, gdzie moje źródła były takie osłabione. To tak, jakbym wołał: „Pozwól mi żyć!” i w chwilę potem we wspomnieniach wróciła Jane. Widziałem, jak w czasie naszego miodowego miesiąca biegnie plażą ku morzu, słyszałem, jak krzyczała radośnie: „Chodź, Charles, no, chodź!” Światło wczesnego poranka przedzierało się przez okna pokoju, a martwy tekst przed moimi oczami tętnił życiem. „Spójrz, Charles, fala się odwraca!”, dobiegł mnie jej głos. Książka wysunęła mi się z rąk i zdałem sobie sprawę, że miłość Jane przenosi mnie na fali mego wyzwolenia ku wspaniałej ciemności, która wiecznie leżała ukryta.

VIII

Dokładnie w południe owego sobotniego dnia znalazłem się w Epsom i skierowałem się ku obrzeżom miasta, gdzie w pobliżu toru wyścigowego mieszkali moi rodzice. Ich dom, zbudowany pod koniec ubiegłego stulecia, miał sześć sypialni i trzy salony. Otaczał go akrowy ogród. Ojciec nie zgodził się sprzedać domu, kiedy dzieci się już wyprowadziły. To był jego dom, ciężko

nań zapracował i będzie w nim mieszkał, póki go stąd nie wyniosą nogami do przodu - tak przynajmniej powtarzał, ilekroć matka wzdychała za jakimś eleganckim, modnym domkiem, który przytuliłby ich czule w ich starości. Do domu przytykała oranżeria, którą Ada określała mianem szklarni. Oranżeria ta dawno stała się przedmiotem ambitnych zamierzeń ogrodniczych ojca, a teraz stanowiła główną jego namiętność. Tego południa, skręcając na podjazd przed domem i patrząc na słońce, które odbijało się od szklanego dachu, zastanawiałem się, czy ojcu udało się spełnić swe marzenie i wyhodować pomarańcze większe od śliwek.

Wysiadłem z samochodu i włożyłem marynarkę. Postanowiłem nie ubierać się w sutannę, ponieważ ojciec często robił złośliwe uwagi na ten temat, tak więc miałem na sobie jasnoszary garnitur i gładką koszulę z krawatem mojej dawnej szkoły. Pozostawało mi żywić nadzieję, że wyglądam oficjalnie, ale nie pretensjonalnie, elegancko, ale nie ostentacyjnie, godnie, ale bez zadęcia na coś więcej niż średnią klasę. Innymi słowy ze wszystkich sił starałem się przekonać ojca, że, niezależnie od tego, kto naprawdę był moim ojcem, trzydzieści siedem lat jego ciężkiej pracy nie poszło na marne.

Ada otworzyła drzwi wejściowe. Kiedy na swoich płaskich stopach, z radosnym wejrzeniem stała w progu, pomiędzy jej nóg z ujadaniem wyskoczył pies ojca, Nelson.

- Co za psisko! - zawołała ze złością, kiedy Nelson skoczył mi na ramiona, a w odpowiedzi na pytanie o jej zdrowie, stwierdziła, że te guzy na stopach ją kiedyś wykończą. To jednak była jej tradycyjna odpowiedź. Guzy na stopach wykańczały ją co najmniej od dwudziestu lat, wyraziwszy więc również tradycyjne słowa ubolewania, mogłem wreszcie spytać:

- Jak się mają rodzice?

- Tak się cieszą, że panicz przyjeżdża. Pani z samego rana wybrała się kupić nową suknię. Niech panicz nie zapomni zwrócić na nią uwagę, ale nie mówi, że to ja... Oj, a oto i ona! Bóg z tobą, paniczu Charlesie, dobrze panicza znów widzieć...

Począpiała w stronę kuchni, kiedy matka dokonała efektownego zejścia ze schodów.

- Charles, kochanie!

Matka liczyła sobie dobrze ponad pięćdziesiąt lat i nadal przyciągała uwagę: ciemne włosy, ciemne oczy i pewna drapieżność, którą można uznać za pociągającą. Jej prawdziwą pasję życiową stanowił własny wygląd, o który troszczyła się z nie słabnącym oddaniem. Mógłbym się założyć, że farbowała włosy, ale tyleż samo bym postawił, że ojcu - który z naiwną wiarą przyjmował co większe tajniki kobiecości - nawet by przez myśl nie przeszło, że zniżyłaby się do tak wulgarnego czynu. Jeśli chodzi o ubrania, matka miała gusta kosztowne, acz umiarkowane. Dziś była ubrana w granatową suknię ozdobioną skromnym sznurkiem pereł.

- Miło mi widzieć, że nie straciłaś sekretu wiecznej młodości - powitałem ją z uśmiechem. - Jaka ładna sukienka.

- Kochanie, co za cudowne pochlebstwo! Przepadam za tym! Całując ją, poczułem delikatny zapach perfum i nagle wyobraziłem

sobie, jak cały ranek poświęciła wygładzając na mój benefis swoją lśniąca zasłonę.

- I, Charles, jak bosko wyglądasz bez sutanny! A może moje słowa cię rozgniewały? Nie wolno mi cię rozgniewać... Ale chodźmy już do ogrodu, pomyślałam, że wypijemy drinki na tarasie. Przyszykuję koktajle z szampanem, taka wyjątkowa okazja! Wiem, że stary zakazał ci przywieźć szampana - typowo w jego stylu! - ale, powiedz mi, czemuż byśmy mieli nie wypić szampana? Tak się cieszyłam, że nas wreszcie odwiedzasz. I on też, choć za nic by się do tego nie przyznał. Powiadam ci, Charles, od kiedy przeszedł na emeryturę, nie sposób dojść z nim do ładu..,

- Przypuszczam, że musi mu bardzo brakować biura.

- Czyżby? A czemuż to? Ma tę swoją straszną oranżerię! Ciągle go proszę, żeby uprawiał orchidee, ale on się nie zgadza; zwyczajna złośliwość. Równie dobrze mógłby hodować orchidee, gdyby tylko zechciał...

- A co słyhać u Petera?

- Żaden z niego pożytek. W tej chwili mam dość Petera. Mógłby wpadać przynajmniej raz w tygodniu, żeby wypić drinka z ojcem i porozmawiać o biurze, ale on wiecznie albo długo pracuje, albo gra w golfa, albo razem z Annabel czmyha na jakieś eleganckie przyjęcie. Oczywiście, za wszystko winię Annabel, jest taka zaborcza. Zawsze uważałam ją za wyjątkową egoistkę... Och, telefon! Może to Peter dzwoni, żeby przeprosić, że tak długo nas zaniedbywał. Kochanie, pójdź wyciągnąć ojca z tej koszarnej oranżerii i powiedz, że zaraz wypijemy drinki.

Nelson towarzyszył mi w drodze na taras i szedł przy mnie, kiedy obchodziłem dom. Został jednak przed drzwiami oranżerii, gdzie, jak się już przekonał, było dla niego za gorąco i czekał na nas w cieniu. Moje serce zaś znowu zaczęło dudnić. Miałem wrażenie, jakby każdy krok, który w życiu wykonałem, prowadził mnie do tej chwili, kiedy otworzę drzwi cieplarni i po raz kolejny, ale nowymi oczami spojrzę na tego dumnego, tajemniczego mężczyznę, który mnie wychował.

Sięgnąłem po klamkę. Nacisnąłem ją. Przeszedłem przez próg i otoczyło mnie upalne, wilgotne powietrze. Przyszła mi na myśl dżungla, skolonizowana przez jednego, bezwzględnie angielskiego żołnierza, który postanowił za wszelką cenę stworzyć swoje własne państwo, nad którym nigdy nie zajdzie słońce.

- A, już jesteś! - zawołał ojciec z drugiego końca pomieszczenia. - Cieszę się, że dotarłeś cały i zdrowy. Głupie babsko odgraża się, że przyszykuje koktajle z szampanem; nie pojmuję, jak to się stało, że nie zniszczyło cię to jej rozpuszczanie i chuchanie-dmuchanie, ale tak to jest, ma jak najlepsze intencje, a poza tym niecodziennie może wyrzucać w błoto moje pieniądze na szampana! A gdzie się podziała twoja obroza? Miło cię widzieć znowu w rozsądnym ubraniu. Od razu inaczej wyglądasz. Przypuszczam, że nie ma co liczyć, że dałeś sobie spokój z tą przesadną pantomimą, która zwie się Kościołem anglikańskim?

Dotknąłem krzyża, ukrytego pod koszulą i wszedłem do oranżerii, żeby się przywitać z ojcem.

Rozdział ósmy

„Jeśli zaś chodzi o pojęcie sukcesu życiowego, moim zdaniem, wszystko zależy od tego, jak się je definiuje. Z jednej strony nie wątpię, że moją karierę można określić mianem sukcesu, lecz ten punkt widzenia bynajmniej nigdy nie wpływał na moje decyzje”.

Herbert Hensley Henson, biskup Durhatn w latach 1920-39, *Retrospect of an Unimportant Life*

I

Ojciec liczył sobie siedemdziesiąt lat, ale można by go wziąć za sześćdziesięciolatka. Miał zgrabną, wyprostowaną, choć niezbyt wysoką sylwetkę i poruszał się pewnie, bez starczego drżenia. Włosy, niegdyś dystyngowanie brązowe, teraz stały się równie dystyngowanie szpakowate; krótkie, proste, bezwzględnie rozdzielone przedziałkiem, gwałtownie przerzedzały się po obu stronach wysokiego czoła. Błękitne oczy chowały się za okularami. Ojciec miał długi, prosty nos i ostrą, surową brodę. Usta nieco się opuszczały, gdy był zasmucony, a zaciskały w wąską linię, gdy się gniewał, czasem jednak jego twarz rozjaśniał niespodziewany, miły uśmiech, który dowodził, że ojciec miał wyłącznie swoje zęby. Ojciec nienawidził dentystów prawie tak samo jak lekarzy i uważał ich za szarlata-

nów, którzy zbijają pieniądze przy użyciu bardzo podejrzanych środków.

Podszedłszy bliżej, przekonałem się, że miał na sobie najgorsze ubranie robocze.

- Myślałem, że się przebiore, kiedy matka będzie cię rozpuszczała nad tymi przekłętymi koktajlami - powiedział, gdy uścisnęliśmy sobie dłonie. - Przysłała cię po mnie?

Powiedziałem o domniemanym telefonie od Petera. Ojciec za cały komentarz prychnął i zaczął nakładać ziemi do pustej doniczki.

- Mama mówiła, że ostatnio rzadko widujecie Petera - dodałem, zdejmując marynarkę, kiedy ciepło zaczęło zbytnio dawać mi się we znaki.

- Oczywiście, ma za dużo roboty. Teraz, kiedy przeszedłem na emeryturę, nadaję się widać wyłącznie na śmietnik. A ta jego głupia żona wbija mu do głowy idiotyczne pomysły, szantażując go, żeby spędzili wakacje na Riwierze. „A co ci się nie podoba w Anglii?”, spytałem, ale on tylko się roześmiał, jakbym cierpiał na demencję. Nawet nie chce mu się informować mnie na bieżąco, co się dzieje w biurze. Żałuję, że się wycofałem, ale zawsze twierdziłem, że człowiek powyżej siedemdziesiątki nie powinien stać na czele firmy, więc musiałem zostać wierny sobie i zrealizować to, co zawsze głosiłem. I co mi zostało? Jeden syn, który nie odpowiada na listy, drugi, który urywa się za granicę, i żonę, która zawraca mi głowę, żebym hodował orchidee. To wystarczy, żeby człowiekowi wszystkiego się odechciało. Mam już dość tego durnego życia. Zgasnąć, powiadam, i dziękować Bogu, że nie ma życia po życiu. Inaczej przebrałaby się już miara goryczy.

- Przepraszam, że nie odpowiedziałem na twój ostatni list, ojczy. Źle zrobiłem. Czy mogę jednak teraz ponowić zaproszenie do Cambridge? Byłoby mi tak miło, gdybyście z mamą...

- Nie mogę zostawić kwiatów. Niektóre są w krytycznym stanie. Wymagają codziennej troski. Ojciec wziął ostatnią porcję ziemi i wściekle ugniatał ją w doniczce. Wreszcie spytał:

- Skąd ta nagła słodycz? Co się dzieje? Dlaczego przyjechałeś? Masz długi?
 - Ależ drogi ojcze...
 - Nie musisz mnie brać pod włos, zanim poprosisz o pożyczkę. Dalej, Charles, mów, o co chodzi! Kiedy tylko wczoraj zadzwoniłeś, od razu wiedziałem, że masz jakieś kłopoty.
 - Rzeczywiście, miałem bardzo poważne kłopoty - odparłem, - ale to nie ma nic wspólnego z pieniędzmi i czuję się już lepiej.
- Wepchnął okulary głębiej na nos, żeby przyjrzeć mi się przez szkła.
- Chorowałeś?
 - Przez jakiś czas byłem w bardzo złej formie, ale teraz, dzięki pomocy mojego nowego kierownika duchowego, zaczynam...
 - Twojego nowego czego...?
 - Kierownika duchowego. Specjalisty od zdrowia duchowego. Taki lekarz duszy.
 - Paskudne. Brzmi jak jakieś nabieranie. Powinieneś uważać, Charles. Tacy hochsztaplerzy potrafią człowiekowi nieźle zaszkodzić.
 - Możesz być spokojny, że trudno o kogoś bardziej godnego poważania, jest nie tylko księdzem, ale i zakonnikiem i...
 - Zakonnikiem! Nie podoba mi się to wszystko, Charles. Nikt przy zdrowych zmysłach nie zostałby mnichem. Ale co z tobą? Straciłeś wiarę?
 - Nie, zagubiłem się duchowo, ale powoli odnajduję właściwą drogę i ojciec Darrow, ten zakonnik, sądzi, że możesz mi ogromnie pomóc w powrocie do zdrowia. Szczerze mówiąc, właśnie dlatego tu dziś przyjechałem.
- Staliśmy twarzą w twarz, ojciec ciągle z szuflą w rękę, ja z marynarką. Koszula lepiała mi się do pleców. Serce dudniło mi mocno, szybko.
- Cóż, oczywiście pomogę ci, jak tylko będę mógł, Charles. Od tego są ojcowie. Ale jak na mój gust, to wszystko brzmi diabło dziwnie i nie jestem pewien, czy pojmuję, o co w tym

chodzi. Przestań gadać o duchowym tym i duchowym tamtym, tylko wyjaśnij w normalnej, rozsądnej angielszczyźnie. Miałeś załamanie nerwowe?

- Ojciec Darrow nie chce tego tak nazywać. Można by to określić w następujący sposób: moje całe dotychczasowe życie się załamało i przekonałem się, że nie mogę iść dalej, muszę się na chwilę zatrzymać i rozwiązać kilka poważnych problemów.

- Poważnych... och, co za stek bzdur, Charles. Ten mnich nawbijał ci do głowy głupot! Nie masz żadnych problemów, odnosisz sukcesy, robisz karierę, najlepszą, jaką można zrobić w tym twoim dziwnym zawodzie!

- W tym właśnie leżał problem.

- Boże, nie mów mi, że rzucasz wszystko w diabły i jedziesz do Afryki na misje!

- Nie, zanim w ogóle zacznę się ponownie zastanawiać nad swoim powołaniem, muszę uporządkować duszę i właśnie dlatego...

- No i masz ci los, znowu zaczynasz gadać tym swoim strasznym księżowskim żargonem! Nie pojmuję, czemu nie potrafisz zwyczajnie powiedzieć, że wpakowałeś się w diabelne tarapaty! Boże, jak ty mnie gnębisz, Charles. Latami robiłem, co mogłem, żeby wychować cię na...

- I wspaniale to ci się udało, ojczy. Zanim powiem to, co mam do powiedzenia, chciałbym zapewnić, jak bardzo cię podziwiam i jak bardzo jestem ci wdzięczny za wszystko, co dla mnie...

- O co, u licha, ci chodzi! Paskudne sentymentalne gładzenia, jak jakiś nie-Anglik, weź się w garść, Charles i, na miłość boską, przestań mnie zawstydząć!

Zapadła cisza. Spojrzałem na niego i wiedziałem, że nadszedł czas. I nagle, kiedy i on na mnie popatrzył, zobaczyłem, że on też to sobie uświadomił. Zdał sobie sprawę, że nie powstrzymają mnie nawet najostrzejsze upomnienia. Powiem, to co musi zostać powiedziane. Staliśmy w dusznej oranżerii, w tej miniaturowej

dżungli, którą uparcie kolonizował z prawdziwie angielską nieustępliwością i czuliśmy się, jakbyśmy oglądali słońce, które zachodzi nad mocarstwem tak długo i z takim trudem utrzymywanym.

- Muszę wiedzieć - przemówiłem wreszcie. - Nie mogę już dłużej żyć w niepewności. Pomóż mi, obiecałeś, że pomożesz, od tego są ojcowie, tak powiedziałeś...

- Najbardziej pomogę ci, radząc, żebyś umył ręce od tego cholernego mnicha i przestał tragizować jak cholerna aktorzyna w jakimś cholernym melodramacie!

- Czy jesteś moim naturalnym ojcem?

Słońce w końcu zaszło nad mocarstwem i zapadł zmierzch.

II

Ojciec odwrócił się do stołu, tak że widziałem jego twarz z profilu, potem wolno, bardzo powoli zdjął okulary. Miałem wrażenie, że oglądam aktora, który zdejmuje maskę po skończeniu bardzo długiej greckiej tragedii. Później wolno, bardzo powoli, jak starzec, którym przecież był, usiadł na drewnianym stołku i niewidzącym wzrokiem wpatrywał się w trzymane w rękach okulary.

- A więc wszystko poszło na marne - odezwał się w końcu ze znużeniem.

- Jak możesz mówić coś takiego?

Byłem zdruzgotany. Automatycznie, nie zdając sobie sprawy z tego, co robię, postawiłem do góry dnem olbrzymią doniczkę i usiadłem obok niego.

- Nie chciałem, żebyś się kiedykolwiek dowiedział. Sądziłem, że jeśli się domyślisz, będzie to oznaczało, że poniosłem klęskę, a jeśli przegrałem, to będzie oznaczać, że wszystko było jedną wielką kpiną: małżeństwo, moje ideały, wszystko. A ty się domyśliłeś. To znaczy, że przegrałem. I wszystko poszło na marne.

- Ja nie sędę, że przegrałeś - odparłem. - Nigdy tak nie pomyślę. A jeśli ja nie uważam, że poniosłeś klęskę, w takim razie nie mogło wszystko pójść na marne.
- Odsunął się gwałtownie. Wiedziałem czemu. Bał się, że mógłby nie umieć zachować dla siebie głębi swej rozpacz. Cisza się przedłużała. Odwrócił się do mnie plecami i udawał, że ogląda jakieś pnącza.
- Przypuszczam, że chcesz poznać całą prawdę - odezwał się wreszcie.
- Muszę. Przepraszam.
- Cóż, w takim razie nie wiń mnie, jeśli ci się nie spodoba!
- stwierdził, próbując przyjąć swą zwykłą wojowniczą postawę.
- Jeśli sobie myślisz, że to był jakiś cholerny bohater, to jesteś w grubym błędzie. - I nim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, dodał pospiesznie: - Nazywał się Alan Romaine...

III

Alan Romaine - powtórzył ojciec. - Alan Romaine. Znamienne. Idealnie pasowało do takiego typka. Może zresztą i wyszukał je w jakiejś francuskiej powieści. Wcale by mnie to nie zdziwiło. Jeśli chodzi o niego, nic nie potrafiło mnie zdziwić. Alan Romaine...

- Był lekarzem. Ale nie zwyczajnym, przyzwoitym szarlatanem, jak ci wszyscy, którzy łązą od domu do domu ze słuchawkami i którym zawsze brakuje czasu. Ten był inny. Miał wielkie pomysły. Chciał odstawić bohatera w wielkim londyńskim szpitalu i później zamierzał przyjmować na Harley Street, gdzie przychodziłyby doń utytułowane pacjentki skarżąc się na swe dolegliwości. Znał co ważniejsze osobistości. Co i rusz rzucał słynnymi nazwiskami. Miał właśnie zacząć kurs specjalistyczny w ginekologii, ale tego lata zostało mu trochę czasu, więc żeby go jakoś zabić, przyjechał na zastępstwo do Epsom. Ro-

maine'owi spodobało się Epsom. Blisko Londynu, miejsce, w którym odbywają się derby... Wyścigi konne, elegancki świat, blichtr, miejsce dokładnie w jego stylu. Ledwo przyjechał, a już w przyspieszonym tempie się osiedlił i postanowił zjednać sobie wszystkich, którzy mu się nawinęli pod rękę.

- Miał zaledwie dwadzieścia siedem lat. Trzeba przyznać, nieźle sobie radził. Błyskotliwy. Świetny tenisista i gracz w krykieta. Mimo to skromny, umiał się zachować. Przedstawiał typ sportsmena. Wszystkie kobiety, czy to miała dziewiętnaście czy dziewięćdziesiąt lat, traktowały go jak greckiego bożka. Mężczyźni też go lubili - wszyscy z wyjątkiem mnie. Mnie wystarczyło jedno spojrzenie, a już wiedziałem: blagier. Oszust. Zanadto hałaśliwy. I zacząłem uważniej go obserwować. Nigdy nie wspominał o rodzinie. Nikt właściwie o nim nic nie wiedział. Oczywiście, był dżentelmenem, ale... nie można mu było ufać.

- Sporo pił. Nikt tego nie zauważył oprócz mnie. Pewnego razu po kolacji, kiedy panie przeszły do salonu, a on wypił trzeci kieliszek portwajnu, mimo że wcześniej nieźle opróżniał karafkę z winem, zwróciłem się do niego: „Sporo pijesz jak na lekarza, co?” To go rozzłościło. „Biedny, poczciwy Ashworth!”, zawołał. „Taki stary, taki przyzwoity, taki nudny!” Ale ja odparłem: „Lepiej na siebie uważaj. Pijacy i blagierzy nie kończą jako lekarze z praktyką na Harley Street. Kończą w rynsztoku”. Przez chwilę wyglądał, jakby chciał cisnąć we mnie kieliszkiem, ale wreszcie się roześmiał: „Po prostu zżera cię zazdrość i nie myśl, że nie wiem, o kogo!”

- Jak wiesz, już od jakiegoś czasu chciałem się ożenić z twoją matką - ciągnął ojciec, odwracając się wreszcie od pnącza i podchodząc do stołu - ale byłem od niej znacznie starszy i nie otaczał mnie splendor. Po prostu jeden z tych zwyczajnych mężczyzn, którzy noszą okulary i ciężko pracują. Oczywiście, ja też miałem dalekosiężne plany, ale w przeciwieństwie do Romaine'a nie chwaliłem się nimi na lewo i prawo. Nie lubiłem swojej pracy i zamierzałem zupełnie zmienić kurs. Kusiło mnie także, żeby na jakiś czas rzucić Epsom: nie mogłem znieść myśli, że miałbym biernie przyglądać

się, jak Helen wychodzi za mężczyznę, o którym wiedziałem, że się zupełnie dla niej nie nadaje i kiedy wydawało się, że małżeństwo jest nieuniknione, postanowiłem zgłosić się do armii.

- Z pewnością pamiętasz ocenioną wersję wydarzeń, jaką ci przekazałem, gdy miałeś piętnaście lat. Nie powiedziałem ci wtedy jednak, że zostałem od razu odrzucony. Nie było przerwy między moim zgłoszeniem się na ochotnika a decyzją odmowną; wojsko po prostu nie było zainteresowane trzydziestodwuletnim cywilem o słabym wzroku. Cóż, w końcu cieszyłem się, że nie będę musiał rzucać praktyki, ale żałowałem, że dalej muszę tkwić w Epsom, podczas gdy Helen nadal zmierzała ku katastrofie. I nie sądzę, że nie próbowałem jej powstrzymać. Próbowałem. Ale ona kazała mi tylko zostawić ją w spokoju. Powiedziałem wtedy: „Pamiętaj, cokolwiek się stanie, ja zawsze cię kocham i chcę się z tobą ożenić”. Może miałem przecucie, że tamten ją porzuci. Z drugiej jednak strony nie należę do ludzi, którzy mają przecucia.

- A potem... Helen przyszła do mnie. Znałem już decyzję komisji, ale nikomu jeszcze nie powiedziałem, że jednak zostaję w Epsom. Helen przyszła do mnie załamana, kompletnie załamana. To było naprawdę straszne. Chciałem dorwać go i... Wiedziałem jednak, że najpierw muszę załatwić to, co najważniejsze. On mógł poczekać. Helen nie. Przyszła, pytając, co ma robić. Nie sądzę, żeby naprawdę sądziła, że dotrzymam słowa i się z nią ożenię. Chciała tylko, żebym jej poradził, co, u licha, ma robić. Romaine... - Ojciec urwał.

Czekałem. Nie pamiętam, kiedy się podniosłem z doniczki. Stałem teraz przy stole, mocno przytrzymując się jego blatu. Ojciec odwrócił się do mnie twarzą.

- Był już żonaty - podjął. - Nazywał to sytuacją w stylu „Dziwnych losów Jane Eyre”. Znamienne. Stawiał znak równości między swoimi obrzydliwymi postępami a powieścią! Fuj! Obrzydliwe! Tak czy owak, miał żonę w szpitalu psychiatrycznym,

nieuleczalnie chorą, a tutaj Helen, kompletnie załamana... Och, to było tak nie w porządku, tak nie w porządku, że nie mogłem znieść samej myśli o tym i natychmiast zdałem sobie sprawę, że muszę wszystko uporządkować. Cóż, jaki miałem wybór? Nie mogłem dopuścić, żeby zło zwyciężyło. To by było wbrew moim zasadom. Pomyślałem: udowodnię, że dobro zawsze w końcu zwycięża... Głupota, teraz to wiem, ale wtedy uważałem, że nic innego nie da się zrobić, a umocniłem się w swojej decyzji, kiedy Helen powiedziała... - Ojciec znowu umilkł. Potem włożył okulary i patrząc mi prosto w oczy, dokończył: - Powiedziała mi, że Romaine obiecał, że usunie tę ciążę.

- „Nie dopuszczę, za nic nie dopuszczę, żebyś miała ją usunąć”, oświadczyłem. Oczywiście, wiedziałem, że chciała, by ktoś jej tego zabronił, ponieważ w głębi serca musiała zdawać sobie sprawę, że to by było dla niej prawdziwą tragedią. Powiedziałem, że nigdy nie przeboleje zabicia własnego dziecka. I to była prawda, wiedziałem, że tak, bo znałem Helen i wiedziałem, jak wrażliwa kobieta kryła się pod tą maską beztroskiej wesołości. „Ożenisz się ze mną i nikt nigdy niczego się nie dowie”, stwierdziłem. Och, jakaż ją ogarnęła ulga, biedactwo! Płakała i płakała, wreszcie obiecała, że będzie dla mnie najlepszą żoną...

- Tylko raz rozmawiałem z Romaine'em. Dopilnowałem, żeby być zupełnie trzeźwy i całkowicie panować nad sobą. Wtedy poszedłem do niego i oznajmiłem: „Opuść Epsom, opuść Anglię. Wybij sobie z głowy Harley Street. Zapomnij o swoich wspaniałych marzeniach. W ciągu miesiąca ma cię nie być w kraju, albo, Bóg mi świadkiem, dopilnuję, żeby cię skreślono z rejestru lekarzy. A jeśli kiedykolwiek ośmielisz się zbliżyć do Helen, możesz być pewny, że cholernie tego pożałujesz. Nigdy nie zapomnę tej chwili. Zbladł jak płótno. Oczywiście pił, bił od niego zapach koniaku. Ale był zupełnie spokojny. I nagle miałem wrażenie, że oglądam kogoś, kogo nikt w Epsom, a już najmniej biedna Helen, nigdy nie widział.

- Cóż, następnego dnia wziął się na tyle w garść, żeby przybrać wspaniałą pozę i oświadczył, że czuje, że winien wyruszyć służyć do Afryki i tak odjechał, szlachetny, młody lekarz, romantyczny aż do ostatniej chwili... A ja zostałem, żeby naprawiać bałagan, który po sobie zostawił.

- Udawałem, że lada chwila wyruszę na przeszkolenie, mieliśmy więc świetną wymówkę, by natychmiast się pobrać, jednak Helen nalegała na ceremonię w prawdziwej sukni ślubnej, a to oznaczało kilka dni zwłoki, póki suknia nie zostanie uszyta. Próbowałem jej wytłumaczyć, że nie mamy czasu do stracenia, ale ona stwierdziła, że dziwnie by wyglądało, gdyby nie poszła do ślubu w bieli i niezależnie od tego, co się stało, musimy dbać o pozory. W końcu jednak stanęliśmy na ślubnym kobiercu i tamtej nocy, po skonsumowaniu małżeństwa, powiedziałem: „Od tej chwili oboje należycie do mnie - co znaczy, że nigdy, przenigdy, pod żadnym pozorem nie wspomnisz nawet imienia tamtego mężczyzny i nigdy, przenigdy, pod żadnym pozorem nie przyznasz się nikomu, że to dziecko w jakikolwiek sposób różni się od następnych, które byśmy w przyszłości mieli. To dziecko jest od tej chwili moim dzieckiem i wychowam je na przyzwoitego, uczciwego człowieka, nawet gdyby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobię”.

Umilkł. Zdjął okulary i zaczął je czyścić brudną chustką.

- To tyle gwoli wstępu - oświadczył zwięźle. - Ale prawdziwe problemy zaczęły się później...

IV

Cóż, oczywiście wszystko w końcu ułożyło się zupełnie inaczej, niż się spodziewałem, choć nie jestem pewien, czego właściwie oczekiwałem. Przypuszczam, że myślami nie wybiegałem poza miodowy miesiąc. Dla Helen ciąża okazała się ogromnie trudnym okresem. Pożycie małżeńskie było dla niej praktycznie

nie do wytrzymania. Tłumaczyłem sobie, że to wina jej stanu, ale... W głębi ducha podejrzewałem, że rozpaczliwie tęskniła za Romaine'em.

- Wtedy przyszedłeś na świat i zamartwiała się, co ludzie sobie pomyślą. Wcześniej wmówiła sobie, że pojawisz się nieco później niż trzeba, ale nie, urodziłeś się o czasie. Przez jakiś czas nie wychodziła na dwór, z nikim nie chciała się widzieć, płakała w sypialni. I to nie tylko dlatego że bała się, co ludzie o niej mówią. Także dlatego że wreszcie zdała sobie sprawę, że wpadła z deszczu pod rynnę: uniknęła hańby, ale była uwiązana do męża, którego... Cóż, powiedzmy szczerze, nie wyszłaby za mnie, gdyby miała wybór. Nigdy nie kochała mnie tak, jak ja ją i cały czas... Cóż, z narastającą pewnością czułem, że tęskni za Romaine'em.

- Postanowiła jak najszybciej mieć drugie dziecko, a ja wiedziałem czemu. Nie mogła znieść poczucia winy, wyrzutów sumienia, że nie może mnie kochać tak, jak powinna i chciała mi to wynagrodzić, ale, choć miała prawdziwą obsesję na punkcie drugiego dziecka, nie od razu zaszła w ciążę. Kolejne łzy, jeszcze większy smutek, jeszcze gorsze wyrzuty sumienia. W końcu jednak, dzięki Bogu, miała Petera i na jakiś czas wszystko się uspokoiło, choć małżeństwo właściwie nigdy nie układało się dobrze. Naprawdę się starała, ale... Wiedziałem, że mnie nie kocha i zacząłem gorzknieć. A tymczasem oczywiście ty rosłeś, nieustanne przypomnienie, kukułcze jajo... Mały biedaku, nie twoja wina. I był z ciebie miły chłopczyk. Powtarzałem sobie: nie odbiję sobie na nim... Ale wystarczyło, że na ciebie spojrzałem, a przypominałem sobie Romaine'a.

- I nagle pewnego dnia zdałem sobie sprawę, że mój własny chłopiec jest zaniedbywany, bo miał pod bokiem takiego wyjątkowego brata. Naprawdę miałeś mnóstwo czaru. Wszyscy głaskali cię po głowie, rozpieszczali, a już najbardziej twoja matka. W końcu jednak się przebudziłem i dotarło do mnie, że stajesz się za bardzo rozpuszczony, traktowany jak książątko. Zrozumiałem więc, że jeśli chcę być dobrym ojcem, absolutnie nie mogę cię pieścić, ale oczywiście twoja matka nie pojęła, głupia, sądziła, że mszczę się na tobie za twojego ojca. Tak nie było. Po prostu nie chciałem, żebyś wyrósł na drugiego takiego jak on i wydawało mi się, że widzę w tobie wszelki załączki... Dlatego

zaczęłam cię bardzo surowo traktować. Matka nazywała mnie brutalem, zaczęliśmy się potwornie kłócić, zawsze o ciebie, ale wygrywałem, zamykałem jej usta, czasem nawet uderzyłem - naganne, nie wolno bić kobiety - ale nie zamierzałem dopuścić, by pod moim dachem ktoś robił głupoty, nie po tym wszystkim, przez co przeszedłem. Skutek w końcu był taki, że ciebie przytłumiałem, równocześnie zwracając szczególną uwagę na Petera. Nie najlepsza sytuacja, ale nie chciałem, by mój chłopiec dorastał uważając siebie za gorszego, bo trafił mu się taki wyjątkowy starszy brat. Oczywiście, nie znosiłeś, kiedy zwracałem uwagę na Petera, nie znosiłeś, kiedy ktokolwiek zwracał na niego uwagę, chciałeś, żeby świat się kręcił wokół ciebie, żebyś znajdował się w centrum uwagi. Mały głuptas, ale to nie była twoja wina. Nic nie mogłeś poradzić, że wszyscy się nad tobą rozplęwali, ale ja wiedziałem, że moim moralnym obowiązkiem jest zrównoważenie tego, a poza tym... Tak bardzo się bałem, żebyś nie wyrósł na drugiego Romaine'a.

- Jednak wraz z upływem czasu udało mi się zapanować nad tobą i nad matką i naprawdę świetnie zaczęłaś się zapowiadać. Bardzo obiecująco. Ale ja naturalnie nie wierzyłem, że to będzie trwałe. Prześladowała mnie myśl nie tylko o tym, że twoje dziedzictwo zatriumfuje nad moimi wysiłkami, by nad nimi zapanować, ale również, że jakoś odkryjesz prawdę o swoim pochodzeniu i natychmiast się wypaczysz. Paskudny był ten moment, kiedy przekonałeś się o przedwczesnym przyjściu na świat, ale przygotowałem się do tego i mogłem od razu ukreślić sprawę łeb. Nie ma nic chwiejniej szego niż humorzasty nastolatek i byłem pewien, że gdybyś się dowiedział, że nie jestem twoim naturalnym ojcem, momentalnie zszedłbyś na psy.

- Wyglądałeś wtedy jak Romaine. Zauważyłem nieraz, jak twoja matka wpatrywała się w ciebie i wiedziałem, że ogarniają ją wspomnienia, dokładnie tak samo jak mnie. Czułem taką złość, taką gorycz, ale podnosiła mnie na duchu jedna myśl: jeśli chłopiec wyrośnie na porządnego człowieka, to cały ten trud nie okaże się daremny. Dlatego ciągle się ciebie czepiałem, upominając, żebyś żył prosto i uczciwie, póki w końcu nie wylądowałeś bezpiecznie w Cambridge jako student prawa. I wtedy pomyślałem: udało mi się. Chłopiec wyrósł na przyzwoitego człowieka, będzie żył porządnie, żadnych szaleństw, gier, blichtru. Ale wtedy, dobry Boże!, pojawiłeś się w domu i oświadczyłeś, że CHCESZ ZOSTAĆ KSIĘDZEM! Nic dziwnego, że omal nie dostałem ataku serca. Uważałem, że bujasz w obłokach. Zawsze miałeś skłonności do idealizmu, dzięki Bogu, że wojna się skończyła, zanim mogłeś zmarnować życie, ginąc bohatersko w walce! Sądziłem, że te bzdury o święceniach to zwykła poza, tak samo jak oświadczenie Romaine'a, że czuł się powołany do służby w Afryce i, na Boga, wtedy naprawdę niewiele brakowało, żebym wyjawiał prawdę.

- Ale oczywiście tego nie zrobiłem. Przecież nie mogłem, prawda? To by było kopanie leżącego. Ty tu dajesz się ponieść uczuciom, pleciesz bzdury o Bogu, nie pozostawało mi nic innego, jak trzymać język za zębami. Potrzebowałeś ochrony, nie wyklęcia, a poza tym... Gdybym wtedy powiedział ci: „nie jesteś moim synem”, skłamałbym, ponieważ wtedy już byłeś moim synem. To ja cię wychowałem, ja przekazałem ci swoje ideały, ja cię stworzyłem... A ty mi oświadczasz, że wszystko to po to, żebyś został cholernym księdzem! Boże, co za ironia! Nie wiedziałem, czy mam się śmiać, czy płakać!

- Cóż, atakowałem cię, walczyłem z tobą, próbując cię ocalić przed samym sobą, ale tyś się uparł jak wół. Musiałem cię podziwiać za upór w obstawaniu przy swoich ideałach i w końcu uznałem: cóż, w końcu to przyzwoite, uczciwe życie. Ale wtedy pomyślałem: jak on to wytrzyma, życie wikarego, którego nie stać na małżeństwo, zejdzie na psy, zacznie za dużo pić, wpakuje się w kłopoty z jakąś kobietą i cała moja ciężka praca pójdzie na marne i małżeństwo okaże się jeszcze większą klęską niż do tej pory. Ale nie doceniłem

cię, prawda? Nie byłeś jednym z tych nieudolnych, młodych księżulków, którzy dają się zakopać w jakieś zapadłej dziurze i głoszą sentymentalne gadki-szmatki. Ty byłeś inny. Miałeś wielkie marzenia. W rozmowach rzucałeś słynne nazwiska. I oczywiście wylądowałeś w końcu jako ulubieniec arcybiskupa. Znamienne. Nie mogłem cię nie podziwiać. Ale, o Boże, jak bardzo mi przypominałeś Romaine'a...

- Nie potrafiłem uwierzyć, że to się uda. Czekałem, aż się wpakujesz w jakieś tarapaty, ale nie, zdobyłeś tę świetną posadę w St Aidan's i ożeniłeś się z taką miłą, dobrą dziewczyną. Cudownie. Ale wtedy zacząłem się bać, że może małżeństwo się nie ułoży, pomyślałem, że może ona jest dla ciebie za dobra, że może wpadnie ci w oko jakaś inna kobieta, twardsza, bardziej podniecająca... Widzisz, ani chwili spokoju, nawet wtedy. Kiedy się żeniłem z twoją matką i uznałem cię za swojego syna, sądziłem, że ojcostwo wygaśnie z chwilą ukończenia przez ciebie dwudziestu jeden lat, ale okazało się, że to nieprawda. Ojcostwo wygasa dopiero w grobie. Zamartwiałem się o ciebie jak głupi, a ty nadal świetnie sobie radziłeś i zawsze mogłem się pocieszyć myślą: nieważne, przynajmniej chłopiec w końcu się udał. Stanowiłeś symbol, symbol, że w końcu moje ideały zatriumfowały nad całą tą tragedią...

- Ale wtedy... ta nasza okropna kłótnia rok temu... Byłem taki przygnębiony. Myślałem: a może jednak mi się nie udało. Co prawda trochę mnie podniosło na duchu twoje zaproszenie do Cambridge na Wielkanoc, ale cały list był za gładki i wiedziałem, że jakiś stary księżulo dobrał ci się do skóry w czasie postu. Na kilometr wyczuwam nieszczerłość. Dlatego odpisałem tak ostro w nadziei, że sprowokuję cię do jakiejś szczerzej odpowiedzi, ale nie, ty się odąłeś i nie chciałeś ustąpić.

- I nagle poczułem się bardzo stary. Dopiero co przeszedłem na

emeryturę. Nie miałem już pracy, niczego, co oderwałoby uwagę od mojej rozpacz. Ty się na mnie obraziłeś, Petera zbyt pochłaniało życie, jakie sam kiedyś prowadziłem, żeby zwracał na mnie uwagę... Zazdrościłem Peterowi, był młody, wiódł życie, jakie ja sam chciałem nadal prowadzić... Raz czy dwa za ostro go potraktowałem. Błąd. Obraził się. Głuptas, podpuszczany przez tę swoją okropną Annabel... Przypuszczam, że jest szczęśliwy. A może i nie? Któż to może wiedzieć? Wiem tylko, że ja jestem cholernie nieszczęśliwy, uwięziony w Epsom, dzień w dzień męcząc się z twoją matką, ale biedna Helen, tak mi jej nieraz żal. Życie ją rozczarowało, o czymś innym marzyła. Chciałaby mieć bardziej interesującego męża, kogoś romantycznego, kogoś... Po prostu kogoś takiego jak Alan Romaine.

- Nigdy nie padło jego nazwisko, nigdy, nawet w czasie naszych kłótni o ciebie, ale zawsze był obok nas. Nadal jest z nami. Jest nawet teraz, wtargnął do tej oranżerii, niszcząc wszystko dokoła... I po tym wszystkim, przypuszczam - ojciec odwrócił się do mnie gwałtownie, - że będziesz chciał go odnaleźć. Już widzę, jak robisz się ckliwy i sentymentalny, dziękujesz Bogu, że wreszcie odnalazłeś prawdziwego ojca - jakby to była Jego zasługa! Latami harowałem, żeby być dla ciebie dobrym ojcem, a teraz cholerny Romaine wyskoczy jak diabeł z pudełka i zbierze śmietankę! Obrzydliwe! Ale tak to już bywa w życiu, prawda? Prawdziwi łajdacy zawsze załapują się na szczęśliwe zakończenie, podczas gdy przyzwoitego człowieka wdeptują w błoto. Dobro nie triumfuje nad złem, nie w prawdziwym życiu, dobro jest pogardzane i opluwane. Prawa buszu. Żadnego Boga. Nic. Nie wiem, jak można wierzyć, że jest inaczej.

Gwałtownie opadł na stół i namacał okulary, żeby je znowu wyczyścić. Czekałem, dając mu czas, by nad sobą zapanował. Pochyliłem głowę, żeby sądził, że nie widzę, jak na próżno wyciera oczy pomietą chustką; ale wtedy znowu siadłem u jego boku i pochylając się, delikatnie przykryłem ręką jego drżące dłonie.

V

W oddali zastukały wysokie obcasy, niczym wystrzały ostrzegając nas o nadejściu matki. Drgnęliśmy, zerkając na drzwi. Ja jeszcze nie byłem zdolny wymówić słowa, ale strach popchnął ojca do działania. Odpychając moje ręce, próbował wstać ze stołka.

- Ani słowa, Charles. ANI SŁOWA - wyszeptał z naciskiem. Jego twarz przybrała zacięty wyraz, mięśnie stwardniały z determinacji. - Matka nie może się nigdy dowiedzieć, że wiesz. Za żadne skarby. Nigdy. A jeśli choć słowem wspomnisz o naszej rozmowie, osobiście...

Matka zbliżyła się do nas, nim zdążył dokończyć.

- No, wiecie co! - zawołała z gniewem. - Co wy tu knujecie? Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie wypijemy drinki! Erie, idź się przebrać z tych brudnych łachów i wypuść Charlesa z tej swojej okropnej, dusznej nory!

- Czy to Peter dzwonił? - udało mi się powiedzieć normalnym tonem.

- Tak, prosił, żeby cię pozdrowić i przeprosić, że nie będzie mógł się z tobą spotkać, ale właśnie wyjeżdżali z Annabel na jakieś garden party w Richmond.

- Znamienne - wtrącił ojciec. - Brak mu czasu dla własnej rodziny!

- A kiedy przyjdzie odwiedzić ojca? - spytałem, zanim matka zdążyła zrzucić winę na Annabel.

- Jutro wieczorem o szóstej. Widzisz, Erie? Wiedziałaam, że nie miałeś racji, kiedy wczoraj twierdziłeś, że o nas zapomniał!

- Przychodzi tylko, żebym nie marudził. „Lepiej trochę dopieścić starego niedołęgę”, powiada tej okropnej Annabel, „inaczej mógłby nam zrobić przykry kawał z testamentem”. Cóż, nic mnie nie obchodzi, czy przyjdzie czy nie. Mnie to bez różnicy.

- Stary głupiec - stwierdziła matka, krzywiąc się do mnie, żeby pokazać, jak okropnie działa jej na nerwy. - Bzdury opowiadasz!

Ale ojciec gwałtownie ją odepchnął i szybkim krokiem wyszedł do ogrodu.

VI

Ten twój ojciec robi się już zupełnie nie do zniesienia - odezwała się matka. - Chyba oszaleję, szczerze mówiąc już od dłuższego czasu z trudem wytrzymuję i kiedy wczoraj zadzwoniłeś, kochanie, uwierzyłam w opatrzność. Czułam, że jeśli szybko nie wyżalę się komuś, jakie okropne stało się ostatnio życie, zacznę chodzić po ścianach. Szybko, idziemy na taras i szybko wypijemy drinka, póki ojciec się przebiera.

- Wydawał się być zadowolony, że mnie widzi...

- I powinien! Mówiłam mu dziś rano: „Lepiej się rozpogódź przed przyjazdem Charlesa, bo ucieknie i długo się nie pokaże”, ale on tylko odparł: „I tak ucieknie i długo się nie pokaże, więc po co się wysilać?” Koszmarny staruch, snuje się ponury jak śmierć Nie wyobrażasz sobie, jakie to dla mnie okropne, być uwiązana do kogoś, kto cały czas wygląda, jakby się rozglądał za trumną. Dobrze nieba, nie mam jeszcze sześćdziesięciu lat, a przez niego życie staje się tak okropnie przygnębiające...

Żałuję, że przeszedł na tę emeryturę. Nie potrafi sobie znaleźć miejsca, z wyjątkiem grzebania w ziemi w tej obrzydliwej cieplarni, a jestem pewna, że upał mu szkodzi. Mógłby dostać ataku serca. Zresztą, może właśnie tego chce. Nie mam pojęcia, Bóg jeden raczy wiedzieć, czego on chce, ale ja wiem, że chcę jednego: porządnych wakacji. Peter i Annabel zabierają dzieci na południe Francji, cóż za rozkoszny pomysł, ale Erie ich ostudził, mówiąc Peterowi, że spędzanie wakacji poza Anglią świadczy o braku patriotyzmu. Cóż, nic dziwnego że Peter poczuł się dotknięty, ja go nie winię, choć sądzę, że Annabel dodatkowo go podpuszcza. Annabel ma w sobie coś bardzo pospolitego, ale w końcu wszyscy wiemy, że jej ojciec dorobił się na handlu.

Tak dotarliśmy do metalowego stolika, ocienionego białym parasolem. Nalałam koktajl z dzbanka.

- Przykro mi, że tak się nie układa - powiedziałem, siadając obok niej i zapalając jej papierosa.

- Nieważne, kochanie, wypijmy za udaną wizytę... Mmmmm..., pyszny ten szampan. A teraz nie pozwól mi dalej paplać o tych okropieństwach, lepiej opowiadaj o sobie. Muszę powiedzieć, że wyglądasz mizernie i blado. Mam nadzieję, że się nie przepracowywałeś.

- Właśnie skończyłem dłuższe rekolekcje u fordytów w Grant-chester.
 - Biedactwo, nic dziwnego, że tak zmizerniałeś! Istny cud, że jeszcze w ogóle się trzymasz na nogach
 - tak jak i ja. Wiesz, Charles, nie mogę się dość nadziwić, że wyrosłeś na takiego wspaniałego mężczyznę. Nie przestawałam mieć nadziei, że pewnego dnia zaczniesz pisać - tak jak ja kiedyś pragnęłam - ale nie chciałam cię prześladować i tak strasznie się bałam, żeby nie stać się jedną z tych zaborczych matek, wszyscy wiemy, że takie matki mogą wyrządzić dziecku ogromne szkody. Oczywiście, Erie zawsze oskarżał mnie, że za bardzo cię rozpieszczęm, ale ja tak bardzo starałam się zachować umiar, naprawdę, i nigdy nie chciałam cię nudzić ani być dla ciebie ciężarem... Och, niech to licho, zawstydzam cię, doskonale widzę, że tak, mówię nie to, co trzeba, ale jestem taka zdenerwowana, w takim stanie, proszę, nie gniewaj się, proszę... - I zaczęła płakać.
 - Najdroższa mammo... - Przeniosłem krzesło wokół stołu, żeby móc ją objąć. - Tak bardzo przepraszam... Nie mogę znieść myśli, że bałaś się do mnie napisać. Tak się wstydzę, że cię zostawiłem...
 - Och, nic mi nie jest - odparła, wychylając połowę drinka. - Za nic nie chciałabym, żebyś żałował, że przyjechałeś! Wszystko jest w porządku, naprawdę, tylko czasami wydaje mi się, że już dłużej tego nie zniosę...
- Znowu wybuchnęła płaczem.
- Jak bardzo ojciec daje ci się we znaki? Czy jest tylko zgorzkniały, czy też...?
 - Nie, nie bije mnie, ostatnio już nie. Mój Boże, potrafił się tak złościć, a ja tak bardzo starałam się być dobrą żoną. Naprawdę się

staralam... Ale cokolwiek zrobilam, to bylo za malo. Czasem ogarniala mnie taka rozpacz, ze obiecywalam sobie, ze odejde, kiedy tylko ty i Peter dorosniecie, ale kiedy przyszlo co do czego, za bardzo sie balam. Juz on by sie postaral, zeby rozwod byl okropny, a nie znioslabym towarzyskiego ostracyzmu... Moze gdybym spotkala jakiegoś przyzwoitego mezczyzne... Ale nie spotkalam. A jak sie jakis trafil, to zonaty i szczesliwy w malzenstwie.

- Kazdy? A wczesniej?

- Kiedy ty i Peter byliście mali? Tak, interesował się mną jeden czy dwóch, ale nigdy nie zdradziłam Erica, za bardzo się bałam. Mógłby się dowiedzieć, a już wcześniej mi groził, czym to by się skończyło: „Jeśli choć raz mnie zdradzisz”, oświadczył, „to będzie koniec. Koniec. I nie myśl sobie, że zobaczyłabyś jeszcze kiedyś któregoś z twoich synów”. Cóż, to chyba załatwiało sprawę, nie myślisz? Sądzę, co prawda, że Peter by sobie beze mnie poradził, ale ty... Och, nie mogłam cię zostawić. Nie, nie, to było wykluczone. W końcu zostałam z ojcem ze względu na ciebie - przypominało to raczej więzienie, ale pogodziłam się z tym, dla ciebie zrobiłabym wszystko, a ty mnie potrzebowałeś, wiedziałam, że tak, szczególnie, że Erie potrafił być taki... Och, czasem go nienawidziłam! Ale nie było mowy o odejściu, a zresztą, nigdy właściwie nie spotkałam nikogo, kogo bym pokochała, tak jak chciałabym kochać... tak jak mogłam kochać... - Urwała.

- To znaczy - odezwałem się po chwili - że był w twoim życiu ktoś, wedle kogo mogłaś to mierzyć?

- Tak, poznałam pewnego mezczyzne... Jeszcze kiedy bylam panną... Pierwsza miłość... I nikt, kogo później znałam, nie mógł mu dorównać. To tak jakbym ich wszystkich widziała na czarno-białej fotografii, podczas gdy wspomnienie o nim mieni się kolorami. - Znowu wychyliła solidny łyk z kieliszka.

- I co się z nim stało?

- Nie wiem. Musiał wyjechać, ale to było takie dziwne, Charles, bo ja zawsze myślałam... zawsze myślałam...

- ...że wróci.

Potaknęła, znowu walcząc ze łzami. Tusz jej się rozmazał, puder rozpląnął. Widziałem głębokie zmarszczki na jej twarzy.

- Ale nie wrócił - powiedziała głucho. - Muszę być głupia, żeby snuć takie romantyczne marzenia, prawda? Ale Erie zawsze powtarza, że ze mnie głupie babsko.

- Ojciec mówi dużo różnych rzeczy, które nie są prawdą. Może po prostu uważa, że los źle się z nim obszedł i chce mu odpłacić.

- Los źle się z nim obszedł? Przecież miał wspaniałe życie, takie udane! Zdobył wszystko, czego tylko pragnął!

- Tak, ale... Nieważne, na razie zostawmy ojca, znacznie bardziej wolałbym rozmawiać o tobie. Opowiedz mi o tej swojej pierwszej miłości.

- Och, kochany, nie mogę. Erie i tak byłby wściekły, gdyby się dowiedział, że ci o tym w ogóle wspominałam, a poza tym... o pewnych rzeczach lepiej w ogóle nie rozmawiać.

- Jesteś pewna? Ostatnie kilka tygodni spędziłem, rozmawiając o swoim życiu z kościelnym odpowiednikiem psychoanalityka i czuję się znacznie lepiej.

- Charles! Kochanie, co się stało? Och, gdybyś wiedział, jak bardzo się o ciebie martwię. Czy to miało związek z Jane? Wiem, jak strasznie bolała cię jej śmierć, czułam, że przez wszystkie te lata tłumisz w sobie ból, nigdy o niej nie opowiadając... Och, Charles, tak gorąco pragnęłam ci pomóc, ale jakoś nigdy nie wiedziałam, co powiedzieć... Kochałam Jane. Kiedy umarła, długo nie mogłam przestać płakać...

- Najdroższa mamó...

- Naprawdę, Charles, płakałam! Taka z niej była miła dziewczyna, zawsze taka dobra, nie to co ta wredna Annabel, która traktuje mnie jak jakąś pijaczkę. Cóż, wiem, że czasem za dużo wypiję, szczególnie kiedy mam stanąć twarzą w twarz z Annabel, ale nic mi nie jest, Charles, nic mi nie jest...

- Wrócę w przyszłym tygodniu na kilka dni. Myślę, że to bardzo ważne, żebyś dokładnie opowiedziała mi o swoim nieszczęściu...

- Och, gdybyś tylko wiedział, jak bardzo pragnę ci wszystko wyznać! - zawołała. - Ale nie mogę. Erie zamieniłby mi życie w piekło, gdyby się domyślił, że ci coś opowiedziałam za jego plecami.
- I tak już zamienił ci życie w piekło. Sprawdźmy, czy możemy zmienić płytę. No, dalej mam, mamy pewnie dobre dziesięć minut zanim wróci. Wypij drugi koktajl i powiedz mi o swojej pierwszej miłości, która tak głęboko i na tak długo cię naznaczyła.

VII

Nie wolno mi powiedzieć, jak się nazywał - zaczęła matka - bo Erie zabronił mi kiedykolwiek wymówić jego nazwisko, ale kiedy byłam młodą dziewczyną, jeszcze nastoletnią, wydawało mi się, że to idealne imię dla romantycznego bohatera... Wiem, co sobie myślisz, kochanie. Myślisz: „jakież głupie są te dziewczęta, jeśli chodzi o mężczyzn!” Ale to nie było takie proste. Przechodziłam fatalny okres i wydawało mi się, że ten mężczyzna i czar, który go spowijał, w ogóle cały jego romantyzm stanowiły w jakiś tajemniczy sposób zaprzeczenie wszystkich tych strasznych rzeczy, które mi się przydarzyły.

- Pamiętasz zapewne, jak ci opowiadałam, że kiedy skończyłam osiemnaście lat, pojechałam na pół roku do Niemiec, żeby nabrać ostatecznego szlif. Cóż, zawsze udawałam, że to była świetna zabawa, ale tak naprawdę nie znosiłam tego. Nie chciałam wyjeżdżać, ale cioteczna babka Sophie stwierdziła, że lepiej, bym na jakiś czas opuściła dom, ponieważ matka dogorywała na gruźlicę, a ojciec trzymał kochankę... Mój drogi, dziś nikt nie powiedziałby ani słowa, ale to był 1898 rok, a ciotka Sophie była taka wiktoriańska. Oczywiście, nikt mi nic nie powiedział o kochance, nie rozumiałam, dlaczego chcą się mnie pozbyć. Och, byłam taka nieszczęśliwa! Jednak wiosną 1899 pozwolono mi wrócić, bo kochanka wyjechała z Epsom, a już nie tylko moja matka stała u wrót śmierci, ale także ojciec umierał na raka. Przypuszczam, że większość tych zdarzeń pamiętasz z opowiadań, ale nie wiem, czy kiedykolwiek zastanowiłeś się, jakie to musiało być dla mnie koszmarne.

- Cóż, wkrótce papa zmarł - przypuszczam, że w końcu stary doktor Barnes zabił go morfiną - i tak zostałam, dziewiętnastoletnia dziewczyna, w domu, który przypominał kostnicę. Matka powoli dogorywała, ciotka Sophie kręciła się po domu chrzestując gorsetem. Ciągłe tylko modły i przyciszone głosy. Miałam wrażenie, że się duszę.
- I wtedy... owego lata... Stary doktor Barnes połamał sobie mnóstwo kości w wypadku i w Epsom pojawił się młody lekarz, żeby go przez trzy miesiące zastępować.
- Wkrótce go poznałam. Przyjechał, by się opiekować matką. Pamiętam, że właśnie haftowałam kolejną nikomu niepotrzebną szmatkę, kiedy usłyszałam na podjeździe odgłos kół i podchodząc do okna, zobaczyłam, jak z wozu zeskakuje młody człowiek z modną, skórzaną torbą. Wtedy mnie zauważył, ale nie uchylił lekko kapelusza i nie poszedł dalej. Nie, zdarł go z głowy, pomachał mi ręką, uśmiechnął się i... To był powiew życia, Charles. Popędziłam do drzwi, żeby mu otworzyć.
- Był ogromnie lubiany w naszym kółku. Wszystkich sobie podbił, wszyscy za nim przepadali, z wyjątkiem Erica, ale on był zazdrosny. Znałam Erica od lat... Szanowałam go... Ale wydawał się taki okropnie stary! Miał ponad trzydzieści lat! I choć chciałam wyjść za mąż, żeby się wyrwać z domu, naprawdę nie wyobrażałam siebie jako żony starca. Oczywiście, wtedy nie znałam Erica naprawdę. Dopiero później odkryłam jego wspaniałe przymioty i... Przecież za niego wyszłam, prawda? Ale wcześniej... kiedy poznałam tamtego mężczyznę... w ogóle nie myślałam o Ericu.
- Erie twierdził, że dałam się omamić wyglądowi tamtego, ale się mylił. Oczywiście, tamten był bosko przystojny. Ale zakochałam się

w nim głównie dlatego, że jako chyba jedyny zdawał się rozumieć, przez jakie piekło przechodzę. Powiedział, że on sam też przechodził piekło, ponieważ ktoś, kogo ogromnie kochał, ostatnio został uznany za chorego umysłowo. Powiedział: „Życie pod wieloma względami jest przerażające, tak straszne rzeczy przytrafiają się nawet najwspanialszym ludziom i właśnie dlatego trzeba żyć pełnią, póki można i chwycić całe szczęście, jakie się da”.

- „Ja też tak sądzę”, odparłam. Chwila była pełna powagi, ale nagle mnie pocałował - pierwszy raz - roześmiał się i powiedział: „Mam taką niepowstrzymaną chęć na szampana! Nie mogę się jej oprzeć! Ruszajmy do piwniczki zwędzić butelkę!” Och, jak on umiał się bawić! Dochodziła trzecia po południu, za wcześnie jak na szampana, ale ciotka Sophie zawsze ucinała sobie drzemkę do czwartej, więc nikt mi nie sapał za plecami. Zakradliśmy się do piwniczki, znaleźliśmy butelkę i schroniliśmy się w altance. Och, jakżeśmy się śmiali, jakaż to była zabawa! Oczywiście, bardzo źle postąpiliśmy, ciotka Sophie chyba by umarła. „Czuję się jak bardzo niegrzeczna dziewczynka”, powiedziałam, na co on odparł: „Ja też. Czyż to nie zabawne?” I znowu się roześmiał, a potem zaczął deklamować wiersz Browninga, „The Statuę and The Bust” - ten o tym, że trzeba korzystać z okazji. Po dziś dzień pamiętam, jak siedział na ławeczce w altance z kieliszkiem szampana w ręku i recytował: „I grzech każdej zawodu pełnej zjawy/To pochodnia zgaszona, nieprzepasane biodro”*. Nagle odstawił kieliszek i powiedział: „Ogarnia mnie to rozkoszne pragnienie, by zapalać pochodnie i przepasywać biodra!” O Boże, jakież to było romantyczne, jakie podniecające, zachwycało mnie, prawie mdlałam... - Cóż, jak już mówiłam, postąpiliśmy bardzo źle i oczywiście, to nie mogło długo trwać. Po kilku spotkaniach... Cóż, mówiąc najkrócej - zakończyła matka, dopijając drugi kieliszek koktajlu, - okazało się,

* **Przeł. Piotr Śmietanka.**

że był żonaty, ta bliska osoba w szpitalu psychiatrycznym to jego żona, tak że nic nie wyszło z mojego płomiennego romansu. Później wyjechał do Afryki, ja wyszłam za Erica i założyłam rodzinę. Ale Erie zawsze nienawidził tego epizodu z mojego życiorysu, dlatego nigdy, nigdy nie wolno ci się przyznać, że ci... O, Boże, już idzie. Ani słowa, kochany, przyrzeknij mi, ani słowa...

- Przypuszczam, że ciągle pijecie te obrzydliwe koktajle - odezwał się ojciec, pojawiając się na tarasie z kieliszkiem sherry w ręku. - Kolejna butelka porządnego szampana zmarnowana... Helen, czemu tak dziwnie wyglądasz?

- Zastanawia się, czemu nie czuje wyrzutów sumienia za grzech marnotrawstwa! - powiedziałem lekko, ale żadne z nich się nie uśmiechnęło i w ciszy, która nastąpiła po tej trywialnej, ale z pewnością gładkiej odpowiedzi, czułem, że oboje spojrzeli na mnie i zobaczyli doktora Romaine'a.

VIII

Choć do głębi poruszony, starałem się, jak mogłem, żeby lunch się udał. Łagodziłem sytuację, ilekroć zaczynali sobie dogryzać, wypytywałem o ich przyjaciół, wysłuchiwałem nieskończonych historii o zaniedbaniach Petera i nikczemnościach Annabel. Wreszcie dzieliliśmy się wrażeniami po uroczystości koronacji, a kiedy rozmowa nieuchronnie zeszła na doktora Langa, który odegrał taką znaczącą rolę w ceremonii, bardzo szybko wdaliśmy się w dyskusję o wystąpieniu Kościoła anglikańskiego w czasie obrad Izby Lordów nad projektem kodeksu małżeńskiego Alana Patricka Herberta.

- Uwielbiam biskupa Starbridge! - oświadczyła matka. - Jako jedyny zdaje się rozumieć, na czym polega małżeństwo, a w ubiegłotygodniowych „Illustrated London News” zamieszczono jego zdjęcie, na którym wygląda wręcz nieprzyzwoicie atrakcyjnie!

- A pó co to komu, żeby biskup był przystojny - skomentował ojciec. - Jemu się płaci, żeby był eunuchem w getrach, a nie Rudolfem Valentino w mitrze. A zresztą, za kogo on się ma, żeby publicznie atakować swojego przełożonego? Moim zdaniem to wygląda podejrzanie, ale przecież mówi się, że Starbridge nie jest dżentelmenem. Nigdy nie chodził do odpowiedniej szkoły.

- Znasz go, Charles? - spytała matka.

Wdałem się w mocno ocenzurowaną opowieść o moich ostatnich poczynaniach w Starbridge i reszta posiłku upłynęła w atmosferze tłumionego zachwyty, kiedy matka rozkoszowała się myślą o jej synu, który mieszkał w pałacu biskupim, a ojciec w myślach zaznaczał kolejny punkt na rosnącej krzywej mojej kariery. Po posiłku jednak, kiedy matka niechętnie podporządkowała się zwyczajowi, nakazującemu paniom zostawienie mężczyzn samym sobie, zapalając fajkę, ojciec oświadczył:

- Na twoim miejscu nie wiązałbym się zbyt mocno ze Starbridge. Możesz podpaść prymasowi. Albo, jakbyście to wy, księża, powiedzieli: trzymaj się Cantuara, a Staro zostaw w spokoju. Mam wrażenie, że ostatnio utrzymujesz kontakty z bardzo podejrzanymi personami, Charles, a już wyjątkowo mnie niepokoi ten dziwaczny zakonnik.

- Ależ zapewniam, ojcze, że to pierwszorzędny typ! Nie masz najmniejszych powodów do obaw!

- Co ty sobie myślisz, jeszcze jak będę się niepokoił! Całe życie się o ciebie zamartwiam, Charles, a teraz będę się bał jeszcze bardziej. Boże, sam nie wiem, jak mi się udało przebrnąć przez ten obiad, ale musiałem zachowywać pozory, bo, niezależnie od tego, co się stanie, twoja matka nigdy, przenigdy nie może się dowiedzieć, że rozmawialiśmy o Romainie.

- A dlaczego nie?

- *Dlaczego nie?!*

- Właśnie, dlaczego nie? Czy nie nadszedł czas, byśmy usiedli we troje i porozmawiali o nim, żeby wreszcie raz na zawsze go wypędzić?

- W życiu nie słyszałem równie szalonego pomysłu! To najbardziej idiotyczne, bezsensowne...
- Ojcie, gdybyś tylko porozmawiał z tym moim zakonnikiem... Naprawdę myślę, że to by nam obu pomogło. A może byś przyjechał do Cambridge i...
- Nie mogę zostawić kwiatów, a poza tym absolutnie się nie zgadzam na rozmowy z jakimś wścibskim mnichem, którego już wiele lat temu powinno się było włożyć do trumny i zakopać!
- On ma pięćdziesiąt siedem lat.
- Jeszcze gorzej. Stary mnich jest wystarczająco zły, a już mnich w średnim wieku to prawdziwa rozpacz. Czemu nie żyje z żoną i licznym potomstwem w jakimś porządnym domu z kortem tenisowym?
- Cóż, jego żona umarła, a dzieci są dorosłe, postanowił więc, że najlepiej będzie służył Bogu w...
- Ten człowiek najwyraźniej jest niezrównoważony. Nie zgadzam się z nim spotkać i nie zgadzam się jechać do Cambridge.
- Nieważne i tak już powiedziałem mamie, że w przyszłym tygodniu chciałbym przyjechać do was na kilka dni. Sądzę, że jest ogromnie ważne, byśmy...
- Nie rozśmieszaj mnie! Nie wrócisz, nawet śladu po tobie nie zostanie! Za bardzo będziesz zajęty szukaniem cholernego Romaine'a!
- Jeśli żyje, chciałbym go spotkać - przyznałem. - Choć raz, żeby zaspokoić swoją ciekawość. Nie sądzisz chyba jednak, że chciałbym się zaprzyjaźnić z kimś, kto gotów był mnie zamordować, kiedy miałem zaledwie kilka centymetrów?
- Dobry Boże, Charles, zdumiewasz mnie czasami! Jak ktoś o twojej inteligencji może robić taką cholernie naiwną uwagę! Na miłość boską, zatrzymaj się i zastanów, nim otworzysz tę przerażającą puszkę Pandory! Ta kanalia oczaruje cię, a potem zniszczy, już widzę, jak to się stanie...
- Drogi ojcie, nie jestem dziewiętnastoletnią dziewczyną!
- A szkoda. Mógłbym cię zamknąć i nie puszczać spod klucza.

Boże, jeśli stoczysz się w rynsztok po tym jak zmarnowałem trzydzieści osiem lat, żeby utrzymać cię na prawej ścieżce...

- Nie mogę się stoczyć do rynsztoka, Darrow zbudował tamę, a gdybyś tylko z nim porozmawiał, może wreszcie byś uwierzył, że jestem takim potencjalnym łajdakiem, za którego mnie masz...

- Ależ oczywiście, że nie uważam cię za...

- Tak, uważasz, i to wołająca o pomstę do nieba niesprawiedliwość! Wiem, że nie chcesz być niesprawiedliwy - teraz rozumiem, że tego nie chciałeś - ale po prostu nie możesz nad sobą zapanować. A to wszystko dlatego, że Romaine prześladowuje naszą rodzinę niczym zły duch.

- Cóż, nie odpędzisz go, wyszukując go i spotykając się z nim, jedynie wpakujesz się w jeszcze gorsze bagno! Na miłość boską, Charles, jedź, porozmawiaj z tym swoim szalonym mnichem, zanim zrobisz coś, czego pożałujesz! Może jego wysłuchasz, jeśli nie chcesz wysłuchać mnie!

- Oczywiście, zamierzam omówić to wszystko z Darrowem, kiedy się jutro z nim spotkam, ale on nie jest szalony, to najbardziej zdrowy na umyśle człowiek, jakiego znam. A teraz proszę, ojcze, żadnych więcej kłótni! Zostaw tę swoją obrzydliwą fajkę i chodźmy do matki do salonu...

IX

Kiedy o trzeciej wyjeżdżałem, matka objęła mnie i spytała ze łzami w oczach:

- Naprawdę wrócisz w przyszłym tygodniu, Charles?

- Tak, obiecuję.

Pocałowałem ją i poczułem łzy spływające po jej policzkach, kiedy mocno się do mnie tuliła.

- Na miłość boską! - krzyknął ojciec, śmiertelnie zażenowany. - Przestań nad nim beczeć! To obrzydliwe!

- Och, zamknijże się, ty brutalu! - odkrzyknęła i ze szlochem pobiegła do domu.
- Głupie babsko - skomentował ojciec. - Nie znoszę takich idiotyzmów. To wcale nie jest dla ciebie dobre, nie tak powinna się zachowywać matka. Rodzice nie powinni okazywać dzieciom smutku ani wzburzenia. To brak odpowiedzialności. Bardzo niewłaściwe.
Bez słowa uścisnęliśmy sobie ręce.
- Do widzenia, ojciec - powiedziałem na koniec. - Bóg z tobą. Jego usta, i tak już opuszczone, zaczęły drżeć.
Wsiadłem do samochodu i odjechałem.

x

Skierowałem się prosto do biblioteki publicznej w Epsom. W księgozbiornym podręcznym czekał na mnie rejestr lekarzy. Pewną ręką zjąłem książkę z półki.
Przez myśl przebiegała mi jedna koncepcja za drugą, jak mogły potoczyć się losy Romaine'a. Zapił się na śmierć w Afryce. Poległ bohatersko na wojnie. Umarł ze starości w Anglii, po długim, wyczerpującym wygnaniu. Albo inaczej: żył, ale nie był już lekarzem. Już wiele lat temu wykreślono go z rejestru za picie i uwodzenie pacjentek. Prowadzi sklep z tytoniem w Eastbourne albo księgarnię na Charing Cross Road, albo pub w Korawalii; przebywa w szpitalu dla umysłowo chorych, w domu starców, w wynajętym pokoju; mieszka w zamożnej rezydencji z piątą żoną i dziesiątką dzieci. Wszystko mogło się zdarzyć, ale jeśli żyje i nadal prowadzi praktykę w Anglii, jego nazwisko znajduje się w książce, którą właśnie trzymałem w dłoniach.
Spis otworzył się na literze M. *M* jak matka, biedna matka, jakże ona cierpiała, *J* jak naiwność, moje przedwczesne narodziny o czasie po tym naiwnym ślubie w bieli. *O* jak orgazm, który

mnie sprowadził na świat. *P* jak pytanie, gdzie teraz jest Romaine, co się z nim stało...

Dotarłem do litery R. Oczywiście zapewne nie żyje. A jeśli żyje, może równie dobrze mieszkać za granicą, urządził się wygodnie w którejś z kolonii.

ROM- ROMA- ROMAI-, ROMAINE...

A więc żyje.

„ROMAINE, ALAN CHARLES...”

Charles! Ojciec nie mógł znać jego drugiego imienia, zabiłby ją, gdyby wiedział.

„OAKTREE COTTAGE, STARVALE ST JAMES...”

Słyszałem o miejscowości Starvale St James, leżała niedaleko parafii mojego przyjaciela Philipa Wetheralla, proboszcza Starrington Magna, koło dwudziestu mil od Starbridge.

Musiałem usiąść. Siedziałem bardzo długo. Ludzie kręcili się wśród półek w cichym pomieszczeniu.

Wreszcie odłożyłem rejestr na półkę, opuściłem bibliotekę i zacząłem długą podróż powrotną do Cambridge.

Rozdział dziewiąty

„Trud dochodzenia do prawdy, jeśli opiera się wyłącznie na ludzkim świadectwie, jest oczywisty, a zarazem, z religijnego punktu widzenia, ogromnie niepokojący”.

Herbert Hensley Henson, biskup Durham w latach 1920-39, *Retrospect of an Unimportant Life*

I

Wieczorem, kiedy wszedłem do pokoju, dzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę i dobiegł mnie głos Petera:

- Charley, to ja. Jak przeżyłeś wizytę u starego?
- Poczekaj, niech sprawdzę, czy jeszcze czuć puls. Roześmiał się, ale od razu przybrał poważny ton.
- Charley, jak sądzisz, co tam się dzieje? Matka wygląda, jakby codziennie opróżniała butelkę ginu, stary siedzi zakopany w ten swojej diabelnej dżungli i wiecznie jest ze mnie niezadowolony. Zdaje się, że ma mi za złe, że nie rozmawiam z nim o wszystkim, co się dzieje w biurze, ale, Charley, nie może oczekiwać, że teraz, na emeryturze będzie na bieżąco pilnował każdego drobiazgu. Musi się przekonać, że pora odpuścić, ale nie mam serca mu tego powiedzieć. Biedny staruszek, tak mi go szkoda, chociaż ostatnio diabelnie mnie traktuje. Annabel

twierdzi, że nie powinienem się z nim pieścić, ale... Nie mogę znieść myśli, że miałbym go skrzywdzić. Annabel nic nie rozumie i powiadam ci, Charley, ściśnięty między Annabel, która nieustannie trzeszczy mi za uszami, a starym, który nie daje mi żyć, czasem mam ochotę wyemigrować do Australii.

- Wezmę na siebie paranoidalnych rodziców, jeśli ty się zajmiesz wojowniczą żoną. W przyszłym tygodniu przyjadę na kilka dni, żeby jakoś ich rozgryźć.

- Dzięki Bogu. Wiedziałem, że kiedyś w końcu przybędziesz z pomocą, Charley. Nie myśl sobie, że w ciebie nie wierzyłem, ale naprawdę ogarniała mnie już taka desperacja...

- Trzymaj się, Peter, i odwołaj rezerwację na statek do Australii. Kościół anglikański wreszcie wyrusza na odsiecz.

II

Padłem do łóżka, spałem do szóstej, wyłączyłem jazgoczący budzik, spędziłem wyznaczoną godzinę na ćwiczeniach duchowych, ubrałem się w sutannę, uczestniczyłem w nabożeństwie z komunią w katedrze, zjadłem śniadanie, wróciłem do katedry na jutrznię i sumę, uciąłem sobie dziesięciominutową pogawędkę z biskupem, przyjąłem zaproszenie na obiad, uciekłem stamtąd o trzeciej, po czym przekonałem się, że jeden z moich uczniów pojawił się z rodzicami w Laud's, więc poczęstowałem ich herbatą u siebie, poszedłem na szóstą do katedry na nieszpory, popędziłem do college'u, wrzuciłem do torby kilka najpotrzebniejszych rzeczy, jakoś dobrnąłem do samochodu, ruszyłem do Grantchester i o wpół do ósmej zmordowany, ale nadal przytomny dotarłem do domu fordytów. Już wcześniej zapowiedziałem się na nocleg i drobny, siwy zakonnik, witając mnie jak dobrego znajomego, powiedział, że zatrzymali dla mnie mój pokój. Pomyślałem, że to najbliższy ziemski odpowiednik raj, jaki ostatnio posiadam i schroniwszy się w swoim sanktuarium, zrzuciłem buty, padłem na łóżko i przez chwilę leżałem nieruchomo, niczym wyrzucony na brzeg wieloryb.

Kiedy po jakimś czasie przyszedł Darrow, powiedział tylko:

- Widzę, że ciężko pracowałeś.

Uśmiechnęliśmy się do siebie. Poderwałem się z łóżka, gdy tylko wszedł do pokoju i teraz ściskaliśmy sobie ręce.

- Nie zaniedbałeś ćwiczeń? - brzmiało jego pierwsze pytanie. Zdawałem sobie sprawę z jego hierarchii wartości: troska o moje

duchowe zdrowie stała przed ciekawością, jak wyglądało spotkanie z rodzicami.

- Wczoraj miałem wrażenie, jakbym zaczynał robić pewne postępy - odparłem - ale dziś rano, raz zobaczywszy w oddali oazę, ponownie wylądowałem na pustyni.

- Niewątpliwie rozproszyły cię przeżycia wczorajszego dnia. A kwestia twojego pochodzenia?

- Mieliśmy rację. Moim ojcem jest Erie Ashworth, ale zostałem poczęty przez konowalę nazwiskiem Alan Romaine.

III

Na razie więcej nie rozmawialiśmy. Darrow zajrzał do skrzydła dla gości, tylko żeby się ze mną przywitać, ale później wrócił i odbyliśmy długą sesję.

- Dobrze sobie poradziłeś z rodzicami - brzmiał jego ostateczny werdykt - i zrobiłeś większe postępy niż przypuszczałem. I gdzie, twoim zdaniem, przeniesie się teraz nasz plac boju?

- Do Starvale St James. Darrow milczał.

- Czy to źle? - spytałem, natychmiast tracąc pewność siebie.

- Ani dobrze, ani źle; kiedyś to musiało się stać. Zawahałem się, nie dlatego że nie pochwalam twojej decyzji, ale dlatego że zastanawiam się, jak najlepiej rozwiązać tę ogromnie niebezpieczną sytuację, która może dać początek bardzo bolesnym złudzeniom.

Ogarnął mnie jeszcze większy niepokój.

- Ojca to śmiertelnie przeraziło - czułem się zobowiązany wyznać. - Nazwał to puszką Pandory, sądziłem jednak, że przemawia przez niego uprzedzenie i zazdrość. Oczywiście uważa, że Romaine natychmiast sprowadzi mnie na złą drogę.
- To się rozumie samo przez się. Obawiam się, że musimy się spodziewać, że w chwilach zagrożenia, ojciec będzie przywoływał swoje najgorsze obawy, ale na ile uspokoiłeś go, że będziesz bardzo ostrożnie dotykał owej puszkę Pandory?
- Powiedziałem mu to samo, co i ojcu jakiś czas temu: po prostu chcę zobaczyć tego człowieka. Potem będę mógł usiąść i oświadczyć: „Proszę! Zrobiłem to!” I na tym koniec.
- Mówisz o doktorze Romainie, jakby to była jakaś atrakcja turystyczna, Charles, ale czy rzeczywiście można go porównać z pałacem Buckingham czy Tower of London? - I zanim zdążyłem odpowiedzieć, dodał: - Czemu tak bardzo się upierasz, że zobaczysz Romaine'a tylko jeden, jedyny raz?
- Byłbym nielojalny wobec ojca, który, jak już się przekonałem, wcale mnie nie odrzucał, ale, działając dla mojego dobra, próbował na swój skomplikowany, zawzięty sposób być dla mnie najlepszym z ojców. Nie potrzebuję nowego ojca, a już na pewno nie potrzebuję jakiegoś starego, zrujnowanego konowala, który próbował mnie zabić, kiedy jeszcze byłem embrionem.
- W takim razie czemu w ogóle chcesz go zobaczyć? Na chwilę odebrało mi mowę.
- Ależ muszę! - zawołałem wreszcie. - Dał mi życie... Muszę po prostu się przekonać...
- Tak, istnieje taka potrzeba psychiczna. Tak więc znalazłeś się w niezręcznej sytuacji, prawda? Niby chcesz się zaangażować, a jednak nie.
- Ja wcale nie chcę się angażować!
- Gdyby to była prawda, nie chciałbyś go zobaczyć.
- Zgoda - przyznałem zapalając się. - Zgoda, niech będzie. Angażuję się, ale moje zaangażowanie będzie minimalne. W końcu on mnie odrzucił... Próbował zabić...

- To, zgadzam się, jest odrzucenie. Ale czy możemy z całą odpowiedzialnością przyjąć, że naprawdę usunąłby tę ciężę? Na ile poważnie mówił? Na to pytanie twój ojciec nie znał odpowiedzi, bo go tam nie było.

- Przyznaję, że słyszałem jedynie wersję ojca...

- Nie, poznałeś także wersję wydarzeń przedstawioną przez matkę i te dwa sposoby ukazania Romaine'a różnią się diametralnie, prawda?

- I właśnie dlatego chcę się z nim spotkać! Chciałbym usłyszeć jego wersję wydarzeń!

- Dokładnie tak. - Darrow z zadowoleniem oparł się o krzesło. - Szukasz prawdy, dlatego chcesz się spotkać z doktorem Ro-mainem i dlatego, mimo sprzeciwów twojego ojca, powinno dojść do tej rozmowy. Musisz ustalić, jak to wyglądało naprawdę, a wtedy nauczysz się żyć z trudną rzeczywistością, którą właśnie odkryłeś.

- Ale wystarczy mi jedno spotkanie - upierałem się. - Wtedy będę mógł się okręcić na pięcie i odejść.

- A czy mogę spytać - wtrącił opat - jak to się ma do twojego bycia księdzem? Jak chcesz realizować swoje powołanie, odrzucając go, ponieważ, jak uważasz, kiedyś on cię odrzucił?

Zapadła cisza. Napięcie we mnie rosło w miarę, jak do gniewu dochodziło poczucie winy.

- Czy sugeruje ojciec - spytałem wreszcie - że zmieniam go w groteskową figurę ojca, którą trzymam zamkniętą w szafie i regularnie odwiedzam?

- Proponuję jedynie, byś starał się pozostać otwarty w tej ogromnie trudnej sytuacji. Choć Romaine jest dla ciebie kimś obcym, faktem pozostaje, że to on zapalił iskrę, dzięki której zagościłeś na tym świecie i to oznacza, że w bardzo dosłownym tego słowa znaczeniu, jest z tobą po kres twoich dni. Dlatego teraz, kiedy już został zidentyfikowany, koniecznie musisz się nauczyć z nim żyć, a jak można owocnie z kimś żyć, jeśli człowieka ogarnia gniew na myśl o wszystkich złych czynach popełnionych przez tamtego?

- Co muszę zrobić? - spytałem po długiej chwili bolesnego milczenia.

- A jak sądzisz?

Musiałem wyciągnąć siłą słowa ze świadomości.

- Muszę mu wybaczyć.

- Tak - potwierdził Darrow - musisz mu wybaczyć, żeby móc z nim żyć w zgodzie - a to może się okazać rzeczywiście bardzo trudne. Dlatego nie traktuj swojej wizyty w Starvale St James jak wycieczki w celu odwiedzenia oryginalnej ciekawostki turystycznej, Charles. Potraktuj ją jak poważny krok w twojej nieustającej próbie, a wtedy, moim zdaniem, podejdziesz do tego spotkania w sposób realistyczny i rozsądny. W ciszy przypatrywałem się moim planom w nowym świetle.

- A jeśli sobie z nim nie poradzę - odezwałem się w końcu - i zrujnuję sobie życie, tak jak przepowiadał ojciec?

- Widzę, że wreszcie dokądś dochodzimy. Oto pojawia się nasz demon: twój strach, że jesteś nic niewartym nieudacznikiem.

- A jeśli ja go polubię, a on mnie nie?

- Oto pojawia się kolejny demon: twój strach przed odrzuceniem.

- A jeśli on nawet nie pamięta, że istnieję?

- Wątpię, żeby zapomniał o tym, co się wydarzyło w Epsom i raz na zawsze zrujnowało jego marzenia o praktyce przy Harley Street. Chyba że cierpi na zanik pamięci - oświadczył sucho Darrow, ale ja nie słuchałem. Wreszcie zajrzałem do swej duszy i przeraziło mnie to, co tam zobaczyłem.

- Chcę, żeby mnie polubił - usłyszałem swój głos - żebym ja mógł go skrzywdzić odrzucając go, a chcę go skrzywdzić nie tylko dlatego, by odpłacić mu za cierpienia, których przysporzył matce, ale także, by dowieść ojcu - i sobie - że jestem lojalnym synem... Czy ojciec słyszy? Kompletnie się pogubiłem, gadam od rzeczy...

- Lepiej stawiać sprawę uczciwie. Wtedy się przekonasz, jak wiele ciężkiej pracy będzie cię kosztowało prawdziwe przebaczenie.

- Cóż za przerażająca sytuacja!

Czuając, że niewiele brakuje, a ogarnie mnie rozpacz, spytałem, czy mógłbym zostać w klasztorze dłużej, niż wstępnie planowaliśmy. Chciałem spędzić następny dzień myśląc i modląc się pod jego kierunkiem.

- Wtedy wyruszylibym wczesnym rankiem we wtorek i pojechał od razu do Starvale St James - zakończyłem.

- Niech i tak będzie. Doskonale, Charles, prześpij się trochę, a jutro zaczniemy cię zbroić w walce z demonami.

IV

Droga do Starvale St James wiodła przez Starbridge - żeby je ominąć, musiałbym nadrobić szmat drogi - ale kiedy w owe wtorkowe przedpołudnie jechałem wśród wzgórz, katedra nie lśniła już niczym wspaniała ozdoba na weselnym torcie, ale majaczyła we mgle, która unosiła się znad łąk. Zniknęło zalane słońcem tajemnicze miasto, zostało zablocone miasto tonące w strugach deszczu. Minąłem targ, pojechałem krótszą drogą przez Bruchers Alley, żeby uniknąć handlowej dzielnicy wokół St Martin's-in-Cripplegate. Przed oczami mignęła mi katedra, przejechałem skrzyżowanie, kierując się na Eternity Street, a potem przemknąłem obok Staro Arms, dotarłem na most i znalazłem się na otwartej przestrzeni za miastem. We wstecznym lusterku widziałem znikającą katedrę i próbowałem sobie wyobrazić, co robią teraz mieszkańcy pałacu. Przypomniałem sobie słowa Darrowa: „Wrzuciłeś bardzo duży kamień do tej szczególnej sadzawki” i natychmiast oczami duszy zobaczyłem kręgi wody, które nadal i nieuchronnie zmiierzają do brzegu.

Te myśli zajmowały moją uwagę przez następne dziesięć mil, ale kiedy dostrzegłem na drogowskazie nazwę mego celu podróży, resztę trasy spędziłem usiłując zapanować nad zdenerwowaniem. Do miasteczka dotarłem dwadzieścia jeden po dwunastej. Deszcz przestał padać, mgła się rozproszyła, słońce próbowało przebić

się przez chmury. Przyhamowałem, pytając o drogę i dowiedziałem się, że Oaktree Cottage znajduje się na drugim końcu ulicy, za kościołem.

Celem mej podróży okazał się duży, niezgrabny budynek kryty strzechą. Zapewnie niegdyś były to dwa oddzielne domy, które połączył jakiś przedsiębiorczy budowniczy. Podjazd prowadził od drogi przez starannie utrzymany ogród. Przy ścieżce spokojnie kopał coś w ziemi stary, powykrzywiany na wszystkie strony ogrodnik. Nie zwracając uwagi na tabliczkę, która kierowała pacjentów do gabinetu w bocznej części domu, podszedłem do głównego wejścia. Palce ześlizgnęły się z dzwonka. Czekaając, aż ktoś otworzy, automatycznie wytarłem ręce w marynarkę. Wydawało mi się, że upłynęła wieczność, kiedy wreszcie drzwi otworzyła podstarzała pokojówka.

- Dzień dobry - powitałem ją, podając wizytówkę. - Czy zastałem doktora Romaine'a?

Ale nim służąca zdołała odpowiedzieć, z ciemnego hallu dobiegł głos kobiety:

- Kto to, Withers?

- Doktor... pan... doktor Ashworth, psze pani - odparła pokojówka, która najwyraźniej uważała, że duchowny, tytułujący się doktorem, to jakiś zboczeniec i podała moją wizytówkę pulchnej, złotej blondynce, która wynurzyła się z cienia.

- Doktorze Ashworth... bardzo przepraszam, ale czy myśmy się gdzieś nie spotkali? Księdza twarz wydaje mi się znajoma, ale nie mogę sobie...

- Nie - odparłem. - Nie spotkaliśmy się wcześniej. Pani Romaine?

- Tak... Dziękuję, Withers - odezwała się ostro, odsyłając służącą. Był to głos osoby zasadniczej. W jej kontralcie pobrzmiwały echa wymowy mieszkańca północnego zachodu wyspy. Włosy zawdzięczały swój złocisty odcień umiejętnemu farbowaniu. - Proszę, niech ksiądz wejdzie, doktorze Ashworth.

- Miałem nadzieję, że uda mi się zamienić kilka słów z pani mężem - odezwałem się, kiedy zamknęły się za mną drzwi.

Oczywiście, przygotowałem sobie mowę na każdą możliwą sytuację, jaką zastanę, znalazłszy się w progach doktora Romaine'a, ale przez chwilę bałem się, że zapomnę roli. Zwłaszcza że pani Romaine przyglądała mi się nadzwyczaj bacznie.

- Znał moich rodziców wiele lat" temu, jeszcze przed wojną - usłyszałem, jak mówię po chwili niezręcznego wahania - a kiedy się dowiedziałem, że tu mieszka, postanowiłem zajrzeć. Proboszcz Starrington Magna jest moim przyjacielem i znam te okolice.

Pani Romaine postanowiła zastąpić twarde wejrzenie gościnnym uśmiechem.

- Jak to miło, że ksiądz zajrzał! Niestety, mąż jeszcze odwiedza chorych, ale wkrótce powinien wrócić. Jeśli może ksiądz poczekać...

- Dziękuję.

- Będzie musiał mi ksiądz wybaczyć - mówiła, prowadząc mnie do salonu - ale właśnie wybierałam się na lunch. Zostawię księdza wizytówkę w hallu i dopilnuję, żeby Whiters powiedziała mężowi, że ksiądz go oczekuje. Chciałby się ksiądz napić w tym czasie sherry?

Odmówiłem sherry. W miarę życzliwie poprosiła, bym czuł się jak u siebie w domu, po raz ostatni zmierzyła mnie wzrokiem i zniknęła.

Rozejrzałem się po pokoju. Drogie meble korespondowały z dębowym sufitem, kominkiem w rogu pokoju, ale wszystkie wyglądały jak współczesna kopia tradycyjnych stylów. Półkę nad kominkiem zagracały kiczowate drobiazgi, brakowało jednak zdjęć. Na ścianie wisiało mnóstwo słabych reprodukcji słynnych widoków katedry w Starbridge, oprawionych w ciężkie, złoczone ramy.

Podchodząc do okna, czułem pod nogami miękkiej, niemal gąbczasty dywan. Nie mogłem się powstrzymać od konkluzji, że matka uznałaby pokój za wulgarny, ponieważ usiłował małpować salon prawdziwej damy, bogactwem zastępując smak. Wiedziałem też, że z panią domu rozprawiłaby się za pomocą jednego, najbardziej morderczego słowa, jakim dysponuje klasa średnia: „pospolita”.

Odwracając się od okna, za którym rozciągał się malowniczy ogród, spacerowałem po salonie, póki, niczym tonący, nie zobaczyłem przed sobą swojego życia, jakby moja - jak to określił Darrow - oblegana część psychiki podejmowała złożoną próbę wyśledzenia, jak to się stało, że dotarłem do Starvale St James w tym, a nie innym punkcie życia. Właśnie z fotograficzną dokładnością odtwarzałem w pamięci scenę pierwszej mszy w katedrze w Cambridge, kiedy w oddali otworzyły się drzwi, a po chwili trzasnęły.

Znieruchomiałem. Chwila przerwy. Usłyszałem głos służącej, potem mruknięcie mężczyzny aż wreszcie zapadła, długa, długa cisza. Natychmiast wiedziałem - nie musiałem tego widzieć ani nikt mi nie musiał mówić - że Romaine ze zdumieniem wpatruje się w moją wizytówkę. Wreszcie usłyszałem zbliżające się kroki, drzwi do salonu wolno się otworzyły i na scenę wkroczył doktor Alan Romaine.

v

W tej samej chwili doznałem tego samego szoku, co człowiek, który ogląda się w krzywym zwierciadle i zrozumiałem, czemu pani Romaine tak bacznie mi się przypatrywała, kiedy zdążyła mnie sobie dokładniej obejrzeć. Mężczyźnie, który stał przede mną, daleko było do mego sobowtóra, czułem jednak, że trafiła mi się rzadka okazja przekonania się, jak mogę wyglądać w latach sześćdziesiątych naszego wieku, choć ta perspektywa wydawała się tak odległa, że wręcz niewyobrażalna.

Dorównywał mi wzrostem - ponad metr osiemdziesiąt - i w żaden sposób nie dawało się go określić mianem „starego, zrujnowanego konowala”, jako że był nieźle zakonserwowany. Rozpoznałem moje kręcone włosy, co prawda nie brązowe już, ale siwe, lecz tak samo trudne do opanowania; ponieważ skłonność do łysienia się dziedziczy, z ulgą stwierdziłem, że choć włosy miał rzadsze

ode mnie, nadal były dość gęste. Te same ciemne oczy z kurzymi łapkami w kącikach, usta, z lekko uniesionymi kącikami, głęboki dołek w brodzie, który w dzieciństwie nazywano dołuniem. Był cięższy ode mnie, otyły, mógł ważyć sto kilo, piętnaście kilo więcej niż ja, ale dobrze się trzymał i w niespiesznych, pełnych wdzięku ruchach dostrzegłem ślad czaru, który rozsiewał w Epsom w 1899 roku.

Stałem nieruchomo na środku pokoju z opuszczonymi rękami zaciśniętymi w pięści. Na pewno wyglądałem jak uosobienie ogromnego napięcia, głębokiego niedowierzania i pełnej trwogi fascynacji. Romaine stanął w drzwiach, wyglądając jak uosobienie rozbawienia i swobody, usta wyginały się w lekkim uśmiechu, oczy lśniły ciekawością. Przypomniałem sobie, jak ojciec mówił, walcząc ze łzami: „Prawdziwym łajdakom zawsze uda się jakoś szczęśliwie wylądować”.

Przypomniałem sobie słowa matki: „To było niczym jakaś potworna kara”. Spojrzałem na tego jowialnego mężczyznę, na którym ta tragedia najwyraźniej nie pozostawiła żadnego piętna i poczułem nienawiść i pogardę.

Zerknął na moją wizytówkę, uniósł wzrok i z nieodgadzionym uśmiechem powiedział:

- Doktor Ashworth!

- Tak. Witam, doktorze Romaine.

Nasze głosy miały identyczny timbre, ale odmienną modulację: tego dziecko uczy się oq! otoczenia i w myślach mój głos powtarzał z ostrością Erica Ashwortha: nadal chamski, nadal w złym tonie, nadal tworzący pozory splendoru... *obrzydliwy*.

A równocześnie słyszałem, jak mówił z podziwem, który budził we mnie odrazę:

- Doktor teologii uniwersytetu w Cambridge! Jakaż dumna musi być księdza matka... A jak ona się czuje, jeśli można spytać? Mam nadzieję, że dobrze?

- Bardzo dobrze - odparłem. - Tak samo jak i mój ojciec. Oboje moi rodzice czują się doskonale.

Nie zapomniałem nauk Darrowa o przebaczeniu. Pamiętałem

godziny spędzone na modlitwie i rozmowach w Grantchester. Wiedziałem, że postanowiłem sobie, że uchylę puszkę Pandory pewną dłonią, jak chrześcijanin, ale w tej chwili ogarnęła mnie niepoohamowana złość. Chciałem jedynie w każdym zdaniu podkreślić swą lojalność wobec ojca.

- Nadal żyją kwitnąco w Epsom? Wspaniale! - powiedział ciepło Romaine, ale odwrócił się ode mnie i choć w kącikach ust nadal drżał uśmiech, jego twarz na moment stwardniała. Potem rzucił wizytówkę na stolik i zachęcająco pokazał na liczne karafki. - Wypijmy! - zaproponował z uśmiechem. - Czy też uważa ksiądz alkohol za kolejny wynalazek szatana? Nasz miejscowy proboszcz ma bardzo zdecydowany stosunek do sprawy, co więcej, tak często i tak bezlitośnie wydziera się z ambony na ten temat, że mimo woli marzę o potężnym łyku z największej możliwej butelki. - Chadza pan często do kościoła?

- Tak, należę do rady parafialnej.

Zapadła cisza. Czuję się, jakbym dostał od Boga po łapach. Wściekłość, wyrzuty sumienia, poczucie winy i rozpacz przelewały się przez moją obłąaną psyche niczym fale przyływu.

- Whisky, sherry czy dżin?

- Sherry. Dziękuję.

Graniczyło z cudem, że w ogóle udało mi się odpowiedzieć. Co więcej, nie tylko odpowiedziałem, ale mówiłem lekkim tonem.

- Cóż, to prawdziwa niespodzianka - odezwał się Romaine równie beztrosko, podając mi kieliszek. - Nigdy bym się czegoś takiego nie spodziewał. Jak ksiądz się dowiedział, gdzie mieszkam?

- Znalazłem pana adres w rejestrze lekarzy.

- Oczywiście! Co za idiotyczne pytanie! Może rzeczywiście zaczynam cierpieć na uwiad starczy.

Teraz już wiem, powinienem był raczej spytać: kiedy matka powiedziała księdzu o mnie?

- Och, to nie matka mi o panu powiedziała, tylko mój ojciec.

- Niech mnie kule biją - stwierdził Romaine, wlewając kilka kropli wody sodowej do podwójnej porcji whisky. - Jakież to

musiało być ogromnie trudne... Drogi przyjacielu, usiądź, te krzesła nie są takie okropne, na jakie wyglądają. Zapal, mam nadzieję, że palisz?

- Nie w stroju duchownym.

- Cóż za wspaniałe panowanie nad sobą! Ja palę jak lokomotywa, choć nie powinienem - mówił, zapalając papierosa. - Męczące są te stare przyzwyczajenia, ale z drugiej strony, bez nich życie stałoby się takie nudne... Na czym to stanęliśmy? A, tak, twój ojciec... Cóż za wyjątkowy rodzic! Oczywiście nie doceniałem go, uważałem za suchego, starego nudziarza, który uwielbia wchodzić w drogę, ale wtedy mój problem nie polegał na tym, że nie doceniałem Ashwor-tha, ale że przeceniałem siebie. Myślałem, że mogę kroczyć po wodzie.

- Kroczyć po...

- Wodzie, staruszk. Straszliwie złudzenie. Tylko najlepsi, tacy jak twój ojciec, potrafią chodzić po wodzie. Reszta, czyli my, po prostu wpada jak kamień. Opowiadał ci o naszym ostatnim spotkaniu?

- Tak, mówił...

- Tak sądziłem i jestem pewien, że nie oddał sobie sprawiedliwości. Był wyjątkowy. Widzę go, jakby to było wczoraj: bardzo elegancki, w wysokim kołnierzyku, każdy włos na swoim miejscu. Co za oprawca! A kiedy już mnie powiesił, rozszarpał i poćwiartował, po prostu włożył rękawiczki, dotknął runda kapelusza i odszedł, podczas gdy ja zostałem, zastanawiając się, jak się zabić. Niestety, nie miałem pistoletu i zapiełem się do nieprzytomności, nim zdołałem pożyczyć, a odzyskawszy przytomność, poczułem, że zżera mnie zgoła nieszlachetne pragnienie życia... Ale tak właśnie wygląda życie, prawda? Tylko w powieściach okrutnika spotyka łaskawy, ostateczny kres, który, jakże wygodnie wyzwala go od dalszej męki. W prawdziwym życiu, Bóg o wiele bardziej woli, żeby potoczył się dalej, próbując żyć z tym, co zrobił... A skoro o Bogu mowa, muszę wyznać, że jestem wręcz zachwycony, że zostałeś duchownym!

Znacznie przyjemniejsze niż bycie lekarzem: te interesujące kazania, które się pisze, wspaniały kościół jako miejsce pracy i miła żona, za którą wszyscy przepadają... Oczywiście, jesteś żonaty?

- Żona zginęła w wypadku samochodowym.

- Jakież to musiało być okropne... Dzieci?

- Nie mam.

- Aha. Ja byłem żonaty trzykrotnie - dodał Romaine wychyliwszy solidny łyk ze szklanki. - Poza tym... Ale nie, za dużo gadam, a nie mogę cię zanudzać. Jedną z gorszych przypadłości starszego wieku jest tendencja do obojętnego rozprawiania o przeszłości.

- Przyjechałem tu, by z tego skorzystać, doktorze Romaine. Sądzę, że najlepiej postawić sprawę jasno: chcę się dowiedzieć dokładnie, co się stało.

- Dokładnie? Żadnych wygodnych eufemizmów? Tylko naga, niczym nie osłoniętą prawdę?

Zawahał się, jakby wahał się za i przeciw tej decyzji, ale pozostał nie zmieszany.

- Doskonale - oświadczył wreszcie - ale trzymaj się swoich duchownych szatek, drogi przyjacielu, bo twoje chrześcijańskie miłosierdzie zostanie wystawione na wielką próbę.

Zapadł w najbliższy fotel, założył nogę na nogę i z przerażającą beztroską i lekkością rozpoczął opowieść, którą tak gorąco pragnąłem usłyszeć.

VI

Oczywiście, byłem niespełna zmysłów - zaczął Romaine. - Teraz jakiś dobroduszny internista odesłałby mnie do psychoanalityka i spędziłbym wiele przyjemnych chwil leżąc na kozetce i opowiadając bez końca o dzieciństwie, w owych jednak czasach, za wariata uznawano człowieka dopiero wtedy, gdy chodził po ścianach, więc udawało mi się odgrywać normalnego.

Zawsze udawałem kogoś innego. Jako młodzieniec odstawiałem romantycznego bohatera. Dziś, spoglądając wstecz, myślę, że to była najgorsza z moich ról.

- Wszystko zaczęło się w dzieciństwie, kiedy zacząłem odgrywać małą, biedną sierotkę. Nie zamierzam ci jednak opowiadać długiej historii, jak to, kiedy miałem siedem lat, matka umarła wydając na świat dziecko, a ojciec zbankrutował, tak że nawet moje zabawki zostały zabrane przez bezwzględnych komorników. To wszystko prawda, ale nie chciałbym, żebyś uważał, że miałem dzieciństwo rodem z Dickensa, bo kiedy zostałem sierotą, zamieszkałem w Starbridge, u oddanej ciotki - starej panny - która zapewniła mi cudwony dom, pokój dziecienny pełen zabawek i nianię, która uważała mnie za rozkoszne chłopię. Czy każdego wieczoru na klęczkach dziękowałem Bogu za ten zdumiewający łut szczęścia? Nie. Jak każdy wstrętny, rozpuszczony dzieciak, którym wkrótce się stałem, uważałem, że to mi się słusznie należy, a stateczny, niewielki dom ciotki w cieniu katedry wydawał mi się szczytem obrzydliwości. Moim zdaniem, kluczem do bezpieczeństwa były bogactwo i sukces, a nie z trudem wypracowana reputacja; nigdy nie zapomniałem z trudem wypracowanego, godnego poszanowania pokoiku, w którym ojciec palnął sobie w łeb.

- Mimo to nie chciałem myśleć o tym, jak ojciec palnął sobie w łeb, dlatego udawałem, że nic się nie stało i kiedy w szkole wymyśliłem kilka interesujących powiązań rodzinnych między mną a znajomymi ciotki ze Starbridge, przekonałem się, że potrafię opowiadać historyjki, w które wszyscy wierzą. Wtedy też uświadomiłem sobie, że nie muszę się dłużej męczyć z moją nieromantyczną przeszłością, bowiem wystarczy, bym wymyślił i odegrał właściwą rolę, a zostanę zaakceptowany przez odpowiednich ludzi.

- W Oksfordzie odstawiałem młodego arystokratę, ale brakowało mi pieniędzy, by długo się utrzymać w tej roli, zresztą naprawdę pragnąłem się oddać tej tak typowo mieszczańskiej dziedzinie, jaką

jest medycyna. Ale nie chciałem zostać zwykłym, poczciwym lekarzem. Chciałem przejść do historii, jako ten, który w największym stopniu przyczynił się do ratowania kobiet umierających w połogu. Zawsze ogarniała mnie wściekłość na myśl, że matka umarła, niepotrzebnie próbując zapewnić mi rodzeństwo, a chyba jedynym sposobem na zapanowanie nad gniewem i żalobą było wtedy zrzucenie winy na wiedzę medyczną i postanowienie, że naprawię to, co zostało zepsute.

- Wreszcie znalazłem się w Bart's, gdzie kończyłem naukę. Jakim cudem ciotka znalazła na to wszystko pieniądze, nie wiem, ale płaciła póki nie zdobyłem dyplomu - a wtedy umarła szczęśliwa, nie zostawiając ani grosza w banku. Byłem wówczas już tak obrzydliwie rozpuszczony, że na wieść o jej śmierci, pomyślałem najpierw: „Niech to licho, kogo teraz naciągnę na pożyczkę?” Bycie modnym geniuszem medycyny kosztowało, a zresztą lubiłem robić wrażenie i być zauważanym, kiedy obracałem się wśród właściwych ludzi.

- Odrażające, prawda? Ale nie bój się, Nemezis cierpliwie czekała. Poznałem dziewczynę. Była pacjentką. Ciągle jeszcze zajmowałem się ogólną praktyką przed rozpoczęciem specjalizacji i na jakiś czas zostałem wyznaczony na - jakby to teraz określono - oddział psychiatryczny. Dziewczyna znalazła się tam, ponieważ miała przywidzenia. Była bardzo ładna - i bardzo bogata. Specjalista uważał jej szanse na ozdrowienie za nikłe, ale ja w to nie wierzyłem. Pomyślałem: „Ty stary głupku, poradzę sobie lepiej od ciebie.” Sądziłem, że mogę każdego uleczyć, szczególnie śliczną dziewczynę, córkę bogatego ojca; zobaczyłem przed sobą lśniącą taflę wody i powiedziałem sobie: „Pięknie! Przejdę po niej!” Nawet mi przez myśl nie przeszło, że czegoś takiego nie da się zrobić.

- Kiedy opowiadałem o tym twojej matce, porównałem swoją sytuację do „Dziwnych losów Jane Eyre” - współczesny pan Rochester, który ożenił się ze swoją żoną zupełnie nieświadom jej choroby umysłowej. Co za kłamstwo! I jak bardzo się mamiłem, sądząc, że mogę wyleczyć kogoś nieuleczalnie chorego, choć - niestety - udało mi się doprowadzić do krótkotrwałej poprawy. Zalecałem się do dziewczyny po staroświecku: trzymając ją za rękę, patrząc jej miłośnie w oczy i wyciągnąłem ją ze szpitala. Naprawdę wydawało się, że w jakiś cudowny sposób

jej się polepszyło. Co więcej w chwili ślubu zdawała się równie zdrowa na umyśle jak ja, ale, oczywiście, rzeczywistość była taka, że oboje byliśmy szaleńcami, żyjącymi w świecie ułudy. W czasie miodowego miesiąca rzuciła się na mnie z nożem. Tydzień później została zamknięta w szpitalu, jej stan gwałtownie się pogorszył i nigdy więcej nie odezwała się rozsądnie. Wszelkie dochody z jej wiana pochłonęły wydatki na najlepszy szpital psychiatryczny, najlepszych lekarzy i tak w miesiąc po ślubie znowu zostałem bez grosza. A do tego - w wieku dwudziestu siedmiu lat - przykuty do kobiety, która mogła pożyć jeszcze i pięćdziesiąt lat.

- Tak wyglądała rzeczywistość - i oczywiście nawet nie próbowałem stawić jej czoła. Lubiłem kobiety, a prywatne życie lekarza musi być równie nieskazitelne jak duchownego. Jak sobie poradzę? Nie miałem pojęcia. Nawet nie umiałem sobie tego wyobrazić. Dlatego pomyślałem sobie: „To się nie wydarzyło. Odejdzie, jeśli przestanę o tym myśleć.” I jak każdy, kto nie chce spojrzeć w oczy rzeczywistości, zacząłem pić.

- Uciekłem z Londynu. I tak należała mi się przerwa przed rozpoczęciem specjalizacji, a już wcześniej postanowiłem kogoś zastąpić, bo potrzebowałem pieniędzy. Jaką jednak niewysłowioną ulgą była ucieczka do Epsom, by pomóc biednemu, staremu doktorowi Barnes! W Epsom nikt o niczym nie wiedział, nawet sam Barnes. Po prostu zwrócił się do akademii o pomoc, a kiedy mnie do niego wysłali, nie wspomnieli o małżeństwie.

- Tak pojechałem do Epsom i rozpocząłem nowe życie. Pomyślałem: „To dokładnie tak, jak bym był kawalerem.” Z pewnością nie byłem szalony z medycznego punktu widzenia, ale niewątpliwie głęboko zaburzony - choć nie chcę, żebyś sądził, że się uspra-

wiedliwiam, za to, co się później wydarzyło. Tego niczym nie można usprawiedliwić, ale chciałem dokładnie ci zarysować sytuację. Cóż, poznałem twoją matkę i... Biedaczka, jakież okropne życie wiodła! Żal mi jej było, bo nikt nie rozumiał, jakie piekło przechodziła: dogorywająca matka i stara ciotka, sama przypominająca chodzącą trumnę. Podziwiałem twoją matkę, że nie popadła w histerię, jak to się działo z tyloma młodymi dziewczętami w owych czasach, kiedy wszyscy byli zbyt dobrze wychowani, by wyć z rozpacz. „Odważna dziewczyna”, pomyślałem. „Dziewczyna z charakterem, inteligentna, wrażliwa... I taka śliczna...” Zacząłem marzyć, że moja żona umrze i po jakimś czasie rzeczywistość wydawała się ułudą, a złudzenia prawdą.

- Helen też z trudem przychodziło stawić czoło rzeczywistości i w moich marzeniach znajdowała ucieczkę od bólu i okropieństw codziennego życia. Później, znacznie później, zdałem sobie sprawę, jak dobrze się złożyło, że nie mogłem się z nią ożenić. Omal nie zniszczyłem jej za pomocą swoich iluzji. A na pewno bym ją zniszczył, gdybyśmy się pobrali. Potrzebowała kogoś, kto zapewniłby jej tę rzeczywistość, na jaką zasługiwała: przyzwoity dom, normalną rodzinę, stałość - a ja mogłem jej ofiarować jedynie pasmo sennych marzeń, które nie miały szansy na spełnienie.

- Cóż... Do czego powinienem teraz przejść? Wiesz, co się potem wydarzyło - stanowisz tego namacalny dowód. Ale może się zastanawiasz, jak, u licha, do tego doszło. Czyżbym nigdy nie słyszał owego nieładnego określenia „zapobieganie ciąży”? Tak, oczywiście, że słyszałem, uważałem jednak, że prezerwatywy

- które zresztą w owych czasach były zupełnie do niczego

- przydają się jedynie w kontaktach z kobietami luźnych obyczajów jako zabezpieczenie przed chorobami wenerycznymi. Rozumiesz, prezerwatywy po prostu nie były romantyczne i ja kochałem tak romantycznie... Poza tym próbowałem sobie wmówić, że mogę kroczyć po wodzie, co w tym przypadku oznaczało, że zdobędę się na całkowite panowanie nad sobą w sytuacji, która

słynie z tego, że całkowicie się zatracą panowanie nad sobą... Jakież niebezpiecznie przekonanie, szczególnie u kogoś kto za dużo pije! To z całą pewnością był ostatni raz, kiedy mamiałem się, że mogę kroczyć po wodzie.

- Kiedy twój ojciec powiesił mnie, rozszarpał i poćwiartował, wyjechałem za granicę. Nie żeby służyć szlachetnie w najgłębszych zakątkach Afryki - taką plotkę rozpuściłem, żeby znajomi z Epsom głośno się mną zachwycali - ale do południowej Afryki, na wojnę burską. Zostałem tam do końca wojny, ale nie zdobyłem romantycznych odznaczeń, ponieważ pracowałem w nudnym, bezpiecznym szpitalu wojskowym. Po zakończeniu wojny, postanowiłem zostać, ale ponieważ nie stać mnie było na otwarcie prywatnej praktyki, zgłosiłem się do katolickiego szpitala misyjnego w Rodezji. Cóż, wszystko szło jak po maśle, póki nie wpadłem w straszne tarapaty w związku z pewną zakonnicą - jest w tych białych barbetach coś, co wyzwała we mnie najgorsze instynkty - i skończyłem jako lekarz pokładowy na liniowcu kursującym do Indii. Nie będę cię nudził opowieściami o moich indyjskich przygodach, ale tam także wpadłem w tarapaty i ostatecznie wylądowałem w Hongkongu, gdzie, z przykrością muszę przyznać, o wiele za dużo piłem i nie mogłem utrzymać pracy w żadnym z dobrych szpitali. Wylądowałem w końcu w protestanckiej misji w dzielnicy biedoty, gdzie miałem do czynienia z chorobami, o których nawet nie chcę myśleć, co skończyło się tym, że piłem więcej niż zwykle, bo nienawidziłem swojej pracy, a równocześnie nie potrafiłem zbierać dość pieniędzy, by się wyprowadzić.

- I wtedy zdarzył się cud. W klinice pojawiła się nowa pielęgniarka. Była Chinką, chrześcijanką. Wystarczyło jej jedno spojrzenie i wiedziała, że potrzebuję ratunku, a ja ledwo ją zobaczyłem, już wiedziałem, że chcę być ratowany. Uderzyłem w zwykłą nutę: „Prześpij się ze mną, a wszelkie moje problemy znikną”, ale to nic nie dało. Byłem pod wrażeniem. Wtedy próbowałem ją przekonać, że nie jestem znowu taki ostatni. „Piję dlatego,

że czuję się samotny", mówiłem, na co ona oświadczyła: „O nie, nieprawda! Pijesz, ponieważ czujesz się winny i nie możesz sobie wybaczyć tego, co zrobiłeś”.

- W Chińczykach jest coś cudownego; ułożyli sobie świat, kiedy my jeszcze tańczyliśmy w błękitnych szatach w Kręgu Starbridge. I jest też coś cudownego w chrześcijanach, prawdziwych chrześcijanach, takich, którzy wprowadzają w życie to, co głoszą. Powiedziałem: „Ja nie mogę sobie wybaczyć”, ale ona odparła: „Chrystus może” i zacytowała Konfucjusza. Dobry Boże, oszalałem na jej punkcie!

Wreszcie po jakimś czasie spytałem: „Nie możemy po prostu udawać, że moja żona nie żyje?”, na co ona stwierdziła, że przed Bogiem nie możemy udawać i jeśli On chce, żebym się z nią ożenił, zrobi tak, by to się stało możliwe. I, niech mnie licho porwie... Pewnie się domyślasz, co się stało? Dwa tygodnie potem dostałem telegram z Anglii, że moja żona nie żyje.

- I tak ożeniłem się z moją Chinką. Była ode mnie o wiele starsza, tak że nie mogło być mowy o dzieciach, ale mimo to żyliśmy długo i szczęśliwie przez całe dziesięć lat. Przestałem pić i znowu dostałem pracę w dobrym szpitalu. Pracowałem przy porodach i po raz pierwszy od wielu lat czułem się szczęśliwy. Ale wtedy moja Chinka umarła i wszystko się rozpadło. Czułem, że bez niej nie mogę żyć w Hongkongu i zdałem sobie sprawę, że pora wracać do domu.

- Nie będę cię zanudzał opowieściami o podejrzanych historiach, które przydarzyły mi się, kiedy zarabiałem na powrót do Anglii, zapewniam, że włos by ci się zjeżył na głowie, w końcu jednak przepłynąłem oceany i zobaczyłem przed sobą białe skały Dover. Miałem czterdzieści pięć lat, toczyła się wojna.

- Ledwo się zadomowiłem, pracując w szpitalu na East End, gdzie zajmowano się głównie rannymi z okopów, nająłem prywatnego detektywa i posłałem go do Epsom, żeby się zorientował, co się dzieje. Otrzymałem raport, że państwo Ashworth mieszkają wraz z dwoma synami, Charlesem i Peterem, w bardzo miłym domku w Epsom Downs. I wtedy musiałem podjąć decyzję. Czy kompletnie zrujnowałem wszystkim życie czy też nie? Cóż, wiedziałem, co moja Chinka by powiedziała.

Stwierdziłaby, że jeśli naprawdę chcę zadośćuczynić za przeszłość, powinienem odłożyć na bok moją

egoistyczną ciekawość i pozwolić rodzinie Ashworthów żyć dalej w spokoju. Oczywiście, gdyby twoja matka była wdową, popędziłbym do Epsom, żeby się nią zająć, ale w takiej sytuacji... Nie, uznałem, że nie mam prawa się wtrącać.

- Po wojnie zdobyłem lepszą pracę w szpitalu w Manchester - w Londynie zawsze czułem się niezręcznie, obawiając się, czy nie wpadnę na Ashwortha - i tam poznałem moją obecną żonę, też pielęgniarkę. Mogę położyć rękę na Biblii i przysiąc uczciwie, że kiedy się oświadczałem, nie wiedziałem, że jej ojciec robi majątek na produkcji gorsetów.

- Wreszcie starszy pan umarł i Bea miała „parę tysiączków na zbyciu”, jak to się mówi, więc wpadliśmy na pomysł zostawienia Manchesteru i rozpoczęcia idyllicznego życia na wsi w domu krytym słomą. Mnie ciągnęło w okolice Starbridge; dziwne, jak na starość człowiek pragnie wrócić do miejsca urodzenia... Ale to miła okolica, prawda? I ilekroć chce mi się ziewać, przypominam sobie, że mógłbym nadal pracować w dzielnicy biedoty i wypijać butelkę whisky dziennie. Nie sądz jednak, że się skarzę! Wcale! Nieustannie sobie powtarzam, jakie ogromne mam szczęście i że za wiele powinienem dziękować.

Znałem ten sposób na rozprawianie się z rzeczywistością. Sam nieraz tak robiłem, kiedy chciałem udawać, że w moim życiu wszystko świetnie się układa. Przyglądałem się, jak Romaine nalewa sobie drugą podwójną porcję whisky.

- Czy mają państwo jakieś dzieci? - spytałem nagle.

Znowu nalał kilka kropli wody sodowej, zanim się do mnie odwrócił.

- Nie - odparł. - Z żadną z moich trzech żon nie miałem dzieci. Ale uważam to - dodał, unosząc szklanekę do ust - za część wyroku.

I wtedy za jego lśniąca zasłoną dostrzegłem smutek, który się za nią rozciągał.

VII

Napij się jeszcze - powiedział Romaine. - Zdaje się, że nieźle ciągnę, ale czuję się, jakby mi cegłówka spadła na głowę. Koniecznie wypij jeszcze tego obrzydliwego sherry! Wcześniej byłem w takim stanie, że zapomniałem cię ostrzec, że jest słodkie, nie wytrawne.

- Nie, nie będę już więcej pił, dziękuję. Sądzę, że powinienem już pojechać, żebyśmy obaj mogli się otrząsnąć po naszych cegłówkach.

- Och, ale przecież nie możesz wyjechać tak od razu! Chcę się o tobie wszystkiego dowiedzieć! Wiesz co, wpadłem na wspaniały pomysł: wyleję tę idiotyczną whisky i przyniosę z piwniczki butelkę wprost wspaniałego Veuve Cliquot, który oszczędzałem na czarną godzinę!

- Dziękuję panu - odparłem - ale muszę odmówić. Przedemną długą jazda.

- Nie powinieneś prowadzić z pustym żołądkiem. Zostań na lunch!

- Musi mi pan wybaczyć, doktorze Romaine - powiedziałem z trudem - ale muszę jechać.

- No cóż - ustąpił, wypijając połowę whisky - jak sobie życzysz. Ale zanim uciekniesz, proszę, powiedz, gdzie mogę wysłuchać twojej nauki. Tak bardzo chciałbym przyjechać do Cambridge i zobaczyć cię w akcji.

- Na razie mam przerwę wakacyjną. Najbliższą naukę wygłoszę dopiero w pierwszą niedzielę przyszłego miesiąca.

- Świetnie, przyjadę na weekend. Gdzie należy się zatrzymać w Cambridge?

- Polecają hotel „Blue Boar”, ale...

- Zadzwoń, żeby zamówić nocleg. Nie czuj się jednak zobowiązany, żeby mnie podejmować - co więcej, jeśli nie chcesz, nie musisz się w ogóle ze mną spotkać, ja zrozumiem. Nie uważaj mnie za starego nudziarza, który zatruje ci życie, tylko dlatego, że na chwilę straciłem głowę i zacząłem mówić o szampanie. Zajrzę do Cambridge, wślizgnę się do katedry, żeby wy-

słuchać twojego kazania, a potem wymknę się z powrotem: żadnego zamieszania, zawracania głowy, bałaganu...

Usłyszałem swój głos, jak zapraszam go na obiad po przedpołudniowych nabożeństwach.

VIII

Jak bardzo Ashworth musi się cieszyć, że tak wspaniale sobie w życiu poradziłeś - powiedział, kiedy odprowadzał mnie do samochodu. - A twój brat? Czy on też tak dobrze sobie ułożył życie?

- Jest współnikiem w firmie ojca.

- Szczęściarz z tego Ashwortha. Moja Chinka powiedziała by na pewno, że dobrzy otrzymują nagrodę. Jakiż z niego był niesamowity człowiek! Harując w slumsach Hongkongu i opróżniając butelkę whisky dziennie, wyobrażałem go sobie, jak kroczy triumfalnie przez życie w swoim wysokim kołnierzyku. Wiesz, prześladował mnie, i twoja matka też. Oboje prześladowali mnie przez długie lata... Przypuszczam, że twoja matka nadal wygląda ślicznie, prawda?

- Tak, rzeczywiście, mimo wieku zachowała swoją urodę.

- Bardzo się cieszę, ale mimo to nie chciałbym jej znowu zobaczyć. Wolę ją zapamiętać dokładnie taką, jaka była. Czasem

- dodał lekko Romaine - naprawdę jest o wiele rozsądniej nie odgrzebywać przeszłości.

Wystarczyło jedno moje spojrzenie. Pomyślałem o matce, która przez tyle lat marzyła, że on wróci i nie mogłem się zdobyć na odpowiedź. Natychmiast zdał sobie sprawę, że popełnił błąd.

- Ale oczywiście tak bardzo się cieszę, że mnie dziś odwiedziłeś!

- dorzucił, obawiając się wyraźnie, czy nie potraktowałem tamtej uwagi jako przytyk.

Wyciągnął prawą dłoń z kieszeni, ale kiedy zobaczył, że nie

zamierzam mu podać ręki, udał, że strzepuje pyłek kurzu z mankietu.

- To była taka cudowna niespodzianka! - ciągnął rozpaczliwie. - Taki jestem podekscytowany, że cię poznałem!

- W takim razie można mówić o szczęściu, że Ashworth powstrzymał pana przed dokonaniem na mnie aborcji, prawda? - oświadczyłem, zatraskując drzwi i ruszyłem z rykiem silnika, żeby zagłuszyć ewentualną odpowiedź.

IX

Wszystko się we mnie kłębiło, tak że dwie mile za miasteczkiem zatrzymałem samochód na krawędzi drogi i zgasilem silnik. Ściskając krzyż, usiłowałem się modlić, ale nie mogłem. Chciałem za wszelką ceną wymazać Romaine'a z mej pamięci, ale on tam pozostał, na zawsze odcisnięty: gładki, twardy, doświadczony w sztuce przetrwania stary chytrus, który wiedział dokładnie, za jakie sznurki pociągnąć, by poruszyć me serce. Myślałem o jego mężnie podejmowanych próbach prześlizgnięcia się nad nietaktem, jakim było proponowanie szampana; myślałem o tym, jak dzielnie usiłował ukryć zmieszanie, gdy się zorientował, że nie podam mu ręki; myślałem o panice, kiedy sobie uświadomił, że wzbudził moją niechęć i poczułem, że równowaga ducha nabyta z takim trudem w Grantchester została zrujnowana. Z jego maską czarusia mogłem sobie poradzić po prostu go nie lubiąc, ale uczucia, które się za nią ukrywały mnie pobiły. Czułem się przez nie zagrożony. Gotów byłem wypracować intelektualną formułę przebaczenia, która dałaby ukojenie mojej obłączonej psychy, pozwalając mi równocześnie być nadal dobrym chrześcijaninem, nie chciałem jednak angażować się uczuciowo. Instynkt nakazywał ucieczkę, odepchnięcie.

Postanowiłem, że im prędzej wrócę do opata, tym lepiej, na razie jednak byłem daleko od Granchester i nie jadłem jeszcze lunchu, a znając Darrowa, kazałby, mi coś zjeść, nim zacznę się dalej zmagać ze swoimi problemami.

Uruchomiłem samochód i ruszyłem do Starbridge. Kiedy tam dotarłem, wszystkie restauracje serwujące lunch były zamknięte, udało mi się jednak namówić kelnera w „Staro Arms”, żeby przyniósł mi kanapki i kawę. Zjadłszy je, poczułem się lepiej. Przypomniałem sobie, że Darrow zaleciłby mi z pewnością trochę ruchu, postanowiłem się przejść wzdłuż rzeki, ale kiedy dotarłem do West Bridge i zobaczyłem wieżę katedry, wiedziałem, że muszę po raz kolejny spróbować się pomodlić. Ogarnęła mnie nagle potrzeba modlitwy nie tylko o siłę do walki z moimi trudnościami, ale także

O przebaczenie. Uraziłem tego patetycznego starego drania w Star-vale St James i chciałem zrzucić ciężar winy, zanim podejmę dalszą podróż.

Wspominając nieudaną próbę modlitwy w samochodzie, zastanawiałem się, czy nie jestem przesądny, myśląc że duchowe umiejętności powrócą cudownie w chwili, kiedy stanę na świętej ziemi. Przesady czy nie, jakaś nieodparta siła ciągnęła mnie do katedry

1 w chwilę potem zawracałem Eternity Street.

Dałem opatowi słowo, że będę się trzymał z daleka od pałacu, ale dochodziło wpół do czwartej i obliczyłem, że prawdopodobieństwo spotkania Lyle albo Jardine'ów równa się zeru. Jardine spędza zwykle popołudnia na oficjalnych spotkaniach, pani Jardine - o ile jest w domu - będzie odpoczywać przed herbatą, Lyle zaś będzie odpoczywać w ogrodzie po wypełnionym krzątaniem ranku. Myśląc intensywnie o Lyle dotarłem do skrzyżowania i nadal o niej myślałem, kiedy przeszedłem pod łukiem i znalazłem się na terenie wokół katedry.

Kiedy w chwilę później wszedłem do świątyni, ogarnął mnie kojący chłód i rozkoszując się atmosferą pokoju, skierowałem się wolno nawą ku prezbiterium.

W głębi południowego transeptu znajdowała się kaplica wydzielona na modlitwę osobistą, oddzieloną od reszty kościoła rzeźbioną kratką i zasłonkami, co zapewniało modlącym się

odosobnienie i spokój. Otwierając drzwi, cicho wsunąłem się do środka. Sądziłem, że będę sam, ale klęczała tam już jakaś kobieta, pogrążona w modlitwie. Kiedy wszedłem, uniosła głowę. Oboje gwałtownie wciągnęliśmy powietrze. Przez długą chwilę trwaliśmy nieruchomo, wpatrując się w siebie, ale gdy Lyle zaczęła się dźwigać z klęczek, powiedziałem szybko:
- Przepraszam... Przeszkadzam ci - i wstrząśnięty wycofałem się do nawy.

Rozdział dziesiąty

„A teraz słówko na ucho. Może się mylę, ale czasem słuchając Cię albo czytając, odnoszę wrażenie, że skrywasz jakiś swój bardzo osobisty i głęboki niepokój. Jeśli to prawda, ani przez chwilę nie podejrzewaj mnie o impertynencję ani popychanie Cię do czegokolwiek; żywię jednak wobec Ciebie szczerą sympatię i chętnie bym Ci dopomógł, o ile by to tylko leżało w mojej mocy”.

More Letters of Herbert Hensley Henson, zebr. E.F. Braley

I

Charles...

Pospiesznie wybiegła za mną, ale zatrzymałem się jeszcze, nim mnie zawołała. Z tyłu katedry dobiegał przytłumiony głos przewodnika, oprowadzającego wycieczkę.

- Powiedz, że nie mam omamów - odezwała się Lyle nadal ogłuszona. - Co robisz w tym zakątku świata?

- Musiałem odwiedzić kogoś w Starvale St James. - Wziąłem się w garść i dodałem: - Słuchaj, nie możemy tu rozmawiać, chodźmy na wewnętrzny dziedziniec.

Masywne drzwi uchyliły się niechętnie, kiedy nacisnąłem kłamek i z transeptu wyszliśmy na zalany słońcem kwadratowy dziedziniec.

W rogu, na trawniku, ustawiono ławkę na pamiątkę jakiegoś wygodnickiego dobroczyńcy.

Zaproponowałem Lyle, byśmy usiedli naprzeciwko cedru, który ocieniał trawnik.

- To wręcz zdumiewające spotkanie - powiedziała Lyle, ciągle jeszcze oszołomiona. - Niczym znak.

- A na pewno jest to okazja, żeby ci powiedzieć, jak wiele o tobie myślałem. Czy pani Jardine dostała mój list?

- Tak, on też był znakiem. Dzięki niemu znowu stałeś się rzeczywisty. Już zaczynałam podejrzewać, że sobie ciebie wymyśliłam.

- Najdroższa Lyle...

Nie potrafiłem się powstrzymać i ująłem ją za rękę, a ona najwyraźniej nie potrafiła się powstrzymać i zacisnęła palce wokół mojej dłoni.

- Wybacz mi długie milczenie, ale kiedy ostatni raz się widzieliśmy, byłem potwornie zagubiony i od tamtej pory ojciec Darrow nie ustawał w wysiłkach, by mnie przywrócić do normalności.

- Wszystkim nam ogromnie ulżyło, kiedy się dowiedzieliśmy, że wylądowałeś bezpiecznie u fordytów... Czy ojciec Darrow jest rzeczywiście taki mądry, jak mówią?

- Nawet najwyższa pochwała byłaby niewystarczająca.

- Chciałabym móc z kimś takim porozmawiać - odezwała się nieoczekiwanie i natychmiast zaniepokoiłem się o nią.

Wołanie o pomoc było przygłuszone, ale wyraźne. Zdając sobie sprawę, że niechętnie zwierzyłaby się ze swoich problemów związanych z biskupem któremuś z licznego grona znajomych duchownych, zaproponowałem:

- Może pomogłaby ci jakaś anglikańska benedyktynka? Jestem pewien, że opat Starwater mógłby ci polecić...

- Nienawidzę zakonnic. Za zakonnikami też zresztą nie przepadam, ale jeśli ojciec Darrow jest tak dobry, jak twierdzą, to może... Ale oni pewnie nie chciałby przyjąć kobiety, prawda?

- Jestem pewien, że przyjąłby każdego w potrzebie.

- Och, ale to nic wielkiego! - zawołała natychmiast. - Nic mi nie jest.

To samo sobie wmawiałem, zanim wylądowałem pijany u drzwi opata. Moja troska coraz bardziej się pogłębiała.

- Lyle, jeśli nie będziesz już mogła wytrzymać, zadzwoń do mnie o każdej porze dnia i nocy, a ja zrobię wszystko, co w mojej mocy, by ci pomóc. I nie sądź, że w ten sposób próbuję znowu odstawić Casanovę. Nie, Staram się po prostu stać wreszcie kimś w rodzaju księdza i jeśli kiedykolwiek potrzebowałabyś mojej pomocy, obiecuję, że nie zażądam w zamian żadnych faworów.

Przyjrzała mi się uważnie, wreszcie powiedziała ostrożnie:

- Zmieniłeś się.

- Ty właściwie mnie nie znałaś. Ukrywałem się za maską - nazywam ją lśniąca zasłona - ale ojciec Darrow pomaga mi ją odrzucić, bym stał się tym, kim naprawdę jestem.

Dostrzegłem w jej oczach błysk zrozumienia.

- Och, gdybyś tylko wiedział - wyszeptała - jak bardzo pragnę odrzucić swoją lśniąca zasłonę i być taką, jaką naprawdę jestem!

Ale zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, spytała gwałtownie: I co ojciec Darrow o tym wszystkim myśli? - On nie ma za zadanie wyrażać opinii. Jego zadanie polega na dopilnowaniu, bym wypracował sobie swoje własne, rozsądne opinie.

Umilkliśmy i w tę ciszę niczym czarna chmura wemknęła się tajemnica Starbridge, utrudniając nam porozumienie. Lyle zerknęła na zegarek i wstała.

- Muszę wracać. Zaraz będę potrzebna Carrie. - Lyle... Jej oczy nagle pociemniały.

- O nic nie pytaj.

- Pozwól chociaż, że dam ci dodatkowe numery, w razie gdyby nie było mnie w college'u, kiedy zadzwonisz.

Wygrzebałem rachunek ze „Staro Arms” i po drugiej stronie napisałem numer telefonu rodziców w Epsom i fordytów w Grant-chester.

- Jeśli się nie odezwiesz - dodałem - skontaktuję się z tobą w połowie września, żebyśmy mogli ewentualnie się spotkać pod koniec miesiąca. Jak najlepiej się z tobą skontaktować? Napisać?

- Nie, nie pisz - powiedziała szybko. - Gerald zabiera całą pocztę i o wszystkim mówi biskupowi. Nie mogłabym w żaden sposób wyjaśnić listu ze stemplem Cambridge.

Udało mi się jakoś nie wypowiedzieć na głos pełnego oburzenia komentarza i z największym spokojem, na jaki mnie było stać, spytałem:

- Kiedy najlepiej dzwonić?

- Po południu. Jeśli odbierze Gerald, rozłącz się, jeśli Shipton, spytaj o mnie. Gdybyś mnie nie zastał, oddzwonię. Przedstaw się jako Donald Wilson - to mój stary wielbiciel, który dzwoni od czasu do czasu, więc nie będę się musiała tłumaczyć z jego telefonu.

- Mówisz jak więzień! - zawołałem, nie mogąc już dłużej nad sobą panować.

- Oczywiście, że jestem więźniem! Wszyscy jesteśmy więźniami sytuacji, w jakiej żyjemy, ale na miłość boską, Charles, błagam niech cię nie poniesie donkiszoteria i nie ruszaj na pałac, żeby mnie ocalić!

- Nie bój się, ojciec Darrow nauczył mnie, że najskuteczniejsza pomoc jest zawsze proponowana, nie narzucana.

Wstaliśmy z ławki i szliśmy podcieniami, północną stroną dziedzińca, ale kiedy znaleźliśmy się przed drzwiami prowadzącymi z powrotem do katedry, Lyle przystanęła.

- Lepiej, jeśli tu się pożegnamy.

- Zgoda.

Chciałem ją pocałować, ale wiedziałem, że się uchyli. I tak nerwowo się rozglądała w obawie, czy ktoś nas nie wypatrzy. Dlatego tylko ująłem jej rękę i przez chwilę zamigotało nami coś bardzo prawdziwego, choć natychmiast zginęło, zabite przez rozpacz, która emanowała z Lyle.

- Pamiętaj - powiedziałem. - Możesz do mnie dzwonić o każdej porze dnia i nocy.

Skinęła głową. Wypuściłem jej dłonie, a kiedy oboje weszliśmy już do transeptu, zatrzymałem się i odprowadzałem ją wzrokiem przez nawę. Patrzyłem za nią, póki nie zniknęła w drzwiach i wtedy, czując się poruszony i zagubiony jak nigdy, wróciłem do kaplicy, by się modlić.

II

Czulem się zbyt wyczerpany, żeby tego samego dnia wrócić do Cambridge, więc przenocowałem w Londynie w swoim klubie. Ponieważ brałem pod uwagę, że mogę nie wrócić tego samego dnia, miałem ze sobą nie tylko przybory toaletowe, ale także i książki, potrzebne do rannych ćwiczeń duchowych, jednak nawet po przespanej nocy, nie potrafiłem się skupić.

Darrow nie przyszedł natychmiast, kiedy bez zapowiedzi pojawiłem się rano przed drzwiami klasztoru, ale po pół godzinie zostałem odprowadzony do pokoju opata, gdzie na mnie czekał. Zdając sobie sprawę, że mogłem go oderwać od pilnych zajęć, przeprosiłem za nie zapowiedzianą wizytę i powiedziałem, że przyjadę później porozmawiać o Romainie.

- Wczoraj wydarzyło się jednak coś bardzo dziwnego - wyjaśniłem

- i chciałem z ojcem zamienić słówko w sprawie Lyle.

- Usiądź, nie spiesz się i choć w dwóch słowach opowiedz o wizycie u Romaine'a, zanim znikniesz w obłokach dymu.

Zdając sobie sprawę, że muszę wyglądać na rozgorączkowanego, próbowałem się uspokoić.

- W Starvale St James nie spisałem się najlepiej - zacząłem.

- Romaine'owi udało się równocześnie sprawiać wrażenie gładkiego, zaprawionego w sztuce przetrwania chytrusa i słabego, przegranego starca. Był taki uradowany moim widokiem. To budziło we mnie obrzydzenie. On budził we mnie obrzydzenie. Ale najgorsze w tym wszystkim jest to, że zaprosiłem go w przyszłym miesiącu do Cambridge i nie mogę się doczekać tego spotkania. I jeśli

uda się ojcu coś z tego zrozumieć, należy się ojcu jakiś zakonny medal.

Ale Darrow spytał jedynie:

- I co zrobiłeś później?

- Nie upiłem się - odparłem i zdałem relację z moich poczynań aż do chwili przed spotkaniem z Lyle.

- Przynajmniej dobrze sobie ze sobą radziłeś w chwilach rozterki - brzmiał nie pozbawiony sympatii

komentarz opata. - Doskonale, Romaine'em zajmiemy się później. A teraz, co to za sprawa z Lyle?

Opowiedziałem mu szczegółowo o naszym spotkaniu, a kiedy skończyłem, Darrow wyglądał tak poważnie, że czułem się w obowiązku dodać:

- Przysięgam, ojcze, nie złamałem obietnicy i sam jej nie szukałem.

- Oczywiście, że nie. Źle mnie zrozumiałeś. Nie martwi mnie samo spotkanie, które wydaje się być nieoczekiwane zbawienne, martwię się o nią. Co prawda, na szczęście, rzuciłeś jej koło ratunkowe, a to się może okazać konieczne.

- A czy rzeczywiście zgodziłby się ojciec jej dopomóc?

- Pomógłbym każdemu w potrzebie, jak sam słusznie zauważyłeś, ale później... Nie, to nie byłoby pożądane, Charles. Z dwóch powodów. Po pierwsze jestem już twoim kierownikiem duchowym i nie mógłbym traktować Lyle naprawdę obiektywnie. A drugi powód jest taki, że różnica płci często stwarza trudności w kierownictwie duchowym, nawet jeśli osoby, których to dotyczy, mają szczerą i najczystsze intencje. Lyle bardziej przydałaby się zakonnica.

- Ale ona mówi, że nienawidzi zakonnic.

- Kiedy ludzie głoszą takie przesadzone opinie, może to znaczyć, że próbują ubrać w słowa rozpacz, której nie potrafią wyrazić. Tak naprawdę Lyle mówi, że w tej chwili jej problemy nie nadają się do rozmowy ani z zakonnica, ani z kimkolwiek innym.

- Jednak fakt, że ma tak poważne problemy, musi oznaczać...

- Nie możemy wiedzieć z całą pewnością, co to oznacza. Na pewno można założyć, że Lyle jest związana z Jardine'ami w sposób

szkodliwy tak dla jej uczuć, jak i duszy, ale to wcale nie musi znaczyć, że jest kochanką Jardine'a.

- Ale nawet jeśli nie jest jego kochanką, Jardine musi błędzić, pozwalając, by taka niezdrowa sytuacja się utrzymywała - upierałem się. - Oczywiście, wmówił sobie, że ona wcale nie jest niezdrowa, ale jego sprawa z Loretą świadczy, że jest zdolny do mamienia siebie.

- Zastanawiałem się, kiedy wreszcie to zauważysz.

W głosie Darrowa brzmiała taka ulga, że nie musi dłużej zachowywać tego spostrzeżenia dla siebie, by pozostać neutralnym, że nabrałem odwagi, by dokończyć.

- Przypuszczam, że w kwestii Loretty tak mnie gnębił mój własny grzech, że nie poświęciłem wystarczająco dużo uwagi Jardine'owi, ale z duchowego punktu widzenia, jest nonsensem twierdzić, że nie popełnił z nią cudzołóstwa.

- Obawiam się, że doktor Jardine mówił jak dobry prawnik - oświadczył sucho Darrow - a nie jak dobry kapłan. Twój grzech był poważny, ale Jardine'a nieskończenie większy: żonaty duchowny, który wchodzi w cielesny związek ze swoją parafianką - cała ta historia to koszmar dla duchownego i, moim zdaniem, to każe nam myśleć, jaką bystrością i sprytem popisał się w tej sprawie eminencja ksiądz prymas. Niewątpliwie czuję, że Jardine zdolny jest do ogromnego odstępstwa i, jak sami się przekonujemy, niewątpliwie słuszny jest jego lęk przed skandalem, ale, Charles, wszystko to wcale nie oznacza, że Jardine i Lyle są kochankami. Dlatego zachowaj spokój, nie wyciągaj pochopnie wniosków i staraj się pogodzić z faktem, że jeśli chodzi o Lyle, w tym momencie zrobiłeś wszystko, co mogłeś.

III

Wieczorem wróciłem do opata przedyskutować moje spotkanie z Romaine'em i rozmawialiśmy przez dłuższą chwilę. - Doskonale rozumiem - stwierdził wreszcie Darrow - czemu

czujesz taką wrogość, ale skoro nie myślisz z odrazą o ponownym spotkaniu, to może wskazywać, że nie jest wykluczone, byś po jakimś czasie nabrał względem niego życzliwszych uczuć.

- Wątpię. To stary, okropny łajdak.

- Gotów jestem uwierzyć w twoje słowa, Charles, ale czy mógłbyś mi wyjaśnić, czemu uważasz Romaine'a za takiego okropnego, a do tego jeszcze łajdaka? Z twojego opowiadania wynika, że to po prostu uroczy człowiek.

- Naprawdę?

- A nie? Z tego co mówiłeś, wynikało, że bardzo się starał być z tobą szczery; a już na pewno nie usiłował się odmalować w przychylnych barwach. Wyrażał się dobrze o twoich rodzicach. Nie ukrywał swojego zachwytu nad tobą, podkreślał, jak bardzo się cieszy, że zostałeś księdzem, a w końcu z trudem dał się powstrzymać od zejścia do piwniczki i wyciągnięcia szampana. Czy to naprawdę takie nikczemne zachowanie?

- To wszystko była gra, żeby mi się przypocholebić! Ale ja ani na chwilę nie zapomniałem, ile moi rodzice przez niego wycierpieli.

- Bez wątpienia twoi rodzice bardzo wiele przez niego wycierpieli - odparł Darrow - ale jeśli wierzyć twoim słowom, na dłuższą metę on wycierpiał równie dużo, jeśli nie więcej.

- Bardzo mu tak dobrze. Zrujnował ich małżeństwo.

- A kto mówi, że ich małżeństwo jest zrujnowane? Z tego co mi mówiłeś, wynikało, że przeżyli wspólnie wiele nadzwyczaj trudnych chwil. A jednak, proszę, po prawie czterdziestu latach nadal mieszkają pod jednym dachem, nadal ze sobą rozmawiają i nadal, z tego co wiemy, są sobie wierni. Nie przeczę, że ich małżeństwo nie było trudne, ale czy rzeczywiście można powiedzieć, że zostało zrujnowane?

- Jak dla mnie, to w sobotę było całkiem nieźle zrujnowane!

- Niewątpliwie przechodzą trudny okres, ale jak większość małżeństw, które przeżyły wspólnie trzydzieści osiem lat, mieli zapewne nie tylko złe, ale i dobre chwile. Powiedz sam, czy ich

małżeństwo było jednym piekłem? Matka prowadziła bogate, interesujące życie towarzyskie, o jakim zawsze marzyła, ojciec miał przystojną żonę i oddaną matkę jego dzieci. Tymczasem same dzieci przynoszą chlubę rodzicom i bez wątpienia stanowią źródło wielu radości, jak i - od czasu do czasu - przyczynę bólu. Moim zdaniem to wszystko wygląda zachęcająco normalnie - choć nie przeczę, że istnieją pewne nienormalności. Sądę jednak, Charles, że zanim zaczniesz winić Romaine'a za nieudane małżeństwo, powinieneś uważnie się zastanowić, na ile owe nienormalności zniszczyły związek twoich rodziców.

Milczałem. Miałem wrażenie, jakby prawda wymknęła mi się z rąk i zaczęła tkąć nową materię, której nie potrafiłem uchwycić.

- Nie da się zaprzeczyć, że Romaine wywarł negatywny wpływ na twoich rodziców - przemówił wreszcie opat - ale czy to wyłącznie jego wina? Jaka część odpowiedzialności powinna spocząć na twoim ojcu, który bezwzględnie tłumiąc tragedię, stworzył jej wspaniałe warunki do rozwoju? A twoja matka? Na ile powinno się ją winić za trwanie z takim uporem przy bardzo romantycznych, ale potencjalnie szkodliwych i złudnych wspomnieniach swej pierwszej miłości?

- Powiedziała mi, że zawsze miała nadzieję, że wróci - odezwałem się po chwili. - Myśl o tym, jak przez tyle lat czekała, wydaje się tak... - Ale nie dokończyłem.

- Niewątpliwie jest bardzo tragiczna i masz wszelkie prawo odczuwać ból, ale sądę, że powinniśmy się strzec pokusy zakładania, że wszystko dobrze by się skończyło, gdyby doktor Romaine po powrocie do Anglii próbował odnowić ów nieszczęsny romans. Powinniśmy pamiętać, że sam doktor Romaine uważa, że twoja matka miała szczęście nie wychodząc za niego za mąż i powinniśmy też pamiętać, że on znacznie lepiej niż my orientuje się w prawdziwym charakterze ich miłości, a przynajmniej taką mam nadzieję. Podejmując decyzję o trzymaniu się z daleka, próbował robić to, co uważał za dobre nie tylko dla siebie, ale także dla ciebie i twoich

rodziców. Oczywiście, to była smutna decyzja, ale powiedz mi szczerze, czy uważasz ją za niegodziwość?

- Nie. Ale nadal twierdzę, że jest starym, okropnym łajdakiem i go nienawidzę.

Drgnąłem, przeżegnałem się i wyszeptalem:

- Boże, wybacz.

- Powiedz mi - odezwał się nagle Darrow - czy cię przeraził? Często nienawidzimy tego, czego się lękamy.

Milczałem.

- Czy wyprowadził cię z równowagi? Ostatecznie spotkanie do tej pory z nie znanym protoplastą może głęboko człowiekiem wstrząsnąć. Czy istnieje między wami podobieństwo?

Skrzywiłem się.

- Znaczne podobieństwo? - powtórzył Darrow i dodał ze zdumiewającym przeblyskiem intuicji: - Czy to przypominało patrzenie na siebie w lustro?

Zadrzałem do stóp do głów i dłońmi zasłoniłem oczy.

IV

Patrzyłem na niego, a on wyglądał dokładnie tak samo jak ja i musiałem słuchać, jak mówi o pijaństwie, kobietach, jak zmarnował sobie życie... Patrzyłem na niego oczami mego ojca i...

- Wszystko świetnie, Charles, ale przecież masz parę własnych, zupełnie sprawnych oczu. Skorzystaj z nich! Przestań patrzeć na Romaine'a oczami swego ojca i sam go osądź!

Wreszcie odsłoniłem twarz.

- Ale mój ojciec musi mieć rację!

- Dlaczego? Mylił się co do ciebie, już raz uzgodniliśmy, że jesteś znacznie lepszym człowiekiem niż on przyznawał. Czemu więc nie mógłby się przynajmniej częściowo omylić co do Romaine'a?

- Ale Romaine pije... Jego kłopoty z kobietami...
- Tak, to przemawia przeciwko niemu, ale teraz zajrzyj pod maskę pijaka i łobuza, a może dostrzeżesz rys człowieka, którego twój ojciec nie chciał uznać, ponieważ za bardzo był uprzedzony.

Natężyłem się i po dłuższym namyśle mogłem zaryzykować:

- Jako młody człowiek miał ideały. Przez pamięć na swoją matkę chciał ratować inne kobiety, wydające na świat dziecko. Nie dostrzegłem też niczego, co by świadczyło, że jest złym lekarzem wiejskim.

- A więc jego życie zawodowe nie zakończyło się klęską, choć nie udało mu się zrealizować młodzieńczych marzeń.

- Jego osobiste życie też nie było całkowicie nieudane. Miał tę swoją Chinę - i to było chrześcijańskie małżeństwo... Zresztą nadal jest chrześcijaninem...

- Podziwu godne! Mimo wszelkich trudności nie popadł w cynizm ani beznadzieję. Jak sądzisz, czy można powiedzieć, że zachował się wobec ciebie po chrześcijańsku?

Po kolejnej chwili namysłu odparłem:

- Wątpię, żeby świadomie kierował się chrześcijańskimi pobudkami. Nie mogę jednak zaprzeczyć, że był dobry. Ku memu przerażeniu nikczemność Romaine'a zaczynała się rozplywać.

- Wszystko zrozumiał - ciągnąłem rozpaczliwie. - Rozumiał, co czuję wobec ojca. Rozumiał, czemu musiałem poznać przeszłość. I w końcu wydaje mi się, że zrozumiał nawet, że nie umiałem sobie z nim poradzić i musiałem wyjechać.

Dopiero po chwili mogłem znowu podjąć:

- Mimo niechęci, którą czułem niejako w imieniu rodziców, bałem się, że jeśli wypijemy tego szampana, mogę go polubić, a nie mogłem na to pozwolić: okazałbym brak lojalności wobec ojca, a muszę być wobec niego całkowicie lojalny, inaczej umocni się tylko w przekonaniu, że jestem nic niewartym nieudacznikiem, który zejdzie na psy. A póki mój ojciec będzie w to wierzył, będę się czuł zobowiązany do ukrywania się za lśniącą zasłoną, żeby mu się

przypodobać. I w chwili, gdy się za nią znajdę, naprawdę w jednej chwili zejdem na psy...

- Przyznaję, że w tej chwili potrzebujesz całej siły ducha, żeby poradzić sobie z ojcem. Dopóki nie zaakceptuje prawdziwego Charlesa Ashwortha i nie uwierzy, że ten nie zrujnuje sobie życia, lśniąca zasłona nie zniknie. Mam jednak przecucie, że kiedy już uzdrowisz tę trudną relację z ojcem, Charles, nie będziesz już musiał dłużej uważać Romaine'a za starego, okropnego łajdaka.

v

Kiedy już odzyskałem równowagę, zawołałem:

- Co za ironia losu! Po latach uganiania się za ojcowskimi figurami, mam teraz dwóch ojców, którzy walczą o moje względy!

Darrow się roześmiał, a potem dodał:

- Doskonale, zostawmy na chwilę Romaine'a i wróćmy do twojego ojca. Przedstaw swój kolejny plan bitwy.

- Jutro jadę na dwa dni do Epsom, aczkolwiek spodziewam się, że rozpęta się tam istne piekło, bo gdy tylko ojciec dowie się, że się spotkałem z Romainem, zrobi się zazdrosny, nie do wytrzymania.

- Sądzę, że rzeczywiście twój ojciec może odczuwać pokusę nieprzyjemnego zachowania, jeśli nie jest pewien twoich uczuć względem niego, ale musisz być zdecydowany, Charles. Masz obowiązek być dla niego dobry, ale pod żadnym pozorem nie wolno ci dopuścić, by ci dyktował, z kim masz utrzymywać znajomość, a z kim nie.

W całej tej wypowiedzi uderzył mnie jeden fragment, który tak mnie zdumiał, że powtórzyłem z niedowierzaniem:

- Nie jest pewien? Nie znam nikogo równie pewnego jak mój ojciec! Doskonale zdaje sobie sprawę, jaką nade mną posiada władzę!

- O niczym takim nie wie. Wie tylko, że ty posiadasz nad nim ogromną władzę. Traktuje cię jak nadanie racji bytu jego trudnemu małżeństwu. Stanowisz dla niego dowód, czy udało mu się czy też nie zostać idealnym ojcem. Każdy twój ruch ma dla niego szalone znaczenie. Przez ostatnie miesiące trzymałeś się od niego z daleka. A teraz wydaje mu się, że odchodzisz w siną dal ręką w rękę z Romaine'em. Twój ojciec jest przerażony. Słusznie zdiagnozowałaś, że czuje zazdrość, ale jej źródłem nie jest małostkowa niechęć, Charles. Jest nim obezwładniający strach, że zostanie odrzucony dla jakiegoś bardziej błyskotliwego nieznajomego, tak jak to już raz zrobiła twoja matka.
- Ale w czasie naszego ostatniego spotkania całe moje wysiłki miały służyć upewnieniu go, że nadal będę się uważał za jego syna!
- Nie potrafi uwierzyć, że mówisz prawdę. Przerażenie odbiera mu rozsądek. Co więcej, zdaje się, że twój ojciec śmiertelnie boi się teraz dwóch rzeczy: po pierwsze, że całkowicie go odrzucisz, wybierając Romaine'a, po drugie zaś, że spełni się jego koszmarna wizja i zejdziesz na psy - a to sprawia, że lśniaca zasłona nie umiera. Sądzę, że w końcu uda ci się go uspokoić co do Romaine'a, jednak druga obawa stanowi poważniejszy problem, bo choćbyś nie wiem ile razy go zapewniał, że nie zejdziesz na psy, on nigdy ci nie uwierzy. Sądzę, że potrzebny mu ktoś spoza rodziny, by wreszcie go uspokoić.
- Gdyby tylko udało mi się go namówić, żeby się z ojcem spotkał! Na razie jednak, jak mam sobie radzić z tym biednym, starym lichem, kiedy znajdę się jutro w Epsom?
- Włączmy do naszego planu batalii także i twoją matkę - ciągle o niej zapominamy, a jej także brak pewności, prawda, Charles? Nieustannie lęka się, że stanowi dla ciebie ciężar, że cię nudzi, boi się, że nie kochasz jej nawet w połowie tak mocno, jak ona ciebie. Oto masz dwoje ludzi, którym potrzeba dokładnie tego samego: utwierdzenia. Musisz im okazać, że naprawdę ich kochasz, choć równocześnie nie wolno ci ich rozpuszczać, Charles. Musisz być sobą, nie idealnym synem od lśniacej zasłony. Bądź sobą, kochaj ich, mów prawdę

- a wtedy staniesz się o wiele lepszym synem niż najlepsza lśniąca zasłona.

- Módl się za mnie, ojczy...

To błaganie było wszystkim, na co się mogłem zdobyć.

- Oczywiście.

VI

Następnego ranka otrzymałem list ze Starvale St James.

„Drogi doktorze Ashworth”, skreślił Romaine pochyłym, niewyraźnym pismem. „Oczywiście, nigdy bym się na coś takiego nie zdobył, ale Księżka matka mówiła, że odbierze sobie życie. Nie mogłem przyglądać się temu w milczeniu. To była straszna chwila, tak straszna, że żadne z nas nie odpowiadało za słowa, które wtedy padły. Błagam, niech Ksiądz się chociaż nad nami ulituje, nad naszym przerażeniem i wstydem, nawet jeśli nie może w tej chwili tego wybaczyć. Oczywiście, nic, co wyżej napisałem nie ujmuje szlachetności wspaniałemu czynowi Księżka ojca, który uratował Księżka matkę od tragedii - czynowi, który w ostatecznym rozliczeniu został hojnie nagrodzony Księżka niezachwianą lojalnością i oddaniem. Proszę, niech mi Ksiądz uwierzy, kiedy piszę, że nie robię tego po to, by zająć jego miejsce w Księżka sercu. To, z czego zresztą doskonale sobie zdaję sprawę, byłoby niemożliwe. Mam jedynie nadzieję na okazjonalne spotkanie i możliwość nieco lepszego poznania Księżka.

Przypuszczam, że sądzi Ksiądz, że zbyt bezwzględnie wymazałem Jego i Jego matkę z pamięci, czasem jednak trzeba być bezwzględnym, by uniknąć dalszych cierpień. Trzydzieści osiem lat temu omal nie zrujnowałem życia Księżka matce. Swoje na pewno przez wiele lat niszczyłem. W takiej sytuacji jak mogłem później podejmować kroki, jeśli istniało choćby najmniejsze ryzyko, że jeszcze bardziej powiększę cierpienia, które spowodowałem? Oczywiście, po powrocie do Anglii chciałem Księżka zobaczyć, ale uważałem, że straciłem po temu prawo. Uważałem, że musi mi wystarczyć świadomość, że jest

Ksiądz bezpieczny z matką, która niewątpliwie Go kocha i że dorasta Ksiądz w dobrym domu, wychowywany przez mężczyznę, o którym wiedziałem, że jest uczciwy i szlachetny. Już samo to graniczyło z cudem i myśl, że w takiej sytuacji miałbym zgłaszać jakiekolwiek pretensje do Księdza czy Księdza matki wydawała się nie tylko skrajnie egoistyczna, ale wręcz bezbożna, ponieważ w ten sposób gardziłbym Bożą łaską. Dlatego trzymałem się z daleka i jestem pewny, że dobrze uczyniłem, ale nie może Ksiądz myśleć, że ta decyzja przyszła mi lekko ani że łatwo o niej zapomniałem. Niecierpliwie wyglądam chwili, kiedy będę mógł we wrześniu wysłuchać Księdza nauki. Serdecznie pozdrawiam i zapewniam, że zawsze pozostanę szczerze oddany. Alan Romaine".

Przeczytałem list dwukrotnie. Potem zdjąłem koloratkę, zapaliłem papierosa i przeczytałem jeszcze raz. Wreszcie, po wielu nieudanych próbach, napisałem:

„Drogi Doktorze Romaine. Dziękuję za pełen dobroci oraz zrozumienia list, w którym było znacznie więcej dobroci i zrozumienia niż na to zasługiwałem po moim dziwacznym, wtorkowym zachowaniu. Proszę, niech mi Pan wybaczy ból, który zapewne Mu sprawiłem i proszę, by mi Pan uwierzył, kiedy piszę, że ja także niecierpliwie wyglądam naszego wrześniowego spotkania, kiedy, mam nadzieję, przekonam Pana, że nie jestem ani taki nudny, ani źle wychowany, jak słusznie mógł Pan podejrzewać po naszym spotkaniu. Szczerze oddany..."

Zawahałem się, myśląc, jak się podpisać. Wreszcie zacisnąłem zęby i uznałem naszą znajomość, omijając nazwisko i popisując się samym imieniem: „Charles".

VII

...**No** i oczywiście uznałeś, że jest wspaniały - stwierdził ojciec, z wściekłością przywiązując krzak pomidora do palika.

- Jesteś w błędzie, ojcze. Nasze spotkanie głęboko mnie zasmuciło, a jeśli nie wierzysz, pojedź do Cambridge i spytaj ojca Darrowa.

- Nie mogę zostawić roślin - odparł automatycznie ojciec, ale jednym tchem dodał: - Nie wierzę, żeby ten zwariowany mnich mógł pochwalać to idiotyczne kumanie się z Romainem!
- Rzeczywiście, przypomniał mi o moich obowiązkach względem ciebie...
- Mam nadzieję! Trzydzieści siedem lat harowałem...
- Ale powiedział też...
- Nie chcę wiedzieć, co jeszcze powiedział. Nie podoba mi się ten twój mnich, moim zdaniem ma na ciebie zły wpływ. No, ruszajmy już, Charles, przestań wisieć nad doniczkami i sprawdźmy, czy matka przyrządziła już kolejną porcję tych swoich obrzydliwych koktajli. Pozostaje mi jedynie ufać, że nie zmarnowała kolejnej butelki szampana...

VIII

To dziwne - powiedziała matka, kiedy ojciec poszedł się przebrać - ale twoja wizyta w ubiegłą sobotę wyszła mu na dobre, był znacznie znośniejszy, a kiedy on jest znośniejszy i mnie się robi lepiej. Po prostu nie wytrzymuję mieszkania pod jednym dachem z ponurakiem, który wygląda, jakby się rozglądał za trumną. Wreszcie jednak zaczął się zachowywać, jakby postanowił jeszcze trochę pożyć... Kochanie... - Zawahała się i dodała pospiesznie: -...czy coś się stało? Sądzę, że coś się musiało wydarzyć. Wydajesz się jakiś inny... starszy... mądrzejszy... łagodniejszy... Och, Charles, czyżbyś się znowu zakochał? Ojciec by się gniewał, gdyby wiedział, że cię męczę wścibskimi pytaniami, ale tak bardzo bym chciała, żebyś znowu był szczęśliwy z jakąś miłą dziewczyną...

- Rzeczywiście, mam kogoś, ale, proszę, na razie nikomu o tym nie mów, bo z tego może nic nie być. Istnieją bardzo poważne przeszkody.
- Och, nie puszczę pary z ust!

Była wzruszająco rozradowana, że jej się zwierzyłem.

- Kochanie, mam taką nadzieję, że wszystko się dobrze ułoży! Wiem, że nie jest ani rozwódką, ani mężatką, bo przecież, jako duchowny, w ogóle byś nie zwrócił uwagi na taką kobietą, prawda? Ale może nie potrafi zapomnieć swojej pierwszej miłości, tak jak i ja?

Uśmiechnąłem się.

- Może.

- To było takie dziwne, kiedy w ostatnią sobotę poruszyłeś ten temat i nalegałeś, bym dalej opowiadała. Czułam się prawie tak... prawie tak... Ale nie, ponosi mnie wyobraźnia; kiedy jednak jeszcze raz zastanawiałam się nad naszą rozmową, naprawdę miałam wrażenie, jakbyś...

Długo popatrzyliśmy sobie w oczy.

- ...jakbyś już wiedział - dokończyła matka i kiedy w moim spojrzeniu wyczytała odpowiedź, podszedłem do niej i objąłem.

IX

Nie mogę w to uwierzyć. Mówisz, że naprawdę go widziałeś? Widziałeś go? Ale co on powiedział, jak to wyglądało, czy pytał

O mnie?

- Tak, powiedział, że jest pewien, że zachowałaś swoją urodę...

- Och, muszę go zobaczyć! - zawołała matka. - Muszę!

I pomyśleć, że on żyje! I do tego mieszka w Anglii! Czy dopiero co wrócił?

- Cóż, niedokładnie tak...

- Jak go odnalazłeś? Był w rejestrze lekarzy? Początkowo szukałam jego nazwiska z każdym kolejnym wydaniem, ale wreszcie powiedziałam sobie, że to nie ma sensu.. Taka byłam pewna, że się ze mną skontaktuje, jeśli kiedyś wróci, a teraz gdy już wiem, że wreszcie jest... i pyta o mnie...

- Kochana mamo, proszę, dla twojego własnego dobra, nie

oddawaj się romantycznym domysłom! Ma żonę, zamaszystą blondynkę z akcentem z Lancashire i jestem pewien, że ona nie przywitałaby cię mile...

- Czy ucieszył się na twój widok? Tak bardzo go przypominasz! Och, musiał być ogromnie poruszony i przejęty... Chyba się rozplącę

- powiedziała matka i rzeczywiście zalała się łzami.

Ciągle jeszcze próbowałem uciszyć wzburzoną falę kobiecych uczuć, kiedy drzwi się otworzyły i do salonu wszedł ojciec. - Na Boga! - zawołał, widząc szlochającą matkę. - Chcesz chłopaka utopić? Obrzydliwe! Weź się w garść, durna babo, i zachowuj jak należy! Co tu, u licha, się w ogóle dzieje? Matka zaszlochała jeszcze głośniejsze i poczułem się w obowiązku pocałować ją, zanim zwrócę się do ojca. - Bardzo przepraszam, ojciec, ale odgadła, że znałem prawdę i właśnie opowiedziałem jej o spotkaniu z Romainem.

- Przeklęty głupcze! - zawołał ojciec purpurowy z wściekłości.

- Jak śmiesz tak lekceważyć moje zakazy!

- Zamknij się! - wrzasnęła matka. - Mam dość! Nie będziesz go traktował okrutnie tylko dlatego, że jest podobny do swojego ojca!

- Moim ojcem - powiedziałem - jest człowiek, który stoi tutaj i zachowuje się jak nierozsądne, zazdrosne dziecko. A teraz posłuchajcie oboje... - W życiu nie słyszałem równej bezczelności!

- Uspokój się, ojciec i posłuchaj. Alan Romaine...

- Nie pozwolę, by w mojej obecności wymieniano to nazwisko!

- ...ALAN ROMAINÉ - przekrzyczałem go - nie zaznał w życiu wiele szczęścia, nieraz był głęboko nieszczęśliwy. To prawdziwa szkoda, że nie możecie się z nim spotkać i przekonać się, ile, w porównaniu z nim, mieliście szczęścia. A nie spotkacie się z nim, bo ostatnimi osobami, które pragnąłby widzieć są państwo Ashworthowie. - Charles... Charles...

- Przykro mi, mamo, ale nadeszła chwila, by skończyć z fantazjowaniem, a spojrzeć prawdzie w oczy. Romaine nie chce cię

widzieć. To co się między wami wydarzyło,omal go nie zrujnowało i jestem pewien, że ostatnią rzeczą, jakiej by chciał, to wskrzesić z martwych te bolesne wspomnienia w czasie jakiegoś strasznego spotkania.

- Twoja matka nie zniesie takiego tonu, Charles... Zabijesz ją.
- Bzdury. Oszczędzam jej mnóstwo bólu rozwiewając jej złudzenia, że Romaine ucieszyłby się teraz na jej widok. Chcę też zburzyć kolejny mit, ojciec, a mianowicie przekonanie, że jestem wiernym odbiciem Romaine'a. Otóż nie jestem. Jestem sobą. A kolejnym złudzeniem, które chcę zniszczyć...
- Okropnie mi słabo, Erie... - odezwała się matka.
- Masz, wypij trochę tego obrzydlistwa, które przygotowałaś.
- Koniak... Muszę się napić koniaku... Ojciec posłusznie ruszył po stosowną karafkę.
- Charles, wyjmij z szafki kieliszek i przestań się kłócić. Wyjąłem odpowiedni kieliszek.
- Trzecim mitem, z którym chcę się rozprawić...
- Zamknij się - powiedział ojciec, wydzierając mi kieliszek i nalewając hojnie koniaku - albo ja się zaraz rozprawię z tobą. Proszę, kochanie - zwrócił się do żony, wciskając jej kieliszek w dłoń. - Nie zwracaj uwagi na tego głuptasa. Ma jak najlepsze chęci, ale zachowuje się niczym słoń w składzie z porcelaną. To szok. Jeszcze się nie przyzwyczał do myśli o Romainie. Na moment postradał zmysły.
- Kolejnym mitem, z którym chcę się rozprawić, póki jestem chwilowo niespełna rozumu, to przekonanie, że odwrócę się od ciebie i wszystko poświęcę dla Romaine'a. To nieprawda. Niezależnie od tego, co się wydarzy między mną a Romainem, ty i mama pozostajecie moimi rodzicami i nie przestanę was kochać tylko dlatego że...
- Na miłość boską, przestań gadać jak jakiś przeklęty nie-Anglik, Charles! Nic dziwnego, że matka wygląda, jakby miała lada chwila się wyrzygać.
- Co złego w mówieniu o miłości?

- Obrzydliwy, nieangielski sentymentalizm...
 - Czy jednak nie oszczędziłoby to nam wielu nieporozumień w przyszłości, gdybym powiedział jasno, że oboje was ogromnie Kocham...
 - Zaraz się wyrzyga, Charles i, na Boga, nie wiń mnie... Szybko, weź puchar, tę srebrną wazę...
 - Nie puchar - szepnęła matka. - Ada właśnie go wypolerowała...
 - Proszę, nie zwracaj sobie głowy jazdą do Rygi, mam - uspokajałem ją, podając srebrny puchar zdobyty za zwycięstwo w golfa, pewny, że nie ośmieliłaby się zniszczyć ciężkiej pracy Ady - bo jeśli to sobie dokładnie przemyślisz, zdasz sobie sprawę, o ile zdrowiej jest żyć w atmosferze prawdy, niż w atmosferze kłamstw, zagrożenia, wśród demonów przeszłości. Poza tym sądzę, że nadszedł czas, byście przestali myśleć, ile wy wycierpieliście przez Romaine'a i dla odmiany zajęli się mną. Ja też cierpiałem i chcę, byście odrzucili obu Romaine'ów. Mówiąc: obu mam na myśli, nie tylko prawdziwego Romaine'a, zgnębnego starego lekarza z nieszczęśliwą przeszłością, ale i mitycznego Romaine'a, tego błyskotliwego lekarza o wspaniałych perspektywach, które nigdy nie zostały zrealizowane. Owego mitycznego Romaine'a musicie wreszcie raz na zawsze pogrzebać w swoich myślach, zaś prawdziwy Romaine musi być pozostawiony w spokoju, daleko, w Starvale St James, razem z żoną blondynką i podwójnymi szklankami whisky, bo nie zamierzam dłużej godzić się, żeby psuł moją więź z wami i psuł waszą wzajemną relację. Wystarczająco długo wisiał nad tą rodziną i nadszedł moment, kiedy nalegam, by ostatecznie odszedł. Już go tu nie ma. Koniec. Finito. A teraz idę z moim wytrawnym martini do ogrodu, a kiedy wrócę, oczekuję, że oboje weźmiecie się już w garść - jeśli nie dla waszego, to chociaż dla mojego dobra. Ruszamy, Nelson, możesz się ze mną wybrać na kort, zobaczymy, co tam słychać.
- I zostawiwszy zdruzgotanych, oniemiałych rodziców, wyszedłem z domu wraz z labradorem, który człapał przy mojej nodze, kierując się do ogrodu.

X

W końcu to właśnie ja zwymiotowałem. Przebiegłem przez trawiasty kort, ukryłem się za cisowym żywopłotem i zrzuciłem całe śniadanie na kwietnik. Nelson przyglądał mi się z zaciekawieniem, ale nie wydawał się zaskoczony. Ja zaś tak. Nie wymiotowałem ze zdenerwowania od dnia, kiedy w wieku ośmiu lat wyjeżdżałem z domu, by rozpocząć naukę w szkole z internatem. Wylawszy resztę wytrawnego martini, nogą przysypałem bałagan, opadłem na ławkę z widokiem na kort tenisowy i zapaliłem papierosa. Zastanawiałem się, czy scena w salonie była moim triumfem czy klęską, czy też zwykłym przejawem złego gustu, gdzie wzniosłość mieszała się ze śmiesznością, zdałem sobie jednak sprawę, że liczy się jedynie, czy rodzice zrozumieli, co im chciałem przekazać. Dalej paliłem papierosa, od czasu do czasu się wzdrygując. Nie pojmowałem, jak ludzie wytrzymują ze swoimi rodzinami.

Właśnie rozważałem, czy nie powinienem już wrócić do domu, kiedy zobaczyłem ojca, idącego ku mnie po trawie. Ruszając mu na spotkanie, uświadomiłem sobie, że dokładnie tak samo musiał się czuć Romaine, kiedy wchodził do salonu, żeby mnie powitać; pozornie swobodny, w duchu byłem spięty, udawałem pewność siebie, ale ścisnął mnie strach, że nadchodzące spotkanie może się zakończyć dla mnie klęską.

- Miło . widzieć, że trochę się uspokoiłeś po tym szokującym przedstawieniu - odezwał się ojciec, kiedy wreszcie się spotkaliśmy na korcie przy siatce. - Dzięki temu ośmielałem się żywić nadzieję, że nie całkiem zwariowałeś. A teraz posłuchaj mnie, Charles. Rozmówiliśmy się z matką i przyznajemy ci rację, tak że nie musisz się dalej gnębić ani wykrzykiwać na cały głos, że nas kochasz. Bardzo krępujące. Niewłaściwe.

- Tak, ojczu. Chciałem tylko żebyście nie mieli żadnych wątpliwości...

- Nie mamy. A teraz posłuchaj, co z matką zdecydowaliśmy:

będziemy żyli dokładnie tak samo jak do tej pory. Oczywiście, nie wrócimy więcej do tej sprawy...

- Drogi ojcze...

- ...ale tylko dlatego, że nie ma już takiej potrzeby - wszystko zostało powiedziane. Tak więc, choć będziemy żyli jak przedtem, wszystko się zmieni.

- Cóż, to już brzmi bardziej obiecująco, ale...

- Przykro mi, Charles, ale razem z matką zgodziłem się, że choć bardzo się cieszymy, że straciłeś na chwilę rozsądek i powiedziałeś, co myślisz, naprawdę wolelibyśmy, żeby to więcej się nie powtórzyło.

- Ale jak będziecie sobie ze sobą radzili, kiedy mnie nie będzie? Nie sądzisz, że powinniśmy raczej...

- Czyżbyś zamierzał ważyć się na niewybaczalną arogancję i śmiać mi radzić, jak mam kierować swoim małżeństwem? Pozwól, że ci przypomnę, że żyjemy razem od trzydziestu ośmiu lat, więc widać coś nam się jednak udaje! Znam twoją matkę o wiele lepiej niż ty, Charles, i powiadam ci, ostatnią rzeczą, której pragnie, to grzebać się w przeszłości w imię prawdy. A czego naprawdę chce - dodał ojciec z powagą - to żebyś od czasu do czasu okazał jej trochę czułości, by poczuła, że choć zbliża się do sześćdziesiątki, nie nadaje się jeszcze na złom. Co prawda wygląda na to, że, chwała Bogu, sam na to wpadłeś, więc nie mam nic więcej do powiedzenia w tej sprawie. Widać wcześniej nie zdawałeś sobie z tego sprawy, ale czuła się ogromnie samotna, gdy zamykałeś się z swojej wieży z kości słoniowej, a kiedy przestałeś nas odwiedzać, oczywiście, cała wina spadła na mnie. Nic dziwnego, że popadłem w depresję! Kto by nie popadł, gdyby żona chodziła przygnębiona, a syn traktował rodziców, jakby się nadawali wyłącznie na śmietnik?

- Naprawdę, ojcze, bardzo żałuję tamtego ochłodzenia naszych stosunków...

- Oczywiście, że żałujesz. Ja też. Gdybyśmy nie żalowali, nie rozmawialibyśmy teraz ze sobą. Ale, Charles, jeśli naprawdę chcesz

zadośćuczynić za to, że omal mnie nie wpędziłeś do grobu, umyj ręce od tego przeklętego Romaine'a, zanim zrujnuje twoje życie, złamie ci karierę i sprowadzi na złą drogę!

- Och, na miłość boską...
- A co na temat Romaine'a mówi ten twój mnich? Nie uwierzę, że pochwała to odgrzebywanie dawno umarłej przeszłości, ale z drugiej strony pewnie jest na tyle szalony, że wszystko pochwała. Czy to on cię namówił do tego przedstawienia dzisiaj?
- Powiedział mi, żebym postępował zdecydowanie, był sobą, okazał wam miłość i mówił prawdę. Czy to grzech?
- Omal nie zabił twojej matki. Mówiąc szczerze, ja sam się czułem trochę niezręcznie. Myślę, że chyba-jednak będę musiał się wybrać do Cambridge i zrobić z tym mnichem porządek. Zaczynam się go śmiertelnie bać.
- A co z twoimi roślinami? Ojciec schylił się i poklepał Nelsona.
- Peter może się nimi zająć przez dzień czy dwa. Oczywiście, będę musiał mu zostawić bardzo szczegółowe instrukcje, ale chyba wszystkie nie powiędną, prawda? Niektóre muszą wytrzymać. Rozpoznałem nie znaną nutę optymizmu i wiedziałem, że wszystko obraca się na lepsze. Też się schyliłem i poklepałem Nelsona, ale powiedziałem jedynie:
- Zarezerwuję dla was pokój w „Blue Boar”.

XI

Po lunchu, kiedy ojciec schronił się w oranżerii, zwróciłem się do matki:

- Wybacz, że byłem taki brutalny, kiedy mówiłem o Romainie, ale nie wiedziałem co robić, jak poradzić sobie z ojcem.
- Tak, ja sama w końcu zdałam sobie z tego sprawę. Objąłem ją i przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

- Czy jego żona jest przystojna? - spytała w końcu. - Blondynka z akcentem z Lancashire brzmi dość okropnie, a ja nie potrafię sobie wyobrazić, żeby Alan mógł się ożenić z kimś pospolicym!

- To dlatego, że wyobrażasz go sobie takim, jakim był. Mamo, doskonale rozumiem, jak bardzo chciałabyś go zobaczyć, ale naprawdę wydaje mi się...

- Och, skoro on nie chce się ze mną spotkać, ja też nie chcę - zapewniła pospiesznie. - To byłoby okropne, takie upokarzające...

- Jestem pewien, że on też nieraz pragnął cię znowu zobaczyć, ale może lepiej niż ty rozumie, ile to mogłoby przynieść bólu. Jak naprawdę wyglądałoby wasze spotkanie? Jak byś się wtedy czuła? Czy byłoby romantycznie? Czy też jeszcze bardziej pogłębiłoby ono waszą tragedię i sprawiło, że znienawidziłabyś nawet swoje wspomnienia, które są ci tak ;irogie?

W milczeniu próbowała ogarnąć sytuację i kiedy zobaczyłem, że wreszcie dała spokój złudzeniom, próbowałem znaleźć słowa, które by ją pocieszyły.

- Przynajmniej będziesz go pamiętać takim, jakim był - powiedziałem. - I nadal zachowasz drogie wspomnienia.

Skinęła głową.

- Myślę, że ty wcześniej poznałeś prawdę, kiedy mówiłeś o dwóch Alanach. To tak jakby Alan, którego kochałam, zmarł, a dzisiejszy Alan był kimś zupełnie innym.

- Tak, choć to brzmi smutno, ale...

- Życie nieraz bywa smutne, prawda? Ale nic to, przeżyłam swój wielki romans, tego nikt mi nie odbierze i mam ciebie, pamiątkę po nim. Kochany Charles - powiedziała, kiedy mocniej ją objąłem - jakież dobry był dla Erica, traktując go dokładnie tak, jakby był twoim prawdziwym ojcem. Nikt lepiej niż ja nie wie, jakim trudnym jest człowiekiem, ale, wiesz, teraz już sobie poradzi, jeśli tylko od czasu do czasu okażesz mu odrobinę dobroci.

Pocałowałem ją i obiecałem być dobry.

XII

Rodzice przyjechali do Cambridge pociągiem w ostatni piątek sierpnia i zamieszkali na mój koszt w „Blue Boar”. Po sobotnim lunchu, matka pokornie wycofała się do pokoju na drzemkę, a ja zawiozłem ojca do Grantchester; wcześniej, na boku wyjaśniłem jej, czemu jest takie ważne, żeby ojciec zamienił na osobności słowo z Darrowem.

- Chyba nie zagościmy tam długo, prawda? - spytał niespokojnie ojciec, kiedy wyjechaliśmy z Cambridge. - Nie chcę tam być długo, co więcej, w ogóle żałuję, że tam jedziemy. - I dodał kłótliwie: - Nie wiem, czemu dałem ci się namówić na tę wizytę, Charles.

- Ojczy, sam, z własnej woli wyraziłeś chęć...

- Musiałem stracić rozum.

Spotkaliśmy opata w reprezentacyjnej rozmównicy i kiedy zabrał ojca, żeby mu pokazać ogród, na dziesięć minut poszedłem do kaplicy, by się pomodlić. Później dołączyli do mnie w pokoju opata.

Ojciec wyglądał niezwykle spokojnie, ale Darrow wyglądał łagodnie jak zawsze.

- Interesujący chłop - powiedział ojciec w drodze powrotnej do Cambridge. - Służył w marynarce.

Omam nie utonął w czasie bitwy o Półwysep Jutlandzki. Po wojnie poszedł do więzienia, gdzie wieszali morderców. Jest przeciwny karze śmierci. Bardzo interesujący. Początkowo nie podobało mu się bycie zakonikiem. Mówił, że po latach bycia panem siebie, nie znośił, kiedy inni nim rządzili.

Najpierw był w Grantchester, ale wywalili go na ich farmę w Yorku, bo uważali, że ma zbyt wysokie mniemanie o sobie i trzeba mu przytrzeć nosa. Mówił, że nie znośił dojenia krów, ale lubił stolarkę.

Spytałem, czemu mimo to został, a on odparł, że wiedział, że tylko w ten sposób może służyć Bogu, skoro już dłużej nie musiał troszczyć się o dzieci., Mówił, że to jedna z takich sytuacji, kiedy człowiek czuje, że absolutnie nie ma wyboru i musi podjąć określone działanie. Przypomniało mi się, jak postanowiłem ożenić się z twoją

matką. Interesujące. Bardzo interesujące... Oczywiście, ma nie po kolei w głowie, ale w bardzo ciekawy sposób. Wiedziałeś, że jego syn jest aktorem?

- Drogi ojciec, czy ty zdajesz sobie sprawę, że w czasie półgodzinnej wizyty dowiedziałeś się o nim więcej niż ja po wielu godzinach rozmów?

- Rozmawialiśmy o swoich synach i o tym jak cholernie jest być ojcem. Mówił, że kiedyś się zamartwiał o Martina - to jego syn - że chłopak zejdzie na psy. Śliski zawód, aktorstwo. Spytałem, czy nadal się o niego niepokoi. Odpowiedział: „Nie, dałem temu spokój pięć lat temu, kiedy mnie odwiedził i powiedział, że dostał niewielką rolę w sztuce granej w West Endzie. Pomyślałem: «Oto mój chłopiec, dobrze sobie radzi, zadowolony, często mnie odwiedza. Po co mam sam siebie zadreczać, wyobrażając dekadencje życia, którego wcale nie musi wieść»". Darrow powiedział, że nadal zdarza mu się od czasu do czasu ukłucie niepokoju, jak przelotny ból zęba, ale to nic w porównaniu z mękami, które cierpiał. Bardzo interesujące. Ogromnie interesujący chłop. Dał mi co nieco do myślenia, muszę przyznać.

Ojciec umiął. Czekałem. Dłonie zacisnąłem na kierownicy, wzrok utkwilem w drodze. Po chwili ojciec odezwał się jakby od niechcienia:

- Oczywiście, wspomnieliśmy też o tobie, ale tylko przelotnie, wiele nie rozmawialiśmy. Naturalnie powiedziałem, jak bardzo mnie niepokoi to twoje grzebanie, odkopywanie człowieka, o którym wiem, że to absolutna kanalia, ale Darrow odparł tylko: „Niepokój pochłania ogromnie wiele czasu i energii. Jest pan zupełnie pewien, że nie można ich wykorzystać w lepszy sposób?” „Jak?”, spytałem. „Niech mu pan zaufa i niech mu pan to okaże”, brzmiała jego odpowiedź. „Jak?”, spytałem ponownie. „Niech mu pan pozwoli odkopać kanał. Może mu pan zaufać, że z powrotem zakopie kości”. Ale ja powiedziałem: „A jeśli tylko wszystko zepsuje?” I wiesz co Darrow na to? „To pana chłopiec. To pan go wychował. Dzięki panu jest tym, kim jest. Czemu miałby wszystko popsuć?”

I wiesz, kiedy to tak ujął, nie miałem odpowiedzi. Mruknąłem coś w stylu „Cóż, jeśli postradał zmysły, wszystko może się zdarzyć”, ale Darrow wyjaśnił, że znalazłeś się w takim stanie przede wszystkim dlatego, że sobie nie ufałeś. „Ale jeśli pan mu zaufa”, mówił, „wtedy uwierzy, że jest godny zaufania i wszystko samo się naprostuje. Rodzice wywierają ogromny wpływ na swoje dzieci i dlatego na nas, ojcach, spoczywa moralny obowiązek dopilnowania nie tylko by nasze sądy były słuszne, ale także by owe słuszne sądy były całkowicie jasne”. Ogromnie interesujący chłop. Szkoda go na mnicha, oczywiście. Marnuje się. Prawdziwa tragedia. Nadawałby się na prawnika. Już widzę, jak radzi sobie z klientami i zgłasza interesujące wnioski na spotkaniach rodzicielskich.

W ustach ojca był to wyraz najwyższego uznania. Ogarnął mnie taki podziw dla umiejętności Darrowa, że omal nie przegapiłem skreślenia do Laud's.

- Cóż, chwała Bogu, że nie jesteś aktorem, Charles - powiedział ojciec, kiedy dojeżdżaliśmy do college'u. - Wtedy naprawdę miałbym powody do niepokoju, prawda? Ale skoro jesteś księdzem, to myślę, że mogę chyba się uspokoić i pozwolić ci robić, co chcesz. W końcu, mimo wszystko, udało ci się wyrosnąć na rozsądnego człowieka, a jeśli ten interesujący, szalony mnich będzie cię trzymał w ryzach, nie widzę, czemu wszystko nie miało by się dobrze skończyć.

Tak zakończył się żywot lśniącej zasłony. Konała i, przypominając sobie porównanie Darrowa, widziałem, jak cały chwast wraz z wyrwanymi korzeniami zaczyna schnąć na słońcu.

Jakoś udało mi się zaparkować na dziedzińcu przed college'em.

- Dziękuję, ojciec - przemówiłem.

Chciałem powiedzieć więcej, ale słowa nie przechodziły mi przez gardło, a lśniąca zasłona wysychała, już niepotrzebna, umierała na każdym poziomie mojej świadomości.

- No, no, tylko nie zaczynaj mi się znowu zachowywać jak jakiś obrzydliwy nie-Anglik, bo moje nerwy tego nie wytrzymają. A naj-

lepiej zaprowadź mnie w tej chwili do siebie i daj porządnej, mocnej whisky, zanim całkiem się rozkleję. Bóg mi świadkiem, nie co dzień spotykam szalonych mnichów.

Lśniaca zasłona całkowicie zniknęła, ale nie traciłem czasu na odmawianie *requiescat* nad trupem.

Uśmiechnąłem się do ojca.

- Myślę, że obu nam się przyda coś do picia - powiedziałem i zgodnie ruszyliśmy do mojego mieszkania.

XIII

Żałuję tylko - przyznałem się później Darrowowi - że nie mogłem się schować za jakimś krzakiem i być świadkiem cudów, które działał ojciec z moim ojcem.

- Jakich znowu cudów? - spytał opat z rozbawieniem. - To był łatwy przypadek: prosty, przyzwoity człowiek i niegłupi, który płał chęcią naprawienia szkody. Oczywiście, nie twierdzą, że rozwiązałem wszystkie jego problemy, ale przynajmniej wskazałem mu nowy sposób podejścia do problemu, który najbardziej go gnębił... A skoro mowa o Romainie, czy nadal niepokoisz się przed jego wizytą w Cambridge w przyszłym tygodniu?

- Tak, choć teraz, kiedy już nie muszę całej energii kierować na przekonywanie ojca, że nie zejdem na psy, pojawiła się szansa, że przeżyję.

- Romaine może z pewnością poważnie nadszarpnąć twoje nowe zapasy sił - ostrzegł lojalnie Darrow.

- Sądzę, że odrobina niepokoju jest tu na miejscu.

- Wolałbym, żeby nie przyjechał.

- Pociesz się, że na pewno będzie się bardzo starał, żeby wasze spotkanie zakończyło się sukcesem.

- Właśnie tego się boję. Jeśli to okaże się sukcesem, co mam z nim zrobić później? Nadal nie wiem, jak miałbym go wpasować w swoje życie.

- O to się będziesz martwił później. Sytuacja sama może się wyjaśnić, kiedy porozmawiacie w niedzielę.

Rozdział jedenasty

„Przyjaźń, niezależnie od tego jak się narodziła, to podróż w nieznaną, pełną niebezpieczeństw i niespodzianek”.

More Letteres of Herbert Hensley Henson, zebr. E. F. Braley

I

Romaine przysłał krótki list, w którym zawiadamiał, że ma nadzieję dotrzeć do hotelu w sobotę wieczorem, ale nie oczekuje spotkania ze mną wcześniej niż po niedzielnym nabożeństwie. Wiele czasu spędziłem, zastanawiając się, czy powinienem wpaść do hotelu i zaprosić Romaine'a na drinka, uznałem jednak, że okazałem dość gościnności, zapraszając go na obiad w niedzielę. Jednak doszedłszy do tego wniosku, poczułem się takim draniem, że dopilnowałem, żeby po przyjeździe znalazł w pokoju butelkę whisky. Ledwie to załatwiłem, ogarnęły mnie wyrzuty sumienia, że prowokuję pijaka.

Nękany przez tę wykańczającą psychiczną gimnastykę, zacząłem szykować kazanie. Mozoliłem się, konstruując, jak ufałem, homiletyczny majstersztyk, ale nieustannie ogarniały mnie wątpliwości. Czy nie za dużo niejasnych skojarzeń? Czy nie zabrzmiałoby to rozpaczliwie kołtuńsko? Czy moje tezy sprowokują do myślenia na tyle, że chórzyści nie będą pochrząkiwali z nudów, a starsi czciciele chrapali

rozgłośnię? Świeccy nie mają pojęcia, jakie męki przeżywają kapłani, gdy rozpoczynają zmagania o przekazanie słowa Bożego. Nawet duchownemu może być trudno zrozumieć, jakie katusze cierpiałem, próbując przekazać słowo Boże nie tylko wiernym, ale także nieznanemu, którego nieudolność w zapobieganiu ciąży wiele lat później zaowocowała pojawieniem się kolejnego księdza na ambonie.

Biskup wyjechał - zaproszono go, by wygłosił naukę w Durham, dwaj pozostali kanonicy nie wrócili z wakacji, ale był dziekan, z którym podzieliliśmy się niedzielnymi nabożeństwami. Rozpoczęła się jutrznia. Zauważyłem wśród zgromadzonych Romaine'a i wreszcie po trzecim hymnie wszedłem na ambonę i odczytałem wybrany przeze mnie tekst z Izajasza: „Trawa usycha, więdną kwiat, lecz słowo Boga naszego trwa na wieki.”

II

Ten tekst nieodmiennie mnie wzrusza - powiedział później Romaine, kiedy szliśmy do Laud's. - Mam wrażenie, jakby ustawiał w odpowiedniej perspektywie wszelkie ludzkie triumfy i tragedie i oczywiście to był główny motyw twojego kazania, prawda? A przynajmniej jeden z motywów. Całe było ogromnie interesujące, a szczególnie spodobał mi się przykład tego zakonnika, który na marginesie rękopisu naszkicował kota, który trzyma w pyszczku mysz. Moja Chinka lubiła koty; myślałem o niej, kiedy mówiłeś. I myślałem też o twojej matce, o tym jak jej recytowałem Wordswortha - zawsze jej recytowałem Wordswortha, Wordswortha i Browninga - i kiedy powiedziałaś: „Trawa usycha”, przypomniał mi się ten fragment z Wordswortha o wspaniałościach w trawie aż przeszłość i terażniejszość zaczęły się mieszać i ogarnęło mnie niezwykle wzruszenie. Cóż, prawdę mówiąc, w ogóle jestem dość uczuciowy. Tłumaczę sobie, że to przez tę francuską krew. Mój dziadek przyjechał do Londynu uczyć francuskiego w rodzinie kupca, potem ożenił się z Angielką i został.. Och, Boże, no i znowu gadam o sobie! Pora, żebyś wreszcie wcisnął słówko o sobie. W jaki sposób zabrałaś się do skonstruowania tak

świetnej nauki? Musiałeś się ogromnie napracować. Jestem pewien, że jej przygotowanie zajęło ci mnóstwo czasu.

Wreszcie znaleźliśmy się w moim mieszkaniu w Laud's.

- Jakież cudowne mieszkanie! - zawołał Romaine rozglądając się po najzwyklejszym w świecie pokoju, który pełni funkcję salonu, jadalni i biblioteki. - Jak wygodnie go umeblowałeś, jaką świetną, sprzyjającą pracy atmosferę w nim stworzyłeś! I te piękne widoki Cambridge! Gdybym miał fortunę, wydałbym ją całą na obrazy, tak że całe szczęście, że mój obecny majątek stanowi własność mojej żony, która wie, jak należy wydawać pieniądze. Ja natychmiast bym je roztrwonil.

Zaproponowałem mu drinka przed obiadem.

- Szczerze mówiąc, chętnie się napiję - odparł Romaine - choć czuję się jak ostatni drań, który podbiera ci trunek, podczas gdy ty byłeś niezwykle uprzejmy i ozdobiłeś mój pokój butelką Johnnie Walkera Black Label. Co za uczta! Żona nie lubi drogich whisky i niczym sęp pilnuje, ile ubyło z karafki, zresztą słusznie. Potrzebuję kogoś, kto by mnie pilnował.

- Czy powiedział pan jej o mnie?

- Domyśliła się. Siedemnaście lat temu, kiedy się poznaliśmy, przypominałem cię znacznie bardziej niż teraz. Jej pierwsze pytanie, kiedy wróciła do domu po twojej wizycie, brzmiało: „A to kiedy, u licha, się wydarzyło?” Ale kiedy próbowałem ją ułagodzić, mówiąc: „Och, to tylko drobny wypadek w Epsom w brzydkich latach dziewięćdziesiątych, kochanie”, omal nie wyskoczyła ze skóry. „Nie nazywaj mi tego jakimś drobnym wypadkiem, skoro to musiała być cholerna katastrofa!”, usadziła mnie natychmiast, więc wszystko jej wyznałem. „A mogę wiedzieć, ile jeszcze takich drobnych wypadków może się tu pojawić ni z tego, ni z owego?” - zagrzmiała, więc słabym głosem

zapewniłem, że nie było więcej takich drobnych wypadków, bo po tym jednym dostałem wystarczającą nauczkę, ale ona tylko prychnęła. Obawiam się, że w tej sprawie muszę się zachowywać szczególnie ostrożnie, bowiem biedna Bea nie mogła mi dać dziecka i nigdy tego nie przeboleła. Od początku wiedziałem, że znacznie lepiej będzie, jeśli przyjadę do Cambridge sam, bo twój widok przypominałby jej ciągle, że innej kobiecie udało się to, czego ona nigdy nie mogła osiągnąć... I znowu gadam o sobie! Nadszedł czas, żebyś ty wreszcie wcisnął słówko na swój temat, drogi Charlesie. Czy pracujesz nad kolejną książką?

To było pytanie, którego ojciec nigdy nie postawił. Zatrzymując się wpół ruchu z butelką sherry w ręku, spytałem:

- A skąd pan wie, że już coś napisałem?

- Pomyślałem, że skoro masz tytuł doktora teologii, mogłeś wydać jakieś ważne dzieło, dlatego zadzwoniłem do księgarni w Oksfordzie, i gdy tylko powiedzieli mi o twojej książce, natychmiast ją zamówiłem. Muszę przyznać, że bardzo mnie wciągnęła twoja narracja o tych szalonych dysputach o Trójcy Świętej! Kiedy sobie człowiek pomyśli o tych okropieństwach współczesnego świata - Hilterze, Mussolinim, wojnie domowej w Hiszpanii - aż się chce uciec w ten odległy świat, gdzie głównym tematem dyskusji było, czy Syn ma tę samą naturę, co Ojciec!

Wreszcie ktoś zrozumiał. Pokusa była nie do odparcia. Podając mu whisky zacząłem opowiadać o soborze nicejskim.

III

Obiad był po prostu wyśmienity, Charles, a bordo wręcz niebiańskie, nie wiem, jakim cudem udało ci się zapanować nad pokusą i wypić tylko jeden kieliszek. Powiadam ci, to był wspaniały dzień. Ale może powinienem już czmychać do hotelu? Nie chciałbym ci wchodzić w drogę, jeśli masz jakieś ważniejsze sprawy?

- Jestem wolny aż do nieszporów o szóstej.

- Czy mogę przyjść i na nie?
 - Drogi doktorze Romaine...
 - Charles, nalegam, żebyś zwracał się do mnie po imieniu. Ostatecznie, skoro ty okazałeś taką wielkoduszność i podpisałeś się imieniem pod swoim listem, listem, który sprawił, że łzy zakręciły mi się pod powiekami...
 - Drogi Alanie, jeśli chcesz przyjść na nieszpory, to przecież ci nie zabronię. Najpierw jednak proponuję, żebyśmy się napili kawy, mocnej, czarnej kawy...
 - Zgoda, choć jestem zupełnie trzeźwy, mógłbym w każdej chwili operować i nawet by mi ręka nie zdrząła. Opowiedzieć ci o ogromnie interesującym przypadku wyrostka robaczkowego w Bombaju?
 - Hmm...
 - Nie, chyba lepiej nie, nie mogę cię zniechęcić do lekarzy... Och, znowu wracamy do tego miłego pokoju. Czy kiedy się ożeniłeś, miałeś dom czy też mieszkanie? Nie, nie odpowiadaj, nie chcę, żebyś uważał mnie za wścibskiego starca, który wtrąca się do twojego małżeństwa... A skoro o małżeństwie mowa, co sądzisz o kodeksie Alana Patryka Herberta w jego obecnym kształcie? W końcu doczekaliśmy rozvodu w wypadku choroby umysłowej jednego z małżonków! Dla mnie o trzydzieści osiem lat za późno, ale pozostaje mi satysfakcja, że jakiś inny głupiec nie zniszczy sobie życia, bo pomyśli, że może kroczyć po wodzie. Ale jakie przedstawienie Kościół zrobił z siebie w Izbie Lordów! Jedyne, który rozsądnie mówił to biskup Durham... Och, i oczywiście biskup Starbridge. To dopiero jest ktoś po mojej myśli! Znasz go może?
- Zacząłem opowiadać o doktorze Jardinie.

IV

Bardzo świetne brandy, Charles. Bez kropelki brandy czarna kawa nigdy nie będzie taka jak trzeba i miło mi wiedzieć, że ty też sobie trochę nalewasz, żeby nabrać sił przed nieszporami. Cóż, to po

prostu fascynujące. Możliwe, że to po prostu zadurzenie ze strony panny Lyle, rozumiesz - nie spełnione. A powiedz ci, czemu tak sądzę?

- Powiedz.

- Gdyby z nim spała, do tej pory uczucie zdążyłoby wygasnąć. Tylko nie spełniona namiętność trwa i trwa, niczym wiecznie kręcąca się płyta. Zresztą osobiście uważam, że lepiej wskoczyć do łóżka i mieć sprawę z głowy, choć oczywiście nie powinienem się do tego przyznawać duchownemu. Boże, jaki okropny byłby ze mnie ksiądz! Wystarczająco się namęczyłem, usiłując się zachowywać, jak na lekarza przystało... Opowiedzieć ci o kobiecie z Rangun, która miała bardzo ciekawe piersi?

- Możesz opowiadać, o czym tylko zechcesz. Napij się jeszcze brandy.

- Chętnie, chętnie, stary druhu. Wspaniały z ciebie gospodarz. Ale czemu sam nie pijesz?

- Nie chcę, żeby dziekan natarł mi uszu po nieszpórach i pozbawił stanowiska. Słuchaj, Alan, nie powinienem był ci mówić o Lyle... Widać zaczynam tracić rozsądek...

- Ależ drogi Charlesie, nie martw się. Jestem chodzącą dyskrecją, spytaj Bei. Nie ma pojęcia, kto z kim sypia w Starvale, a ja wiem doskonale, co do jednego łóżka.

- Ale powinienem był przynajmniej trzymać język za zębami w sprawie Jardine'a.

- Czemu? To prawdziwa rozkosz myśleć, że ma ponętą, młodą dziewczynę, która pociesza go w tym nieudanym związku, choć osobiście podejrzewam, że raczej wybrałby starszą kobietę, żeby go dopieściła, tak jak ja znalazłem moją Chinkę. Stawiałbym raczej na tę tajemniczą Szwedkę-macochę, nawet jeśli ważyła ponad sto kilo. Osobiście wolę pełniejsze kobiety. Opowiedzieć ci o... Nie, zdecydowanie nie. Muszę nad sobą zapanować.

- Zdaje się, zupełnie straciłem nad sobą panowanie. Nie pojmuję, czemu w ogóle...

- Będę się szczyił, mogąc ci dowieść mej wspaniałej dyskrecji,

a na razie nie mam słów, by wyrazić radość, że masz namierzoną jakąś ładną dziewczynę. Ale jak ją wydobędziesz z tego pałacu? Oczywiście, gdybyś nie był księdzem, poradziłbym ci, żebyś czym

prędeż ją uwiódl. Kiedy tylko znalazłaby się u ciebie w łózk, zapomniaby o Jardinie, nawet jeśli jest jego kochanką.

- „Idź precz, szatanie!”

- Poważnie mówię, stary druhu! Každy trzydziestosiedmioletni źrebak pobije starego... Ile Jardine ma lat?

- Pięćdziesiąt osiem.

- Właśnie, pięćdziesięcioośmioletniego wałacha. Dawno ma za sobą czasy świetności, tak jak ja.

Oczywiście, nadal mogę to robić, ale teraz jestem w najlepszej formie rankiem, a Bea nie może patrzeć na nic - a już na pewno nie na mnie bez spodni od piżamy - póki nie wypije filiżanki herbaty i nie przejrzy „Daily Express”. Ale w końcu na tym polega małżeństwo, prawda? Wieczny kompromis... Jak, mówiłeś, twoja żona miała na imię, Charles?

- Nie. Przepraszam, ale nie opowiem ci o Jane, jeszcze nie. I tak dużo ci opowiedziałem jak na jedno popołudnie.

- Może lepiej, żebym czmychnął do „Blue Boar” i dał ci odetchnąć.

- Dopij swoje brandy i pójdziemy się przespacerować nad rzeką.

v

Kazanie dziekana nawet w połowie nie było tak dobre, jak twoje, Charles, ale nic to, nieszpory były bardzo udane. A teraz pewnie sobie myślisz: „Jakby tu się pozbyć tego starego nudziarza?”. Nie przejmuj się, bo stary nudziarz czmycha do „Blue Boar” i w nabożnym milczeniu zasiądzie do niebiańskiego Johnnie Walkera...

- Chodź ze mną do college'u, zjemy u mnie trochę chleba i sera. Przykro mi myśleć o tym, jak samotnie siedzisz w hotelowym pokoju

z butelką niebiańskiego Johnnie Walkera. Moje sumienie mówi mi, że koniecznie i z całą stanowczością trzeba cię ocalić przed takim losem.

- Och, uwielbiam być ocalany! - zawołał Romaine. - Bardzo, bardzo ci dziękuję! A... A czy do chleba i sera mógłbym dostać łyżeczek tego świetnego brandy?

VI

... **No** i jeżdżę do tego zakonnika dwa, trzy razy w tygodniu i mówię mu o różnych rzeczach, a on mi pomaga, kiedy się zagubię... No, dobrze, niech będzie jeszcze pół kieliszeczka, zwykle nie pijam dwa razy w ciągu dnia...

- Po całym dniu ciężkiej pracy odrobina bordo wyjdzie ci na zdrowie. A teraz, zanim czmychnę do „Blue Boar”...

- Już to słyszałem.

- ...musisz mi opowiedzieć wszystko o tym zakonniku. Tak się cieszę, że masz się komu wygadać, Charles, bo życie staje się czasem takie cholernie ciężkie, już ja o tym coś wiem, i teraz widzę wyraźnie, jakie niezmiernie trudne musiało być dla ciebie dorastanie z... hmm, z problemami...

- Och, zamknij się i wypij jeszcze trochę wina. Żałuję, że w ogóle ci opowiedziałem o moich cholernych problemach. Nie wiem, czemu mówię ci o tych wszystkich osobistych sprawach, kiedy odjedziesz, będę się przeklinał...

- Nie, nie rób tego. Lepiej pojedź do swojego zakonnika i opowiedz mu, jaki byłem cholernie uciążliwy, jak zmuszałem cię do picia, przyssałem się na tyle godzin niczym stara pijawka. A kiedy już wyrzucisz cały swój gniew, poczujesz się lepiej.

Spojrzeliśmy sobie w oczy nad karafką wina. W pokoju panował półmrok.

- Jesteś bardzo sprytny, wiesz? - odezwałem się po długiej chwili. - Cały dzień spędziłem odslaniając ci się i teraz elegancko mnie podsumowałaś.

- Nonsens! Człowiek jest zbyt skomplikowanym stworzeniem, żeby dało się go podsumować po kilkugodzinnej znajomości. Powiedzmy raczej, że spędziliśmy dzień, dając sobie klucze do siebie. I pomyśl, jaką mieliśmy zabawę, dzięki twojej dobroci i gościnności!
- Po prostu nie wiem, jak mam sobie z tobą poradzić. Cały problem wymyka mi się spod kontroli.
- To niemożliwe - oświadczył zdecydowanie Romaine - bo trzeba zacząć od tego, że nie ma żadnego problemu. Nie musisz sobie ze mną radzić. Będę dalej kręcił się po Starvale St James, od czasu do czasu wpadając na Cambridge, żeby posłuchać twojego kazania, wreszcie kiedyś umrę i na tym koniec. Bea będzie musiała sobie radzić, jeśli zacznę cierpieć na uwiad starczy albo stracę rozum, a ty
- w tej niewątpliwie ciężkiej sytuacji, będziesz musiał jedynie omijać Starvale St James jak najszerszym łukiem.
- Nie ma mowy. Będę stał przy twoim łożu śmierci, zagubiony i nieszczęśliwy. Wychyliłem spory łyk z kieliszka.
- Och, to by mi się wcale nie podobało - odparł Romaine. - Byłbym bardzo zły. Obiecuj mi, żadnych wizyt u konającego! To takie wiktoriańskie, takie obrzydliwe, takie *nudne*...
- Niekoniecznie. Przyniosnę butelkę szampana.
- Drogi chłopcze, co za świetna myśl! To mi przypomina Czechowa. Wiesz, że na łożu śmierci Czechow wychylił kieliszek szampana i umarł z błogim uśmiechem na twarzy? Roześmialiśmy się.
- Wybacz - powiedziałem wreszcie. - Znowu zachowałem się niewybaczalnie.
- Naprawiłeś wszystko, obiecując, że się pokażesz z butelką szampana. Nie przejmuj się, Charles, ja rozumiem. Wiem, że w tej chwili nie jestem ci potrzebny, a tylko odrywam cię od naprawdę ważnych spraw, pragnąłbym jednak kiedyś ci się w jakiś sposób przydać. W końcu Bóg stawiając nas sobie ponownie na drodze,

musiał mieć w tym jakiś cel, prawda? A gdyby chciał, byśmy pozostali sobie obcy, nie pozwoliliby nam tak łatwo się zaprzyjaźnić. Co więcej, mam bardzo jasne zdanie o tym, co się ostatnio wydarzyło: Bóg leczy moją przeszłość, pokazując mi, że z całej tej tragedii i upadku wyrosło coś dobrego i ofiarowując tobie - z powodów, których jeszcze nie znamy - jeszcze kogoś, o kim wiesz, że pozostanie wobec ciebie lojalny, niezależnie od okoliczności. Czy to naprawdę taka ponura perspektywa? Nie sądzę i założę się o butelkę Johnnie Walkera, że ten twój zakonnik przyznałby mi rację. A skoro o Johnnie Walkerze mowa, wiem, co myślisz: że naprawdę nadeszła pora, bym czmychnął do „Blue Boar”...

- Siadaj - przerwałem. - Znowu cię trzeba ocalić. Pora na kolejną filiżankę mocnej kawy.

VII

O trzeciej po południu następnego dnia znowu zjawiłem się pod drzwiami klasztoru fordytów i opadłem na pierwsze lepsze siedzenie w reprezentacyjnym pokoju opata. Miałem za sobą męczący poranek: komunia w kaplicy Maryi, pożegnanie z Romaine'em w hotelu, spotkanie kapituły, prowadzone przez rozdrażnionego dziekana, który właśnie wkroczył na wojenną ścieżkę z głównym kościelnym. Lunch spędziłem uspokajając kierownika college'u (który także znalazł się w stanie wojny z dziekanem) i taktownie rozprawiając się z twierdzeniami jego żony, jakoby wszyscy duchowni powinni żyć w celibacie. (Żona dziekana jest powszechnie nie lubiana.) Z głęboką ulgą wyrwałem się wreszcie do Grantchester.

- Nie pojmuję, jak mógł ojciec uważać, że sytuacja się wyjaśni, kiedy znowu się spotkam z Romaine'em - oświadczyłem rozdrażniony Darrowowi, skończywszy relację z wizyty Romaine'a. - Czuję się jeszcze bardziej zagubiony. Nie przeczę, że polubiłem tego starego łajdusa, ale nadal boję się go, jak licho.

- Na tym etapie pewna nieufność jest zdrowym objawem, co więcej, o wiele bardziej bym się bał, gdybyś ochoczo zrobił z niego figurę ojcowską i przejawiał znaki bezkrytycznego uwielbienia dla bohatera.

Ta uwaga dodała mi pewności siebie. Uspokojony co do mojej kondycji psychicznej, mogłem nagle z większą precyzją analizować swoje uczucia.

- Rzeczywiście, jeśli chodzi o rodziców, sytuacja znacznie się poprawiła - przyznałem. - Oczywiście nadal będą mnie niepokoić, ale przynajmniej czuję, że stworzyłem atmosferę prawdy i zaufania, w której będę mógł sobie z nimi radzić bez konieczności chowania się za lśniąca zasłonę. Ale Romaine! Za grosz mu nie ufam!

- Czy nadal traktujesz go jak dowód, że musisz zejść na psy?

- Nie, teraz już wiem, że jest to wyłącznie opinia mojego ojca, wyrażana przez niego jedynie w chwilach, gdy nie myśli racjonalnie.

- Ale mimo to Romaine nadal cię przeraża?

- Może bliższe prawdzie byłoby określenie, że budzi we mnie silny niepokój. Naprawdę jest okropnym, starym łajdakiem, ojciec, z pewnością sobie tego nie wymyśliłem...

- Moim zdaniem jest bardziej niż prawdopodobne, że ten sąd jest wyłącznie tworem twojej wyobraźni, ale możesz przesadzać ze zwykłego strachu. Czy potrafisz wskazać konkretnie choć jedną rzecz, która cię zaniepokoiła?

- Nie było go na żadnym nabożeństwie z komunią.

- Aha. Tak, mnie to też przeszło przez myśl.

Znowu poczułem się na tyle zachęcony, by dalej analizować swoje uczucia.

- W końcu - powiedziałem - siedział na jutrzni i nieszporach, pijąc słowa z mych ust. Może wydawało mu się, że uroczysta suma za bardzo przypomina Wysoki Kościół, ale w takim razie, czemu nie przyszedł na ranne nabożeństwo z komunią? Nie sądzi ojciec, że powinien z niecierpliwością stać pierwszy w kolejce, kiedy udzielałem komunii?

- Może ma bardzo protestancką skłonność do uczęszczania na mszę tylko przy wyjątkowych okazjach. Ale tak, rzeczywiście wydaje mi się dziwne, że nie uznał wczorajszego dnia za taką okazję.
- Cóż, kiedy zacząłem się zastanawiać, czy jest w stanie łaski uświęcającej - podjąłem, przekonując się wreszcie, że mogę mówić o źródłach mojej nieufności - natychmiast przyszło mi na myśl, że może jednak nie jest taki zupełnie szczęśliwy z żoną, która nie tylko trzyma rękę na portfelu, ale także pilnuje karafki z whisky. Wiem, że jest w radzie parafialnej i powinien stanowić wzór wszelkich cnót, ale nie potrafię się oprzeć brzydkiemu podejrzeniu, że chrześcijaństwo wcale nie przeszkadza mu zdradzać, pić i Bóg jeden wie, co jeszcze robić. Ale może niesprawiedliwie go osądzam.
- Może, nie sądzę jednak, by twoje podejrzenia były zupełnie bezpodstawne, Charles, ani szczególnie cyniczne. Twoje podejrzenia brzmią niemile prawdopodobnie. Załóżmy, że masz rację; w jakim stopniu jego podejrzone życie osobiste rzutowałoby na twoje życie w odległym Cambridge?
- Właśnie to mnie niepokoi - odparłem z ulgą. Już wcześniej to wiedziałem, ale dopiero teraz mogłem o tym powiedzieć na głos. - Jeśli jego małżeństwo się rozpadnie, albo jeśli zostanie skreślony z rejestru lekarzy za sypianie z pacjentkami, będę musiał mu pomóc - ale cóż to za perspektywa! Powiedz mi, ojcze, jak mogę się bronić przed nękającą mnie koszmarną wizją, że pewnego dnia pojawi się u moich drzwi zrujnowany i bez grosza!
- Możesz próbować sobie wytłumaczyć, że ta koszmarna wizja nigdy się nie spełni.
- Chciałbym umieć podchodzić do tego z równie zimną krwią.
- Sam się zastanów, Charles. Romaine, jak sam mówiłeś, jest starym zaprawionym w sztuce przetrwania łajdakiem, a tacy starzy, zaprawieni w sztuce przetrwania łajdacy, podobnie jak stare, doświadczone kocury doskonale wyczuwają, kiedy można narozrabiać,

a kiedy lepiej uważać. Po wielu odmianach losu Romaine ma teraz wygodny dom, niezłą praktykę i bogatą żonę, która zapewnia mu stały dostęp do whisky i seksu. A to, z punktu widzenia Romaine'a, jest ziemskim odpowiednikiem raju, na nic więcej nie może liczyć i dlatego zwalczy każdą pokusę, która równałaby się biletowi do piekła. Sądzę, że możesz sobie tu pozwolić na ostrożny optymizm, Charles, naprawdę. Po raz pierwszy od początku rozmowy usiadłem wygodniej w krześle.

- Stary, okropny łajdak! - stwierdziłem. - Ale jak świetnie się bawiliśmy! I w końcu... Cóż, nie mogłem powstrzymać wzruszenia, kiedy powiedział, że wprowadzając mnie w jego życie, Bóg leczy przeszłość. Oczywiście, zdaję sobie sprawę, że to trąci obrzydliwym kiczem i sentymentalizmem, ale równocześnie...

- ...równocześnie doktor Romaine po mistrzowsku próbował zdobyć twoje serce i któż może go winić? Muszę przyznać, że z tego, co mówi, musi żyć w ogromnej zażyłości z Bogiem, ale ze świeckimi nigdy nie wiadomo. Może to oznaczać arogancję, szacunek albo zwykłą niewiedzę.

- Wydawał się żywić duży szacunek, ale oczywiście wpadł w typową dla świeckich pułapkę, zakładając, że doskonale przeniknął plany Boże. A dodatkowo biorąc pod uwagę fakt, że Romaine i ja dopiero co się poznaliśmy i nie mamy jeszcze właściwej perspektywy, jakiegokolwiek dyskusje na temat celów Bożego działania mogą w tym momencie jedynie zaszkodzić. A przynajmniej - dodałem, bojąc się, czy ojciec Darrow nie uzna mnie za zbyt dogmatycznego - tak mi się wydaje.

Ale Darrow odparł bez wahania:

- Zgadza się. - I dodał: - Kiedy znowu macie się spotkać?

- Sprytny łajdak zadbał, żebym nie czuł się prześladowany, nie nalegał na ustalenie konkretnego terminu. Ale wróci. Tego jestem całkowicie pewny.

- Sprytny doktor Romaine. A skoro o sprycie mowa, muszę

przyznać, że poczynił całkiem rozsądne spostrzeżenia, jeśli chodzi o tajemnicę Starbridge. Jak sądzisz, czy powinniśmy przed twoim wyjazdem zamienić jeszcze dwa słowa o Lyle?

Zdałem sobie sprawę, że skoro rozwiązałem sprawę rodziców, wyekspediowałem Romaine'a do Starvale St James, tajemnica Starbridge wraca na pierwsze miejsce w moim umyśle.

Pochylając się ku opatowi, zapomniałem na chwilę o trójce mych rodziców i przygotowałem się do rozpoczęcia kolejnego etapu mej próby.

VIII

Wiem, że chcę się z nią ożenić - powiedziałem. - Ostatecznie upewniłem się o tym w czasie spotkania w katedrze. Tak w moim, jak i w jej wypadku mamy do czynienia z autentycznym uczuciem i jestem pewien, że kiedy znowu się spotkamy, powie mi dokładnie, co tam się dzieje.

- Doprawdy? Wątpię. W całej tej sprawie aż się jeży od bardzo poważnych trudności i zanim ruszysz do Starbridge, żeby ostatecznie wywęszyć, co tam się dzieje, koniecznie musisz zrozumieć, na czym te trudności polegają. Czy możesz wrócić tu jutro, żeby ze mną porozmawiać?

Niestety, nie mogłem. Zbliżało się rozpoczęcie nowego roku akademickiego i coraz więcej przybywało mi zajęć, poza tym dodatkowo obciążały mnie obowiązki tytularnego kanonika. Uzgodniliśmy, że spotkamy się w środę wieczorem.

- A teraz powiedz mi szczerze - spytał Darrow. - Czy nie kusi cię, żeby czym prędzej pojechać do Starbridge? Albo przynajmniej natychmiast zadzwonić do Lyle?

- Przypuszczam, że uczciwa odpowiedź na oba pytania brzmi: tak. Wiem, że rzuciłem jej koło ratunkowe, a skoro z niego nie skorzystała, mogę założyć, że nie doszło do kryzysu, jednak mimo wszystko tak bardzo się o nią niepokoję i przyszło mi na myśl...

- Zawahałem się, ale nie mogłem się pohamować i dokończyłem:
- Przyszło mi na myśl, czy nie mógłby ojciec czegoś zobaczyć. Czy mógłby ojciec zobaczyć Starbridge oczami duszy i...?
- Charles, bądź tak miły i traktuj mnie jak księdza, a nie jak jakiegoś szarlatana, który rozbił namiot na moło w nadmorskim kurorcie, dobrze? - odparł surowo opat.
- Przepraszam, ale czasem czuję się taki zagubiony...
- Tak, nie sądz, że nie rozumiem, jak trudno ci przychodzi czekanie. - Zlitował się nade mną. - Gdybym wiedział, co tam się dzieje, powiedziałbym ci, ale moje zdolności pod wieloma względami są bardzo ograniczone. Mam dar wyczuwania emocji u kogoś, kogo widzę, ale nigdy nie umiałem wyczuwać tego z daleka, chyba że partner takiej duchowej rozmowy jest mi wyjątkowo bliski.
- Czy widuje ojciec przyszłość?
- Tak, ale różne bywają przyszłości i nie każda musi się spełnić. - Oparł się o stół, jakby chciał wyciągnąć ręce i ulżyć memu zagubieniu. - W środę naszkicujemy przyszłość, a na razie postaraj się nie trenować szkicując terażniejszość. Pamiętaj, że możesz mieć niewłaściwy obraz, a nawet gdyby okazał się prawdziwy, nie potrafiłbyś go wymazać. Za to przyszłość to coś zupełnie innego. Można naszkicować jeden obraz, wymazać go, narysować inny. Co chciałbym zrobić, to pomóc ci naszkicować wiele rozwiązań, żebyś miał pełną świadomość tego, co może się wydarzyć. - Wstał, dając znak do zakończenia rozmowy. - Ostatnio znalazłeś siły, by znieść terażniejszość, ponownie badając przeszłość, Charles, teraz jednak, gdy przeszłość została już ożywiona i ponownie ułożona, nadeszła pora, by wytrzymać terażniejszość poprzez obejrzenie i ułożenie przyszłości. A kiedy już to zrobisz, przeszłość, terażniejszość i przyszłość będą mogły się połączyć, a zaowocuje to rozwiązaniem tajemnicy Starbridge - choć owo rozwiązanie może samo w sobie stanowić tajemnicę, która prowadzi do innych tajemnic, bowiem, jak już raz ci powiedziałem, tajemnice człowieczego życia rzadko kiedy

dają się rozwiązać prosto i jednoznacznie... Ale musisz przestać mówić jak jakiś mistyk albo - Boże chroń! - szarlatan z nadmorskiego kurortu, a zamiast tego prosić, byś koniecznie uwierzył w twoją rosnącą siłę, a przede wszystkim byś pokładał ufność w Bogu, który jedyny może wypędzić demona niepokoju, który cię teraz gnębi... Pozwól, że się teraz za ciebie pomodłę, by ci pomóc w twojej próbie, a później udzielię ci błogosławieństwa.

Mój niepokój nieco ustąpił. Kilka minut później jechałem już do Cambridge, ale na długo przedtem nim dotarłem do mieszkania w Laud's poczułem, że mam dość sił, by stawić czoła każdej przyszłości, która mnie czekała.

IX

Przede wszystkim - zaczął Darrow, kiedy spotkaliśmy się dwa dni później - chcę ci przypomnieć o czterech głównych powodach, dla których nie powinieneś natychmiast dosiadać pierwszego lepszego białego rumaka i pędzić na spienionym koniu ratować z niebezpieczeństwa piękną księżniczkę.

- Cztery główne...

- Tak, ciekaw byłem, czy uda ci się je wszystkie policzyć. Bo nie wystarczy oświadczyć wyniośle, że zamierzasz się ożenić z tą kobietą, Charles. Musisz dokonać głębokiej analizy sytuacji, by dowieść, że dokładnie wiesz, co robisz.

Natychmiast postanowiłem przekonać go o swojej równowadze duchowej i racjonalnym podejściu do rzeczywistości, które on sam pomógł mi osiągnąć.

- Nie mogę pędzić do Starbridge przede wszystkim dlatego, że jeszcze nie skończył się wrzesień, a ten właśnie termin ojciec mi wyznaczył. Innymi słowy ciągle jeszcze za mało mnie dzieli od nieszczęścia w pałacu i powinienem jeszcze trochę odczekać, żeby się upewnić, że będę widział Lyle taką, jaką naprawdę jest.

- Dobrze.
- Obowiązuje mnie to, mimo że po spotkaniu w katedrze upewniłem się, że moje uczucia mają realne podstawy i chcę ożenić się z Lyle.
- Coraz lepiej. Mów dalej. Drugi powód?
- Jest dojrzałą, trzydziestopięcioletnią kobietą. Nie mogę nie proszony wdziierać się do jej życia - zwłaszcza jeśli prosiła, bym tego nie robił. Muszę pozostać przy pierwotnym pomysle spotkania sam na sam pod koniec miesiąca i ufać, że zadzwoni, jeśli będzie potrzebowała pomocy.
- Doskonale. Przejdź do trzeciego powodu.
- Utknąłem. Tak się kończy moja dogłębna analiza.
- Pozwól, że uściślę: czemu jest takie ważne, żebyś stworzył Lyle szansę samodzielnego zakończenia tego trójkąta bez twojego aktywnego udziału?
- Gdybym się wtrącił, mógłbym narobić gorszego bałaganu.
- Zgoda, ale myślałem o odleglejszej przyszłości. Załóżmy, że się pobierzecie, ale nie będzie się wam układało. Wtedy zawsze mogłaby się zwrócić przeciwko tobie, mówiąc: „Zmusiłeś mnie, żebym odeszła, choć tego właściwie nie chciałam”. - Widząc moją minę, kiedy pokazał mi na moment, jak może wyglądać przyszłość, dodał popiesznie: - Do ewentualnych problemów małżeńskich przejdziemy później. A teraz czwarty powód, dla którego nie powinieneś posiadać pierwszego lepszego białego rumaka?
. - Przepraszam, zupełnie się nie spisałem...
- Nie, dwa pierwsze powody odgadłeś prawidłowo, ale one odnoszą się wyłącznie do terażniejszości. Pomyśl o przyszłości; mimo wszystko możesz dojść do wniosku, że nie chcesz się z Lyle ożenić. Tak, wiem, że to mało prawdopodobne, ale musisz powiedzieć sobie wyraźnie, że taki problem istnieje i jeśli wtrącisz się do tamtego trójkąta, może się okazać, że małżeństwa nie da się uniknąć. Wyjaśnij mi jedną rzecz: czy kiedykolwiek wspomniałeś Lyle o małżeństwie?

- Nie, ale oczywiście wie, że tego pragnę.
- A jednak nie jesteś beznadziejnie ugodowy i gdyby doszło do najgorszego, wycofałbyś się.
- Tak, ale...
- Wiem, że uważasz mnie za przewrotnego, Charles, prawda zaś wygląda tak, że nie wiesz jeszcze, w jaki sposób rozwikła się tajemnica i jeśli dojdzie do najgorszego, może się okazać, że jej rozwiązanie sprawi, że małżeństwo stanie się niemożliwe.
- Uważa ojciec, że małżeństwo stałoby się niemożliwe, gdyby się okazało, że Lyle była kochanką Jardine'a?
- Wysłuchajmy twoich poglądów, nie moich. Przez chwilę milczałem.
- Mógłbym sobie z tym poradzić, gdybym miał pewność, że romans jest skończony - odparłem po chwili. - Nie wyrzucałbym jej niemoralności, bo jestem przekonany, że nie spałaby z nim, gdyby szczerze nie wierzyła, że jest jego żoną. Jej sytuacja przypominałaby sytuację kogoś, kto w dobrej wierze ożenił się z bigamistą.
- To uczciwy osąd. Doskonale, więc nie wycofasz się, jeśli się przekonasz, że Lyle została omamiona. Załóżmy jednak, że twoja dość prawdopodobna teoria o nieformalnym związku jest całkowicie błędna. Załóżmy, że oboje odstępili od wiary, zachowując pozory dobrych chrześcijan, choć wiedzieli, że popełniają cudzołóstwo. Co wtedy?
- Nie mógłbym się z nią ożenić - powiedziałem wolno. - Małżeństwo ze sprzeniewierczynią byłoby wykluczone: nie moglibyśmy dzielić życia duchowego. Żaden duchowny ani przez chwilę by czegoś takiego nie dopuszczał... Oczywiście, gdyby odpokutowała i chciała wrócić na łono Kościoła, wybaczyłbym jej i zrobił, co w mojej mocy, by pomóc, ale niezależnie od tego, na ile bym jej wybaczył, nadal pozostawałoby wątpliwe, czy mógłbym się ożenić z kimś zdolnym do życia przez wiele lat w cudzołóstwie oraz do stałego bezczeszczenia sakramentu. Dla dobra Kościoła i mojej misji, niezbędna jest głęboko wierząca żona.

- Innymi słowy, małżeństwo z Lyle stałoby się rzeczą nie do pomyślenia. Widzę, co myślisz: że ta ewentualność jest zbyt mało prawdopodobna, by się nią przejmować, ale czy wszystkie twoje problemy zostaną rzeczywiście rozwiązane, jeśli Lyle okaże się niewinną ofiarą Jardine'a, przekonana, że naprawdę jest jego żoną? Możesz sobie wyobrażać, Charles, jak płyniesz łodzią po spokojnym morzu w blaskach zachodzącego słońca, ale tak naprawdę mogą na ciebie czyhać przeróżne rodzaje sztormów. Zastanów się głęboko i sprawdź, czy możesz je nazwać. Zdawałem sobie sprawę, że ponownie jestem wystawiany na próbę.
- Wspomnienie Jardine'a mogłoby stanowić utrudnienie - zaproponowałem ostrożnie.
- Tak, to ryzyko, z którym należy się liczyć za każdym razem, gdy współmałżonek już wcześniej miał partnera. Nie jest to rzecz nie do zniesienia, aczkolwiek należy ją wziąć pod uwagę. Mów dalej.
- Sądzę, że mogłaby mnie gnębić obawa, czy Lyle nie przesiada się z konia na konia - przerzuciła się na mnie, bo mogłem zaoferować jej więcej niż Jardine. Innymi słowy, obawiałbym się, że nie kocha mnie jako takiego i mój lęk przed odrzuceniem mógłby znowu zacząć mnie prześladować.
- Dobrze. Świetnie sobie radzisz z tym testem, Charles. Idź dalej.
- Nie da się wykluczyć, że zawsze bym się zastanawiał, czy rzeczywiście znam całą historię jej związku z Jardine'em i gdybym przypuszczał, że nie wygrzebałem wszystkiego aż do dna, mógłbym się poczuć zagrożony.
- Doskonale.
- Nie jestem pewien, czy dam radę posunąć się dalej, oprócz zasygnalizowania oczywistego faktu, że w pewnym momencie będę musiał sobie poradzić z Jardine'em i to może się okazać olbrzymią przeszkodą.
- Rzeczywiście, zgadzam się, że Jardine stanowi przeogromny problem. Zajmiemy się nim za chwilę. Czy to naprawdę koniec twojej listy trudności? Do tej pory nie wspomniałeś o jednej z kluczowych kwestii.

- Naprawdę?

Staralem się, żeby w moim głosie nie zabrzmiało zwątpienie.

- Rozważałeś sytuację wyłącznie z twojego punktu widzenia, a co z Lyle? Po raz kolejny założmy, że twoja teoria jest słuszna, i że Lyle uważa Jardine'a za swojego męża. Jeśli go porzuci, z pewnością będzie choć w minimalnym stopniu odczuwać wyrzuty sumienia, choć postąpi słusznie zrywając związek. Możliwe, że odczuje ból i szok - z pewnością nastąpi okres bardzo dla niej trudny pod względem uczuciowym. I jak sobie poradzi z tymi uczuciami? Jak ty zamierzasz sobie z nimi poradzić? Jak wasze małżeństwo wytrzyma takie destrukcyjne elementy? Charles, nie twierdzą, że nie da się przewyciężyć tego problemu, ale z pewnością jest on ogromny. Musisz być bardzo, bardzo pewny, że ją kochasz, głęboko wierzyć w siłę swych uczuć i ducha, jeśli chcesz przewyciężyć nie tylko ten jeden problem, ale wszystkie, które do tej pory wymieniliśmy.

Umilkł, dając mi czas na przetrawienie tego ostrzeżenia.

- Będę musiał ją przekonać, że potrzebuje fachowej pomocy - odparłem po chwili. - Może bardziej jej się przyda psychiatra niż zakonnica.

- Wątpię. Problem z psychoanalitykami w tym, że mogą latami dreptać na paluszkach wokół dzieciństwa pacjenta ani na chwilę nie docierając do duchowego wymiaru problemu. Nadal jestem przekonany, że twoja nadzieja leży w zakonnicy doświadczonej w kierownictwie duchowym, która albo była mężatką, albo przeżyła długi, podcinający siły romans - albo jedno i drugie.

- Jak mam ją znaleźć?

- Ja się rozejrzę - zaoferował się nieoczekiwanie Darrow. - Wkrótce mam złożyć tradycyjną wizytę przełożonej w Dunton i przy tej okazji poproszę ją o pomoc.

Pamiętając o uprzedzeniach Lyle wobec zakonnicy, powiedziałem:

- To trudne zadanie.

- Wiem i bardzo mi przykro, że je na ciebie zrzucam, ale jestem pewien, że zdajesz sobie sprawę, jakie to ważne, byś nie dał się

oślepić wizji świetlanej przyszłości i dostrzegł na horyzoncie ciemną linię, która może oznaczać twoje małżeństwo - oczywiście, o ile Lyle zgodzi się za ciebie wyjść. Kolejnym prawdopodobnym schematem może być, że Lyle nie będzie umiała się do tego zmusić. Może wybrać pozostanie w trójkącie.

- W takim razie sam bym zaatakował.

- Jeśli Lyle psychicznie nie dojrzeje do odejścia, twoja interwencja zapewne okazałaby się nieskuteczna. Zajmijmy się jednak tym problemem dopiero, gdyby do niego doszło, bo możliwe, że tak się nigdy nie stanie. Rzeczą, do której musi w pewnym momencie dojść, jest konfrontacja między tobą a Jardine'em. Uważam to za nieuniknione.

- Gdybym uciekł z Lyle, nie musiałbym w ogóle się z nim spotykać.

- Chciałby się z tobą spotkać po ślubie.

- Po co? Chyba nie żeby udzielić nam swego błogosławieństwa!

- Czemu nie? Mógłby uznać odejście Lyle za karę Bożą i uzmysłowić sobie, że w charakterze zadośćuczynienia może zrobić z ciebie zięcia.

- To obrzydliwe!

- Ale nie niemożliwe, a my rozważamy wszelkie schematy. Weź pod uwagę jego psychikę.

Przypuszczam, że Jardine kolekcjonuje figury synowskie tak jak ty kolekcjonowałeś figury ojcowskie i jednym z powodów, dla których tak świetnie się dogadywaliście, było to, że obaj zaspokajaliście swoje potrzeby, obaj szukaliście relacji typu ojciec-syn. Jeśli udzieli związkowi swego błogosławieństwa, zadośćuczyni za wszelkie minione grzechy z Lyle i uszczęśliwi Carrie, zatrzymując Lyle w rodzinie; a poza tym na stałe zdobędzie wspaniałą figurę syna, którego już i tak ogromnie polubił. A w dodatku w ten sposób będzie miał szansę na adoptowane wnuki, ewentualność, którą Carrie mogłaby równie ochoczo przyjąć...

- Pierwej wyemigruję do Australii, niż na coś takiego pozwolę!

- Całkowicie cię popieram - gdyby pozwolić temu niezdrowemu trójkątowi nadal funkcjonować nawet w zmienionym kształcie, uczucia Lyle mogłyby tego nie wytrzymać, a dla waszego życia duchowego mogłoby to się okazać niebezpieczne, czy jednak nie rozumiesz, Charles, że z punktu widzenia Jardine'a czworokąt stanowiłby pociągającą perspektywę?

- Cóż, oczywiście, ich rozstanie musi być ostateczne...

- Tak, ale jak to osiągnąć, jeśli Jardine uprze się przy stworzeniu czworokąta, a Lyle będzie pragnęła zatrzymać oboje Jardine'ow w swoim życiu? Niewątpliwie taka sytuacja bardzo szybko mogłaby zagrozić waszemu małżeństwu i jeśli postanowisz jednak je zawrzeć, musisz - i to na długo nim staniecie z Lyle na ślubnym kobiercu - ustalić wyraźnie, jaki będzie wasz związek z Jardine'ami.

Po długiej przerwie usłyszałem swój głos:

- Cóż, w końcu to ja będę dyktował warunki, prawda? Wystarczy, że powiem choć słowo arcybiskupowi, a zniszczę całą karierę Jardine'a.

- Zastanawiałem się, kiedy na to wpadniesz. - Darrow nachylił się ku mnie. - Nic z tego nie będzie, Charles. I to z dwóch powodów. Po pierwsze Lyle nigdy by ci nie wybaczyła ani nigdy by nie darowała, że przez nią upadł Jardine. A po drugie, gdyby Jardine ostro się postawił i wyparł wszystkiego, Lang nie mógłby go zmusić do ustąpienia, nie unikając przy tym skandalu - a to właśnie Lang go sobie nie życzy.

- A więc Jardine'owi cudzołóstwo uszłoby na sucho! Znowu!

- Niekoniecznie. Zostawmy Jardine'a Bogu, Charles. Bóg poradzi sobie z nim znacznie lepiej niż ty czy arcybiskup Canterbury.

- Cóż, Bóg wyraźnie chwilowo przymyka na to oko! - zawołałem, ledwo jednak wypowiedziałem te słowa, ogarnęła mnie zgroza. - Przepraszam, niech mi ojciec wybaczy, ale byłem taki wściekły, że Jardine'owi wszystko uchodzi płazem, a do tego robi świetną karierę...

- Tak, gniew cię zaślepia; sądzę, że jeśli się uspokoisz, przekonasz się, że wyciągasz pochopne wnioski w kwestiach ciągle jeszcze nie zamkniętych. W końcu, co naprawdę wiemy o przeszłości

Jardine'a? Wiemy, że popełnił grzech z Loretą, ale naprawdę jesteś taki pewny, że „uszło mu to na sucho”? I co właściwie oznacza tutaj „uchodzenie na sucho”? Niewątpliwie z punktu widzenia tego świata, Jardine odniósł sukces po rozstaniu z Loretą, ale na ile przyniosło mu to szczęście czy duchowe zdrowie? Sukces sprawił, że jego małżeństwo napotkało jeszcze głębsze trudności, gdyż pani Jardine nie potrafiła sobie poradzić z nowymi obowiązkami i rozpacz Jardine'a niewątpliwie wzrosła. Doprawdy, Charles, jeśli stawiasz znak równości między sukcesem a „uchodzeniem na sucho”, obawiam się, że stoisz na niepewnym gruncie.

Rozłożyłem ręce, pokazując, że nie mam na to odpowiedzi.

- Niebezpiecznie jest sądzić kogokolwiek, jeśli się nie zna wszystkich faktów - ciągnął Darrow - a ponieważ tylko Bóg może znać całą prawdę, narzuca się wniosek, że Jemu należy pozostawić wyrok. Na przykład, kto, jeśli nie Bóg, wie, kiedy naprawdę zaczęły się problemy Jardine'a? Można się domyślać, że wraz z małżeństwem, ale czemu tak się do niego spieszył? Przecież żaden dojrzały mężczyzna przy zdrowych zmysłach nie będzie się oświadczał kobiecie po czterech dniach znajomości. Takie zachowanie wskazuje na brak równowagi czy jakąś formę wewnętrznej rozterki. Czy rzeczywiście jego stosunki z macochą były niezdrowe? Gdyby człowiek się zastanawiał nad wydaniem wyroku, można by przyjąć teorię, że małżeństwo stanowiło zemstę za jakiś wcześniejszy błąd, ale tego nie wiemy, prawda? I nigdy się nie dowiemy. Nie można poznać całej prawdy o kimkolwiek, Charles, i jedyne, co nam pozostaje, to modlić się, by Bóg oświecił nas, na tyle na ile zechce. Dlatego uważaj z Jardine'em. Zdław demona gniewu. Nawet jeśli biskup popełnił najstraszliwsze grzechy, musisz traktować go z miłosierdziem i powstrzymać się od sądu.

- Przypuszczam, że powinienem też strzec się pokusy myślenia, że cudzołóstwo rzeczywiście ma miejsce - odezwałem się po dłuższej chwili z przymusem.
- Tak, bowiem tego nie dowiedliśmy. I tak pozostaje ostatnia ewentualność, że nie ma cudzołóstwa, ale Lyle tkwi w niezdrowym dla jej psychiki związku z Jardine'ami, co nie pozwala jej wieść normalnego, samodzielnego życia.
- Ale nawet gdyby to była prawda, sytuacja i tak byłaby najeżona trudnościami. Nadal musiałbym załatwić sprawę Jardine'ow, poradzić sobie z poczuciem winy Lyle - poczuciem winy, że ich porzuca...
- ...i nadal musiałbyś stawić czoło lękowi, że nigdy nie dotrzesz do jądra tajemnicy i że może jednak Lyle spała z Jardine'em. Nie zgadzam się, to niewiele lepsze niż pozostałe rozwiązania, co więcej, można by nawet twierdzić, że łatwiej przysłoby ci poradzić sobie z nie uświadomionym cudzołóstwem Lyle niż z jakąś dziwną neurozą, która trzyma dziewczynę w niewoli Jardine'ow.
- Jeśli doszło do cudzołóstwa, to i tak cała ta sytuacja musi być wystarczająco dziwaczna. Pomyśleć o wszystkich komplikacjach!
- Otrząsnąłem się, nim dodałem gwałtownie: - Czy wyczerpaliśmy już wszystkie schematy, czy też można jeszcze przewidzieć inną przyszłość?
- Zawsze istnieje przyszłość, której nie da się przewidzieć. Na przykład Jardine może nagle umrzeć. Sądzę jednak, że zbadaliśmy wszystkie rozwiązania, jakie możemy w tej chwili przyjąć, dysponując tym materiałem dowodowym.
- Niezbyt to miła perspektywa. - Spojrzałem mu prosto w oczy.
- Ale jeśli po tej rozmowie podejmę złą decyzję, z pewnością nie będzie to ojca wina.
- Będę się modlił, żeby nie było złych decyzji. A skoro już mowa o modlitwie, zanim wyjedziesz, musimy przedyskutować twoje życie duchowe. Chcę, Charles, żebyś przed finałem twojej wielkiej próby był w szczytowej formie duchowej, bo jestem głęboko przekonany, że będziesz potrzebował bardzo, bardzo dużo sił.

X

Pamiętam doskonale, kiedy zaczął się ów finał. To było czternastego września, na dzień przed tym, jak miałem zadzwonić do Lyle, żeby się umówić na spotkanie pod koniec miesiąca. Rano wziąłem udział w naradzie pracowników wydziału teologicznego nad zmianami w prowadzeniu seminariów; dwaj profesorowie pokłócili się o pelagianizm; tego samego popołudnia, siedząc w pokoju przy biurku i przeglądając korespondencję, zastanawiałem się leniwie, czy mógłbym wprowadzić Pelagiusza do najbliższego kazania, kiedy zadzwonił telefon. Podniosłem słuchawkę.

- Ashworth.

- Charles...

To była Lyle. Zerwałem się na nogi, niczym pociągnięty sznurem.

- Potrzebuję cię.

- Gdzie jesteś?

- W Londynie. Chcę przyjechać do Cambridge. Zerknąłem na zegar nad kominkiem.

- Dwadzieścia po trzeciej odjeżdża pociąg z Liverpool Station. Będę na ciebie czekał na stacji w Cambridge.

- Dziękuję - powiedziała z płaczem i rozłączyła się.

Ostatnie kręgi wrzuconego przeze mnie kamienia wreszcie dotarły do brzegu sadzawki i najwyraźniej fala zamierzała wyrzucić mi Lyle. Natychmiast zacząłem przemyśliwać, czy Darrow przewidział to kryjące w sobie coś groźnego zakończenie moich tygodni wyczekiwania i w chwilę potem telefonowałem do domu fordytów w Grantchester.

Część trzecia

POWOŁANIE

„...ostateczne powołanie duszy zna jedynie Bóg
i ona sama, a przeniknąć je zdoła wyłącznie,
jeśli osiągnie znaczną dojrzałość duchową”.

Spiritual Counsels and Letters of Baron Friedrich von Hügel, ed. Douglas V. Steere

Rozdział pierwszy

„Nad zdeformowanym, nieprawidłowym, wadliwie ukształtowanym kręgosłupem moralnym należy pochylić się z przeogromną troską, niczym ów lekarz, który nie złamie trzciny nadłamanej ani nie zagasi knotka o nikłym płomyku”.

More Letters of Herbert Hensley Henson, zebr. E. F. Braley

I

Darrowa nie zastałem.

- Ojciec przełożony wyjechał z wizytą - poinformował mnie zakonnik, który odebrał telefon. Brzmiało to jakby odwiedziny stanowiły akt męstwa, przedsięwzięcie, któremu mogą towarzyszyć niezliczone niebezpieczeństwa. Brat zniżył głos do szeptu. - Udał się do matki przełożonej domu w Dunton. Miałem wrażenie, jakbyśmy poruszali się niczym figury na szachownicy: ja szukałem Darrowa, Darrow szukał kierowniczkę duchową dla Lyle, Lyle jechała do Cambridge, szukając pomocy.
- Kiedy jest oczekiwany z powrotem?
- O szóstej, proszę księdza.
- Proszę mu przekazać, że dzwoniłem.

Odłożyłem słuchawkę, zamyśliłem się na chwilę, po czym zatelefonowałem do „Blue Boar”, żeby zarezerwować pokój dla Lyle.

Następnie musiałem odwołać wszelkie spotkania, a kiedy już to zrobiłem, poprosiłem jednego z kanoników, żeby przez kilka dni zastępował mnie w katedrze, obiecując, że odwdzięczę mu się tym samym, kiedy będzie tego potrzebował.

Załatwiwszy telefonicznie te ważne sprawy, zerknąłem na zegarek. Potem dla uspokojenia chwyciłem mocno krzyż i odmówiłem nieszpory. Ciągle jeszcze zostały mi ponad dwie godziny oczekiwania.

II

Pociąg wjechał na stację tuż przed piątą i czekałem na Lyle na peronie, kiedy wysiadła z ostatniego wagonu. Podeszła chwiejnym krokiem i niezręcznie schroniła się w moich ramionach. Miała tylko torebkę.

- Twoje bagaże... - Bałem się, czy nie zostawiła ich w pociągu.

- Nie mam. Wyjechałam do Londynu zaledwie na kilka godzin. Była bardzo blada, ale wyglądała na spokojniejszą niż oczekiwałem.

Na twarzy nie dostrzegłem śladów łez.

- Zanim wyruszyłam do Cambridge, nadałam telegram do Jar-dine'ow, że przenocuję. Nie napisałam gdzie ani dlaczego.

Przelotnie ją ucałowałem, wyprowadziłam przed stację i powiedziałem o zarezerwowanym pokoju w „Blue Boar”.

- Najpierw jednak pojedziemy do Laud's - oświadczyłem - i zrobię ci herbaty.

- Wolałabym whisky - brzmiała jej odpowiedź i kiedy gwałtownie obróciłem się w jej stronę, dodała:

- Tak, damy do towarzystwa nie pijają whisky, prawda? Ale chcę odrzucić moją maskę, Charles - ową lśniąca zasłonę, jak to nazwałeś - a kiedy zobaczysz mnie taką, jaką jestem... - Nagle w jej głosie zabrzmiały łzy. - ...może więcej nie będziesz chciał mnie znać, ale przynajmniej cię uwolnię, byś mógł poszukać dla siebie kogoś innego.

- Niezależnie od tego, co się wydarzy - powiedziałem, uruchamiając silnik - obiecuję, że pomogę ci przejść przez ten kryzys.

Ona jednak najwyraźniej była zbyt wzruszona, by odpowiedzieć. Odwróciła twarz i próbowała odzyskać równowagę. W milczeniu ruszyliśmy do Laud's.

III

Może brandy przywróci cię do życia skuteczniej niż whisky

- odezwałem się, gdy już znaleźliśmy się u mnie.

- Rzeczywiście, chyba tak. Dziękuję. Z sodą. Zaczęła szperać w torbie, szukając papierosa.

- Nawet ci nie podziękowałam za twoją reakcję na mój telefon

- podjęła, gdy podałem jej ogień. - Pewnie kompletnie zrujnowałam twoje plany towarzyskie i zajęcie w katedrze.

- Jesteś ważniejsza niż towarzystwo i katedra.

Dałem jej kieliszek brandy i nalawszy sobie trochę sody, usiadłem

- nie na sofie obok Lyle, ale w najbliższym fotelu. Miałem na sobie strój duchowny, więc nie mogłem palić. Za to nachyliłem się w stronę dziewczyny, mocno trzymając kieliszek w obu dłoniach. Na zewnątrz słońce świeciło nad dziedzińcem. We mnie panowała ogromna cisza i spokój.

- Przepraszam - odezwała się Lyle. - Mam wrażenie, jakbym była ogłuszona. Chcę mówić, ale nie wiem, od czego zacząć.

- „Zaczynij od początku”, jak poradził Król Alicji z Krainy Czarów, „i zatrzymaj się dopiero wówczas, gdy dojdiesz do samego końca”. Łyknij jeszcze brandy.

- Problem w tym, że nie jestem pewna, gdzie zaczyna się początek... Charles, mógłbyś usiąść obok mnie? A może usadowił się tam nie dlatego, żeby mnie uspokoić, że się lada chwila na mnie nie rzucisz, ale by upewnić się, że będziesz się zachowywał jak... Ugryzłam się w język, o mało co nie powiedziałam: eunuch. Lśniaca zasłona coś się sypie. Damy

do towarzystwa księżowskich małżonek nie powinny wiedzieć, co to słowo oznacza.

- Sądzę, że jeśli czytują Biblię i mają dostęp do słownika, może być im trudno zachować niewinność - powiedziałem, a kiedy się roześmiała, usiadłem obok niej i mocno zacisnąłem rękę wokół jej drżącej dłoni.

- Ach, ten biblijny seks! - zawołała i nagle wyczułem, że znalazła początek swej opowieści. - To okropne użycie czasownika „poznać”! Pamiętam, jak kiedyś powiedziałam swojemu wujowi z Norfolk: „W tym Starym Testamencie wszyscy zdają się doskonale znać!” Stosunkowo późno dowiedziałam się, na czym polega seks, cóż, w końcu nie chciałam się dowiadywać. Pewnego razu, kiedy podśluchiwałam pod drzwiami, matka zwierzyła się przyjaciółce: „Oczywiście, żadna dziewczyna nigdy by się nie zdecydowała na małżeństwo, gdyby *wiedziała o wszystkim*” i, Boże, ton, jakim to powiedziała! Wycofałam się na palcach i poprzysięgłam sobie, że nigdy, nigdy, przenigdy nie wyjdę za mąż. Dzieci i tak nie chciałam mieć, więc małżeństwo nie tylko wydawało mi się odrażające, ale i niepotrzebne. Mówiłam ci, że moja matka chorowała, prawda? „Przed ślubem nic mi nie było”, powtarzała ciągle, „ale po dziecku już nigdy nie doszłam do siebie”. Istny koszmar! Małżeństwo, macierzyństwo i *wiedzenie o wszystkim*... Obrzydliwość. Dorastałam, żałując, że nie urodziłam się chłopcem.

- Kiedy jednak skończyłam dwadzieścia trzy lata i nadal mieszkałam na tej koszmarnej plebanii w Norfolk, pomyślałam: życie to coś więcej, jeśli tak dalej pójdzie, to albo zwariuję, albo umrę z nudów. Coś musi się zmienić. I zaczęłam poważnie zastanawiać się nad małżeństwem. Dodatkowej motywacji dostarczał mi fakt, że wuj najwyraźniej ciągnął resztkami sił, a wiedziałam, że gdy tylko umrze, znajdę się na bruku bez grosza przy duszy. I tak sobie pomyślałam: może powinnam spróbować małżeństwa. Cóż, akurat tak się złożyło, że jeden z moich ówczesnych wielbicieli był synem jednego z okolicznych zamożnych farmerów, nie jakimś tępym prowincjuszem, ale przyzwoicie edukowanym, elokwentnym chłopcem i doszłam do wniosku, że on może stać się rozwiązaniem moich problemów. Podobała mi się myśl, że pewnego

dnia będę mu pomagała zarządzać majątkiem. A oprócz majątku mieli przyzwoity dom, dworek, nie byle chałupę - to były jakieś perspektywy - a tak bardzo pragnęłam mieszkać wreszcie u siebie, we własnym domu. Wyliczyłam sobie, że rodzice owego wielbiciela pożyją jeszcze z dziesięć lat, siostry wkrótce wyda się za mąż i zostanę sama na gospodarstwie. Jedyne, co mnie gnębiło, to czy sobie poradzę z *wiedzeniem o wszystkim!*

- Cóż, rozważyłam za i przeciw - jestem strasznie wyrachowana, Charles, w miarę mojej opowieści twoja sympatia do mnie będzie coraz bardziej stygła, ale musiałam być wyrachowana, musiałam być twarda: jak inaczej poradziłabym sobie po tym, jak tato poszedł na wojnę, żeby polec bohaterko na polu bitwy? Cholerne wojny! Cholerni bohaterowie! Czemu, u diabła, nie mógł wrócić do domu, zamiast tak mnie zostawiać? Nie zostawił mi nic, dosłownie nic, oprócz matki, która ciągle wylegiwała się na szezlongu, a kiedy odeszła, musiałam kisić się w tej przeklętej dziurze w Norfolk, bez pieniędzy, bez porządnego wykształcenia, bez prawdziwych przyjaciół - tylko złachane ciuchy, nuda i rozpacz... Boże! Całą młodość czułam się jak kociak wrzucony do beczki na deszczówkę, żeby tam się utopił.

- A jednak przeżyłam, chlapałam wokoło i jakoś udało mi się utrzymać głowę nad wodą. Pomyślałam, że dzięki Thomasowi wydostanę się z beczki. Tak bardzo się jednak bałam *wiedzenia o wszystkim*, że mu powiedziałam: „Zanim podejmę decyzję, czy wyjść za ciebie, czy nie, muszę dokładnie wiedzieć, co małżeństwo za sobą pociąga”. Uważałam, że to bardzo rozsądna propozycja, ale on oczywiście był przerażony. Był porządnym młodzieńcem, który ubiegał się o rękę porządnej dziewczyny z plebanii - i nagle dziewczyna okazuje się szmatą! Zerwał przyjaźń obnosząc się ze

swoją prawomyślnością, ale wkrótce wrócił, zebrząc. W końcu tak to już z mężczyznami jest, prawda? Kiedy przychodzi do seksu, nie potrafią odmówić...

- Tak czy owak wylądowałam w stodole Thomasa, gdzie *dowiedziałam się o wszystkim* i naturalnie okazało się to wcale nie takie straszne, jak sobie wyobrażałam. Sądzę, że najbardziej mnie zaskoczyła banalność tego wszystkiego. ^Nie czułam wstrętu, jedynie zdumienie, że komukolwiek chciałoby zawracać sobie czymś takim głowę do tego stopnia, żeby to zrobić po raz drugi. A z całą pewnością wiedziałam, że ja nie chcę sobie zawracać głowy - dziękuję, nie - więc musiałam powiedzieć Thomasowi, że małżeństwo po prostu odpada. Biedaczysko! Ale już mi go nie szkoda, teraz już nie, bo wiem, że gdybyśmy się pobrali, byłby ze mną bardzo nieszczęśliwy.

- Cóż, i wtedy chlusnęło, wuj umarł i Kościół przysłał mi zawiadomienie, że mam opuścić plebanię. Ale ja nie popadłam w rozpacz. Byłam zbyt wściekła. Pomyślałam: „Ten przeklęty biskup Norwich będzie musiał coś ze mną zrobić!” I tak pojechałam do niego i zażądałam pracy. Zrobił się fioletowy niczym swoje szaty, nie wiedział, co począć, ale tak się złożyło, że gościł u niego akurat biskup Radbury, a biskup Radbury pomyślał natychmiast o swym nowym dziekanie.

- Pojechałam do Radbury na rozmowę wstępną. Wiesz, jak wygląda tam plebania dziekana? Piękna, osiemnastowieczna kamienica, dziesięć sypialni - o wiele ładniejsza niż wyblakły dworek Thomasa. Och, ledwo tam przyjechałam, a natychmiast zdałam sobie sprawę, że cały ten układ ma *olbrzymie* perspektywy! Niepokoiłam się przed spotkaniem z panią Jardine, ale kiedy tylko ją zobaczyłam, wiedziałam, co to za typ kobiety i byłam pewna, że sobie poradzę. Pani Jardine stanowiła o wiele miłszą, o wiele bardziej kochaną wersję mamy - kobietę stworzoną przez Boga wyłącznie po to, by ozdabiała szezlongi i doprowadzała męża do picia bądź bohaterkiej śmierci na jakiejś piekielnej wojnie. Widziałam jednak, że Carrie się spodobałam, więc pierwszą

przeszkodę miałam za sobą. Ale czekała mnie jeszcze rozmowa z dziekanem.

- Carrie zaprowadziła mnie do jego gabinetu. Spodziewałam się, że zobaczę jakiegoś siwowłosego, korpulentnego niedołęgę - zauważyłeś może kiedyś, jak wielu dostojników kościelnych to siwowłosi, korpulentni niedołędzy? - więc zapewne się domyślasz, co poczułam widząc przed sobą Adama Alexa Jardine'a.

- On miał czterdzieści osiem lat, ja dwadzieścia pięć. Wystarczyło jedno spojrzenie, a zrozumiałam, na czym polega *wiedzenie o wszystkim*. Zdaje się, że nawet ugięły się pode mną kolana - masz pojęcie! Zasadniczo nie oczekuje się od duchownego, że będzie wyglądał jak bożyszcze tłumów, choć oczywiście takie rzeczy się zdarzają: pamiętam, że czytałam kiedyś o jakimś wiktoriańskim księdzu, na którego kazaniach wszystkie parafianki mdlały i natychmiast pomyślałam: to Alex Jardine.

Duchowni mają do tego dodatkowy urok, ponieważ próbują żyć przyzwoicie, a każda kobieta w głębi duszy marzy o mężczyźnie, od którego nie tylko nie można oderwać wzroku, ale który też nie tarza się w błocie jak reszta świń, choć oczywiście chce, żeby tarzał się z nią. Przepraszam, Charles, czy moja szczerłość całkowicie ci już mnie obrzydziła? Może tobie też przydałoby się trochę brandy? Ale taka jest prawda, Charles, właśnie taka jestem za swoją maską: chłodna, wyrachowana, opętana przez seks. To zimne uosobienie cnoty było wyłącznie grą.

- Cóż, gdyby to była powieść Lawrence'a, Jardine i ja natychmiast wskoczylibyśmy do łóżka, ale życie nie jest takie proste jak to się wydaje współczesnym czy wiktoriańskim po-wieściopisarzom. W prawdziwym życiu ludzie nie są tacy czarno-biali, życie nie jest takie pewne, kryje w sobie znacznie więcej tajemnic, trudno cokolwiek w nim przewidzieć, a ludzie potrafią być znacznie gorsi niż w powieściach, ale także i znacznie lepsi.

Umilkła. Po chwili podjęła:

- Alex... - i znowu urwała.

To jedno słowo zawisło między nami w powietrzu. Zapadła kurtyna po pierwszym akcie, podniosła się przed drugim, ale cały mój komentarz, kiedy dolewałem sobie odrobinę brandy do sody, brzmiał: - Mów dalej.

IV

Alex był - i jest nadal - dobrym człowiekiem - zaczęła Lyle, wyciągając kieliszek, żebym jej nalał. - I to chciałabym wyraźnie podkreślić, żeby nie było żadnych wątpliwości, bo jeśli nie zrozumiesz tego, niczego nie zrozumiesz. Jest dobry i jest wierzący. Gdyby było inaczej, nie poradziłby sobie, Charles, nie dotarłby tam, gdzie jest dzisiaj.

- Ale nie rozumiałam tego, kiedy go pierwszy raz zobaczyłam. Bo, rozumiesz, choć tyle lat spędziłam w domu duchownego, prawie nic nie wiedziałam o szczerze wierzących księżach ani o prawdziwym życiu religijnym. Mój wuj był taki stary, interesowały go wyłącznie motyle; kapłaństwo oznaczało dla niego gwarancję dachu nad głową na stare lata oraz obowiązek uprzejmego odnoszenia się do sąsiadów. Jeśli chodzi o pobożność, uważałam, że to coś, co się robi w niedziele. Co więcej, obraziłam się na Boga, że pozwolił tacie zginąć. Posiadałam wiedzę na temat chrześcijaństwa, jednak byłam duchową analfabatką, więc kiedy się zorientowałam, że spodobałam się Alexowi, siadłam i czekałam, kiedy się do mnie dobierze. W końcu wszyscy mężczyźni to robili. Ale nie zdążyłam się obejrzeć, kiedy Alex próbował się mnie pozbyć.

- Nie mieściło mi się to w głowie. Ogarnęło mnie zdumienie. To mi uprzytomniło, jaką byłam ignorantką, dotarło do mnie, że świat jest znacznie bardziej skomplikowany niż mi się wydawało. Zawstydziałam się. Miałam wrażenie, jakby ktoś skierował na mnie snop światła i obnażył obrzydliwą kupkę

kości i ciała... Pamiętasz, co czuł święty Augustyn, kiedy zdał sobie sprawę, jak wyglądał w oczach Bożych przed nawróceniem? Ja właśnie poczułam się jak święty Augustyn. I jak on nienawidziłam siebie, pragnęłam jedynie stać się dobrą chrześcijanką. Nie mogę z ręką na sercu powiedzieć, że Bóg

od razu mnie przemienił, bo to nieprawda. Pozostałam mniej więcej taka sama, ale odrobinę dorosłam, nabrałam nieco więcej pokory, w większym stopniu uświadamiałam sobie swoją niewiedzę i trochę szczerzej pragnęłam odkryć, na czym naprawdę polega bycie chrześcijaninem.

- Tymczasem zaś nadal pracowałam u Jardine'ów: Carrie na samą myśl o moim odejściu dostawała hysterii i nagle ogarnęło mnie takie współczucie wobec Alexa, który nie tylko miał takie koszmarne problemy ze swoją żoną - oczywiście bardzo szybko zorientowałam się, jak wyglądało ich małżeństwo - ale także koszmarne problemy ze mną, wiecznie pod ręką. I pomyślałam wtedy: jeśli naprawdę go kochasz, pomożesz mu. Oświadczyłam więc, że nie sprowadziłam się do tego domu, żeby mu zniszczyć karierę, ale by umożliwić mu dojść aż do Izby Lordów. Byłam taka zdenerwowana, że zabrzmiało to bezczelnie i prowokująco i w pierwszej chwili sądziłam, że Alexa rozsądzi złość. Ale nie. W końcu się roześmiał. Roześmiał się i powiedział: „Co za dziewczyna!”

- Potem spoważniał. „Była pani ze mną szczerą”, powiedział, „a na to trzeba odwagi. Teraz ja będę z panią szczerą. Pragnę jedynie służyć Bogu najlepiej, jak potrafię, ale ciągle przeszkadzają mi w tym moje kłopoty. Jeśli stworzymy spółkę, w której pani zajmie się moimi problemami, dzięki czemu będę mógł służyć Bogu, przysięgam, że nigdy już nie pozostanie pani bez dachu nad głową. Ale by nasza spółka doszła do skutku, panno Christie, nie możemy dopuścić, by sytuacja na plebanii przypominała skrzyżowanie „Wież Barchester” i „Kochanka Lady Chatterley”. „Czy postawiłem sprawę całkowicie jasno?” Zapewniłam go, że tak. „Znakomicie”, oświadczył. „Daję pani trzy miesiące próby i zo-

baczmy, jak nam się będzie układało". „Świetnie", odparłam i podaliśmy sobie ręce.

- Tak wszystko się zaczęło. Niewinnie, prawda? I oboje chcieliśmy wyłącznie być dobrzy i przyzwoici. Piekło nie jest wybrukowane szampanem, łatwymi kobietami i szybkimi samochodami, jak to powiedział kiedyś ten stary głupiec, biskup Winnigton-Ingram. Ono naprawdę jest wybrukowane dobrymi chęciami.

- Oczywiście, Alex powinien był się uprzeć i mnie zwolnić. Ale Came... Biedna, kochana, najśłodsza Carrie... Gdybym nie kierowała plebanią, nie wyciągała jej z depresji, zrujnowałaby mu karierę. Nie potrafiłam zniechęcić Carrie - i to nie tylko dlatego, że jej w ogóle nie można nie lubić; ona naprawdę kochała mnie jak córkę. Ponieważ nigdy nie chciałam mieć dzieci, nie rozumiałam, jakie piekło przeżywają kobiety, które chcą je mieć i nie mogą, a Carrie przechodziła prawdziwe piekło. Alex także cierpiał, ale był w lepszej sytuacji: miał pracę, która dawała mu zapomnienie, poza tym miał mnóstwo okazji zaspokojenia instynktu ojcowskiego, wokół niego ciągle gromadzili się chłopcy z chóru i przygotowujący się do święceń, ale dopóki ja się nie pojawiłam, Carrie nie miała komu matkować.

- Spytałam ją, czemu nigdy nie adoptowali dziecka. Alex twierdził ponoć, że biorąc cudze dziecko, nigdy się nie wie, co się dostaje i dlatego wolał nieoficjalnie interesować się nieco starszymi. Cóż jemu to odpowiadało, ale dla niej było trudne. Nigdy jednak nie sprzeczała się z Alexem, przynajmniej nie wtedy, w początkach małżeństwa próbowała się z nim kłócić o macochę, ale kiedy z nimi zamieszkałam, Alex był w jej oczach bóstwem, a jego słowo rozkazem. Jak na ironię właśnie to stanowiło jeden z ich problemów. Na Alexa trzeba od czasu do czasu krzyknąć: nie wytrzyma, kiedy Carrie tonie we łzach, ogarnia go wtedy poczucie winy, że nie potrafi jej kochać tak, jak powinien. Co za wzruszająca para! Tak bardzo współczułam im obojgu: połączeni na zawsze, choć nic ich nie łączy oprócz niedopasowania i małżeńskiego łoża...

- Przypuszczam, że ciekawi cię, gdzie się podziało moje opętanie seksem. Nie bój się, zaraz będzie. Jak zwykle kręcili się jacyś mężczyźni, którzy pisali do mnie sonety, ale ja nie potrafiłam na żadnego

spojrzeć. Dla mnie istniał wyłącznie Alex i żyłam w świecie fantazji. Leżałam w łóżku i miałam to, co duchowni określają mianem „nieczystych myśli”. Zastanawiasz się pewnie, jak sobie z tym radziłam, ale tak naprawdę nieodwzajemniona miłość może być świetną zabawą: spytaj pierwszą lepszą zadurzoną pensjonarkę. Człowiek płonie i wzdycha w uroczym spokoju, żadna obrzydliwa, twarda rzeczywistość nie przerywa marzeń... Prawda wyglądała tak, że czułam się cudownie: miałam pracę, którą lubiłam, codziennie widziałam mężczyznę, którego kochałam, a co noc w wyobraźni przeżywałam najwspanialsze akty miłosne - a skoro już mówię prawdę, właśnie w ten sposób chciałam je przeżywać; mimo swych uczuć do Alexa nadal nie potrafiłam się pozbyć podejrzeń, że prawdziwy seks - nawet z nim - skończy się rozczarowaniem, dlatego sytuacja, jaka wytworzyła się na plebanii, bardzo mi odpowiadała. Szczerze mówiąc, przytrafiały mi się chwile zazdrości, ale niezbyt często i największa w tym chwala Carrie. Bo musisz wiedzieć, że z nas wszystkich ona jest najlepszą chrześcijanką: kocha Alexa, kocha mnie, zawsze jest taka dobra i wyrozumiała... Ostatecznie to ona, nie Alex, doprowadziła mnie do pełni wiary. Właśnie Carrie - biedna, głupia, beznadziejna Carrie - pokazała mi, jak żyć po chrześcijańsku i w końcu pokochałam ją bardziej niż kiedykolwiek kochałam moją próżną, wiecznie uskarżającą się, egocentryczną matkę.

- I tak oto dotarliśmy wreszcie do Starbridge... Czy ty rozumiesz, co ci próbuję powiedzieć? Wydaje mi się, że ubzdurałeś sobie, że jestem niewinną heroiną, uwięzioną przez podłych Jardine'ów, ale to wcale nie jest tak, Charles. Oboje, Carrie i Alex, są dobrymi, wierzącymi ludźmi. To ja jestem czarnym charakterem w zagadce Starbridge i tu dopiero zaczynają się moje knowania...

V

Czy to naprawdę opowieść o białych i czarnych charakterach? - spytałem, zapalając jej drugiego papierosa. - Przecież prawdziwe życie nigdy nie jest aż takie proste.

- Tak, sama wcześniej powiedziałam, że w prawdziwym życiu czerń nie jest tak wyraźnie oddzielona od bieli jak w powieści...

Uspokajała się. Palce już jej nie drżały, uścisk jej dłoni był pewny.

- Lepiej mi - powiedziała. - Ciekawe, czy to zasługa brandy czy zwierzeń? Chyba alkoholu, , bo przecież nie wyznałam ci niczego oprócz tego, jak bardzo jestem opętana na punkcie seksu.

- Zdajesz sobie sprawę - odparłem spokojnie - że gdybyś była mężczyzną, twoje starania o znalezienie dobrej pracy, pragnienie osiągnięcia jak najlepszych wyników, obsesję na punkcie seksu (obsesji, która u ludzi nie powołanych do celibatu nie jest niczym niezwykłym) uznano by za godne podziwu albo przynajmniej normalne?

Jej oczy nagle wypełniły się łzami.

- Próbujesz mnie usprawiliwić. Jestem taka zepsuta, niewdzięczna, nic niewarta...

- Mam cię! - zawołałem. - Też odstawiałem tę scenę, dopóki nie wkroczył ojciec Darrow i nie zmienił mojej roli. Głowa do góry! Może jesteś nic niewarta, ale wątpię, żebyś była mniej warta niż ja, .a zresztą możemy spędzić interesująco życie, będąc sobie razem nic niewarci. Wróćmy jednak do twojej opowieści. Dotarliście wreszcie do Starbridge...

Przerwa się skończyła, kurtyna się podniosła i rozpoczął się trzeci akt.

VI

Dotarliśmy wreszcie do Starbridge - podjęła Lyle, zaciągając się głęboko - i niemal natychmiast zaczął się kryzys. Już od jakiegoś czasu się to zbierało. Ja miałam trzydzieści lat, Alex

pięćdziesiąt trzy, Carrie zaś czterdzieści osiem - i Carrie zaczęła przechodzić zmiany. Pod względem fizycznym nie doszło do żadnych dramatycznych zmian, nie nękały jej żadne okropne dolegliwości, ale rozpadła się psychicznie, bo tylko nadzieja posiadania dziecka pomagała jej wytrwać w trudnym związku. Alex nie należy bynajmniej do najłatwiejszych mężów i choć go uwielbiała, nieraz jego wybuchowość i kąśliwe uwagi dały jej się we znaki. Jednak pragnienie posiadania dzieci dawało jej siły do bycia, jak to Alex nazywa, „obowiązkową” żoną

- co za obrzydliwe, wiktoriańskie określenie! - i choć seks nigdy szczególnie się dla niej nie liczył, w okresach dobrej kondycji psychicznej z lepszym lub gorszym skutkiem udawało jej się wywiązywać ze swoich obowiązków. Ale jak teraz miała stawić czoła przyszłości bez dzieci? Oto było pytanie. Sytuację dodatkowo pogarszał fakt, że bała się opuszczać Radbury, gdzie (dzięki mnie) panowała nad swoim życiem, i przenosić się do przytłaczającego ją pałacu w Starbridge, gdzie miała pokierować dwunastoosobową służbą. Oczywiście, nadal miała mnie do pomocy, ale jako żona biskupa znalazła się na świeczniku, obserwowana ją cała diecezja i ja nie mogłam jej przed tym ochronić.
- To było wystarczająco złe, ale gwoździem do trumny stała się śmierć siostry Alexa, kiedy okazało się, że trzeba przyjąć do pałacu jego macochę. Carrie nie nienawidziła starszej pani J.
- nie sądzę, żeby w ogóle potrafiła kogokolwiek nienawidzić
- ale była głęboko przekonana, że sobie z nią nie poradzi. W obecności pani J. dostawała kompleksu niższości - tak to się chyba nazywa - czuła się głupia i żalosna. Oczywiście, sama pani J. była faktycznie bardzo twardą kobietą i nie tylko nienawidziła Carrie, ale wręcz nią gardziła.
- Jednak kiedy starsza pani J. przeprowadziła się do Starbridge, zachowywała się bardzo poprawnie - tak się cieszyła, że znów mieszka z Alexem - i problem brał się nie z jej wrogości, ale z tego, że Carrie nie potrafiła uwierzyć, że tamta naprawdę

stara się być życzliwa: wiesz, jacy prześladowani czują się ludzie, gdy znajdują się na progu załamania. Chodziłam od lekarza do lekarza, zadreńczając ich o pomoc dla Carrie, wreszcie któryś, kiedy skończyły się lekarstwa, zasugerował psychiatrę. Alex zareagował, jakby tamten chciał odczyniać jakieś gusła, uważa psychiatrę za stek bzdur, rodzaj herezji porównywalnej ze spirytyzmem.

- Wreszcie kryzys osiągnął punkt kulminacyjny. Carrie, która w ogóle przestała wychodzić z pałacu i spotykać się z kimkolwiek, oświadczyła Alexowi, że chce mieć osobną sypialnię. Koniec z seksem. Jaki to ma sens, stwierdziła, skoro i tak nic z tego nie wyniknie. Cóż, Alex mógł się pogodzić z brakiem dzieci, ale z brakiem seksu nie. Wiedziałam o tym. Wtedy już Carrie mówiła mi o wszystkim - biedactwo, oprócz mnie nie miała nikogo, żeby się zwierzyć - ale kiedy Alex się dowiedział, że opowiadała mi o szczegółach ich pożycia, wpadł we wściekłość. Pokłóciliśmy się. Oskarżał mnie, że zachęcam Carrie do intymnych zwierzeń. Powiedziałam, że to nonsens i że na pewno doskonale zdaje sobie z tego sprawę. „Masz szczęście”, ciągnęłam, „że to mnie się zwierza, a nie komuś innemu, bo wiesz doskonale, że ja nie puszczę pary z ust”. „Powinienem się ciebie pozbyć!”, zawołał. „Och, jakież z ciebie cholerny głupiec!”, krzyknęłam. Podobało mu się to. Alex lubi kobiety, które nie boją się na niego wydrzeć. „I co ja mam zrobić?”, spytał. „Przestań być wreszcie takim upartym, wiktoriańskim osłem i wyślij ją do psychiatry”, poradziłam.

- Zabrał ją do Londynu - po prawdzie, to pojechaliśmy w trójkę. Psychiatra był całkiem miły, ale nawet nie próbował jej leczyć. Nie miał czarodziejskiej różdżki, za pomocą której mógłby powstrzymać klimakterium. Ona jednak go polubiła, więc zaczęliśmy żywić nadzieję, a kiedy podsunął, że krótkie wakacje mogą mieć na nią zbawienny wpływ, całą trójką pociągnęliśmy do Bournemouth.

- Carrie rzeczywiście poczuła się nieco lepiej. Psychiatra nie

okazał się jednak zupełnym niewypałem, a kiedy udało mi się wyciągnąć Carrie z pałacu, żeby kupiła sobie trochę ubrań na wyjazd, prawie całkiem wróciła do siebie. Alex sądził, że wyzdrowiała. Pobożne życzenia... „Rezerwuje ksiądz biskup trzy pokoje w hotelu, prawda?”, spytałam. „To bardzo impertynenckie pytanie, panno Christie i nie czuję się w obowiązku na nie odpowiadać”, stwierdził. Wreszcie znaleźliśmy się w hotelu i oczywiście zarezerwował dla nich podwójny pokój. Wiedziałam, że to się skończy klęską i się nie pomyliłam. Pierwszego wieczoru, kiedy Alex kąpał się w łazience, Carrie przyszła do mnie we łzach, pytając, czy mogłaby spać u mnie. Była w strasznym stanie, zupełnie roztrzęsiona i kiedy wyszłochała, że nie śmie sama powiedzieć o tym Alexowi, odparłam natychmiast: „Nie przejmuj się, kochanie, ja mu o tym powiem”.

- Do ich sypialni przylegała łazienka - Alex zawsze lubił szaleć w hotelach. Miałam na sobie szlafrok. Usiadłam na łóżku i słuchałam odgłosów kąpieli, wreszcie Alex wyszedł z łazienki jedynie w ręczniku owiniętym wokół bioder. „Biskup Durham opowiadał kiedyś niezłą historyjkę o tym, jak pewnego razu w Szwecji został wykąpany przez młodą masażystkę, - jaka szkoda, że w tym hotelu nie prowadzą podobnych usług!” Śmieszne, do tej pory doskonale pamiętam tamte słowa. Może dlatego, że równie świetnie pamiętam, co sobie wtedy pomyślałam: „Nareszcie. Zajął jej miejsce. Mówi do swojej żony, a ja tego słucham”. I w tej właśnie chwili pojęłam, że wreszcie chcę prawdziwego seksu.

- W tej samej chwili Alex się odwrócił i mnie zobaczył. Poblądł jak ściana. Potem bardzo starannie ubrał się w szlafrok i mocno zawiązał pasek. Powiedziałam mu, co się stało. „Muszę z nią porozmawiać”, stwierdził. „Nić sądzę, żeby to był dobry pomysł”, odparłam. „Lepiej niech zostanie u mnie i zajmiecie się całą sprawą jutro, po przespanej nocy”. „A gdzie, jeśli wolno spytać, zamierza pani spać?” „Cóż, przyzwyczaiałam się zastępować Carrie tam, gdzie sobie nie radzi, a nie mam ściśle

wyznaczonych godziny pracy. Czemuż więc nie mogłabym jej zastąpić i tutaj?", brzmiała moja odpowiedź. I Alex - kochany Alex - powiedział: „Droga panno Christie, zdaje się, że nagle znaleźliśmy się na stronach «Kochanka Lady Chatterley»". Proponuję, żebyśmy natychmiast przenieśli się do Wież Barchester. I dodał: „Proszę, niech pani wróci do siebie i powie Carrie, że musi wrócić. Będzie spała w łóżku sama, podczas gdy ja zdrzemnę się w fotelu. Proszę jej powiedzieć, że nie będę się złościł, nie wybuchnę gniewem, nie powiem jej złego słowa, bo zbyt będę zajęty modlitwą i gorącym błaganiem Boga, by zechciał nas wszystkich wyzwolić z tej ogromnie krepującej, katastrofalnej sytuacji bez wyjścia". Czyż nie zachował się wspaniale?

- Wróciłam do siebie i przysięgłam Carrie, że nie musi się bać. Potem słowo w słowo powtórzyłam jej, co powiedziałam Alexowi. Jej pierwszą reakcją był okrzyk zachwytu: „Ależ oczywiście! To doskonale rozwiązanie!" i serdecznie mnie ucałowała, Ale później się zreflektowała: „To by nie było dobre i Alex nigdy by czegoś takiego nie zrobił". Jednak w chwilę potem mówiła: „To takie dziwne, bo czuję, że to *powinno* być dobre, czy ty też tak czujesz, Lyle?" Powiedziałam jej, że tak. W końcu wszyscy uznaliśmy, że to będzie dobre. Ale żadne z nas nie wiedziało, jak to rozwiązać od strony moralnej.

- Skróciliśmy wakacje i wróciliśmy do Starbridge, tłumacząc to złym samopoczuciem Carrie, choć Carrie poczuła się znacznie lepiej. Dostrzegła światelko w tunelu i ja też, choć ogromnie się niepokoiłam o Alexa, bo wiedziałam, że był w rozpacz. Ciągle tylko pisał o swoich rozterkach w pamiętniku. Wreszcie po wielu dniach złamał swoją żelazną zasadę nierozmawiania z macochą o swoich problemach małżeńskich i, oczywiście, starsza pani J. w jednej chwili znalazła rozwiązanie. Doskonale rozumiała, że Alex nie potrafi żyć bez seksu i przydzieliła mi swoją rolę w powtórzeniu jej wielkiego romansu z ojcem Alexa. Jednak sytuacja nigdy się nie powtarza dokładnie tak samo, prawda?

Ojciec Alexa był wdowcem, podczas gdy Alex był jak najbardziej żonaty.

- Jednak starsza pani J. urodziła się luteranką i wiedziała, że Luter I uważał, że odmowa stosunku małżeńskiego może stanowić podstawę uzyskania rozwodu. Oprócz tego przeżyła dwadzieścia pięć lat z ojcem Alexa, który twierdził, że kapłani są niepotrzebni, biurokracja to wściubianie nosa w nie swoje sprawy i każdy może zawrzeć związek przed Bogiem, nie musząc tego potwierdzać w ustalony przez Kościół i państwo - a więc przez ludzi - sposób. Starsza pani J. ani przez chwilę się nie wahała. Wiedziała, co powinien, zrobić Alex. Carrie też się nie wahała. Ja też się nie wahałam... Tylko Alex był zupełnie zagubiony. Wreszcie pani J. dała mi swój sygnet - właśnie ten, moją obrączkę. Alex był przy tym: wcześniej poprosiła, żebyśmy przyszli oboje do jej pokoju. „Chcę, żeby miała tę obrączkę i chcę, żebyś ją jej nałożył na palec”, zwróciła się do niego.

- Można powiedzieć, że w końcu nas ożeniła. Jednak Alex musiał to uporządkować. Ma zacięcie prawnika i lubi każdą sytuację najpierw wyraźnie określić, wszystko jasno ustalić. Poszedł po Carrie. Było już dość późno i Carrie właśnie szykowała się do snu, ale natychmiast przyszła w jednym z tych przepięknych peniuarów - od miesiący nie wyglądała równie dobrze. Ja byłam w dość ponurej czarnej sukni wieczorowej, więc Alex wyjął różę z wazonu i ozdobił nią mój dekolt. Sam miał na sobie kompletny strój biskupi: sutannę, krzyż na piersi i całą tę resztę. Starsza pani Jardine jak zwykle tonęła w szarościach. Musieliśmy wyglądać groteskowo! A jaka ta cała scena musiała być dziwaczna! Alex w krótkim wystąpieniu przedstawił jasno całą sytuację; sądzę, że musiał to zrobić, żeby sam siebie przekonać, że postępuje słusznie i kiedy skończył, rzeczywiście wszystko wydawało się takie rozsądne, że tylko się człowiek zastanawiał, czemu nikt wcześniej nie stworzył podobnego precedensu. Alex oświadczył Carrie, że chce się z nią rozwieść, ponieważ odmawia mu pożycia małżeńskiego i stwierdził, że

wierzy głęboko, że przez taką odmowę małżeństwo staje się fikcją, jego duchowa struktura uległa zniszczeniu, pozostała jedynie powłoka prawnych formalności, a jeśli o nie chodzi, Bogu na pewno nie trzeba prawników, by usankcjonować rozwiązanie duchowej pustki; obustronna zgoda wystarcza do rozwiązania ludzkich więzów.

- Alex obiecał Carrie, że zawsze ją będzie utrzymywał i do końca swoich dni w oczach świata pozostanie jego żoną. Spytał, czy ma jakieś zastrzeżenia, powiedziała że nie, że bardzo go kocha i jest pewna, że to najlepsze rozwiązanie. Obiecała, że zrobi wszystko, co w jej mocy, by w oczach świata pozostać najlepszą żoną. „W takim razie oświadczam wobec Boga, że moje małżeństwo z Caroline zostaje rozwiązane”, oznajmił i po chwili ucałował ją, pytając, czy chce zostać jeszcze chwilę, by uczestniczyć w jego małżeństwie ze mną. Powiedziała: „O, tak, najdroższy, włożę najlepszy peniuar!” i wszyscy się roześmieliśmy, mimo ogromnego napięcia i choć byliśmy bliscy łez. „Przyniesz szampana, Alex, i kieliszki na później”, rozkazała nagle starsza pani J. Wiedziała, że był zbyt wzruszony, by kontynuować uroczystość. Wszedł więc, żeby się pozbierać, Carrie udała się do łazienki, a ja usiadłam przy wózku pani J., podczas gdy ona trzymała mnie za rękę.

- Kiedy Alex wrócił, pobraliśmy się. I znowu zrobił to formalnie, wyraźnie określając warunki, podkreślając, że póki Carrie żyje, małżeństwo musi zostać naszą tajemnicą. Przyjęłam te warunki, złożyliśmy sobie przysięgę i wsunął mi sygnet na palec. Carrie oczywiście płakała, wczuwając się w swoją rolę „matki panny młodej”. To była bardzo dziwna i wzruszająca chwila. Objęłam Carrie i porosiłam, żeby nie przestawała mnie kochać. „Jak mogłabym przestać? Zawsze będę kochała was oboje i chcę, żebyście byli szczęśliwi”, powiedziała tylko.

- Potem wypiliśmy po kieliszku szampana, bezwzględna pani J. odesłała Carrie do łóżka i została z nami sam na sam. Wtedy ucałowała mnie i powiedziała: „Teraz mogę umrzeć spokojnie ze

świadomością, że Alex wreszcie będzie szczęśliwy" i rzeczywiście umarła, ale dopiero po kilku miesiącach, tak że mogła na własne oczy zobaczyć, jak był ze mną szczęśliwy.

- Tymczasem Alex i ja dopełniliśmy ceremonii, idąc razem do łóżka. W niczym to nie przypominało moich fantazji - był tak napięty, że początkowo nie potrafił osiągnąć wzwodu. „Obawiam się, że to jednak nie przypomina «Kochanka Lady Chatterley»", powiedział, na co ja odparłam: „Ale z pewnością daleko temu do «Wież Barchesten»"! Roześmialiśmy się i wszystko poszło dobrze. Lyle zgasiła papierosa. Już od dawna przestała mi patrzeć w oczy i teraz też trzymała twarz odwróconą.

- Przepraszam, że tak się nad tym rozwodzę, ale chcę, żebyś dokładnie zrozumiał, jak to wyglądało.

- Ja też tego chcę. Zaparzyć może trochę herbaty? Jeśli dalej tak będziemy szastać brandy, upijemy się przed końcem spektaklu.

Wreszcie odważyła się na mnie spojrzeć. Uśmiechnąłem się do niej, żeby ją podnieść na duchu. Potem wypuściłem jej rękę, wstałem i poszedłem nalać wody do czajnika.

VII

Czy właśnie czegoś takiego się spodziewałeś? - spytała Lyle, kiedy wróciłem z kuchni.

- I tak, i nie. Z grubsza się domyśliłem, ale nie zdawałem sobie sprawy z ogromnego napięcia psychicznego, jakie temu towarzyszyło. No i nie przewidziałem takiego podziału ról. Oczywiście, uznałem, że wszystko to było pomysłem Jardine'a...

- Nie, ja pierwsza zaczęłam go podżegiwać. W końcu to starsza pani J. pchnęła go do czynów. Szkoda, że jej nie znałeś. Miała niesamowity wpływ na Alexa.

- Jak właściwie...

- Nie wiem - odparła Lyle. - Odgrywałam idealną żonę i czeka-

łam, aż Alex sam mi się zwierzy, ale pozostał bardzo powściągliwy w tej kwestii.

- Może nie było tam nic takiego.

- Jestem pewna, że coś było. Podejrzewam, że łączyła ich bardzo silna więź, gdzie seks jest albo niepotrzebny, albo nieważny, czasem przytrafiają się takie więzi między rodzeństwem, choć jestem pewna, że Ingrid i Alex nigdy nie uważali się za siostrę i brata. Wiem też, że nigdy nie widział w niej matki - sam przyznał, że zbyt dobrze pamiętał własną matkę, zresztą Ingrid nie była typem macierzyńskim. W okresie dorastania mógł ją uważać za żonę ojca, ale kiedy się dowiedział o ich nieformalnym związku - a stało się to wtedy, gdy Ingrid porzuciła dom, by mu prowadzić gospodarstwo - przypuszczam, że zaczął ją traktować jak wolną, zakochaną w nim kobietę. Nadal wątpię, żeby się z nią przespał - Alex jest taki głęboko religijny - ale... Kto wie? Jeśli ich związek był całkowicie niewinny, czemu nie potrafił mi o nim szczerze opowiedzieć? I czemu tak spieszył się do małżeństwa, ledwo mógł sobie na nie pozwolić - tak jakby czuł, że koniecznie musi jak najszybciej i raz na zawsze uciec od pokusy?

- Może coś się narodziło w Starmouth, skończyło, gdy wróciła do jego ojca i znowu się zaczęło w Londynie, po śmierci tamtego?

- Nie wiem, po prostu nie wiem. Równie dobrze można twierdzić, że spieszył się do małżeństwa, bo bał się, żeby platoniczna przyjaźń nie nabrała innego charakteru. Przecież nie można się żenić z żoną ojca, nawet jeśli małżeństwo Ingrid było takie szczególne. Dlatego nie mógł się z nią ożenić - a ponieważ był głęboko wierzącym duchownym, żaden innych związek nie wchodził w grę, ale powiadam ci, Charles: choć nigdy nie dowiemy się, czy ona i Alex zostali kochankami, jestem głęboko przekonana, że niechęć starszej pani J. do Carrie brała się z zazdrości.

- A o ciebie nie była zazdrosna?

- Chyba uznała, że to bez sensu. W 1932 roku, kiedy wyszłam za Alexa, miała już ponad siedemdziesiąt lat, wiedziała, że niewiele życia jej zostało i chciała jedynie zobaczyć Alexa szczęśliwego. Poza

tym lubiła mnie. Dobrze się dogadywałyśmy. Była zachwycona ślubem - co więcej, gdybym miała postawić naprawdę dziwną tezę, powiedziałabym, że znajdowała ogromną, grzeszną podniechęć w popychaniu mnie w ramiona Alexa i wyobrażaniu nas sobie w łóżku, ale kto wie, co naprawdę sobie myślała? Czy ktoś w ogóle wie, co jest rzeczywistością, a co nie? Weź chociażby filozofów:

Berkeleya, Hume'a...

- O wiele bardziej wolę skupić myśli na tobie. Słodzisz?

- *To* jest rzeczywistość! Nie, dziękuję, tylko mleko. Nalałem jej herbaty.

- Na razie nie widzę w tej opowieści czarnych ani białych charakterów, jedynie ofiary.

- Ofiary Boga? Czy może ofiary szatana? - I dodała nieoczekiwanie: - To prawdziwy dar, prawda?, umiejętność odróżniania w niepewnych sytuacjach, co jest działaniem Bożym, a co szatana. Alex mówił, że to się nazywa charyzmatem rozpoznawania duchów.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

- Zadzwoń na koniec przerwy i zacznijmy kolejny akt - powiedziałem wreszcie. - Wypróbujmy moją umiejętność rozpoznawania duchów.

Rozdział drugi

„Osobiście skłaniam się ku opinii, że jeśli powstaje sytuacja, kiedy względy rozsądku bądź sprawiedliwość nakazują rozstanie małżonków, winno się to uznawać za wystarczający powód do uzyskania rozwodu.

Zanim pozwoli się jednej z tych osób odejść, musimy zyskać całkowitą pewność, że w sensie duchowym nie są małżeństwem. Tam gdzie mamy do czynienia z moralnością, nie możemy oceniać wszystkiego wedle obecności lub braku oficjalnego dokumentu”.

More Letters of Herbert Hensley Henson, zebr. E. F. Braley

I

Przez dłuższy czas - podjęła Lyle, pijąc herbatę - wszystko układało się świetnie. A może powinnam raczej powiedzieć, układało się świetnie mimo naszej szczególnej sytuacji, która wszystko ogromnie utrudniała. Pierwszym podstawowym problemem było zachowanie tajemnicy. Przeniosłam swoją sypialnię w ów odległy kraniec w południowej wieży, jednak Alex uważał, że wyglądałoby podejrzanie, gdyby w tym samym momencie zmienił sypialnię, tak więc on i Carrie dalej mieszkali w jednym pokoju, choć Alex sypiał w garderobie. Później kupili dwa zsuwane łóżka, tak że od czasu do

czasu mogli sypiać w tych samych czterech ścianach i zachować wobec służby pozory istnienia pożycia małżeńskiego.

- Jednak niebezpieczeństwo wydania sekretu przyszło z zupełnie innej strony. Alex i ja po pięciu latach ukrywania uczuć, nabraliśmy w tym wprawy, ale niełatwo było udawać obojętność, kiedy rozpoczęliśmy współżycie - właśnie takie nieustanne włączanie i wyłączanie uczuć okazało się trudne. Ustaliliśmy niezłomną regułę, że obejmować się będziemy tylko i wyłącznie w moim pokoju - i to przychodziło nam trudno, bo oboje często tak bardzo pragnęliśmy przelotnie się pocałować. Jednak ryzyko było zbyt duże. Przyjęliśmy także zasadę niezaniechania Carrie - co więcej, na początku Carrie stanowiła dla nas poważny problem, bo oboje czuliśmy się względem niej winni; nic nie mogliśmy na to poradzić, choć zdawaliśmy sobie sprawę, że z własnej, nieprzymuszonej woli zgodziła się na rozwód. Carrie stanowiła także problem z innego powodu, biedactwo. Strasznie się baliśmy, czy się nie zdradzi. Przez pierwsze kilka miesięcy pilnowałam jej jak sępa, ale Carrie nigdy nas nie zawiodła, doskonale zdawała sobie sprawę, jak bardzo ważne jest, by nigdy się nie pomyliła.

- Kolejną rzeczą, która początkowo przysparzała nam problemów był seks. To może cię zaskoczyć, przypuszczam, że wyobrażałeś sobie, że godzinami oddawaliśmy się rozkoszy, tymczasem tak nas paraliżował strach przed moją ewentualną ciążą, że po naszej nocy poślubnej przez dłuższy czas w ogóle nie szliśmy na całość. Miało to tę dobrą stronę, że dzięki temu przyzwyczyłam się do intymnego pożycia i nie stanowiło to dla mnie szoku. Wreszcie pojechałam do stolicy, zgłosiłam się do kliniki, udając legalnie poślubioną małżonkę i tam otrzymałam diafragmę. Od tamtej pory wszystko było dobrze, ale seks miał zawsze nieco ciemną stronę - posmak potajemnego romansu. Na przykład oboje martwiliśmy się o ślady na prześcieradle, dlatego w końcu zawsze kładłam się na szalu, który potem sama prałam... Och, dobry Boże, Charles, wybac, że wywlekam

te szczegóły, ale chcę być z tobą szczerą, chcę byś dostrzegł tę rozdzierającą, nagą prawdę...

- Najważniejsze, żebyś była szczerą. Powiedz, czy Jardine'a nigdy nie złapano, kiedy szedł do ciebie? Na jego miejscu bym się tego obawiał.

- Cóż, on rzadko przychodził nocą. Uznał, że ludzie zawsze podejrzewają najgorsze, kiedy w środku nocy widzą ubranego w szlafrok mężczyznę skradającego się na palcach korytarzem, ale nikomu nawet nie drgnie powieka, kiedy w środku dnia całkowicie ubrana mężczyzna swobodnym krokiem idzie przez ten sam korytarz. Zwykle Alex przychodził do mnie wczesnym rankiem, koło szóstej. Pokój obok mojej sypialni przerobiono na łazienkę, więc nigdy nie musiałam się bać, czy nie przyjdzie służąca z ciepłą wodą, zimą zaś sama rozpalałam w kominku, żeby „oszczędzić pokojówce pracy” - to zrobiło na służbie dobre wrażenie i przysporzyło mi sympatii - tak że zjawiała się u mnie dopiero koło dziewiątej, żeby posłać łóżko. Wczesne ranki zawsze stanowiły najlepszą porę, czasem też spotykaliśmy się przed wieczorem, kiedy wszyscy przebierali się do kolacji... Wtedy jednak nasze spotkania zawsze były spotkaniami kochanków, nie męża i żony. Początkowo to mnie bardzo podniecało, szybko jednak zaczęłam pragnąć całej nocy z nim, jak prawdziwa żona. On jednak zawsze powtarzał, że to niemożliwe: jakiś diabelny ksiądz mógł sobie w każdej chwili palnąć w łeb, albo w katedrze wybuchłby pożar - i cena mogłaby się okazać zbyt wysoka, gdyby nie znaleziono biskupa we właściwym łóżku.

- Sądzę, że się domyślasz, do czego zmierzam, prawda? Zaczęłam być niezadowolona. Owo niezadowolenie narastało stopniowo, tak powoli, że przez dłuższy czas w ogóle go sobie nie uświadamiałam. W miarę jednak jak coraz lepsza się stawałam w byciu nieoficjalną żoną Alexa, tym bardziej pragnęłam stać się żoną biskupa w oczach świata. To tak jakby w całej tej sytuacji od początku były posiane ziarna samozniszczenia.

- Niezadowolenie wywierało niekorzystny wpływ na moje życie duchowe - przypuszczam, że jako kapłan zacząłeś się nad tym zastanawiać. Cóż, po ślubie wszystko było świetnie; Alex zapewnił mnie, że nie ma najmniejszej mowy o popełnianiu przez nas cudzołóstwa, więc oczywiście mu wierzyłam. Bo i czemu nie! U licha, w końcu był biskupem! Tak że w tej kwestii sumienie miałam czyste i co tydzień przystępowałam do komunii, ale kiedy stałam się nieszczęśliwa... i los, dotąd tak dobry, coraz większej nabierał goryczy... Zaczęło mi świtać, że zostałam ukarana. Nie chciałam jednak dzielić się z Alexem moimi wątpliwościami, nie tylko dlatego, że wstydziłam się braku wiary w niego, ale dlatego że, szczerze mówiąc, Alex nie nadaje się na kierownika duchowego. Umie współczuć, nie brak mu intuicji i wycucia, ale nie potrafi się oprzeć pokusie wygłoszenia błyskotliwej mowy, która rozwiązuje wszelkie problemy, na jakiś czas ustawiając je w jego perspektywie. Wiedziałam, że gdybym przyznała się do wątpliwości, Alex skutecznie by mnie przegadał. Ja jednak nie chciałam przemowy, chciałam, by ktoś mnie wysłuchał i nie miałam absolutnie do kogo się zwrócić.

- Wtedy wydarzyło się coś bardzo dziwnego. Jak już wcześniej wspomniałam nie byłam typem macierzyńskim, ale pewnego dnia, kiedy chodziłam po mieście, zobaczyłam dziecko w wózku i nagle pomyślałam: „Gdybym była prawdziwą żoną, miałabym takie samo”. I natychmiast wyobraziłam sobie rozkosznego chłopczyka o złotych oczach, który woła: „Mamusi! Mamusi!” i wyciąga rączki, by go przytulić. Wyobrażasz sobie? Nie wiedziałam skąd mi się to wzięło, przynajmniej na początku. Myślałam: jak mogę być tak beznadziejnie sentymentalna? Ale wtedy uświadomiłam sobie, że dziecko symbolizuje wszystkie ważne rzeczy, których zawsze tak bardzo pragnęłam, a nigdy nie zdobyłam. To nie był nagły wybuch instynktu macierzyńskiego, choć sądzę, że pragnienie posiadania dziecka staje się coraz silniejsze w miarę gdy bezdzielna kobieta się starzeje i uświadamia sobie, że czas bezlitośnie ucieka. Tak, teraz wydaje mi się, że instynkt ma-

cierzyński zaczął wypierać moją początkową niechęć do posiadania potomstwa, gdy skończyłam trzydzieści lat. Ale nie o tym myślałam, patrząc na dziecko w wózku. W tamtej chwili zdawałam sobie jedynie sprawę, że po raz kolejny stoję twarzą w twarz z kolejnym ogołoceniem. Całe życie mnie z czegoś obdzierano. Najpierw odebrano mi ojca, odebrano szansę życia w normalnej rodzinie, odebrano możliwość posiadania *prawdziwego* męża - a kiedy zobaczyłam, że po raz kolejny zabrano mi miłość, miłość dziecka, proste, *nieskomplikowane* uczucie, bez kłamstw i oszustw, uczucie, którego kobieta może być pewna... Nie mogłam tego znieść. Znowu czułam się, jak kociak tonący w beczce z deszczówką.

- Szukałam pocieszenia u Alexa, ale on na nic się nie przydał. Tylko się zasmucił. Powiedział: „Myślisz, że ja też nie oddałbym wszystkiego, byle mieć dziecko?”, jednak tego typu wyznanie wcale mi nie pomogło. Poczułam się jeszcze gorzej i w końcu się pokłóciliśmy. To zasmuciło Carrie. Zawsze wyczuwała, kiedy między nami coś się nie układało. Pewnego dnia zastałam ją płaczącą. Początkowo nie chciała mi się przyznać, o co chodzi, ale wreszcie powiedziała: „Pewnie chcesz, żebym umarła, to mogłabyś naprawdę go poślubić”. Poczułam się strasznie, byłam zdruzgotana. Objęłam ją mocno i pocieszałam, że nie, ależ skąd, nigdy, przenigdy... Ale oczywiście nieraz się zastanawiałam, ile jeszcze pociągnie.

- Czy dociera do ciebie, jak koszmarna stawała się cała ta sytuacja? Miałam wrażenie, jakby ktoś - Bóg albo diabeł - wziął gigantyczną łychę i powoli nas podgrzewał. Czułam się coraz bardziej zagubiona, nie wiedziałam, co myśleć o Carrie, co myśleć o Alexie, co myśleć o naszym małżeństwie... Wreszcie nabrałam odrazy do seksu. Alex nie mógł się z tym pogodzić - i nie tylko z czysto egoistycznych względów, ale dlatego, że myślał, biedny Alex, że skoro tak niewiele może mi oferować, jedyne, co naprawdę może, to dać mi przyjemność w łóżku. Trochę potrwało, nim zrozumiałam, a kiedy pojęłam... Och, gnębiły mnie takie wyrzuty

sumienia, czułam się taka nieszczęśliwa, że on jest nieszczęśliwy i oczywiście dałam się z powrotem namówić na współzycie. Właśnie wtedy - kiedy mnie ponownie uwiódł - zaczął... Nie, nie mogę tego wypowiedzieć na głos. Są rzeczy naprawdę zbyt dziwne, by o nich głośno mówić. Ale postarał się, żeby seks był lepszy niż kiedykolwiek.

- Ale czy widzisz, jak trójkąt zaczynał się rozłazić? Wszyscy się kochaliśmy, ale żadne z nas nie było szczęśliwe. I wtedy - to było w maju - nie mogłam już dłużej znieść widoku Carrie odgrywającej publicznie rolę żony: otwierającej jarmarki, przewodniczącej zebraniom komitetów dobroczynnych. Nie mogłam znieść, że na niej skupia się cała uwaga co ważniejszych duchownych i ich żon... To było nie do wytrzymania. Czułam, że ogarnia mnie coraz większy gniew, coraz większa gorycz: to ja tak ciężko pracowałam, ja dawałam mu przyjemność w łóżku, to mnie kochał, a jednak byłam nikim, po prostu starzejącą się starą panną, o której plotkowano, że żywi nieodwzajemnione uczucia do biskupa. Och, często chciałam głośno krzyknąć z wściekłości i bólu, a moje uczucia sięgnęły szczytu w czasie koronacji, kiedy Carrie zasiadła w katedrze na miejscu przeznaczonym dla żony biskupa. Coś we mnie pękło i wylałam na nich całą moją wściekłość... Potem nienawidziłam siebie, bo tak strasznie ich to zabolalo, a poza tym zdałam sobie sprawę nie tylko, że ogromnie ich kocham, ale także jak absolutnie jestem z nimi związana. To właśnie miłość do nich obojga - choć każdego kochałam w zupełnie inny sposób - mnie zniewalała, ciężar ich połączonej miłości przygniatał mnie, unieruchamiał w układzie, z którego nie mogłam się wyrwać.

- Cóż, jakoś się pogodziliśmy, ale nie pojechałam z nimi do Londynu. Zostałam w domu i myślałam, myślałam, myślałam... Doszłam do tego okropnego etapu, kiedy myśli krążą, wirują w głowie. Carrie może umrzeć jutro, ale równie dobrze może żyć i dwadzieścia pięć lat. Jak długo wytrzymam dalej w takiej sytuacji? Czy moje małżeństwo jest ważne w oczach Boga czy

Susan Howatch

nie? Ciągłe jeszcze potrafiłam sobie wmówić, że tak, ale z pewnością zaczęłam się zastanawiać, czy nie wpadliśmy w jakąś okropną pułapkę. Miałam trzydzieści pięć lat, czas płynął, a ja mogę nigdy nie mieć rozkosznego chłopczyka o złotych oczach, dziecko może pozostać nie spełnionym marzeniem. Omal nie oszalałam, zadreńczając się takimi myślami i cały czas, bez przerwy powtarzałam sobie: nigdy nie będę mogła ich opuścić.

- I wtedy, w tym okropnym momencie, kiedy Bóg - albo szatan
- przykuwał mnie mocniej do mego duchowego koła tortur... Cóż, sam wiesz, co się wtedy wydarzyło...
- Pojawił się doktor Ashworth na białym rumaku - dokończyłem.
- Dolać ci jeszcze herbaty?

II

Póki się nie pojawiłeś - podjęła Lyle, gdy nalałam nam herbaty - sądziłam, że jestem na kole tortur, ale to było nic, tylko przygrywka do prawdziwej kaźni. Spojrzałam na ciebie i pomyślałam - mniej więcej tak samo jak z tamtym dzieckiem w wózku: chcę tego samego. Przystojnego, młodego kanonika, przed którym otwiera się wspaniała przyszłość... Widziałam to w najdrobniejszych szczegółach, nawet zasłony, które zamówię, gdy jako prawdziwa żona biskupa wreszcie będę urządzać pałac, naprawdę mój pałac biskupi.

- I wtedy wyrzuty sumienia przygniotły mnie niczym głaz. Gardziłam sobą. Myślałam: Gdybym była prawdziwą żoną, nigdy bym się nie zniżyła do takich marzeń... Czułam się taka niegodna, taka... Och, taka skażona przez to wszystko... Postanowiłam jednak zwalczyć pokusę i być dobrą żoną dla Alexa, żeby ani on, ani Carrie nigdy się nie dowiedzieli, jakie szalone, nielojalne myśli przechodziły mi przez głowę.
- Ale ty nie chciałeś mi ułatwić trwania wierności, prawda? Boże, jak mnie przeraziłeś! Wszystkich nas przeraziłeś. Jedną z gorszych

chwil było, gdy się przekonałam, że najechałeś mój pokój, zostawiając w nim różę i limeryki. Środki antykoncepcyjne trzymałam zamknięte na klucz w szkatułce z biżuterią, więc byłam spokojna, że nic nie odkryłeś, ale zdradziecki szal leżał upchnięty w szufladzie i gdybyś naprawdę przeszukał mój pokój... plamy... Trzęsłam się ze strachu jak galareta.

- Jednak Alex mnie uspokoił. Zwołaliśmy naradę: on, Carrie i ja. „Tylko w jeden sposób możemy sobie poradzić”, stwierdził Alex, „zachowywać się, jak gdyby nigdy nic. Im większą wrogość mu okażemy, tym bardziej Ashworth zacznie podejrzewać, że mamy coś do ukrycia”. Potem zwrócił się do mnie: „Traktuj go chłodno, tak samo jak zawsze traktowałaś kolejnych zadurzonych sekretarzy, a szybko się przekona, że traci czas”.

- Oczywiście Alex zdawał sobie sprawę, że stanowisz znacznie poważniejsze zagrożenie, niż byle zakochany sekretarz, ale naprawdę wierzył mi, że go nie zdradzę, a na tamtym etapie stanowiłaś po prostu ogromną zawadę. Równocześnie zaś - i to było co najmniej dziwne - zdawałaś się go fascynować. Bardzo dużo

O tobie mówił. Był przekonany, że masz poważne problemy związane z kobietami i twoim ojcem...

Myślałam sobie, że patrzył na ciebie i widział swoje odbicie. Nie brałam go na poważnie

I cały czas gwałtownie usiłowałam przekonać samą siebie, że jesteś po prostu czarującym doktorem teologii, który kocha się w paniach. Jednak po tamtym rozkosznym wieczorze w „Staro Arms” nagle nie potrafiłam już dłużej być chłodna i obojętna. Ten pocałunek przed katedrą... Nie wiem, jak to się stało, że nie zemdlałam. Chciałam wskoczyć z tobą do łóżka i kochać się do świtu.

- Ledwo jednak wróciłam do siebie, znowu ogarnęły mnie potworne wyrzuty sumienia. Miałam wrażenie, jakbym zdradziła Alexa, zdradziła siebie i następnego ranka wiedziałam, że nie mogę przystąpić do komunii. Oczywiście, Alex czuł, że coś śmierdzi, ale nie mieliśmy okazji porozmawiać na osobności przed twoim wyjazdem, ale później zażądał spotkania. To było

okropne. Domyślił się, co się stało i ogarnęła go taka wściekłość i zazdrość... Skończyliśmy w łóżku. Kiedy już było po wszystkim, powiedział: „Jesteś moją żoną wobec Boga. Nigdy o tym nie zapominaj”. A ja nie pojmowałam, jak w ogóle mogłam...

- Cóż, właśnie dochodziliśmy do siebie po twojej wizycie, kiedy przydarzyło się coś naprawdę okropnego - pojawiłeś się po raz drugi. Nie muszę ci mówić, jaka straszna była ta kolacja. Nie dość że odgadłeś prawdę, to jeszcze byłeś wyraźnie tak pijany i wzburzony, że mogłeś wyjść na ulicę i wykrzyknąć swoje podejrzenia na cały głos. Przeraziło mnie też, że Alex nie mylił się, przypuszczając, że masz jakieś problemy ze sobą, bo nie miałam najmniejszych wątpliwości, że jesteś w naprawdę strasznym stanie.

- Kiedy już sobie poszedłeś, Alex stwierdził: „Wszystkiemu zaprzeczemy. Ten człowiek jest wyraźnie nieźrównoważony. Będzie tylko jego słowo przeciwko naszemu i z pewnością uwierzą nam, nie jemu”. Ale wtedy pojawił się kolejny/ dziwny element - ileż w tej opowieści dziwnych elementów! A może to życie po prostu jest znacznie dziwniejsze, niż chcemy się przyznać? Alex zaczął się zamartwiać. Szalał z niepokoju, czy nie zabiłeś się, prowadząc po pijanemu samochód. Nie mógł się uspokoić. Powtarzał, że to jego wina, że szatan zapanował nad jego darem... Och, Boże, to było koszmarne! Wyekspediowałam Carrie do łóżka i siedziałam z Alexem, a on się zadreślał - i to o ciebie! W pewnym momencie powiedział nawet, że zastąpiłeś mu syna, którego nigdy nie miał. I dopiero po kilku dniach przyznał się, że cię nienawidził, bo próbowałeś mu mnie ukraść! Powiadam ci, Charles, osobą, która wtedy była zupełnie zagubiona w uczuciach do ciebie byłam nie ja, lecz Alex Jardine.

- Cóż, w końcu znużyło mnie to samobiczowanie, byłam już kompletnie wykończona i pewnie okazałam zniecierpliwienie. Alex natychmiast zmienił kurs; znowu sobie przypomniał i powiedział: „Och, *à propos*, jest coś, co powinno cię zainteresować: Ashworth przyznał się, że wczoraj spał z Loretą. Jesteś pewna, że nie spał z tobą w czasie swojej wizyty?”

- Och, najdroższa Lyle...

- Potwornie się pokłóciliśmy.. Sądziłam, że kłamał. Wreszcie zdałam sobie sprawę, że mówił prawdę. I ogarnął mnie taki smutek, poczułam się taka zagubiona i zraniona...
- Kochanie, nie chciałem...
- Już dobrze, nie obchodzi mnie, czy z nią spałeś, czy nie. Nie, obchodzi mnie bardzo, ale nie uważam tego za najważniejsze. Widocznie znalazłeś się w bardzo osobliwym stanie ducha i nawet jeśli rzeczywiście z nią spałeś, jestem pewna, że to był pojedynczy wypadek, który ci się zwykle nie przytrafia. Ale kiedy Alex mi o tym powiedział, byłam zdruzgotana, i oczywiście wściekła na niego, że oskarża mnie o zdradę, podczas gdy ja tak bardzo się starałam pozostać mu wierna.
- Później Alex odkrył, że dotarłeś do fordytów. Nie ma słów na opisanie jego ulgi. Ale nadal się bał, że kiedy dojdiesz do siebie, natychmiast polecisz ze swoimi podejrzeniami do Langa, no i oczywiście po prostu nie mógł znieść myśli, że ojciec Darrow dowiedział się o wszystkim. Alex zamartwiał się i zamartwiał... Nie mam pojęcia, jakim cudem udawało mu się wypełniać obowiązki. Ja jak zwykle uczestniczyłam z nabożeństwami, ale wyłącznie dla zachowania pozorów. Czułam się taka zagubiona, taka nieszczęśliwa... Nie wiedziałam, jak dłużej to wytrzymać i któregoś popołudnia poszłam do katedry błagać Boga o pomoc, ale nie mogłam się modlić, byłam od Niego zupełnie oddzielona. Klęczałam tylko w kaplicy, powtarzając ciągle w myślach: Boże, Boże, Boże, Boże... Tak jakbym wykręciła numer i wsłuchiwała się w odgłos sygnału. Właściwie nie spodziewałam się, że ktoś odpowie, ale wtedy stał się cud: ktoś podniósł słuchawkę.
- Wszedłeś do kaplicy. Pamiętasz, jak powiedziałam, że to chyba znak? Natychmiast zrozumiałam, że muszę porzucić Alexa, problem jednak był w tym, że nie miałam pojęcia, jak to w ogóle zrobić.
- Powiedziałam Alexowi, że cię widziałam. Nie przypuszczałam,

by zobaczył nas ktoś znajomy, ale zupełnie nie życzyłam sobie, żeby dowiedział się o naszym spotkaniu od osób trzecich. Sądziłam też, że doceni moją uczciwość, ale się pomyliłam. Urządził straszliwą scenę, bo nie wierzył, że spotkanie była przypadkowe. Próbowałam mu powiedzieć, że nasze małżeństwo jest skończone, ale nie mogłam... Miał nade mną taką władzę, nie potrafię tego opisać, może w ogóle nie da się tego wyrazić słowami, w każdym razie w końcu musiałam się poddać, *musiałam*... I tak to dalej się ciągnęło.

- W miarę upływu czasu, Alex nabrał pewności, że nie powiedziałaś Langowi i poczuł się lepiej. Carrie też. Tylko ja... Och, Charles, właśnie tu wszystko staje się takie trudne...

Próbowałam ją objąć, ale mnie odepchnęła.

- Nie - powiedziała - nie rozumiesz. Tego nie da się wygładzić za pomocą nawet najszczęśliwszego pocałunku.

Wstała, odwróciła się do mnie plecami. Wyczułem, że zbiera siły, by stawić czoło jakiejś ogromnej próbie.

- Powiedz mi, co mogę zrobić - poprosiłem. - Jeśli chcesz, żebym ci pomógł zmienić sytuację w pałacu...

- Ona i tak nieodwracalnie się już zmieniła. Wreszcie nabrała dość sił, obróciła się twarzą do mnie.

- Moje życie w pałacu się skończyło. Teraz już nie mam wyboru. Muszę odejść.

Wiedziałem, co chce wyznać, ułamek sekundy przed tym, jak wypowiedziała to na głos.

- Jesteś...

- Jestem w ciąży - oświadczyła i zasłoniła twarz dłońmi.

III

W ciągu trzech sekund zobaczyłem wszystko: niepojęte drogi Boże, zadośćuczynienie za dawną tragedię, stromą i wąską ścieżką w nie dającą się przewidzieć przyszłość. Czas zamknął błędne koło.

Byłem swoim ojcem, Lyle była moją matką, a płód był mną, czekał na mężczyznę, który będzie miał odwagę zapewnić mu przyszłość, którą Bóg mu przeznaczył. Równocześnie zaś wszystko prawie niedostrzegalnie się zmieniło; ja nie byłem swoim ojcem, Lyle nie była moją matką, a płód nie był i nigdy nie mógł się stać mną. Gra pozostała ta sama, ale przetasowano karty i nie wiedziałem, jak ocenić te, którymi przyszło mi grać. Bo tylko tego mogłem być pewny: że zostałem wezwany, by grać. Co do tego nie miałem najmniejszych wątpliwości.

Dotknąłem krzyża na piersi i wziąłem Lyle w ramiona. Zaczęła płakać.

- Pomogę ci - obiecałem.

Przywarła do mnie bez słowa. Głaskałem ją po włosach, potem przyszła reakcja: czułem się, jakbym dostał obuchem w głowę. Obuch uderzał bezlitośnie, dopóki wydawało mi się, że nie potrafię sklecić myśli. Udało mi się jednak jakoś pomodlić. Prosiłem o łaskę zobaczenia drogi i znajome słowa: „Nie moja, lecz Twoja wola niech się stanie” przyniosły natychmiastową ulgę.

- Zajmijmy się przez chwilę konkretnymi - odezwałem się wreszcie. - Po pierwsze: czy jesteś zupełnie pewna?

- Tak, choć lekarz tego jeszcze nie potwierdził. Odsunęła się, żeby wyciągnąć chusteczkę z torebki.

- Okres nigdy mi się nie spóźnia więcej niż o dobę. Natychmiast wiedziałam, co się stało. Zresztą inaczej się czułam, nie mogłam patrzeć na kawę, miałam wrażenie, jakby ktoś majstrował kluczem i wszystko lekko rozregulował. - Wytarła nos. - Dzisiaj pojechałam do poradni dla kobiet i spytałam, czy mogą potwierdzić ciążę, ale oni powiedzieli, że na to jeszcze za wcześnie. Ale ja wiem, że dziecko tam jest.

Pomyślałem o ciąży urojonych i władzy umysłu nad ciałem.

- Jak sądzisz, kiedy to się stało?

- Tego dnia, kiedy spotkaliśmy się w katedrze.

- A gdzie się podziały środki zapobiegawcze?

- Nie użyłam ich - właśnie dlatego wiem tak dokładnie, kiedy

doszło do nieszczęścia. Tego dnia Alex wyjątkowo przyszedł do mnie w nocy. Zwykle zakładam kapturek przed pójściem spać, żeby nie musieć nieromantycznie zniknąć w łazience, gdy Alex pojawi się rano. Tamtej nocy, choć już się przebrałam do snu, nie założyłam kapturka i Alex mnie zaskoczył. A nim zdążyłam wszystko załatwić, pokłóciliśmy się o ciebie, a potem... kiedy zaczął się ze mną kochać... Och, Charles, czułam się tak rozpaczliwie, byłam tak zagubiona, w takiej rozpacz, że nic mnie nie obchodziły środki zapobiegawcze, w ogóle nic mnie nie obchodziło...

- Powiedziałaś mu o dziecku?

- Nie.

Znalazła w torebce pudełko i niezręcznie wytrząsnęła sobie papierosa.

- Żadnemu z nich nie powiedziałam, czułam, że nie poradzę sobie z ich reakcją, skoro nie mogę sobie poradzić ze swoją. Jak już zapewne zdążyłeś się domyślić, mój układ z Jardine'ami charakteryzowało to, że zawsze ja musiałam sobie ze wszystkim radzić. Nikt sobie nie radzi ze mną i właśnie dlatego tu jestem. Sądziłam, że ty będziesz umiał, że powiesz mi, co zrobić...

- Co czujesz, myśląc o dziecku?

- Przeważenie. Wrócił mi rozsądek i uważam swoje ustąpienie instynktowi macierzyńskiemu za kompletny brak odpowiedzialności i zamiast rozkosznego chłopczyka o złocistych oczach, który był jedynie ckliwym wymysłem, widzę niezbyt urodziwą złoźnicę. No, chyba że usunę ciążę...

- Absolutnie nie! - zawołałem oczywiście i zobaczyłem, jak czas bierze nas w swoje tryby, kiedy przeszłość ożywała serią nieskończonych powtórzeń. - To byłoby niewybaczalne zło!

- Och, cholernie łatwo ci mówić - ty jesteś mężczyzną! - krzyknęła Lyle, reagując zupełnie inaczej niż matka. - Moim zdaniem żaden mężczyzna nie ma prawa odgrywać świętoszka i nauczać o aborcji!

Nie byłem przygotowany na taki feministyczny atak. Uświadomiłem sobie, jak mało ją jeszcze znam.

- Żaden mężczyzna nie ma prawa odgrywać świętoszka w żadnej kwestii - odparłem - ale ja nie nauczam ani nie odgrywam świętoszka. Staram się udzielić ci praktycznej rady. Nosisz w sobie dziecko mężczyzny, którego kochałaś, dziecko, którego w przeszłości ogromnie pragnęłaś. Czy aborcja nie byłaby tu nie tylko moralną, ale i psychiczną klęską?

Nagle opadła z niej cała buńczuczność. Zupełnie się załamała.

- O Boże, nie przeżyję tego, nie przeżyję... Myślałam, że sobie dam radę, ale w tej chwili w ogóle nie wiem, co zrobić... Nie poradzę sobie z tym, Charles, po prostu sobie nie poradzę...

- Ależ tak - stwierdziłem. - Od dawna już szykowałem się na tę chwilę, może i całe życie. Ja sobie poradzę z tobą i poradzę sobie z tym dzieckiem. Wyjdiesz za mnie za męża, Lyle.

IV

Opowiedziałem jej krótko o swoim pochodzeniu. Była zaskoczona, zdumiona i wreszcie przerażona, kiedy spojrzała na całą tę sprawę z mojej perspektywy.

- Ale, Charles... O Boże, nie wiem, co myśleć! To jasne, że nigdy cię naprawdę nie znałam: człowiek, który, choć wcale nie przymuszony, zaoferował mi tak wiele, musi się diametralnie różnić od człowieka, za jakiego cię miałam. Och, nie mogę ci pozwolić na coś takiego, nie mogę... Twoja propozycja to przykład cudownego idealizmu, ale...

- A co złego w idealizmie? - spytałem, tuląc ją mocno do siebie, bo znowu się rozplakała. - Gdyby nie było idealizmu, tarzalibyśmy się w błocie razem ze zwierzętami. Zresztą porządny idealizm, ten realny, zawsze mocno się trzyma ziemi. A ja sądzę, że wykazałem się wyjątkowo praktycznym zmysłem. Wiem, że tylko ciebie pragnę. Przyszłaś do mnie ze swym olbrzymim strapieniem, a z tego co widzę, tylko ja mogę pomóc ci znaleźć właściwe rozwiązanie. Oczywiście, w małżeństwie czekają nas

wyjątkowo trudne chwile, szczególnie na początku, ale sądzę, że jeśli odnajdziemy w sobie siłę i chęć, z Bożą pomocą przezwyciężymy je wszystkie. Bo i czemu nie? Ponoć jestem chrześcijaninem. Najwyraźniej Bóg wzywa mnie teraz, bym w wyjątkowy sposób zrealizował w swoim życiu chrześcijańskie powołanie do miłości i przebaczenia, a zresztą... Kochając cię tak bardzo, jakżebym teraz mógł cię porzucić?

Zabrakło jej słów. Przywarła do mnie tylko z większą siłą i Wiedziałem już, jak mój ojciec czuł się wiele lat temu, kiedy był świadkiem nieopisanej ulgi i wdzięczności matki.

Ale ja zareagowałem inaczej niż on.

- Potrzebna nam pomoc i to natychmiast - powiedziałem. - Chcę, żebyś razem ze mną pojechała spotkać się z ojcem Darrowem.

v

Kiedy zadzwoniłem, opata nadal nie było, więc najpierw zabrałem Lyle do hotelu, gdzie potwierdziłem jej rezerwację i zamówiłem kilka kanapek.

- Nie chce mi się jeść.

- Chce, chce. Powinnaś jeść. Spróbuj - oświadczyłem stanowczo, przypominając sobie, jak bezwzględny był Darrow w kwestii jedzenia.

Usiedliśmy w hallu i zjedliśmy kanapki z kurczakiem. Lyle zmusiła się do przełknięcia połówki, ja dojadłem resztę. Herbatą podzieliliśmy się sprawiedliwiej.

- Zmieniłam zdanie co do konieczności rozmowy z tym człowiekiem - stwierdziła w końcu Lyle. - Rozumiem doskonale, że musisz przedyskutować swoją przyszłość z kierownikiem duchowym i ja oczywiście też muszę tam być, ponieważ owa przyszłość będzie i mnie dotyczyć, ale szczerze mówiąc w ogóle mnie on nie zachwyca.

- Zapewniam cię, że nie masz powodów do niepokoju.

- Ja się wcale nie niepokoję. Po prostu uważam, że dla każdej

kobiety zakonnik stanowi osobistą zniewagę. Co się stało z jego żoną? Alex dokopał się gdzieś, że tamten był żonaty.

- Nie mam pojęcia, co się z nią stało - Darrow bardzo mało o sobie mówił, ale takie są reguły prawidłowego kierownictwa duchowego. A skoro o kierownictwie mowa...

Wspomniałem, że Darrow szuka dla niej jakiejś rozumiejącej zakonnicy, ale Lyle ponownie okazała niechęć.

- Nie mogłabym o tym rozmawiać z żadną kobietą - stwierdziła. - Ja w ogóle nie lubię kobiet - z wyjątkiem drogiej Carrie, ale nawet jej nie lubię, ją po prostu kocham.

To stwierdzenie brzmiało tak pokrętnie, tak wskazywało na umysłową rozterkę i psychiczne trudności, że uznałem, że lepiej tego nie komentować. Zastanawiałem się, w jaki sposób Darrow podejdzie

do tego problemu.

Ruszyliśmy samochodem do Grantchester, ale kiedy skręciłem na podjazd przed domem fordytów, Lyle się wzdrygnęła. - Kochanie...

Zatrzymałem samochód i pochyliłem się, żeby ją pocałować.

- Postaraj się nie traktować tego zakonnika jak osobistej zniewagi! Jestem pewien, że daleko mu do mizogina! - W takim razie dlaczego się zamyka w klasztorze? Nie potrafię znieść myśli o ludziach uwięzionych w zakonach medytacyjnych! To cholerna ułuda i wbrew naturze!

Zacząłem się poważnie niepokoić. Każdemu kierownikowi duchowemu przytrafiają się niepowodzenia, a opat dał wyraźnie do zrozumienia, że woli nie zajmować się kobietami.

Pogodny, młody furtian, który mnie wpuścił, gdy pierwszy raz spotkałem Darrowa, przywitał nas serdecznie i wprowadził do reprezentacyjnego gabinetu opata.

- Ojciec przełożony właśnie wrócił - powiedział. - Zaraz do państwa przyjdzie.

- Biedny poczciwy Darrow - stwierdziła Lyle, gdy zostaliśmy sami. - Mam nadzieję, że nie opadnie zupełnie z sił, gdy przyjdzie mu radzić sobie z twoim kolejnym poważnym problemem.

- Darrow ma dość krzepy, żeby sobie poradzić ze wszystkim.

- Cóż, z tobą może sobie radzić, ale lepiej niech nie próbuje sobie radzić ze mną! Ostatnią rzeczą, której sobie życzę, to żeby radził sobie ze mną ktoś, kto odmawia sobie seksu.

W jej głosie brzmiała już zupełnie wyraźnie wrogość i właśnie gwałtownie szukałem słów, za pomocą których mógłbym ją uspokoić, kiedy w korytarzu rozległy się kroki.

Na twarzy Lyle natychmiast odmalowało się przerażenie, jakby miała stanąć oko w oko z plutonem egzekucyjnym.

- To on, prawda?

- Lyle, spróbuj o nim myśleć jako o przyjacielu...

- Ale on nie jest przyjacielem - odparła bardzo blada. - Jest wrogiem, wiem, że tak, wiem...

W tej samej chwili do pokoju wszedł mój egzorcysta, by zmierzyć się z demonami, których tak uparcie nie chciałem dostrzec.

Rozdział trzeci

„Wszyscy mamy tendencję łudzenia się i oszukiwania siebie, sędzę jednak że owe skłonności są najsilniejsze u osób na wysokich stanowiskach, na przykład biskupów, którzy słyszą wyłącznie swój głos i entuzjastyczny poklask wyznawców”.

Herbert Hensley Henson, *Restropect of an Unimportant Life*

I

Przeżyłem chwilę zaskoczenia na widok Darrowa, ponieważ nie przebrał się jeszcze w habit i nadal miał na sobie strój duchowny, który włożył na czas podróży „do świata”. Widząc go w habicie, można było sądzić, że jego osobowość stanowi jedynie element tożsamości wspólnotowej, jednak gdy występował w stroju księdza świeckiego, złudzenie wtopienia we wspólnotę zniknęło, a jego wyjątkowa indywidualność stała się jeszcze wyraźniejsza. Promieniował z niego jeszcze większy autorytet, jeszcze większa pewność. I było w nim też coś niespokojnego, jak u żeglarza przyzwyczajonego do przemierzania nieznanymi wodami. Odnosiło się wrażenie, jakby ta analityczna łagodność, która stanowiła tak charakterystyczny rys jego osobowości zakonnika, nabierała śmielszego, bardziej swawolnego posmaku i nagle, po raz pierwszy potrafiłem go sobie wyobrazić nie tylko jako kapelana w marynarce wojennej, ale i kandydata

odbywającego nowicjat, który doprowadził swoich zwierzchników do takiego stanu, że musieli oddelegować go do Yorku, by tam doił krowy.

Usłyszałem, jak stojąca obok mnie Lyle gwałtownie zaczerpuje tchu i uświadamiając sobie, że szok wziął chwilowo górę nad wrogością, zrozumiałem, że ogarnęło ją zdumienie, ponieważ Darrow tak bardzo się różnił od „siwowłosego, korpulentnego niedojdy”, którego zapewne się spodziewała.

- Ojczy, chciałbym ci przedstawić pannę Lyle Christie. Lyle, to ojciec Jon Darrow.

- Miło mi panią poznać, panno Christie - odparł gładko Darrow. - Proszę, niech pani spocznie.

Nie wyciągnął do niej ręki, tylko podsunął jej krzesło.

- Dziękuję.

W jej głosie brzmiał chłód i podejrzliwość. Wiedziałem, że spotkanie rozpoczęło się źle, ale nie potrafiłem określić, co było źródłem tej niezręcznej sytuacji, póki Darrow nie powiedział:

- Gdybym wiedział, że towarzyszy ci panna Christie, najpierw poszedłbym się przebrać w habit, Charles. Zakonnik powinien być zakonnikiem, a nie jakimś eskcentrycznym księdzem, który ostentacyjnie nosi krzyż na szyi - to tworzy mylne wrażenie. A teraz, zanim pójde się przebrać, może napijecie się państwo czegoś? Panna Christie ma może chęć na herbatę?

Lyle zdecydowanie odmówiła wypicia herbaty. Ja, czując się niezręcznie, odmówiłem innych napoi.

- W takim razie, pozwólcie, że was na chwilę opuszczę... I już go nie było.

Ledwie drzwi się za nim zamknęły, Lyle gwałtownie obróciła się twarzą do mnie.

- Czemu, u licha, mnie nie uprzedziłeś, że on tak wygląda?

- Wyjątkowy gość, nie? Mój ojciec uważa, że nadawałby się na prawnika.

- Prawnika? Dobrze nieba, ależ skąd! Powinien być aktorem - już go widzę jako złowieszczonego

Prospera w „Burzy”, a może hip-

notycznego Klaudiusza w „Hamlecie”, widząc takiego Klaudiusza nikt nie miałby wątpliwości, czemu Gertruda musiała z nim pójść do łóżka...

- Ależ najdroższa Lyle!

Byłem zdumiony. Do tej pory nawet mi nie przeszło przez myśl, że można by uznać Darrowa za pociągającego seksualnie. Sądziłem, że wydałby się zbyt chłodny, surowy, zapomniałem jednak, że kobiety łatwo ulegają mężczyznom obdarzonym autorytetem, zwłaszcza jeśli towarzyszy temu aura niezachwianej pewności siebie.

- To skrajne dziwactwo - ciągnęła wzburzona Lyle - żeby taki mężczyzna zostawał mnichem. To musi być gra - to jego lśniąca zasłona - a za nią, jestem pewna, daleko mu do świątobliwego mnicha!

Widziałeś, aż się cofnął na mój widok. Najwyraźniej stanowią dla niego prawdziwą pokusę, pokusę nie do odparcia, drugą Jezabel!

Uznałem, że pora ostro zareagować.

- Powodem, dla którego Darrow stanął jak wryty na twój widok - odparłem (i nie zgadzam się, jakoby „aż się cofnął”) - było po pierwsze prawdziwe zaskoczenie na twój widok, a po drugie pewność, że jeśli nie przebierze się w bezpłciowy strój zakonny, natychmiast zaczniesz sobie Bóg wie co na jego temat wymyślać.

- Ale jak mężczyzna taki jak on może żyć bez seksu?

- Kochanie, nie chciałbym ci sprawiać przykrości, ale obawiam się, że masz nieco skrzywioną optykę, ponieważ żyłaś w bardzo bliskim związku z duchownym, który nie potrafił sobie poradzić ze ślubem czystości...

- Doskonale! Teraz wypominaj mi Alexa! - zawołała Lyle, doprowadzając się do stanu furii. - Żałuję jak wszyscy diabli, że dałam ci się przyprowadzić do tego piekielnego miejsca!

Ciągle jeszcze próbowałem ją uspokoić, zastanawiając się, jak Darrow zamierza sobie z nami poradzić i powtarzając sobie, że przecież się nie spodziewałem, że będziemy żyli długo i szczęśliwie, w prawdziwym raju, wolni od wszelkich trosk, kiedy do pokoju wkroczył Darrow we własnej osobie.

II

Lyle zerwała się na nogi i podeszła do niego.

- Sądzę, że będzie lepiej, jeśli porozmawia ojciec z Charlesem sam na sam - stwierdziła. - Bynajmniej nie uciekam, ale nie życzę sobie, by jakiś mnich grzebał mi się w przeszłości, a żeby dowieść, że nie jestem tchórzem, powiem ojcu od razu, że jestem w ciąży. Charles oświadczył, że się ze mną ożeni, ale oczywiście jest szalony i nie można dopuścić, żeby się w ten sposób zmarnował. Nie obchodzi mnie, co będzie ze mną, zbyt jestem zepsuta, by się mną przejmować, ale Charles to dobry i przyzwoity człowiek, nie zasługuje, żeby go wciągać w ten cały śmietnik, a jeśli jest ojciec rzeczywiście taki cudowny, jak wszyscy dokoła twierdzą, wkroczy ojciec do akcji i ocali go przede mną.

- Lyle... - zacząłem zdesperowany, ale nie dano mi skończyć.

- Panno Christie - odezwał się Darrow - moja wola jest tu całkowicie bez znaczenia. Najważniejsza jest wola Boga. Czy odstąpiła pani od wiary?

- Nie! - krzyknęła Lyle. Łzy spływały jej po twarzy.

- W takim razie przyzna pani, że pani obowiązkiem jest poznać wolę Bożą, a w tej konkretnej sytuacji oznacza to, że musi się pani uspokoić, by Go usłyszeć, jeśli zapagnie pani coś powiedzieć. Charles, daj jej swój krzyż. Panno Christie, proszę wziąć krzyż i mocno go trzymać... Tak... Niech go pani nie puszcza... Tak, nękają panią demony wstydu, poczucia winy, rozpacz, wściekłości i strachu, ale szatan musi się ugiąć przed potęgą mocy Chrystusa... Tak, niech pani trzyma krzyż... A teraz proszę usiąść... Charles ty też usiądź i obejmij ją ramieniem... Tak, doskonale... A teraz usiądę przy was i wszyscy będziemy się modlić, by mocą Jezusa Chrystusa, naszego Pana wszystkie te demony zostały wyrzucone i odegnane... I to nie tylko ze względu na panią, panno Christie, ale ze względu na Charlesa i dobro tego dziecka... Zamknijcie oczy i oddychajcie bardzo głęboko... równo... słuchajcie mej cichej modlitwy, nasłuchuj-

cie słów Bożych, wsłuchujcie się, wsłuchujcie bardzo uważnie... Panie, wysłuchaj modlitwy naszej. Lyle zacisnęła powieki. Czułem, jak się cała trzęsie. Tak bardzo chciałem poprosić Darrowa, by wspomógł proces uzdrawiania swoją mocą, którą mógł przekazać przez nałożenie rak, a choć nie powiedziałem ani słowa, on mnie usłyszał.

- Charles, proszę, skup się na modlitwie - skarcił mnie.

- Przepraszam - odparłem.

Początkowo wydawało mi się, że nie uda mi się skupić, ale zadane przez Darrowa ćwiczenia nie poszły na marne. Modliłem się gorąco i otworzyłem oczy w tej samej chwili, co i on.

Obok mnie Lyle znowu się wzdrygnęła i też otworzyła powieki.

- Słyszała pani? - spytał opat, nachylając się ku niej.

- Nie, niczego nie słyszałam. - Potarła oczy. - Ale wiem, że muszę mieć wiarę w Boga i ufać, że On się mną zaopiekuje.

- O to chodziło. Co ty usłyszałaś, Charles?

- Modlił się ojciec o wiarę i ufność. Sądzę, że mam ojcu zaufać, że nam pomoże i muszę ufać, że będę umiał służyć Bogu najlepiej, jak potrafię.

- Doskonale. A to Bogu przecież wszyscy służymy, prawda, panno Christie? Mam służyć Bogu pomagając wam w odnalezieniu właściwej odpowiedzi na tę straszną próbę. Charles ma służyć Mu, robiąc to, do czego Bóg go powołał. Pani zaś ma służyć Bogu skierowując całą swoją energię na odkrycie, czego On od pani oczekuje.

- Chcę wyjść za Charles - wykrztusiła Lyle, ciągle ściskając mój krzyż. - Ale boję się, że to egoistyczne i złe, że to wcale nie jest wolą Bożą.

- Próba znalezienia najlepszego rozwiązania problemów me jest ani egoistyczna, ani zła. Ale musi być pani naprawdę pewna, że małżeństwo z Charlesem jest najlepszym rozwiązaniem.

Zapadła cisza.

- Och, Alex, Alex... - zaszlochała nagle Lyle i znowu wybuchnęła płaczem.

III

Przytul ją mocno - zwrócił się do mnie Darrow i nagle zdałem sobie sprawę, jak bardzo się stara, by nie doszło do fizycznego kontaktu między nim a Lyle.

Znowu objąłem mocno Lyle i pocałowałem ją w policzek. Prawym ramieniem otoczyłem jej barki, lewą ręką przykryłem jej lewą dłoń zaciśniętą kurczowo na krzyżu.

- Alex to taki dobry człowiek - odezwała się wreszcie, gdy się trochę uspokoiła. - Nie może go ojciec potępiać.

- Potępienie go nie jest moją rzeczą - odparł Darrow. - Ani Charlesa. Mamy tu do czynienia z tragedią, w której wielu ludzi ogromnie ucierpiało, ale choć mówię o tragedii i cierpieniu, pani, panno Christie, jako chrześcijanka, będzie wiedziała, że z każdego nieszczęścia może wyrosnąć początek, nowa nadzieja, nowa wiara - i to nie tylko dla pani, ale także dla Jardine'ów.

- Ależ oni sobie beze mnie nie poradzą!

- Niech pani strzeże się pułapki myślenia, że istnieje wyłącznie jedna przyszłość, przyszłość niekorzystna dla Jardine'ów. A takie założenie wynika z próżności; prawda zaś jest taka, że nie ma ludzi niezastąpionych. Dlatego niech spojrzy pani w przyszłość z pokorą i pomyśli, że może istnieje jakaś nadzieja - tak dla pani, jak i dla nich. Niech pani pomyśli o naszej modlitwie. Ma pani wierzyć w Boga i ufać, że zajmie się wami trojgiem w czasie tych trudnych chwil, które was czekają.

Lyle wydawała się zupełnie uspokojona. Wytarłszy nos w chusteczkę, spytała cicho:

- Moje małżeństwo nie jest ważne, prawda?

- A, właśnie - powiedział Darrow - określmmy wyraźnie, na czym stoimy. Jeśli wyszła pani za Jardine'a w dobrej wierze, teraz, gdy małżeństwo okazało się nieważne, będzie pani uznana za niewinną stronę. W poważny błąd popadłaby pani jedynie, gdyby zdecydowała się pani na tamto małżeństwo, cały czas wiedząc, że właściwie ono nie istnieje.

- A więc to wszystko było kłamstwem.
- Sądzę, że bliżej prawdy będziemy, jeśli określimy to mamieniem się przez doktora Jardine'a. Pozwoli pani, że najpierw wyjaśnię, czemu małżeństwo nie jest ważne. Nie chodzi tu o samą ceremonię: bywa że w szczególnych sytuacjach można zawrzeć małżeństwo ważne w oczach Boga, mimo braku potwierdzenia ze strony Kościoła czy prawa. Weźmy na przykład sytuację, kiedy kobieta i mężczyzna znajdują się na bezludnej wyspie i pragną żyć po chrześcijańsku jako małżeństwo. Nie sądzą, by uznano ich za grzeszników, gdyby uroczyście złożyli sobie śluby wobec Boga i rozpoczęli życie dobrych małżonków. Najwidoczniej ojciec doktora Jardine'a i jego macocha uważali Putney za bezludną wyspę i z pewnością uznano by panią Jardine za konkubinę starszego pana, ale nad ich sytuacją duchową można by dyskutować i bardzo wiele zależałoby od motywów pana Jardine'a. Może działał ze szczerego serca i z całą powagą. Tego już nigdy się nie dowiemy. Wiemy jedynie, że starszy pan Jardine mógł wstąpić w ten związek, podczas gdy jego syn niestety nie.
- Ależ on sądził... Był taki pewny... I pani Jardine, macocha, sądziła... I była taka pewna...
- Jestem przekonany, że szczerze wierzyli, że robią dobrze. Ale starszą panią Jardine, mówiąc łagonie, charakteryzowała znaczna giętkość ducha, a doktor Jardine najwyraźniej zademonstrował swoją słynną sztuczkę z robieniem z czarnego białego z giętkością, która bynajmniej nie miała nic wspólnego z duchem.
- Ale Carrie odmawiała spełniania obowiązków małżeńskich... Marcin Luter twierdził...
- Marcin Luter nie był Bogiem. A jego poglądy na rozwód nie są zgodne z prawem obowiązującym w Anglii.
- Jednak w wypadku gdy duchowa struktura małżeństwa ulegnie zniszczeniu...
- Wiem, że w łonie samego Kościoła istnieje liczna grupa zwolenników teorii, że wiele czynników może zniszczyć duchową strukturę małżeństwa i przyczynić się do duchowego rozwiązania

małżeństwa, ale odmowa pożycia małżeńskiego do nich nie należy i mimo nowego kodeksu pana Herberta, nie stanowi sama w sobie podstawy do udzielenia rozwodu. Co więcej, uważam, że duchowa struktura małżeństwa państwa Jardine'ów nie uległa zniszczeniu, skoro pani Jardine nadal w dobrym i złym stała przy mężu, żeby ocalić jego karierę. Niewątpliwie pod jednym względem ich małżeństwo się załamało, ale w każdym innym względzie trudno o bardziej kochającą i lojalną żonę niżli pani Jardine, tak że moim zdaniem nie ulega kwestii, że doktor Jardine nie miał żadnego oparcia w prawie.

- Ale wobec Boga... Chrystusowe współczucie i wybaczenie...

- Mam nadzieję, że wszyscy będziemy się modlić, by Chrystus okazał doktorowi Jardine'owi współczucie i mu wybaczył, ale z punktu widzenia moralności jest nie do pomyślenia, by biskup mógł zawrzeć ważny związek po nieoficjalnym rozwodzie za zgodą obu stron. Co więcej, wielu twierdziłoby wręcz, że nawet po formalnym rozwodzie, nie mógłby się powtórnie ożenić.

- Był taki pewny - powiedziała tylko Lyle.

- Tak - odparł Darrow - niewątpliwie doktor Jardine sam siebie mamił. Najpierw wmówił sobie, że jego małżeństwo pod względem duchowym przestało istnieć. Potem wmówił sobie, że po nieoficjalnym rozwodzie można zawrzeć każdy związek. Wmówił sobie, że stoi ponad angielskim prawem i wmówił sobie, że konkubinat w połączeniu z bigamią jest dopuszczalny w oczach Boga. Wmówił także pani i swojej żonie, że jako biskup ma prawo ustanawiać własne prawa duchowe, niejako negocjując je z Bogiem. To grzech pychy. Świadczy o chorobie ducha, która prowadzi do ciężkiego grzechu.

Lyle była tak poruszona, że zdołała zaledwie wyszeptać:

- Co się z nim stanie? I znowu zaczęła płakać.

- Na to pytanie żadne z nas nie odpowie, ale tak samo jak i przed panią, przed doktorem Jardine'em stoi wiele dróg i musimy się modlić, by wybrał właściwą. Teraz jednak pani jest ważniejsza niż doktor Jardine. Czy chce pani dalej rozmawiać, czy też woli pani odpocząć i wrócić jutro?

- A cóż tu jeszcze zostało do powiedzenia? - Lyle odłożyła krzyż, żeby obetrzeć łzy. - Teraz już wiem, że mogę wyjść za Charlesa, poznałam wreszcie całą prawdę...

- Tak, pani już wie... Ale czy Charles wie? Wpatrzyła się w niego szeroko otwartymi oczami. Ja też.

- Co ma ojciec na myśli? - spytałem natychmiast.

Darrow wstał, przeszedł za stół i usiadł naprzeciwko nas, zajmując swoje zwykłe miejsce kierownika duchowego.

- „Ciasna jest brama i wąska droga...” - powiedział jedynie. Zrozumiałem. Strach ścisnął mi żołądek, ale Lyle nie pojęła, co miał na myśli.

- O co ojcu chodzi? - spytała z lękiem.

- Niech pani pamięta - zwrócił się do niej opat - że nade wszystko pragnę pomóc pani i Charlesowi w znalezieniu właściwego rozwiązania, zgodnego z wolą Bożą. I niech pani pamięta, że to się nie stanie, póki nie poznamy całej prawdy.

- Ale ja powiedziałam Charlesowi całą prawdę! Powiedziałam, prawda, Charles?

- Nie miałem wątpliwości, że to cała prawda - usłyszałem swój głos. Brzmiało w nim zdecydowanie, ale i napięcie.

- W takim razie, panno Christie - odezwał się Darrow - zgodzi się pani wyjaśnić mi kilka rzeczy, których nadal do końca nie rozumiem.

Lyle dalej wpatrywała się w niego z lękiem. Potem zwróciła się do mnie:

- Nie wiem, o co mu chodzi, Charles, ale chyba sugeruje, jakobym cię gdzieś oszukała.

- Nie sądzę, żeby coś takiego miał na myśli - odparłem ostrożnie.

- W końcu nie wie, co mi powiedziałaś. Potraktuj go jak latarkę, która rozjaśnia mroczne zakątki - i zawsze robi to z myślą o twoim dobru.

- Zastanowiła się.

- Dobrze - przystała wreszcie. - Niech ojciec pyta. Czego chce się ojciec dowiedzieć?
- Cóż, pierwszym i najbardziej narzucającym się pytaniem - odezwał się Darrow z ogromną łagodnością - jest: kiedy postanowiła pani mieć to dziecko?

IV

Myślałem, że zemdleje. Mnie samemu na chwilę zakręciło się w głowie.

- To był wypadek - wyjaśniłem szybko, nim zdążyła odpowiedzieć.

Ale Darrow całą uwagę zwrócił na Lyle.

- Charles, pójdz do furty i poproś Barnabę, żeby przyniósł szklanke wody.
- Nie! - zaprotestowała zduszonym głosem Lyle. - Nie zostawiaj mnie z nim samej!

Darrow sam poszedł po wodę.

- A więc, panno Christie - spytał po powrocie - zastanowiła się już pani nad odpowiedzią?

Nachyliła się ku niemu, opierając łokcie na stole. Powiedziała przez zaciśnięte usta:

- Nie będę się ojcu zwierzać ze szczegółów mojego życia seksualnego. Musi sobie ojciec poszukać gdzie indziej sposobów zaspokajania swoich cielesnych żąd.

- Lyle! - zawołałem, ale Darrow usadził mnie krótko:

- Cicho bądź, Charles. Panno Christie...

- Jesteś uprzedzony do kobiet! - krzyczała. - Uważasz mnie za opętana na punkcie seksu dziwke, która już zrujnowała życie jednemu przyzwoitemu człowiekowi, a teraz chce zrujnować życie drugiemu!

- Przemawia przez panią demon poczucia winy. Niech pani weźmie ten krzyż ze stołu.

- Próbujesz przekonać Charlesa, że jestem zwykłą, wyrachowaną zdrajczynią!
- To demon wstydu i nienawiści do siebie. Niech pani weźmie ten krzyż.
- Zamknij się! - wrzasnęła Lyle, zrywając się na nogi. - Jesteś zwykłym oszustem, chowasz się w tym ustroniu, bo się boisz, że gdybyś żył w normalnym świecie, próbowałbyś uwieść każdą kobietę, jaka ci się nawinie po rękę! Więc jak w ogóle śmiesz się wtrącać w moje życie prywatne! Jak śmiesz! Nie pozwolę, żebyś na mnie przerzucił swoje nie spełnione żądze, nie pozwolę, żebyś zaprzepaścił moją ostatnią szansę na szczęście! **NIE POZWOŁĘ, ŻEBY JAKIKOLWIEK MĘŻCZYZNA ZRUJNOWAŁ MI ŻYCIE...**

- To demon wściekłości - stwierdził Darrow - ale pani wściekłość nie jest właściwie skierowana przeciwko mnie. Niech mi pani powie, ilu jeszcze mężczyzn, oprócz doktora Jardine'a, tak boleśnie panią rozczarowało?

Lyle gwałtownie wciągnęła powietrze, chwyciła krzyż i rzuciła w opata, a kiedy przerażony zerwał się na nogi, Darrow złapał krzyż i tak gwałtownie poderwał się z krzesła, że upadło z hukiem.

- Ilu kobietom zmieniłeś życie w piekło, nim za pomocą tego cholernego habitu zrobiłeś z siebie eunucha?! - wydarła się Lyle. Jej twarz wykrzywiała wściekłość, cała się trzęsła. - Nienawidzę cię! **NIENAWIDZĘ CIĘ! NIENAWIDZĘ!**

Próbowałem ją chwycić, ale byłem jak sparaliżowany. Miałem wrażenie, jakby wybuchła jakaś potężna bomba, zostawiając między nami głęboką rozpadlinę, jednak w chwilę potem Darrow przerzucił most nad otchłanią. Jednym ruchem znalazł się po drugiej stronie stołu.

- Ta męczarnia musi się skończyć - powiedział z ogromną mocą. - W imię Boga, w imię Jezusa Chrystusa: **TA MĘCZARNIA MUSI SIĘ SKOŃCZYĆ!**

I choć zasłaniała się rękami, wsunął jej na szyję łańcuch.

- Nie, nie, nie! - krzyczała na cały głos, kiedy, jednak wreszcie chwycił ją w ramiona, krzyk ustał, drgnęła konwulsyjnie i zemdląca.

V

W chwilę potem przyszedł młody furtian ze szklanką wody.

- Przynieś koniaku - rzucił ostro Darrow.

- Tak, ojcze.

Wepchnął mi szklankę w rękę i wybiegł. Darrow umieścił Lyle na długim stole. Poruszał się sprawnie, pewnie, układając ją na płask, ostrożnie poklepując ją po talii.

- Dzięki Bogu, nie nosi tego sadystycznego wynalazku, gorsetu

- brzmiał jego jedyny komentarz.

Wreszcie otrząsnąłem się ze zdumienia, odstawiłem szklankę i spytałem:

- Ojcze, co tu, u licha, się dzieje?

- Nie denerwuj się, zaraz dojdzie do siebie. Ale zanim oprzytomnieje, odpowiedz mi szybko na szybkie pytania. Środki antykoncepcyjne? Twierdzi, że zawiodły?

- Jeden raz nie zdążyła ich zastosować.

- Czy Jardine o tym wiedział?

- Z tego co mówiła, wynikało, że nie.

- Czy któreś z Jardine'ów wie o jej ciąży?

- Nie. Ciąża nie została jeszcze potwierdzona przez lekarza, ale Lyle jest pewna, że spodziewa się dziecka. Ojcze, nadal nie rozumiem, co się dzieje...

- Nie przejmuj się, Charles, właściwie nie wierzę, żeby to był spisek całej trójki w celu uzyskania dziecka, ale musimy się upewnić... Aha, odzyskuje przytomność. Bądź cicho i zostaw to mnie... Tak, możesz wejść, Barnabo. Charles, proszę, nalej odrobinę brandy.

- Czy to wszystko, ojcze? - spytał Barnaba, zaintrygowany kobietą, leżącą na stole.

- Tak. Wyjść - rozkazał opat i Barnaba zniknął. Lyle jęknęła.

- Nic ci nie jest - powiedział Darrow, pochylając się nad nią.

- Napij się trochę wody. Potem dam ci brandy.

- Czy poroniłam? - spytała Lyle.

Mówiła niepewnie, jak dziecko.

- Nie - zapewnił Darrow pewnym tonem. - Daj jej wody, Charles. Posłusznie wypila, a potem sączyła brandy. - Spróbuj usiąść. Powiedz, jeśli będzie ci się kręciło w głowie. Spróbowała. Nadal ją podtrzymałem. Kiedy nic się nie wydarzyło, spojrzała na Darrowa.

- Mówiłam ojcu straszne rzeczy - szepnęła. - Pamiętam.

Po raz kolejny Darrow wykorzystał stary język symboli do wytłumaczenia głębokich prawd psychologicznych. - Demony były bardzo silne, ale już odeszły - oświadczył z wielką pewnością. - Jeszcze nie czujesz się dobrze, ale wkrótce już będziesz zdrowa, bo może się rozpocząć proces gojenia. - A jeśli demony wrócą?

- Nie wrócą póki będziesz blisko Boga. Kiedy tracisz z Nim kontakt, mogą swobodnie wkraczać do twojej duszy, ale ty już nie utracisz z Nim kontaktu. Nalej jej jeszcze łyk brandy - zwrócił się do mnie. Wypiła. - Już mi lepiej - powiedziała.

- Dobrze. Charles, pomóż jej usiąść na krześle.

Sam się nie poruszył, dalej w swobodnej pozie opierał się o stół.

- Chcę z ojcem porozmawiać - odezwała się nagle Lyle.

- Chcesz mi powiedzieć prawdę o dziecku?

- Przecież ojciec już wie?

- Ale Charles nie wie i oboje musimy się troszczyć o Charlesa.

- Kocham Charlesa. - Lyle nadal zwracała się do Darrowa, tak jakby mnie tam w ogóle nie było. -

Chcę stać się dla niego najlepszą żoną.

- I dlatego musisz być z nim szczerą, czyż nie? Ofiarował ci swoją miłość, a ty musisz mu podarować swoją szczerą jako dowód, że jesteś go godna. Doskonale, porozmawiajmy o dziecku.

- Nie wiem, kiedy dokładnie zostało poczęte - odparła Lyle patrząc Darrowowi prosto w oczy.

- Przestałaś stosować środki zabezpieczające?

- Tak. Chciałam zajść w ciążę.
 - To była twoja jedyna szansa na ucieczkę? Skinęła głową. W jej oczach lśniły łzy.
 - Możesz powiedzieć, kiedy doszłaś do wniosku, że ciąża stanowi jedyne rozwiązanie?
 - Poszłam do kaplicy w katedrze, ale nie mogłam się modlić; za bardzo byłam oddzielona od Boga. Wtedy pojawił się Charles. I zrozumiałam, że muszę odejść od Jardine'ow, nie wiedziałam jednak, skąd wziąć siły, żeby zakończyć małżeństwo. Charles nie rozumie tego elementu - tego niepojętego elementu - a ja nie potrafię wyrazić słowami władzy, jaką ma nade mną Alex, choć...
 - Kiedy zmieniło się wasze współżycie?
 - Na początku roku. Nie chciałam z nim współżyć..! Byłam kompletnie zagubiona. Alex przekonywał i przekonywał, aż mnie zagadał. ALEX MÓWIŁ... - urwała.
 - ...i nagle seks stał się w dziwny sposób podniecający. Znowu potaknęła z wyraźnym trudem.
 - Nie potrafię tego Charlesowi wyjaśnić, nie chcę tego wyjaśnić...
 - Ale on musi wiedzieć. Inaczej będzie się zdręczał, myśląc, co też przed nim ukryłaś. - Zwrócił się do mnie. - Obawiam się, że doktor Jardine po raz kolejny zbezczeszczył swój charyzmat. Wykorzystał hipnozę, żeby zdobyć władzę nad Lyle, a potem skierował energię w akt płciowy, tak że stał się on nie tyle wyrazem miłości, co stanowił erotyczne uzależnienie więźnia od kata... Czy rozpoznajesz tę sytuację, Lyle?
- Udało jej się skinąć głową.
- Dokonale, wyjaśniliśmy Charlesowi, że nie myślałaś jasno, a twoja wola została złamana przez ten hipnotyczny i głęboko szkodliwy związek. Kiedy jednak spotkałaś Charlesa w katedrze, spełnił on funkcję bariery, która na chwilę oddzieliła cię od doktora Jardine'a, dzięki czemu mogłaś przez moment spojrzeć na swoją sytuację we właściwej perspektywie. Ale wraz ze zniknięciem Charlesa - i zniknięciem bariery - stałaś się ponownie uległa woli Jardine'a.
 - Tak, kiedy tamtej nocy przyszedł do mojej sypialni, wiedziałam, że nie będę umiała mu odmówić, ale tak się złożyło, że nie założyłam środka zapobiegawczego i... Nagle uświadomiłam sobie, że

jedyne, co mam zrobić, to nie robić nic. Nie mogłam podjąć konkretnego działania i powiedzieć: „Tak dalej być nie może”, ale mogłam milczeć, pozostać bierna, a kiedy się ze mną kochał, pomyślałam: Jeślibym miała dziecko, nie mógłby mnie zatrzymać, gdybym miała dziecko całe jego gadanie na nic by się nie zdało, musiałabym odejść. I postanowiłam, że przestanę używać środków antykoncepcyjnych. Moje biedne maleństwo, tak bardzo go pragnęłam, ale nigdy nie powinnam była go począć w takiej sytuacji... To takie złe... Nie powinnam była tego robić...

- Łatwo być mądrym po szkodzie, ale kiedy człowiek jest w desperacji... Jak sobie wyobrażałaś przyszłość, kiedy już zajdziesz w ciążę?

- Sądziłam, że uda mi się namówić Charlesa, żeby się ze mną ożenił. Wiedziałam, że będę musiała mu powiedzieć, że się spodziewam dziecka - nawet mi nie przeszło przez myśl, żeby go aż tak oszukiwać

- ale postanowiłam, że mu powiem, że ciąża była skutkiem jednej, okropnej chwili nieuwagi.

- A jak chciałaś doprowadzić Charlesa do oświadczeń?

- Powtarzałam, jaka jestem wyrachowana i opętana na punkcie seksu, mówiłam, że gdyby się dowiedział, jaka jestem naprawdę, nie chciałby mnie w ogóle znać: sądziłam, że w ten sposób jeszcze bardziej go sobie urobię: przystojnych mężczyzn fascynują kobiety, które stanowią dla nich wyzwanie.

- Nawet jeśli, to z pewnością musiałaś się bać, że wycofa się przed ostatnią przeszkodą - na wieść o ciąży?

- O tak, myślałam, że będę musiała go zmusić do wzięcia tej przeszkody, ale, wie ojciec, prowadziłam go łagodnie ścieżką, żeby w ostatniej chwili wymierzyć decydujący cios. Ale wtedy... O Boże, Boże, on mnie ubiegł...

- W jaki sposób?

- Powiedział mi o swoich rodzicach - dokończyła Lyle z płaczem.

- Mówił o swoich ideałach, stanął przy mnie, realizował wiarę w życiu... Och, i ogarnął mnie taki wstyd, poczułam się jak ostatnia łajdaczka... Nie potrafiłam dobyć słowa, nie mogłam znieść tego okropnego poczucia winy, ale wtedy zrozumiałam, że go Kocham. Przedtem go nie kochałam, podobał mi się, ale tak naprawdę...
- Tak... Jeszcze jeden wysiłek, Lyle...
- Nienawidziłam go. Byłam na niego taka wściekła. Chciałam się na nim zemścić...
- A to wszystko dlatego...
- Że spał z Loretta. - Łzy spływały jej po policzkach. - Sądziłam, że się mną tylko bawił, myślałam, że zostałam oszukana, że mnie zostawił, zawiódł; mężczyźni zawsze mnie zawodzili: nawet tato, który poszedł na wojnę i już z niej nie wrócił. I nie mogłam znieść myśli, że Charles też mnie zdradził, a ja go tak bardzo lubiłam. Pomyślałam: zemszczę się na nim, jeszcze mi za to zapłaci. Powiem, że musi się ze mną ożenić, inaczej wywołam skandal, twierdząc, że to jego dziecko. Miałam zamiar to zrobić. I proszę, oto ja: oszalała z gniewu i nienawiści, opętana przez te wszystkie demony, które ojciec dopiero co wyliczył... I wtedy... Jak to ojciec powiedział na początku?
- Szatan musi się ugiąć przed mocą Chrystusa.
- Tak, Charles był taki dobry, taki uczciwy, postąpił prawdziwie po chrześcijańsku i wszystkie demony pierzchły i mogłam go pokochać, ale one wróciły, chciały odzyskać swoją własność, bo wiedziały, że nie zasługuję na takiego człowieka jak on. Zapanowały nade mną, ale ojciec je wypędził. To był cud, och, ojczu, pomóż mi, proszę, pomóż, jestem taka chora...
- Skoro to dostrzegasz, to znaczy, że już zdrowiejesz - odparł natychmiast Darrow.
- O, gdyby tylko można było wymazać te wszystkie straszne rzeczy, które zrobiłam!
- To może się okazać wcale nie takie trudne, jak ci się wydaje. Kiedy dokonasz prawdziwej pokuty, otworzy się przed tobą nowe życie.
- Ale nie z Charlesem. Nie będzie nowego życia z Charlesem, stracę go, prawda, ojczu? Stracę to, czego najbardziej pragnę i to właśnie będzie kara za wszystkie moje kłamstwa, oszustwa i złe uczynki.

Darrow milczał. Spojrzał tylko na mnie i nigdy nie zapomnę, że w chwili, kiedy trzeba było podjąć ostateczną decyzję nie tylko milczał, ale był i nieprzenikniony. Decyzja należała do mnie, tylko i wyłącznie do mnie.

- Jeśli ty możesz mi wybaczyć Lorette - zwróciłem się do Lyle - ja mogę ci wybaczyć, że chciałaś się na mnie zemścić. A nawet jeśli mi nie wybaczysz, ja i tak ci wybaczę, bo wiem już, jak wiele wycierpiałaś.

- Och, Charles... Charles...

- Wróćmy do hotelu i zajmijmy się przygotowaniami do ślubu.

Rozdział czwarty

„Spoglądanie wstecz łączy się często z upokarzającym wspomnieniem, ale bywa też wezwaniem do pokuty; jednak Chrystus, w Swym niezmiernym miłosierdziu znosił mnie przez tyle lat i nie mam podstaw, by wątpić, czy zostanie ze mną do końca”.

Letters of Herbert Hensley Henson, zebr. E. F. Braley

I

Rzeczywiście, rozmawialiśmy z Lyle o ślubie, ale niedługo. Była wyczerpana i o dziewiątej rozstaliśmy się w *foyer* hotelu. Następnego ranka wyciągnąłem ją z jadalni, gdzie zmagala się ze śniadaniem i wróciliśmy do Grantchester: poszła się przespacerować po miasteczku, ja zaś spotkałem się z Darrowem w cztery oczy.

- Nadal jest zmęczona - brzmiała moja odpowiedź na jego pierwsze pytanie - ale znacznie się uspokoiła. - Zawahałem się i dodałem: - Jak szybko zdał sobie ojciec sprawę, co się w niej działo?
- Od pierwszej chwili wiedziałem, że jest w ogromnie trudnej sytuacji, a kiedy zdałem sobie sprawę, że na mnie skrupiła swój gniew na płęć przeciwną, zastanowiłem się, czy ciebie jej wrogość nie obejmowała... Potrzebna jej jeszcze pomoc, Charles, i to bardzo.

- Znalazł ojciec jakąś zakonnice?
- Tak. Ma koło pięćdziesięciu lat, wdowa, obdarzona ogromną intuicją i ludzkim podejściem.
- Och, gdybym tylko wiedział, że Lyle zechce się z nią w ogóle spotkać!
- Sądzę, że kiedy już ustąpiło najgorsze napięcie, może odczuć potrzebę zwierzenia się komuś!
- Och, gdyby ojciec mógł być jej kierownikiem duchowym!
- To zbyt niebezpieczne, Charles. Sam widziałeś, jakie napięcie seksualne wytworzyło się, gdy była zagubiona, a gdybym próbował pomagać jej sam... Nie, Charles, taka sesja zabiłaby ją tylko w tropu. A poza tym to mogłoby się okazać bardzo nieroztropne ze względu na mnie. Zakonnicy pod wieloma względami to zupełnie normalni ludzie i z pewnością Bóg nie przeznaczył ich do udzielania ładnym kobietom rad, jak mają prowadzić swoje życie osobiste.
- Uśmiechnął się do mnie. - Jak wygląda twoja dalsza kampania?
- spytał.
- Jedziemy do Starbridge. Lyle musi wziąć podstawowe rzeczy, sądzą zresztą, że najlepiej, by jak najszybciej się wyprowadziła z pałacu. Oczywiście, najpierw spotkam się z Jardine'em sam na sam.
- Jak sądzisz, jak się zachowa?
- Właśnie o to samo chciałem ojca spytać. Jak ojciec sądzi? Nie proszę o krótkie jasnowidzenie, ale o prognostyki w oparciu o materiał dowodowy.
- W znacznej części pozostanie to jasnowidzeniem. - Darrow chwilę się zastanowił. - Będzie zdumiony, choć nie tyle wiadomością o odejściu Lyle - od dłuższego czasu musiał sobie zdawać sprawę, że ich związek się rozpadał. Ale będzie zdumiony na wieść o dziecku i zapewne spyta od razu, jak często będzie mógł je widywać. I tu staje przed tobą problem, Charles, jakie miejsce w twoim małżeństwie zajmą Jardine'owie.
- Lyle zgadza się, że musi nastąpić całkowite zerwanie - odparłem
- i wyznam, że tutaj nie ustąpię nawet o krok. Mają się trzymać od

nas z daleka, a jeśli sądzą, że będą mogli regularnie przyjeżdżać .. i gruchać nad kołyską, są w grubym błędzie.

Darrow w milczeniu przyglądał się bacznie swojemu pierścieniowi.

- Czyżbym postępował nie po chrześcijańsku? - spytałem zbity z tropu.

- Niekoniecznie. Jak uważasz?

- Uważam, że Bóg powołał mnie do tego związku - niewątpliwie bardzo trudnego - i dlatego moim pierwszym obowiązkiem jest upewnienie się, że małżeństwo się uda. A nie sądzę, by mogło się udać, jeśli Jardine'owie będą mieli do nas wstęp.

- Muszę przyznać, że to prawdopodobnie jedyny wniosek, do jakiego możesz dojść, póki oboje z Lyle dochodzicie do siebie po swoich ciężkich przeżyciach i uczycie się wzajemnej miłości. Ostrzegałbym cię jednak, Charles, przed nieugiętością. Przypomnij sobie, jakie trudności wynikły z nieugiętej postawy twojego ojca, kiedy nie potrafił odrzucić swoich uprzedzeń i upierał się, że jesteś wierną kopia Romaine'a.

Teraz ja milczałem.

- Co zrobicie ze ślubem? - spytał w końcu Darrow.

- To kolejny problem. Oboje uzgodniliśmy, że chcemy jak najszybszego i najskromniejszego ślubu; oczywiście, zdobędę specjalną licencję, ale chyba wyglądałoby dziwnie, gdyby Jardine nie udzielał Lyle ślubu. Mogłoby to wywołać plotki.

- Czyżby? Nie zapominaj, że Lyle jest ich pracownicą, nie córką, a pracownicy często odchddzą. Oczywiście, z pewnością mogą być jakieś domysły, jeśli Jardine'o wie nie pokażą się na ślubie, ale ludzie mają krótką pamięć i sprawa szybko ucichnie. Myślę, że najważniejsze, byście zachowywali się pewnie i spokojnie, jakby to była najnormalniejsza sytuacja pod słońcem. Co przypomina mi o kolejnej sugestii, jaką dla was miałem: czemu nie poprosić doktora Langa, żeby udzielił wam ślubu w kaplicy w Lambeth? Trudno chyba o bardziej szacowny ślub? Sam prymas! To także wyjaśniłoby nieobecność Jardine'ów; wszyscy wiedzą o niezgodzie między Langiem a Jardinem.

Owa sugestia była wręcz genialna.

- Na ile jednak musiałbym wtajemniczyć Langa w całą sprawę?

- Wcale byś nie musiał.

- A jeśli spyta mnie o związek Lyle z Jardinem?

- Drogi Charlesie, jesteś księdzem. Nie masz obowiązku powtarzać ani słowa ze spowiedzi Lyle.

Nawet arcybiskupowi Canterbury! Wystarczy, że powiesz, że oboje Jardine'owie obciążali Lyle tyloma obowiązkami, że nie miała czasu na życie osobiste. Jest to w tak oczywisty sposób niezdrowa i niepożądana sytuacja, że nie będzie wymagała żadnych dalszych komentarzy.

Wreszcie mogłem jasno myśleć. Zdałem sobie sprawę, jak ogromnie wycieńczyły mnie wydarzenia ostatniej doby i jasność widzenia Darrowa bardziej niż zwykle przyszła mi z pomocą.

- Będziesz czekał z ustaleniem daty ślubu, dopóki ciąża nie zostanie potwierdzona? - spytał niespodzianie.

- Nie - odparłem, uświadamiając sobie, że chciał się upewnić, czy nie noszę się z zamiarem ucieczki. - Cięża nie cięża, chcę się z Lyle ożenić, a im szybciej tym lepiej.

To go zadowoliło.

- A jak się czujesz - podjął, znowu wystawiając mnie na próbę - mając perspektywę zostania ojcem?

Uśmiechnąłem się do niego.

- Teraz, gdy przestałem tracić czas, próbując stać się idealnym synem wszystkich moich postaci ojców, jestem pewien, że podołam ojcostwu!

Darrow skinął głową, ale kiedy się nie odezwał, zdałem sobie sprawę, że czeka na coś więcej.

- Tak bardzo siebie unieszczęśliwiłem, próbując być idealnym synem - mówiłem ze smutkiem - że strach mnie ogarnia na samą myśl, że miałbym stworzyć kogoś, kogo mogłoby czekać takie samo piekło, przez jakie ja przeszedłem. A ponieważ ojciec zawsze zachowywał się tak, jakby ojcostwo było jakimś kolosalnym ciężarem, podświadomie bałem się tego ciężaru.

Darrow potaknął, ale dalej czekał.

- Nie mogłem sobie poradzić z małżeństwem - ciągnąłem. - Nie mogłem sobie poradzić z rodziną. Z sobą samym. Oczywiście, uciekałem przed sytuacją, kiedy musiałbym radzić sobie z kimś innym, a zwłaszcza dzieckiem, które by ode mnie zależało. Ale teraz już sobie poradzę, ojciec. To nie będzie łatwe. Często będzie bardzo trudne, ale prawda wygląda tak, że w tej dziedzinie nie czuję się nic niewartym nieudacznikiem. Wierzę, że Bóg powołał mnie do życia w takiej właśnie rodzinie - może chce w ten sposób przygotować mnie do służby na jakimś innym polu - i przez tę próbę, którą właśnie przeszedłem, stałem się godny i zyskałem dość sił, żeby spełnić to szczególne zadanie.

Darrow odchylił się w krześle, jakby po wyjątkowo trudnym i burzliwym rejsie wprowadził statek bezpiecznie do portu. Ale na koniec powiedział jedynie:

- Bóg z tobą, Charles, a wierzę, że naprawdę z tobą będzie. Dobra robota, Charles.

II

Kiedy wróciliśmy do Laud's, spakowałem torbę na wyjazd do Starbridge. Usiedliśmy z Lyle naprzeciwko siebie przy biurku i zadzwoniłem do pałacu. Gerald Harvey natychmiast połączył mnie z telefonem w bibliotece i ledwo tylko usłyszałem głos Jardine'a, wyrecytowałem przygotowane wcześniej zdania:

- Chcę powiadomić księdza biskupa, że Lyle zgodziła się za mnie wyjść - oświadczyłem. - Dzwonię ze swojego mieszkania w Laud's, ale zaraz wyruszamy do Starbridge, żebym zdążył jeszcze dziś wieczorem spotkać się z księdzem biskupem w celu przedyskutowania sytuacji. Stawię się w pałacu o wpół do siódmej.

Po tym wypowiedzeniu wojny z drugiej strony zapadła głęboka cisza.

- Jeśli można, chciałbym porozmawiać z Lyle - odezwał się wreszcie spokojnie Jardine.

- Będę o wpół do siódmej. Dziękuję, księżu biskupie - powiedziałem i odłożyłem słuchawkę. Nie zamierzałem dawać mu szansy rozmowy z Lyle, jeśli nie będzie słyszał i widział obu stron.

- Co powiedział? - spytała z przerażeniem Lyle. Powtórzyłem jej.

- Czy sprawiał wrażenie zdruzgotanego?

- Nieszczerólnie. - Nie zwracając uwagi na jej bladość, spytałem, żeby Zająć jej myśli czymś innym: - Napisiałaś już list?

Otworzyła torebkę, wyjęła nie zaklejoną kopertę i podała mi ją.

- Mogę? - spytałem uprzejmie, zanim wyciągnąłem list. Pomyślałem, że to bardzo ważne, bym zachowywał się w sposób cywilizowany, w miarę jak narastała konieczność, bym przejął kierownictwo nad sytuacją.

- Oczywiście - odparła.

W liście potwierdzała, że chce za mnie wyjść za mąż i informowała go o dziecku. Krótki, oschły list. Podejrzywałem, że nie odważyła się okazać uczuć, bojąc się, że zmieniłyby całkowicie przesłanie listu.

- Może tak być? - upewniła się niespokojnie.

- Świetny.

Zakleiliśmy kopertę i wsunąłem ją do wewnętrznej kieszeni marynarki. Bez słowa ruszyliśmy w drogę.

III

Wreszcie dotarliśmy do Starbridge, tajemniczego, zalanego słońcem Starbridge, miasta, które za swoją piękną, lśniącą zasłoną skrywało tak bolesną rzeczywistość. Kiedy zjeżdżaliśmy ze wzgórz, słońce znowu świeciło nad katedrą, a jego promienie odbijały się w nurcie rzeki. W „Staro Arms” czekały na nas dwa oddzielne pokoje, ale nie zabawiłem długo. Nie rozpakowałem się, tylko wypłem trochę wody, żeby się odświeżyć, potem ruszyłem do

pałacu. Lyle mnie pożegnała. Kiedy się rozstawaliśmy, nie potrafiła się powstrzymać od prośby: - Nie bądź wobec niego zbyt surowy.

Natychmiast ogarnęło mnie pragnienie zrównania z ziemią pałacu, ale tylko skinąłem głową, pocałowałem Lyle, żeby zwalczyć zazdrość i wyszedłem z hotelu na zalaną wrześnie słońcem Eternity Street.

IV

Gdy znalazłem się przed pałacem, byłem ogromnie napięty, ale panowałem nad każdym uczuciem. W czasie naszego ostatniego spotkania oddałem Darrowowi pożyczony krzyż, ale kupiłem sobie nowy, który teraz miałem pod koszulą i w drodze do pałacu co chwila go dotykałem koszuli, żeby zachować spokój ducha.

Kiedy znalazłem się w pałacu, natychmiast wprowadzono mnie do biblioteki. Jardine stał przy oknie i odwrócił się dopiero, gdy zniknęły się za mną drzwi. Twarz miał bladą i zaciętą. Wyglądał na gotowego do walki. Nie dałem się zastraszyć.

- Dobry wieczór, doktorze Ashworth. - Widocznie wolał uznać za niebyłe nasze ostatnie spotkanie, kiedy zwracał się do mnie po imieniu.

- Dobry wieczór, księżu biskupie.

Ruchem ręki wskazał, żebyśmy usiedli i znowu siedzieliśmy twarzą w twarz po obu stronach biurka.

Wreszcie po chwili niezręcznej ciszy, pierwszy odezwał się Jardine:

- Mam nadzieję, że Lyle dobrze się czuje. Od pewnego czasu mocno się o nią niepokoję.

- Czuje się lepiej i podjęła decyzję o wyjściu za mnie za mąż. Czekałem aż zacznie się bronić. Gotów byłem wytoczyć argumenty

przeciwko jego nieoficjalnemu związkowi. Gotów byłem zmagać się z nim w dyskusji, stawić czoło sile jego charyzmatu. Ale on mi się wymknął.

- Najważniejsze - oświadczył - jest, żeby Lyle wróciła do pełni zdrowia duchowego.

I dotknął krzyża na piersi. Natychmiast zdałem sobie sprawę, że szuka w nim siły do dalszej walki i nagle przeraziłem się, żeby nie osłabił mojej wrogości i znowu nie pogrążył w niepewności.

- Bardzo chciałbym się spotkać z Lyle - ciągnął - sądzę bowiem, że ma ogromne znaczenie, bym najpierw ją uwolnił, pozwalając rozpocząć nowe życie. Chciałbym jej przypomnieć, że zawarliśmy związek, który prawnicy uznaliby za rozwiązywalne małżeństwo, małżeństwo, które obie strony mogą rozwiązać, kiedy zechcą i pragnąłbym wyraźnie jej powiedzieć, że uwalniam ją ze ślubów, które złożyła pięć lat temu. Zapewniłbym też, że choć oczywiście będę za nią tęsknił, absolutnie nie musi się czuć winna, że mnie zostawia, i dodałbym, że, przyglądając się wydarzeniom ostatnich miesięcy, widzę wyraźnie, że księdza pojawienie się w naszym życiu miało cel i musiałbym rzeczywiście być sprzeniewiercą, za którego bez wątplenia ksiądz mnie ma, żeby nie pojąć, że jest prawdziwą wolą Bożą, aby Lyle stała się teraz księdza żoną.

Zabrakło mi słów. Nie potrafiłem się zdecydować, czy Jardine wykazuje się ogromną inteligencją, próbując urobić sobie ewentualnego zięcia, czy też ogromną odwagę, uwalniając kochaną przez siebie kobietę - i ogarnęło mnie straszliwe podejrzenie, że to drugie.

- Nie jestem apostatą - podjął, kiedy zdał sobie sprawę, że jestem zbyt zagubiony, by odpowiedzieć. - Podjąłem decyzję o poślubieniu Lyle, gdyż sądziłem, że jest to zgodne z wolą Bożą. Racjonalne argumenty za tym związkiem były słabe, ale jestem duchownym nie prawnikiem i doszedłem do wniosku, że Bóg zesłał mi to niespotykane rozwiązanie wszelkich problemów, żebym mógł dalej Mu służyć w miarę swoich sił. Oczywiście, rozwój wydarzeń pokazał, że się myliłem. „Prawda jest córką czasu”, jak mówi przysłowie, jednak pięć lat temu uczy-

niłem to, co, jak głęboko wierzyłem, jest najlepsze dla mnie, dla Carrie i dla Lyle.

Przerwał, ale gdy uparcie milczałem, znowu dotknął krzyża i mówił dalej:

- Kiedy się na to patrzy z perspektywy czasu, można myśleć, że bardzo poważnie pobiłbym, jednak nasze błędy często są skutkiem okoliczności, na które nie mamy wpływu, a korzenie mojego błędu, jak ksiądz się na pewno domyśla, sięgają daleko w przeszłość. Mój ojciec i macocha wywarli na mnie takie olbrzymie wpływy, że choć zawsze gratulowałem sobie, że uciekłem ze świata, w którym się urodziłem, to - teraz widzę to wyraźnie - moje dziedzictwo i młodość spędzona w szczególnych warunkach odcisnęły piętno na mojej karierze. Ale niech ksiądz nie sądzi, że próbuję się usprawiedliwiać. Nie. Staram się tylko ustawić moje zachowanie we właściwej perspektywie, gdyż jest dla mnie ogromnie ważne, by patrząc na mnie, nie zniechęcił się ksiądz do Kościoła. Nie jestem pierwszym duchownym, który popadł w błąd, i z pewnością nie ostatnim, powinien jednak ksiądz zrozumieć, że nie jestem wysłannikiem szatana, ale tylko zwykłym wierzącym, który straszliwie się omylił.

Znowu umilkł i znowu przekonałem się, że choć wywarł na mnie wrażenie, pozostaję sceptyczny. Tu potrzebny był dar rozpoznawania duchów, ale w tej chwili nie potrafiłem stwierdzić czy przemawia przez niego Bóg, czy szatan.

- Lyle będzie się niepokoić o Carrie i o mnie - tłumaczył Jardine. - To nieuniknione i między innymi dlatego chcę się z nią spotkać. Chcę ją zapewnić, że sobie poradzimy. Oczywiście zrezygnuję z biskupstwa. Wyłumaczę to słabym zdrowiem i przeniesiemy się do jakiegoś miasteczka daleko stąd - może gdzieś w pobliżu Oksfordu - gdzie będziemy razem z Carrie mogli spokojnie mieszkać. Zawsze chciałem napisać jakieś poważne studium teologiczne, a nie wyłącznie kazania i polemiki, a emerytura pozwoli mi wreszcie znaleźć na to czas. Jeśli zaś chodzi o Carrie, nie wątpię, że wreszcie dojdzie do siebie. Nigdy nie podobała

jej się rola małżonki wysoko postawionego duchownego, sądzę jednak, że bardzo szybko włączy się aktywnie w życie miasteczka i stanie się ogromnie lubiana, podczas gdy wszyscy będą w duchu wzdychali na myśl o jej uciążliwym, wybuchowym staruchu... A kiedy Carrie po raz pierwszy od wielu lat poczuje się szczęśliwsza, może i nasze małżeństwo stanie się lepsze. Taką przynajmniej będę miał nadzieję, i może dzięki tak drastycznej zmianie warunków, moja nadzieja nie okaże się całkowicie płonna.

Teraz już całkowicie zapanowałem nad swoją niepewnością. Dzięki sile, rozwiniętej po ćwiczeniach Darrowa, udało mi się na tyle skoncentrować, że mogłem wytrzeć tablicę swej podświadomości, żeby Bóg - jeśli taka będzie Jego wola - mógł na niej pisać. I znowu pomodliłem się o dar rozeznania.

- Kiedy się pobieracie? - spytał w końcu Jardine.

- Jak najszybciej. Staram się o licencję. Jardine wyglądał na zaskoczonego.

- Niech mi ksiądz daruje, nie chcę się wtrącać - odezwał się w końcu ostrożnie - ale czy ten pośpiech jest konieczny? Mówię jako człowiek, który sam zbyt szybko się ożenił i gorąco księdzu odradzam pójście w moje ślady.

Bez słowa wyjąłem list Lyle i podałem Jardine'owi.

Chwycił swoje okulary do czytania. Otworzył kopertę. Ze środka wypadł sygnet. Widziałem, jak Jardine się skrzywił, zanim schował go do kieszeni. Dalej bacznie obserwowałem biskupa i po chwili usłyszałem, jak gwałtownie wciąga powietrze, dotarłszy do kluczowego zdania. Podniósł się z krzesła. Na barku stała karafka z brandy, milczący świadek napięcia, które nie opuszczało Jardine^ od mojego porannego telefonu. Biskup nalał sobie solidną porcję do szklanki, która zapewne nie pierwszy raz była dziś w użyciu.

- Muszę zostać sam - powiedział wreszcie.

Wyszedłem do hallu. Nadal całą uwagę skupiałem na pozostawieniu tablicy czystej, choć jednak modliłem się o dar rozeznania, ciągle nie wiedziałem, co o tym wszystkim sądzić.

Tak jak to Darrow mi uzmysłowił, pod wieloma względami byłem bardzo przeciętnym księdzem i teraz czułem, że sytuacja przerasta możliwości mojego ducha. I znowu modliłem się o Bożą łaskę, która przemieni słabość w moc i znowu w uszach zabrzmiały mi znajome słowa: ale nie moja, lecz Twoja wola niech się stanie.

Drzwi od biblioteki się otwały. Prawdopodobnie stałem w hallu nie dłużej niż pięć minut, ale wydawało mi się, że upłynęło znacznie więcej czasu.

- Może już ksiądz wejść - odezwał się z progu Jardine, ale odwrócił twarz, tak że dopiero gdy znalazłem się w pokoju, dostrzegłem, że oczy ma zaczerwienione od płaczu.

Natychmiast przyszedł dar rozeznania i za maską heroicznego wyrzeczenia, którego efekt tak skutecznie udało mu się osiągnąć przez swoją przemowę, dostrzegłem nie wysłannika szatana, ale dobrego człowieka, który stara się zapanować nad ogromnym wzruszeniem.

- Dziękuję, że zechciał mi ksiądz dać te kilka chwil samotności - ciągnął.

Właśnie myślałem, jak doskonale musi nad sobą panować, kiedy zdałem sobie sprawę, że zabrakło mu słów. Jednak gdy usiedliśmy, udało mu się dokończyć:

- Przepraszam, czuję się taki wzruszony. Ciągle nie potrafię w to uwierzyć. To tak jakby cała ta tragedia nabrała sensu... Nawet odejście Lyle staje się łatwiejsze do zniesienia, bo otrzymaliśmy tak cudowną rekompensatę...

Nagle zobaczyłem, co się za chwilę wydarzy. W uszach zadźwięczały mi słowa Darrowa: „Zostaw Jardine'a Bogu, Charles” i kreda wreszcie zaczęła pisać po tablicy. Nie chciałem tego czytać, ale wiedziałem, że nie wymażę tych słów. Wiązało mnie moje powołanie i tylko jedną drogę mogłem obrać.

- Zawsze chciałem mieć dziecko - mówił Jardine. - Sądzę, że nawet teraz jest to rzecz, której najbardziej pragnę. Tak trudno przyszło mi się pogodzić, kiedy Bóg nie pobłogosławił naszego małżeństwa żyjącym potomstwem i często myślałem, że łatwiej bym

to zaakceptował, gdybyśmy w ogóle nie mieli dzieci. To martwe dziecko... Ten straszliwy przeblask przyszłości, która nigdy się nie stanie moim udziałem... Ta potworna świadomość, że dało się życie dziecku tylko po to, żeby je stracić, nim zdążyło zaczerpnąć pierwszy oddech.

Wpatrywałem się w niego bez słowa. Kreda wreszcie się zatrzymała. ,

- I jakie to cudowne, że chce się ksiądz z nią ożenić! - zawołał Jardine, zbyt zabsorbowany swoimi uczuciami, by zwrócić uwagę na mój brak reakcji. - W tej sytuacji to wydaje się wręcz aż nadto cudowne - wszystko tak wspaniale się układa. Wcześniejsze nieszczęście całkowicie mnie zdruzgotało, a teraz czuję, że znowu mogę mieć nadzieję.

Niezręcznie nalał sobie brandy.

- Po księdza telefonie - podjął - nie wiedziałem, jak sobie poradzę bez Lyle, ale stopniowo, po dłuższej modlitwie, zdałem sobie sprawę, że moim pierwszym obowiązkiem nie jest myślenie o sobie, ale pomoc. Musiałem pomóc Lyle, zwracając jej wolność. Postanowiłem więc robić dobrą minę do złej gry - choć to przyszło mi z takim trudem, bo wiedziałem, że oboje musicie mną gardzić... Och, jakież upokarzające było, kiedy tamtego wieczoru wszedł ksiądz do pokoju, jakie straszne, kiedy wystarczyło spojrzeć na księdza twarz, by wiedzieć, że ksiądz wie... Proszę mi darować, widzę, że moja szczerość księdza zawstydzą, ale tak wiele wycierpiałem, niech ksiądz nawet przez chwilę nie myśli, że nie, i właśnie dlatego taka cudowna jest ta wiadomość, bo przemienia cały ten ból i dzięki niej mogę go wreszcie jakoś znieść.

Zawahał się i dodał nieśmiało:

- Niecierpliwie wyglądam chwili, kiedy będę mógł obserwować jak dziecko się rozwija. Milczałem. Jego wyraz twarzy się zmienił. Rozpoznał swojego kata, ale ciągle nie potrafił uwierzyć, że egzekucja jest o krok.

- Mam nadzieję - odezwał się - że będę mógł od czasu do czasu się z nim spotkać.

Miałem wrażenie jakbym widział człowieka, stojącego twarzą w twarz z plutonem egzekucyjnym, gdzie kule lecą w zwolnionym tempie, ale kiedy się odezwałem, mówiłem nie dlatego, że chciałem, ale dlatego, że nie pozostawiono mi wyboru: musiałem mu przekazać to, co odczytałem.

- Obawiam się, że musi ksiądz biskup pogodzić się z faktem, że dziecko będzie moje, nie księdza.

Przykro mi, ale zostałem powołany do tego trudnego związku, a biorąc pod uwagę więzi, jakie łączyły księdza z Lyle, nie mogę sobie pozwolić na ryzyko dopuszczenia księdza do mojego małżeństwa. To absolutnie wykluczone... - Zawahałem się, ale zmusiłem się, by dokończyć: - Przynajmniej w tym momencie.

Uchwycił się tej ostatniej deski ratunku.

- Ale w przyszłości...

- Zobaczymy. W ogromnym stopniu zależy to od tego, jak będzie się nam z Lyle układało, a to z kolei zależy od tego, na ile będzie ksiądz biskup umiał się trzymać od nas z daleka.

- Nie muszę się spotykać z Lyle. Ale gdybym mógł od czasu do czasu widywać dziecko... Oczywiście w czyjejś obecności...

- Nie. Niech się nie da ksiądz unieść sentymentalnemu przekonaniu, że biologiczna więź daje księdzu prawo traktować moje dziecko jak swoje.

W moim głosie zabrzmiała twarda nuta, taka sama jak w głosie ojca. Dotykając krzyża schowanego pod koszulą, po raz kolejny próbowałem się uspokoić.

- Oczywiście, pewnego dnia dziecko będzie musiało poznać prawdę - ciągnąłem - a kiedy się dowie, będzie chciało się z księdzem spotkać, jednak do tego momentu musi ksiądz trzymać się z daleka, chyba że uznam, że można bezpiecznie pozwolić mu na bliższy kontakt.

Zmagał się z uczuciami i dopiero po dłuższej chwili przemówił:

- Czy Lyle mogłaby ewentualnie przesyłać mi od czasu do czasu fotografie?
- Lyle absolutnie niczego nie będzie księdzu przysyłać i zabraniam księdzu prób kontaktowania się z nią w jakikolwiek sposób. - Wymagało ode mnie wysiłku dodanie: - Ale ja wyślę księdzu zdjęcie od czasu do czasu. . .

Próbował mi dziękować, ale przerwałem. Zmuszony do zajęcia bezwzględnego stanowiska, nie chciałem, żeby wzbudził we mnie poczucie winy okazując pokorę.

- To już nie spotkam się z Lyle? - odezwał się po chwili. - Nawet żeby się pożegnać? , .
- Przeprowadzę ją dzisiaj na kolację i może ksiądz rozstać się z nią w mojej obecności. Gdyby zaś pani Jardine była tak uprzejma i zechciała spakować część rzeczy Lyle, żebyśmy mogli je dziś zabrać... A kiedy już znajdziemy mieszkanie w Cambridge, byłbym zobowiązany, gdybyście zechcieli państwo przesłać na mój koszt pozostały jej dobytek.

Skinał głowę. . Sądziłem, że wszystko już zostało powiedziane, ale kiedy się podnosiłem, Jardine odezwał się nieoczekiwanie:

- Może się ksiądz czegoś napije przed wyjściem? Nasza rozmowa musiała być dla księdza równie trudna jak dla mnie.
- Dziękuję, księżę biskupie, ale ponieważ w czasie ostatniego naszego spotkania byłem taki pijany, czuję, że przynajmniej teraz mogę się powstrzymać od alkoholu.

Obaj się uśmiechnęliśmy i nagle mimo wszystkiego, co nas dzieliło, przemknął między nami błysk porozumienia.

- Przepraszam, że tamtej nocy tak się nie sprawdziłem jako kierownik duchowy - dodał pod wpływem impulsu. - Naprawdę chciałem księdzu pomóc, ale mój strach i przerażenie tak mnie oddzielały od Boga, że nie mogłem udzielić księdzu pomocy. Obawiam się, że to był przykład kompletnej klęski duchowej.

- Każdemu to się zdarza.

- Cóż, niech ksiądz się postara nie powtarzać moich błędów. Odprowadził mnie do drzwi.
 - Tyle dobrze, że przestał ksiądz zadawać bezczelne pytania - rzucił lekko przez ramię. - Powiniennem być wdzięczny i za tyle.
 - Mógłbym wymyślić sporo bezczelnych pytań - odparłem, starając się przybrać równie lekki ton, żeby złagodzić moją wcześniejszą surowość - ale nie widzę powodów, dla których miałby ksiądz biskup na nie odpowiedzieć. Nigdy się ksiądz nie przyzna, jak naprawdę wyglądała księdza więź z macochą?
 - A co, jeśli można spytać, oznacza to „naprawdę”?
 - Sądzę, że to ona była prawdziwą księdza miłością. Nikt inny. Sądzę, że Lyle stanowiła zaledwie substytut, kogoś, kogo księdza macocha zaaprobowała, kiedy już wiedziała, że niewiele życia jej pozostało. Sądzę, że gdyby ksiądz naprawdę kochał Lyle, nie potrafiłby żyć z nią pod jednym dachem w Radbury i wytrzymać w czystości.
 - Jakież wyjątkowo dziwaczne teorie potrafi wysnuć ksiądz w tej swojej wyjątkowo płodnej wyobraźni, doktorze Ashworth!
 - Życie bywa dziwaczne, doktorze Jardine...
 - ...A czasem po prostu niewinne. Ingrid była żoną mego ojca. Cała historia zamyka się w tym jednym zdaniu.
 - Ale jakież ono jest skomplikowane i wieloznaczne!
- Jardine znowu się do mnie uśmiechnął. Nie mogłem patrzeć na iskierkę rozbawienia, która błysnęła w tych jeszcze zapłakanych, hipnotycznych, bursztynowych oczach. To tylko pokreślało patos, którego nie chciałem oglądać.
- Tak więc odzyskał ksiądz swoją zwykłą impertynencję! - stwierdził. - Miło mi widzieć, że choć ksiądz wyszedł z tej walki bez uszczerbku!
 - Nikt nigdy nie wychodzi z walki bez uszczerbku. Wrócę później z Lyle - odparłem i wyszedłem, czując się obity ponad wszelkie wyobrażenie i zdruzgotany ponad wszelką miarę.

V

Tego wieczoru przewodniczyłem ostatecznemu rozwiązaniu trójkąta Jardine'ów. To było smutne, ciężkie spotkanie. Jardine wygłosił swoją mowę, ale znacznie mniej płynnie niż za pierwszym razem. Lyle płakała. Pozwoliłem, żeby objęła Carrie, ale później zdecydowanie zakończyłem spotkanie. Twarz Jardine'a poszarzała, nie mógł wydobyć słowa, a obie kobiety zalewały się łzami. Upchnąłem do bagażnika liczne torby Lyle, z piskiem opon ruszyłem spod pałacu i wjechałem w płataninę uliczek. Lyle cicho płakała przez całą drogę do „Staro Arms”.

Kiedy portier wniósł bagaże do jej pokoju, zamówiłem brandy dla nas obojga i usiedliśmy we wnęce okiennej. Zapadał zmierzch.

- Pewnie chcesz pójść ze mną do łóżka - powiedziała nagle Lyle, kiedy sącyliśmy trunki. - Możesz, jeśli chcesz. W końcu nie ma znaczenia, czy będziemy czekać z tym do ślubu, prawda?

- Tak, ma znaczenie - odparłem. - To by się równało paleniu papierosów w stroju duchownym. Istnieją rzeczy, których duchowni, jeśli chcą zachować szacunek, po prostu nie powinni robić, a jeśli mam kiedykolwiek naprawić ten straszny grzech z Loretta...

- Proszę, nie wracaj do tego. - Chwyciła mnie za rękę. - Już wyjaśniłeś. Rozumiem. Wybaczyliśmy sobie nawzajem straszne rzeczy, które zrobiliśmy. Sądziłam tylko, że może...

- Cóż, oczywiście, że chciałbym z tobą pójść do łóżka - odparłem - ale spójrzmy prawdzie w oczy. Proponujesz to z poczucia winy, bo wstydzisz się, że w pałacu pokazałaś, jak bardzo jeszcze zależy ci na Jardinie. Gdybym się zgodził, zrobiłbym to po to, by zagłuszyć poczucie niepewności, zdobywając cię fizycznie, tak samo jak on. Ale pomyśl, Lyle, tylko pomyśl! Czy naprawdę chcemy rozpocząć nasze małżeńskie życie w ten sposób?

Potrząsnęła głową i jeszcze mocniej ścisnęła mnie za rękę.

- Chcesz poczekać, prawda? - ciągnąłem. - Masz już dość

niby-mażeństw. Przez te wszystkie lata marzyłaś o tym by stać się prawdziwą żoną, tak samo jak ja marzyłem o zawarciu drugiego małżeństwa i czemu mielibyśmy się teraz zadowalać jakąś podróbką?

- Myślałam, że może chcesz mnie wypróbować...

- Po co? Nie potrzebujemy współżycia przedmałżeńskiego, żeby wiedzieć, że początkowo fizyczna strona naszego związku będzie nam przysparzała problemów! Liczy się nie to, żebyśmy potwierdzili ten oczywisty fakt przed ślubem, ale to, byśmy po ślubie byli gotowi do walki o jego przewyciężenie.

- Pocałowałem ją i dodałem: - Zresztą oboje potrzebujemy czasu. Jesteś wyczerpana Ja też. Dopijmy brandy, doczłapmy się do swoich osobnych łóżek i padnijmy na nie bez sił. Może to niezbyt romantyczne zakończenie męczącego dnia, ale za to - jestem tego pewien - najrozsądniejsze.

- Nie uważam tego za nieromantyczne - odparła Lyle - Sądzę że gdybyś mnie nie kochał tak bardzo, ten męczący dzień miałby jeszcze bardziej męczące zakończenie.

Ale ja nagle dostrzegłem swoje zachowanie w innym świetle Prawda była bardziej złożona i mroczna niż sądziłem: widziałem swoje pragnienie robienia tego, co właściwe i chęć oszczędzenia Lyle dodatkowego napięcia, ale dojrzałem też utajony lęk, że zostanę porównany z Jardinem z korzyścią dla tamtego. Odrzucając niespokojne myśli, w zapadającym zmroku objąłem Lyle, a później kiedy zerknąłem przez okno, zobaczyłem, że noc wreszcie zapadła' a na niebie pokazały się gwiazdy.

VI

Dwa tygodnie później doktor Lang udzielił nam ślubu w kaplicy w Lambeth. Obecni byli moi rodzice, brat z żoną, ich dwie córki i syn oraz przyjaciel Lyle, czarujący staruszek ksiądz, który pełnił funkcję kanonika Radbury w czasie, gdy Jardine

był tam dziekanem. To on poprowadził pannę młodą do ołtarza, a drużbą był Peter. Lang odprawił ceremonię ze swoją zwykłą teatralną godnością, a kiedy w homilii wygłosił pochwałę małżeńskiego szczęścia dla ludzi nie powołanych do celibatu, przeszło mi przez myśl, że w znacznie większym stopniu, niż chciałem się przed sobą przyznać, mógł się domyślać, jak wyglądało moje życie wdowca. Za nadętą fasadą Anglika, arcybiskup pozostał sprytnym Szkotem, i przypomniałem sobie, że - jak się okazało - doktor Lang nie mylił się w swoich podejrzeniach co do biskupa Starbridge.

W naszej sytuacji dłuższy miodowy miesiąc nie wydawał się rozsądny, uznałem więc, że spędzimy weekend w niewielkim, znanym mi hotelu w Cotswold. Dotarliśmy tam tuż przed kolacją, a kiedy później Lyle pochwaliła prosty, ale starannie przygotowany posiłek, wiedziałem, że stara się mnie przekonać, że jest szczęśliwa, równie mocno, jak ja starałem dać się przekonać. Powtarzałem sobie, że powinna mi dodać odwagi, że i ona gorąco pragnie, by nasz wyjazd się udał, kiedy jednak znaleźliśmy się sami w pokoju, nadal potrzebowałem upewnienia.

Usłyszałem, jak mówię pospiesznie:

- Słuchaj, jeśli nie możesz stawić temu czoła, na miłość boską, powiedz. Nie możemy zaczynać od udawania i nieuczciwości.

- Chcę seksu - odparła Lyle. - I chcę go z tobą. I chcę go z tobą i teraz. Wtedy może uda nam się położyć kres temu wykańczającemu napięciu.

To z pewnością była niczym nie osłonięta szczerłość i starałem się jej dorównać, przyjmując równie lekki ton.

- Dokładnie to samo czuję - odparłem, ale zranił mnie ten brak ciepła. Pomyślałem, że gdybym był Jardine'em, zawołałaby: „Kochany!” i wyciągnęła ramiona.

Otworzyła się przede mną długa, niezbyt miła perspektywa na to, co mnie czeka w tym trudnym małżeństwie, jednak odpędziłem ponure myśli, nie dając im do siebie dostępu. Po siedmiu latach

nieudanego życia w samotności nie miałem prawa okazywać przeczulenia na punkcie cnotliwości, a jednak duch zwątpienia podstępnie wkraadał się w moje myśli. Spojrzałem na Lyle, która zdawała się tak dzielnie uwalniać od przeszłości i pomyślałem, że może nawet teraz w duchu tęskni za Jardine'em. Ledwo ta straszna myśl powstała mi w głowie, zacząłem się dręczyć, że pewnie zawsze Lyle będzie miała przede mną sekrety, które mnie od niej oddzielą, sekrety, których mi nigdy nie zdradzi. Dotknąłem krzyża i zapytałem siebie, na ile w ogóle można poznać całą prawdę o drugim człowieku. Pomyślałem o wieloznacznym milczeniu Jardine'a w kwestii jego macochy, milczeniu, które wcale nie musiało oznaczać poczucia winy, ale mogło świadczyć o pragnieniu zachowania dla siebie drogocennych wspomnień; nikt nigdy się nie dowie, co między nimi się wydarzyło i może to i dobrze. Pomyślałem o słowach Darrowa: „Możemy tylko się modlić, aby Bóg objawił nam tyle, ile zechce” i nagle zdałem sobie sprawę, że Darrow stanowi dla mnie jeszcze większą zagadkę niż Jardine: człowiek który ukrywał swoje tajemnice, żeby się odciąć od swej przeszłości, kiedy jeszcze żył w świecie. Co się kryje za jego powołaniem do życia zakonnego? Czy znalazł szczęście w małżeństwie? Czy był dobrym ojcem dla swoich dzieci? Czy Lyle miała rację, intuicyjnie wyczuwając, że celibat to dla niego stan narzucony? A jeśli się nie myliła, to czy jego życie stanowiło ciągłą walkę o utrzymanie spokoju i łagodności, które wydawały się takie niewymuszone? Najprawdopodobniej nigdy nie poznam odpowiedzi na te pytania, a Darrow pozostanie dla mnie zagadką, «jednak naszej więzi nie groziło z tego powodu niebezpieczeństwo. I wtedy pojąłem, że nigdy nie poznam wszystkich tajemnic Lyle i zrozumiałem, że jedynym sposobem poradzenia sobie z nimi jest nie zadrećcać się, szukając wyjaśnienia, ale przyjąć je jak granice narzucone mi przez Boga, który miał w tym swój cel. Demon niepewności ustąpił. Wypuściłem krzyż i zacząłem się rozbierać.

VII

W końcu stanąłem twarzą w twarz z nękającą mnie obawą, że nie dorównam Jardine'owi, który w niedozwolony, acz bardzo pociągający sposób korzystał ze swego charyzmatu. Znowu otworzyła się przede mną niezbyt zachęcająca perspektywa i znowu me dopuściłem jej do swych myśli. Tym razem gnębił mnie znajomy demon obawy przed wyjściem na nieudacznika i zsuwając się z Lyle, namacałem w ciemnościach krzyż, który zostawiłem na szafce nocnej.

Kiedy go wsuwałem na szyję, znowu pomyślałem o opacie. Widziałem, jak siedzimy na ławce w ogrodzie, przypomniałem sobie, jak dźwięczało mi w uszach słowo: „Odwagi!” i nagle potrafiłem bez słów błagać o cierpliwość, siłę i wolę w znoszeniu trudności, a także o mądrość w ich przewyciężaniu.

Demony ustąpiły, gdy stanąłem otwarty przed Bogiem i po raz kolejny precisnąłem się przez ciasną bramę, by odpowiedzieć na powołanie i ruszyć przed siebie wąską drogą. Zobaczyłem przed sobą nowe życie w służbie Bogu. Wiedziałem, że me mam odwrotu. Mogłem jedynie iść dalej z niezachwianą wiarą, że pewnego dnia Bóg objawi mi swoje cele i że w świetle tej wiary znikną mroki moich obaw. Prawdy, które kryły się za lśniącą zasłoną tego świata, przebiły się na wierzch i okazały nie pięknymi marzeniami, jak to sądziła Loretta, ale rzeczywistością. Miłość i wybaczenie, prawda i piękno, odwaga i współczucie lśniły blaskiem, który zagłuszał tanią pozłotkę złudzeń. Wtedy, z jeszcze większą pewnością pojąłem, że jedynie w służbie Bogu człowiek może zaspokoić swoje pragnienie życia w tym wiecznym, niegasnącym świetle. Przywołałem słynne zdanie świętego Augustyna: „Stworzyłeś nas bowiem jako skierowanych ku Tobie. I niespokojne jest serce nasze, dopóki w Tobie nie spocznie”.*

I w tej samej chwili ogarnął mnie spokój. Wróciła wiara w siebie

* **Św. Augustyn, Wyznania, przeł. Zygmunt Kubiak.**

i kiedy wreszcie uznałem swoją żonę i dziecko, pomyślałem tak samo, jak przede mną pomyślał mój ojciec: teraz już oboje należą do mnie. Potem zwróciłem się do Lyle:

- Myślę, że pewnego dnia możesz naprawdę mnie pokochać. A ona natychmiast odparła:

- Kochany! - i wyciągnęła ramiona.

Niewątpliwie pokonaliśmy w tej chwili jakąś wielką przeszkodę. Zastanowiłem się, jaka będzie następna.

Zapadłem w sen i śnił mi się chłopczyk, który prześladował mnie spojrzeniem lśniących, bursztynowych oczu.

Od autorki

Postać Charlesa Ashwortha jest fikcyjna.

Tworząc postać Alexa Jardine'a wykorzystałam elementy biografii Herberta Hensleya Hensona (1863-1947), jednej z czołowych postaci w historii Kościoła anglikańskiego z początków wieku. Henson był synem biznesmena, który dorobił się majątku, a później szybko przeszedł na emeryturę i żył ponad stan, stając się wyznawcą dziwacznej i mrocznej sekty ewangelickiej. Matka młodego Hensona zmarła, gdy miał sześć lat i trzy lata później jego ojciec powtórnie się „ożenił”, choć nigdy nie znaleziono żadnych dokumentów potwierdzających zawarcie ślubu. Kiedy Henson skończył czternaście lat, jego macosze, Niemce, udało się w końcu namówić ojca, by wysłał chłopca do szkoły. Tak młody Herbert wkroczył na drogę, która doprowadziła go do Oksfordu, gdzie został *fellowem* college'u Wszystkich Świętych. Święcenia otrzymał w wieku dwudziestu trzech lat; kiedy objął parafię w Barking w hrabstwie Essex, macocha przeprowadziła się do niego, żeby mu prowadzić gospodarstwo. Po latach pracy jako nikomu nie znany proboszcz, kiedy musiał utrzymywać rodziców, a przez to nie stać go było na ożenek, otrzymał pierwsze znaczące stanowisko: został mianowany rektorem parafii St Margaret w Westminster i stał się kanonikiem Opactwa Westminsteru. Tak uwolniony od trosk finansowych, ożenił się z Isabellą Dennistoun i dwa lata później przyszedł na świat martwy synek. Małżeństwo nie miało żyjącego potomstwa.

W 1912 roku Henson został dziekanem Durham, a w 1916 na plebanii pojawiła się młoda kobieta, Feame Booker, która stała się damą do towarzystwa pani Henson; mieszkała z Hensonami ponad trzydzieści lat. W 1918 roku Henson został mianowany biskupem Hereford, ale w dwa lata później przeniesiono go do Durham, gdzie pozostał aż do emerytury w roku 1939. Jego macocha spędziła ostatnie dni życia razem z pasierbem w jego pałacu biskupim, Auckland Castle. Należy podkreślić, że nic zdrożnego nie kryło się w związku Hensona z macochą ani jego związku z panną Booker. Postać Lyle Christie została przeze mnie wymyślona i wszelkie podobieństwo do panny Booker jest przypadkowe.

William Cosmo Gordon Lang pełnił funkcję arcybiskupa Canterbury od 1928 roku do 1942. W 1938 w czasie debaty w Izbie Lordów nad kwestią abisyńską Henson z wyjątkową siłą wystąpił przeciwko Langowi, choć odmienność ich poglądów zaznaczyła się już rok wcześniej; w czasie debaty nad kodeksem małżeńskim Lang zajął tylko stanowisko neutralne, ale Henson wyraźnie opowiedział się za rozszerzeniem prawa rozwodowego. Jego płomienne wystąpienie z wdzięcznością wspominał później autor kodeksu, Alan Patrick Herbert.

Za lśniącą zastoną to pierwsza z cyklu książek opowiadających o Kościele anglikańskim w dwudziestym wieku. Następna - *Cudowne moce* - rozpoczyna się w 1940 roku i koncentruje na postaci Jona Darrowa.